

JOHN
LE CARRE

THE RUSSIA HOUSE

Jest trzeci rok pierestrojki w Związku Radzieckim. Niki Landau, Brytyjczyk polskiego pochodzenia, uczestniczy w pierwszych targach audiosprzętu w Moskwie. Zgłasza się do niego piękna dziewczyna, Katia, redaktorka jednego z radzieckich wydawnictw, i prosi o przysługę: Landau miałby mianowicie zawieźć do Londynu paczkę zawierającą rękopis powieści.

Autorem powieści jest młody zdolny radziecki fizyk, który przez swoją byłą kochankę pragnie w ten sposób przekazać na Zachód supertajne informacje dotyczące spraw obronności Związku Radzieckiego, ze względów ideowych leży mu bowiem na sercu powszechne rozbrojenie; adresatem jest Bar/ey Blair, brytyjski wydawca, jazzman i bon vivant.

Ld Carre, plasując akcję swojej powieści kolejno w Moskwie, w Leningradzie, w Londynie i znów w Moskwie, w mistrzowski sposób odsłania przed czytelnikiem mechanizm działania jednego z najlepszych wywiadów świata, wywiadu brytyjskiego.

Proces pozyskiwania przez ten wywiad nowego agenta jest fascynujący przez swoją egzotykę chwytów technicznych i psychologicznych, podchodów, piętrowych sprawdzeń i zależności i drobnych prowadzących do celu kroczków.

Na tym tle rozwija się obowiązkowy, choć niekonwencjonalnie potraktowany wątek miłosny między Katią a Barleyem Blairem, który w zetknięciu z piękną Rosjanką odnajduje w sobie drzemiące pokłady prawdziwego, żarliwego uczucia. Szczególnie atrakcyjne są sekwencje akcji rozgrywające się w Moskwie widzianej oczyma przedstawiciela świata zachodniego i opisywanej z istic angielskim poczuciem humoru.

• Urodzony w 1931 roku John le Carre to w tej chwili jedno z najgłośniejszych na Zachodzie nazwisk w dziedzinie powieści szpiegowskiej. Stara się w swoich książkach łapać historię na gorąco ukazując takie zjawiska jak koniec zimnej wojny i walenie się żelaznej kurtyny.

Poza najgłośniejszą chyba „The Russia House” ma na swoim koncie le Carre wiele innych powieści, takich jak: „The Spy Who Came in From the Co/d” („Ze śmiertelnego zimna”), „The Looking-Glass War”, „A Smali Town in Germany” i „The Naive and Sentimental Lover”. Trylogia „Tinker Tailor

Soldier Spy", „*The Honourable Schoolboy*” i „*Smiley's People*” również zyskała międzynarodowe uznanie. Na koniec należy wymienić powieść dotyczącą spraw Środkowego Wschodu „*The Little Drummer Girl*”, a także „*A Perfect Spy*”, na podstawie której powstał cieszący się wielkim powodzeniem serial BBC, oraz „*The Murder of Quality*”.

Z wymienionych książek le Carrego jeszcze trzy — „*The Looking-Glass War*”, „*The Little Drummer Girl*” i „*The Murder of Quality*” — ukażą się nakładem „Iskier”.

„*The Russia House*” to potoczna nazwa siedziby departamentu do spraw Związku Radzieckiego w brytyjskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Polskim odpowiednikiem tej nazwy przyjętym przez tłumaczkę jest *Nasza Rosja*.

1

Przy szerokiej moskiewskiej ulicy, niecałe dwieście jardów od Dworca Leningradzkiego, na piętrze ohydneho, przeladowanego ozdobami hotelu wzniesionego za Stalina w stylu znanym wśród moskwičan jako empire czasów zarazy, opornie dobiegały żalostnego końca pierwsze zorganizowane przez British Council targi audiosprzętu do nauki języka angielskiego i rozpowszechniania kultury brytyjskiej. Czas: pół do szóstej. Pogoda: niespodziewanie letnia. Po dniu przelotnych ulewnych deszczów w kałużach palił się zdradliwy zachód słońca, wznosząc opar nad chodnikami. Przechodnie: młodzi w džinsach i adidasach, starsi wciąż jeszcze opatuleni po zimowemu.

Lokal wynajęty przez British Council był niedrogi, ale też i niestosowny na tę okazję. Widziałem go. Niedawno, będąc w Moskwie w zupełnie innej misji, wszedłem na palcach po szerokich, pustych schodach i, z dyplomatycznym paszportem w kieszeni, stanąłem w tym wieczystym półmroku, jaki okrywa uspięne sale balowe. Sala z przysadzistymi brunatnymi kolumnami i złożonymi lustrami byłaby stosowniejsza na ostatnie chwile tonącego liniowca niż na inaugurację jakiegokolwiek wielkiego przedsięwzięcia. Na suficie wyszczerzeni Rosjanie w proletariackich czapkach wygrażali pięściami Leninowi. Ich wigor siłą rzeczy kontrastował z ustawionymi wzdłuż ścian obdrapanymi zielonymi stelażami pełnymi kaset z Kubusiem Puchatkiem i skomputeryzowanym kursem angielskiego dla zaawansowanych, do opanowania w trzy godziny. Dźwiękoszczelne kabiny z workowego płótna wykonane na miejscu własnym przemysłem i pozbawione wielu reklamowych urządzeń, miały w sobie smętek leżaków na chłostanej deszczem plaży. Stoiska wystawców, stłoczone w cieniu galerii, wyglądały świętokradczo — jak kioski bukmacherów w świątyni.

Pomimo to jakieś targi się odbyły. Ludzie przyszli, jak to w Moskwie. Moskwičanie przychodzą, jeżeli tylko mają niezbędne dokumenty i pozycję wymaganą przez ubranych w skórzane kurtki pilnujących drzwi chłopców o nieustępliwych oczach. Przyszli z uprzejmości. Z ciekawości. Żeby pogadać z gośćmi z Zachodu. I dlatego, że odbywają się targi. A teraz, piątego i zarazem ostatniego wieczoru, rozkręcał się uroczysty pożegnalny cocktail dla wystawców i gości. Grupa drobnych płotek radzieckiej nomenklatury kulturalnej zebrała się pod żyrandolem, panie we fryzurach w kształcie ula i kwiecistych sukniach zaprojektowanych na smuklejsze figury, panowie

wyszczupleni przez połyskliwe garnitury francuskiego kroju, świadczące o dostępie do specjalnych sklepów. Tylko brytyjscy gospodarze w przygnębiających szarościach wszelkich odcieni pozostali wierni surowej socjalistycznej monotonii. Gwar rósł, oddział przybranych w fartuszki opiekunek roznosił obeschnięte kanapki z salami i ciepłe białe wino. Wyższy brytyjski dyplomata, choć nie był to sam ambasador, ścisnął dłonie co lepszych gości i zapewniał, że bardzo mu przyjemnie.

Jeden Niki Landau powstrzymywał się od wzięcia udziału w tej celebrze. Pochylony nad stolikiem w swoim stoisku sumował ostatnie zamówienia i zestawiał zyski z kosztami, gdyż maksymą Landaua było: nie ma zabawy, dopóki interesy dnia nie zostaną zapięte na ostatni guzik.

A kątem oka przez cały czas widział — w sumie tylko jako niepokojącą niebieską plamę — tę Rosjankę, którą z rozmysłem ignorował. Kłopot — myślał nie przerywając pracy. — Unikać.

Nastrój beztroskiej zabawy nie udzielił się Landauowi, choć z natury był człowiekiem towarzyskim. Po pierwsze, przez całe życie czuł awersję do brytyjskich urzędników, już od czasu kiedy jego ojca przymusowo odesłano do Polski. Co do Brytyjczyków w ogóle, jak mi później powiedział, nie dałby na nich powiedzieć złego słowa. Należał do nich przez adopcję i żywił trochę wymuszony respekt neofity. Ale ci lokaje z Ministerstwa Spraw Zagranicznych to inna sprawa. Im bardziej zadzierali nosa, im bardziej się na niego krzywili i uśmiechali, im wyżej unosili te swoje głupie brwi, tym bardziej ich nienawdził myśląc o tacie. Co innego, że zdany na własne siły nigdy by się nie znalazł na tych targach, tkwiłby w Brighton z milutką nową przyjaciółką imieniem Lidia w milutkim prywatnym hoteliku znanym z tego, że przyjmuje przyjaciółki.

— Lepiej oszczędzać siły na moskiewskie targi książki we wrześniu — doradzał Landau klientom w kwaterze głównej przy Zachodniej Obwodnicy. — No, wiesz. Bernard, Rusczy kochają książkę, ale się boją handlu audiosprzętem i nie są do niego przygotowani. Wystartujesz z targami książki, wyjdiesz na swoje. Wystartujesz z targami audiosprzętu, leżysz.

Ale klienci Landaua byli młodzi i bogaci i nie wierzyli w porażkę.

— Niki, staruszkule — powiedział Bernard zachodząc go od tyłu i kładąc mu rękę na ramieniu, czego Landau nie lubił. — W dzisiejszym świecie musimy wysoko dzierżyć sztandar. Jesteśmy patriotami, kapujesz, Niki, jak ty. Dlatego nas rzucono na głębokie wody. Przy głośności dzisiaj Związek Sowiecki to Mount Everest dla przemysłu nagraniowego. I ty nas wprowadzisz na szczyt, Niki. Bo jak nie ty, to znajdziemy kogo innego. Kogoś młodszego, Niki. Kogoś z siłą przebiccia i klasą.

Siłę przebiccia Landau jeszcze miał. Ale klasa, co pierwszy gotów był przyznać, klasa to przeszłość. Grał błazna i w tej roli czuł się dobrze. Polski kurdupeł, który prze do przodu, i jest z tego dumny. Stary bezczelny Niki,

koleś obsługujących Wschód agentów reklamy, który potrafi, jak się lubił chwalić, opylić świńskie zdjęcia gruzińskiemu klasztorowi, a Rumunowi, tysemu jak kula bilardowa, farbę do włosów. Landau, kurdupel-wyczynowiec w łóżku, sztukujący wysokimi obcasami swój słowiański wzrost, by dorównać angielskim podziwianym wymiarom, w szykownych garniturach krzyczących głośno „patrzcie i podziwiajcie!” Kiedy Niki rozstawia stragan, jak zapewniali bezimiennych gapiów jego towarzysze, wręcz słysząc ręczny dzwonek polskiego domokrądcy z wózkami.

I mały Landau też się śmiał i bawił razem z nimi.

— Chłopaki, jestem Polakiem, którego byście się brzydzyli dotknąć kijem — oświadczył z dumą zamawiając następną kolejkę. I to był jego sposób na to, żeby się bawili na jego koszt. Zamiast jego kosztem. Po czym najczęściej wyczarowywał z górnej kieszonki grzebień, pochylał się i przeglądając się w obrazku na ścianie, w czymkolwiek, co miało gładką powierzchnię, i gotując się do nowego podboju zaczytywał w górę zbyt czarne włosy i oburącz układał je w męski czub. — A cóż to za laleczka tam w kącie? — pytał koszmarnym zlepkiem żargonu polskiego getta i cockneyu z East Endu. — Hej, kochanie! Co to dziś taka samotna? — I w stosunku jedna na pięć, co według jego kalkulacji już było opłacalne, zaliczał, choć nigdy od pierwszego razu.

Ale tego wieczora Landau nie myślał o zaliczaniu czy bodaj próbach zaliczenia. Myślał o tym, że oto znowu tyrał przez cały tydzień za marny grosz albo, jak to bardziej obrazowo ujął w rozmowie ze mną, za kurewskiego całusa. I że dziś każde targi, książkowe, audiosprzętu czy jakiegokolwiek inne, kosztują go więcej, niż chciałby się do tego przyznać, tak samo jak każda kobieta. I że coraz mniej mu się opłacają. I że nie może się doczekać jutrzejszego powrotnego lotu do Londynu. I że jeżeli ta ruska cizia w błękitach nie przestanie mu się narzucać w chwili, kiedy usiłuje zamknąć rachunki, przybrać towarzyski uśmiech i dołączyć do świętującego tłumu, jak nic powie w jej własnym języku coś takiego, czego oboje będą żalowali do końca życia.

Że to Rosjanka, wiadomo było bez słów. Tylko Rosjanka mogła przyjść z dyndającą w ręku plastikową reklamówką — bo a nuż coś się trafi do kupienia (te sukcesy codziennego życia), choć na ogół były to siatki ze sznurka. Tylko Rosjanka mogła być na tyle wścibska, żeby stanąć tak blisko, że mogłaby sprawdzać jego rachunki. I tylko Rosjanka mogła, tytułem zagajenia, nim go zagadnęła, wydać jedno z tych pretensjonalnych chrząknięć, które Landauowi, jeśli robił to mężczyzna, zawsze przypominało ojca zawiązującego sznurowadła, a jeśli kobieta, Harry, łóżko.

— Przepraszam pana. Czy pan jest z Abercrombie-Blair? — spytała.

— To nie tu, kochanie — odpowiedział nie podnosząc głowy. Zagadnęła go po angielsku, więc i on odpowiedział po angielsku, jak zwykle.

— Pan Barley?

— Nie Barley, kochanie. Landau.

— Ale to stoisko pana Barleya?

— To nie jest stoisko Barleya. To moje. Abercrombie-Blair są obok. Wciąż nie podnosząc oczu machnął końcem ołówka w lewo, w stronę pustego stoiska za przepierzeniem, gdzie zielono-złota tabliczka ogłaszała starą firmę wydawniczą Abercrombie-Blair, Norfolk Street, Strand.

— Ale tam nie ma nikogo — zaprotestowała. — Wczoraj też nie było.

— Słusznie. Racja — warknął Landau tonem, który zniechęciłby każdego. Potem ostentacyjnie jeszcze niżej się pochylił nad rachunkami, czekając, aż ta niebieska plama się usunie. Było to niegrzeczne z jego strony, wiedział, a jej przedłużająca się obecność sprawiła, że się poczuł jeszcze bardziej niegrzeczny.

— Ale gdzie jest Scott Blair? Gdzie jest ten, którego nazywają Barley? Muszę z nim pomówić. To bardzo pilne.

Teraz już Landau wściekł się na nią.

— Pan Scott Blair — zaczął podrywając głowę i spoglądając jej prosto w twarz — szerzej znany przyjaciółom jako Barley, jest n.b.p., proszę pani. Co znaczy nieobecny bez przepustki. Jego firma wynajęła stoisko, owszem. A pan Scott Blair jest przewodniczącym, prezesem, naczelnym dyrektorem i, o ile wiem, dożywotnim dyktatorem tej firmy. Mimo to nie pojawił się w swoim stoisku... — Ale w tym momencie, spojrzawszy jej w oczy, zaczął tracić pewność siebie. — Kochanie, niech pani posłucha. Widzi pani, tak się składa, że próbuję zarobić tu na życie. Nie robię tego dla pana Barleya Scotta Blaira, choćbym go nie wiem jak lubił.

Urwał, a wybuch złości zastąpiła rycerska troska. Ta kobieta drżała. Nie tylko jej ręce trzymające brązową reklamówkę, ale i szyja, bo schludną niebieską sukienkę przybraną miała kołnierzykiem ze starej koronki i Landau zobaczył, że kołnierzyk dygocze tuż przy ciele, a ciało jest bielsze od koronki. Usta jej jednak i dolna szczeka wyrażały zacięte zdecydowanie i ten wyraz osadził go na miejscu.

— Pan musi być tak uprzejmy i mi pomóc, bardzo proszę — oświadczyła, jakby nie było innego wyboru.

Otóż Landau pochlebiał sobie, że zna kobiety. Była to jeszcze jedna z jego denerwujących przechwałek, ale miał do niej pewne podstawy. „Kobiety... kobiety to moje hobby, przedmiot badań całego życia i zżerająca mnie namiętność”, wyznał mi z tak głębokim przekonaniem, że zabrzmiało to jak masońskie zaklęcie. Nie potrafił już zliczyć, ile ich miał, ale z satysfakcją stwierdzał, że setki, a wśród nich ani jednej, która by miała powody żałować swego przeżycia. „Jasno stawiam sprawę i mądrze wybieram, Harry — upewnił mnie, poklepując nos palcem z jednej strony. — Żadnego tam podcinania żył, rozbitych małżeństw czy gorzkich słów”. Ile w tym było

prawdy, nikt nigdy łącznie ze mną się nie dowie, ale niewątpliwie ten sam instykt, jakim kierował się we flirtach, natychmiast pospieszył mu z pomocą, kiedy kształtował sąd o tej kobiecie.

Była serio. Inteligentna. Zdecydowana. Wystraszona, mimo że w jej ciemnych oczach tliło się poczucie humoru. I miała tę rzadką cechę, którą Landau na swój kwiecisty sposób nazywał klasą, czymś, czym może obdarzyć tylko natura. Innymi słowy, była w niej zarówno klasa, jak siła. Ponieważ jednak w krytycznych momentach nie myśli się logicznie, ale raczej ulega fali intuicji i doświadczenia, wszystko od razu wyczuł i wziął pod uwagę, zanim znów do niego przemówiła.

— Jeden z moich sowieckich przyjaciół stworzył oryginalne dzieło literackie wielkiej miary — powiedziała głęboko zaczerpnąwszy powietrza. — To powieść. Jej przesłanie jest ważne dla całej ludzkości.

Straciła wątek.

— Powieść — podchwycił Landau. Po czym, z przyczyn, których potem w żaden sposób nie umiał sobie wytłumaczyć, spytał: — A jaki ma tytuł, kochanie?

Jej siła, doszedł do wniosku, nie wynika ani z brawury, ani z szaleństwa, lecz z przekonania.

— Więc jakie jest jej przesłanie, jeśli nie ma tytułu?

— Głosi wyższość czynów nad słowami. Odrzuca stopniowość pierest-rojki. Żąda czynów i odrzuca wszelkie kosmetyczne zmiany.

— Pięknie — powiedział Landau pod wrażeniem jej tonu.

Mówiła tak jak moja matka, Harry: z uniesionym podbródkiem i patrząc prosto w oczy.

— Pomimo głośności i pseudoliberalizmu nowych czasów książka mojego znajomego nie może jeszcze być wydana w Związku Radzieckim — ciągnęła. — Pan Scott Blair zgodził się ją wydać anonimowo.

— Proszę pani — powiedział uprzejmie Landau, zbliżywszy teraz twarz do jej twarzy. — Proszę mi wierzyć, jeśli książka pani znajomego zostanie wydana przez słynne wydawnictwo Abercrombie-Blair, może pani być pewna całkowitej dyskrecji.

Powiedział to po trosze żartobliwie, od czego nie mógł się powstrzymać, a po trosze dlatego, że instykt kazał mu wprowadzić lżejszy ton do tej rozmowy, żeby tak nie przyciągała uwagi kogoś, kto by jej ewentualnie słuchał. A kobieta, niezależnie od tego, czy zrozumiała żart, czy nie, też się uśmiechnęła szybkim, ciepłym uśmiechem dodającym jej odwagi, uśmiechem, który był jak przewyciężenie obaw.

— Wobec tego, jeżeli kocha pan pokój, panie Landau, proszę zabrać ten rękopis do Anglii i niezwłocznie przekazać go panu Scottowi Blairowi. Tylko panu Scottowi Blairowi. W zaufaniu.

To, co nastąpiło teraz, odbyło się szybko jak uliczna transakcja między

chętnym sprzedawcą i chętnym nabywcą. Landau przede wszystkim spojrzał za nią, ponad jej ramieniem. Zrobił to zarówno dla swojego, jak i jej bezpieczeństwa. Wiedział z doświadczenia, że jeśli Ruscy szykują komu jakiś paskudny numer, zawsze mają w pobliżu świadków. Ale w tej części sali nie było nikogo, przestrzeń pod galerią, zastawiona stoiskami, była ciemna, a towarzystwo pośrodku sali rozjazgotało się na dobre. Trzech młodzieńców w skórzanych kurtkach u frontowych drzwi tępo rozmawiało ze sobą.

Dokonawszy lustracji, odczytał plastikową plakietkę na piersiach kobiety, co by normalnie zrobił wcześniej, gdyby jego uwagi nie odwróciły jej ciemnobrązowe oczy. „Jekaterina Orłowa”, przeczytał. A pod spodem słowo „Październik” po angielsku i po rosyjsku, nazwa jednego z mniejszych państwowych wydawnictw w Moskwie, specjalizującego się w przekładach sowieckich książek na eksport, głównie do krajów socjalistycznych, co jak się obawiam, skazywało je na pewną drugorzędność.

Następnie jej powiedział, co ma zrobić, a może już mówił odczytując plakietkę. Landau był dzieckiem ulicy, na wszystko miał swój sposób. Ta kobieta może i była dzielna jak sześć lwic, i chyba była, sądząc po jej minie. Ale żadna z niej konspiratorka. Toteż bez zastanowienia wziął ją pod opiekę. I robiąc to przemówił do niej, jakby przemawiał do każdej kobiety potrzebującej praktycznej rady, na przykład jak znaleźć jego pokój w hotelu albo co powiedzieć mężusiowi. kiedy wróci do domu.

— Ma ją pani przy sobie, kochanie? — spytał, zerkając na jej reklamówkę i uśmiechając się po przyjacielsku.

— Tak.

— W torbie, co?

— Tak.

— To niech mi pani zwyczajnie poda torbę — powiedział Landau, zagadując ją tymczasem. — Tak się to robi. A teraz przyjacielskiego rosyjskiego całusa. Z gatunku oficjalnych. Pięknie. Przyniosła pani zwyczajowy pożegnalny podarunek w ostatni wieczór targów, tak. Coś, co scementuje stosunki anglo-sowieckie, a mnie narazi na nadwagę w samolocie do domu, chyba że to wyrzucę do kosza na lotnisku. Całkiem normalna transakcja. Dostałem dzisiaj już chyba z pół tuzina takich prezentów.

Część tej przemowy wygłosił przykucnięty, odwrócony do niej tyłem. Przekładał bowiem właśnie zręcznie paczkę w szarym papierze z torby do swojej teczki, typu portfolio, z przegródkami otwierającymi się jak wachlarz.

— Jest pani mężatką, Katia?

Bez odpowiedzi. Może nie dosłyszała. Albo przyglądała mu się ze zbytnim przejęciem.

— Więc to pani mąż napisał łąj "powieść? — pytał Landau, nie zniechęcony jej milczeniem.

— To dla pana niebezpieczne — wyszeptła. — Trzeba wierzyć w to, co się robi. Wtedy wszystko jest jasne.

Jakby w ogóle nie słyszał tego ostrzeżenia, Landau wybrał ze sterty egzemplarzy przeznaczonych do rozdania tego wieczora zestaw czterech, wykonanych na specjalne zamówienie przez Royal Shakespeare Company kaset z nagraniem „Snu nocy letniej”, ostentacyjnie położył go na stole, zadedykował jej na plastikowej obwolucie pisakiem: „Katii — Nik. Pokój”. I dodał datę. Potem ceremonialnie włożył paczkę z kasetami do reklamówki i wcisnął jej do ręki, bo uciekało z niej życie i zląkł się, że się załamie i przestanie funkcjonować. Dopiero wtedy, w geście pociechy, której chyba potrzebowała, przytrzymał jej dłoń, zimną, jak mi powiedział, ale miłą.

— Wszyscy, kochanie, musimy od czasu do czasu ryzykować — rzucił lekko. — Pójdziemy trochę pobrylować w towarzystwie, zgoda?

— Nie.

— A nie wybierzemy się gdzieś na kolację?

— To niewygodne.

— Chce pani, żebym panią odprowadził do drzwi?

— Wszystko jedno.

— Chyba musimy się uśmiechać, kochanie — powiedział, wciąż po angielsku, prowadząc ją przez salę i zabawiając rozmową jak dobry sprzedawca, którym się stał z powrotem.

Kiedy znaleźli się na wspaniałym podeście, uściśnął jej dłoń.

— No, to do widzenia na targach książki, co? We wrześniu. I dziękuję, że mnie pani ostrzegła. Będę pamiętał. Ale najważniejsze, że zawarliśmy umowę. To zawsze miłe. Prawda?

Ujęła jego dłoń i chyba zaczerpnęła z niej odwagi, bo znów się uśmiechnęła i ten uśmiech był rozłargniony, ale pełen wdzięczności i nieodparcie ciepły.

— To wspaniały gest ze strony mojego znajomego — wyjaśniła od suwając niesforny kosmyk włosów. — Niech pan to koniecznie da do zrozumienia panu Barleyowi.

— Powiem mu. Proszę się nie martwić — zawadiacko przyrzekł Landau.

Chciałby, żeby się uśmiechnęła jeszcze raz, do niego, ale przestała się nim interesować. Grzebała w torebce w poszukiwaniu wizytówki, o której, jak wiedział, do tej pory nie pamiętała. „ORŁOWA, Jekaterina Borisowna”, głosiła wizytówka po jednej stronie cyrylicą, po drugiej alfabetem łacińskim, znów w obu wersjach z dodatkiem nazwy „Październik”. Wręczyła mu wizytówkę i sztywno ruszyła w dół po pompatycznych schodach, z głową uniesioną w górę i jedną ręką na szerokiej marmurowej balustradzie, z reklamówką dyndającą w drugiej. Młodzieńcy w skórzanych kurtkach przyglądali się jej przez całą drogę w dół, aż do hallu. A Landau, wtykając wizytówkę do górnej kieszonki razem z innymi, zebranymi przez ostatnie dwie

godziny, zobaczył, że się na nią gapią, i mrugnął do chłopaków. Po odpowiednim zastanowieniu odmrugnęli, jako że czasy były nowe, nastąpiła epoka głośności, i nawet cudzoziemiec mógł w nich bezkarnie rozpoznawać to, czym byli: dwóch pocziwych rosyjskich tajniaków.

Przez pozostałe pięćdziesiąt minut Landau całym sercem oddawał się zabawie. Śpiewał i tańczył dla ponurej szkockiej bibliotekarki w perłach. Opowiedział cięty polityczny dowcip o pani Thatcher parze białych słuchaczy w Wszechsajuznowo Agenstwa po Awtorskim Prawam, aż wybuchli dzikim śmiechem. Podkadził trzem damom z wydawnictwa „Postęp” i po paru wypadach do swojej teczki obdarował je pamiątkami, gdyż Landau z natury lubił dawać oraz pamiętał nazwiska i obietnice, tak jak pamiętał wiele innych rzeczy z prostotą niczym nie obciążonej pamięci. Ale przez cały czas dyskretnie trzymał teczkę na oku i, nim goście wyszli, podczas pożegnań, trzymał ją mocno w wolnej ręce. A kiedy wsiadł do specjalnego autokaru, czekającego, by odwieźć do hotelu przedstawicieli firm, położył sobie teczkę na kolanach i przyłączył się do dźwięcznego chórkę ryczącego piosenki rugbystów, któremu jak zwykle przewodził Spikey Morgan.

— Chłopaki, są wśród nas panie — ostrzegwał Landau i wstając uciszał ich w momentach, które uznał za zbyt frywolne. Ale nawet udając wielkiego dyrygenta nie wypuszczał teczki z rąk.

U wejścia do hotelu zwykle stadko sutenerów, handlarzy narkotyków i cinkciarzy razem z opiekunami z KGB przyglądało się wejściu ich grupy. Ale w ich zachowaniu Landau nie zauważył nic takiego, co by go zaniepokoiło, żadnej nadszajności czy też zbytńiego braku zainteresowania. Stary inwalida wojenny, który pilnował wejścia do wind, jak zwykle zażądał hotelowej przepustki, ale kiedy Landau, który już wcześniej go obdarował setką marlboro, spytał z wyrzutem po rosyjsku, dlaczego dziś nie wyszedł pofliirtować z przyjaciółką, wybuchnął zgrzytliwym śmiechem i po koleżeńsku trzepnął go w ramię.

— Wiesz co, Harry, pomyślałem sobie, że jak chcą mnie wrobić, to lepiej niech się pospieszą, bo ślad się zatrze — powiedział mi, trzymając raczej stronę przeciwnika niż własną. — Jak kogoś łapiesz, Harry, musisz wchodzić szybko, zanim się ofiara pozbędzie trefnego towaru — wyjaśnił, jak gdyby całe życie kogoś łapał.

— No, to w barze „National” o dziewiątej — przypomniał mu zmęczonym głosem Spikey Morgan, kiedy się wyładowali z windy na czwartym piętrze.

— Może tak, może nie, Spikey — powiedział Landau. — Nie jestem w formie, mówiąc prawdę.

— Dzięki Bogu — mruknął Spikey ziewając i poczłapał w ciemny korytarz odprowadzany złym spojrzeniem etażowej, tkwiącej w swojej budce.

Pod drzwiami pokoju Landau zebrał siły, nim włożył klucz do dziurki.

Teraz to zrobią — pomyślał. Tu i teraz jest najlepszy moment, żeby na mnie i na tym rękopisie położyć łapy.

Ale kiedy wszedł, pokój był pusty i nie rozbebeszony i poczuł się głupio. Jeszcze żyję, pomyślał i położył teczkę na łóżku.

Potem zaciągnął kuse zasłony najszczelniej, jak się dało, czyli do połowy, wywiesił za drzwi bezużyteczną tabliczkę „Proszę nie przeszkadzać” i zamknął je na klucz. Opróżnił kieszenie garnituru, łącznie z kieszenią, w której trzymał wizytówki handlowców, zdjął marynarkę i krawat, metalowe bransolety, a na koniec koszulę. Wyjął z lodówki cytrynowkę, nalał sobie pół cala i pociągnął łyżeczkę. Właściwie nie pił, jak mi wyjaśnił, ale w Moskwie lubił kończyć dzień kieliszkiem cytrynowki. Odniósł kieliszek do łazienki i stojąc dobre dziesięć minut przed lustrem z troską oglądał odrosty włosów szukając śladów siwizny i muskając zagrożone miejsca nowym specyfikiem, który sprawiał cuda. Dokonałszy zadawalająco tych zabiegów, zawinał na głowie wymyślny gumowy turban podobny do kąpielowego czepka i wziął prysznic, śpiewając całkiem niezłe „Wzorowy ze mnie generał”. Potem wytarł się energicznie dla pobudzenia mięśni, wskoczył w szlafrok w jaskrawe kwiaty i wciąż śpiewając pomaszerował z powrotem do sypialni.

Cały ten program wykonał trochę dlatego, że zawsze to robił i potrzebował uspokajającej rutyny codziennych czynności, a trochę z dumy, że chociaż raz machnął ręką na wszystkie ostrożności zamiast znaleźć tuzin powodów, żeby nic nie robić, jak mógłby postąpić w tych czasach.

Była damą, bała się i potrzebowała pomocy, Harry. Czy Niki Landau odmówił kiedy damie? A jeśli się co do niej pomylił i wyszedł na żałosnego durnia, to z powodzeniem może pakować szczotkę do zębów i meldować się u frontowych drzwi Łubianki na pięcioletnie obowiązkowe studia ich wspaniałych graffiti. Bo wolał dwadzieścia razy dać się wystrychnąć na dudka, niż bez powodu odprawić z kwitkiem tę kobietę. Mówiąc to, aczkolwiek tylko w duchu, gdyż zawsze był ostrożny ze względu na ewentualne mikrofony, Landau wyciągnął z teczki jej paczkę i z pewnym zażenowaniem wziął się do rozwiązywania sznurka, nie przecinając go, tak jak go nauczyła świętej pamięci matka, której zdjęcie w tej chwili wiernie spoczywało w jego portfelu. Łączy je ten sam żar, pomyślał, dostrzegając to teraz z przyjemnością i cierpliwie rozsuplując sznurek. To sprawa słowiańskiej skóry. To te słowiańskie oczy, ten uśmiech. Dwie miłe Słowianki. Jedno, co je różni, to to, że Katia nie skończyła w Treblince.

Supel nareszcie puścił. Landau zwinął sznurek i odłożył go na łóżko. Widzisz, kochanie, muszę wiedzieć, tłumaczył w myśli tej Jekaterinie Bori-sownie. Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy, nie jestem wścibski, ale jeżeli mam wyminąć rafy moskiewskiej komory celnej, lepiej, żeby wiedział, co szwarcuję, zawsze to pomaga.

Ostrożnie, żeby go nie podrzec, Landau oburącz odwinął szary papier.

Nie widział siebie w roli bohatera albo przynajmniej jeszcze nie. To, co było niebezpieczne dla pięknej moskwiczanki, mogło nie być niebezpieczne dla niego. Nie chował się w ciepłarni, to prawda, Londyński East End nie był bynajmniej kurortem dla dziesięcioletniego polskiego imigranta i Landaua nie ominęło wybijanie zębów, rozkwazanie nosa, rozbite knykcie ani głód. Ale gdybyś go zapytał teraz czy kiedykolwiek w czasie ostatnich trzydziestu lat o jego definicję bohatera, bez chwili namysłu by odpowiedział, że bohaterem jest ten, kto pierwszy pryśnie kuchennymi drzwiami, jak tylko zaczną werbować ochotników.

To jedno wiedział spoglądając na zawartość paczki: że jest napalony. A dlaczego, mógł dojść dopiero później, kiedy już nic lepszego mu nie zostanie do zrobienia. W każdym razie jeśli tego wieczora trzeba było zrobić coś ryzykownego, nikt poza nim lepiej się do tego nie nadawał. Bo kiedy Niki jest napalony, Harry, nie ma sobie równego, co ci potwierdzi każda z dziewczyn.

Pierwsze, co zobaczył, to koperta. A pod nią trzy zeszyty; zauważył, że koperta i zeszyty ściągnięte są szeroką gumką z tych, jakie zawsze zbierał, mimo że nigdy nie znalazł dla nich zastosowania. Ale jego uwagę przyciągnęła koperta, gdyż na niej zobaczył jej pismo. Proste szkolne pismo potwierdzające jej czysty obraz. Jedna prostokątna brunatna koperta, zalepiona raczej nieporządnie i zaadresowana: „Do rąk własnych pana Bartholomew Scotta Blaira, pilne”.

Wysunąwszy ją spod gumki, Landau obejrzał kopertę pod światło, ale była nieprzezroczysta i nic nie dojrzał. Zbadał ją palcami. W środku jedna cienka kartka papieru, najwyżej dwie. „Pan Blair podjął się ją wydać anonimowo— przypomniał sobie — jeśli pan kocha pokój... proszę to natychmiast oddać panu Scottowi Blairowi. Tylko panu Scottowi Blairowi... w zaufaniu”.

I mnie ufa, pomyślał. Odwrócił kopertę. Z tyłu była czysta.

Ponieważ nie znalazł nic poza tym, czego można się dowiedzieć z zalepionej brunatnej koperty, i ponieważ zasady mu nie pozwalały na przekroczenie pewnej granicy, jaką jest czytanie prywatnej korespondencji Barleya czy kogokolwiek innego, znowu otworzył teczkę i zajrzawszy do przegródki z papierem listowym, wyłowił z niej własną czystą brunatną kopertę z gustownym nadrukiem na kłapie „Biuurko pana Nicholasa P. Landaua”. Wsunął tamtą kopertę do swojej i zalepił. Potem nabazgrał na niej „Barley” i włożył do przegródki z napisem „sprawy towarzyskie”, zawierającej takie różności, jak wciśnięte mu przez nieznanomych wizytówki i notatki dotyczące rozmaitych próśb, jakie podjął się załatwić: pewnej damie z wydawnictwa, która potrzebowała wkładów do parkera, urzędnikowi Ministerstwa Kultury, który zapragnął dla siostrzeńca koszulki ze Snoopym czy pani z „Października”, która przypadkiem przechodziła obok, kiedy zwijał stoisko.

Landau zrobił to dlatego, że przy swym złodziejskim sprycie, instyktow-

nym, zupełnie nie wyuczonym, wiedział, że pierwsza sprawa to trzymać tę kopertę jak najdalej od zeszytów. Gdyby zeszyty były trefne, nie chciał, aby cokolwiek je łączyło z listem. I vice versa. I w tym miał całkowitą rację. Najwszechstronniejsi i najbardziej wykształceni nasi instruktorzy, obznajmieni z całym folklorem naszych służb, nic, ale to nic innego nie mogliby mu doradzić.

Dopiero wtedy wziął te trzy zeszyty i zsunął z nich gumkę, przez cały czas jednym uchem ..asłuchując kroków na korytarzu. Trzy niechlujne rosyjskie zeszyty, zauważył biorąc ten z wierzchu i obracając go powoli w rękę. Oprawny w prymitywnie zadrukowany karton, grzbiet z wystrzępionej szmaty. Dwieście dwadzieścia cztery kartki kiepskiej jakości, blade poliniowane arkuszy quart, jeśli dobrze pamięta z czasów, kiedy sprzedawał wyroby papiernicze, cena w Sowietach około dwudziestu kopiejek w detalu w każdym sklepie papierniczym, zawsze pod warunkiem, że dowieźli i że człowiek stanął w odpowiedniej kolejce odpowiedniego dnia.

Wreszcie otworzył zeszyt i spojrzął na pierwszą stronę.

Zwariowała, pomyślał, opanowując niesmak.

Wpadła w łapy jakiegoś czubka. Biedactwo.

Bezsensowne bazgrały szaleńca wykonane kreślarskim piórkiem, tuszem, z zawrotną szybkością i w zwariowanych kierunkach. Na marginesach, w poprzek, wzdłuż. Krzyżujące się, jakby je pisał lekarz z zamkniętymi oczami. Przyprawione idiotycznymi wykrzyknikami i podkreśleniami. Część cyrylicą, część po angielsku. „Stwórca tworzy twórców — odczytał po angielsku. — Być. Nie być. Być przeciw”. I zaraz wybuch głupiej francuszczyzny o wojnie głupoty i głupocie wojny, a dalej płatanina kolczastego drutu. Dziękuję bardzo, pomyślał i odwrócił kartkę, i następną, obie tak gęsto zapisane zwariowanym pismem, że ledwie widać było papier. „Spędziwszy siedemdziesiąt lat na niszczeniu woli ludu, nie możemy oczekiwać, że ta wola nagle się zbudzi i zbawi nas”, przeczytał. Cytat? Nocna myśl? Trudno powiedzieć. Odsyłacze do pisarzy rosyjskich, łacińskich i europejskich. Gadanie o Nietzschem, Kafce i ludziach, o których nigdy nie słyszał i których nie czytał na pewno. Więcej o wojnie, teraz po angielsku: „Starzy ją wypowiadają, młodzi na niej walczą, ale dziś walczą też niemowlęta i starcy”. Odwrócił następną stronę i zobaczył tylko okrągłą brunatną plamę. Podniósł zeszyt do nosa i powąchał. Wóda, pomyślał z pogardą. Śmierdzi jak browar. Nic dziwnego, że to kumpel Barleya Blaira. Dwie strony poświęcone histerycznym proklamacjom:

**NAJWIĘKSZY NASZ POSTĘP DOKONAŁ SIĘ NA PROGU ZACOFANIA!
PARALIŻ SOWIECKI TO NAJBARDZIEJ POSTĘPOWY PARALIŻ NA
ŚWIECIE!**

NAJWIĘKSZĄ NASZĄ TAJEMNICĄ WOJSKOWĄ JEST WŁASNE ZACOFANIE!

JEŚLI NIE ZNAMY WŁASNYCH ZAMIARÓW I WŁASNYCH MOŻLIWOŚCI, JAK MOŻEMY ZNAĆ WASZE?

PRAWDZIWY WRÓG TO NASZ WŁASNY BRAK KOMPETENCJI! A na następnej stronie wiersz mozolnie przepisany Bóg wie skąd:

Napręża się, rozpręża się, I dalej
człowiek figę wie, Czy wąż, co tu
zostawił ślad, Łazi na południe
czy wspak.

Dźwignąwszy się na nogi, Landau ze złością podszedł do okna wychodzącego na ponure podwórze pełne nie uprzątniętych śmieci.

— Któryś z tych zatraconych artystów światowej miary, Harry. Oto, kim jest, pomyślałem. Jakiś długowłosey, naćpany, zakochany w sobie geniusz, a dziewczyna poświęca się dla niego, jak one wszystkie.

Miała szczęście, że nie istnieje nic takiego jak moskiewska książka telefoniczna, bo byłby zaraz do niej zadzwonił i powiedział jej, co to za ptaszek.

Aby podsycić gniew, wziął drugi zeszyt, poślinił palec, pogardliwie Rzekartkował go strona po stronie i w ten sposób natrafił na rysunki. To go na chwilę zamroczyło jak błysk pustego ekranu w środku filmu. Kłął sam siebie, że się okazał głupim, popędliwym Słowianinem, zamiast się zachować jak chłodny i opanowany Anglik. Potem z powrotem usiadł na łóżku, ale ostrożnie, jak gdyby ktoś na tym łóżku leżał, ktoś, kogo uraził przedwczesnym potępieniem.

Jeśli bowiem Landau pogardzał tym, co nazbyt często uchodzi za literaturę, bezgraniczną rozkosz sprawiała mu sprawy techniczne. Nawet jeśli nie pojmował tego, na co patrzył, cały dzień mógł się rozkoszować stroną dobrej matematyki. A tu na pierwszy rzut oka widział, tak jak w przypadku Katii, że to, na co patrzy, ma klasę. Nie były to żadne wasze wykresy, to prawda. Swobodne szkice, ale tym lepiej. Zrobione od ręki, bez przyborów kreślarskich, przez kogoś, kto myśli ołówkiem. Tangensy, parabole, stożki. A wśród rysunków rzeczowe opisy stosowane przez architektów i inżynierów, słowa jak „wizowanie”, „nośna zabezpieczona”, „przedpięcie”, siła ciężenia i trajektoria, niektóre w waszym angielskim, Harry, inne w waszym rosyjskim.

Tylko że Harry nie. jest moim prawdziwym imieniem.

Lecz kiedy wziął się do porównywania starannego charakteru pisma z drugiego zeszytu ze spletaną bazgraniną pierwszego, odkrył ku swemu zdumieniu niewątpliwe podobieństwo. Odniosł wrażenie, że ogląda dziennik schizofrenika, w którym jeden tom napisał dr Jekyll, drugi pan Hyde.

Zajrzał do trzeciego zeszytu, który był równie porządnym i rzeczowym jak drugi, ale skomponowany jak tablice matematyczne, z datami, liczbami i wzorami i powtarzającym się często słowem „Błąd”, nierzadko podkreślonym lub wzmocnionym wykrzyknikiem. Nagle Landau wytrzeszczył oczy i nie mógł oderwać wzroku od tego, co przeczytał. Bezpiecznie niezrozumiała otoczka technicznego żargonu pękła nagle z hukiem. Skończyły się też filozoficzne dywagacje autora i upstrzone notatkami rysunki. Słowa wyzierały ze strony z oślepiającą jasnością.

„Stratedzy amerykańscy niech śpią spokojnie. Ich koszmary się nie ziszczą. Sowiecki rycerz kona wewnątrz swojej zbroi. Jest drugorzędną siłą jak wy, Brytyjczycy. Może rozpocząć wojnę, ale nie jest w stanie jej prowadzić ani tym bardziej wygrać. Wierzcie mi”.

Landau nie czytał już dalej. Respekt w połączeniu z silnym instynktem samozachowawczym podpowiedział mu, że dalej już tego grobowca nie należy naruszać. Wziął gumkę i z trzaskiem ściągnął nią wszystkie trzy zeszyty. Dosyć, pomyślał. Od tej chwili pilnuję własnego nosa i robię, co do mnie należy. Czyli zabieram ten rękopis do przybranej matki Anglii i natychmiast go oddaję panu Bartholomew alias Barleyowi Scottowi Blairowi.

Barley Blair, myślał ze zdumieniem otwierając szafę i wytaszczyając z niej wielką aluminiową walizę, w której trzymał próbki. No, no. Zawsześmy się zastanawiali, czy nie hodujemy na własnym łonie jakiegoś szpicla, ale teraz wiemy.

Był całkowicie spokojny, zapewnił mnie. Anglik raz jeszcze wziął górę nad Polakiem. Powiedziałem sobie tak, Harry: „Jeżeli Barley mógł to zrobić, i ja mogę”. I to samo powiedziałem, kiedy na krótko wybrał mnie na spowiednika. Czasem mi się to zdarza z różnymi ludźmi. Wyczuwają we mnie nie zrealizowaną część mojej osobowości i przemawiają do niej tak, jakby była prawdziwa.

Dźwignąwszy walizę na łóżko, otworzył zamki i wy dobył dwa zestawy audiowizualne, które sowieccy urzędnicy kazali mu zdjąć ze stoiska: obrazkową historię dwudziestego wieku z nagraniem komentarzem, którą arbitralnie uznali za antysowiecką, podręcznik anatomii człowieka, z filmami pokazującymi organizm w akcji, i kasetę z ćwiczeniami służącymi podtrzymywaniu formy, którą, przyjrawszy się łakomym okiem gibkiej młodej boginicy w trykocie, uznali za pornograficzną.

Zestaw historyczny było to lśniące cacko w kształcie skrzynki, zawierające mnóstwo wnęk na kasety, towarzyszące im teksty, całe kartoteki fiszek i notatki słuchacza. Wyrzuciwszy zawartość z wnęk, Landau do każdej po kolei przymierzył zeszyty, ale się okazało, że są za duże. Postanowił z dwóch wnęk zrobić jedną. Z torby na przybory toaletowe wyjął nożyczki do paznokci i zabrał się do dzieła, panując nad rękami i wyważając haczyki ze środkowej ścianki.

Barley Blair, pomyślał znów, wsuwając w głąb ostrze nożyczek. Powinienem się był domyślić, choćby dlatego, że sam tym szpiclem na pewno być nie mogłem. Pan Bartholomew Scott Blair, ostatni spadkobierca firmy Abercrom-bie-Blair — szpiclem. Pierwszy haczyk puścił. Wydobył go ostrożnie. Barley Blair, który by nie potrafił, jak się przyjęło mówić, do trzech zliczyć, choćby od tego zależało życie jego matki — szpiclem. Zaczął podważać drugi haczyk. Barley Blair, którego głównym tytułem do sławy było to, że dwa lata temu na belgradzkich targach książki pobił Spikeya Morgana w picu wódki, po czym odegrał na saksofonie partię tenorową tak pięknie, że nawet policjanci bili brawo. Szpicel. Szpicel dżentelmen. Czarny Piotruś.

Landau wziął zeszyty i przymierzył je do przygotowanej wnęki, ale wciąż była za mała. Będzie musiał zrobić z trzech przegródek jedną.

Udawał pijaczka, Landau wciąż myślał o Barleyu. Udawał błazna, a to z nas robił błaznów. Szatałeś resztką rodzinnego majątku, rujnowałeś starą firmę do reszty. O, tak. Tylko że zawsze ci się udawało jakimś psim śwędem namówić któryś z tych chytrych banków w City, żeby za ciebie poręczył, co? I co wobec tego z tą twoją grą w szachy? Właśnie szachy powinny dać mu do myślenia, gdyby tylko Landau miał oczy! Jak może w trupa pijany facet ogrywać każdego, kto się z nim zmierzy, uczciwie rozgrywając każdą partię, no, powiedz, Harry, jeżeli nie jest wyszkolonym agentem wywiadu?

Z trzech wnęk powstała jedna, zeszyty jakoś się zmieściły, a plakietka nad nimi wciąż głośiła „Notatki słuchacza”.

Notatki — tłumaczył w myśli Landau wścibskiemu młodemu celnikowi z lotniska Szeremietjowo. — Notatki, widzisz, synku, co tu jest napisane. Notatki słuchacza. Dlatego tu jest miejsce na notatki. A to, co trzymasz w ręku, to notatki z jakiegoś konkretnego kursu. Rozumiesz, synku, dlatego tu są. To są pokazowe notatki. A te tutaj rysunki odnoszą się do...

Z tabelami socjoekonomicznymi, synu. Z wykresami ruchów demograficznych. Statystyką ludności, której przecież wy, Ruscy, nigdy nie macie dosyć. O tu, widzisz? To się nazywa zbiór tekstów.

Co może albo i nie może uratować mu życia, zależnie od tego, jak bystry jest ten chłopak i ile wie, i jak mu się dziś układa z żoną.

Ale ten zestaw na nic mu się nie zda, jeśli idzie o całą długą noc, jaka go czeka, i najście o świcie, kiedy wywalą kopniakami drzwi, rzucą się na niego z bronią w ręku i z wrzaskiem: „No, Landau, dawaj zeszyty!” Zeszyty? Ach, mówicie o tych śmieciach, które mi wcisnęła wczoraj na targach jakaś pomyłona rosyjska piękność! Chyba je znajdziecie w koszu, jeżeli pokojówka raz w życiu go nie opróżniła”.

A więc i na tę okoliczność Landau skrupulatnie przygotował scenę. Wyjąwszy zeszyty z wnęki na zestaw historyczny, artystycznie je ułożył w koszu na śmieci, tak jakby je tam cisnął w napadzie furii, w jaką wpadł na sam ich widok. Razem z nimi wytrząsnął do kosza zbędne prospekty i broszu-

ry, jak również parę na nic nie przydatnych prezentów, które dostał na pożegnanie: cieniutki tomik jeszcze jednego rosyjskiego poety i suszkę oprawną w blachę. Dla wykończenia sceny dodał parę nie cerowanych skarpet, które mógł wyrzucić tylko bogaty facet z Zachodu.

Raz jeszcze musiałem podziwiać, jak potem my wszyscy, wrodzoną pomysłowość Landaua.

Landau nie wyszedł tego wieczora, żeby się zabawić. Zniósł zwykły domowy areszt moskiewskiego hotelowego pokoju. Przyglądał się przez okno, jak długi zmierzch przechodzi w noc i opieszale zapalają się przymgłone światła miasta. Zrobił sobie herbatę w podróżnym czajniczku i zjadł parę owocowych batonów z żelaznego zapasu. Rozmyślał z wdzięcznością o najbardziej satysfakcjonującym ze swych podbojów. Z uśmiechem politowania myślał o innych. Przygotowywał się na ból i samotność i przywoływał na pomoc trudne dzieciństwo. Przejrzał zawartość portfela, teczki i kieszeni i wyjął wszystko, co miało dla niego szczególnie osobistą wartość i o co nie chciał być wypytywany nad nagim stołem: pieprzny list od pewnej przyjaciółki, który nadal potrafił rozbudzać jego apetyty, kartę członkowską korespondencyjnego klubu wideo, do którego należał. W pierwszym odruchu chciał je spalić „jak w filmach”, ale go powstrzymał widok czujek przeciwpożarowych na suficie, choć założyłby się o każdą sumę, że nie działają.

Znalazł więc papierową torbę, podał wszystko w strzępy, włożył do torby, a torbę wyrzucił przez okno i upewnił się, że dołączyła do śmieci na podwórku. Potem wyciągnął się na łóżku i patrzył, jak mija noc. Chwilami czuł się odważny, chwilami był taki wystraszony, że musiał wbijać paznokcie w dłoń, żeby się nie rozkleić. Raz włączył telewizję z nadzieją, że trafi na popisy gimnastyczek, co uwielbiał. Zamiast tego jednak trafił na samego Imperatora po raz enty opowiadającego oczarowanym słuchaczom, że stary porządek był nagi. A kiedy co najmniej podpity Spikey Morgan zadzwonił z baru „National”, Landau tak długo trzymał go na linii dla towarzystwa, aż stary Spikey usnął.

Tylko raz, w chwili największego upadku ducha, przemknęło mu przez myśl, żeby się stawić w ambasadzie brytyjskiej i szukać pomocy w poczcie dyplomatycznej. Rozgniewała go ta chwila słabości. Prosić tych fagasów? — zastanowił się z pogardą. — Tych, co odesłali tatę do Polski? Nie powierzyłbym im pocztówki z wieżą Eiffla, Harry.

Zresztą nie o to go prosiła.

Rano ubrał się na własną egzekucję w najlepsze ubranie i wsunął za koszulę zdjęcie matki.

I wciąż tak widzę Nikiego Landaua, ilekroć zajrzę do jego dossier albo go spotkam podczas jego copółrocznych „spowiedzi”, jak my to nazywamy, kiedy tak bardzo lubi przywoływać do życia swą godzinę chwały, zanim podpisze następne oświadczenie o obowiązku zachowania tajemnicy

państwowej. Widzę go, jak zawadiacko wychodzi na moskiewską ulicę z metalową walizką w ręku, nie mając zielonego pojęcia, co w niej jest, a mimo to zdecydowany nadstawić za to swego dzielnego kruchego karku.

A jak on mnie widzi, jeżeli w ogóle kiedykolwiek o mnie myśli, nie śmiem dociekać. Hanna, którą kochałem, ale zawiodłem, nie miała by co do tego żadnych wątpliwości: „Jak jeszcze jednego z tych Anglików z nadzieją w oczach, choć z pustką w środku” — powiedziałyby, zarumieniona z gniewu. Boję się bowiem, że dzisiaj mówi wszystko, co jej ślina przyniesie na język. Straciła wiele z dawnej powściągliwości.

2

Cały Whitehall był zgodny co do tego, że nic już nigdy nie powinno mieć takiego początku. Świadomi rzeczy ministrowie byli wściekli. Powołali super-tajną komisję do zbadania, co zawiodło; miała ona: przesłuchać świadków, ujawnić nazwiska, nie oszczędzić nikomu wstydu, wskazać palcem, wypełnić luki, dopilnować, aby się to nie powtórzyło, wyznaczyć mnie przewodniczącym i sporządzić raport. Do jakich jednak konkluzji doszła lub nie doszła, pozostaje największą tajemnicą dla wszystkich, a szczególnie dla tych, którzy w niej zasiadali. Gdyż zadaniem takich komisji jest, jak wszyscy wiemy, gadać poważnie dopóty, dopóki kurz nie osiadzie, a potem samej obrócić się w proch i pył. Co też nasza komisja, jak zręczny kot z Cheshire, w swoim czasie zrobiła, nie zostawiając po sobie nic poza wspomnieniem marsa na naszych czołach, nietrwałym papierkiem bez znaczenia oraz plikiem tajnych aneksów w archiwach Ministerstwa Skarbu.

Zaczęło się od tego, mówiąc mniej powściągliwym językiem Neda i jego kolegów z Naszej Rosji, że wszystkie te kutasy Imperium stanęły na baczność między piątą a ósmą trzydzieści pewnego ciepłego niedzielnego popołudnia, kiedy to niejaki Nicholas P. Landau, handlowiec w podróży i solidny podatnik, chociaż polskiego pochodzenia, nie mający nic na sumieniu, zapukał do drzwi co najmniej czterech po kolei ministerstw w Whitehall, by się domagać natychmiastowego posłuchania u któregoś z urzędników Brytyjskiego Wywiadu, jak mu się to podobało nazwać, z tym tylko skutkiem, że go wysmiano, wykołowano, a w jednym przypadku dopuszczono się wobec niego przemocy fizycznej. Nie zdołaliśmy jednak osiągnąć consensusu co do tego, czy tych dwóch przypadkowych portierów w Ministerstwie Obrony posunęło się tak daleko, żeby złapać Landaua za kołnierz i siedzenie spodni, jak utrzymywał, i wywlec go za drzwi, czy też tylko, używając ich określenia, udzielili mu pomocy przy wychodzeniu na ulicę.

Ale przede wszystkim dla czego, zapytywała surowo nasza komisja, ci dwaj portierzy poczuli się w obowiązku udzielić mu, tej pomocy?

Pan Landau nie pozwolił nam zajrzeć do swojej teczki, proszę pana. Tak, zaproponował, żebyśmy pilnowali jego teczki, kiedy będzie czekał, pod warunkiem, że kluczyk pozostanie pod jego opieką, proszę pana. A przepisy mówią inaczej. I owszem, potrzasał nią na naszych oczach, klepał ją i podrzucał w rękach, najwidoczniej po to, żeby zademonstrować, że nie ma w niej nic takiego, czego ktokolwiek z nas musiałby się obawiać. Ale i to było niezgodne z przepisami. I kiedy przy zastosowaniu minimum siły spróbowaliśmy go pozbawić rzeczonyj teczki, ten dżentelmen — którym poniewczasie Landau stał się w ich zeznaniach — oparł się naszym próbom, proszę pana, i zaczął głośno krzyczeć z obcym akcentem, powodując zakłócenie porządku.

Ale co krzyczał? — pytaliśmy, cierpiąc męki na myśl, że ktoś mógł krzyczeć w Whitehall w niedzielę.

Cóż, proszę pana, o ile mogliśmy go zrozumieć przy jego wzburzeniu, krzyczał, że jego teczka zawiera ściśle tajne dokumenty, proszę pana. Powierzone mu przez jakiegoś Rosjanina, proszę pana, w Moskwie.

I do tego jest to jeszcze niesforny Polaczek, proszę pana, mogliby dodać. W upalną krykietową niedzielę w Londynie, proszę pana, kiedyśmy oglądali w pokoiku od tyłu rewanżowy mecz Pakistańczyków przeciw Botham.

Nawet w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, tym ziejącym chłodem siedlisku urzędowej brytyjskiej gościnności, gdzie zrozpaczony Landau z najwyższą niechęcią poszukał ostatniego ratunku, tylko wskutek rozpaczliwych błagań i najprawdziwszych słowiańskich łez utorował sobie drogę do wytrawnego ucha lorda Palmera Wellowa, autora krytycznej monografii Liszta.

I gdyby Landau nie zastosował nowej taktyki, prawdopodobnie nawet słowiańskie łzy by nie pomogły. Tym razem bowiem postawił otwartą teczkę na kontuarze, tak żeby portier, młody, ale sceptyczny, mógł wytknąć wypomadowaną głowę przez dziurę w świeżo zainstalowanym zbrojonym szkłe, bezczelnie zapuścić żurawia do jej wnętrza i na własne oczy się przekonać, że to tylko plik starych, brudnych zeszytów i brunatna koperta, a nie bomba.

— Proszę przyjść w poniedziałek między dziesiątą a piątą — powiedział portier przez niewiarygodnie nowy głośnik, jakby zapowiadał jakąś walijską stację, i zapadł się z powrotem w mrok swojej budki.

Brama stała otworem, Landau popatrzył na młodego człowieka, popatrzył na niego, na wspaniałą portyk wzniesiony sto lat temu na postrach niezdyplinowanych hinduskich radźów. I nim się kto połapał, natychmiast chwycił swoją teczkę i, pokonując wszystkie na pozór niepokonane siły obronne, ustanowione, aby zapobiegać właśnie takim napaściom, popędził z nią na łeb, na szyję — „jak jakiś zwariowany południowoafrykański sprinter, proszę pana” — przez dostojny podwórzec i po schodach do olbrzymiego hallu. A szczęście mu sprzyjało. Palmer Weilów, kimkolwiek był poza tym, należał do pokojowej frakcji Ministerstwa Spraw Zagranicznych. I był to dzień jego dyżuru.

— Halo, halo — wymruczał Palmer schodząc ze wspinających schodów, na widok sponiewieranej postaci Landaua dyszącego między dwoma potężnymi strażnikami. — Nie ma co, wpadł pan. Nazywam się Weilów. Jestem tu z urzędu. — Uniósł lewą pięść do ramienia, jakby się oganiał od psów. Ale prawą rękę wyciągnął na powitanie.

— Nie potrzebuję urzędnika — powiedział Landau. — Potrzebny mi jest wyższy funkcjonariusz albo nikt.

— Urzędnik to już coś — skromnie zapewnił go Palmer. — Przypuszczam, że zmylił pana mój język.

Całkiem słusznie stwierdzono — i zrobiła to właśnie nasza komisja — że do tego momentu trudno byłoby cokolwiek zarzucić postępowaniu Palmera Wellowa. Był komiczny, ale postąpił skutecznie. Nie zrobił żadnego fałszywego kroku w tych swoich lśniących bucikach. Zaprowadził Landaua do pokoju przyjęć i posadził z całą atencją. Zamówił dla niego jako lekarstwo na szok filiżankę herbaty z cukrem i poczęstował go całkiem strawnym biskwitem. Drogim wiecznym piórem, podarkiem od przyjaciela, zapisał nazwisko i adres Landaua, jak również adresy firm, które korzystały z jego usług. Zapisał numer brytyjskiego paszportu Landaua, datę i miejsce jego urodzenia, 1930, Warszawa. Z rozbrajającą szczerością utrzymywał, że nic nie wie w sprawach wywiadu, ale podjął się przekazać przyniesiony materiał „ludziom kompetentnym”, którzy bez wątpienia poświęcą mu tyle uwagi, na ile zasługuje. A ponieważ Landau na to nalegał, zaimprovizował dla niego pokwitowanie na niebieskiej kartce z ministerialnego szkicownika, podpisał je i kazał woźnemu przyłożyć pieczęć z datownikiem. Powiedział mu, że gdyby władze coś jeszcze chciały omówić, najprawdopodobniej się z nim skontaktują, może telefonicznie.

Dopiero wtedy Landau przekazał mu nad stołem swoją trefną paczkę i popatrzył jeszcze z żalem, jak Palmer ją ujmuje w omdlewającą dłoń.

— Ale dlaczego nie oddał pan tego po prostu panu Scottowi Blairowi? — zapytał Palmer po zbadaniu nazwiska na kopercie.

— Na litość boską, próbowałem! — wybuchnął Landau, od nowa wyprowadzony z równowagi. — Mówiłem panu. Wydzwaniałem go wszędzie. Mało mnie diabli nie wzięli. Nie ma go w domu, nie ma w pracy, w klubie, jest nigdzie — obruszył się Landau, potykając się z desperacją na gramatyce. — Próbowałem z lotniska. No, dobrze, to sobota.

— Niedziela — zaprotestował Palmer z pobłażliwym uśmiechem.

— No więc wczoraj była chyba sobota, nie? Próbuję do firmy. Elektroniczne wycie. Sprawdzam w książce, jest jeden Blair w Hammersmith. Nie te inicjały, ale Scott Blair. Odzywa się wściekła baba, odsyła mnie do diabła. Jest taki agent, znam go, Archie Parr, jeździ dla niego po zachodnich prowincjach. Pytam Archiego: „Archie, na litość boską, jak mogę pilnie złapać Barleya? Zmył się, Niki. Jest na jednym z tych swoich gigantów. Nie widziano go

w firmie od tygodni". Próbuję w biurze adresowym. Po Londynie. Po hrabstwach. Nie mają. Żadnego Bartholomew. No, ale mieliby go przecież, jeśli jest...

— Jeśli jest kim? — spytał Palmer, zaintrygowany.

— Niech pan posłucha, zniknął, co? Zniknął już przedtem. Może mieć powody, żeby zniknąć. Powody, których pan nie zna, bo ma pan nie znać. Może czyjeś życie od tego zależy. Nie tylko jego. To bardzo pilne, powiedziała. I tajne. Niech pan się tym zajmie, bardzo pana proszę.

Tego samego dnia wieczorem, kiedy niewiele co się działo na światowym froncie, poza ponurym kryzysem w Zatoce i brudnym telewizyjnym skandalem na temat wojska i pieniędzy w Waszyngtonie, Palmer poszedł na dość miłe przyjęcie przy Montpelier Square, wydawane przez grupę z jego roku w Cambridge[^] kawalerów jak on, ale zabawne. Opis tego towarzyskiego wydarzenia także dosięgnął uszu naszej komisji.

— Ale, ale, nie słyszał któryś z was o kimś takim jak Scott Blair? — spytał ich Palmer późno w noc, kiedy przypadkiem parę nutek Chopina, którego grał na pianinie, ożywiło w nim wspomnienie Landaua. — Nie było z nami Scotta Blaira czy jakoś tak? — zapytał znów, stwierdziwszy, że mu się nie udało przekrzyczeć hałasu.

— Parę lat przed nami, w Trinity — dobiegła go niewyraźna odpowiedź z drugiego końca pokoju. — Studiował historię. Fanatyk jazzu. Chciał wyżyć z dmuchania w saksofon. Stary nie chciał o tym słyszeć. Barley Blair. Od świtu chodził zalany w trupa.

Palmer Weilów wydobył grzmiący akord, którym ogłuszył rozgadane towarzystwo, aż umilkło.

— Pytałem was, czy to jakiś parszywy szpicel? — wygłosił pytanie.

— Ojciec? Nie żyje.

— Syn, ośle. Barley.

Człowiek, który udzielał mu tych informacji, wystąpił z tłumu młodych i nie tak już młodych mężczyzn i stanął przed nim ze szklanką w ręku, jakby wylał się zza kurtyny. I Palmer ku swemu zadowoleniu rozpoznał w nim ukochanego kumpla sprzed stu lat w Trinity.

— Doprawdy, obawiam się, że nie wiem, czy Barley jest parszywym szpiclem, czy nie — powiedział kumpel Palmera ze swoją zwykłą szorstkością, gdy w tym samym czasie gwar wieży Babel rozhuczał się od nowa w tle. — W każdym razie jest bankrutem, jeżeli coś ci to mówi o człowieku.

Z tym większą ciekawością Palmer wrócił do przestronnych pokoi w ministerstwie i do koperty i zeszytów Landaua, które dla bezpieczeństwa powierzył woźnemu. I to w tym miejscu zбочzył w swoich działaniach, mówiąc słowami naszej roboczej teorii, na nieodwracalnie błędną drogę. Albo, jakby to ujęli bez owijania w bawełnę Ned i jego koledzy z Naszej Rosji, to w tym momencie w każdym cywilizowanym kraju powieszono by

P. Wellowa gdzieś w najwyższym miejscu miasta i zostawiono tam w spokoju, żeby się zastanowił nad swoimi osiągnięciami.

Oto bowiem, co zrobił Palmer: przyjemnie spędził jakiś czas nad tymi zeszytami. Dwie noce i półtora dnia. Bo uznał je za takie zabawne. Nie otworzył brunatnej koperty — teraz opatrzonej przez Landaua napisem „Ścisłe prywatne, do wglądu pana B. Scotta Blaira lub któregoś z najwyższych funkcjonariuszy wywiadu” — ponieważ, tak jak Landau, był ze szkoły tych, którzy uważają za niestosowne czytanie cudzych listów. W każdym razie pozostała zalepiona z obu stron, a Palmer nie był człowiekiem, który by się zmagał z fizycznymi przeszkodami. Ale zeszyty — zawarte w nich zwariowane aforyzmy i cytaty, odraza do polityków i wojska i rozrzucone na chybił trafił wzmianki o Puszkynie jako prawdziwym człowieku renesansu i o Kleiście jako prawdziwym samobójcy — zafascynowały go i przykuły jego uwagę.

Miał słabe poczucie pilności spraw i żadnego poczucia odpowiedzialności. Był dyplomata, nie pracownikiem firmy, jak nazywano wywiad. A według zoologii Palmera pracownicy firmy to ludzie bez ładunku inteligencji wystarczającego, żeby być tym, co on. Prawdę mówiąc, nie krył się z oburzeniem, że dawne Ministerstwo Spraw Zagranicznych, któremu podlegał, teraz coraz bardziej przypomina organizację pełniącą tylko rolę parawanu dla haniebnej działalności firmy. Palmer bowiem był też człowiekiem znacznej erudycji, choć w różnych przypadkowych dziedzinach. Studiował kiedyś język arabski i zdobył stopień naukowy z historii współczesnej. Dodał do tego w wolnych chwilach język rosyjski i sanskryt. Posiada wszystko, poza matematyką i zdrowym rozsądkiem, co tłumaczy, dlaczego ominął strony pełne przygnębiających wzorów algebraicznych, równań i wykresów, z których składały się pozostałe dwa zeszyty, i w przeciwieństwie do filozoficznych dywagacji autora miały nudny, pedantyczny wygląd. I, co również wyjaśnia, choć komisja z niejakim trudem to wyjaśnienie przyjęła, dlaczego Palmer postanowił zignorować dotyczący urzędników ministerstwa obowiązek meldowania na każde wezwanie i bez niego o przypadkach propozycji współpracy z wywiadem, a postąpił wedle własnego widzimisię.

— Kojarzy nieprawdopodobne rzeczy, każda z innej parafii, Tig — po wiedział tamtego wtorku sporo starszemu od siebie rangą koledze z Wydziału Dochodzeniowego, kiedy już w końcu zdecydował, że czas się z kimś podzielić tą zdobyczą. — Po prostu musisz go przeczytać.

— Skąd wiemy, że to jakiś on, Palms?

Palmer po prostu to czuł. Fluidy.

Starszy kolega Palmera zajrzał do pierwszego zeszytu, potem do drugiego, potem usiadł i wlepił wzrok w trzeci. Potem popatrzył na rysunki w drugim zeszycie. A potem, wobec konieczności szybkiego działania, wziął w nim górę fachowiec.

— Na twoim miejscu, Palmer, raczej bym nie zwlekał z przekazaniem im ;

tego wszystkiego — powiedział. Ale po namyśle przekazał im to sam i rzeczywiście nie zwlekał, zadzwoniwszy przedtem do Neda normalną linią z prośbą, by na niego czekał.

W związku z czym dwa dni później rozpętało się piekło. O czwartej rano w śróde światła na najwyższym piętrze przysadzistej ceglanej siedziby Neda w Victorii, znanej jako Nasza Rosja, wciąż jeszcze płonęły jasno i dobiegało końca pierwsze zebranie tego, co się potem stało grupą Niebieskiego Ptaka. Pięć godzin później, po odsiedzeniu jeszcze dwóch zebrań w kwaterze głównej we wspaniałym, nowym, wysokim gmachu przy Embankment, Ned znalazł się z powrotem za swym biurkiem, wśród teczek piętrzących się wokół w tak zawrotnym tempie, jakby dziewczęta z Kartoteki postanowiły wznieść uliczną barykadę.

— Drogi Pańskie może i są niezbadane — słyszano, jak powiedział Ned do rudego pomocnika w chwili przerwy między dostawami teczek — ale to wszystko nic w porównaniu ze sposobami, jakimi Pan werbuje swych nadawców.

Nadawca w tym żargonie to czynny informator, a czynny informator w normalnej angielszczyźnie to agent wywiadu. Czy mówiąc o nadawcach miał na myśli Landaua? Katie? Czy tego poganina autora zeszytów? A może już przykuła jego uwagę mglista postać wielkiego angielskiego asa wywiadu, pana Bartholomew Scotta Blaira? Brock nie wiedział ani go to nie obchodziło. Pochodził z Glasgow, ale jego rodzice byli Litwinami i abstrakcje tylko go złościły.

Co do mnie musiałem czekać jeszcze tydzień, zanim Ned, zwlekając jak to on, postanowił, że czas wciągnąć w sprawę starego Palfreya. Jestem starym Palfreym, odkąd pamiętam. Do dziś nie pojmuję, co się stało z imionami, jakie otrzymałem na chrzcie świętym. „Gdzie stary Palfrey? — pytają. — Gdzie jest nasz oswojony orzeł prawa? Wpuśćcie do sprawy tego starego oszusta! Lepiej to podrzucić Palfreyowi!”

Nie mają ze mną wielkiego zwracania głowy. Ani mitręgi. Nazywam się Horatio Benedict de Palfrey, ale te dwa imiona się nie liczą i jakoś dziwnie nikt nigdy nie pamięta o moim „de”. W resorcie jestem Harrym i bardzo często, jako człowiek zdyscyplinowany, jestem Harrym dla samego siebie. Zwłaszcza wieczorami, kiedy w swojej maleńkiej kawalerce smażę sobie kotleta. Prawny doradca bezprawia — to ja, a kiedyś młodszy wspólnik nie istniejącej już firmy „Mackie, Mackie i de Palfrey, Radcy Prawni i Notariusze, Chancery Lane”. Ale to było dwadzieścia lat temu. Od dwudziestu lat jestem najuniżeńszym sługą tajnych służb, na zawołanie gotowym okpić wagę tej samej ślepej bogini, w której poszanowaniu wzrastałem jako młodzieniec.

Palfrey to wierzchowiec, ale podobno nie był ani rumakiem bojowym, ani

hunterem, tylko koniem pod wierzch uważanym za dobrego dla pań. Ba, jest tylko jedna taka, która się kiedyś przejechała na Palfreyu, ale zajeżdżała go niemal na śmierć, a na imię miała Hanna. I to z powodu Hanny wycofałem się w cień tej tajnej cytadeli, gdzie namiętności nie mają czego szukać i gdzie mury są tak grube, że nie słyhać walenia jej małych piąstek ani łzawych, płaczkliwych błagań, żebym ją wpuścił i stawiał czoło skandalowi, który tak wystraszył młodego prawnika u progu przyzwoitej kariery.

Nadzieja w oczach, ale w sercu pustka, powiedziała. Mądrzejsza zachowywały takie uwagi dla siebie, jak mi się zawsze wydawało. Czasami prawda jest nałogiem. „To po co się zajmujesz przypadkiem beznadziejnym? — pytałem. — Jeżeli pacjent nie żyje, po co ponawiać próby reanimacji?”

Odpowiedź bodaj brzmiała: dlatego, że jest kobietą. Dlatego, że wierzy w zbawienie męskich dusz. Dlatego, że za mało zapłaciłem za to, że nie spełniłem pokładanych we mnie nadziei.

Ale już zapłaciłem, proszę mi wierzyć.

To z powodu Hanny do dziś przemierzam tajne korytarze i swe tchórzostwo nazywam obowiązkiem, a słabość poświęceniem.

To przez Hannę przesiaduję do późna w noc w tej szarej komórce, która jest moim gabinetem, z napisem „Radca prawny” na drzwiach, pośród spiętrzonych skoroszytów, taśm i filmów, jak w sprawie Jarndyce contra Jarndyce, tyle że bez tej biurokracji, i postępując się służbowym korektorem wybielałem operację, którą nazwaliśmy Niebieski Ptak, i jej bohatera, Bar-tholomew alias Barleya Scotta Blaira.

Również przez Hannę stary Palfrey jeszcze teraz, skrobiąc swoje usprawiedliwienie, od czasu do czasu odkłada pióro, unosi głowę i oddaje się marzeniom.

Nikiego Landaua brytyjskie służby odwołały z rezerwy, choć nigdy na serio nie przestał im być wierny, dokładnie w czterdzieści osiem godzin od chwili, jak zeszyty trafiły na biurko Neda. Od czasu swego żalostnego przejścia przez Whitehall Landau był chory ze złości i upokorzenia. Nie poszedł do pracy, nie zatroszczył się o swoje mieszkanie przy Golders Green, które normalnie muskał i pieścił jak skarb. Nawet Lidia nie zdołała go wyciągnąć z melancholii. Sam w pośpiechu załatwiłem w Departamencie Krajowym nakaz założenia podsłuchu na jego telefon. Gdy zadzwoniła, usłyszeliśmy, jak ją splotawia. A kiedy dramatycznie stanęła w drzwiach, nasi obserwatorzy zameldowali, że pozwolił jej zostać na filiżankę herbaty i odprawił.

— Nie wiem, co ci zrobiłam, ale cokolwiek to było, przepraszam — dosłyszeli, jak mówi wychodząc.

Ledwie się znalazła na ulicy, zadzwonił Ned. Potem Landau chytrze się zastanowił w rozmowie ze mną, czy to był przypadek.

— Niki Landau? — zapytał Ned tonem, po którym łatwo było poznać, że to nie żarty.

— Być może — powiedział Landau prostując się na krześle.

— Tu Ned. Zdaje się, że mamy wspólnego znajomego. Nie ma potrzeby wymieniać nazwisk. Byłeś tak uprzejmy, że podrzuciłeś wczoraj list do niego. Raczej bez szans, obawiam się. I paczkę.

Na dźwięk tego głosu Landau natychmiast przebiegł dreszcz. Energiczny i rozkazujący. Głos prawdziwego oficera, nie cynika, Harry.

— No, cóż, tak, podrzuciłem — przyznał, ale Ned już mówił dalej.

— Nie sądzę, byśmy musieli wchodzić w szczegóły przez telefon, ale uważam, że powinniśmy dłużej pogadać, sądzę też, że winniśmy ci uścisk dłoni. Raczej prędko. Kiedy możemy to zrobić?

— Kiedy pan chce — powiedział Landau. I musiał się powstrzymać, żeby nie dodać „według rozkazu”.

— Zawsze uważam, że najlepsze jest „teraz”. Co ty na to?

— Czuję się dużo lepiej, Ned — odpowiedział Landau z uśmiechem w głosie.

— Przyślę po ciebie wóz. To będzie szybko, więc raczej zostań tam, gdzie jesteś, i poczekaj na dzwonek u drzwi. To zielony rover z rejestracją B. Kierowca ma na imię Sam. Gdybyś miał jakieś obawy, każ mu pokazać kartę identyfikacyjną. Gdybyś miał dalej obawy, zadzwoń pod numer na tej karcie. Myślisz, że dasz radę?

— Wszystko w porządku z naszym znajomym? — spytał Landau nie mogąc się powstrzymać, ale Ned odłożył słuchawkę.

Dzwonek u drzwi zabrzmiał w parę minut potem. Mieli wóz tuż za rogiem, pomyślał Landau sfruwając po schodach jak we śnie. O to chodzi. Jestem w rękach fachowców. Dom znajdował się w eleganckiej dzielnicy Belgravii, stał wśród innych wzniesionych na zboczu, świeżo odnowiony. Odmalowany biały fronton objawił mu się w blasku popołudniowego słońca. Pałac doskonałości, świątynia tajnych potęg rządzących naszym życiem. Lśniąca tabliczka na otoczonym kolumnami wejściu głosiła OŚRODEK ŁĄCZNOŚCI Z ZAGRANICĄ. Kiedy Landau wchodził na schody, drzwi już się otwierały. A kiedy woźny w mundurze zamknął je za nim, Landau ujrzał smukłego, prostego mężczyznę tuż po czterdziestce, idącego w promieniach słońca w jego stronę. Najpierw zauważył jego zgrabną sylwetkę, potem przystojną, czerstwą i poważną twarz, a jeszcze potem poczuł uścisk dłoni, dyskretny, lecz lojalny jak salut marynarki.

— Dobra robota, Niki. Wejdz.

Dobre głosy to nie zawsze dobre twarze, ale twarz Neda też była dobra. Wchodząc za nim do owalnego gabinetu Landau poczuł, że cokolwiek mu powie, Ned zawsze będzie po jego stronie. Krótko mówiąc, Landau dopatrzył się w nim mnóstwa rzeczy, które z miejsca mu się podobały, a sprawił to jego

urok przywódcy: powściągliwy wdzięk, dyskretna uroda, spokój silnej osobowości i owo „wejdz”. Landau węszył w nim także poliglotę, jako że sam był poliglotą. Wystarczyło rzucić jakieś rosyjskie nazwisko albo zdanko, by Ned je podchwycił z uśmiechem i odpowiedział podobnym. To jeden z was, Harry. Gdybyś miał jakąś tajemnicę, to jest człowiek, któremu można ją powierzyć, nie ten fagas z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Ale też Landau, dopóki nie zaczął mówić, jeszcze nie wiedział, jak bardzo potrzebuje się komuś zwierzyć. Wystarczyło jednak, że otworzył usta, i dalej już popłynęło samo. Od tej chwili mógł jedynie w zdumieniu, słuchać samego siebie, gdyż nie było to tylko opowiadanie o Katii i zeszytach, i o tym, dlaczego je wziął i jak ukrył, ale o całym jego życiu aż do tej chwili, o całej jego niepewnej sytuacji Słowianina, o jego miłości do Rosji mimo wszystko i o poczuciu zawieszenia między dwiema kulturami. Chociaż Ned ani go nie podprowadzał, ani nie korygował w żaden sposób. Był urodzonym słuchaczem. Można powiedzieć, że ani drgnął, tyle że robił systematyczne notatki na karteczkach, a jeśli mu przerywał, to wyłącznie po to, by wyjaśnić jakiś szczegół, na przykład tamten moment na lotnisku Szeremietjewo, kiedy to nie patrząc przepuszczono go do hali odpraw.

— Całą waszą grupę tak potraktowali czy tylko ciebie?

— Wszystkich. Jedno skinienie i przeszliśmy.

— Nie czułeś się w jakiś sposób wyróżniony?

— Dlaczego?

— Nie miałeś wrażenia, że może ciebie potraktowali inaczej niż innych? Na przykład lepiej?

— Przeszliśmy jak pęczek owiec. Stado — poprawił się. — Pokazaliśmy wizy i tyle.

— Czy w tym samym tempie przechodziły inne grupy, nie widziałeś?

— Ruscy chyba nikim nie zawracali sobie głowy. Może dlatego, że to było lato i sobota. Może to głośność. Wyłowili paru do sprawdzenia, a resztę przepuścili. Prawdę mówiąc, poczułem się jak błazen. Wcale nie musiałem stosować tych środków ostrożności.

— Nie byłeś żadnym błaznem. Zachowałeś się wspaniale — powiedział Ned bez cienia protekcjonalności i znów notując. — A w samolocie koło kogo siedziałeś, pamiętasz?

— Koło Spikeya Morgana.

— I kogo jeszcze?

— Nikogo. Miałem miejsce przy oknie.

— Które to było miejsce?

Landau na szczęście znał numer. Zawsze zamawiał to samo, jeżeli mógł.

— Dużo rozmawialiście podczas lotu?

— Właściwie tak.

-r O czym?

— Głównie o kobietach. Dziewczyna Spikeya zamieszkała z dwiema puszczalskimi w Notting Hill.

Ned roześmiał się uprzejmie.

— A powiedziałaś Spikeyowi o tych zeszytach? Żeby sobie ulżyć, co? Niki? To by było całkiem naturalne. Zwierzyć się.

— Nigdy w życiu, Ned. Nikomu. Nigdy. I nigdy nie powiem. Mówię tylko tobie, bo on zniknął, a ty jesteś z urzędu.

— A Lidii?

Urażona godność na chwilę wzięła górę nad podziwem dla Neda, a nawet nad zdumieniem, skąd Ned tak dobrze zna jego sprawę.

— Moje panie, Ned, niewiele o mnie wiedzą. Choć może im się zdawać, że więcej, niż wiedzą naprawdę — odpowiedział. — Ale nie znają moich sekretów, tego sobie nie życzę.

Ned dalej notował. I w jakiś sposób to skrzętnie przesuwające się pióro, jak również posądzenie, że mógł popełnić niedyskrecję, spowodowało Landaua do zagrywki w ciemno, zauważył już bowiem, że ilekroć zacznie mówić o Barleyu, spokojne, budzące zaufanie rysy Neda jakby coś mroziło.

— Ale Barleyowi naprawdę nic się nie stało, co, Ned? Nie miał żadnego wypadku ani nic?

Ned jakby nie dosłyszał. Wziął nową kartkę i pisał dalej.

— Myślę, że Barley skorzystałby z ambasady, co? — spytał Landau. — Jako fachowiec. Barley. Jeśli chcesz wiedzieć, to te szachy go zdradzają. Nie powinien grać w szachy według mnie. Nie publicznie.

Teraz, ale dopiero teraz, głowa Neda uniosła się powoli znad kartki.

Landau ujrzał na jego twarzy tak kamienny wyraz, że bardziej go to przeraziło niż słowa.

— Nigdy nie używamy nazwisk, Niki — powiedział bardzo spokojnie Ned. — Nawet między sobą. Nie mogłeś wiedzieć, więc nie popełniłeś nic złego. Tylko proszę cię, już więcej tego nie rób.

Po czym, prawdopodobnie widząc wrażenie, jakie to wywarło na Nikim, wstał, podszedł do bocznego stolika z satynowego drzewa, nalał z karafki dwie szklaneczki sherry i wręczył jedną Landauowi.

— Ale nie, nic mu się nie stało.

Wypili więc milczący toast na cześć Barleya, którego nazwisko, jak Landau poprzysiągł sobie do tej pory już z dziesięć razy, nigdy nie padnie z jego ust.

— Nie życzymy sobie, żebyś w przyszłym tygodniu jechał do Gdańska — powiedział Ned. — Przygotowaliśmy ci zaświadczenie lekarskie i zwrot kosztów. Jesteś chory. Podejrzewają raka. I tymczasem nie chodź do pracy, możesz?

— Zrobię, jak chcecie — obiecał Landau.

Ale zanim wyszedł, podpisał pod łaskawym spojrzeniem Neda oświadczenie,

że nie złamie tajemnicy państwowej. Jest to pełen kruczków dokument sporządzony językiem prawniczym, obliczony na to, żeby zrobić wrażenie na tym, kto podpisuje, i na nikim więcej. Dokument ten rzadko też przynosi zaszczyt wystawcom.

Potem Ned wyłączył mikrofony i ukryte kamery wideo, na które nalegało dwunaste piętro, bo zaczynała to być tego rodzaju operacja.

I jak dotąd Ned robił wszystko sam, do czego miał pełne prawo jako szef Naszej Rosji. Kto jak to, ale agenci zawsze chodzą w pojedynkę. Nie wezwał nawet starego Palfreya, żeby zagrozić zastosowaniem specjalnych środków w razie niesubordynacji. Jeszcze nie.

Jeżeli Landau czuł się tego popołudnia niedopieczony, to przez resztę tygodnia znalazł się w centrum uwagi. Na drugi dzień wczesnym rankiem zadzwonił Ned prosząc go ze zwykłą uprzejmością, żeby się stawiał pod pewien adres w Pimlico. Okazało się, że to kamienica z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego, z zaokrąglonymi oknami w stalowych ramach pomalowanych na zielono i z wejściem, które powinno prowadzić do kina. W obecności dwóch mężczyzn, których nie przedstawił, lakonicznie kazał mu raz jeszcze wszystko opowiedzieć, po czym rzucił go im na pożarcie.

Pierwszy odezwał się jakiś niespokojny dystrakt o niemowlęco różowych policzkach i niemowlęco niewinnych oczach, w płowej kurtce pod kolor zmierzwionych płowych włosów. Głos też miał niespokojny.

— W niebieskiej sukni, mówiłeś, tak? Na imię mi Walter — dodał, jakby sam zaskoczony tą nowiną.

— Tak jest, mówiłem.

— Jesteś pewien? — zapiszczał kręcąc głową i krzywo zerkając na Landaua spod gładkiego czoła.

— Tak jest, proszę pana, całkowicie. Niebieska suknia i brązowa reklamówka. One na ogół noszą siatki ze sznurka. Jej reklamówka była z brązowego plastyku. — No, Niki, pomyślałem, nie dzisiaj, ale gdyby ci przyszło na myśl zgrzeszyć kiedyś z tą panią w przyszłości, co niewykluczone, zawsze możesz jej przywieźć z Londynu ładną niebieską torebkę pod kolor sukni. — Jeszcze to widzę, tak jest.

I zawsze brzmi to dziwacznie na taśmach, kiedy je przegrywam, że Landau zwracał się do Waltera „proszę pana”, podczas gdy nie robił tego w stosunku do Neda. Ze strony Landaua jednak był to znak nie tyle wielkiego szacunku, co pewnej przesady, do jakiej prowokował Walter. Ostatecznie Landau miał powodzenie u pań, podczas gdy Walter przeciwnie.

— I c z a r n e włosy, powiadasz? — zaśpiewał Walter, jak gdyby czarne włosy podważały wiarygodność opisu.

— Tak, proszę pana, czarne. Czarne i jedwabiste. Kruczoczarne. Zdecydowanie.

— Jak myślisz, nie farbowane?

— Znam się na tym — powiedział Landau dotykając własnej głowy, teraz już bowiem nie miał przed nimi żadnych tajemnic, łącznie z tajemnicą swojej wiecznej młodości.

— Powiedziałeś przedtem, że była z Leningradu. Dlaczego tak twierdzisz?

— Sposób bycia. Klasa. Metropolia. Tak ją widzę. Jako Rosjankę z Petersburga.

— A nie Ormiankę? Albo Gruzinkę? Albo na przykład Żydówkę?

Landau zastanowił się nad tą ostatnią sugestią, ale odrzucił ją.

— Widzi pan, sam jestem Żydem. Nie twierdzę, że trzeba być parnemu Żydem, żeby poznać Żyda, ale powiedziałbym, że nic mnie w środku nie tknęło.

Milczenie, które mogło wyrażać zmieszanie, jakby go zachęciło do dalszych wynurzeń.

— Szczerze mówiąc myślę, że przesadza się z tym żydostwem. Jak ktoś chce być Żydem, daj mu Boże. Ale jak mu to niepotrzebne, nikt mu tego nie powinien narzucać. Ja na przykład najpierw jestem Brytyjczykiem, potem Polakiem, a dopiero na końcu wszystkim innym. Chociaż wielu wolałoby odwrotną kolejność. Ale to już ich problem.

— O, dobrze powiedziane! — zawołał energicznie Walter, strzepując palcami i chichocząc. — No, to się nazywa trafić w sedno. I mówisz, że jej angielski był naprawdę dobry?

— Więcej niż dobry, tak jest. Klasyczny. Wzór dla nas wszystkich.

— Jakby była nauczycielką, mówiłeś.

— Takie odniosłem wrażenie — powiedział Landau. — Nauczycielką, profesorką. Czuło się wiedzę. Inteligencję. Wolę.

— No dobrze, a nie mogła być tłumaczką?

— Dobrzy tłumacze usuwają się moim zdaniem w cień. Jej osobowość się narzucała.

— No, przyznam, że jest to niezła odpowiedź — powiedział Walter, wysuwając mankiety różowej koszuli. — I miała obrączkę na palcu. Dobra robota.

— Tak jest, rzeczywiście miała. Pierścionek zaręczynowy i obrączkę. Normalnie jak kogoś poznaję, jest to pierwsza rzecz, jaką sprawdzam, a Rosja to nie Anglia, trzeba patrzeć całkiem gdzie indziej, bo kobiety noszą obrączki na prawej ręce. Samotne w Rosji to plaga, a rozwód normalka. Dajcie im tylko solidnego mężusia i parę dzieciaków, a będą siedziały w domu. Zadowolone.

— Właśnie, powiedz nam o tym. Uważasz, że ona ma dzieci?

— Tak, proszę pana, jestem tego pewny.

— No nie, nie możesz być pewny — oświadczył kapryśnie Walter z nagłym grymasem niezadowolenia. — Nie jesteś czasem stuknięty?

— Idzie o biodra. Biodra. Ta jej godność, nawet kiedy była wystraszona. Nie była ani Junoną, ani sylfidą. Była matroną.

— Wzrost?! — wrzasnął Walter dyszkantem, a jego bezwłose brwi podskoczyły w zaniepokojeniu. — Możesz mi określić jej wzrost? Pomyśl o sobie, jaka była w porównaniu z tobą. Patrzysz na nią z góry czy z dołu?

— Ponad przeciętny, mówiłem już.

— Więc wyższa od ciebie?

— Tak.

— Pięć stóp sześć cali? Pięć siedem?

— Bardziej to drugie — wyznał przygnębiony Landau.

— I jeszcze jej wiek. Przedtem się jakoś plątałeś.

— Jeżeli ma więcej jak trzydzieści pięć, to nie widać tego. Piękna cera, wspaniała sylwetka, piękna kobieta w samym rozkwicie, szczególnie duchowym — powtórzył Landau z uśmiechem pokonanego, bo choć Walter mógł mu się wydać niesmaczny, to jednak Niki miał słabość Polaka do ekscentryków.

— Jest niedziela. Wyobraź sobie, że to Angielka. Spodziewałbyś się, że chodzi do kościoła?

— Z pewnością miałyby ten problem gruntownie przemyślany — odparł Landau ku swemu wielkiemu zdumieniu, zanim zdążył się zastanowić nad odpowiedzią. — Mogła dojść do wniosku, że Boga nie ma. Albo że Bóg jest. Ale nie przeszłaby nad tym do porządku jak większość z nas. Przemyślałaby to, wyrobiła sobie jakieś zdanie i coś by z tym zrobiła, gdyby uznała, że powinna.

Nagle całe dziwaczne zachowanie Waltera rozmyło się w szerokim gumowym uśmiechu.

— Nooo, jesteś dobry — oświadczył z zawiścią. — Czy znasz się trochę na chemii? — pytał dalej, znowu podnosząc głos.

— Trochę. Na chemii kuchennej właściwie. Tyle, co podpatrzyłem.

— A fizyka?

— Poziom elementarny, nie więcej. Sprzedawałem kiedyś podręczniki. Widzi pan, nawet nie wiem, czy dziś zdałbym egzamin. Ale się dzięki nim podciągnąłem, że tak powiem.

— Co to jest telemetria?

— Nigdy o niej nie słyszałem.

— Ani po angielsku, ani po rosyjsku?

— W żadnym języku, obawiam się. Telemetria mnie ominęła.

— AT.B.R.P.?

— Co?

— Teoria błędów rachunków przybliżonych. Boże święty, mało to o tym

piisał w tych zeszytach, co je nam przyniosłeś? Nie powiesz mi, że T.B.R.P. nie utkwiała ci w głowie.

— Nie zauważyłem jej. Zeszyty tylko przerzucałem. To wszystko.

— Pókiś się nie natknął na ten kawałek o sowieckim rycerzu, który kona w zbroi. W którym miejscu przestałeś przerzucać? I dlaczego?

— Do tego nie doszedłem. Natrafiłem przypadkiem.

— W porządku, przypadkiem. I wyrobisz sobie zdanie, co? O czym pisze autor. Jakie jest to zdanie?

— Pisze chyba o niekompetencji. Są w tym do niczego. Ci Ruscy. Do chrzanu.

— Do chrzanu w czym?

— W raketach. Popelniają błędy.

— Jakie błędy?

— Błędy we wszystkim. Magnetyczne. Odchylenia, cokolwiek to tam jest. Nie wiem. To wasza sprawa, no nie?

Ale pewność obrony Landaua podnosiła tylko jego wartość jako świadka. Tam bowiem, gdzie chciał zabłysnąć, a nie mógł, jego niepowodzenie ich uspokajało, o czym świadczył teraz wyniosły gest ulgi Waltera.

— No, myślę, że był świetny — oświadczył, jakby Landaua w ogóle nie było w zasięgu słuchu, i znów wyrzucił w górę ręce, tym razem w teatralnym geście podsumowania. — Mówi nam to, co pamięta. Niczego nie zmyśla dla upiększenia całej historyjki. Tego byś nie zrobił, co, Niki? — dodał niespokojnie, rozplatając założone nogi, jakby go piło w kroku.

— Tak jest, może pan być spokojny, proszę pana.

— I nie zrobisz? Bo prędzej czy później i tak byśmy się dowiedzieli. A wtedy wszystko, co powiedziałeś, straci wartość.

— Nie, proszę pana. Tak właśnie było, jak mówiłem. Co do joty.

— Nie mam co do tego wątpliwości — zapewnił Walter kolegów tonem prostodusznej pewności, sadowiąc się wygodnie z powrotem. — W naszym zawodzie, jak w każdym innym, najtrudniej jest powiedzieć: wierzę. Niki to naturalne źródło informacji i prawdziwy biały kruk. Gdyby było więcej takich jak on, nikt by nie potrzebował nas.

— To jest Johnny — wyjaśnił Ned grając rolę adiutanta.

Johnny miał falujące siwawe włosy, szeroką szczękę i teczkę pełną urzędowych z wyglądu telegramów. Ubrany w czarny garnitur szyty na miarę, ze złotą dewizką, mógłby być wzorem Anglika dla jakiejś obcej barmanki, ale na pewno nie był nim dla Landaua.

— Niki, chłopcze, najpierw musimy ci podziękować — powiedział John ny rozwlekłym akcentem Amerykanina ze Wschodniego Wybrzeża. My, waż niejsi beneficjanci, sugerował jego łaskawy ton. My, właściciele większości akcji. Obawiam się, że Johnny jest właśnie taki. Dobry oficer, ale nie potrafi schować do kieszeni swojej amerykańskiej wyższości. Czasami myślę, że na

tym właśnie polega różnica między ludźmi amerykańskiego wywiadu i naszego. Amerykanie, tak jawnie szczytający się swoją władzą i pieniędzmi, wyzywają los. Nie potrafią nic ukryć, co tak łatwo przychodzi nam, Brytyjczykom.

Tak czy inaczej, Landau natychmiast się zjeżył.

— Nie masz nic przeciw temu, żebym ci zadał parę pytań? — zapytał Johnny.

— Jeżeli Ned się zgadza — powiedział Landau.

— Oczywiście — poświadczył Ned.

— Więc jesteśmy wieczorem na targach audiosprzętu, zgadza się, stary?

— No, właściwie po południu, Johnny.

— Odprowadzasz tę kobietę, Jekaterinę Orłowa, przez całą salę do szczytu schodów. Tam, gdzie stoją tajniacy. Żegnasz się z nią.

— Trzyma mnie pod rękę.

— Trzyma cię pod rękę, wspaniale. Na oczach tajniaków. Widzisz, jak schodzi na dół. Czy widzisz też, jak wychodzi na ulicę, chłopie?

Nie słyszałem dotąd, żeby Johnny używał zwrotu „chłopie”, zrozumiałem więc, że próbuje jakoś Landaua sprowokować według instrukcji zakładowych psychologów dla pracowników wywiadu.

— Zgadza się — uciął Landau.

— Na samą ulicę? Nie śpiesz się, pomyśl — poradził z fałszywą wylewnością adwokata.

— Na ulicę i z mojego życia.

Johnny czekał, aż się upewnił, że wszyscy widzą, że czeka, i że Landau widzi to lepiej niż ktokolwiek inny.

— Niki, chłopie, w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin stali tam u szczytu schodów nasi ludzie. Nie widać stamtąd ulicy.

Twarz Landaua zachmurzyła się. Nie ze zmieszania. Z gniewu,

— Widziałem, jak schodzi ze schodów. Widziałem, jak przechodzi przez hall do wyjścia na ulicę. Nie wróciła. A więc jeżeli przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nikt nie przeniósł ulicy, co za Stalina zawsze było możliwe, zapewniam was...

— Jedźmy dalej, co? — powiedział Ned.

— Widziałeś, żeby ktoś za nią wychodził? — spytał Johnny, dalej przyciskając Landaua.

— Po schodach czy na ulicę?

— Jedno i drugie, chłopie, jedno i drugie.

— Nie, nie widziałem. Nie widziałem, jak wyszła na ulicę. Bo właśnie mi powiedziałeś, że nie widziałem. To może ty będziesz odpowiadał na pytania, a ja będę pytał?

W czasie gdy Johnny, nic nie mówiąc, opadał na oparcie krzesła, wtrącił się Ned:

— Pewne rzeczy trzeba starannie zbadać, Niki. Ryzykujemy dużo i John-ny ma swoje wytyczne.

— I ja ryzykuję — powiedział Landau. — Chodzi o moje słowo i nie podoba mi się, kiedy jakiś Amerykanin, który nawet nie jest Brytyjczykiem, robi ze mnie idiotę.

Johnny wrócił do notatek.

— Może byś nam opisał, Niki, środki bezpieczeństwa zastosowane na targach, tak jak je widziałeś.

Landau nerwowo wciągnął powietrze.

— No więc — powiedział i zaczął od początku: — Mieliliśmy tych dwóch młodych mundurowych, kręcili się po hallu hotelowym. To ci, co spisują wszystkich Rosjan, kto wchodzi, kto wychodzi. To normalne. Dalej, na górze, w sali, były te bandziory. Ci są po cywilnemu. Mówi się o nich wałkonie, „toptuny” — dodał, żeby oświecić Johnny'ego. — Po paru dniach zna się tych „toptunów” na pamięć. Nie kupują, nie kradną eksponatów, nie proszą o darmowe próbki i zawsze jest wśród nich jeden z włosami jak len, wiadomo dlaczego. Mieliliśmy tam trzech i nie zmieniali się przez tydzień. To oni obserwowali, jak schodziła ze schodów.

— To wszyscy, chłopie?

— O ile ja wiem, wszyscy, ale czekam, aż mi powiesz, że się mylę.

— A nie zauważyłeś jeszcze dwóch pań w nieokreślonym wieku, siwych, też co dzień bywały na targach, przychodziły wcześniej, późno wychodziły i też nie kupowały, z nikim ze sprzedawców i wystawców nie wdawały się w rozmowy i na pozór nic nie usprawiedliwiała ich obecności na targach?

— Chodzi o Gert i Daisy, tak?

— Słucham?

— Były dwie takie cipcie z Komitetu Czytelni. Przychodziły po drobiazgi. Dla nich największa frajda to było podwędzić jakąś broszurę ze stoiska albo wyżebrać darmowy egzemplarz. Ochrcziliśmy je Gert i Daisy, jak bohaterki takiego rozrywkowego programu w brytyjskim radiu podczas wojny i po wojnie.

— Nie przyszło ci do głowy, że te panie też mogą pełnić funkcje inwigilantek?

Ned już wyciągał swoją potężną dłoń, żeby powstrzymać Landaua, ale się spóźnił.

— Johnny — powiedział Landau dosłownie kipiąc. — To Moskwa, nie? Moskwa, Rosja, chłopie. Gdybym się zastanawiał, kto pełni funkcję inwigilanta, a kto nie, nie wstałbym rano z łóżka i nie wlaźłbym do niego wieczorem. O ile wiem, podsłuchują wróble na dachu.

Ale Johnny znów tkwił w swoich telegramach.

— Mówisz, że Jekaterina Borysowna Orłowa wspomniała, że w sąsiednim stoisku Abercrombie-Blair nikogo nie było poprzedniego dnia, zgadza się?

— Tak mówię, zgoda.

— Ale poprzedniego dnia jej nie widziałeś. Też się zgadza?

— Zgadza.

— A twierdzisz, że nie przeoczysz ładnej buzi.

— Tak jest, dziękuję ci, i obym długo jeszcze zachował bystre oko.

— To nie uważasz, że powinienes być ją zauważyć?

— Czasami mi się zdarza którąś przeoczyć — wyznał Landau, znów się czerwieniąc. — Moje oko może mnie zawieść na chwilę, jak się odwrócę tyłem albo pochylę nad stołem, albo wyjdę do toalety.

Ale Johnny był pozbawiony nerwów, co mu dawało przewagę.

— Pan ma krewnych w Polsce, panie Landau, prawda? — „Chłopie” już się najwidoczniej wysłużyło, bo przesłuchując taśmę zauważyłem, że już się tak do Landaua nie zwracał.

— Mam.

— Nie ma pan starszej siostry na wysokim stanowisku w polskiej administracji?

— Moja siostra pracuje w Ministerstwie Zdrowia jako inspektor do spraw szpitali. Nie jest to wysokie stanowisko, a ona jest już w wieku emerytalnym.

— Czy był pan kiedykolwiek świadomym celem nacisków lub szantażu ze strony agentów bloku komunistycznego lub też innych sił działających na ich rzecz?

Landau obrócił się do Neda.

— Jakim celem? Obawiam się, że mój angielski jest za słaby.

— Świadomym — wyjaśnił Ned z ostrzegawczym uśmiechem. — Zdającym sobie sprawę. Wiedzącym, o co chodzi.

— Nie, nie byłem — oświadczył Landau.

— Czy w czasie swych podróży do krajów bloku wschodniego nawiązywał pan intymne stosunki z obywatelkami tych krajów?

— Z niektórymi sypiałem. Ale nie było w tych stosunkach nic intymnego.

Walter parsknął tłumionym śmiechem jak niegrzeczny uczeń, wciągając głowę w ramiona i zasłaniając ręką okropne zęby. Ale Johnny uparcie dalej prowadził atak.

— Panie Landau, czy miał pan kiedy i gdziekolwiek wcześniej kontakty z wywiadem któregoś z krajów wrogich bądź zaprzyjaźnionych?

— Nie.

— Czy przekazywał pan wiadomości osobom na jakimkolwiek stanowisku czy profesji: gazetom, biurom ankietowym, policji, wojsku, w jakimkolwiek celu, bez względu na to, jak był on nieszkodliwy?

— Nie.

— I nie jest pan i nigdy nie był członkiem partii komunistycznej lub organizacji pacyfistycznej albo grupy ich zwolenników?

— Jestem obywatelem brytyjskim — odparował Landau, wysuwając do przodu kruchy polski podbródek.

— I nie ma pan choćby najbardziej mglistego pojęcia, co zawierał materiał, którym pan się zajął?

— Nie zająłem się nim. Przekazałem go.

— Ale po drodze pan go przeczytał.

— Co zdołałem, przeczytałem. Trochę. Potem dałem spokój. Jak już mówiłem.

— Dlaczego?

— Jeżeli pan chce wiedzieć, to z poczucia przyzwoitości. Czego zacząłem się domyślać, to nie pana sprawa.

Ale Johnny, bynajmniej nie rumieniąc się ze wstydu, cierpliwie grzebał w swojej teczce. Wydobył kopertę, a z koperty plik zdjęć formatu pocztówkowego, które wyłożył na stół jak karty. Niektóre były poruszone, wszystkie miały duże ziarno. Parę zostało zrobionych przez jakąś przeszkodę na pierwszym planie. Były to zdjęcia kobiet schodzących po schodach jakiegoś budynku, grupkami lub pojedynczo. Jedne szły z siatkami na zakupy, inne ze spuszczoneymi głowami, nic nie niosły w rękach. Landau przypomniał sobie, że podobno kobiety w Moskwie wymykają się w porze drugiego śniadania na zakupy, upychając wszystko po kieszeniach, torby zaś zostawiając na biurkach, żeby stworzyć wrażenie, że wyszły tylko na korytarz.

— Ta — powiedział nagle Landau wskazując palcem.

Johnny wykonał jeszcze jedną ze swych sądowych sztuczek. Właściwie był za inteligentny na te wszystkie bzdury, ale to go nie powstrzymało. Zrobił zawiedzioną i niedowierzającą minę. Wyglądał, jakby przyłapał Landaua na kłamstwie. Film wideo pokazuje, jak strasznie przeszarżował.

— Skąd ta cholerna pewność, na litość boską? Nigdy jej pan nie widział w płaszczu.

Landau jest nie zrażony.

— To ta, to Katia — powiada ponownie. — Wszędzie bym ją poznał. Katia. Upięła włosy, ale to ona. Katia. I to jej torba, plastikowa. — I wciąż gapi się na zdjęcie. — I jej obrączka. — Przez moment mamy wrażenie, że zapomniał, że nie jest sam. — Jutro bym dla niej zrobił to samo — powiada. — I pojutrze.

I tym pozytywnym wynikiem skończyło się agresywne przesłuchanie świadka przez Johrmy'ego.

Dni biegly i jedno enigmatyczne przesłuchanie następowało po drugim, nigdy dwa razy w tym samym miejscu i przez te same osoby, wyjąwszy Neda, Landau więc coraz wyraźniej przeczuwał, że zbliża się kulminacyjny moment. W laboratorium dźwięku za Portland Place przebrano mu głosy kobiet, Rosjank mówiących po angielsku i Rosjank mówiących po rosyjsku. Ale nie rozpoznał głosu Katii. Drugi dzień ku jego przerażeniu poświęcono

pieniądom. Nie ich, lecz Landaua. Jego wyciągom bankowym — skąd je, u licha, wytrasnęli? Jego zeznania podatkowe, odcinki wypłat, oszczędności, hipoteka, polisa ubezpieczeniowa — gorzej niż w Urzędzie Skarbowym.

— Zaufaj nam, Niki — powiedział Ned, ale z tak uczciwym, uspokajającym uśmiechem, jakby nie szczydził trudu, aby go jakoś bronić, i jakby wszystko było na dobrej drodze.

Chcą mi zaproponować współpracę, pomyślał w poniedziałek. Chcą ze mnie zrobić szpiega jak z Barleja.

Chcą naprawić krzywdę mojego taty w dwadzieścia lat po jego śmierci, pomyślał we wtorek.

Wreszcie we środę rano Sam, kierowca, po raz ostatni nacisnął dzwonek u jego drzwi i wszystko się wyjaśniło.

— Dokąd to dziś, Sam? — spytał go wesolo Landau. — Do cholernego Tower?

— Do Sing-Singu — powiedział Sam i obaj się uśmieśli.

Ale Sam odstawił go nie do Tower i nie do Sing-Singu, ale pod boczne wejście jednego z ministerstw w samym Whitehallu, które jedenaście dni temu Landau bezskutecznie próbował sforsować siłą. Szarooki Brock wprowadził go boczną klatką schodową i zniknął. Landau wszedł do przestronnego pokoju z oknami wychodzącymi na Tamizę. Przy stole naprzeciwko siedziało rzędem kilku mężczyzn. Na lewo Walter w prosto zawiązanym krawacie i z przyzłizanymi włosami. Na prawo Ned. Obaj wyglądali uroczyście. A między nimi, trzymając wystające z mankietów dłonie płasko na stole, ze zmarszczkami niechęci po obu stronach schludnego podbródka, siedział dość młody mężczyzna w szykownym garniturze, którego Landau trafnie ocenił na wyższego rangą od nich obu i który, jak to Landau później ujął, wyglądał jak z innego filmu. Był gładki, prawie nie otwierał ust i wymuskany jak do telewizji. Miał coś więcej niż pieniądze. Miał czterdziestkę i robił karierę, ale najgorsza była w nim niewinność. Wyglądał za młodo, aby dźwigać zbrodnie dorosłych.

— Na imię mi Clive — powiedział głosem o hamowanej sile. — Wejdz, Landau. Mamy problem, co z tobą zrobić.

A za Clive'em — prawdę mówiąc za nimi wszystkimi — Niki Landau jakby po namyśle zobaczył mnie. Starego Palfreya. Ned zaś zobaczył, że on mnie zobaczył, uśmiechnął się i odegrał scenkę uprzejmej prezentacji.

— Aha, Niki, to jest Harry — powiedział niezgodnie z prawdą.

Jak dotąd nikt inny nie zasłużył na to, by wymieniono jego zajęcie, ale dla mnie Ned zrobił wyjątek.

— Harry to nasz wewnętrzny superarbiter, Niki. Pilnuje, żeby każdemu dostało się sprawiedliwie.

— Pięknie — powiedział Landau.

To właśnie tu w historii całej sprawy dokonałem swego skromnego

wejścia jako popychel od dostarczania paragrafów, facet od przyklepywania różnych sprawek, odgrywania drobnych epizodów, dogadzania i na koniec jako kronikarz. Rosencrantz, Guildenstern, a tylko od czasu do czasu Palfrey. Jeszcze bliżej miał się zająć Landauem Reg, duży, rudy i przyjacielski. Reg podprowadził Landaua do osłej ławki pośrodku pokoju i usiadł koło niego. I Landau od razu go sobie upodobał, co było naturalne, bo Reg z zawodu był opiekunem i do jego podopiecznych należeli zdrajcy, wycofani rezydenci i spaleni agenci oraz inni mężczyźni i kobiety, których więź z Anglią mogłaby zostać poważnie nadszarpnięta, gdyby zabrakło starego Rega Watt-le'a, jego milutkiej żony Berenice i ich czulej opieki.

— Spisałeś się na medal, ale nie możemy ci powiedzieć dlaczego, bo nie byłoby to bezpieczne — zaczął Clive swoim oschłym tonem, kiedy Landau już wygodnie usiadł. — Nawet to niewiele, co wiesz, już jest za dużo. I nie możemy pozwolić, żebyś się pętał po Europie Wschodniej z naszymi sekretami w głowie. To zbyt niebezpieczne. Dla ciebie i dla zainteresowanych osób. I tak oddawszy nam znaczną przysługę stałeś się jednocześnie poważnym kłopotem. Gdyby to było w czasie wojny, moglibyśmy cię przymknąć, rozstrzelać czy już nie wiem co. Ale wojny nie ma, przynajmniej oficjalnie.

Gdzieś po drodze, w swojej krótkiej wspinaczce do władzy, Clive nauczył się uśmiechać. Nie była to uczciwa broń w zastosowaniu do przyjaciół, coś jak milczenie podczas rozmowy telefonicznej. Ale Clive nic nie wiedział o nieuczciwości, ponieważ nic nie wiedział o jej przeciwieństwie. Jak w miłości, był to środek, który się stosuje, kiedy trzeba kogoś przekonać.

— Ostatecznie możesz przecież wskazać palcem parę ważnych osób — ciągnął tak cichym głosem, że wszyscy siedzieli cicho, żeby go słyszeć. — Wiem, że nie zrobiłbyś tego naumyślnie, ale kiedy człowieka przypną do kaloryfera, nie ma wielkiego wyboru. W każdym razie nie na końcu.

I kiedy uznał, że już Landaua wystarczająco nastraszył, zerknął na mnie, skinął i przyglądał się, jak otwieram imponujący skórzany skoroszyt który przyniosłem ze sobą, i podaję Landauowi obszerny, sporządzony przez siebie dokument, którego sens sprowadzał się do tego, że Landau wyrzeka się raz na zawsze wszelkich podróży za żelazną kurtynę, że nigdy nie wyjedzie z kraju bez zawiadomienia Rega na tyle to a tyle dni naprzód — szczegóły do uzgodnienia między nimi — i że Reg zaopiekuje się paszportem Landaua, żeby uniknąć kłopotów. I że nieodwołalnie akceptuje rolę, jaką władze wyznaczają Regowi lub komukolwiek w zastępstwie Rega jako jego powiernika, filozofa i dyskretnego arbitra we wszystkich jego sprawach, łącznie z tą najdrażliwszą, jak załatwić opodatkowanie załączonego czeku na sumę stu tysięcy funtów wystawionego na filię Fulham pewnego bardzo nudnego brytyjskiego banku.

I że po to, aby władze regularnie mogły go straszyć, będzie się stawał co pół roku u radcy prawnego resortu, Harry'ego, na przesłuchanie w sprawie dochowywania tajemnicy — u starego Palfreya, niegdyś kochanka Hanny,

człowieka, którego życie tak przygięło, że można mu bezpiecznie powierzyć obowiązek pilnowania, by inni nie odchylali się od pionu. I że w związku z powyższym i konsekwentnie, wszystko, co się tyczy pewnej Rosjanki i rękopisu jej znajomego oraz treści tego rękopisu — bez względu na to, w jakim stopniu zdaje sobie sprawę z ich znaczenia — i co się tyczy roli, jaką odegrał pewien brytyjski wydawca — od tej chwili uroczyste uznaje za niebyłe, skończone, nie istniejące i wygasłe na zawsze. Amen.

Był to jedyny egzemplarz tego dokumentu i miał ponownie wrócić do mojego sejf, dopóki nie zostanie skasowany albo nie rozleci się ze starości. Landau przeczytał go dwukrotnie, podczas gdy Reg zerkał mu przez ramię. Następnie Landau schronił się na chwilę we własnych myślach, niewiele zważając na to, kto mu się przygląda i kto sobie życzy, żeby ten dokument podpisał i przestał być problemem. Ponieważ Landau wiedział, że w tej chwili to on jest kupującym, nie sprzedawcą.

Ujrzał sam siebie, jak stoi w oknie moskiewskiego hotelowego pokoju. I przypomniał sobie, jak to zapragnął zarzucić swoje wędrówki dla bardziej osiadłego, nie tak ciężkiego życia. I przyszła mu do głowy zabawna myśl, że Stwórca musiał wziąć go za słowo i odpowiednio wszystko urządzić. Co sprawiło, że Landau wybuchnął krótkim śmiechem, i wszyscy poczuli się nieswojo.

— No, Harry — powiedział — mam nadzieję, że jankes Johnny płaci ten rachunek.

Ale ten żart nie wywołał zasłużonych oklasków, gdyż przypadkiem była to prawda. Więc Landau wziął od Rega pióro i podpisał dokument, a następnie mi go wręczył i patrzył, jak kładę jako świadek swój podpis — Horatio B. de Palfrey — który po dwudziestu latach jest już tak nieczytelny, że gdybym się podpisał Heinz Zupa Kartoflana, to ani Landau, ani nikt inny by nie zauważył różnicy, i jak wsuwam dokument do skórzanej trumny i zamykam wieko. Jeszcze uściski dłoni, wymiana wzajemnych zapewnień i Clive mruknął: „Jesteśmy ci wdzięczni, Niki” — zupełnie jak w tym filmie, w którym, jak regularnie sobie wmawiał Niki, właśnie grał.

Potem wszyscy jeszcze raz podali Landauowi rękę i patrząc, jak godnie odjeżdża w zachód słońca albo, trzymając się bliżej faktów, zawadiacko odchodzi korytarzem gawędząc z Regiem Wattle'em, dwa razy wyższym od siebie, poczekali nerwowo na sygnał „zarejestrowane” na podłuchu, na który już dostałem nakaz pod niezawodnym pretekstem żywego zainteresowania Amerykanów.

Podłączyli się pod jego biurowe i domowe telefony, czytali jego pocztę i przyczepili mu elektroniczną zabawkę do tylnej osi jego ukochanego tryumfa kabrioletu.

Śledzili go w godzinach wolnych od pracy i zaangażowali maszynistkę w jego biurze, żeby miała na niego oko jako na „niepewnego cudzoziemca”, kiedy odpracowywał jeszcze ostatnie tygodnie wymówienia.

Podstawiali mu potencjalne „przyjaciółki” w barach, w których lubił polować. Ale pomimo tych niezręcznych i niepotrzebnych środków ostrożności, dyktowanych tym samym żywym zainteresowaniem Amerykanów, nic nie wykryli. Nie usłyszeli bodaj wzmianki o tym, żeby się chełpił czy popełniał jakieś niedyskrecje. Landau nigdy nie narzekał, nigdy się nie przechwalał, nigdy nie szukał rozgłosu. Został, prawdę mówiąc, jednym z niewielu uwiecznionych pełnym happy endem epizodów w tym zawodzie.

Był idealnym prologiem. Nigdy nie wrócił.

Nigdy się nie próbował skontaktować z Barleym Scottem Blairem, wielkim brytyjskim asem wywiadu. Do końca zachował dla niego bogobojną cześć. Nawet w dniu uroczystego otwarcia videoshopu, wymarzonej okazji ogrzania się w blasku tego żywego cichego bohatera Wielkiej Brytanii, nie próbował nadużyć krępujących go przepisów. Może wystarczającą satysfakcją była dla niego świadomość, że pewnej nocy w Moskwie na wezwanie starego kraju też odpowiedział jak angielski dżentelmen, którym czasami pragnął być. A może polskiej częstce jego natury wystarczyło, że zagrał na nosie rosyjskiemu niedźwiedziowi? Albo może to wspomnienie Katii kazało mu być słownym, Katii silnej, Katii cnotliwej, Katii dzielnej i pięknej, która, choć sama w strachu, zadbała o to, by go ostrzec o groźącym niebezpieczeństwie. „Człowiek musi wierzyć w to, co robi”.

I Landau uwierzył. I był z tego dumny jak cholera, jak byłby każdy z nas.

Nawet jego sklep z wideo prosperował. To była sensacja. Od czasu do czasu niestrawna dla niektórych, w tym dla policji z Golders Green, z którą musiałem uciąć przyjacielską pogawędkę. Ale dla innych istny balsam.

Przede wszystkim mogliśmy go kochać, ponieważ widział nas tak, jak chcieliśmy być widziani, jako wszechwiedzących, kompetentnych i bohaterskich strażników zdrowia naszego wielkiego narodu. Pogląd, którego Barley nigdy chyba do końca nie był zdolny podzielać — w każdym razie nie bardziej niż Hanna, choć dla niej był to obraz zawsze widziany tylko z zewnątrz, miejsce, w które nie mogła za mną pójść, świątynia największego kompromisu, a więc według jej nieubłaganych poglądów, beznadziei.

— Na pewno nie są lekarstwem, Palfrey — powiedziała mi nie dalej jak parę tygodni temu, kiedy to z jakichś względów wynosiłem resort pod niebiosa. — Jak dla mnie to raczej choroba.

3

My, stare wygi, twierdzimy, że nie ma operacji wywiadu, która by się chwilami nie stawała farsą. Im większa operacja, tym więcej śmiechu, i przeszło to już do historii resortu, że trwające tydzień poszukiwania Bartholomew alias Barleya Scotta Blaira spowodowały tyle zdenerwowania i frustracji, że

starczyłoby za siłę napędową dla tuzina siatek szpiegowskich. Prawomyślni młodzi nowicjusze jak Brock z Naszej Rosji zniechęcili całe życie Barleya, jeszcze zanim znaleźli tego, który je wiódł.

Po pięciu dniach poszukiwań zdawało im się, że już wiedzą o nim wszystko poza tym, gdzie jest. Znali jego wolnomyślnych rodziców, jego kosztowną edukację, jedno i drugie na nic, i gorszące szczegóły jego małżeństw, co do jednego zakończonych rozwodami. Znali kafejkę w Camden Town, w której grywał w szachy z każdym frajerem, jaki się trafił. Prawdziwy dżentelmen, nawet jeśli on jest winien, powiedziano Wicklowowi, który występował w roli agenta rozwodowego. Posługując się zwykłymi pokrętnymi, lecz skutecznymi pretekstami, naszli jego siostrę w Hove, która go już opłakiwała, kupców w Hampstead, którzy prowadzili z nim korespondencję, zamężną córkę w Grantham, która go uwielbiała, i syna, starego wilka z City, który był tak powściągliwy, jakby złożył śluby milczenia.

Przeprowadzili rozmowy z członkami przypadkowo dobranego zespołu jazzowego, z którym czasami grywał na saksofonie, z księgowym w szpitalu, w którym odnotowano jego pobyt, i z pastorem kentyjskiego kościoła w Londynie, w którym ku zdumieniu wszystkich śpiewał jako tenor.

— Taki piękny głos, tylko rzadko się pojawia — powiedział pobłaźliwie pastor. Kiedy jednak chcieli, znowu z pomocą starego Palfreya, założyć mu podstępny telefoniczny, żeby trochę lepiej się przysłuchać temu pięknemu głosowi, nie było na co zakładać podstępu, ponieważ nie zapłacił rachunku.

Trafili nawet na jego ślad w naszej własnej kartotece. To znaczy, wyręczyli ich Amerykanie, co nie wzbudziło zachwyty naszych. Bo okazało się, że na początku lat sześćdziesiątych, kiedy każdy Anglik, który miał nieszczęście nosić podwójne nazwisko, był zagrożony rekrutacją do tajnych służb, nazwisko Barleya przesłano do Nowego Jorku celem prześwietlenia na mocy jakiegoś częściowo tylko przestrzegane dwustronnego układu o bezpieczeństwie. Brock, wściekły, jeszcze raz sprawdził w Centralnej Kartotece, gdzie wyparłszy się, jakoby cokolwiek o nim wiedzieli, wygrzebali jego fiszkę ze spisu ewentualnych kandydatów, jako tego, kto wciąż czeka na wprowadzenie do komputera. Idąc za tym śladem odnaleziono oryginalny formularz z danymi oraz korespondencję. Brock wpadł do pokoju Neda, jakby znalazł klucz do wszystkiego. Wiek: 22! Hobby: teatr i muzyka! Sport: zero! Powód zainteresowania się nim: kuzyn imieniem Lionel, służba w Gwardii Królewskiej!

Brakowało tylko kwitów kasowych. Oficer werbunkowy podjął Barleya lunchem w „Athenaeum” i przystemplował jego kartę: „żadnej dalszej działalności”, zadając sobie trud, żeby dopisać jeszcze własnoręcznie słówko „nigdy”-

Niemniej ten dziwny epizod sprzed z górą dwudziestu lat miał pewien nieokreślony wpływ na ich stosunek do niego, tak samo jak się z niepokojem

przez jakiś czas głowili nad dziwacznymi lewackimi powiązaniem starego Salisbury'ego Blaira, jego ojca. W ich oczach stawało to pod znakiem zapytania jego niezależność. Nie w oczach Neda, bo Ned był z twardszej gliny. Ale w oczach innych, Brocka i młodszych. Wzbudziło to w nich poczucie, że coś mu są winni, choćby tylko jako człowiekowi, który bezskutecznie chciał się dostać w krąg otaczającego ich mitu.

Przyczyną następnej frustracji był bezczelny samochód Barleya, który policja znalazła nieprawidłowo zaparkowany w Lexham Gardens z wgniecionym zewnętrznym błotnikiem, nieaktualnym prawem jazdy i połową butelki szkockiej w skrytce na rękawiczki obok pliku listów miłosnych pisanych ręką Barleya. Mieszkańcy uskarżali się na ten wóz już od tygodni.

— Odholować, stuknąć, wystawić mandat czy zwyczajnie dać na złom? — pytał Neda przez telefon usłużny inspektor służby drogowej.

— Zapomnieć — powiedział ze znużeniem Ned. Niemniej obydwaj z Brockiem pospieszili tam w próżnej nadziei, że znajdą jakąś wskazówkę. Okazało się, że te miłosne listy były pisane do pewnej damy w Gardens, ale mu je zwróciła. Jest ostatnią osobą na świecie, zapewniała ich tragicznym tonem, która mogłaby wiedzieć, gdzie Barley teraz przebywa.

Dopiero w następny czwartek, kiedy Ned cierpliwie sprawdzał wyciągi bankowe Barleya za ten miesiąc, wśród wydatków bez pokrycia znalazł stałe zlecenie kwartalnych wypłat dla firmy w Lizbonie na rzecz czyjejś tam nieruchomości w Limitada. Gapił się na nie nie wierząc własnym oczom. Gapił się dalej. Potem rzucił mięsem, choć na ogół nigdy nie kłął. Potem w pośpiechu zadzwonił do Wydziału Podróży i kazał im sprawdzić stare loty z Gatwick i Heathrow. Kiedy Podróże oddzwoniły, Ned zaklął znowu. Byli w domu. Całe to wydzwanianie, przesłuchania, dobijanie się do drzwi, naginanie prawa na wszystkie strony, armia obserwatorów, telegramy zaprzysiężonych służb łączności w połowie stolic świata, ich własna wychwalana Sekcja Archiwalna — wszystko to skompromitowane w oczach Amerykanów. Bo nikt, z kim rozmawiali, i żaden z wielu kierunków śledztwa nie wyjawiał jednego, zasadniczego, głupiego faktu: że dziesięć lat temu Barley Blair, powodowany kaprysem i odziedziczywszy głupie parę tysięcy dolarów po dalekiej ciotce, kupił sobie jakieś nędzne pied-a-terre w Lizbonie, gdzie przywykł regularnie wypoczywać od obowiązków swego bogatego życia duchowego. Mogła to być Kornwalia, mogła być Prowansja lub Timbaktu. Ale to właśnie Lizbona ściągnęła go do swej dzielnicy portowej, w pobliże prymitywnego parkingu i, jak na powonienie wielu, za blisko targu rybnego.

Wraz z tym odkryciem spłynął na Naszą Rosję spokój przed walką, a chudą twarz Brocka oblekła żółta wściekłość.

— Kto jest w tych dniach naszym wujaszkiem z Lizbony? — spytał go Ned, znowu pogodny jak letni wietrzyk.

Po czym zadzwonił do starego Palfreya alias Harry'ego i postawił go w stan stałego pogotowia, co, jakby powiedziała Hanna, świetnie określa moją sytuację.

Barley siedział przy barze, kiedy go Merridew znalazł. Usadowił się na wysokim stołku i perorował o naturze ludzkiej do jakiegoś zapitego emigranta, majora artylerii nazwiskiem Graves: majora Winslowa Gravesa, wciągniętego później na listę sprawdzonych i czystych kontaktów Barleya, co było jedynym jego tytułem, by dostać się do historii, i o czym zresztą nigdy się nie dowiedział. Długie, giętkie plecy Barleya odchylone były łukiem od otwartych drzwi, a drzwi te prowadziły na podwórze, toteż Merridew, tęgi trzydziestolatek, mógł nabrać tak potrzebnego tchu przed wejściem do gry. Uganiał się za Barleyem już pół dnia i nigdzie go nie zastawał, wpadając w coraz większą furję z każdą odprawą:

U Barleya, niecałe pięć minut drogi stąd, gdzie jakaś Angielka z prostackim akcentem powiedziała mu przez szparę na listy w drzwiach, żeby się wypchał.

W Bibliotece Brytyjskiej, gdzie bibliotekarka mu zameldowała, że Barley całe popołudnie przedumał nad książką, przez co bodajże chciała dać do zrozumienia — choć wyparła się tego w żywe oczy, kiedy otwarcie ją zapytał — że był w pijackim otępieniu.

I w odrażającej elżbietańskiej knajpie w Estorilu, gdzie Barley z przyjaciółmi zjedli w szampańskim nastroju zakrapianą alkoholem kolację pod plastikowymi muszkietami i skąd z hałasem wyszli niecałe pół godziny temu.

Hotel, który woli się skromnie nazywać *pensao*, był dawnym klasztorem, za czym Anglicy przepadają. Merridew musiał się wspiąć do niego po brukowanych schodach obrośniętych winem, a kiedy już wylazł na górę i ostrożnie się rozejrzył, musiał szybko lecieć z powrotem na dół i wysłać Brocka, żeby skoczył, ale to na jednej nodze, i zadzwonił do Neda z kawiarni na rogu. A potem jednak znów musiał się wspiąć na górę, co tłumaczyło, dlaczego był taki zasapany i bardziej niż zwykle zajeżdżony. Zapach chłodnego piaskowca i świeżo zmielonej kawy mieszał się z zapachem nocnych kwiatów. Merridew był na to nieczuły. Brak mu było tchu. Jedyne tło dla monologu Barleya stanowiły jęki dalekich tramwajów i porykiwania statków. Merridew był ich zupełnie nieświadomy.

— Ślepe dzieci nie potrafią gryźć, Gravey, stary uwodzicielu — cierpliwie tłumaczył Barley trzymając czubek swego pajęczego palca wskazującego na pępku majora, a łokieć na barze obok nie dokończonej partii szachów. — Fakt naukowy, Gravey. Ślepe dzieci trzeba uczyć gryźć. No, chodź. Zamknij oczy.

Czule przytrzymując oburącz głowę majora, Barley przysunął ją do siebie, rozchylił nie stawiające oporu szczęki i wsunął mu do ust parę orzeszków.

— Grzeczny chłopczyk. Na rozkaz chrup, chrup. Uważaj na język. Chrup. Jeszcze raz.

Jakby czekał na to hasło, Merridew wciągnął na maszt powitalny uśmiech i zaryzykował wejście do baru, gdzie go zaskoczyły dwie naturalnej wielkości rzeźby mulatek w dworskich sukniach, które znalazły się po obu stronach drzwi. Kolor włosów kasztanowaty, kolor oczu zielony, powtórzył sobie, upewniając się co do cech charakterystycznych Barleya, jakby to był koń. Wzrost sześć stóp zero cali, gładko ogolony, wyraża się wytwornie. Smukłej postaci, szczególne upodobania pod względem stroju. Szczególne, niech mnie, pomyślał gruby jak beczka Merridew, wciąż zasapany, przyglądając się płóciennej kurtce Barleya w stylu safari, szarym flanelowym spodniom i sandałom. Co według tych ostów z Londynu ma nosić w upalną noc w Lizbonie? Norki?

— Przepraszam — odezwał się uprzejmie Merridew. — Właśnie kogoś szukam. Czy nie mógłby mi pan pomóc?

— Co dowodzi, cipuniu mojej kochanej mamusi — kończył Barley, kiedy już ostrożnie przywrócił majora do pozycji pionowej — cytując sławną pieśń, że zjadanie ludzi jest złe mimo faktu, że wielki juju stworzył nas z mięsa.

— Bardzo przepraszam, ale mam wrażenie, że pan może być panem Bartholomew Scottem Blairem — powiedział Merridew. — Czy tak? Zgadza się?

Nie wypuszczając z rąk trzymanego za kłapy majora, żeby zapobiec militarnej kłęsce, Barley ostrożnie wykonał pół obrotu na barowym stołku i obejrzał sobie Merridew, poczynając od butów, a kończąc na jego uśmiechu.

— Jestem Merridew z ambasady, proszę pana. Tylko że jestem tu drugim sekretarzem handlowym. Strasznie mi przykro. Otrzymaliśmy swoim kanałem dosyć pilny telegram do pana. Uważamy, że powinien pan skoczyć i nie czekając go odebrać. Zechce pan?

Po czym Merridew nierozważnie pozwolił sobie na pretensjonalny gest, charakterystyczny dla tęgich oficjeli. Wyrzucił w górę ramię, stulił dłoń i ostentacyjnie przesunął nią po głowie, jakby się chciał upewnić, że włosy i nakrycie głowy ma wciąż na miejscu. I ten pański gest, wykonany przez tłuściocha w niskim pokoju, jak gdyby zbudził w Barleyu obawy, które inaczej zostałyby uśpione. Teraz jednak Barley niepokojąco otrzeźwiał.

— Chcesz mi powiedzieć, stary, że ktoś umarł? — spytał z tak napiętym uśmiechem, jak gdyby się gotował na jak najgorszy kawał.

— Ależ, proszę pana, proszę tak nie dramatyzować. To sprawa handlowa, nie konsularna. Inaczej nie wpłynęłaby naszymi kanałami. — I spróbował uspokajającego chichotu.

Ale Barley nie ustępował. Ani na krok. Wciąż zaglądał w przepaść, niezależnie od tego, gdzie wołał spoglądać sam Merridew.

— Więc o czym, u licha, właściwie gadamy? — zapytał.

— Nic, nic — wycofywał się Merridew, przestraszony. — Pilny telegram. Niech pan nie bierze tego tak do serca. Depesza dyplomatyczna.

— Kto twierdzi, że to pilne?

— Nikt. Nie mogę panu podać szczegółów przy wszystkich. To poufne. Tylko dla naszych oczu.

Zapomnieli, że on nosi okulary, pomyślał Merridew, spoglądając Bar-leyowi w oczy. Okragłe. W ciemnej oprawce. Za małe na jego oczy. Kiedy się na kogoś krzywi, zsuwa je na czubek nosa. Bierze człowieka na cel.

— Jeszcze nie słyszałem, żeby uczciwy dług nie mógł poczekać do poniedziałku — oświadczył Barley, odwracając się z powrotem do majora. — Rozluźnij się pan, Merridew. Napij się z motłochem.

Merridew mógł nie być najzwinniejszy ani najwyższy, ale potrafił nie popuścić, był przebiegły i jak wielu tłuściochów, miał nieoczekiwane rezerwy oburzenia, którym, jeśli było trzeba, potrafił dać ujście.

— Niech pan posłucha, panie Blair, pana sprawy mnie nie obchodzą, co stwierdzam z przyjemnością. Nie jestem komornikiem i nie jestem zwykłym posłańcem. Jestem dyplomatą i mam pewną pozycję. Pół dnia włączę się za panem, na dole czeka wóz z urzędnikiem, a ja mam jakieś prawo do prywatnego życia. Bardzo mi przykro.

Ten dialog mógł się ciągnąć bez końca, gdyby nie to, że major zainscenizował nieoczekiwany powrót do życia. Szarpnął barki do tyłu, przycisnął pięści do szwów spodni i rozdziawił usta w grymasie szacunku.

— Wezwanie królowej, Barley — szczeknął. — Ambasada to tutejszy pałac Buckingham. Zaproszenie jest rozkazem. Nie wolno ci obrażać Jej Wysokości.

— On nie jest Jej Wysokością — sprzeciwił się cierpliwie Barley. — Nie nosi korony.

Merridew się zastanawiał, czy nie powinien wezwać Brocka. Spróbował się uśmiechnąć uwodzicielsko, ale uwaga Barleya zablądziła już do alkowy, w której wazon z suchymi kwiatami zasłaniał pustą skrzynkę. Spróbował zawołać:

— No to co? W porządku? Jesteśmy umówieni?! — ale było to zupełnie tak, jakby wołał na żonę, która mu każe na siebie czekać przed wyjściem na proszoną kolację. Nieprzytomne spojrzenie Barleya tkwiło nadal w suchych kwiatkach. Zdawało się, że widzi w nich całe swoje życie, wszystkie błędne zakręty i fałszywe kroki od początku do końca. Po czym, kiedy Merridew tracił już nadzieję, Barley wziął się do pakowania swych rupiec w kieszenie sportowej kurtki według jakiegoś rytuału, jak gdyby się wybierał na safari: wymięty portfel pełen niezrealizowanych czeków i nieważnych kart kredytowych, paszport spleśniały od potu i zbyt wielu podróży, notatnik i ołówek, które zawsze miał przy sobie, by notować perły pijackiej mądrości do później-

szego rozważenia, kiedy już będzie trzeźwy. Kiedy to wszystko zrobił, rzucił na bar wysoki banknot jak ktoś, kto przez dłuższy czas nie będzie potrzebował pieniędzy.

— Odprowadź majora do taksówki, Manuel. To znaczy, sprowadź go ze schodów, wsadź na tylne siedzenie i zapłać z góry. Jak to zrobisz, możesz zatrzymać resztę. Do widzenia, Gravey. Dzięki za ubaw.

Spadła rosa. Młody księżyc leżał na wznak wśród wilgotnych gwiazd. Ruszyli schodami w dół, Merridew przodem, napominając Barleya, żeby dobrze uważał na stopnie. Port był pełen błędzących światel. Przy krawężniku czekała czarna limuzyna z plakietką „CD”. Za nią w ciemnościach majaczył niespokojnie Brock. Dalej z tyłu stał drugi nie oznakowany wóz.

— No właśnie, to jest Eddie — powiedział Merridew, przedstawiając ich. — Eddie, obawiam się, żeśmy zabawili trochę przydługo. Mam nadzieję, że załatwiłeś swój telefon.

— Zrobione — powiedział Brock.

— W domu wszystko w porządku? Maleństwa w łóżku i tak dalej? Stara nie urwie ci głowy?

— W porządku — warknął Brock tonem, który kazał Merridew się zamknąć.

Barley usiadł z przodu z głową odchyloną na oparcie, z zamkniętymi oczami. Prowadził Merridew. Brock siedział zupełnie nieruchomy z tyłu. Drugi wóz ruszył powoli jak każdy wprawny ogon.

— Zawsze pan tak jeździ do ambasady? — zapytał Barley z tej pozornej drzemki.

— Właśnie, dyżurny, widzi pan, zabrał telegram ze sobą do domu — wylewnie tłumaczył Merridew, jak gdyby odpowiadał na wyjątkowo bystrą uwagę. — Na każdy weekend musimy barykadować ambasadę z obawy przed Irlandczykami. Tak. — Włączył radio. Niski alt rozszło chał się w soczystym lamencie. — Fado — orzekł Merridew. — Uwielbiam Fado. Chyba dlatego tu jestem. Na pewno. Na pewno wypisałem Fado starając się o tę placówkę. — Zaczął dyrygować wolną ręką. — Fado — wyjaśnił.

— To wyście nachodzili moją córkę z jakimiś idiotycznymi pytaniami? — zapytał Barley.

— O, obawiam się, że my się zajmujemy tylko handlem — powiedział Merridew, wciąż dyrygując, jak potrafił. Ale już w duchu poważnie go zaniepokoił fakt, że Barley nie jest naiwny. To ich zmartwienie, nie moje, pomyślał, czując na prawym policzku nie powściągane spojrzenie Barleya. Jeżeli Centrala musi się dzisiaj liczyć z czymś takim, to niech mnie Bóg zachowa przed stanowiskiem w kraju.

Dom w mieście wynajęli od dawnego pracownika resortu, brytyjskiego bankiera, który miał drugi dom w Cintra. Stary Palfrey dobił za nich targu. Nie chcieli żadnych urzędowych lokali, nic, co by potem można było użyć przeciw

nim. Ale atmosfera epoki i stylu miała swoją wymowę. Powozowa latarnia z kutego żelaza oświetlała sklepione wejście. Granitowe płyty były rowkowane, żeby konie się nie ślizgały. Merridew zadzwonił. Brock na wszelki wypadek zamknął się na dobre.

— Halo. Wchodźcie — powiedział uprzejmie Ned otwierając olbrzymie, ozdobione spiralnym ornamentem drzwi.

— No, to ja znikam — powiedział Merridew. — Wspaniale, świetnie.

I osłaniając dalszy odwrót mamrotem pomknął do wozu, zanim ktoś zdołał mu przeszkodzić. W tym czasie ten drugi wóz przejechał jak przyjaciel, który odprowadza przyjaciela pod próg w noc pełną niebezpieczeństw.

Przez dłuższą chwilę, podczas gdy Brock przyglądał im się z boku, Ned z Barleyem szacowali się nawzajem, jak to tylko potrafia Anglicy tego samego wzrostu, klasy i kształtu głowy. I chociaż Ned z wyglądu był wzorem dyskretnego angielskiego opanowania i zrównoważenia, a wobec tego całkowitym przeciwieństwem Barleya, i choć Barley był niezgrabny i kościsty, o twarzy, która nawet w spoczynku wyrażała zdecydowaną wolę dotarcia poza to, co oczywiste, nadal mieli w sobie tyle wspólnego, że mogli się rozpoznać. Przez zamknięte drzwi dobiegał szmer męskich głosów, ale Ned zachował się, jakby ich nie słyszał. Zaprowadził Barleya przez korytarz do biblioteki i powiedział:

— Proszę tu — podczas gdy Brock został w hallu.

— Bardzo pan jest pijany? — spytał Ned, zniżając głos i podając Barleyowi szklanekę wody z lodem.

— Nie — powiedział Barley. — Kto mnie uprowadził? I co się dzieje?

— Jestem Ned. Zaraz to panu wytłumaczę. Nie ma żadnego telegramu, Nic szczególnego się nie dzieje w pańskich interesach. Nikt nikogo nie uprowadził. Jestem z brytyjskiego wywiadu. Tak samo ludzie, którzy na pana czekają obok. Kiedyś pan się do nas zgłaszał. Teraz ma pan szansę pomóc.

Zapadło milczenie, podczas gdy Ned czekał na odpowiedź Barleya. Byli dokładnie w tym samym wieku. Od dwudziestu pięciu lat, występując w różnych przebraniach, Ned przedstawiał się jako brytyjski tajny agent ludziom, których potrzebował. Ale ten oto człowiek był jego pierwszym klientem, który nic nie powiedział, nie mrugnął, nie uśmiechnął się ani nie cofnął i nie okazał bodaj najmniejszego zaskoczenia.

— Nic nie wiem — powiedział Barley.

— Może chcemy, żeby się pan czegoś dowiedział.

— Dowiadujcie się sami.

— Nie możemy. Bez pana. Dlatego tu jesteśmy.

Barleya zniosło w stronę półek z książkami. Przechylił głowę i zerkał nad swoimi okrągłymi okularkami na tytuły, popijając wodę.

— Najpierw zajmujecie się handlem, teraz jesteście wywiadem.
— Dlaczego nie porozmawia pan z ambasadorem?
— To błazen. Byłem z nim w Cambridge. — Wyjął jakąś książkę w twardej oprawie i zerknął na kartę tytułową. — Bzdura — orzekł z pogardą. — Chyba je kupują na kopy. Czyj to dom?
— Ambasador poświadczy za mnie. Jak go pan spyta, czy może zagrać w golfa w czwartek, odpowie, że dopiero po piątej.
— Nie gram w golfa — powiedział Barley, przyjmując inny ton. — Ostatnio nie gram w nic. Zarzuciłem wszystkie sporty.
— Poza szachami — podsunął Ned, podając mu otwartą książkę telefoniczną. Wzruszywszy ramionami Barley nakręcił numer. Kiedy usłyszał ambasadora, uśmiechnął się łobuzersko, choć z pewnym zmieszaniem.
— Tubby? Tu Barley Blair. Co powiesz na partyjkę golfa we czwartek? Dobrze ci zrobi na wątrobę.
Kwaśny głos odpowiedział, że jest zajęty do piątej.
— O piątej to już po herbacie — odpalił Barley. — W tym tempie gralibyśmy po ciemku... Odłożył słuchawkę, głupi palant — użalił się potrząsając milczącą słuchawką. Potem zobaczył rękę Neda na widełkach.
— Obawiam się, że to nie żarty — powiedział Ned. — Właściwie to bardzo poważna sprawa.
Znów zagubiony we własnych rozmyślaniach Barley odłożył słuchawkę.
— Granica pomiędzy bardzo poważną a bardzo śmieszną jest właściwie bardzo cienka — zauważył.
— No to przekroczymy ją — powiedział Ned.
Rozmowa za drzwiami umilkła. Barley przekręcił gałkę i wszedł. Ned za nim. Brock został w hallu, żeby pilnować drzwi. Wysłuchaliśmy wszystkiego z podsłuchu.

Jeżeli Barley był ciekaw tego spotkania, to my byliśmy nie mniej. Dziwna to gra wywracać czyjeś życie na nice nie widząc człowieka. Wszedł powoli. Zrobił kilka kroków od drzwi i stanął, długie ręce wisały mu luźno u boków, gdy Ned w połowie drogi do stołu dokonał tych wyłącznie męskich prezentacji.

— To jest Clive, to Walter, a tam Bob. A to Harry. Poznajcie Barleya.

Barley ledwie skinął głową przy wymienianiu ich imion. Robił wrażenie, że woli świadectwo własnych oczu od tego, co mu kto powie.

Zainteresowały go ozdobne meble i kępa pospolitych roślin doniczkowych. Jak również drzewko pomarańczowe. Dotknął jednego z owoców, pogłaskał liść, po czym delikatnie powąchał palec wskazujący i kciuk, jak gdyby sprawdzał, czy drzewko jest prawdziwe. Był w nim jakiś bierny gniew, który dopiero szukał uzasadnienia. Chyba gniew spowodowany tym, że go

obudzono. Że go wybrano i wezwano — jak mówiła Hanna, czego ja bałem się najbardziej.

Pamiętam też, jak pomyślałem, że jest elegancki. Bóg mi świadkiem, że nie z powodu tych lachów, które miał na sobie. Ale w ruchach, w tej swojej staroświeckiej rycerskości. We wrodzonej kurtuazji, mimo że ją powściągał.

— A nazwisk się przypadkiem nie dorobiliście? — zapytał Barley, kiedy skończył inspekcję pokoju.

— Obawiam się, że nie — powiedział Clive.

— Bo w zeszłym tygodniu odwiedził moją córkę Antheę niejaki pan Rigby. Powiedział, że jest inspektorem podatkowym. Jakieś brednie, że chce wyjaśnić fałszywe zeznanie. Czy to któryś z was, błazny?

— Z tego, co słyszę, to chyba któryś z naszych ludzi — przyznał Clive z beczelnością faceta, który nie będzie się wysilał, żeby skłamać.

Barley popatrzył na Clive'a, typ Anglika o twarzy jakby zabalsamowanej w czasie, kiedy jeszcze był królewiczem, na jego inteligentne, nieustępliwe oczy z pustką w środku, na tę ruinę, jaka się kryła pod spodem. Potem na Waltera, gładkiego, szczupłego i rozbawionego, błazna-Falstaffa ze świetlicy dla bogatszych studentów. A z Waltera jego spojrzenie przeniosło się na Boba, odnotowując jego patrycjuszowską klasę, poważniejszy wiek, swobodę dobrotliwego wujaszka i brązy, jakie nosił zamiast szarości i granatów. Bob siedział rozwalony, z wysuniętymi przed siebie nogami i jedną ręką władczo przerzuconą przez oparcie krzesła. Z kieszonki na chusteczkę wystawały mu półszkła w złotej oprawce. Podeszwy jego splekanych butów mahoniowego koloru były jak żelazka.

— Ja tu nie należę do rodziny — oświadczył Bob z zadowoleniem, głębokim głosem, rozwlekłym akcentem Bostończyka. — Chyba też jestem tu najstarszy i nie chcę występować w fałszywych barwach. Mam pięćdziesiąt osiem lat, tak mi dopomóż Bóg, i pracuję dla Centralnej Agencji Wywiadów czej, która jak może wiesz, ma bazę w Langley, w stanie Wirginia. Ja mam nazwisko, ale nie będę cię obrażał częstując nim, bo na pewno niewiele ma wspólnego z prawdziwym. — Uniósł w leniwym pozdrowieniu dłoń pokrytą wątrobianymi plamami. — To zaszczyt, że cię mogę poznać, Barley. Zabawmy się. Zróbmy coś dobrego.

Barley z powrotem odwrócił się do Neda.

— No, to rzeczywiście może być coś zabawnego — powiedział, choć bez śladu zapału. — Więc dokąd się wybieramy? Do Nikaragui? Chile? Salwadoru? Iranu? Jeżeli chcecie zamordować kogoś z przywódców Trzeciego Świata, jestem do usług.

— Bez deklamacji — rzekł Clive, choć deklamacje były chyba ostatnią rzeczą, jaką grzeszył Barley. — Nie jesteśmy lepsi od bandy Boba, i to samo robimy. Ponadto nas obowiązuje tajemnica urzędowa, a ich nie, i spodziewa my się, że nam podpiszesz odpowiedni dokument.

Na co Clive skinął w moją stronę, czym spowodował, że Barley — jakże słusznie, choć późno — dostrzegł moją obecność. Zawsze się staram przy takich okazjach siadać trochę z boku i tak samo było tego wieczora. Chyba nie wyzbyłem się tej resztki złudzeń, że jestem urzędnikiem sądowym. Barley spojrzał na mnie i na chwilę wytrąciła mnie z równowagi zwierzęca bezpośredniość jego spojrzenia. Nie pasowała jakoś do szkicu jego wizerunku, jaki sobie stworzyliśmy. Ale Barley, zmierzwszy mnie wzrokiem i ujrawszy nie wiem co, wziął się do szczegółowszej lustracji pokoju.

Pokój urządzony był pretensjonalnie i Barley mógł pomyśleć, że należy on do Clive'a. Z pewnością byłby w guście Clive'a, gdyż Clive był mieszczański w tym sensie, że nie zdawał sobie sprawy z istnienia lepszych gustów. Stały tu rzeźbione trony i obite perkalem sofy, a na ścianach wisiały elektryczne świece. Stół, przy którym mogłaby zasiąść cała konferencja pokojowa, stał na podwyższeniu w alkowie wśród płujących się drzewek kauczukowych w dzbanach Ali Baby.

— Dlaczegoś nie pojechał do Moskwy? — spytał Clive już nie czekając, aż Barley usiądzie. — Spodziewano się tam ciebie. Wynająłeś stoisko, zarezerwowałeś samolot i hotel. Aleś się nie pokazał i nie zapłaciłeś. Zamiast tego przyjechałeś z jakąś babą do Lizbony. Dlaczego?

— Wolałbyś, żebyśmy przyjechał z chłopakiem? — spytał Barley. — Co to obchodzi ciebie i CIA, czy przyjechałem tu z kobietą, czy z oswojoną kaczką?

Odsunął krzesło i usiadł, bardziej z przekory niż z posłuszeństwa.

Clive skinął na mnie i wykonałem swój rutynowy numer. Wstałem, okrążyłem ten nedorzeczny stół i położyłem przed Barleyem formularz przyrzeczenia o tajemnicy służbowej. Wydobyłem z kieszeni bardzo ważne pióro i podałem mu je z powagą karawaniarza. On jednak wpatrywał się w jakiś punkt poza tym pokojem w coś, co zaobserwowałem wtedy, a potem jeszcze wiele razy w ciągu najbliższych miesięcy, a mianowicie, że ma zwyczaj spoglądać gdzieś poza obecnych, na jakieś swoje własne zagrożone terytorium, i że wybuchy głośnej gadatliwości służą mu jako środek egzorcyz-mowania duchów, których nikt poza nim nie widzi. I że potrafi, ni z tego, ni z owego, trzaskać palcami, jakby chciał powiedzieć: „No, to uzgodnione”, mimo że nikt nie słyszał, aby padła jakaś propozycja.

— Podpiszysz? — zapytał Clive.

— A co zrobicie, jeżeli nie podpiszę? — zapytał Barley.

— Nic. Bo oświadczam ci teraz formalnie i w obecności świadków, że to spotkanie i wszystko, co zajdzie między nami, jest tajemnicą. Harry jest prawnikiem.

— Obawiam się, że to prawda — przyznałem.

Barley odepchnął od siebie przez całą szerokość stołu nie podpisany formularz.

— A ja ci oświadczam, że jak będę miał ochotę, to wymaluję to na murze — powiedział z równym spokojem.

Wróciłem na miejsce, zabierając swoje ważne pióro.

— Zdaje się, że i w Londynie niezgorzej narozrabiałeś przed wyjazdem — zauważył Clive odkładając formularz z powrotem do teczki. — Wszędzie długi. Nikt nie wie, gdzie jesteś. Zalane łzami kochanki. Chcesz sam się zniszczyć, czy co?

— Odziedziczyłem skłonności romantyczne — powiedział Barley.

— A cóż to ma znaczyć, u Boga Ojca? — zapytał Clive, nie speszony własną ignorancją. — To ma być zgrabne słówko na nieprzyzwoitą literaturę?

— Dziadek założył w wydawnictwie kącik powieści dla pokojówek. W tamtych czasach miewało się pokojówki. Ojciec to nazwał „powieść masowa” i zachował tradycję.

Jednego Boba tknęło, żeby przyjść mu z pomocą.

— Do licha, Barley! — zawołał. — A cóż to złego literatura romantyczna? Lepsze niż ta mierzwa, którą teraz wydają. Zona czyta tego na kopy. Jej to nigdy nie zaszkodziło.

— Jeżeli ci się nie podobają książki, jakie wydajesz, dlaczego nie wydajesz innych? — zapytał Clive, który nigdy nic nie czytał poza dokumentami resortu i pravicową prasą.

— Mam Radę Programową — odpowiedział znużonym głosem Barley, jakby mówił do męczącego dzieciaka. — Mam Radę powierniczą. Mam drobnych udziałowców. Mam ciotki. Oni wszyscy lubią ten stary bezpieczny profil. Porady. Powieści. Sprzedaż wiązana. Ptaki Imperium Brytyjskiego. — Spojrzenie na Boba. — W łonie CIA.

— Dlaczegoś nie pojechał na targi audio do Moskwy? — powtórzył Clive.

— Ciotki odwołały mecz.

— Może byś nam to wytłumaczył.

— Planowałem wejść z firmą w rynek kasetowy. Rodzina to wykryła i była zdania, że nie powinienem. Koniec. Kropka.

— Więc uciekleś — powiedział Clive. — Zawsze to robisz, kiedy ci ktoś pokrzyżuje plany? Może nam powiesz, o co chodzi w tym liście? — zaproponował i nie patrząc na Barleya pchnął list przez stół do Neda.

Nie oryginał. Oryginalny list był w Langley, badany przez całą armię techników na wszystkie strony, począwszy od odcisków palców aż po testy na zarazki Legionu Amerykańskiego. Było to facsimile sporządzone według drobiazgowych instrukcji Neda, łącznie z zaklejoną brunatną kopertą z napisem „Do rąk własnych pana Bartholomew Scotta Blaira, pilne”, charakterem pisma Katii, następnie rozciętą nożem do papieru na dowód, że po drodze została otwarta. Clive wręczył ją Nedowi. Ned podał Barleydwi. Walter podrapał się pazurami po czaszce, a Bob patrzył przed siebie wielkodusznie

jak równy chłop, który dał na to wszystko forszę. Barley rzucił okiem w moją stronę, jakby mianował się moim klientem. Co z tym zrobić? — pytały jego oczy. Mam to przeczytać, czy odrzucić? Mam nadzieję, że pozostałem bierny. Nie miewam już klientów. Mam resort.

— Przeczytaj powoli — ostrzegł Ned.

— Masz dużo czasu, Barley — dodał Bob.

Ileż to razy przez ostatni tydzień każdy z nas czytał ten list? — zastanawiałem się patrząc, jak Barley bada kopertę oglądając ją z jednej i drugiej strony. Jak ją odsuwa od siebie i przybliża podniósłszy okrągłe okulary jak gogle na czoło. Iluż to opinii wysłuchali i odrzucili? Pisany w pociągu, oświadczyło sześciu ekspertów z Langley. W łóżku, orzekło dalszych trzech z Londynu. Na tylnym siedzeniu samochodu. W pośpiechu, dla kawału, z miłości, ze strachu. Przez kobietę, przez mężczyznę. Przez mańkuta, przez praworęcznego. To ktoś, kto normalnie pisze cyrylicą, alfabetem łańskim, jednym i drugim, ani jednym, ani drugim.

Na zakończenie tej komedii zwrócili się nawet o radę do starego Palfreya. „Zgodnie z naszym prawem właścicielem listu w jego fizycznej postaci jest odbiorca, podczas gdy prawa autorskie zachowuje autor” — orzekłem. — „Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś was przeprowadził przez sowieckie sądy”. Nie wiedziałam, czy moja opinia ich zmartwiła, czy przyniosła im ulgę.

— Poznajesz to pismo czy nie? — zapytał Clive Barleya.

Wtykając długie palce w kopertę Barley wreszcie wyłowił list, ale lekceważąco, jak gdyby wciąż trochę się spodziewał, że to będzie rachunek. Potem znieruchomiał. Zdjął te dziwaczne okulary i położył je na stole. Potem, razem z krzesłem, odwrócił się tyłem do wszystkich. A kiedy zaczął czytać, twarz ściągnął mu grymas. Dokończył pierwszej strony, po czym szukając podpisu rzucił okiem na koniec listu. Wrócił na drugą stronę i przeczytał list do końca. Potem jednym tchem przeczytał raz jeszcze wszystko od początku do końca, od „Kochany Barleyu” aż po „pozdrowienia, K.”. Po czym zazdrośnie oburącz przycisnął list do łona i pochylił się nad nim całym torsem, tak że przypadkiem jego twarz stała się niewidoczna dla wszystkich, a kosmyk włosów jak haczyk opadł mu na czoło i jego prywatna modlitwa pozostała jego osobistą tajemnicą.

— Stuknięta — oznajmił w mrok pod sobą. — Zdeklarowana, absolutna wariatka. Nawet jej tam nie było.

Nikt nie zapytał, co za ona i co za tam. Nawet Clive znał wartość milczenia.

— Rozumiem, że K. to skrót od Katia, skrót od Jekaterina — pisał Walter odczekawszy jeszcze trochę. — Po ojcu Borisowna. — Był w przekrzywionej muszce, żółtej w brązowo-pomarańczowy wzór.

— Nie znam żadnej K., nie znam żadnej Katii, nie znam ani jednej Jekateriny. Ditto Borysowny. Nigdy żadnej nie przeleciałem, nigdy z żadną

nie flirtowałem, nigdy żadnej nie zrobiłem propozycji, nawet nigdy się z żadną nie ożeniłem. Nigdy nie poznałem żadnej, o ile pamiętam. Chociaż tak.

Czekali, ja czekałem. I moglibyśmy tak czekać całą noc, krzesło by nie skrzypnęło, nikt by nawet nie odchrząknął, podczas gdy Barley przetrząsałby swoją pamięć w poszukiwaniu Katii.

— Stara krowa z „Aurory” — podsumował Barley. — Chciała mi wtrynić jakieś reprodukcje rosyjskiego malarstwa. Nie wziąłem przynęty. Ciotki chyba-by wykorkowały.

— Z „Aurory”? — spytał Clive, nie wiedząc, ca/ to miasto, czy jakiś państwowy urząd.

— To wydawnictwo.

— Pamiętasz jej nazwisko?

Barley pokręcił głową, wciąż nie pokazując twarzy.

— Z brodą — powiedział. — Katia brodata. Dziewięćdziesiąt w cieniu.

Głęboki głos Boba miał właściwości stereofoniczne i dar zmieniania biegu rzeczy przez samą swą donośność.

— Nie przeczytałbyś go na głos, Barley?! — zawołał z prostotą starego druha. — Może jak go przeczytasz na głos, odświeżysz sobie pamięć. Nie chcesz spróbować, Barley?

Barley, Barley, wszyscy byli jego kumplami, z wyjątkiem Clive'a, który ani razu, o ile pamiętam, nie zwrócił się do niego inaczej jak „Blair”.

— O tak, zrób to, proszę. Przeczytaj ten list na głos — powiedział Clive zmieniając prośbę w rozkaz, a Barley ku memu zdziwieniu uznał to chyba za dobry pomysł. Rozprostowując plecy jednym ruchem, jakby był pozbawiony stawów, tak odwrócił tors, że światło padło zarówno na list, jak na jego twarz. Z marszem na czole, jak przedtem, zaczął głośno czytać przybierając wystudiowaną pozę.

— „Kochany Barleyu — odczytał nagłówek i zaczął jeszcze raz. — Kochany Barleyu, czy pamiętasz, co mi obiecałeś pewnej nocy w Pieredeł-kino, gdyśmy leżeli na werandzie daczki znajomych i deklamowali sobie wiersze wielkiego rosyjskiego mistyka, który kochał Anglię? Przysięgałeś mi, że zawsze będziesz wyżej stawiał ludzkość niż narody i kiedy przyjdzie czas, postąpisz jak uczciwy człowiek”.

Znów przerwał.

— I nic w tym prawdy? — zapytał Clive.

— Mówiłem wam, nigdy tej wiedzy nie spotkałem!

W zaprzeczeniu Barleya była stanowczość, której przedtem się nie wyczowało. Odsuwał coś, co było dla niego groźne.

— „Więc teraz proszę cię, żebyś dotrzymał obietnicy, choć może nie w ten sposób, jak to sobie wyobrażaliśmy tamtej nocy, gdyśmy postanowili zostać kochankami”. Kompletna bzdura — mruknął. — Wszystko się krowie popieprzyło. „Oto moja prośba: abys zaprezentował tę książkę Anglikom,

którzy myślą tak jak my. Zrób to dla mnie i wydaj ją, wykorzystując argumenty, które z takim ogniem prezentowałeś. Daj ją naszym naukowcom, artystom i inteligencji i powiedz im, że to jest pierwszy kamień, który poruszy lawinę, i że następny muszą rzucić sami. Powiedz im, że wobec tej nowej jawności możemy iść razem, aby zniszczyć zniszczenie i wykastrować potwora stworzonego przez nas samych. Zapytaj ich, co jest groźniejsze dla ludzkości: poddawać się jak niewolnik czy protestować jak człowiek? Liczę na to, że postąpisz jak uczciwy człowiek, Barley. Kocham Anglię Hercena i ciebie. Pozdrawiam. K." Co to za jedna, u diabła? Urwała się z choinki. Zresztą oboje. Zostawiając list na stole Barley powędrował w ciemny kąt pokoju klnąc po cichu i waląc pięścią powietrze.

— Czego, u diabła, ta kobieta chce? — protestował. — Pomieszała dwie zupełnie różne historie. Ale, ale, gdzie jest ta książka?

Przypomniał sobie o nas i znów stanął przed nami.

— Książka jest w bezpiecznym miejscu — powiedział Clive, zerkając na mnie z boku.

— Przepraszam, ale gdzie? Jest moja.

— Uznaliśmy, że należy raczej do jej przyjaciela — powiedział Clive.

— To mnie została powierzona. Słyszeliście, co pisze. Ja jestem jego wydawcą. Jest moja. Nie macie do niej żadnych praw.

Okopał się akurat tam, gdzieśmy go nie chcieli wpuścić. Ale Clive sprytnie skierował jego uwagę na co innego.

— On? — powtórzył. — Chcesz powiedzieć, że Katia to mężczyzna? Dlaczego mówisz „on”? Coś kręcisz. Jesteś krętacz.

Spodziewałem się tego wybuchu wcześniej. Już wcześniej czułem, że potulność Barleya to zawieszenie broni, nie kapitulacja, i że Clive, ilekroć skraca mu cugle, tym bardziej prowokuje go do buntu. Toteż kiedy Barley skoczył do stołu i uniósł wiotkie ręce w geście, który z powodzeniem mógł wyrażać potulną bezradność, wcale nie oczekiwałem, że udzieli Clive'owi spokojnie wyważonej odpowiedzi. Ale nawet ja nie doceniłem siły tej detonacji.

— Nie macie cholernego prawa! — wrzasnął Clive'owi prosto w nos, tak mocno waląc dłońmi w stół, że aż podskoczyły leżące przede mną papiery. Z hallu wpadł Brock. Ned musiał mu kazać wracać. — To mój rękopis. Przesłany mi przez mojego autora. Żebym ja go ocenił w dogodnym dla mnie czasie. Nie macie prawa mi go kraść, czytać czy zatrzymywać. Dawajcie książkę i wynoście się na tę swoją plugawą wyspę. — Machnął ręką w stronę Boba. — I zabierajcie z sobą tego swojego bramina z Bostonu!

— Na s z ą wyspę — przypomniał mu Clive. — Ta książka, jak ją nazywasz, nie jest wcale książką i ani ty, ani my nie mamy do niej żadnego prawa — ciągnął mrozącym tonem i niezgodnie z prawdą. — Nie interesuje mnie twoja szacowna etyka wydawcy. Ani nikogo tutaj. Wiemy tylko, że ten

rękopis zawiera tajemnice wojskowe dotyczące Związku Sowieckiego, które, zakładając, że są zgodne z prawdą, mają istotne znaczenie dla obrony Zachodu. A dzięki Bogu — zakładam — i ty się wywodzisz z zachodniej półkuli. Co byś zrobił na naszym miejscu? Zignorowałbyś to? Wyrzucił do morza? Czy też spróbowałbyś dojść, jak to się stało, że jest zaadresowana do podupadającego brytyjskiego wydawcy?

— Chce, żeby ją wydać! Żeby ją wydać! Nie żeby leżała schowana w waszych lochach!

— Właśnie — powiedział Clive znów spoglądając na mnie.

— Rękopis został oficjalnie skonfiskowany i uznany za ściśle tajny — powiedziałem. — Podlega tym samym restrykcjom, co nasze tu spotkanie. Nawet większym. — Mój wykładowca prawa przewracał się pewnie w grobie, obawiam się, że nie po raz pierwszy. Ale zawsze mnie zdumiewa, co może wskórać prawnik, kiedy nikt nie zna prawa.

Minutę i czternaście sekund trwało milczenie zarejestrowane na taśmie. Ned sprawdził to ze stoperem po powrocie do Naszej Rosji. Czekał na to, nawet z góry się na to cieszył, a jednak się przestraszył, że to jedna z tych koszmarnych usterek, które zawsze się zdarzają przy nagrywaniu w decydujących chwilach. Kiedy jednak lepiej się wsłuchał, uchwycił warkot jakiegoś auta w dali i strzep dziewczącego śmiechu za oknem, Barley bowiem tymczasem jednym szarpnięciem rozsunał zasłony i wpatrywał się w placyk. Tak więc przez minutę i czternaście sekund obserwowaliśmy dziwnie wymowne plecy Barleya rysujące się na tle lizbońskiej nocy. Dalej następuje straszliwy trzask, jakby ktoś rozwalił naraz kilka szyb, a po nim oleisty chłupot, i można by przypuszczać, że to Barley odgrywa długo odkładany wybuch, rozwalając przy okazji ozdobne portugalskie plafony i karbowane wazony. W rzeczywistości jednak cały ten hałas to tylko odgłos świadczący o tym, że Barley znalazł barek, wrzuca trzy kostki lodu do kryształowej szklanki i wlewa na nie obficie szkocką, a wszystko to w odległości paru cali od mikrofonu, który Brock z charakterystyczną dla siebie nadgorliwością ukrył w jednej z gęsto rzeźbionych przegródek barku.

4

Założył sobie bazę w swoim końcu pokoju, na twardym szkolnym krześle, najdalej od nas, jak tylko się dało. Przysiadł bokiem do nas, pochylony nad szklanką whisky, którą trzymał oburącz, i wpatrzony w nią jak jakiś wielki albo przynajmniej samotny myśliciel. Mówił do siebie, nie do nas, jadownie i z emfazą, nie ruszając się, jeśli nie liczyć pociągania ze szklanki i kiwania głową z uznaniem dla jakichś tylko jemu znanych i zwykle oderwanych momentów narracji. Mówił z pedanterią, a jednocześnie niedowierzaniem,

z jakimi ludzie opowiadają zwykle jakieś dramatyczne epizody, w rodzaju czyjejś śmierci lub wypadku ulicznego. Więc było to t a m, a ty stałeś t u, a ten facet nadszedł s t a m t a d.

— To były ostatnie targi książki w Moskwie. Niedziela. Nie niedziela przed, ale niedziela po — powiedział.

— We wrześniu — podsunął Ned, na co Barley pokiwał głową i mruknął:

— Dzięki — jakby szczerze wdzięczny za to szturchnięcie. Potem zmarszczył nos, pogmerał przy okularach i zaczął jeszcze raz. — Rozdrapali nas pomiędzy siebie — powiedział. — Większość wystawców wyniosła się w piątek. Została jeszcze tylko garstka. Ci, co mieli w kontrakcie uprzątnięcie albo żadnego szczególnego powodu, żeby śpieszyć się z powrotem.

Zniewalała i przyciągała uwagę. Trudno było nie czuć do niego słabości, kiedy tam tkwił sam jeden. Trudno było nie pomyśleć: No, wal, bracie. Tym bardziej że żaden z nas nie wiedział, do czego zmierza.

— W sobotę wieczór spiliśmy się i w niedzielę pojechaliśmy wszyscy do Pieredelkina wozem Jumba. — Znów jakby musiał sobie przypomnieć, że ma słuchaczy. — Pieredelkino to osiedle dla sowieckich pisarzy — wyjaśnił, jakby nikt z nas o tym nie słyszał. — Dostają tam dacje, dopóki są grzeczni. Rządzą tym Związek Literatów na zasadzie ściśle dla członków związku; oni decydują, kto dostaje dację, kto najlepiej pisze w więzieniu, a kto wcale.

— Kto to jest Jumbo? — spytał Ned, który prawie się nie wtrącał.

— Jumbo Oliphant. Peter Oliphant. Prezes firmy Lupus Books. Teoretyk szkockiego faszyzmu. Mason czarnego pasa. Zdaje mu się, że nadaje Sowiетom na specjalnej długości fal. Złoty bilet wstępu. — Przypomniał sobie Boba i skinął brodą w jego stronę. — Nie na American Express, obawiam się. Złoty bilet na moskiewskie targi książki, przyznany przez rosyjskich organizatorów, świadczący o tym, jaka z niego wielka fisza. Samochód darmo, tłumacz darmo, hotel darmo i kawior darmo. Jumbo się urodził ze złotym biletem w zębach.

Bob wyszczerzył się aż za szeroko, żeby pokazać, że żart został wzięty za dobrą monetę. Ale Bob był wielkoduszny i Barley to dostrzegł. Barley, przyszło mi do głowy, to jeden z tych, co dobrego człowieka poznają na odległość, tak jak i sam nie potrafi ukryć swojej przystępności.

— Więc się wybraliśmy wszyscy — podjął Barley, wracając do wspomnień. — Oliphant z Lupusa,, Emery z Bodley Head. I jakaś dziewczyna z Penguin Books, nie pamiętam imienia. O, przypominam sobie, Magda. Jak, u licha, mogłem zapomnieć jakąś Magdę? I Blair z A-B.

Jechali jak nababy w tej idiotycznej limuzynie Jumba, mówił Barley, wyrzucając krótkie zdania ze skarbnicy pamięci. Zwykły wóz to za mało dla naszego Jumba, musiała to być cholerna czajka z firaneczkami w sypialni, bez hamulców i z gorylem, któremu śmierzdziało z gęby, za kierownicą. W planie

mieli rzucić okiem na daczę Pasternaka, o której chodziły słuchy, że ma być mianowana muzeum, choć według innych plotek te skurwiele chciały ją zburzyć. Może i grób też. Jumbo Oliphant z początku nie wiedział, kto to był Pasternak, ale Magda szepnęła „Żywago”, a Jumbo widział Hilm, jak powiedział Barley. Nic ich nie poganiało, chcieli tylko przejechać się kawałek i łyknąć świeżego powietrza. Ale kierowca Jumba skorzystał ze specjalnego pasa zarezerwowanego dla urzędowych piratów szos w czajkach, odbyli więc tę podróż w jakieś dziesięć sekund zamiast godziny, zaparkowali w kałuży i poczłapali na cmentarz, jeszcze dygocąc po tej jeździe, szczęśliwi, że żyją.

— Cmentarz na wzgórzu w gęstwinie drzew. Kierowca zostaje w wozie. Deszcz. Niewielki, ale on się bał o ten swój koszmarny garnitur. — Urwał, kontemplując kierowcę. — Stuknięty bydlak — mruknął.

Ale ja miałem wrażenie, że Barley kpi z siebie, nie z kierowcy. Jak gdybym słyszał w nim cały chór samooskarżeń — zastanawiałem się, czy i tamci to słyszą. Siedzieli w nim jacyś ludzie, którzy go naprawdę przyprawiali o szaleństwo.

Rzecz w tym, wyjaśnił Barley, że akurat zjawili się tam w dniu, w którym wyległy wyzwolone masy w całej sile. Dawniej, mówił, ilekroć się tam znalazł, nie było żywego ducha. Tylko grobowce za płótkami i upiorne drzewa. Ale tej wrześniei niedzieli z nieznanym zapachem wolności w powietrzu wokół grobu zebrało się blisko dwustu wielbicieli, cały czas ścigali następnego; wszelkiej maści. Na grobie leżało po kolana kwiatów, powiedział Barley. Napój ofiarny lał się bez przerwy. Ludzie podawali bukiety nad głowami, aby dorzucić je do stosu.

Potem zaczęło się czytanie. Mały facet czytał wiersze. Wysoka dziewczyna prozę. Potem nisko przeleciał nędzny samolocik, tak że nic nie było słychać. Potem odleciał w inną stronę. I wrócił z tej samej.

— Bang, bang! — wrzeszczał Barley siekąc długim przedramieniem powietrze. — Wiuu, wiuu — gwizdał przez nos z pogardą.

Ale samolot nie był w stanie przygasić entuzjazmu tłumu, tak samo jak deszcz. Ktoś zaintonował pieśń, kibice podjęli refren i pieśń wzbijała się pod niebo. Na koniec samolot zrejterował, prawdopodobnie dlatego, że kończyło mu się paliwo. Ale myśmy to odczuli inaczej, powiedział Barley. Zupełnie inaczej. Jakby ten śpiew zestrzelił drania.

Śpiew nabierał siły, głębi i mistycyzmu. Barley znał po rosyjsku trzy słowa, pozostali ani jednego. Ale to im nie przeszkodziło się dołączyć. Ani Magdzie zalać się łzami. A Jumbo Oliphant, kiedy schodzili ze wzgórza, przysięgał uroczyście przez ściśnięte gardło, że wyda co do słowa wszystko, co Pasternak napisał, nie tylko ten scenariusz filmowy, ale i inne rzeczy, tak **mu dopomóż Bóg**, i że wyłoży na to z własnej, prywatnej kieszeni, jak tylko **wróci do swojego zamku pośród doków**.

— **Jumbo miewa porywy entuzjazmu** — wyjaśnił Barley z rozbrajającym

uśmiechem, powracając do słuchaczy, głównie do Neda. — Czasem trwają dobre kilka minut. — Potem urwał, znowu się skrzywił i zdjął te dziwaczne okrągłe okulary, które bardziej mu chyba przeszkadzały, niż służyły pomocą, i popatrzył na wszystkich po kolei, jakby chciał sobie przypomnieć własną sytuację.

Jeszcze schodzili ze wzgórza i rzewnie płakali, kiedy przypadł do nich ten sam mały Rosjanin z papierosem w kąciku ust przypominającym świecę i zapytał po angielsku, czy są Amerykanami.

Znowu Clive nas wszystkich uprzedził. Uniósł powoli głowę. W jego dyrektorskim rozwlekłym tonie czuło się jakby ostrze noża.

— Ten sam? Który ten sam mały Rosjanin? Nie było dotąd żadnego.

Po tym niemiłym przypomnieniu o obecności Clive'a, Barley skrzywił twarz w nawrocie niesmaku.

— No ten facet, co czytał poezję, na miłość boską — powiedział. — Co czytał wiersze Pasternaka nad grobem. Zapytał, czy jesteśmy Amerykanami. Powiedziałem, że dzięki Bogu nie, że Brytyjczykami.

I zauważyłem, jak chyba wszyscy, że to sam Barley, nie Oliphant czy Emery, czy Magda, mianował się rzecznikiem ich grupy.

Barley odtworzył teraz sam dialog. Miał zdolności naśladowcze papugi. Mówił z rosyjskim akcentem tego małego faceta i ze szkocką burkliwością Oliphanta. Samo mu to przyszło, jakby bez jego wiedzy.

— Wy pisarze? — zapytał mały w wykonaniu Barleya.

— Nie, niestety, tylko wydawcy — odpowiedział Barley sam za siebie.

— Angielscy wydawcy?

— Przyjechaliśmy na moskiewskie targi książki. Ja mam narożny sklep Abercrombie-Blair, a ten tu to prezes Lupus Books we własnej osobie. Bardzo bogaty facet. Kiedyś zostanie lordem. Złoty bilet i bar. Zgadza się, Jumbo?

Oliphant zaprotestował, że Barley przesadza. Ale ten mały nie poprzestał na tym.

— Czy wolno spytać, co robicie nad grobem Pasternaka?

— Przypadkowa wizyta — wtrącił się Oliphant. — Zupełny przypadek. Zobaczyliśmy tłum i podeszliśmy zobaczyć, co się dzieje. Czysty przypadek. Chodźmy.

Ale Barley nie kwapił się odchodzić. Zezłościło go zachowanie Oliphanta, jak powiedział, i nie miał zamiaru stać i patrzeć, jak tłusty szkocki milioner spławia niedożywionego nieznajomego Rosjanina.

— Robimy to, co inni — odpowiedział Barley. — Składamy hołd wielkiemu pisarzowi. I pana deklamacja nam się podobała. Bardzo wzruszająca. Wspaniała.

— Cenicie Borysa Pasternaka? — spytał mały.

I znów Oliphant, wielki działacz w obronie praw człowieka, jak żywy, razem z burkliwym głosem i wykręcaniem szczęki.

— Nie wypowiadamy się na temat Borysa Pasternaka ani żadnego innego rosyjskiego pisarza — powiedział. — Jesteśmy tu jako goście. Wyłącznie jako goście. Nie wypowiadamy się na temat wewnętrznych spraw Związku Sowieckiego.

— Uważamy, że Pasternak jest wspaniały — powiedział Barley. — Światowa klasa. Fenomen.

— Ale dlaczego? — zapytał mały prowokując do konfliktu.

Barley nie potrzebował zachęty. Mniejsza z tym, że nie był do końca przekonany o genialności Pasternaka, oświadczył. I że w gruncie rzeczy uważał go za mocno przereklamowanego. Tamto była jego opinia jako wydawcy, a tu była wojna.

— Cenimy jego talent i sztukę — powiedział Barley. — Cenimy jego humanizm. Cenimy jego pochodzenie i kulturę. I po dziesiąte czy któreś tam, cenimy to, że umiał dotrzeć do rosyjskich serc, chociaż zaszczyła go banda urzędników, pewno tych samych, którzy nasłali na nas ten samolot.

— Możesz go zacytować? — spytał ten mały.

Barley miał do tego pamięć, jak nam niezręcznie wytłumaczył. — Przytoczyłem mu pierwsze linijki „Nagrody Nobla”. Uznałem, że to pasuje po tym cholernym samolocie.

— Nie zechciałbyś nam ich powtórzyć? — zapytał Clive, jakby wszystko wymagało sprawdzenia.

Barley wymamrotał wiersz i przyszło mi na myśl, że w gruncie rzeczy może jest bardzo nieśmiały.

Jak zwierzę w klatce jestem odcięty Od
przyjaciół, wolności, słońca, Ale wróg
coraz ciaśniej mnie osacza, Nie mam już
dokąd uciekać.

Ten mały krzywił się patrząc na rozżarzony koniec swego papierosa i słuchając, powiedział Barley, i przez moment naprawdę się zastanowił, czy to nie prowokacja, czego się obawiał Oliphant.

— Jeżeli tak wysoko cenicie Pasternaka, to może byście chcieli poznać kilku moich znajomych? — zaproponował mały. — My tu pisarze. Mamy tu daczę. Będziemy zaszczytzeni mogąc pogadać z wybitnymi brytyjskimi wydawcami.

...--- Oliphant nie musiał słuchać tego do końca, żeby dostać ciężkiego ataku choroby kesonowej, powiedział Barley. Jumbo dobrze wiedział, czym pachnie przyjmowanie zaproszeń od nieznanomych Rosjan. Był w tym ekspertem. Wiedział, jak potrafią człowieka omotać, odurzyć, narazić na kompromitujące zdjęcia, zmusić do rezygnacji z prezesury i z wszelkich szans na uszlachcenie. Na dodatek miał z WAAP-em ambitną wspólną umowę wydawniczą i przy-

łapanie w niepożądanym towarzystwie było ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył. Wyryczał to wszystko Barleyowi scenicznym szeptem, zakładając, że ten mały jest głuchy.

— I tak — zakończył tryumfalnie — pada. Co zrobimy z samochodem?

Spojrzał na zegarek. Magda patrzyła w ziemię. Ten typ Emery popatrzył na Magdę i pomyślał, że mogą być gorsze sposoby spędzania niedzielnego popołudnia w Moskwie. Ale Barley, według jego własnych słów, jeszcze raz zerknął na nieznajomego i stwierdził, że podoba mu się to, co widzi. Nie miał żadnych planów co do dziewczyny i żadnych widoków na szlachectwo. Już zdecydował, że wolałby być sfotografowany nago z Bóg wie jakim tłumem rosyjskich dziewczynek niż w pełni ubrany pod ramię z Jumbem Oliphantem. Pomachał więc im wszystkim, kiedy odjeżdżali wozem Jumba, i zdał się na los szczęścia.

— Nieżdanow — oświadczył raptem, kierując to do panującej w pokoju ciszy i przerywając tok swego opowiadania. — Przypomniałem sobie nazwisko faceta. Nieżdanow. Dramaturg. Kierował jednym z tych studyjnych teatrów, nie mógł wystawiać własnych sztuk.

Odezwał się Walter i jego wysoki głos zakłócił chwilową ciszę.

— Drogi chłopcze, Witalij Nieżdanow to bohater dnia wczorajszego. Za pięć tygodni wystawia w Moskwie trzy jednoaktówki i wszyscy Bóg wie czego się po nich spodziewają. Nie powiem, poszczyściło mu się, ale nie mamy podstaw twierdzić, że to dlatego, że jest dysydentem. Albo był.

Po raz pierwszy, odkąd ujrzałem go na oczy, na twarzy Barleya pojawiła się czysta radość i od razu poczułem, że taki jest naprawdę, że do tej pory przesłaniały go chmury.

— To wspaniale — powiedział ze szczerą radością kogoś, kto się umie cieszyć z cudzego sukcesu. — Fantastycznie. Tego właśnie było trzeba Witalijowi. Dziękuję, że mi powiedziałaś — dodał, dziesięć razy młodszy.

A potem znów twarz mu przysłoniły chmury i zaczął małymi łyczkami pociągać whisky.

— No więc wszyscyśmy się tam znaleźli — wymamrotał niewyraźnie. — W tłoku raźniej. To mój kuzyn. Poczęstuj się bułką z kielbasą. — Ale jego oczy, zauważyłem, tak jak słowa, znów pobiegły w dal, jak gdyby już wyglądał nadchodzącej próby.

Rozejrzałem się wokół stołu. Bob uśmiechnięty. Bob będzie się uśmiechał na łożu śmierci, ale z powagą starego skauta. Profil Clive'a, twarz ostra jak topór i równie ciężka. Walter, który nie może ani na chwilę spocząć. Walter z odrzuconą do tyłu inteligentną głową, nawijający kosmyk włosów na gąbczasty palec, zmięty i spocony z głupim uśmiechem wlepia oczy w ozdobny sufit. I Ned, przywódca — kompetentny, niewyczerpany Ned — Ned lingwista i żołnierz, człowiek czynu i planowania — siedzący tak, jak siedział od początku, na baczność, czekając, kiedy wydać rozkaz. Na niektórych,

pomyślałem przyglądając mu się, cięży przekleństwo zbytnej lojalności, bo może nadejść dzień, kiedy już nie zostanie im nic, czemu by mogli służyć.

Wielka rudera, recytował Barley przybrany przez saniego siebie telegraficznym stylem. Edwardiańskie szalowane ściany, werandy ozdobione drewnianymi ażurkami, zarośnięty ogród, brzezina. Butwiejące ławeczki, węgiel drzewny, zapach boiska do krykieta w deszczowy dzień, bluszcz. Jakies trzydzieści osób, głównie mężczyźni. Siedzieli albo stali w tym ogrodzie, pichcili, pili i nie zważali na pogodę tak jak Anglicy. Wzdłuż drogi stare rzęchy, zupełnie jak kiedyś angielskie samochody, zanim te tłuste świnię pani Thatcher przejęły ster. Dobre twarze, płynne głosy, artystyczna nomenklatura. Wchodzi Nieżdanow wprowadzając Barleya. Nikt nie zwraca na nich uwagi.

— Gospodyni była poetką — powiedział Barley. — Tamara coś tam. Jak Astrea, siwa, zażywna. Mąż wydawca jednego z pism naukowych. Nie żdanow to jej szwagier. Każdy był czymś szwagrem. Świat literacki ma tam wpływy. Jeżeli masz głos i pozwalają ci go używać, znajdziesz czytelnika.

W swojej wybiórczej pamięci Barley rozbił teraz całe wydarzenie na trzy części. Obiad, który się zaczął około drugiej trzydzieści, kiedy przestało padać. Wieczór, który nastął zaraz po obiedzie. I to, co nazwał „resztą”, kiedy stało się to, co się stało, i co przypadło, o ile komuś z nas udało się to w ogóle zgłębić, na mętną porę pomiędzy drugą a czwartą, gdy Barley, że użyję jego własnych słów, bezboleśnie dryfował między nirwaną a niemal śmiertelnym kacem.

Nim doszło do obiadu, Barley szwendał się od jednej grupki do drugiej, najpierw z Nieżdanowem, potem sam, przystając na mały szmues z każdym, kto chciał z nim pogadać.

— Szmues? — powtórzył podejrzliwie Clive, jakby chodziło o jakieś nowe przestępstwo.

Bob pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Na pogawędkę, Clive — wytłumaczył na swój przyjazny sposób. — Pogawędkę przy drinku. Nic groźnego.

Lecz kiedy ogłoszono obiad, powiedział Barley, zasiedli przy stole ustawionym na kozłach — Barley u jednego końca, Nieżdanow u drugiego, rozdzieleni flaszkami białego gruzińskiego wina, i każdy gadał, jak potrafił, po angielsku o tym, czy prawda jest prawdą, jeśli nie jest wygodna dla wielkiej tak zwanej proletariackiej rewolucji, czy powinniśmy wrócić do duchowych wartości przodków i czy pierestrojka ma jakiś pozytywny wpływ na życie zwykłych ludzi, i że jeżeli ktoś rzeczywiście chce sprawdzić, co nie gra w Związku Sowieckim, najlepiej niech spróbuje przestać lodówkę z Nowosybirsk do Leningradu.

Ku mej skrywanej irytacji Clive znów się wtrącił. Jak człowiek znudzony

gadaniem nie na temat, żądał nazwisk. Barley trzepnął się dłonią w czoło, zapominając już o swoim wrogim stosunku do Clive'a. Nazwiska, Clive, Boże. Jeden to moskiewski profesor, ale widzisz, nigdy nie dosłyszałem jego nazwiska. Inny to pracownik zaopatrzenia przemysłu chemicznego, brat przyrodni Niezdanowa, nazywali go Aptekarzem. Ktoś z Sowieckiej Akademii Nauk, Gregor, ale do tego nie doszedłem, żeby się dowiedzieć jego nazwiska, nie mówiąc już o specjalności.

— Nie było przy stole kobiet? — spytał Ned.

— Dwie, ale żadnej Katii — powiedział Barley i widać było po Nedzie, jak i po mnie, wrażenie, jakie na nas zrobiło tempo jego percepcji.

— Ale przecież był tam ktoś jeszcze? — podsunął Ned.

Barley powoli odchylił się do tyłu, żeby wypić. Potem znów do przodu, umieszczając szklanę między kolanami i pochylając się nad nią nosem, wdychając zawartą w niej mądrość.

— Pewnie, pewnie, był ktoś jeszcze — przyznał. — Przecież zawsze jest — dodał enigmatycznie. — Nie Katia. Ktoś inny.

Głos mu się zmienił. Na moje ucho. Nie był tak dźwięczny. Brzmiał w nim jakiś żal czy wyrzut sumienia. Czekałem tak jak wszyscy. I myślę, że wszyscyśmy już wtedy wyczuli, że w powietrzu wisi coś niezwykłego.

— Chudy brodacz — ciągnął dalej Barley wlepiając oczy w mrok, jakby wreszcie dostrzegł tamtego. — Wysoki. Ciemny garnitur, czarny krawat. Zapadnięta twarz. Musiał dlatego zapaść brodę. Za krótkie rękawy. Czarne włosy. Pijany.

— Nazywał się jakoś? — spytał Ned.

Barley dalej wpatrywał się w ten półmrok, opisując to, czego żaden z nas nie mógł widzieć.

— Goethe — powiedział wreszcie. — Jak ten poeta. Mówili na niego Goethe. Poznaj naszego znakomitego pisarza, Goethego. Mógł mieć pięć dziesiątkę, mógł mieć osiemnaście lat. Szczupły jak chłopczyk. I te plamy rumieńców na twarzy, wysoko na policzkach. Broda.

To tu, jak później zauważył Ned, kiedy przegrywał grupie taśmę, był — w sensie operacyjnym — moment, w którym nasz niebieski ptak rozwinął skrzydła. Tej chwili nie wyróżnia żadna budząca grozę cisza, która by mogła świadczyć o tym, żeśmy tam wszyscy przy tym stole wstrzymali oddech. Przeciwnie, Barley wybrał akurat ten moment, żeby dostać ataku kichania, pierwszego z wielu, jakiegoś przeżyli mając z nim do czynienia. Ten atak zaczął się serią pojedynczych kichnięć, a skończył szybką i potężną salwą. Potem powoli atak wycichał, a on osuszał twarz chusteczką i kłął między drgawkami.

— Cholerne uczulenie — wyjaśnił przepaszająco.

— Brylowałem — zreasumował Barley. — Byłem bezbłędny.

Nalał sobie od nowa, tym razem wody. Popijał ją ze szklanki powoli i rytmicznie jak jeden z tych plastikowych pijących ptaszków w każdym mrocznym angielskim barze, zanim ich miejsce zajęły telewizory.

— Byłem cudowny. Gwiazda sceny i ekranu. Zachodni, superuprzejmy i niezrównany. Przecież dlatego tam polazłem, no nie? Tylko Sowietci są na tyle głupi, żeby słuchać moich bzdur. — Grzywka znowu opadła mu nad szklankę. — Tak to tam jest. Idziesz na spacer za miasto i kończysz na dyskusji o wolności i odpowiedzialności z bandą pijanych poetów. Odlewasz się w jakimś brudnym publicznym kio, a ktoś ci się wychyla z sąsiedniej kabiny i pyta, czy jest życie po śmierci. Bo jesteś z Zachodu. Więc wiesz. I mówisz im. A oni pamiętają. Nic nie przepada.

Wyglądało na to, że jeszcze trochę, a w ogóle przestanie mówić.

— Opowiedz nam po prostu, co się zdarzyło, wyrzuty zostaw nam — podsunął Clive, zakładając, że w sytuacji Barleya są one nie na miejscu.

— Błyszczałem, oto, co się zdarzyło. Rewia inteligencji. Ale zapomnijmy o tym.

Była to jednak ostatnia rzecz, jaką by chcieli zrobić, czego dowodził radosny uśmiech Boba.

— Jesteś chyba dla siebie za surowy, Barley. Któż by miał sobie za złe, że był duszą towarzystwa, na litość boską. Wygląda na to, żeś tylko śpiewał za kolację.

— O czym mówiłeś? — spytał Clive, nie zrażony dobrocią Boba.

Barley wzruszył ramionami.

— Jak przebudować Imperium Rosyjskie między obiadem a podwieczorkiem. Pokój, postęp i głośność na butelki. Natychmiast bezwarunkowe rozbrojenie.

— Często się rozwodzisz na te tematy?

— Tak, kiedy jestem w Rosji — odpalił Barley, znowu sprowokowany tonem Clive'a, choć nigdy nie na długo.

— Wolno nam wiedzieć, co ty na to?

Ale Barley nie opowiadał tego wszystkiego Clive'owi. Opowiadał swoje wariactwa sam sobie, temu pokojowi i wszystkim obecnym po kolei.

— Rozbrojenie nie jest sprawą wojskową ani polityczną, powiedziałem. To kwestia ludzkiej woli. Musimy się zdecydować, czy chcemy pokoju, czy wojny, i na to się nastawić. Bo na co się nastawimy, to będziemy mieli. — Urwał. — Uderzyło mi to do głowy — wyjaśnił, znów wybierając Neda. — Odgrzewane argumenty, których się tam naczytałem.

Jak gdyby poczuł, że trzeba im bliższego wyjaśnienia, zaczął znów:

— Tak się złożyło, że w tym tygodniu byłem ekspertem. Myślałem, że firma może zawrzeć umowę na murowany bestseller. Pewien naganiacz z targów książki chciał mi sprzedać prawa do książki i o głośności, i kryzysie

pokoju na całe Zjednoczone Królestwo. Eseje dawnych i dzisiejszych jastrzębi, nowe oceny strategiczne. Czy ostatecznie może nastać prawdziwy pokój? Wybrali paru starych amerykańskich weteranów z lat sześćdziesiątych i pokazali, jak od chwili odejścia z urzędu dokonali zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni.

Tłumaczył się, zdziwiłem się więc dlaczego. Na co nas przygotowywał? Dlaczego uznał, że zawczasu powinien osłabić szok? Bob, który nie był wcale głupcem mimo całej swojej otwartości, musiał postawić sobie to samo pytanie.

— Wygląda mi to na całkiem dobry pomysł, Barley. Widzę w tym forszę. Sam[^]bym reflektował na udział — wtrącił z chichotem.

— Więc odklepałeś swój reklamowy numer — powiedział Clive swym uszczypliwym tonem. — I zemdlilo cię. To nam chcesz opowiedzieć? Na pewno nie jest łatwo odtworzyć wzloty własnej pijackiej fantazji, ale będziemy wdzięczni, jak się postarasz.

Zastanowiłem się, co też Clive studiował, jeżeli w ogóle studiował. Gdzie? Kto go rodził? Kto był jego ojcem? Gdzie służba znajduje tych ograniczonych łobuzów ze wszystkimi ich zaletami lub brakiem zalet tak idealnie tu na miejscu?

Ale Barley wciąż był potulny wobec tego ponowionego ataku.

— Powiedziałem, że wierzę w Gorbaczowa — rzekł nie tracąc równo wagi i pociągając łyk wody. — Może oni nie, ja tak. Powiedziałem, że sprawą Zachodu jest znaleźć mu odpowiednika, a Wschód niech doceni swego człowieka. Powiedziałem, że gdyby się Amerykanie kiedy zatroszczyli o rozbrojenie na tyle, ile włożyli trudu w wystrzelenie jakiegoś błazna na Księżyc czy wyprodukowanie pasty do zębów w różowe paski, dawno byśmy mieli rozbrojenie. Powiedziałem, że największym grzechem Zachodu była wiara, że zdołamy ustrój sowiecki doprowadzić do bankructwa stawiając na wyścig zbrojeń, bo w ten sposób ryzykujemy zagładę ludzkości. Mówiłem, że wywijając pałaszem Zachód daje sowieckim przywódcom pretekst do zamknięcia granic i utrzymywania państwa garnizonowego.

Walter wybuchnął jęklwym śmiechem i przysłonił stuloną bezwłosą dłońią szczyrby w zębach.

— O Boże! Więc to my jesteśmy winni wszystkich nieszczęść Rosji! Wspaniale! A nie uważasz, że może to przypadkiem ich własna zasługa? Że się obwarowali w tej swojej paranoi? Nie. On tak nie sądzi. Widzę to.

Nie zrażony Barley podjął wyznania.

— Ktoś mnie spytał, czy nie uważam, że to broń nuklearna strzeże pokoju od czterdziestu lat. Odpowiedziałem, że to jezuickie gadanie. Równie dobrze można by powiedzieć, że to proch bronił pokoju od Waterloo do Sarajewa. Zresztą, spytałem, co to jest pokój? Bomba nie przeszkodziła wojnie koreańskiej ani wietnamskiej. Nie przeszkodziła nikomu przyłożyć Czechosłowacji, nie

powstrzymała od blokady Berlina i wzniesienia muru berlińskiego ani nie pohamowała przed wlezieniem do Afganistanu. Jeżeli to jest pokój, to spróbujmy go bez bomby. Powiedziałem, że jeśli czegoś trzeba, to nie badań przestrzeni międzyplanetarnej, ale badań nad naturą ludzką. Supermocarstwa powinny kontrolować świat razem. Bujałem...

— A wierzyłeś w któreś z tych głupstw? — spytał Clive.

Barley nie wiedział. Zdaje się, że nagle zobaczył siebie jako człowieka łatwowiernego z definicji i zawstydził się.

— Potem mówiliśmy o jazzie — powiedział. — O Biksiem Beiderbeckem, Louisie Armstrongu, Lesterze Youngu. Grałem trochę.

— Chcesz powiedzieć, że ktoś tam miał saksofon?! — zawołał Bob ze spontanicznym podziwem. — Co jeszcze mieli? Bębny basowe? Cały zestaw? Nie wierzę.

Z początku pomyślałem, że Barley wychodzi. Rozprostował się i ciężko dźwignął się na nogi. Zerknął, gdzie są drzwi, i ruszył przepaszająco w ich stronę, tak że zaalarmowany Ned wstał ze strachu, że pierwszy dopadnie go Brock. Ale Barley zatrzymał się w pół drogi, tam gdzie stał niski rzeźbiony stolik. Nachyliwszy się nad nim jął lekko uderzać o kant blatu, śpiewając przez nos „pah, pah, pah, pah” pod ten symulowany akompaniament cymbałów, metalowych szczotek i bębnów.

Bob już klaskał. I Walter. Tak samo ja, a Ned się śmiał. Jeden Clive nie znalazł w tym nic zabawnego. Barley pociągnął trzeźwiącego łyka ze szklanki i usiadł z powrotem.

— Potem mnie zapytali, co by można zrobić — powiedział, jakby wcale nie opuszczał krzesła.

— Kto pytał? — spytał Clive tym swoim doprowadzającym do wściekłości tonem niedowierzania.

— Ktoś z tych przy stole. Czy to ma znaczenie?

— Załóżmy, że wszystko ma znaczenie — powiedział Clive.

Barley znów odstawił głos Rosjanina, zamazany i natarczywy.

— No, dobra, Barley. Przyjmijmy, że wszystko jest tak, jak mówisz. Kto ma prowadzić te badania nad naturą ludzką? Wy, odpowiedziałem. Byli bardzo zdziwieni. Dlaczego my? Powiedziałem, że dlatego, że jeśli idzie o radykalną zmianę, łatwiej o nią Sowieci niż Zachodowi. Mają nieliczną grupę przywódcą i inteligencję o wielkich tradycyjnych wpływach. W zachodniej demokracji trudniej o głos, który wybije się nad tłum. Podobał im się ten paradoks. Mnie też.

Nawet ten frontalny atak na słynne zalety demokracji nie mógł naruszyć uprzejmej cierpliwości Boba.

— No cóż, Barley, to banał, ale w końcu jest w nim trochę prawdy.

— A nie powiedziałeś im, co trzeba z r o b i ć? — nalegał Clive.

— Powiedziałem, że zostaje tylko utopia. Powiedziałem, że to, co dwadzieścia lat temu wyglądało na nierealny sen, jest dzisiaj naszą jedyną

nadzieją — czy mówimy o rozbrojeniu i ekologii, czy o zwykłych szansach przeżycia dla ludzkości. Gorbaczow to zrozumiał. Zachód nie może. Powiedziałem, że zachodni intelektualiści muszą odnaleźć własny głos. Powiedziałem, że Zachód powinien dawać przykład, a nie iść za przykładem. Każdy ma obowiązek ruszyć tę lawinę.

— A więc jednostronne rozbrojenie — powiedział Clive, mocno zacisnąc dłonie. — Aldermaston, ot co. No, no. Słusznie. — Tylko że nie tyle powiedział „słusznie”, co „uszenie”, tak bowiem brzmiało jego „słusznie”, kiedy miał na myśli coś przeciwnego.

Ale Bob był pod wrażeniem.

— I cała ta elokwencja z samego tylko odczytania? — spytał. — To nadzwyczajne, Barley. Ba, byłbym dumny, gdybym to ja tak szybko chwycił.

Zbyt n a d z w y c z a j n e, sugerował, ale implikacje przeszły Barleyowi koło uszu.

— A co na to ten facet Goethe, kiedyś nas bronił przed naszymi najgorszymi instynktami? — spytał Clive,

— Nic. Ci inni brali udział. Goethe nie.

— Ale słuchał? Z otwartą gębą, już to widzę.

— Na razie urządzaliśmy od nowa świat. Od nowa całą Jaltę. Wszyscy mówili naraz. Poza Goethem. On nie jadł i nie gadał. Zarzucałem go pomysłami tylko dlatego, że się nie włączał. Robił się tylko coraz bledszy i więcej pił. Dałem mu spokój.

I Goethe nie przemówił, ciągnął Barley tym samym tonem niby to samobiczowania. Przez całe popołudnie ani mru-mru. Goethe słuchał, gapił się w jakąś niewidoczną kryształową kulę. Śmiał się, aczkolwiek wcale nie wtedy, kiedy się zdarzyło naprawdę coś do śmiechu. Albo wstawał, szedł mniej więcej prosto do stołu z butelkami i dolewał sobie wódki, podczas gdy wszyscy pozostali pili wino, i wracał z pełnym kieliszkiem, który wychylał w paru łykach, ilekroć ktoś wznosił stosowny toast. Ale nie Goethe, on nie wznosił żadnych toastów, powiedział Barley. Był z tych, co wywierają moralny wpływ przez to, że milczą, mówił, że się na koniec człowiek zastanawia, czy nie zżera ich jakaś śmiertelna choroba albo czy nie realizują jakiegoś wielkiego planu.

Kiedy Niezdanow zaprowadził całą grupę do domu, by wysłuchali nagrania stereo Counta Baisiego, Goethe powłókł się posłusznie za nimi. Dopiero późno w nocy, kiedy Barley położył na nim krzyżyk, na koniec się odezwał.

I znów Ned pozwolił sobie na jedno z rzadkich pytań.

— Jak się w stosunku do niego zachowywali inni?

— Z szacunkiem. Był ich maskotką. „Postuchajmy, co na to Goethe”. Podnosił kieliszek, przepijał do nich i śmieliśmy się wszyscy poza nim.

— I te kobiety?

— Wszyscy. Ustępowali mu. Właściwie schodzili mu z drogi. Oto nasz wielki Goethe.

— I nikt ci nie powiedział, gdzie on mieszka czy pracuje?

— Mówili, że przyjechał na urlop skądś, gdzie się nie pochwała picią. Wciąż opijali ten jego pijacki urlop. Był czymś bratem. Tamary, nie wiem. Może kuzynem. Nie połapałem się.

— Myślisz, że go chronili? — spytał Clive.

Pauzy Barleya są niezrównane, pomyślałem. Na jakiś swój szczególny, nieuchwytny sposób zachowuje związek z rzeczywistością. Ulatnia się duchem i człowiek czeka jak na szpilkach, czy wróci.

— Tak — powiedział Barley nagle, jakby zdziwiony własną odpowiedzią. — Tak, tak, chronili go. To prawda. Byli klubem jego stronników, oczywiście.

— Przed czym go chronili?

Nowa pauza.

— Może przed tym, żeby nie musiał się tłumaczyć. Wtedy tak nie myślałem. Ale teraz tak. Tak.

— A dlaczego nie miałby się tłumaczyć? Mógłbyś wymienić jakiś powód bez zmyślania? — spytał Clive, najwidoczniej zdecydowany przycisnąć Barleya do muru.

Ale Barley nie spełnił jego oczekiwań.

— Nie zmyślam — powiedział i wszyscy chyba wiedzieliśmy, że to prawda. Znow był nieobecny. — Był pod napięciem. Czulo się to w nim — dodał wracając.

— Co to znaczy?

— Wymowne milczenie. Słyszysz tylko, jak mózg mu tyka z szybkością stu mil na godzinę.

— Ale nikt ci nie powiedział „to geniusz” czy coś takiego?

— Nikt nic nie mówił. Nie potrzebował.

Barley zerknął na Neda i zobaczył, że kiwa głową ze zrozumieniem. Ned, agent wywiadu w każdym calu, potrafi ci wyskoczyć tuż przed nosem, kiedy myślisz, że on cię wciąż goni.

Bob miał inne pytanie.

— A nikt cię nie wziął pod rękę i nie wytłumaczył, dlaczego Goethe ma problem z piciem?

Barley wybuchnął niepohamowanym śmiechem. To, na co sobie od czasu do czasu pozwalał, było trochę przerażające.

— W Rosji nie musisz mieć powodów do picia, na litość boską! Pokaż mi jednego sensownego Rosjanina, który by mógł na trzeźwo spojrzeć w oczy problemom swego kraju!

Znow zapadł w milczenie, strojąc miny do cieni. Zmrużył oczy i wymam-

rotaj jakieś przekleństwo. Przyjąłem, że złorzeczy sam sobie. Po czym wystrzelili:

— Koło północy raptem się ocknąłem — roześmiał się. — Boże, gdzie ja jestem? Leżałem na werandzie, na leżaku, przykryty jakimś idiotycznym kocem. Najpierw pomyślałem, że jestem w Stanach. Na którymś z tych osłoniętych ganków w Nowej Anglii, z siatką przeciw komarom i z ogrodem w głębi. Nie miałem pojęcia, jak się tak szybko znalazłem w Ameryce po miłym obiadku w Pieredelkino. Potem sobie przypomniałem, że przestali ze mną gadać, i znudziłem się. Nic do nich nie miałem osobiście. Popili się i zmęczyli tym gadaniem po pijaku w obcym języku. Usadowiłem się więc na werandzie z butelką szkockiej. Ktoś mnie przyrzucił kocem dla ochrony przed rosą. Pomyślałem, że musiał mnie obudzić księżyc. Wielki księżyc w pełni. Krwawy. A potem usłyszałem, że ten facet do mnie mówi. Bardzo ponuro. Bezbłędnie po angielsku. Jezu, pomyślałem, o tej porze nowi goście. Pewne rzeczy to zło konieczne, panie Barley. Niektóre są bardziej złe niż konieczne, powiada. Cytuje mnie z obiadu. Kawalek z mojego odczytu o pokoju, który miał wstrząsnąć światem. Kogo ja cytowałem, nie wiem. Potem przyglądam się bliżej i widzę, że pochyła się nade mną ten brodaty, wielki brodaty sęp z butelką wódki w garści i włosami rozwianymi na wietrze wokół twarzy. I ani się spostrzegłem, jak kucnął przy mnie z kolanami przy uszach dolewając sobie wódki. Hej, Goethe, powiadam. Jeszcze żyjesz? Miło cię widzieć.

Cokolwiek przedtem wyzwoliło Barleya, teraz z powrotem go zamknęło, bo twarz miał znowu całą zachmurzoną.

— I funduje mi inną moją perelkę z obiadu. Wszystkie ofiary są równe. Nie ma wśród nich równiejszych.

Uśmiełem się, ale nie za bardzo. Chyba byłem zażenowany. Czuję się głupio. Bo mnie szpiegował. Facet siedzi przez cały obiad pijany, nie je, nie mówi słowa. I nagle dziesięć godzin później cytuje mnie jak magnetofon. Nie jest to miłe.

„Kim jesteś, Goethe? — pytam. — Z czego żyjesz, kiedy nie pijesz i nie podsłuchujesz?”

„Jestem moralnym wyrzutkiem — on na to. — Handluję zbezczeszczonymi teoriami”.

„Zawsze to miło poznać pisarza — powiadam. — W czym się ostatnio grzebiesz?”

„We wszystkim — on na to. — Historia, komedia, łgarstwa, powieści”.

I rozodzi się nad jakąś bzdurą, którą napisał, o bryłce masła, co roztopiła mu się na słońcu, bo mu zabrakło spójnych poglądów. Tyle tylko, że nie gadał jak pisarz. Całkiem inaczej. Kpił z siebie i, o ile wiem, ze mnie także. Nie powiem, może miał i święte prawo, ale przez to wcale nie było to zabawniejsze.

I znowu czekaliśmy obserwując sylwetkę Barleya. Czy to napięcie było

w nas, czy w nim? Pociągnął ze szklanki. Pokręcił głową i wymruczał coś jakby „Nie tak” czy może „Niech to szlag”, czego nie uchwyciły porządnie ani mikrofony, ani słuchacze. Usłyszeliśmy, jak trzeszczy jego krzesło, niby mokre szczapy na kominku. Z taśmy to brzmi jak salwa ognia.

— I wtedy mówi do mnie: „No, panie Barley, pan jest wydawcą. Nie zapyta pan, skąd biorę swoje pomysły?” A ja pomyślałem: Nie o to pytają wydawcy, stary, ale co tam. „Okay, Goethe, mówię. Skąd bierzesz swoje pomysły?”

„Panie Barley, moje pomysły pochodzą po pierwsze”... i zaczyna wylizywać.

Barley też rozpostarł swoje długie palce i wylizywał na nich, posługując się tylko z lekka rosyjskim zaśpiewem. I znów mnie uderzyła subtelność jego muzycznej pamięci, którą osiągał chyba nie tyle przez powtarzanie słów, co przywołując je z jakiejś zakłętej jaskini ech, gdzie jego słuch znajdował je zawsze żywe.

— „Moje pomysły pochodzą po pierwsze z papierowych obrusów ka wiarni berlińskich w latach trzydziestych”. — Po czym pociąga wódki i głoś no, chrapliwie potężny haust nocnego powietrza, wszystko naraz. Rzęzi. Rozumiecie? — „Po drugie — mówi — z publikacji moich zdolniejszych rywali. Po trzecie z brudnych rojeń generałów i polityków wszystkich nacji. Po czwarte od wyzwolonych intelektów gangu naukowców z prasy nazis towskiej. Po piąte od wielkiego ludu sowieckiego, którego każde demo kratyczne pragnienie przed wypłynięciem na wierzch jest stopniowo filt rowane przez konsultacje i wylewane do Newy. A po szóste, bardzo rzadko, z myśli jakiegoś zachodniego intelektualisty, które przypadkiem trafią mi się po drodze”. — To najwidoczniej ja, bo wlepia we mnie oczy, żeby sprawdzić, jak to przyjmę. I gapi się jak stary maleńki. Przekazując te sygnały, od których wszystko zależy. A potem nagle zmiana, robi się podejrzliwy. Tak to jest z Rosjanami. — „Pana wystąpienie podczas obiadu to był prawdziwy po pis — powiada. — Jak pan namówił Niezdanowa, żeby pana zaprosił?” — To drwina. Jakby mówił: nie wierzę ci.

„Nie namawiałem go — powiadam. — To był jego pomysł. W co chce mnie pan zrobić?”

„Myśli są własnością wszystkich — mówi. — Pan mi je podsunął. Zmyślny pan jest. Chytra robota, powiedziałbym. Gratulacje”.

I zamiast ze mnie drwić, czepia się mnie jak tonący brzytwy. Nie wiem, może źle się poczuł, może traci równowagę. Mam paskudne uczucie, że może się wyrzygać. Próbuję mu pomóc, ale nie wiem jak. Jest rozpalony i poci się. Pot z niego kapie na mnie. Całe włosy mokre. Te dzikie dziecinne oczy. Rozepnę mu kołnierzyk, myślę. Wtem dochodzi do mnie jego głos, prosto w ucho, czuję jego wargi i gorący oddech, wszystko naraz. Z początku nic nie słyszę, jest za blisko. Cofam się, ale mnie nie puszcza.

„Wierzę każdemu pana słowu — szepcze. — Przemówił mi pan do serca. Niech mi pan przysięgnie, że nie jest pan brytyjskim szpiegiem, a ja panu przysięgnę coś w zamian”.

— Powtarzam co do słowa — powiedział Barley, jakby się wstydził słów tamtego. — Pamiętał wszystko, co mówiłem. A ja pamiętam wszystko, co on powiedział.

Nie po raz pierwszy Barley mówił o pamięci, jakby to była dolegliwość, i może dlatego ja tak często się łapałem na tym, że myślę o Hannie.

— Biedny Palfrey — powiedziała kiedyś szydyczko w jednym z napadów okrucieństwa, studiując swoje nagie ciało w lustrze, popijając wódkę z tomkiem i zbierając się, by wracać do męża. — Jak ty zdołasz zapomnieć taką kobietę jak ja, z tą twoją pamięcią?

Zastanawiałem się, czy Barley tak działa na wszystkich, pobudza system nerwowy i zapędza w głąb najtajniejszych myśli? Może i na Goethego tak podziałał.

Kolejny fragment nigdy nie uległ żadnej przeróbce, skrótom czy „rekonstrukcji”. Na użytek wtajemniczonych albo przegrywano oryginalną taśmę, albo proponowano cały zapis. Dla niewtajemniczonych nigdy nie istniał. Zawierał sedno wszystkiego, co było potem, i nosi umyślnie mglistą nazwę „Stanowisko lizbońskie”. Kiedy przyszła kolej na alchemików, teologów i tych, co wyciągają ostateczne wnioski po obu stronach Atlantyku, był fragmentem wybranym i przepuszczanym przez ich magiczne skrzynki, by uzasadnić dobrane z góry argumenty typowe dla spryciarzy obu obozów.

„Goethe, stary, wyobraź sobie, że nie jestem szpiegiem. Nie jestem, nigdy nie byłem i nie będę. Może to u was tak jest, ale nie u nas. A co z szachami? Lubisz szachy? Pogadajmy o szachach”.

Jakby nie słyszał.

„I nie jesteś Amerykaninem? I niczym szpiegiem? Nawet naszym?”

„Posłuchaj, Goethe — ja mu na to — uczciwie mówiąc, grasz mi trochę na nerwach. Nie jestem niczym szpiegiem. Jestem sobą. Albo mówimy o szachach, albo zwróć się pod inny adres, co?” — Myślałem, że to mu zamknie gębę, ale nie. O szachach wie wszystko, powiedział. W szachach ma się strategię i jeśli partner na nią nie wpadnie albo na moment się zagapi, wygrywasz. W szachach teoria jest rzeczywistością. Ale w życiu, w pewnych rodzajach życia, może się zdarzyć sytuacja, że gracz ma takie groteskowe wyobrażenie o partnerze, że w końcu wymyśla sobie wroga, jakiego mu potrzeba. Czy się zgadzam? Zgadzam się w zupełności, Goethe. I nagle nie są to już szachy, i facet się tłumaczy, jak to pijany Rosjanin. Dlaczego znalazł się na świecie, ale to tylko do mojej wiadomości. Mówi, że urodził się już rozdarty, z dwiema duszami jak Faust, i dlatego nazywają go Goethem. Że

jego matka była malarką, ale malowała to, co widzi, więc oczywiście miała zakazane kupowanie materiałów i wystawianie. Bo wszystko, co widzimy, to tajemnica państwowa. To tajemnica państwowa, nawet jeżeli się łudzimy. Nawet jeśli nie działa i nigdy nie zadziała, to też tajemnica państwowa. A jeżeli coś jest totalnym łgarstwem, wtedy to już jest najściślejшая tajemnica państwowa. Opowiada, że jego ojciec przesiedział dwanaście lat po łągrach i zmarł z nadmiaru uzdolnień. Mówi, że problemem jego ojca było to, że był męczennikiem. Być ofiarą to już dosyć, gorsi są święci, ale męczennicy to już prawdziwe nieszczęście. Nie ma racji?

Ma rację. Nie wiem, dlaczego mu ją przyznaję, ale jestem równy chłop i kiedy kumpel ściska mnie za głowę i opowiada, że jego ojciec odsiedział dwanaście lat i umarł, nie będę się z nim kłócił, nawet zalany.

Pytam go, jak naprawdę się nazywa. Mówi, że wcale. Ojciec nazwisko zabrał do grobu. Mówi, że w każdym przyzwoitym społeczeństwie zabija się ciemniaków, ale w Rosji na odwrót, więc rozwalili jego ojca, bo w przeciwieństwie do matki nie chciał umierać na złamane serce. Mówi, że chce, żebym mu coś obiecał. Że kocha Anglików. Anglicy to moralni przywódcy Europy, po cichu dbają o jej równowagę, o jedność wielkich idei europejskich. Powiada, że Anglicy uznają związek słowa z czynem, a w Rosji nikt już nie wierzy w czyn, więc słowa się stały substytutem wszystkiego od góry do dołu, substytutem prawdy, o której nikt nie chce słyszeć, bo jej się nie da zmienić, a poza tym, jak ją zmienią, to stracą stanowiska albo po prostu nie wiedzą, j a k ją zmienić. Mówi, że nieszczęściem Rosjan jest to, że pragną być Europejczykami, ale przeznaczeniem ich jest zostać Amerykanami, którzy z kolei zatruli świat logiką materia i istychną. Jeżeli sąsiad ma samochód, ja muszę mieć dwa. Jeżeli sąsiad ma pistolet, ja muszę mieć dwa. Jeżeli sąsiad ma bombę, ja muszę mieć większą i więcej bomb bez względu na to, czy zdołają dotrzeć do celu. Więc jedno tylko mi zostaje, wyobrazić sobie pistolet sąsiada, przemnożyć go przez dwa i już mam usprawiedliwienie, by produkować wszystko, czego zapagnę. Nie ma racji?

To cud, że nikt mu w tym miejscu nie przerwał, nawet Walter. Ale mu nie przerwał. Trzymał język za zębami jak wszyscy. Nawet krzesło nie skrzygnęło, nim Barley znowu podjął opowiadanie.

— Więc mu przyznaję rację. Tak, Goethe, masz świętą rację. Wszystko zrobię, byleby mnie nie pytał, czy jestem brytyjskim szpiegiem. Zaczyna gadać o wielkim rosyjskim poecie i mistyku Piturinie.

— Pieczerinie — poprawił wysoki, ostry głos. To Walter w końcu nie wytrzymał.

— Racja, Pieczerinie — zgadza się Barley. — O Władimirze Pieczerinie. Pieczerin chciał się poświęcić dla ludzkości, umrzeć na krzyżu z matką u swych stóp. Słyszałem o nim? Nie. Pieczerin wyjechał do Irlandii, on na to, został mnichem. Ale Goethe tego zrobić nie może, bo nie może dostać wizy,

a zresztą nie podoba mu się Bóg. Pieczerin lubił Boga, a nie lubił nauki, która nie bierze pod uwagę ludzkiej duszy. Pytam go, ile ma lat. Goethe, nie Pieczerin. Tymczasem wygląda na siedmiolatka, który dobiega do setki. Mówi, że bliżej mu do śmierci niż do życia. Mówi, że ma pięćdziesiąt, ale dopiero co przyszedł na świat.

Walter wpada mu w słowa, ale łagodnie, jakby się włączał w modlitwę, bez zwykłego przy tym zgrzytu.

— Dlaczegoś go zapytał o wiek? Raptem ze wszystkiego o wiek? Co to, u licha, miało za znaczenie, ile ma zębów?

— Intryguje mnie. Dopóki się nie skrzywił, nie miał ani jednej zmarszczki,

— I powiedział „nauka”, nie fizyka? Nauka?

— Nauka. I bierze się do deklamacji Pieczerina. Tłumaczy na żywo. Mówi najpierw po rosyjsku, potem po angielsku. „Jakże to słodko nienawidzić własnego kraju i chciwie czekać jego upadku... i w tym upadku widzieć świt odrodzonego świata”. Powtarzam, może niedokładnie, ale o to szło. Pieczerin rozumiał, że można kochać swój kraj, jednocześnie nienawidząc ustroju, powiada. Pieczerin miał kręcka na punkcie Anglii, tak jak on, Goethe. Anglia jako ojczyzna sprawiedliwości, prawdy i wolności. Pieczerin dowiódł, że nie ma nic nielojalnego w zdradzie, pod warunkiem, że zdradzasz to, czego nienawidzisz, i walczysz o to, co kochasz. Otóż przypuśćmy, że Pieczerin posiadał wielkie tajemnice rosyjskiej duszy. Co by zrobił? To oczywiste. Wydałby je Anglikom.

Teraz już chcę, żeby się odczepił od moich włosów. Wpadł w panikę. Znow się przysuwa. Twarz w twarz. Świszczę i chrapie jak maszyna parowa. Serce mu wali, mało nie rozsadzi piersi. I te wielkie brązowe oczy. „Co piłeś? — pytam. Cortison?”

„Wiesz, co jeszcze powiedziałeś przy obiedzie?” — pyta.

„Nic — ja na to. — To nie ja. To jakieś dwa inne facety, i to oni pierwsi zaczęli”. — Znow mnie nie słyszy.

„Powiedziałeś: »Dziś trzeba myśleć jak bohater, żeby postępować jak uczciwy szary człowiek«”.

„Nic oryginalnego — mówię mu. — Nic w tym nie było oryginalnego. Wszystko gdzieś słyszałem. To nie moje własne. Zapomnij o tym, co mówiłem, i wracaj do swoich”. — Nie słucha. Łapie mnie za ramię. Ręce jak u dziewczyny, ale ściskają jak kleszcze.

„Obiecuj mi, że jeśli kiedy znajdę odwagę, żeby myśleć jak bohater, ty postąpisz jak uczciwy szary człowiek”.

„Słuchaj — Ja na to. — Daj spokój i chodźmy coś zjeść. Mają tam jakąś zupę. Czuję zapach. Lubisz zupę? Zupę?”

Z tego, co widzę, nie płacze, ale twarz ma mokrą, jakby wylał z wody. Jest cały biały i poci się jak z bólu. I trzyma mnie za rękę, jakbym był jego spowiednikiem.

„Obiecuj” — prosi.

„Ale, na litość boską, co mam ci obiecać?”

„Obiecaj, że postąpisz jak dżentelmen”.

„Nie jestem dżentelmenem, jestem wydawcą”.

Teraz się śmieje. Po raz pierwszy. Głośno, z jakimś niesamowitym zgrzytem.

„Nie wyobrażasz sobie, jak wielkie zaufanie budzi we mnie ta twoja odmowa”
— powiada.

I wtedy wstają. Gładko i spokojnie, żeby go nie płoszyć. A on wciąż mnie nie puszcza.

„Grzechu nauki dopuszczam się codziennie — mówi. — Przekuwam lemieszę w miecze. Zwodzę naszych władców. Zwodzę waszych. Uwieczniam kłamstwo. Co dzień morduję w sobie ludzkość. Posłuchaj mnie”.

„Goethe, stary, muszę już iść. Te miłe etażowe w moim hotelu czekają i zamartwiają się o mnie. Puść mnie, dobrze? Wyłamujesz mi rękę”.

Obejmuje mnie, przyciąga do siebie. Przez niego czuję się grubasem, taki jest szczupły. Mokra broda, mokre włosy, palący żar.

„Obiecaj” — mówi.

Wydusił to ze mnie. Tą żarliwością. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

„Obiecaj! Obiecaj!”

„W porządku — mówię. — Jeśli ci się kiedy uda zostać bohaterem, ja Dędę przywoitým człowiekiem. Stoi. Okay? Teraz mnie puść, bądź grzecznym chłopcem”.

„Obiecujesz?” — on na to.

„Obiecuję” — powiadam i strząsam go z siebie.

Walter krzyczy. Żadne z naszych wcześniejszych ostrzeżeń, gromy, jakie ciskał mu oczyma Ned, Clive czy ja sam, nic go już nie mogło powstrzymać.

— I uwierzyłeś mu, Barley? Nie bujał? Nie jesteś taki tępak, jakiego udajesz. Co c z u ł e ś?

Milczenie. I dalej milczenie. I wreszcie:

— Był pijany. Może dwa razy w życiu byłem taki pijany jak on. No, powiedzmy, trzy razy. Cały dzień ciągnął czystą i wciąż pił ją jak wodę. Ale miał akurat moment jasności. Uwierzyłem mu. To nie jest taki facet, któremu się nie wierzy.

I znowu Walter. Wściekły.

— Ale w co uwierzyłeś? Jak myślisz, o czym ci mówił? Jak myślisz, co on zrobił? Cała ta gadka o nietrafianiu w cel, okłamywaniu swoich władców i naszych, o szachach, które nie są szachami, tylko czymś innym. Potrafisz dodać dwa do dwóch? Dlaczego nie przyszedłeś do nas? Wiem, dlaczego! Wsadziłeś głowę w piasek. „Nie wiem, bo nie chcę wiedzieć”. To cały ty.

Następnym dźwiękiem na taśmie jest znowu głos Barleya, który zlorzeczy sam sobie tupiąc po pokoju.

— Cholera, cholera, cholera — szepcze. Bez końca. Aż przez jego głos

słysząc Clive'a. Jeżeli kiedykolwiek Clive'owi przyjdzie wydać rozkaz zniszczenia świata, to wyobrażam sobie, że zrobi to tym samym bezradnym tonem.

— Przykro mi, ale będziemy na serio potrzebowali twojej pomocy — mówi.

To ironia losu, ale sądzę, że Clive'owi było przykro. Był specem od techniki, podmiejskim nowoczesnym szpiegokrata, i nie czuł się swobodnie w zetknięciu z osobowym źródłem informacji. Przekonany, że fakty to jedyny rodzaj informacji, gardził każdym, kto się nie kierował faktami. Jeżeli w ogóle coś w życiu cenił, poza własnym awansem i srebrzystym mercedesem, którego nie wyprowadzał z garażu, jeżeli miał bodaj najmniejsze zadrapanie, były to wyroby żelazne i potężni Amerykanie, w tej kolejności. Żeby obudzić zapał Clive'a, Niebieski Ptak powinien być złamanym szyfrem, satelitą lub jakąś wewnętrzną komisją Agencji. Wtedy Barleya mogłoby nie być na świecie.

Tymczasem Ned był całkiem inny i w związku z tym bardziej bezbronny. Z temperamentu i wyszkolenia był specem od agentów i dowódcą. Wśród informatorów czuł się jak ryba w wodzie i byli oni, o ile znał to słowo, jego pasją.

Gardził wewnętrznymi rozgrywkami polityków w wywiadzie i chętnie pozostawiał to Clive'owi, tak jak analizy zostawiał dla Waltera. W tym sensie był zdecydowanie prymitywem, jak z konieczności każdy, kto ma do czynienia z naturą ludzką, podczas gdy Clive, dla którego ludzka natura stanowiła jedno wielkie, ohydne bagno, cieszył się opinią modernisty.

5

Przenieśliśmy się do biblioteki, gdzie Ned z Barleyem zaczynali. Brock zainstalował ekran i rzutnik. Ustawił krzesła w podkowę, z góry mając dla każdego upatrzone miejsce, gdyż Brock, jak każdy człowiek o niepoahamowanym usposobieniu, aż do przesady lubił prace pomocnicze. Śledził przesłuchanie na podsłuchu i mimo ponurych podejrzeń, jakie żywił wobec Barleya, w jego jasnych bałtyckich oczach tlił się żar podniecenia. Barley, głęboko zamyślony, rozsiadł się w pierwszym rzędzie między Bobem i Cli-ve'em jak uprzywilejowany, choć roztargniony gość na prywatnym seansie. Kiedy Brock włączył rzutnik i na ekranie pojawił się pierwszy obraz, widziałem, jak zarys jego głowy, najpierw pochylony w zamyśleniu, uniół się nagle. Ned siedział koło mnie. Bez słowa, choć czułem powściąganą siłę jego podniecenia. Przemigotało nam przed oczami dwadzieścia męskich twarzy, głównie sowieckich naukowców, których uznano po pierwszych pośpiesznych przeszkaniach w kartotekach Londynu i Langley za takich, co mogli mieć dostęp do informacji Niebieskiego Ptaka. Niektórych sfilmowano więcej

niż raz, najpierw z brodą, potem bez brody. Zdjęcia innych były sprzed dwudziestu lat, ponieważ tylko takie mieli w archiwach.

— Wśród tych go nie ma — orzekł Barley, kiedy przegląd się skończył. Trzepnął się nagle w głowę, jakby go coś ucięło.

Bob po prostu nie mógł w to uwierzyć. Jego niedowierzanie było równie czarujące jak łatwowierność.

— Żadnych wątpliwości, Barley? Strasznie jesteś pewny siebie jak na faceta, który oglądał oryginał zalany w trupa. Jezu, zdarzały mi się popijawy, po których nie pamiętałem, jak się nazywam.

— Ani dudu, nic mnie nie uderzyło — stwierdził Barley i powrócił do swych myśli.

Przyszła kolej na Katię, choć Barley nie mógł o tym wiedzieć. Bob wziął się do tego ostrożnie, jak fachowiec z Langley popisujący się przed nami tym, co potrafi.

— Tu mamy, Barley, trochę chłopców i dziewczyn ze środowiska wydawniczego Moskwy — zapowiedział z przesadną lekkością, kiedy Brock puszczał pierwsze slajdy. — Ludzie, z którymi mogłeś się zetknąć w czasie swoich wyjazdów do Rosji, na przyjęciach, targach książki, ci, co się koło tego kręca. Zawołaj, jak zobaczysz kogoś znajomego.

— O rany! To Leonora! — przerwał mu ucieszony Barley, zanim Bob umilkł. Na ekranie wspaniała krzepka niewiasta z tyłkiem jak boisko futbolowe przechodziła przez pas pustego tarmaku. — Filar Leniego w SK — dodał.

— SK? — powtórzył jak echo Clive, jak gdyby się dokopał do jakiegoś tajnego sprzysiężenia.

— „Sojuzkniga”. SK sprowadza i rozprowadza zagraniczne książki po całym Związku Sowieckim. Inna sprawa, czy te książki tam dochodzą. Leni jest enfant terrible.

— Znasz jej nazwisko?

— Zinowiewa.

Zgadza się, mówił wtajemniczonym uśmiech Boba.

Pokazali mu inne i wskazał te, o których wiedzieli, że je zna, ale kiedy mu pokazali zdjęcie Katii, to, które pokazywali Landauowi: Katię w palcie, z upiętymi włosami, schodzącą ze schodów z torbą na zakupy, Barley mruknął: „Dalej” — jak na wszystkie te, których nie znał.

Ale Bob czarująco się zaniepokoił.

— Przytrzymaj ją tam — powiedział tak załośnie, że dziecko by się domyśliło, że to zdjęcie ma wagę, której nie docenił.

Więc Brock przytrzymał zdjęcie, a my wszyscy wstrzymaliśmy oddech.

— Barley, ta mała z czarnymi włosami i dużymi oczami na tym zdjęciu pracuje w wydawnictwie „Październik” w Moskwie. Świetnie mówi po angielsku, klasyczną angielszczyzną jak ty i Goethe. O ile wiemy, jest redak-

torką, zamawia i przyjmuje angielskie tłumaczenia sowieckich książek. Nic ci nie dzwoni?

— Nie miałem aż takiego szczęścia — powiedział Barley.

Wtedy Clive przekazał go mnie. Skinieniem głowy. Bierz go, Palfrey. Świadek jest twój. Postrasż go.

Mam swój specjalny ton głosu na te indoktrynacyjne sesje. Ma budzić grozę jak ślubna przysięga, a ja go nie znoszę, ponieważ jest to ton, którego nie znosi Hanna. Gdyby się w moim zawodzie stosowało przebieranki w biały fartuch, teraz byłby moment na zaaplikowanie podstępnego zastrzyku. Ale tego wieczora, kiedy tylko zostałem z nim sam, wybrałem ton bardziej opiekuńczy i stałem się innym i może odmłodzonym Palfreym, tym, nad którym Hanna, jak się zarzekła, potrafi zapanować. Zwróciłem się do Barleya nie jak do zielonego nowicjusza, ale jak do przyjaciela, którego chcę ostrzec.

Zgadzasz się, czy się nie zgadzasz, powiedziałem mu językiem jak najmniej przypominającym prawniczy żargon. Zakładamy ci pętlę na szyję. Uważaj. Zastanów się.

Innym każę siadać. Barleyowi pozwoliłem łączyć po pokoju, ponieważ już wiedziałem, że czuje się swobodniej, jeżeli może się przechadzać, kręcić i wyginać ręce do tyłu, rozkosznie się przeciągając. Współczucie to przekleństwo, nawet jeżeli nie trwa długo i nie chroni mnie przed nim całe złe prawo Anglii.

I przez tę chwilę, kiedy się starałem wzbudzić w sobie sympatię, zauważyłem w nim kilka rzeczy, których nie zarejestrowałem w większym gronie. Że fizycznie odsuwa się ode mnie, jakby się bronił przed własną głęboko zakorzenioną skłonnością oddania się każdemu, kto go zechce. Że jego ręce, mimo prób opanowania, wciąż są mu nieposłuszne, szczególnie w łokciach, i jak renegaci próbują się wyrwać z tego munduru, w który się je wciska.

Zdałem też sobie sprawę z własnej frustracji, wciąż nie mogłem przyjrzeć mu się bliżej, chwytałem tylko jego odbicia w złoconych lustrach, kiedy je mijał. Do dziś myślę o nim jako o kimś gdzieś daleko.

Zauważyłem też jego zamyślenie, raz słuchał, raz nie słuchał mojej homilii, wylawiał coś i cofał się, żeby to przetrwać, tak że nagle miałem przed sobą szerokie, silne tyły, nie do pogodzenia z nieprzejednanym frontem.

A także, kiedy wracał do mnie, brak było w jego oczach tej służalczości, od której często aż mnie mdliło u innych odbiorców moich mądrych rad. Nie był wystraszony. Nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Ale jego oczy niepokoiły mnie tak jak za pierwszym razem, gdy oszacował mnie spojrzeniem. Były zbyt szczere, zbyt jasne, zbyt bezbronne. Nie chronił ich żaden z tych wiatrakowatych gestów. Czułem, że i ja, i każdy inny może się przez

nie przedrzeć i zająć go dla siebie, i to poczucie mnie przerażało jak groźba. Budziło we mnie lęk o własne bezpieczeństwo.

Pomyślałem o jego dossier. Tyle czołowych zdarzeń, aktów na pozór samozniszczenia, tak mało rozsądku. Okropna kartoteka szkolna. Próby zdobycia paru laurów w boksie, po których skończył w szkolnej lecznicy ze złamaną szczęką. Wydalony za to, że czytał ewangelię podczas uroczystej mszy w stanie upojenia alkoholowego. „Byłem pijany od wczoraj, panie profesorze. To nie było umyślne”. Chłosta i wydalenie.

Jakie by to było wygodne, pomyślałem, dla mnie i dla niego, gdybym mógł mu wytknąć jakąś wielką zbrodnię, która go dręczy, jakiś akt tchórzostwa lub zaniedbania. Ale Ned odstąpił mi całe jego życie razem z tajnymi aneksami — sprawy zdrowia, pieniędzy, kobiet, żon i dzieci. Dosłownie nic. Żadnej wielkiej wpadki, wielkiej zbrodni. W ogóle nic wielkiego i to właśnie mogło go tłumaczyć. Może z braku głębszych wód raz po raz się rozbijał o drobne rafy życia, kusząc Stwórcę, by rzucił mu pod nogi jakąś większą kłodę albo przestał zawracać głowę? Czy pędziłby tak na złamanie karku, gdyby miał więcej do stracenia?

I raptem, zanim się spostrzegłem, nasze role się odwróciły. Stoi nade mną i spogląda z góry. Nasza grupa ciągle czeka w pokoju obok i słychać, jak się niespokojnie wiercą. Deklarację mówienia prawdy mam przed sobą na stole. Ale on nie zagląda w deklarację, zagląda we mnie.

— Ma pan jakieś pytania? — pytam podnosząc głowę, świadomy jego wzrostu. — Chciałby pan coś wiedzieć, zanim pan podpisze? — Ostatecznie stosuję swój specjalny ton, w samoobronie.

Najpierw jest zmieszany, potem rozbawiony.

— Po co? Chce mi pan powiedzieć coś jeszcze?

— To nieuczciwy interes — surowo go ostrzegam. — Wmanewrowano pana w ściśle tajną sprawę. Nie prosił pan o to, ale nie ma rady, co pan wie, to pan wie. A wie pan dosyć, żeby starczyło na stryczek dla jednego faceta i być może kobiety. To pana plasuje w pewnej kategorii. Narzuca zobowiązania, od których pan nie może się uchylić.

I, mój Boże, znów myślę o Hannie. Odnowił we mnie ranę związaną z Hanną, jakby to była całkiem świeża rana. Wzrusza ramionami strącając to brzemię.

— Nie wiem, co wiem — powiada.

Ktoś łomocze w drzwi.

— Chodzi o to, że może zechcą powiedzieć panu więcej — mówię znów łagodniejąc i starając się mu uświadomić swoją o niego troskę. — To, co pan już wie, może być tylko początkiem tego, czego chcą, żeby się pan dowie dział.

Podpisuje. Bez czytania. Koszmarny klient. Mógłby przeświadczyć życie nie

wiedząc o tym i nie dbając o to. Pukają. Ale jeszcze muszę złożyć swój podpis jako świadek.

— Dzięki — powiada.

— Za co?

Odkładam pióro. Mam go, myślę z zimnym tryumfem, w chwili gdy Clive i pozostali wmaszerowują. Niepewny klient, ale go zwerbowałem.

Ten drugi jednak we mnie czuje wstyd i tajemniczy lęk. Mam wrażenie, że zaproszyłem ogień we własnym domu i nie sposób przewidzieć, jak się rozszerzy i kto go ugasi.

Następny akt miał tylko tę zaletę, że był krótki. Przykro mi było ze względu na Boba. Nigdy nie był cwaniakiem, a już na pewno nie bigotem. Był przezroczysty, ale to jeszcze nie grzech, nawet w świecie tajniaków. Był pokroju raczej Neda niż Clive'a i raczej stosował sposoby działania Służby niż tych rodem z Langley. Był czas, kiedy w Langley mieli na kopy takich jak Bob, i z dobrym skutkiem.

— Czy w ogóle masz pojęcie, Barley, o charakterze materiału, jaki dotychczas nam dostarczył informator, którego nazywasz Goethem? Po wiedzmy, o co w nim z grubsza chodzi? — zapytał niezręcznie Bob, strojąc się w swój szeroki uśmiech.

Pamiętałem, że Johnny strzelił tym samym pytaniem w Landaua. I sparzył sobie palce.

— Skąd miałbym mieć? — odpowiedział Barley. — Na oczy tego nie widziałem. Nie daliście mi.

— Czy jesteś całkiem pewien, że Goethe nie dał ci z góry jakichś wskazówek? Nie szepnął słówka, jak to autor wydawcy, co ewentualnie mógłby któregoś dnia, jeżeli obaj dotrzymacie obietnic, dostarczyć? Oprócz tego, co już nam opowiedziałeś o spotkaniu w Pieredelkino, oprócz tych ogólników na temat broni i nierealnych wrogów?

— Opowiedziałem wam wszystko, co pamiętam — stwierdził Barley potrząsając w zmieszaniu głową.

I jak Johnny przed nim, Bob też zerknął do instrukcji, którą chował pod stołem. Ale w przypadku Boba było to prawdziwe skrepowanie.

— Barley, czy w czasie tych sześciu wizyt, jakie złożyłeś w ciągu ostatnich siedmiu lat w Związku Sowieckim, nie nawiązałeś żadnych kontaktów, bodaj przelotnych, z obrońcami pokoju, dysydentami albo innymi nieoficjalnymi grupami tego rodzaju?

— Czy to zbrodnia?

— Może odpowiesz na pytanie — wtrącił się Clive.

O dziwo Barley usłuchał. Czasami Clive po prostu był za mały, żeby go Barley dostrzegł.

— Różnych się spotyka, Bob. Jazzmanów, tych od książek, intelektualistów, dziennikarzy, artystów. Przepraszam, ale nie sposób na to odpowiedzieć.

— Więc może trochę to odwróć i zapytam, czy w Anglii nie poznałeś jakichś ludzi z kręgu obrońców pokoju?

— Nie mam pojęcia.

— Dowiedz się, że dwaj członkowie pewnej grupy grającej bluesa, z którą występowałeś w latach 1977 i 1980, byli zamieszani w kampanię o rozbrojenie nuklearne, jak również w inne akcje pokojowe.

Barley wydał się zmieszany, ale trochę rozbawiony.

— Doprawdy? Jakież nazwiska?

— A zdziwiłbyś się, gdybym ci wymienił Maksiego Burnsa i Berta Wunderleya?

Ku zdumieniu wszystkich oprócz Clive'a Barley wybuchnął serdecznym śmiechem.

— O Boże! Bob, daruj sobie etykietkę pokojowca. Maxi to najczernerwień-szy komuch. Wysadziłby Parlament, gdyby miał bombę. A Bert by przy tym trzymał go za rączkę.

— Znaczy, że to homoseksualiści? — spytał Bob z uśmiechem starego kumpla.

— Najprawdziwsze pedały — przyznał z zadowoleniem Barley.

Na co z wyraźną ulgą Bob złożył swoją kartkę, rzucił okiem na Clive'a dając mu znak, że skończył, a Ned zaproponował Barleyowi, że może wyjdą trochę odetchnąć. Walter podszedł do drzwi i otworzył je zapraszająco. Musiał być potrzebny Nedowi jako tło, gdyż inaczej nigdy by się na to nie ośmielił. Barley chwilę się zawahał, potem chwycił butelkę szkockiej i szklaneczkę, poutykał je w bocznych kieszeniach sportowej kurtki, co miało nas, jak przypuszczam, zaszokować, i tak zaopatrzony wyszedł spokojnie za nimi, zostawiając nas trzech jak zamurowanych.

— Czy te pytania, którymi go zasypałeś, to dzieło Russella Sheritona? — spytałem Boba dość uprzejmie.

— Pytania Sheritona są za mądre jak na ten cały dzisiejszy szajs, Harry — powiedział Bob z wyraźnym niesmakiem. — O wiele za mądre.

Walka o wpływy w Langley kryła tajemnice nawet dla stron walczących, a już na pewno — choćbyśmy Bóg wie jak udawali, że jest inaczej — dla naszych cadyków z dwunastego piętra. Ale w tym żarciu się i podgryzaniu często wyływało nazwisko Sheritona jako tego, kto na pewno weźmie górę.

— Więc czyje? — zapytałem, wciąż myśląc o tych pytaniach. — Kto je napisał, Bob?

— Może i Sheriton.

— Dopiero co mówiłeś, że Sheriton jest za mądry!

— Może nie może drażnić swoich bojarów — powiedział zmieszany Bob zapalając fajkę i machając zapalką, żeby ją zgasić.
Usiedliśmy, żeby zaczekać na Neda.

Cieniste drzewo w parku rośnie nad wodą. Stałem pod nim, potem usiadłem i patrzyłem, jak nad portem wstaje wschód, a rosa kroplami też osiada mi na przeciwdeszczowym płaszczu. Posłuchałem, nic nie rozumiejąc, starego mistyka z twarzą świętego, który za dnia w tym samym miejscu lubi przyjmować swoich uczniów. Są to ludzie w różnym wieku i nazywają go Profesorem. Ławka jest zbudowana wokół pnia i podzielona żelaznymi poręczami na poszczególne miejsca. Barley usiadł pośrodku, po jego bokach Ned i Walter. Najpierw gadali w sennej marynarskiej knajpcie, potem na wzgórzu, jak mówił Barley, choć z jakiegoś powodu Ned nie chce sobie przypomnieć wzgórza. Teraz zeszli z powrotem w dolinę, na to ostatnie miejsce. Czujny Brock siedział w wynajętym samochodzie i przez szerokość trawnika miał ich na oku. Ze składów po drugiej stronie drogi dobiegał zgrzyt dźwigów, stękanie ciężarówek i krzyki rybaków. Była piąta rano, ale port nie spał już od trzeciej. Zwierały się i rozwierały pierwsze chmury świtu jak pierwszego dnia stworzenia.

— Wybierzcie kogoś innego — powiedział Barley. Na różne sposoby powtarzał to już wcześniej.

— Myśmy cię nie wybierali — rzekł Ned. — Wybrał cię Goethe. Gdybyśmy wiedzieli, jak do niego trafić bez ciebie, zaraz byśmy to zrobili. Upatrzył sobie ciebie. Cekał może i z dziesięć lat, aż się ktoś taki zjawi.

— Wybrał mnie dlatego, że nie jestem szpiegiem — powiedział Barley. — Dlatego, że odśpiewałem tę swoją cholerną arię.

— I teraz nie będziesz szpiegiem — zauważył Ned. — Będziesz wydawcą. Jego wydawcą. Współpracującym ze swoim autorem i jednocześnie z nami. Co w tym złego?

— Masz tę żyłkę, masz głowę — powiedział Walter. — Nic dziwnego, że pijesz. Nikt tego nie wykorzystał przez dwadzieścia lat. Teraz masz szansę zabłysnąć. Masz szczęście.

— Zabłysnąłem w Pieredelkino. Ile razy zabłysnę, gasną światła.

— Może nawet staniesz się wyplacalny — kusił Ned. — Trzy tygodnie przygotowań w kraju, w Londynie, kiedy będziesz czekał na wizę, tydzień atrakcji w Moskwie i na zawsze koniec kłopotów.

Z wrodzoną ostrożnością Ned omijał słowo „przeszkolenie”. Teraz znów Walter — kij, marchewka — wszystkiego aż z nawiązką, ale Ned dał mu wolną rękę.

— Och, mniejsza o pieniądze! Barley ma się*do tego zniżyć? Raz zagrasz w barwach kraju, a tyłu nigdy nie ma szansy. Marzą o tym, sami się pchają do

szeregów, a nigdy im się nie nadarzy okazja. A potem, jak już zrobisz swoje, możesz się i korzystać z tego, że jesteś Brytyjczykiem, znając swoje zasługi, nawet jeżeli sobie z nich pokpiwasz. To twoje dobre prawo, coś, o co trzeba walczyć jak o wszystko inne.

I słuszny był sąd Neda. Barley roześmiał się i kazał Walterowi spadać, czy coś w tym rodzaju.

— Oddasz też przysługę temu swojemu autorowi, jak się nad tym zastanowić — wtrącił Ned swoje argumenty prostego człowieka. — Uratujesz go przed stryczkiem. Jeżeli chce wydać jakieś tajemnice państwowe, tyle przynajmniej możesz dla niego zrobić, że go przekazesz ludziom kompetentnym. Jesteś z Harrow, nie? — dodał, jakby właśnie sobie o tym przypomniał. — Chyba gdzieś wyczytałem, że się kształciłeś w Harrow.

— Chodziłem tam tylko do szkoły — powiedział Barley i Walter wydał jeden z tych swoich ryków śmiechu, do którego Barley z grzeczności się przyłączył.

— Dlaczego kiedyś, przed laty, zgłosiłeś się do nas? Pamiętasz, co cię skłoniło? — spytał Ned. — Z poczucia obowiązku, no nie?

— Chciałem uniknąć pracy w firmie ojca. Wychowawca mi radził: idź uczyć do szkoły przygotowawczej. Kuzyn Lionel powiedział: idź do wywiadu. Odrzuciliście mnie.

— Tak. No, obawiam się, że drugi raz ci tej grzeczności zrobić nie możemy — powiedział Ned.

Jak starzy kumple trzech mężczyzn w milczeniu omietli spojrzeniem wybrzeże. U wejścia do portu rozkraczyły się całym łańcuchem okręty marynarki wojennej z bransoletami świateł nawleczonymi na takielunek.

— Wiecie co? Zawsze marzyłem, że się taki znajdzie — zaśpiewał nagle Walter, przemawiając do morza. — W głębi ducha jestem boży człowiek, na pewno. Albo niewydarzony marksista. Zawsze wierzyłem, że prędzej czy później ich historia kogoś takiego wyda. Dużo wiesz z fizyki? Nic. Tak myślałem. To twoje pokolenie, naiwni humaniści. Gdybym cię spytał o czas spalania, pewno byś myślał, że mowa o pieczeniu ciasta.

— Możliwe — zgodził się Barley i znowu się roześmiał wbrew sobie.

— PBR? Przychodzi ci coś do głowy?

— Nie lubię skrótów.

— Przybliżony błąd rozrzutu. Co ty na to?

— Jestem analfabetą — uciął Barley w jednym ze swoich nieobliczalnych napadów rozdrażnienia.

— Przekalibrować? Kogo lub co można przekalibrować i czym?

Barley nawet się nie trudził, żeby odpowiadać.

— No, dobrze. A co to jest Wielki Skurwiel, pospolicie zwany w od powiednich kołach WSK? Nie razi to twojego angielskiego ucha? Taka piękna angielszczyzna.

Barley wzruszył ramionami.

— WSK to była sowiecka superrakieta SS9 — powiedział Walter. — Wytoczyli ją na defiladę któregoś pierwszego maja w mrocznych czasach zimnej wojny. Była gigantyczna i to jej później przypisano niespotykany ślad. Też ci nic to nie mówi? Ślad? Nie szkodzi, zacznij mówić. W tym wypadku śladem były trzy wielkie dziury na pustyni w Rosji, rozmieszczone jak silosy minutomana w centrum dowodzenia. Chodziło o to, czy zostawiły je niezależnie idące do celu głowice, a więc czy Sowietom mogli trafić naraz trzy amerykańskie silosy. Ci, co nie chcieli wierzyć, że tak, mogli mówić, że to przypadek. A ci, co uwierzyli, sięgnęli do przeszłości i orzekli, że te głowice są przeznaczone do niszczenia miast, nie silosów. Oni zyskali posłuch i zielone światło na program obrony antybalistycznej. Nieważne, że trzy lata później ich teorię zdyskredytowano. Udało im się. Widzę, że tracę twoją uwagę.

— Nigdy jej nie miałeś — powiedział Barley.

— Ale on się jednak szybko uczy, to widać — zapewnił Neda zadowolony Walter, mówiąc ponad Barleyem. — Umysł wydawcy wszystko pojmie w pół słowa.

— Cóż w tym złego, że się d o w i e s z? — użalił się Ned tonem pocziwca, skołowanego mędrkowaniem. — Nigdy nie mogłem tego pojąć. Nie prosimy cię, żebyś budował te wściekłe rakiety czy naciskał guziki. Chcemy, żebyś nam pomógł lepiej rozpoznać przeciwnika. Jeżeli ci się nie podoba cały ten nuklearny paszтет, tym lepiej. A jak ten nieprzyjaciel okaże się przyjacielem, komu to szkodzi?

— Myślałem, że zimna wojna jakby się skończyła — powiedział Barley, Na co Ned, jak się okazało szczerze przestraszony, zawołał półgłosem:

— O Boże!

Ale Walter okazał się mniej powściągliwy. Udał, że jest oburzony, i może był. W każdej chwili mógł być, jaki chciał, a czasem różny naraz.

— Tandetne polityczne szopki i fałszywe przyjaźnie! — prychnął. — Tkvimy tu jak przymarznięci w momencie największego w historii wznowienia konfliktu ideologicznego, a ty mi mówisz, że to wszystko już za nami, bo garstka polityków publicznie ściska sobie ręce i wyrzuca na szmelc parę przestarzałych zabawek. Imperium zła na kolanach, o tak! Ich gospodarka to ruina, ideologia wychodzi im nosem, a magazyny pękają w szwach wbrew temu, co gadają. Tylko mi nie mów, że to powód, żebyśmy my złożyli broń, bo nie uwierzę jednemu twojemu słowu. To powód, żeby ich mieć na oku w dzień i w nocy, a jak tylko próbują podnieść łeb do góry, kopa w jaja. Bóg wie, za kogo będą się uważali za dziesięć lat!

— Zdajesz sobie chyba sprawę, że jak zostawisz Goethego, to się nim zajmą Amerykanie? — zapytał Ned tonem praktyka. — Bob go nie odpuści,

bo i dlaczego? Nie daj się zwieść tym jego manierom starego kumpla z Yale. Jak wtedy spojrzysz sobie w oczy?

— Nie chcę spoglądać sobie w oczy. To najmniej ciekawy widok.

Łupkowo sina chmura nasunęła się na czerwoną smugę słońca, zanim się rozwiła w strzępy.

— Do tego to się sprowadza — powiedział Ned. — To brutalne i nieangielskie, ale ci powiem. Chcesz być bierny czy zrobić coś dla ojczyzny?

Barley jeszcze szukał odpowiedzi, kiedy Walter udzielił jej za niego, i to rozstrzygającym tonem, nie znoszącym sprzeciwu.

— Należysz do wolnego społeczeństwa. Nie masz wyboru — powiedział.

Im bardziej przybywało dnia, tym bardziej wzrastał się hałas w porcie. Barley powoli wstał i roztarł sobie plecy. Zdaje się, że miał tam jakieś chronicznie bolące miejsce trochę powyżej pasa. Może dlatego chodził zgarbiony.

— Każdy przyzwoity Kościół dawno by was spalił na stosie, skurwysyny — zauważył ze znużeniem. Odwrócił się do Neda przyglądając mu się z góry przez te swoje za małe okulary. — Ja się nie nadaję — ostrzegł go. — I robisz głupstwo próbując mnie wykorzystać.

— Nikt z nas się nie nadaje — powiedział Ned. — To, w czym robimy, też się nie nadaje.

Barley odszedł przez trawnik, przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu kluczy. Kiedy wszedł w boczną uliczkę i zniknął nam z oczu, Brock po cichu ruszył za nim. Dom był w kształcie klina, wąski od ulicy, szeroki w głębi. Barley otworzył frontowe drzwi i zamknął je za sobą. Nacisnął guzik nastawionego na czas światła i ruszył w górę po schodach, trzymając równe tempo, jako że go czekała długa wspinaczka.

Była dobrą kobietą i w niczym tu nie zawiniła. Wszystkie one były dobre. Pełniły wobec niego jakieś posłannictwo, tak jak kiedyś Hanna w stosunku do mnie — chciały go ratować, naprawiać, ukierunkować jego, ach jakże liczne, talenty, ułatwić mu nowy początek tak, żeby mógł się odciąć od wszystkich swoich wcześniejszych nowych początków. I Barley dostarczał jej zachęty, tak jak im wszystkim. Razem z nimi stawał u łóżka chorego, jakby to nie on sam był pacjentem, ale członkiem zespołu leczącego. „Cóż więc zrobimy z tym biedakiem, żeby postawić go na nogi i przywrócić życiu?”

Z jedną różnicą: nigdy nie wierzył w to lekarstwo, nie bardziej niż ja.

Leżała na brzuchu, wyczerpana, i może spała. Sprzątnęła mieszkanie. Tak jak więźniowie sprzątaję cele, a osieroceni dbają o groby, i ona szorowała powierzchnię świata, którego nie była w stanie zmienić. Ludzie mogli mówić Barleyowi, że jest dla siebie za surowy. Kobiety często mu to powtarzały. Że nie wolno mu brać na siebie odpowiedzialności za obie strony za każdym

razem, kiedy dochodziło do zerwania. On wiedział swoje. Zachowywał dys tans do wszystkiego. Był jeszcze wtedy niedościgłym ekspertem w sprawie własnej nieuleczalności.

Dotknął jej ramienia, ale nawet nie drgnęła, wiedział więc już, że nie śpi.

— Muszę iść do ambasady — powiedział. — Ci z Londynu żądni są mojej krwi. Muszę wracać i wysłuchać całego tego ujadania, bo inaczej zabiorą mi paszport.

Wyłowił spod łóżka walizkę i zaczął ją zapelniać koszulami, które mu wyprasowała.

— Mówiłeś, że tym razem nie jedziesz — przypomniała mu. — W Anglii już swoje odsłużyłeś, powiedziawsz. Już dosyć.

— Zabukowali mnie na ranny lot. Nic nie mogę poradzić. Za pięć minut przyjeżdża po mnie wóz. — Wszedł do łazienki po szczoteczkę do zębów i przybory do golenia. — Żądają, żebym się rozliczył co do grosza! — zawołał. — Nic nie mogę zrobić.

— Wracam do męża — powiedziała.

— Zostań tutaj. Korzystaj z tego mieszkania, ze wszystkiego. To potrwa tylko parę tygodni. I koniec.

— Gdyby tylko nie tamte twoje brednie, byłoby w porządku. Mnie by wystarczył zwykły romans. Powinieneś zobaczyć swoje listy. Posłuchać sam siebie.

Barley nie patrzył na nią. Był pochylony nad walizką.

— Nikomu tego więcej nie rób — powiedziała.

Na więcej nie starczyło jej opanowania. Rozszlochała się i szlochała, kiedy wychodził, i jeszcze nazajutrz rano, kiedy częstując ją jakąś bajeczką i podsuwając pod nos oświadczenie spytałem, co jej powiedział. Nic. Wypaplała wszystko, ale broniła go do ostatniego tchu. Hanna zrobiłaby to samo. Wciąż to robi. Do dzisiejszego dnia jest uosobieniem lojalności, choć straciła już złudzenia.

Ned i ci z Naszej Rosji mieli tylko trzy tygodnie, żeby zrobić z Barleya człowieka. Trzy weekendy i piętnaście dni licząc dopiero od piątej, kiedy to Barley wymykał się z biura.

Ale Ned przeprowadził rzecz gruntownie, jak to tylko on potrafi. Trzymał ludzi całą noc, a sam tkwił przez okrągłą dobę. A Barley, z wrodzoną zmiennością, wił się jak piskorz, dopóki się nie uspokoił, nie odzyskał równowagi i — kiedy dzień wyjazdu był już bliski — nie spowaźniał. Często się zdawało, że ogarnia całą etykę naszej służby bez najmniejszego trudu. Ostatecznie, oświadczył Walterowi, czyż pozór to nie jedyna forma istnienia? O, jeszcze jak! — zawołał Walter, zachwycony — i to nie tylko w naszym zawodzie! I czyż cała nasza tożsamość nie jest tylko maską? — **drążył**

Barley. — Cóż warte jakiegokolwiek życie poza tajnym życiem? Walter potwierdził, że tak jest, i poradził mu, by zameldował się na stałe, nim ceny pójdą w górę.

Barley od początku polubił Waltera, uwielbiał jego kruchość i, jak to teraz widzę, nietrwałość. Zdawało się, że wie od pierwszej chwili, że trzyma za rękę człowieka przeznaczonego na przemiał. Kiedy indziej twarz samego Barleya ziała pustką jak otwarty grób. Nie byłby sobą, gdyby się nie przerzucał z jednej ostateczności w drugą.

Najmocniej wzięła go rodzinna atmosfera, o którą zadbał Ned ze swym wyczuciem dla agenta, który nie do końca jeszcze połknął haczyk: te pogawędki przy kolacji, poczucie, że się jest członkiem rodziny i gwiazdą, partie szachów ze starym Palfreyem, którego Ned chytrze zaprzągnął do wozu Barleya dla odmiany, by zetrzeć wpływ niepokojąco efemerycznego Waltera.

— Wpadaj, ile razy masz ochotę — zaprosił mnie Ned, poklepując po przyjacielsku.

Stałem się więc dla Barleya „kochanym Harrym”.

Kochany Harry, a niech tam, strzelimy sobie partyjkę szachów! Kochany Harry, nie zostałbyś na kolacji? Kochany Harry, gdzie twoja cholerna szklanka?

Boba Ned zapraszał rzadko, a Clive'a wcale. To był benefis Neda, jego agenta. I dobrze wiedział, na ile może sobie z nim pozwolić.

Na lokal konspiracyjny Ned wybrał edwardiański dworek w Knights-bridge, dzielnicy Londynu, w której Barley nie miał nikogo znajomego. Clive krzywił się na koszty, ale płacili Amerykanie, więc te grymasy były nie na miejscu. Dom stał w zaułku, niecałe pięć minut drogi od Harrodsa, i wynająłem go w imieniu Towarzystwa Działań Etycznych, instytucji charytatywnej, którą przed laty zarejestrowałem i chowałem na gorsze czasy. Został oddany pod opiekę miłutkiej gospodyni, naszej funkcjonariuszki, panny Coad, którą jak należy zaprzysięgłem i wciągnąłem na listę wtajemniczonych w operację Niebieski Ptak. Dziecinny pokój na piętrze został zamieniony na skromną salkę wykładową i tak jak pozostałe, przytulne i dobrze umeblowane pokoje, naszpikowany mikrofonami.

— To jest tymczasem twój dom na wygnaniu — powiedział Ned Barleyowi, kiedyśmy go oprowadzali. — Tu masz sypialnię, jeśli ci będzie potrzebna, a tu klucze. Telefonu możesz używać, ile chcesz, ale obawiam się, że będziemy podsłuchiwali, tak że jeżeli to coś prywatnego, lepiej dzwoń z budki po drugiej stronie ulicy.

Żeby już nic nie zaniedbać, objąłem nakazem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych również i telefon w budce. Sprawa żywotnie interesuje Amerykanów.

Jako że obaj z Barleyem nie potrzebowaliśmy wiele snu, graliśmy w swoje szachy, kiedy inni szli spać. Był impulsywnym przeciwnikiem i często błyskotliwym, ja znów potrafię kalkulować, czego on się nigdy nie nauczył;

bardziej też byłem wyczulony na jego słabe strony niż on na moje. Ostatecznie znałem jego dossier. Do dziś pamiętam jednak partie, kiedy od pierwszego rzutu oka przenikał całą moją strategię i w trzech lub czterech ruchach z rykiem zadowolenia zmuszał mnie do kapitulacji.

— Mam cię, Harry! Poddaj się, na kolana!

Kiedyśmy jednak ustawili pionki od nowa, czułem, jak cierpliwość go opuszcza. Zaczynał się rozglądać, machać rękami i pozwalał błdzić myślom.

— Jesteś żonaty, Harry?

— Nie na tyle, żeby to było widać — odpowiedziałem.

— Cóż to, u licha, znaczy?

— Mam żonę na wsi. A żyję w mieście.

— Od dawna ją masz?

— Starczyłoby na dwa życia — odpowiedziałem beztrąsko, już żałując, że nie udzieliłem mu jakiejś innej odpowiedzi.

— Kochasz ją?

— Mój drogi! — Nie spuszczał ze mnie oczu; chciał wiedzieć. — Na odległość, jak przypuszczam. Tak — dodałem niechętnie.

— A ona też cię kocha?

— Tak sądzę. Już jakiś czas jej nie pytałem.

— Dzieciaki?

— Chłopak. Już po trzydziestce.

— Widujesz go kiedy?

— Kartka na Boże Narodzenie. Spotkania na pogrzebach i ślubach. Na swój sposób jesteśmy zaprzyjaźnieni.

— Co on robi?

— Flirtował z prawem. Teraz robi pieniądze.

— Jest szczęśliwy?

Wpadłem w złość, co mi się dziś rzadko zdarza. Nie jego zasrany interes decydować, co to jest szczęście albo miłość. Jest agentem. Ja mam prawo się do niego zbliżyć; on do mnie nie. Ale co było jeszcze bardziej niezwykle, to to, że okazywałem swoją złość. Musiałem ją chyba okazać, bo go przyłapałem na tym, że patrzy na mnie z troską i wyraźnie się zastanawia, czy przypadkiem nie dotknął jakiejś rodzinnej tragedii. Potem się zaczerwienił i machnął ręką szukając czegoś, co by odwróciło naszą uwagę i pozwoliło wybrnąć z trudnej sytuacji.

— On się nie opiera, tak bym to ujął — orzekł w rozmowie z Nedem niejaki pan Candyman, specjalista od najnowszych wynalazków w dziedzinie mikrofonów osobistych. — Nie mówię, że to talent wrodzony, ale naprawdę słucha i. Boże święty, pamięta.

— To dżentelmen, panie Ned, a to mi się podoba — oświadczyła pani od inwigilacji, której powierzono nauczanie Barleya podstaw sztuki śledzenia na

ulicy. — Ma olej w głowie i poczucie humoru, a to, co często powtarzam, połowa drogi do zostania dobrym ogonem.

Wyznała potem, że odrzuciła jego awanse zgodnie z instrukcją służby, ale z powodzeniem udało mu się ją wprowadzić w twórczość Scotta Fitzgeralda.

— Wszystko to razem hokus-pokus — orzekł ochryply Barley pod koniec nużącej sesji o technikach tajnego pisma. Mimo wszystko jednak wyraźnie go to bawiło.

A kiedy dzień zapłaty był już bliski, poddał się całkowicie. Nawet gdy wprowadziłem resortowego księgowego, ponurego dragala zwanego Christopherem, który pięć dni spędził zdjęty grozą nad księgami firmy Abercrombie-Blair, Barley nie okazał cienia buntowniczości, jakiej się spodziewałem.

— Ależ, Chris, chłopie, wszystkie te śwynie z branży wydawniczej, co do jednej, siedzą po uszy w długach! — zapewniał, przemierzając ładną bawiał nią tam i sam w rytmie melodii, którą nucił machając szklanką whisky i uginając nogi w kolanach przy stawianiu długich kroków. — Bonzy jak Jumbo żrą liście, podczas gdy my żujemy korę. — I dodał swym niemieckim głosem: — Fy macie sfoje metody, my sfoje.

Ale ani Neda, ani mnie nie obchodziły wszystkie te śwynie. Ani Chrisa. Nas obchodziła operacja i jak koszmara dręczyła myśl, że Barley może zbankrutować w czasie jej trwania.

— Ale mnie nie jest potrzebny żaden cholerny redaktor! — krzyczał Barley, machając tymi swoimi wysłużonymi okularkami. — Nie mam na to, żeby płacić jakiemuś cholernemu redaktorowi. Moje świętobliwe ciotki zrobią w majtki, jak przyjmę cholernego redaktora!

Ze świętobliwymi ciotkami jednak wszystko już załatwiłem. Przy śniadanku u Rulesa podbiłem serce Lady Pandory Weir-Scott, bliżej Barleyowi znanej jako Święta Krowa ze względu na jej wierność Kościołowi anglikańskiemu. Pozując na arcykapłana Ministerstwa Spraw Zagranicznych wytłumaczyłem jej w największym zaufaniu, że dom wydawniczy Abercrombie-Blair ma otrzymać ciche stypendium Rockefellera na promocję anglo-sowieckich stosunków kulturalnych. Ale szał, bo pieniądze zostaną odebrane i przydzielone innej zasłużonej firmie.

— Kiedy ja jestem, u diabła, bardziej zasłużona niż kto inny — zaręczała Lady Pandora szeroko rozstawiając łokcie, żeby wydłubać resztki mięsa z homara. — Niech pan spróbuje utrzymać Ammerford za trzydzieści tysięcy rocznie.

Przewrotnie zapytałem ją, czy mogę się bez obaw zwrócić do bratanka.

— Za nic, niech pan go zostawi mnie. Nie wie, co wart jest pieniądź, i nie skłamałby za skarby świata.

Potrzeba dania Barleyowi opiekuna wydała się nagle bardziej paląca.

— Dales ogłoszenie, że go szukasz — wyjaśnił Ned, wymachując Barleyowi przed nosem stroną ogłoszeń drobnych z prasy kulturalnej. „Renomo-

wana stara brytyjska firma wydawnicza poszukuje wykwalifikowanego rosyjskiego lektora jako pomocnika wydawcy, wiek 25 — 45 lat, literatura piękna i techniczna, życiorys".

I na drugi dzień po południu w uginającej się od hipotecznych długów siedzibie Abercrombie-Blair przy Norfolk Street na Strandzie stał się na rozmowę Leonard Carl Wicklow.

— Jest tu do pana anioł, panie Barley — zadudnił nasycony ginem głos pani Dunbar przez staroświecki intercom. — Mam go poprosić, żeby wefrunął?

Anioł w spodniach spiętych spinkami do jazdy na rowerze, z torbą z taśmą tapicerskiej przewieszoną przez pierś. Wysokie angielskie czoło bez jednej chmurki, anielskie blond loczki. Anielskie błękitne oczy nie znające zła. Anielski nos tak przetrącony, że zбочzył z prostej drogi i chciało się go instynktownie naprostować. — Porozmawiaj z nim, jakbyś to zrobił z każdym innym — powiedział Barleyowi Ned. Leonard Carl Wicklow, urodzony w Brighton w 1964, ukończył studia z odznaczeniem, Wydział Sławistyki i Spraw Wschodnioeuropejskich, Uniwersytet Londyński.

— O, to pan. Wspaniale. Proszę usiąść — wymruczał Barley. — Ki diabeł każe panu szukać pracy w wydawnictwie? Przeklęty zawód. — Zjadł właśnie lunch z jedną ze swoich bardziej piskliwych powieściopisarek i jeszcze nie strawił tego doświadczenia.

— Cóż, to jedna z rzeczy, które właściwie ciągnę od lat, panie redaktorze — powiedział Wicklow z uśmiechem angielskiego entuzjazmu.

— No, jak pan przyszedł do nas, to na pewno już pan długo nie pociągnie — ostrzegł go Barley, rozprawiając się z tą niczym nie sprowokowaną obrazą dla języka angielskiego. — Może pan wytrwać, może się nawet panu udać. Ale na pewno długo pan nie p o c i ą g n i e , póki ja siedzę za kierownicą.

— Nie wiem, co to za palant, czy to liże, czy gryzie — burknął do Neda tego samego dnia wieczorem w Knightsbridge, kiedy wszyscy trzej sadziliśmy na górę wąskimi schodami na wieczorną schadzkę z Walterem.

— Prawdę mówiąc, jest dobry w jednym i drugim — powiedział Ned.

A seminaria Waltera wciążył Barleya przykuwały, za każdym razem Walter dawał prawdziwy popis. Barley uwielbiał ludzi, których związki z rzeczywistością są kruche, a Walter robił wrażenie, że rzeczywistość usuwa mu się spod nóg, ilekroć wstaje z krzesła. Mówili o technikach zawodowych, mówili o teologii nuklearnej, o koszmarze nauki w Związku Radzieckim, której dziedzicem musiał być z konieczności nasz Niebieski Ptak, kimkolwiek był. Walter okazał się zbyt dobrym wykładowcą, żeby zdradzać, o czym lub o kim mówi, a Barley zbyt był ciekaw, żeby o to pytać.

— Kontrola?! — wrzeszczał na niego z oburzeniem Walter, jastrzęb-ekstremista. — Naprawdę nie odróżniasz kontroli od rozbrojenia, naiwniaku?

Walczyć z kryzysem światowym, czy ja dobrze słyszę? Cóż to za brednie z „Guardiana”? Nasi przywódcy uwielbiają kryzys. Nasi przywódcy żerują na kryzysie. Nasi przywódcy całe życie ćwiartują kulę ziemską w poszukiwaniu kryzysu, który by wskrzesił ich więdnące libido!

A Barley, bynajmniej nie obrażony, wyciągał szyję ze swego miejsca, pojękiwał, klaskał i żebrał o więcej. Prowokował Waltera, zrywał się na nogi i tłukł się po pokoju krzycząc:

— Ale... wal dalej, do cholery... ale!

Miał pamięć, miał zdolności, jak przepowiedział Walter. A jego kompletna niewiedza w zakresie nauk ścisłych ustąpiła pod pierwszym ciosem, kiedy Walter wygłosił wstępny wykład o równowadze terroru, którą udało mu się przedstawić jako inwentarz wszystkich głupot ludzkości.

— Nie ma wyjścia — oznajmił z satysfakcją — i nie stworzą go żadne pobożne życzenia. Ten demon nie cofnie się do butelki, to wznowienie będzie trwało, uścisk się zaciska, zabawki z każdą generacją są zmyślniejsze i dla żadnej ze stron nie istnieje nic takiego jak wystarczające bezpieczeństwo. Nie dla głównych graczy i nie dla tych nowych gnojek, którzy co rok sobie prokurują kieszonkową bombę i wchodzą do klubu. Wierzenie w to już nas męczy, przecież jesteśmy ludźmi. Choćbyśmy sobie nawet wmówili, że zagrożenie znikło, nie zniknie nigdy. Nigdy, nigdy, nigdy.

— Więc kto nas uratuje, Walter? — zapytał Barley. — Ty i Nedski?

— Jeżeli w ogóle coś, to próżność, w co wątpię — odpalił Walter. — Żaden z przywódców nie zechce przejść do historii jako dupek, który zniszczył swój kraj w jedno popołudnie. I strach, przypuszczam. Większość naszych wspaniałych polityków żywi narcystyczny wstręt do samobójstwa, dzięki Bogu.

— Poza tym żadnej nadziei?

— Nie dla człowieka samego — odrzekł z zadowoleniem Walter, który nieraz serio rozważał raczej przyjęcie święceń niż rygorów służby.

— No, to co chce osiągnąć Goethe? — spytał Barley innym razem z nutką irytacji.

— O, na pewno zbawić świat. Wszyscy byśmy chcieli.

— Przecież ty masz to zbadać.

— O czym nam już powiedział? Dlaczego ja nie mogę wiedzieć?

— Mój drogi, nie bądź taki dziecinny! — wykrzyknął z rozdrażnieniem Walter, **ale** tu szybko wkroczył Ned.

— Wiesz wszystko, co trzeba — powiedział uspokajając go mocą swego autorytetu. — Jesteś kurierem wyposażonym w to, co potrzebne kurierowi, i **tego on po tobie** oczekuje. Powiedział nam, że kupa rzeczy po sowieckiej stronie nie działa. Odmalował nam ich upadek w każdej dziedzinie, od góry **do dołu: niedokładność**, brak kompetencji, błędy zarządzania, a do tego **jeszcze sfałszowane** wyniki testów przesyłane do Moskwy. Może to prawda,

może wszystko zmyślił. Może ktoś zmyślił dla niego. Jak nic wygląda na to, że nas podpuszczają.

— A my, czy uważamy, że to prawda? — uparcie dążył Barley.

— Nie wiadomo.

— Dlaczego?

— Bo podczas przesłuchania każdy sypie. Nie ma już bohaterów. Ja sypię, ty sypiesz i Walter, i Goethe, i ona. Więc mówiąc ci, co o nich wiemy, wystawiam na szwank własną zdolność rozpracowania ich. Czy znamy jakąś ich konkretną tajemnicę? Jeżeli nie, będą wiedzieli, że brak nam danych komputerowych, urządzeń albo formuły, albo supertajnej stacji naziemnej, by je zdobyć. Ale jeżeli tak, podejmą jakąś akcję pozorowaną, żeby sprawdzić, czy na pewno nie możemy dalej ich podpatrywać i podsłuchiwać tą metodą. Barley i ja graliśmy w szachy.

— Więc uważasz, że małżeństwo sprawdza się tylko na odległość? — spytał wracając do naszej wcześniejszej rozmowy, jakbyśmy nigdy jej nie przerywali.

— Jestem zupełnie pewien, że miłość tak — odpowiedziałem otrząsając się z przesadą, i szybko zmieniłem temat na nie tak osobisty.

Na jego ostatni wieczór panna Coad przyrządziła pstrąga i wyczyściła srebra. Bob stawiał się i wytrzasnął skądś rarytas: miętową whisky i dwie butelki sancerre. Zorganizowana przez nas uroczystość zastała jednak Barleya w tym samym nastroju introspekcji i dopiero natchnione Ostatnie Kazanie Waltera wydobyciło go z depresji.

— Problemem jest dlaczego — zaśpiewał nagle Walter i jego kapryśny głos wypełnił cały pokój, podczas kiedy on sam częstował się sancerre z mojej szklanki. — O to nam chodzi. Nie o samą rzecz, ale o motyw. Dlaczego? Wierząc w motyw, wierzymy człowiekowi. Wtedy wierzymy materiałom, jakie dostarczył. Na początku nie było słowa, nie było czynu ani tego idiotycznego węża. Na początku było dlaczego. Dlaczego zerwała jabłko? Nudziła się? Ktoś jej zapłacił? Adam ją namówił? A jak nie on, to kto? Każda dziewczyna się zaślania diabłem. Dajmy mu spokój. Ktoś za nią stał? Nie wystarczy powiedzieć: bo jabłko tam było. To może być dobre, jeśli chodzi o Mount Everest. Nawet o raj. Ale nie wystarcza, żeby wytłumaczyć Goethego, nie wystarcza nam, i na p e w n o nie wystarczy naszym wspaniałym amerykańskim sprzymierzeńcom. Nie mam racji, Bobby?

A kiedy wszyscy wybuchliśmy śmiechem, zmrużył oczy, aż się zamknęły, i jeszcze bardziej podniósł głos.

— Albo weźcie tę czarującą Katię! Dlaczego Goethe wybiera ją? Dlaczego go naraża jej życie? I dlaczego ona na to przystaje? Nie wiemy. Ale musimy wiedzieć. Musimy dowiedzieć się o niej wszystkiego, co się da, bo w naszym fachu kurier jest informacją. Jeżeli Goethe mówi prawdę, ta dziewczyna sama pcha głowę pod topór. To pewne. Jeżeli nie, to co z nią? Sama wszystko

wymyśliła? Naprawdę ma z nim kontakt? Może ma kontakt z kimś innym, a w takim razie z kim? — wycelował bezsilny palec w twarz Barleya. — A teraz ty, redaktorze. Czy Goethe myśli, że jesteś szpiegiem, czy nie? Może mu ktoś powiedział, że jesteś szpiegiem. Bądź jak chomik. Wszystko skrzętnie zbieraj. I niech cię Bóg prowadzi i sprzyja tym, co cię wysyłają.

Dyskretnie napełniłem inną szklaneczkę i wypiliśmy. I pamiętam, jak w tej głębokiej ciszy wyraźnie było słyhać uderzenia Big Bena niosące się nad rzeką z Westminsteru.

Dopiero na drugi dzień wczesnym rankiem, kiedy do odlotu Barleya zostały już tylko godziny, pozwoliliśmy mu zerknąć w część dokumentów, których tak głośno się domagał w Lizbonie: w zeszyty Goethego odtworzone w facsimile w Langley z zachowaniem drakońskich środków tajemności, wraz z rosyjskimi okładkami z grubego kartonu i rysunkami na nich przedstawiającymi wesołych sowieckich uczniów.

Barley wyciągnął po nie obie ręce i w jednej chwili stał się już tylko wydawcą, a my przyglądaliśmy się jego transformacji. Otworzył pierwszy zeszyt, przyjrzał się wewnętrznym marginesom, zważył w ręku i przerzucił do końca, jakby sprawdzał, ile czasu zabierze przeczytanie. Sięgnął po drugi, otworzył na chybił-trafił i na widok gęstego pisma zrobił minę wyrażającą, ni mniej, ni więcej, tylko niezadowolone z faktu, że tekst pisany jest bez interlinii i ręcznie.

Potem przeleciał wszystkie trzy zeszyty naraz, próbując znaleźć jakiś sens w gąszczu szkieców przemieszanych z tekstem pisany w tym przesadnym stylu, trzymając głowę sztywno odgiętą do tyłu i odchyloną w bok, jakby postanowił wstrzymać się z wyrażeniem swojego zdania.

Zauważyłem jednak, że kiedy podniósł oczy, zniknęła w nich świadomość, gdzie się znajduje, i miały taki wyraz, jakby je utkwiał w szczycie dalekiej, jemu tylko znanej góry.

Rutynowe przeszukiwanie mieszkania Barleya w Hampstead, przeprowadzone przez Neda i Brocka po jego wyjeździe, nie ujawniło żadnych konkretnych wskazówek co do jego stanu ducha. Na zaśmieconym biurku znaleziono stary zeszyt, w którym zwykł robić brudne notatki. Ostatnie wpisy wyglądały na niedawne, najświeższy chyba był dwuwiersz z późniejszego tomu Ste-ve'ego Smitha.

Nie tak się boję ciemnej nocy. Jak
przyjaciół, których nie znam,

Ned skrupulatnie włączył go do kartoteki, ale nie chciał wyciągać żadnych wniosków. Powiedzmy, że: jest agentem, który nie dostaje sraczkę w przeddzień swojej pierwszej akcji.

A na odwrócie starego rachunku wyrzuconego do kosza na śmieci Brock trafił na cytaty, jak później stwierdził, z Roethkego, o którym z jakichś niejasnych powodów wspominał dopiero po tygodniach.

Uczę się idąc tam, dokąd muszę iść.

6

Katia obudziła się nagle i, jak to sobie później wmówiła, od razu ze świadomością, że to się stanie dzisiaj. Była wyemancypowaną sowiecką kobietą, ale przesądów wyzbywała się z trudem.

— Tak miało być — powiedziała sobie później.

Za spranymi zasłonami blade słońce wschodziło nad wyasfaltowanym placem defilad północnego przedmieścia Moskwy, gdzie mieszkała. Wszędzie wokół wznosiły się w puste niebo obdrapane różowe olbrzymie ceglanych bloków obwieszonych praniem.

Dziś poniedziałek, pomyślała. Jestem we własnym łóżku. Ostatecznie wolno mi wyjść na ulicę. Myślała o swoim śnie.

Przebudziwszy się leżała chwilę bez ruchu, dokonując przeglądu swojego tajemnego świata i próbując się otrząsnąć ze złych przeczuc. Kiedy to nie pomogło, wyskoczyła z łóżka i energicznie, jak większość rzeczy, które robiła, z wprawą i zręcznością dała nura pod suszące się pranie i nędzne wyposażenie łazienki, i wzięła prysznic.

Była piękną kobietą, jak zauważył Landau. Wysoką, pełną, choć nie tęgą, szczupłą w talii i długonogą. Miała wspaniałe czarne włosy, niesforne, jeśli ich nie poskromiła. Twarz figlarną, ale inteligentną, która jakby pobudzała wszystko wokół do życia. W ubraniu czy nago — ruchy miała pełne wdzięku.

Wyszędłszy spod prysznica zakręciła kurki, jak mogła najmocniej, a na koniec przyłożyła im jeszcze. — A masz! — drewnianym tłuczkiem. Nucając pod nosem wzięła małe lustro i wróciła do sypialni ubrać się. Znów ta ulica. Gdzie to było? W Leningradzie czy w Moskwie? Prysznic nie splukał z niej tego snu.

Sypialnię miała małą (był to najmniejszy z trzech pokoi, z których składało się jej malutkie mieszkanie): alkowa z komodą i łóżkiem. Ale Katia przywykła do tych ciupek i jej szybkie ruchy, kiedy szczotkowała, zwijała i upinała włosy do biura, miały w sobie jakąś niedbałą zmysłową elegancję. Prawdę mówiąc, mieszkanie mogło być o wiele mniejsze, gdyby nie to, że ze względu na charakter swojej pracy miała prawo do dodatkowych dwudziestu metrów. Wujkowi Matwiejowi zawdzięczała następne dziewięć, a bliźniętom i własnej przemyślności resztę. Nie miała nic do zarzucenia temu mieszkaniu.

Może to była ulica w Kijowie, pomyślała, przypominając sobie ostatni tam pobyt. Nie. Ulice Kijowa są szerokie, a ta moja była wąska.

Kiedy się ubierała, blok budził się do życia i Katia, dziękując Bogu, odliczała obrządkie normalnego świata. Najpierw przez ścianę dobiegł dzwonek budzika Goglidzów na szóstą trzydzieści, a po nim wściekle szczekanie charta domagającego się, żeby go wyprowadzić. Biedni Gog-lidze, pomyślała, muszę im coś podarować. W zeszłym miesiącu Natasza straciła matkę, a w piątek odwieźli na sygnale do szpitala ojca Otara z guzem mózgu. Dam im trochę miodu, pomyślała i przyłapała się na uśmiechu: pomyślała o swoim byłym kochanku, opozycyjnym malarzu, któremu wbrew wszelkim prawom natury udało się nielegalnie wyhodować rój pszczół na jakimś dachu za Arbatem. Postąpił z nią haniebnie, jak ją zapewniali przyjaciółki. Ale Katia w duchu zawsze go broniła. Ostatecznie był artystą, może geniuszem. A poza tym pięknym kochankiem i między napadami szału pobudzał ją do śmiechu. Zresztą kochała go za to, że osiągnął niemożliwe.

Po Goglidzach doszło ją kapryszenie córeczki Wołkowów, której się wyrzynały pierwsze ząbki, a w chwilę później, spod podłogi, łomot ich japońskiego nowiutkiego stereo, wybijającego rytm najnowszego amerykańskiego rocka. Skąd, u licha, stać ich na takie rzeczy, zastanawiała się Katia z nowym przyływem współczucia. Jelizawiecia bez przerwy w ciąży, a Sasza ma sto sześćdziesiąt miesięcy. Po Wołkowych byli ponurzy Karpowowie — ci uznawali tylko radio Moskwa. Tydzień temu urwał się balkon Karpowow zabijając milicjanta i psa. Kawalarze z bloku chcieli zrobić zbiórkę na psa.

Stała się zaopatrzeniowcem. W poniedziałki może zdobyć świeże kurczętą i warzywa przywożone prywatnie ze wsi w czasie weekendu. Jej przyjaciółka Tania ma kuzyna, który nieformalnie działa jako pośrednik dla drobnych dostawców. Zadzwoń do Tani.

Myśląc o tym pomyślała także o biletach na koncert. Podjęła decyzję. Zaraz po przyjściu do biura odbierze te dwa bilety do filharmonii, które jej obiecał redaktor Barzin na przeprosiny za pijackie zaczepki na przyjęciu z okazji pierwszego maja. Nawet ich nie zauważyła, ale Barzin zawsze się czymś zadręcza, a dlaczego miałyby mu przeszkadzać w poczuciu winy, szczególnie jeśli przybiera ono postać biletów na koncert?

W przerwie obiadowej po zakupach wymieni te bilety z portierem Morozowem, który obiecał dwadzieścia cztery kostki importowanego mydła w ozdobnych opakowaniach. Za to wytworne mydło dostanie kupon czystej wełny w zieloną kratę, którą kierownik sklepu z materiałami chowa dla niej pod kluczem w magazynie. Katia rezolutnie postanowiła się nie zastanawiać dlaczego. Dziś po południu, po przyjęciu u Węgrów, wręczy materiał Oldze Stanisławskiej, która w zamian za przysługi jeszcze do ustalenia uszyje na enerdowskiej maszynie wymienionej za starego rodzinnego Singera dwie

farmerskie koszulki dla bliźniąt na urodziny. I może zostanie jeszcze **tylt** materiału, żeby starczyło dla obojga na prywatny przegląd zębów u dentystki,

Żegnaj więc, koncercie, to już załatwione.

Telefon był w dużym pokoju, gdzie sypiał wujek Matwiej: kosztowny czerwony aparat z Polski. Wołodia przeschmuglował go z fabryki i miał na tyle serca, że go nie zabrał ze sobą, kiedy się na dobre wynosił. Przekradłszy się na palcach obok śpiącego Matwieja — po drodze rzuciła mu jako ukochanemu bratu ojca czułe spojrzenie — przeniosła telefon na długim sznurze przez przedpokój, postawiła u siebie na łóżku i wzięła się do wykręcania numeru, nim się jeszcze zdecydowała, do kogo dzwonić w pierwszej kolejności.

Przez dwadzieścia minut obdzwoniła przyjaciółki, wymieniając plotki głównie o tym, gdzie co można dostać, ale i bardziej osobiste. Dwa razy, kiedy odłożyła słuchawkę, dzwoniło do niej. U Zoi wczoraj wieczór był najnowszy czeski reżyser filmowy, Aleksandra mówi, że jest zabójczy i że wreszcie sama pokieruje swoim życiem i zadzwoni do niego, ale pod jakim pretekstem? Katia zastanowiła się i wpadła na pewien pomysł. Trzech awangardowych rzeźbiarzy, do niedawna zakazanych, urządza wystawę w Związku Zawodowym Kolarzy. Niech go zaprosi na tę wystawę. Aleksandra była zachwycona. Katia ma zawsze rewelacyjne pomysły.

Czarnorynkową wołowinę można kupić co czwartek po południu z samochodu chłodni od tyłu na drodze do Szeremietjewa, powiedziała Luba. Pytała o Tatara imieniem Jan, ale trzymać go na dystans! Kubańskie ananasy sprzedają w sklepie na zapleczu ulicy Kropotkina, powiedziała Olga. Powołać się na Dymitra i zapłacić dwa razy tyle, ile zażądadają.

Odkładając słuchawkę Katia uprzytomniła sobie, że prześladuje ją amerykańska książka o rozbrojeniu pożyczona od Nasajana, upstrzona łacińskim alfabetem. Nasajan był w „Październiku” nowym redaktorem od literatury faktu. Nikt go nie lubił, nikt nie pojmował, w jaki sposób dostał tę pracę. Zauważono jednak, że ma u siebie klucz od jedynej kopiarki, co go wyraźnie plasowało wśród dwuznacznych figur na drabinie urzędniczej. Półki z książkami miała w przedpokoju, zapchane od podłogi do sufitu i przeładowane. Szukała z trudem. Ta książka to koń trojański. Chciała się jej pozbyć z domu, a z nią Nasajana.

— Ktoś ma ją tłumaczyć? — zapytała go surowo, kiedy krążył po pokoju w biurze, zerkając na jej listy i grzebiąc w stercie nie przeczytanych maszynopisów.
— Dlaczego chce pan, żebym ją przeczytała?

— Pomyślałem, że może panią zainteresować — odpowiedział. — Pani jest matką. I liberałką, obojętne, co to znaczy. Tak się pani oburza na Czarnobyl, sprawę rzek i Ormian. Ale jeżeli pani nie chce, niech jej pani nie bierze.

Znalazłszy tę podstępłą książkę wciśniętą między Hugh’a Walpole’a a Thomasa Hardy’ego, owinęła ją w gazetę, wepchnęła do siatki, a siatkę

zawiesiła na klamce drzwi wyjściowych, ponieważ jak wszystko ostatnio jej się przypominało, tak również o wszystkim zapominała.

Ta klamka, którą kupiliśmy razem na pchlim targu! — pomyślała w przypiływie rozczerwienia. Wołodia, mój biedny, nieznośny mężu, skazany na pielęgnowanie swojej nostalgii za historią w kołchozowym mieszkaniu, które dzielisz z pięciu takimi jak ty śmierzącymi słomianymi wdowcami!

Załatwiwszy telefony, szybko podlała kwiaty i poszła budzić bliźnięta. Spały w jednym łóżku. Stojąc nad nimi Katia popatrzyła z lękiem, przez moment nie mogąc zebrać się na odwagę, żeby ich dotknąć. Potem się uśmiechnęła, żeby na pewno zobaczyły ją uśmiechniętą, kiedy się zbudzą.

Następną godzinę poświęciła im bez reszty. Tak miała zaplanowany każdy dzień. Po przyrządzeniu im kaszki i obraniu pomarańczy śpiewała z nimi głupie piosenki, kończąc ich ulubionym Marszem Entuzjastów, który wyryczyły unisono wciskając podbródki w pierś jak bohaterowie rewolucji, nie wiedząc — co Katia uświadamiała sobie za każdym razem z rozbawieniem — że jest to również melodia nazistowskiego marsza. Kiedy piły herbatę, naszykowała im drugie śniadania, biały chleb dla Siergieja, ciemny dla Anny, dla obojga z pasztetem. A potem przyszyła Siergiejowi guzik do kołnierza, poprawiła Annie czerwoną chustę na szyi i oboje wycalowała, a dopiero potem wyszczotkowała im włosy, ponieważ kierowniczką szkoły, panslawistka, głosiła, że przestrzeganie schludności to jest hołd należny państwu.

Na koniec kucnęła i przygarnęła oboje, jak co poniedziałek od czterech tygodni.

— Więc co zrobicie, jeżeli mama kogoś wieczora nie wróci, jeżeli będzie musiała lecieć na jakąś konferencję albo odwiedzić kogoś chorego? — spytała pogodnie.

— Zadzwonimy do taty, każemy mu przyjechać i zostać z nami — powiedział Siergiej wyrывая się.

— A ja się zajmę wujkiem Matwiejem — wyrecytowała Anna.

— A jak taty też nie będzie, co wtedy?

Rozchichotali się, Siergiej dlatego, że ta myśl go zaniepokoiła, Anna z podniecenia na myśl o nieszczęściu.

— Pójdziemy do cioci Olgi! — zawołała Anna. — Nakręcę zegar z kanarkiem u cioci Olgi! Żeby zaśpiewał!

— A jaki jest numer cioci Olgi? Czy i to zaśpiewasz?

Wyśpiewali go piszcząc ze śmiechu wszyscy troje. Bliźnięta jeszcze się śmiały, kiedy z łoskotem zbiegały przed nią śmierzącą klatką schodową, która dorosłym służyła za miłosne gniazdko, pijaczkom za bar, a chyba wszystkim poza jej rodziną za ubikację. Wyszedłszy w słońce, pomaszzerowali trzymając się za ręce przez park do szkoły; Katia w środku.

— Co jest dzisiaj celem waszego życia, towarzysze? — spytała Katia z żartobliwą surowością, raz jeszcze poprawiając Siergiejowi kołnierzyk.

— Ze wszystkich sił służyć ludowi i partii.

— I?

— Pilnować, żeby Witalij Rogów nie zwędził mi śniadania!

I znów się śmiali, po czym bliźnięta wbiegły na kamienne schody, a Katia machała im, dopóki nie zniknęły.

W metrze wszystko zobaczyła w jaskrawym świetle i z dystansu. Zauważyła, że pasażerowie są ponurzy, jak gdyby sama nie była jedną z nich. I że wszyscy czytają moskiewskie gazety, widok, który byłby nie do pomyślenia jeszcze rok temu, kiedy gazety nadawały się jedynie jako papier toaletowy lub do uszczelniania dziur. Zdarzało się, że i Katia też czytała gazetę, książkę lub maszynopis z pracy. Lecz dziś mimo wysiłków, żeby się pozbyć myśli o tym głupim śnie, żyła w kilku światach naraz. Gotowała uchę dla ojca, żeby odkupić jakiś akt samowoli. Zmuszała się, by wytrwać na lekcji gry na fortepianie u staruszki Tatiany Siergiejewny, i znosiła jej uwagi za brak skupienia. Biegła ulicą nie mogąc się obudzić. Czy też ta ulica biegła za nią. I to pewno dlatego o mały włos nie zapomniała o przesiadce.

Dochodząc do biura mieszczącego się w pseudonowoczesnym budynku, stanowiącym dziwną mieszaninę łuszczącego się drewna i wilgotnego cementu — nadającym się bardziej na basen publiczny niż państwowe wydawnictwo — zdumiała się na widok robotników z młotkami i piłami we frontowym hallu. Przez chwilę pomyślała, że wznoszą szubienicę na jej własną publiczną egzekucję.

— To nasz „fundusz” — wysapał stary Morozów, który zawsze musiał zamienić z nią parę słów. — Pieniądze przyznali nam sześć lat temu. A teraz jakiś biurokrata udzielił zgody.

Winda jak zwykle była w naprawie. W Rosji, pomyślała, windy i cerkwie zawsze są w naprawie. Wbiegała po schodach nie wiadomo dlaczego w pośpiechu, rzucając głośnie, wesole dzień dobry komu trzeba. Kiedy się potem zastanowiła nad tym pośpiechem, pomyślała, że może podświadomie popędział ją dzwonek telefonu, bo kiedy weszła do pokoju, telefon na jej biurku dzwonił jak szalony.

Chwyciła za słuchawkę i zdyszana powiedziała:

— Tak? — ale najwidoczniej za prędko, bo zaraz usłyszała jakiś męski głos pytający po angielsku o madame Orłowa.

— Mówi Orłowa — powiedziała też po angielsku.

— Madame Jekaterina Orłowa?

— Słucham, kto mówi? — zapytała uśmiechając się. — Może to lord Peter Wimsey? Kto mówi?

Ktoś ze znajomych robi mi głupi kawał. Znowu mąż Luby, liczy na randkę. A potem wyszło jej w ustach.

— Och, pani mnie nie zna, obawiam się. Nazywam się Scott Blair. Barley Scott Blair z Abercrombie-Blair z Londynu, z firmy wydawniczej, jestem tu

służbowo. Zdaje się, że mamy wspólnego znajomego, Nikię Landaua. Niki bardzo nalegał, żebym do pani zadzwonił. Witam.

— Witam — usłyszała swój własny głos czując uderzenie gorąca i ból, który się odezwał gdzieś w żołądku, tuż pod żebrami. W tej samej chwili wlaźł Nasajan, z rękami w kieszeniach, nie ogolony, jako że w ten sposób demonstrował swoją intelektualną głębię. Widząc, że Katia rozmawia, zgarbił się i zrobił do niej kwaśną minę, krzywiąc brzydką twarz. Chciał, żeby zwolniła linię.

— Bonjour, Katia Borysowna — powiedział ironicznie.

Ale głos w telefonie już znów mówił, narzucał jej się. Był to silny głos, więc założyła, że należy do człowieka wysokiego. Pewny siebie, a więc to człowiek arogancki, jeden z tych Anglików w kosztownych garniturach, z rękami założonymi z tyłu, którzy nie mają za grosz kultury.

— Zaraz pani powiem, dlaczego dzwonię — mówił. — Niki, zdaje się, obiecał pani znaleźć stare wydanie Jane Austen, z oryginalnymi sztychami, zgadza się? — Nie dał jej czasu na odpowiedź. — Przywiozłem parę, nawet niebrzydkie, i pomyślałem, że może mógłbym je przekazać w jakimś miejscu wygodnym dla nas obojga.

Nasajan zmęczył się swoją miną i — jak to on — grzebał w jej korespondencji.

— To miło z pana strony — powiedziała do słuchawki najchłodniej, jak umiała. Przyjęła obojętny wyraz twarzy, martwy i oficjalny. To dla Nasajana. Pozbyła się wszelkich myśli. To dla siebie.

— Niki przysłała pani także tonę herbaty Jacksona — ciągnął głos.

— Tonę? — powtórzyła Katia. — O czym pan mówi?

— Nawet nie wiedziałem, że firma Jackson jeszcze działa, szczerze mówiąc. Mieli kiedyś wspólny sklep na Piccadilly, niedaleko od Hatcharda. Tak czy owak, mam tu przed sobą trzy różne gatunki tej herbaty...

Cisza...

Aresztowali go, pomyślała. W ogóle nie dzwonił. To znów mój sen, Boże święty, co robić?

— ...assam, darjeeling i orange pekoe. Co to, u licha, jest pekoe? Brzmi dla mnie raczej jak egzotyczny ptak.

— Nie wiem. Przypuszczam, że to roślina.

— A ja przypuszczam, że pani ma rację. Tak czy owak idzie o to, jak mam to pani oddać? Mogę dokądś przynieść? Albo może pani wpadnie do hotelu, wypijemy drinka i dokonamy formalnej prezentacji?

Zaczynała doceniać jego gadatliwość. Dawał jej czas na uspokojenie. Przeciągnęła palcami po włosach, stwierdzając ze zdumieniem, że są porządnie przyczesane.

— Nie powiedział mi pan, w jakim hotelu się pan zatrzymał — zauważyła surowo.

Nasajan z dezaprobatą szarpnął się w jej stronę.

— Och, rzeczywiście! Jestem śmieszny. Mieszkam w „Odessie”, zna pani „Odessę”? Zaraz za starą łaźnią. Całkiem polubiłem ten hotel. Zawsze proszę o „Odessę”, ale nie zawsze go dostaję. W dzień jestem raczej zajęty spotkaniami, zawsze to samo, kiedy się jest z krótką wizytą, ale wieczory mam na razie stosunkowo wolne, jeśli to pani odpowiada. No właśnie, a co z dzisiejszym wieczorem, nie ma co tego odkładać, czy dziś wieczór pani odpowiada?

Nasajan zapalał jednego z tych swoich śmierdzących papierosów, chociaż całe biuro wiedziało, że ona nie znosi dymu. Zapaliwszy go, zadarł do góry i ssał swoimi babskimi wargami. Skrzywiła się na niego, ale ją zignorował.

— Prawdę mówiąc, dosyć mi to odpowiada — powiedziała Katia swoim najbardziej wojskowym tonem. — Dziś wieczór muszę być na oficjalnym przyjęciu w pana dzielnicy. To ważna delegacja z Węgier — dodała niepewna, na kim chce zrobić wrażenie. — Czekaliśmy na nią od tygodni.

— Świetnie. Wspaniale. Proszę podać godzinę. Szósta? Ósma? Która pani najlepiej pasuje?

— Przyjęcie jest o szóstej. Będę może piętnaście po ósmej.

— Może-piętnaście-po-ósmej, stoi. Pamięta pani nazwisko? Scott Blair. Scott jak ten z Antarktydy. Blair jak ta trąbka. Jestem wysoki, schorowany, mam mniej więcej dwieście lat, w okularach, przez które nic nie widzę. Ale wiem od Nikiego, że pan jest sowieckim wydaniem Wenus z Milo, myślę więc, że i tak panią poznam.

— Co za nonsens! — zawołała śmiejąc się mimo woli.

— Będę się kręcił po hallu i wypatrywał pani, ale przecież mogę pani podać numer swego pokoju na wszelki wypadek. Ma pani ołówek?

Kiedy odłożyła słuchawkę, wzbierające w niej sprzeczne namiętności wystąpiły z brzegów i rzuciła się na Nasajana z ogniem w oku.

— Grigoriju Tigranowiczu, bez względu na pańskie stanowisko nie ma pan prawa mnie tu nachodzić, przeglądać mojej korespondencji i podsłuchiwać moich rozmów telefonicznych. Oto pańska książka. Jeżeli ma mi pan coś do powiedzenia, proszę to zrobić później.

Po czym ułożyła równo maszynopis przekładu o osiągnięciach kubańskich spółdzielni rolniczych i skostniałymi palcami jąła przerzucać strona po stronie, udając, że jej liczy. Minęła cała godzina, nim zadzwoniła do Nasajana.

— Musi mi pan wybaczyć ten wybuch — powiedziała. — Podczas weekendu umarł jeden z moich bliskich przyjaciół. Nie panowałam nad sobą.

Do przerwy obiadowej zmieniła plany. Morozów może poczekać z biletami, sprzedawca z tym luksusowym mydłem, a Olga Stanisławska poczeka na materiał. Wysła z biura i wsiadła do autobusu, nie taksówki. Potem

piechotą przez jedno podwórze, drugie, aż znalazła zaniedbany blok, którego szukała, i uliczkę za nim. „W ten sposób mnie złapiesz, jak będziesz potrzebowała — powiedział. — Dozorca to mój przyjaciel. Nawet nie będzie wiedział, kto dał znak”.

Musisz wierzyć w to, co robisz, napominała samą siebie.

Wierzę, wierzę bez zastrzeżeń.

Trzymała pocztówkę w ręku, reprodukcję Rembrandta z Ermitażu. „Serdeczne pozdrowienia dla was wszystkich”, podpis „Alina” i narysowane serce.

Znalazła tę ulicę. Była tu już kiedyś. To ulica z jej złęgo snu. Nacisnęła dzwonek trzy razy i wsunęła pocztówkę pod drzwi.

Wspaniały moskiewski poranek, jasny i obiecujący, powietrze alpejskie, w taki dzień można wybaczyć każdy grzech. Załatwiwszy telefon Barley wyszedł z hotelu i przystając na ciepłym chodniku rozluźnił dłonie i ramiona, pokręcił szyją w kołnierzyku oraz skierował uwagę na zewnątrz, żeby skłócone zapachy i odgłosy miasta zagłuszyły jego obawy. Smród rosyjskiej benzyny, tytoniu, tanich perfum i rzeki — witajcie! Plujące dymem bure ciężarówki grzmiąc ścigały się po dziurach w jezdni. W przerwach niesamowita pustka. Limuzyny z przyciemnionymi szybami, nie oznaczone budynki rozpadające się przed czasem — czy to biurowiec, koszary czy szkoła? Chłopaki o twarzach jak z ciasta palą w bramach papierosy i czekają. Kierowcy nad gazetami w zaparkowanych samochodach czekają. Czekają milcząca grupa uroczystych mężczyzn w kapeluszach, wpatrzona w zamknięte drzwi.

Dlaczego zawsze mnie to pociągało? — zastanawiał się myśląc o swoim życiu w czasie przeszłym, co mu ostatnio weszło w zwyczaj. Dlaczego wciąż tu wracałem? Czuł się, jakby go kto na sto koni wsadził i nic na to nie mógł poradzić. Nie przywykł się bać.

Dlatego, że się im udaje, rozstrzygną. Dlatego, że potrafią lepiej to znosić niż my. Dlatego, że kochają anarchię i boją się chaosu. Dla tego napięcia między jednym a drugim.

Dlatego, że Bóg zawsze znajdował wymówkę, by o nich zapomnieć.

Ze względu na ich całkowitą ignorancję i geniusz, który spod niej bucha. Ze względu na ich poczucie humoru, nie gorsze od naszego, nawet większe.

Dlatego, że są ostatnim pograniczem w świecie aż za dobrze poznanym. Dlatego, że tak bardzo się starają być tacy jak my, startując z takim wielkim opóźnieniem.

Ze względu na to wielkie serce, które bije w tej wielkiej rzeźni. Ponieważ jest to moja własna rzeźnia.

Przyjdę może o ósmej piętnaście, powiedziała. Co brzmiało w jej głosie?

Ostrożność? Ostrożność przed kim? Przed samą sobą? Przed nim? Przede mną?
W naszym fachu kurierzy to informacja.

Z metra wyszła grupka nastolatek w bawełnianych sukienkach i chłopców w drelichowych kurtkach i pobiegła z przejściem do pracy czy nauki, ponure twarze na jedno słowo rozjaśniające się uśmiechem jak za naciśnięciem guzika. Spozregłszy cudzoziemca przyjrzeni mu się chłodnymi oczami, jego okrągłym, wypukłym okularkom, znoszonym, ręcznie szytym butom, starymu imperialistycznemu garniturowi. W Moskwie, jak już chyba nigdzie, widział Blair ludzi ubranych po burżujsku, przyzwocie. Włączył się w ruch i pozwolił nieść obojętne dokąd. W przeciwieństwie do jego nastroju wyraźnego zadowolenia ranne kolejki po żywność wyglądały niecierpliwie i niespokojnie. Szaro ubrani bohaterowie pracy i wojenni weterani o piersiach dzwoniących medalami w słońcu brodząc przez tłum wyglądali na spóźnionych, obojętne dokąd maszerowali. Nawet ich gnuśność miała posmak protestu. W tym nowym klimacie sama bezczynność była aktem opozycji. Ponieważ nic nie robiąc nic nie zmieniamy. A nic nie zmieniając trzymamy się tego, co rozumiemy, nawet jeśli są to kraty więzienia.

Przyjdę może o ósmej piętnaście.

Doszedłszy do szerokiej rzeki, Barley znów zwolnił. Na drugim brzegu bajkowe kopuły Kremla wznosiły się w bezchmurne niebo. Jerozolima, która pokazuje język, pomyślał. Tyle wieź i prawie żadnego dzwonu. Tyle cerkwi, a chyba ani jednej modlitwy.

Słyszac tuż za sobą czyjś głos, Barley zbyt gwałtownie się obejrzał i zobaczył parę starsuszków w odświętnych ubraniach. Pytali go o drogę dokądś. Ale Barley o znakomitej pamięci znał ledwie parę słów po rosyjsku. Była to muzyka, której często słuchał, ale nigdy się nie zdobył na to, żeby zgłębić jej tajniki.

Roześmiał się i zrobił przeproszającą minę.

■ — Nie mówię, stary. Jestem imperialistyczną hieną, Anglikiem!

Stary uściskał przyjaźnie jego dłoń.

W każdym obcym mieście, w jakim zdarzyło mu się być, nieznajomi pytali go o drogę do miejsc, których nie znał, w języku, którego nie rozumiał. Tylko w Moskwie byli mu wdzięczni za jego ignorancję.

Zawrócił, przystając przed nie mytymi wystawami i udając, że patrzy, co oferują. Malowane drewniane lalki. Dla kogo? Zakurzone puszki z owocami albo może to. są ryby? Obszarpane paczuszki zawieszane na czerwonych sznurkach, o niewiadomej zawartości, może pekoe? Słoje marynowanych medycznych eksponatów w świetle dziesięciowatowej żarówki. Znów zbliżał się do hotelu. Wiejska kobieta o pijanych oczach wtykała mu pęk wędnących tulipanów owinięty w gazetę.

— Bardzo to miłe z pani strony! — krzyknął i przetrząsnąwszy kieszenie znalazł wśród śmieci banknot rublowy.

Przed wejściem do hotelu stała zielona łada z wgniecioną kratą chłodnicy. Ręcznie wypisana kartka za przednią szybą głosiła WAAP. Kierowca sięgał nad maską i odczepiał wycieraczki, żeby mu ich nie skradziono.

— Scott Blair? — spytał go Barley. — Mnie pan szuka? — Kierowca nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, robił swoje. — Blair? — powtórzył Barley. — Scott?

— To dla mnie? — spytał Wicklow zjawiając się za nim. — Jesteś wspaniały — dodał po cichu. — Bezbłądny.

Wicklow będzie ci osłaniał tyły, powiedział Ned. Jeden Wicklow będzie wiedział, czy cię śledzą. Wicklow i kto jeszcze? — zastanowił się Barley. Wczoraj wieczorem, kiedy tylko zameldowali się w hotelu, Wicklow zniknął i wrócił dopiero po północy, a Barley kładąc się do łóżka zobaczył go przez okno — stał na ulicy i rozmawiał z dwoma młodzieńcami z džinsach.

Wsiadli do wozu. Barley rzucił tulipany na tylną półkę. Wicklow usiadł z przodu i pogodnie gawędził z kierowcą swoją doskonałą ruszczyzną. Kierowca wydał z siebie grzmiący ryk śmiechu. Wicklow zaśmiał się również.

— Mnie nie powiesz? — spytał Barley.

Ale Wicklow już to robił.

— Spytałem go, czyby nie chciał wozić królowej, kiedy tu przyjedzie z oficjalną wizytą. Mają tu takie powiedzonko: Jak kraść, to milion. Jak dmuchać, to królową.

Barley opuścił szybę i wystukał jakąś melodię o ramkę. Hulaj dusza do godziny może piętnaście po ósmej.

— Barley, witaj w Barbarii! Na litość boską, chłopie, nie podawaj mi ręki przez próg, dość mamy kłopotów! Wyglądasz zdrowo — zapewnił go zaniepokojony Alik Zapadny, kiedy już mieli czas się sobie przyjrzeć. — Mogę spytać, dlaczego nie masz kaca? Jesteś zakochany? Znów się rozwiodłeś? Cóżże takiego zmalował, że chcesz mi wyznać?

Wpadnięte oczy Zapadnego badały go z desperacką inteligencją, więzienie już na zawsze wycisnęło swoje piętno na jego zwiotczonych policzkach. Kiedy Barley go poznał, Zapadny był podejrzanym tłumaczem w nielasce, pracującym pod innymi nazwiskami. Teraz był podejrzanym bohaterem piere-strojki w białej koszuli ze starszego brata i czarnym garniturze.

— Wezwał mnie Głos, Alik — wyjaśnił Barley w porywie dawnej sympatii, wręczając mu plik starych numerów „Timesa” zapakowany w szary papier. — Co dzień o dziesiątej w łóżku z dobrą książką. Poznaj Lena Wicklowa, naszego rusycystę. Wie o was więcej niż wy sami, no nie, Leonardzie Carlu?

— No, Bogu dzięki, że jest ktoś taki! — odpowiedział Zapadny, ostrożnie, nie zauważając podarunku. — W dzisiejszych czasach stajemy się niepewni

samych siebie, gdy naszą wielką rosyjską tajemnicę wywleka się na światło dzienne. Ale, ale, panie Wicklow, co pan wie o naszym nowym szefie? Słyszał pan, na przykład, że w pojedynkę podjął się reedukacji Związku Sowieckiego? O, tak. Miał urzekającą wizję stu milionów niedouczonego sowieckiego robotników, którzy tylko marzą o tym, żeby się podciągać w wolnych chwilach. Chciał im zaferować szeroki wachlarz dzieł traktujących o tym, jak samemu się nauczyć greki, trygonometrii i prowadzenia domu. Musieliśmy mu wytłumaczyć, że sowiecki szary człowiek nie sądzi, aby czegoś było mu brak, i że w wolnej chwili jest pijany. Wie pan, cośmy dostali w zamian, zamiast go uszczęśliwić? Podręcznik do gry w golfa! Nie wyobraża pan sobie, ilu naszych zacnych obywateli jest pod urokiem kapitalistycznego golfa! — I w pośpiechu jeszcze jeden niebezpieczny kawał: — Co nie znaczy, byśmy tu mieli jakichś kapitalistów. Broń Boże!

Usiedli w dziesięciu przy żółtym stole pod ikoną Lenina z dykty. Mówił Zapadny, pozostali słuchali i palili. Nikt z nich, o ile Barley wiedział, nie miał uprawnień do podpisania umowy czy uzgodnienia warunków.

— No, gadaj, Barley, co to za bzdury nam tu wciskas, że przyjechałeś kupować sowieckie książki? — pytał Zapadny podczas wstępnej wymiany uprzejmości, unosząc krzaczaste brwi i stykając czubki palców wzorem Sherlocka Holmesa. — Wy, Brytyjczycy, nigdy nie kupujecie naszych książek. Każecie nam kupować wasze. Poza tym jesteście bankrut, a przynajmniej tak nam donoszą twoi londyńscy znajomi. A-B żyje podobno niebieską mianą i whisky. Osobiście uważam, że to wspaniała dieta. Ale po co przyjechałeś? Myślę, że szukałeś tylko pretekstu, żeby nas znów odwiedzić.

Czas mijał. Żółty stół unosił się w promieniach słońca. Nad nim unosił się całun dymu z papierosów. W głowie Barleya pojawiały się i znikwały czarno-białe wizerunki Katii w formie fotografii. Każda dziewczyna zastania się diabłem. Pili herbatę z ładnych leningradzkich filiżanek. Zapadny wygłaszał swoje standardowe caveat przeciw próbom zawierania umów z sowieckimi wydawcami bezpośrednio, wybrawszy sobie Wicklowa jako słuchacza: Na pozór nie ustająca wojna WAAP przeciw reszcie świata trwała w najlepsze. Dwóch bladych panów wpadło posłuchać i wyszło. Wicklow zaskarbiał sobie zasługi rozdając w koło niebieskie gauloise'y-

— Dostaliśmy zastrzyk kapitału, Alik — z daleka usłyszał Barley własne wyjaśnienia. — Czasy się zmieniły. Rosja jest dziś modna. Starczyło mi powiedzieć chłopakom z forsa, że robię listę rosyjskich książek, a zlecieli się do mnie, ile mieli sił w tych krótkich nóżkach.

— No, Barley, te chłopaki, jak mówisz, mogą szybko zmadrzeć. — Zapadny, wielki sofista, zasygnalizował, że czas na nowy wybuch posłusznego śmiechu. — Szczególnie, powiedziałbym, jeżeli chcą, żeby im się to zwróciło.

— Tak też to przedstawiłem w teleksie, Alik. Może nie zdążyłeś go

przeczytać — powiedział Barley, dając im małą próbkę swojej nieustępliwości. — Jeżeli wszystko pójdzie według planu, A-B wyjdzie w ciągu roku z nową serią poświęconą wyłącznie rosyjskim książkom. Literatura piękna, literatura faktu, książki dla młodzieży, naukowe. Mamy nową serię popularyzatorską w dziedzinie medycyny, same paperbacki. Te tematy zyskują popularność, tak samo nazwiska autorów. Chcielibyśmy współpracy prawdziwych sowieckich lekarzy i naukowców. Nie chcemy hodowli owiec w Mongolii ani rybołówstwa w Kręgu Polarnym, ale jeżeli macie jakieś sensowne tematy do zaproponowania, to po to tu jesteśmy — żeby was wysłuchać i kupić. Ogłosimy naszą listę na najbliższych moskiewskich targach książki i jak dobrze pójdzie, w przyszłym roku na wiosnę przywieziemy sześć pierwszych tytułów.

— Wybacz, Barley, ale czy macie dzisiaj dystrybucję, czy jak przedtem polegasz na boskiej interwencji? — spytał Zapadny z całą swoją popisową delikatnością.

Walcząc z pokusą, żeby zwrócić Zapadnemu uwagę na jego maniery, Barley brnął dalej.

— Negocjujemy umowę o dystrybucję z kilkoma dużymi firmami wydawniczymi i wkrótce wydamy oświadczenie. Poza beletrystyką. Jeżeli idzie o beletrystykę, posłuchamy się własnym rozszerzonym zespołem — powiedział, nie mogąc sobie za nic przypomnieć, dlaczego zawarli taką zwiariowaną umowę ani czy rzeczywiście ją zawarli.

— Powieść to sztandar chwały A-B — wyjaśnił Wicklow z oddaniem, wspierając Barleya.

— Zawsze nim będzie dla każdego — poprawił go Zapadny. — Powiedziałbym, że powieść to największy z maratonów. Naturalnie to tylko moja opinia. To najwyższa forma sztuki. Wyższa od poezji, wyższa od noweli. Ale proszę mnie nie cytować.

— Dla nas, supermocarstw literatury, że tak powiem... — podlizął się Wicklow.

Zapadny, wielce zadowolony, zwrócił się do Barleya:

— Co do literatury pięknej, to w tym szczególnym przypadku chcielibyśmy sami dać tłumacza i wziąć dalsze pięć procent za tłumaczenie.

— Bez problemu — powiedział uprzejmie Barley w swym śnie. — Takie sumy A-B zostawia dzisiaj kelnerowi.

Ale ku jego zdumieniu Wicklow żywo interweniował.

— Przepraszam pana, to by było podwójne honorarium. Nie sądzę, byśmy to przelknęli i przeżyli. Musiał pan źle zrozumieć, co powiedział pan Zapadny.

— Ma rację — przyznał Barley prostując się gwałtownie. — Nie stać nas, u diabła, na dodatkowe pięć procent.

Czując się jak magik przechodzący do następnej sztuczki Barley wyłowił z teczki folder i rozrucił w słońcu kilka egzemplarzy lśniących prospektów.

— Nasz kontakt amerykański jest opisany na stronie drugiej — oznajmił. — Naszym partnerem jest Potomak-Boston, A-B nabywa nieograniczone prawa do anglojęzycznych wersji wszystkich dzieł sowieckich i odsprzedaje Potomakowi na Amerykę Północną. Mają filię w Toronto, tak więc wchodzimy do Kanady. Zgadza się, Wickers?

— Tak jest.

Jak, u licha, ten Wicklow tak szybko się nauczył wszystkich tych bredni? — pomyślał Barley.

Zapadny jeszcze studiował prospekt, przerzucając jedną po drugiej sztywne, nieskazitelne strony.

— To t y ś to gównu wydrukował, Barley? — spytał uprzejmie.

— To Potomak — odpowiedział Barley.

— Ale rzeka Potomak jest daleko od Bostonu — zaprotestował Zapadny popisując się znajomością geografii Ameryki na użytek tych paru obecnych, którzy też ją znali. — Jeśli jej ostatnio nie przenieśli, przepływa przez Waszyngton. Co może łączyć Boston z Potomakiem? Czy mówimy o jakiejś starej firmie, Barley? Czy o nowej?

— Nowej na tym polu. Ale działającej od dawna. To kupcy z Waszyngtonu, ale teraz działają w Bostonie. Inwestują kapitał. Różne dziedziny. Przemysł filmowy, parkingi, automaty, call-girls i kokaina. To samo co zawsze. Wydawnictwo to ich uboczna działalność.

Ale w duchu słyszał, kiedy wybuchnął śmiech, jak Ned mówi:

— Gratuluję, Barley. Nasz Bob daje nam tu bogatego kumpla z Bostonu, który chce cię mieć jako partnera. Ty masz tylko wydawać jego pieniądze.

A Bob, ze stopami jak żelazka i w tweedowej marynarce, uśmiecha się uśmiechem kupca.

Pół do dwunastej. Osiem godzin i czterdzieści pięć minut do może--piętnaście-po-ósmej.

— Kierowca pyta, czego ma się spodziewać, kiedy pozna królową — wrzeszczał entuzjastycznie Wicklow nad oparciem siedzenia. — Naprawdę go to wzięło. Czy królowa bierze łapówki? Czy rozwala ludzi za drobne wykroczenia? Jak się żyje w kraju rządzonym przez dwie harpie?

— Powiedz mu, że to męczące, ale dajemy sobie radę — rzekł Barley szeroko ziewając.

Pokrzepiwszy się łykiem z piersiówki opadł na poduszki wozu i obudził się, kiedy już szedł za Wicklowem w głąb więziennego korytarza. Tylko że zamiast jęku więźniów słyszał było gwizdanie czajnika i postukiwanie liczydeł odbijające się echem w mroku. W chwilę później Wicklow i Barley są w biurach Kompanii Kolei Brytyjskich rocznik 1935. U żelaznych krokwi dyndają upstrzone przez muchy żarówki i nieczynne elektryczne wiatraki. **Nad**

antykwarycznymi maszynami do pisania cyrylicą, wielkości piecyka, prezydują amazonki w chustkach na głowie. Zakurzone półki uginają się pod księgami rachunkowymi. Na podłodze aż po parapety okien piętrzą się sterty pudeł po butach wypchanych okładkami z nie wyprawionej skóry.

— Barley! Jezu! Witaj w Prometeuszu Rozpętany! Podobnoś wreszcie zdobył jakieś pieniądze. Od kogo?! — wrzeszczy mężczyzna w średnim wieku w wojskowej bluzie Fidela Castro, skacząc do nich przez te rupiecie. — Dogadamy się sami, co? Do diabła z tymi gówniarzami z WAAP-u!

— Jurij, jak to wspaniale, że cię widzę! Poznaj Lena Wicklowa, naszego redaktora, który mówi po rosyjsku.

— Pan jest szpiegiem?

— Tylko w wolnych chwilach.

— Jezu! Równy chłop. Przypomina mi mojego młodszego brata.

Mieszczą się na Madison Avenue. Weneckie żaluzje. Mapy na ścianach i fotele. Jurij to wylewny grubas i Żyd. Barley przyniósł mu butelkę Black Label i rajstopy dla jego pięknej nowej żony. Odrzucając nakrętkę Jurij koniecznie chce nalać do filiżanek. Przechodzą na rosyjskie fale. Temat: Bułhakow, Płatonow, Achmatowa. Czy wolno będzie wydać Solżenicyna? A Brodskiego? I ta hołota, cała lista angielskich współczesnych pisarzy, którzy bez żadnych podstaw zyskali sobie oficjalne względy, a więc i sławę w Rosji. Barley o jednych nie słyszał, innych nie cierpi. Wybuchy śmiechu, toasty, co słyszeć u angielskich znajomych, śmierć tym gnojkom z WAAP-u. Rosja się zmienia z godziny na godzinę, słyszałeś, Barley? Widziałeś ten kawałek w „Maskowskich Nowościach” w zeszły czwartek o tych zwariowanych neofaszystach z Pamięci z ich nieprawdopodobnym nacjonalizmem, antysemityzmem i antywszystkoizmem oprócz nich samych? A co powiesz o artykule w „Ogonioku”, o Freudzie? A opinia „Nowego Mira” o Nabokowie? Wydawcy, graficy, tłumacze jak zawsze mnożą się zdumiewająco, ale żadnych Katii. Wszyscy są pijani, nawet ci, co odmówili picia alkoholu. Przedstawiają wielkiego pisarza imieniem Misza i sadząją tak, by słuchacze go widzieli.

— Misza jeszcze nie siedział — tłumaczy go przepaszająco Jurij, wywołując gromki śmiech. — Ale może, przy odrobinie szczęścia, ześlą go, zanim się zrobi za późno, tak że go będzie można wydawać na Zachodzie!

Mówią o najnowszych sowieckich arcydziełach literatury pięknej. Jurij wybrał tylko osiem z własnej listy, każde z nich to murowany bestseller, Barley. Wydaj je, a będziesz mógł mi otworzyć konto w Szwajcarii. Rzucają się na plastikowe reklamówki, nim jeszcze Wicklow zdążył się zająć ośmioma nie nadającymi się do druku, przepisywanymi na przebitce maszynopisami, jest to bowiem świat, w którym fotokopiarka i elektryczna maszyna do pisania wciąż jeszcze są zakazaną i wywrotową bronią.

Mówią o teatrze i Afganistanie.

— Niedługo wszyscy się spotkamy w Londynie! — woła Jurij jak

oszałały gracz, który stawia wszystko na jedną kartę. — Przyślę do ciebie syna, zgoda? Przyślesz do mnie swojego? Słuchaj, wymieńmy zakładników, a wtedy nikt nikogo nie zbombarduje!

Wszyscy milkną, kiedy odzywa się Barley, i milczą dalej, żeby przemówił Misza, wielki pisarz. Wicklow tłumaczy, a jednocześnie Jurij i trzech innych kwestionują jego tłumaczenie. Misza kwestionuje ich zastrzeżenia. Zaczął się odwrót.

Ktoś się domaga wyjaśnienia, dlaczego w Anglii dalej rządzi ta faszystowska partia konserwatystów. Dlaczego proletariatus nie wykopie drani? Barley częstuje ich czymś mało oryginalnym — że demokracja to najgorszy ustrój, ale lepszemu jeszcze nie wymyślono. Nikt się nie śmieje. Może już to znają, może im się nie podoba. Siadęm wódki czas wyjść, zanim minie nastrój. Jak Anglicy mogą głosić prawa człowieka, ktoś pyta ponuro, kiedy sami niewolą Irlandczyków i Szkotów? Dlaczego popieracie ten okropny rząd w Afryce Południowej?! — wrzeszczy jakaś dziewczętnastolatka, blondynka w balowej sukni.

— Ja nie popieram — protestuje Barley. — Naprawdę nie.

— Słuchaj — mówi Jurij w drzwiach. — Trzymaj się z dala od tego skurwysyna Zapadnego, dobra? Nie mówię, że on jest z KGB. Mówię tylko, że potrzebował nie byle jakich pleców, żeby znów się znaleźć w obiegu. Jesteś równy facet, wiesz. Wiesz, co mam na myśli.

Ściskali się już wiele razy.

— Jurij — mówi Barley. — Staruszka matka mnie uczyła, że wy wszyscy jesteście w KGB.

— I ja?

— Szczególnie ty. Mówiła, że ty jesteś najgorszy.

— Uwielbiam cię. Słyszysz? Przyślij syna. Jak mu na imię?

Pół do drugiej i już godzinę są spóźnieni w następne miejsce na tej trudnej drodze do może-kwadrans-po-ósmej.

Ciemne drzewo, wspaniałe jedzenie, uprzejma obsługa, wielkopańska atmosfera myśliwskiego zameczku. Siedzą przy długim stole pod balkonem w Związku Literatów, Alik Zapadny znów na miejscu prezydialnym. Kilka obiecujących sześćdziesięcioletnich młodych pisarzy zagląda, słucha i wychodzi, unosząc z sobą swoje wielkie myśli. Zapadny pokazuje tych, co ostatnio wyszli z więzienia, i tych, którzy, jak sądzi, niedługo zajmą ich miejsca. Biurokraci od literatury przysuwają krzesła i ćwiczą swój angielski. Wicklow tłumaczy, Barley błyszczący, wszystko na soku owocowym i resztkach Black Label. Świat będzie lepszy, zapewnia Barley Zapadnego, jakby był ekspertem od świata.

Rzykownie cytuje Zinowiewa.

— Kiedy się to wszystko skończy? Kiedy ludzie przestaną się ustawiać w kolejce do grobowca? — to aluzja do Mauzoleum Lenina.

Tym razem brawa nie są tak ogłuszające.

O drugiej, w zgodzie z nowymi przepisami dotyczącymi picia, w momencie kelner przynosi karafkę wina, a Zapadny na cześć Barleya wyciąga ze zbutwiełej teczki butelkę-pieprzówki.

— Mówił ci Jurij, że jestem w KGB? — pyta ponuro.

— Ależ skąd — zdecydowanie przeczy Barley.

— Nie uważaj się, proszę cię, za wyróżnionego. Wciska to wszystkim z Zachodu. Szczerze mówiąc czasem się trochę martwię o Jurija. To miły facet, ale wszyscy wiedzą, że jest do dupy jako wydawca, no więc jak taki Żyd jak on mógł zdobyć takie stanowisko? W zeszłym tygodniu chrzcił w Zagorsku synka. Jak to wytłumaczysz?

— To nie mój kłopot, Alik. Żyj i daj żyć. Finito. — A na boku: — Wickers, zabierz mnie stąd, trzeźwieję.

Około szóstej, po jeszcze dwóch szalenie rozgadanych spotkaniach, kiedy cudem mu się udało odrzucić z pół tuzina zaproszeń na wieczór, Barley jest z powrotem w hotelu i zmagą się z prysznicem. Jednocześnie Wicklow zabawia go wesoło, wrzeszcząc przez drzwi o sprawach wydawniczych na użytek ukrytych mikrofonów. Wicklow bowiem z rozkazu Neda ma zostać z nim aż do ostatniej chwili na wypadek, gdyby Barley dostał tremy i sfusze-rował robotę.

7

Hotel „Odessa” w tym trzecim roku Wielkiej Sowieckiej Pierestrojki nie był już perłą na wyboistej moskiewskiej trasie turystycznej, chociaż pozostał nie najgorszym na niej przystankiem. Walił się, schodził na psy, oferował tylko niektóre wygody. Związany raczej z rublem niż dolarem, nie miał takich udogodnień jak bary za obcą walutę, nie pętały się też po nim grupy zblazowanych globtrotterów z Minnesoty ze łzami błagających o zagubiony bagaż. Był tak nędznie oświetlony, że lampy z brązu i murzynki, i otoczona galerijką sala jadalna przypominały raczej biedną przeszłość w stanie ruiny niż odradzającego się z popiołów socjalistycznego feniksa. Kiedy się wyszło z rozklekotanej windy i stawiało czoło marsowi etażowej zacząjonej w budce wśród poczerniałych kluczy od pokoiów i mchem pokrytych telefonów, od razu miało się wrażenie, że człowiek cofnął się do najbliższej instytucji z czasów młodości.

Ale też pierestrojka nie osiągnęła jeszcze stadium widzialnego. Znajdowała się dokładnie w stadium słyszalnym.

Mimo to „Odessa” dla tych, którzy szukają nastroju, miała go wtedy i na szczęście ma nadal. Poczciwe recepcjonistki zachowały miękkie serca mimo stalowych spojrzeń. Wiadomo, że portierzy przymykając oczy wpuszczają cię do

windy i nie żądają okazania karty hotelowej po raz piąty tego samego dnia. Kierownik restauracji, odpowiednio zachęcony, wdzięcznie prowadzi cię do twojej wnęki i lubi w zamian widzieć uśmiech. A wieczorem, pomiędzy szóstą a dziewiątą, hall staje się zaimprovizowaną sceną dla występów stu narodów Imperium. Modnie ubrani urzędnicy z Taszkientu, Inianowłose nauczycielki z Estonii, ognistoocy działacze partyjni z Turkmenii i Gruzji, dyrektorzy fabryk z Kijowa, inżynierowie okrętowi z Archangielska — nie wspominając już Polaków, Kubańczyków, Afgańczyków, Rumunów i całych zastępów aroganckich prostaków z NRD — wysypują się z autokarów Aeroflotu i ze słońca ulicy wstępują w mrok hallu, by spłacić swą daninę na rzecz stolicy i metr po metrze przesunąć bagaż ku trybunie.

I Barley, sam będąc mimo woli emisariuszem, chociaż innego imperium, zajął tego wieczora miejsce wśród nich.

Najpierw usiadł, ale nie na długo, jakaś starsza dama bowiem zaraz pchnęła go w ramię żądając, żeby jej ustąpił miejsca. Potem już stał w jednej z wnęk w pobliżu windy, dopóki omal go nie zastonił mur obronny z tekturowych waliz i paczek owiniętych w szary papier. Wreszcie schronił się pod osłoną środkowej kolumny i przepaszając wszystkich, a zarazem obserwując szklane drzwi, które się otwierały i zamykały, to usuwał się każdemu z drogi, to znów wysuwał, tuląc „Emmę” Jane Austen do piersi, a w drugiej ręce dźwigając jaskrawą torbę z lotniska Heathrow.

Dobrze, że Katia przyszła go wybawić.

Nie było nic tajnego w ich spotkaniu, nic ukrytego w ich zachowaniu. Dojrzeli się w tej samej chwili, kiedy Katię tłum jeszcze przepychał przez drzwi. Barley podniósł rękę i pomachał Jane Austen,

— Halo! To ja, Blair. Witam! — krzyknął.

Katia zniknęła i zwycięsko pojawiła się na nowo. Czy go dosłyszała? Uśmiechnęła się i uniosła oczy w górę, przepaszając go niemo za spóźnienie. Odgarnęła z czoła kosmyk czarnych włosów i Barley dostrzegł zapamiętaną przez Landaua obrączkę i pierścionek zaręczynowy.

— Szkoda, że pan nie widział, jak się próbowałam wyrwać — sygnalizowała mu nad głowami. Albo: — Nie mogłam złapać taksówki za żadne skarby świata!

— Nic nie szkodzi — sygnalizował Barley w odpowiedzi.

Potem zupełnie go zignorowała, kiedy spoglądając spode łba grzebała w torebce, by okazać dowód tajniakowi, który tego wieczora pełnił wdzięczne zadanie zaczepiania wszystkich ładniejszych pań wchodzących do hotelu. Po czerwonym kolorze legitymacji Barley się domyślił, że to legitymacja Związku Literatów.

Potem i Barley stracił ją z oczu, kiedy próbował znośną, choć mało rozumiałą francuszczyzną wytłumaczyć wysokiemu Palestyńczykowi, że nie,

przykro mu, ale nie jest członkiem Grupy Pokoju, stary, i niestety, nie jest też kierownikiem hotelu, i bardzo wątpi, czy istnieje ktoś taki.

Wicklow, który obserwował to wydarzenie z podestu schodów, iamel-dował później, że jak żyje nie widział lepiej odstawionego jawnego] spotkania.

Jak na aktorów Barley i Katia byli w kostiumach z różnych sztuk;. Katia z klasycznego dramatu: w niebieskiej sukni z kołnierzykiem ze starej koronki, który tak przemówił do wyobraźni Landaua. A Barley z niewybrednej angielskiej komedii: w ojcowskim garniturze w prążki z przykrótkimi rękawami i w bardzo już schodzonych butach z kozłowej skóry od Duckera w Oksfordzie, które tylko kolekcjoner staroci mógłby jeszcze uznać za wspaniałe.

Moment spotkania stanowił dla obojga zaskoczenie. Ostatecznie wciąż jeszcze byli sobie obcy, bliżsi tym siłom, które ich tu sprowadzały, niż jedno drugiemu. Opanowując impuls, żeby ją oficjalnie cmoknąć w policzek, Barley złapał się na tym, że wprawiają go w zakłopotanie jej oczy, nie tylko bardzo ciemne i pełne światła, ale oświetlone tak gęstymi rzęsami, że mimo woli zastanawiał się, czy nie ma ona czasem dwóch kompletów rzęs.

A ponieważ Barley zrobił typową głupią minę, którą przybiera część Anglików w obecności pięknych kobiet, Katia ze swojej strony zaczęła podejrzewać, że jej pierwsze wrażenie przez telefon było słuszne i że Barley zadržera nosa.

Tymczasem stali na tyle blisko, że czuli ciepło swoich ciał, a Barley czuł ponadto zapach jej makijażu. Wokoło wciąż huczała wieża Babel.

— To pewnie pan jest tym panem Barleyem — powiedziała zdyszana i przesunęła ręką po jego ramieniu, miała bowiem zwyczaj dotykać ludzi, jakby chciała się upewnić, że są prawdziwi.

— Tak, istotnie, to ja, brawo, a pani jest Katia Orłowa, znajoma Nikiego. Cudownie, że pani przyszła. Co za punktualność. Jak się pani miewa?

Zdjęcia nie kłamią, ale też nie oddają prawdy, myślał Barley patrząc, jak przy oddechu pierś jej się wznosi i opada. Nie oddają blasku dziewczyny, która wygląda, jakby właśnie była świadkiem cudu, a ty pierwszym człowiekiem, któremu postanowiła o tym powiedzieć.

Tłum w hallu przywołał go do przytomności. Żadna para, obojętne, w jak ważnej sprawie się spotyka, nie zniosłaby długo wymiany grzeczności w środku tego młyna.

— Coś pani powiem — zaczął Barley, jakby mu ten świetny pomysł właśnie przyszedł do głowy. — A gdybym tak panią zaprosił na ciastko? Niki uważał, że muszę panią ufetować. Powiada, żeście się poznali na targach. Wspaniałe człowiek. Złote serce — ciągnął wesóło, prowadząc ją w stronę schodów i napisu „Bufet”. — Sól ziemi. Ale i czasami nieznośny, tylko kto nie jest nieznośny?

— O, pan Landau to bardzo uprzejmy człowiek — mówiła tak jak

i Banley, raczej na użytek bliżej nie określonych słuchaczy, ale z wielkim przekonaniem.

-4- I solidny — oddał mu głośno sprawiedliwość Barley, kiedy znaleźli się na podeście pierwszego piętra. Teraz i Barleyowi z jakiegoś powodu zabrakło tchu. I Wystarczy Nikiego o coś poprosić, a sprawa załatwiona. Na jego sposób, co prawda. Ale załatwia sprawę, a swoje zdanie na ten temat zachowuje dla siebie. Zawsze uważałem, że tym się odznacza dobry przyjaciel, nie sarżi pani?

—j Powiedziałaabym, że bez dyskrecji nie ma przyjaźni — odpowiedziała, jak gdyby cytowała z księgi praw małżeńskich. — Prawdziwa przyjaźń musi się opierać na wzajemnym zaufaniu.

I Barley, reagując z sympatią na tę głęboką uwagę, niemógł jednocześnie nie rozpoznać podobieństwa jej tonu do tonu Goethego.

Za zasłoną znajdował się długi na trzydzieści stóp kontuar, a na nim tacka ze słodkimi herbatnikami. Za kontuarem trzy zwaliste panie w białych mundurkach i hełmach z przezroczystego plastiku trzymały straż nad samowarem kłócąc się o coś.

— Pocziwy Niki zna się też na swój sposób na książkach — zauważył Barley rozszerzając temat rozmowy, kiedy zajmowali miejsca przed odgradzaającym bufet sznurem. — *Bite intellectuelle*, jak mówią Francuzi. Prosimy panie o herbatę. Wspaniale.

Panie nadal perorowały między sobą. Katia spoglądała na nie z obojętną miną. Nagle, ku zaskoczeniu Barleya, wydobyła czerwoną legitymację i warknęła — nie znalazł na to innego słowa — z pozytywnym jednak skutkiem: jedna z kobiet porwała dwie filiżanki i ze złością i szczękiem postawiła je na spodeczkach, jakby trzasnęła zamkiem starej strzelby. Wydobywszy skądś z dalszymi objawami furii współczesne pudełko zapalek, zapaliła gazową kuchenkę i cisnęła na nią czajnik, po czym wróciła do towarzyszek.

— Chce pani herbatnika? — spytał Barley. — *Foie gras?*

— Dziękuję. Jadłam już ciasto na przyjęciu.

— O Boże. A dobre chociaż?

— Niespecjalnie.

— A Węgrzy byli mili?

— Przemówienie było bez znaczenia. Banalne powiedziałabym. Według mnie to wina naszej strony, sowieckiej. Nie jesteśmy dość swobodni z cudzoziemcami, nawet jeśli pochodzą z krajów socjalistycznych.

Obojgu na chwilę zabrakło słów. Barley wspominał dziewczynę poznaną na uniwersytecie, córkę generała, o cerze jak płatek róży. Jej głównym życiowym była obrona praw zwierząt, dopóki w pośpiechu nie wyszła za stajennego z miejscowego kółka myśliwskiego. Katia ponuro utkwiała wzrok w głębi sali, gdzie w równych rzędach ustawiono stoły dla klientów, którzy popijali na stojąco. Przy jednym z nich stał Leonard Wicklow i opowiadał

kawał młodzieńcowi w swoim wieku. Przy drugim starszawy *Rittmeister* w butach do konnej jazdy pił lemoniadę z dziewczyną w dżinsach, rozkładając ramiona, jakby opisywał utracone włości.

— Pojęcia nie mam, dlaczego nie zaprosiłem pani na obiad — powiedział Barley, znów spotykając jej spojrzenie z uczuciem, że się w nie zapada. Człowiek nie chce się zbytnio narzucać, dopóki się nie ma przekonania, że ujdzie mu to na sucho.

— Nie byłoby to wygodne — odpowiedziała marszcząc brwi.

Czajnik zaczął sapać, ale zahartowane w boju panie z bufetu dalej stały tyłem do niego.

— To zawsze takie trudne udawać przez telefon, nie sądzi pani? — spytał Barley, by podtrzymać rozmowę. — Jakby się człowiek zwracał do kwiatka z plastiku zamiast do ludzkiej twarzy. Osobiście nie cierpię tego draństwa, a pani?

— Przepraszam, jakiego draństwa?

— Telefonu. Mówienia na odległość. — Czajnik zaczął spluwać na gaz. — Jak się kogoś nie widzi, człowiek wyobraża sobie najgłupsze rzeczy.

Skacz, powiedział sobie. Teraz.

— To samo mówiłem zaprzyjaźnionemu wydawcy nie dalej jak wczoraj — ciągnął tym samym tonem pogodnej rozmowy. — Rozmawialiśmy o nowej powieści, którą ktoś mi przysłał. Pokazałem mu ją, ściśle poufnie, i oszalał na jej punkcie. Powiedział, że to najlepsza rzecz, jaką czytał od lat. Prawdziwy dynamit. — Utkwiła oczy w jego oczach, aż do bólu szczerze. — Ale to takie dziwne nie mieć żadnego wyobrażenia o autorze — ciągnął lekko. — Nawet nie wiem, jak się facet nazywa. Pomijając już to, skąd bierze informacje, gdzie się nauczył swojej sztuki i tak dalej. Wie pani, co mam na myśli? Jakby człowiek słuchał jakiegoś utworu muzycznego i nie był pewien, czy to Brahms, czy Cole Porter.

Zmarszczyła czoło. Wciągnęła wargi, jakby je zwilżała.

— Nie sądzę, żeby było rzeczą właściwą zadawać takie pytania artyście. Są pisarze, którzy mogą pracować tylko w cieniu. Talent to talent. Nie wymaga wyjaśnień.

— Ja mówię nie tyle o wyjaśnieniach, ile o autentyzmie — odparł Barley. Smuga puszku — w przeciwieństwie do włosów — złotego znaczyła zarys jej kości policzkowych. — Chcę powiedzieć, jak to jest w wydawnictwie. Jeżeli facet napisał powieść o górskich plemionach północnej Burmy, na przykład, to człowiek ma prawo spytać, czy kiedykolwiek był na południe od Mińska. Szczególnie jeżeli to naprawdę znacząca powieść, a tu o taką idzie. Według mego kumpla to będzie bomba w skali światowej. W takim wypadku uważam, że ma się prawo nalegać, żeby autor się stawił i ujawnił swoje kwalifikacje.

Śmielsza od innych starsza dama wlewała wrzątek do samowara. Druga otwierała z klucza pułkową kasę. Trzecia sypała porcje herbaty na ręczną

wagę). Pogrzebawszy w kieszeniach Barley wydobył trzyrublowy banknot. Na jego widok kobieta przy kasie zaczęła desperować.

-4 Chyba chce drobnych. Ma kłopoty — powiedział głupio Barley. — A my ^o nie?

Mtia położyła na kontuarze trzydzieści kopiejek i Barley zauważył, jak przy uśmiechu robią jej się dwa małe dołeczki. Wziął książkę i torbę, dziewczyna ruszyła za nim z filiżankami na tacy. Kiedy jednak znaleźli się przy stoliku, zwróciła się do niego z wyzywającą miną.

— Jeżeli autor ma obowiązek dowieść, że mówi prawdę, to ten sam obowiązek ma jego wydawca — powiedziała.

— Och, jestem za uczciwością z obu stron. Im więcej osób wyłoży karty na stół, tym lepiej dla każdego.

— Podobno inspiracją dla autora był pewien rosyjski poeta.

— Pieczerin — odpowiedział Barley. — Sprawdziłem go. Urodzony w 1807 w Dymyrze na Kijowszczyźnie.

Usta Katii niemal dotykały brzegu filiżanki, oczy były spuszczone. I chociaż Barley miał na głowie wiele innych rzeczy, zauważył, że jej prawe ucho wystające spod włosów jest przezroczyście w wieczornym świetle padającym z okna.

— Inspiracją dla autora były także niektóre wypowiedzi pewnego Anglika na temat światowego pokoju — powiedziała z najwyższą surowością.

— Myśli pani, że chciałby się powtórnie spotkać z tym Anglikiem?

— Można to ustalić. Nie wiadomo.

— Bo ten Anglik chciałby się spotkać z nim — powiedział Barley. — Mają sobie mnóstwo do powiedzenia. Gdzie pani mieszka?

— Z dziećmi.

— A gdzie są pani dzieci?

Pauza. I Barley znów odniósł niemiłe wrażenie, że pogwałcił praw nie znanej mu etyki.

— Mieszkamy w pobliżu stacji metra przy lotnisku. Lotniska tam już nie ma. Są domy mieszkalne. A pan, jak długo zamierza zostać w Moskwie, panie Barley?

— Tydzień. A mieszkanie pani ma jakiś adres?

— To niewygodne. Będzie pan cały czasu tu, w „Odessie”?

— Chyba że mnie wyrzucą. Co robi pani mąż?

— To nieważne.

— Pracuje w ruchu wydawniczym?

— Nie.

— Jest pisarzem?

— Nie.

— Więc kim? Kompozytorem? Żołnierzem straży pogranicza? Kucharzem? W jaki sposób panią utrzymuje na poziomie, do którego pani przywykła?

Znów ją rozśmieszył i wyglądało na to, że rozbawiło ją to tak samo jak jego.

— Był dyrektorem zakładów drzewnych — powiedziała.

— A teraz gdzie jest dyrektorem?

— Jego zakład prefabrykuje domy dla terenów wiejskich. Jesteśmy rozwiedzeni, jak wszyscy w Moskwie.

— A pani dzieci? Chłopcy? Dziewczynki? Ile mają lat?

To pytanie przerwało śmiech. Przez chwilę myślał, że wyjdzie i go zostawi. Głowa jej się uniosła, twarz zamknęła, oczy wypełniły się ogniem gniewu.

— Mam syna i córkę. To bliźnięta, mają po osiem lat. To nie ma nic do rzeczy.

— Mówi pani pięknie po angielsku. Lepiej niż ja. To jest jak źródłana woda.

— Dziękuję panu, mam wrodzone zdolności do języków.

— To coś więcej. Coś niezemskiego. Jakby się nasz język zatrzymał na Jane Austen. Gdzie się go pani nauczyła?

— W Leningradzie. Chodziłam tam do szkoły. Angielski to moja pasja.

— Gdzie kończyła pani uniwersytet?

— Też w Leningradzie.

— Kiedy przyjechała pani do Moskwy?

— Po wyjściu za mąż.

— Jak go pani poznała?

— Znalismy się z mężem od dziecka. Kiedy byliśmy w szkole, jeździliśmy razem na letnie obozy.

— Łowiliście ryby?

— I króliki — odpowiedziała i wrócił jej uśmiech, i rozjaśnił całą salę. — Wołodia to Syberyjczyk. Wie, jak się przespać w śniegu, zdjąć skórę z królika, jak łowić ryby pod lodem. Kiedy za niego wychodziłam, przestałam cenić zalety intelektu. Uważałam za najważniejsze, żeby mężczyzna umiał zdejmować skórę z królika,

— Naprawdę jestem ciekaw, jak pani poznała autora — rzekł Barley.

Patrzył, jak Katia walczy z niezdecydowaniem, widział, jak szybko odbija się w jej oczach zmiana nastroju. To wychodziły mu naprzeciw, to się cofały. Aż stracił ją całkowicie, kiedy schyliła się pod stół, odsunęła włosy i podniosła torebkę.

— Proszę podziękować panu Landauowi za książki i herbatę — powiedziała. — Osobiście podziękuję mu, jak przyjedzie do Moskwy.

— Niech pani nie odchodzi. Potrzebuję pani rady. — Zniżył głos i nagle zaczął mówić bardzo poważnie. — Potrzebuję pani wskazówek, co począć z tym zwariowanym rękopisem. Nie mogę grać solo. Kto jest autorem? Kim jest Goethe?

— Niestety, muszę wracać do" dzieci,

— Nikt się nimi nie opiekuje?

— Ależ tak.

— Niech pani zadzwoni. Powie, że wróci pani później. Że poznała pani fascynującego mężczyznę, który chce rozmawiać z panią o literaturze przez całą noc. Ledwieśmy się poznali. Muszę mieć czas. Mam do pani masę pytań.

Zebrawszy tomiki Jane Austen, ruszyła do drzwi. Barley pętał się przy niej jak natarczywy domokrażca.

— Proszę — mówił. — Niech pani posłucha. Jestem cholernym angielskim wydawcą i mam tysiące niezmiernie ważnych spraw do omówienia z piękną Rosjanką. Nie gryzę. Nie kłamię. Niech pani zje ze mną kolację.

— To niewygodne.

— A będzie wygodne innego wieczora? Co mam robić? Palić kadzidło? Wystawić w oknie świecę? Dla pani tu przyjechałem. Niech mi pani pomoże sobie pomóc.

Poczuła się zmieszana jego prośbami.

— Czy może mi pani dać swój domowy numer? — nalegał.

— To niewygodne — mruknęła.

Schodzili po szerokich schodach. Obrzuciwszy spojrzeniem morze głów, Barley zobaczył pośród nich Wicklowa ze znajomym. Złapał Katię za ramię, nie mocno, ale zatrzymał ją w miejscu.

— Kiedy? — spytał.

Wciąż trzymał ją za ramię, tuż nad łokciem, tam gdzie było najsilniejsze i najgrubsze.

— Może zadzwonię do pana później dziś wieczorem — odpowiedziała ustępując.

— Nie „może”.

— Zadzwonię.

Został na schodach i obserwował, jak zbliża się do tłumu, a potem, jakby nabierała oddechu, jak wyciąga ręce i przepycha się przez tłum do drzwi. Pocił się. Czuł na karku i ramionach jak gdyby mokry szal. Marzył o drinku. Przede wszystkim musiał się pozbyć aparatury. Miał ochotę rozwalić ją w drobny mak, rozdeptać i odesłać poleconym Nedowi do rąk własnych.

Wicklow z zakrzywionym nosem biegł do niego przeskakując po pary schodków naraz, uśmiechając jak złodziej, i bredził coś o sowieckiej biografii Bernarda Shawa.

Szła szybko i rozglądała się za taksówką, ale potrzebny był jej ruch. Zachmurzyło się i nie było widać gwiazd, tylko szerokie ulice i blask łukowych lamp z Pietrowki. Potrzebny jej był dystans do niego i do samej siebie. Panika spowodowana nie strachem, lecz gwałtowną awersją mogła ją ogarnąć lada

chwila. Nie powinna była wspominać o bliźniętach. Nie miał prawa burzyć tych papierowych ścian pomiędzy jednym życiem a drugim. Nie powinien był jej zadrećcać biurokratycznymi pytaniami. Zaufała mu, dlaczego on jej nie zaufał?

Skręciła za róg i szła dalej. To typowy imperialista, fałszywy, natrętny i nieufny. Przejechała taksówka nie zwracając na nią uwagi. Druga zwolniła na tyle, żeby wysłuchać, dokąd Katia chce jechać, po czym dodała gazu w poszukiwaniu bardziej lukratywnego kursu — po kurwy, do przewozu mebli, warzyw na czarny rynek, mięsa i wódki, po to, żeby zasadzić się na turystów. Zaczynało padać, pryskały wielkie celnę krople.

I jego humor. Taki nie na miejscu. Taka bezczelna docieklivość. Nie chcę go więcej widzieć. Powinna jechać metrem, ale bała się zamknięcia. Naturalnie pociągający, jak wielu Anglików. Ten urok niezdarności. Był mądry i niewątpliwie wrażliwy. Nie spodziewała się, że tak się spoufali. A może to ona zanadto go spoufaliła?

Szła dalej pieszo próbując się opanować i rozglądając się za taksówką. Deszcz zaczął lać na dobre. Wydobyła z siatki składaną parasolkę i otworzyła. Enerdowska, prezent od przelotnego kochanka, którym się nie szczyciła. Na skrzyżowaniu już miała zejść na jezdnię, kiedy podjechał z boku jakiś chłopak w niebieskiej ładzie. Nie wzywała go.

— Jak interesy, siostró?

Czy to taksiarz, czy amator łebków? Wskoczyła do środka i podała adres. Chłopak zaczął się targować. Deszcz bębnił po dachu.

— Spieszę się — powiedziała i wręczyła mu dwa banknoty trzyrublowe. — Spieszę się — powtórzyła i zerknęła na zegarek, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego zerkanie na zegarek jest czymś, co robi każdy spiesząc się do szpitala.

Chłopak chyba wziął to sobie do serca. Jechał na złamanie karku i w tym samym tempie gadał, podczas gdy deszcz wlewał mu się przez opuszczoną szybę. Jego chora matka w Nowogrodzie zemdląła na drabinie zrywając jabłka i ocknęła się z obiema nogami w gipsie, mówił. Po szybie woda lała się strumieniem. Nie zatrzymał się, żeby założyć wycieraczki.

— A jak się teraz czuje? — spytała Katia zawiązując włosy chustką. Kobieta, która się spieszy do szpitala, nie wdaje się w pogawędkę o cudzych nieszczęściach, pomyślała.

Chłopak zatrzymał wóz. Zobaczyła wejście. Niebo znów było pogodne, wieczór ciepły i pachnący. Zdziwiła się, że w ogóle padało.

— To tu — powiedział chłopak, oddając jej trzyrublowe banknoty. — Następnym razem, co? Jak się pani nazywa? Lubi pani świeże owoce, kawę, wódkę?

— Niech pan to zatrzyma — ucięła krótko i odepchnęła pieniądze.

Brama była otwarta, za nią widniał budynek, który mógł być biurowcem.

tiliło się w nim parę mętnych świateł. Kamienne schodki, ledwie widoczne spod błota i śmieci, prowadziły na wysoki ganek. Ganek wiódł na pochylnię. Spojrzawszy w dół Katia zobaczyła parkujące karetki, leniwie migające niebieskie światła, grupę kierowców i pielęgniarzy palących papierosy. U ich stóp leżała na noszach kobieta ze zmiażdżoną twarzą odchyloną w bok, jakby się uchylała przed następnym ciosem.

Troszczył się o mnie, pomyślała wracając myślą do Barleya.

Pobiegła w stronę szarego bloku, który się wznosił przed nią. Klinika, zaprojektowana przez Dantego, a wzniesiona przez Franza Kafkę, przypomniła sobie. Personel przychodzi tu kraść leki i sprzedawać je na czarnym rynku. Pamiętała, wszyscy lekarze biorą dodatkowe dyżury, żeby utrzymać rodzinę. Miejsce nędzy i mętów naszego imperium, nieszczęsnego proletariatu bez wpływów i koneksji zarezerwowanych dla nielicznych. Zapamiętany rytm tego głosu jej towarzyszył, kiedy śmiało przechodziła przez podwójne drzwi. Jakaś kobieta na nią warknęła i Katia, zamiast pokazać legitymację, dała jej rubla. Hall rozbrzmiewał echem jak pływalnia. Grupka kobiet za marmurową ladą nie widziała nikogo poza sobą. Jakiś stary człowiek w niebieskim mundurze z otwartymi oczami wlepionymi w nieczynny telewizor drzemał na krześle. Przeszła obok niego i zanurzyła się w korytarz obstawiony łózkami. Ostatnio *nie* było tu łóżek na *korytarzu*. Może *wystawili* chorych, żeby *zrobić* miejsce dla jakiegoś ważniaka. Wyczerpana praktykantka przetaczała krew staruszcze z pomocą pielęgniarki w rozpiętym kitlu i dżinsach. Nikt nie jęczał, nikt nie narzekał. Nikt nie pytał, dlaczego musi umierać na korytarzu. Podświetlony napis migał pierwszymi literami słów „Ostry dyżur”. Posłużył jej za drogowskaz. Zachowuj się jak właścicielka, poradził jej za pierwszym razem. I pomogło. Teraz też.

Poczekalnia była nie używaną salą wykładową oświetloną jak sala szpitalna nocą. Na podium, na czele kolejki pacjentów, długiej jak armia w odwrocie, siedziała siostra oddziałowa o twarzy świętej. W audytorium, w półmroku, pojękiwała i szemrała nędza całego świata, tuląc swe dzieci. Na ławkach leżeli mężczyźni z byle jak założonymi opatrunkami. Chwiali się i kłęli pijacy. Śmierdziało antyseptykiem, winem i zepsutą krwią.

Dziesięć minut czekania. A jednak znów się przyłapała na tym, że myślą wraca do Barleya. Jego szczere znajome oczy, rozpaczliwe męstwo. Dlaczego miałabym mu nie dać numeru telefonu do domu? Trzymał rękę na jej ramieniu, jakby tam była zawsze. „To dla pani przyjechałem”. Wybrała połamaną ławkę w pobliżu drzwi z napisem „Toalety”, usiadła i wpatrzyła się przed siebie. Można tu umrzeć i nikt cię nie zapyta o nazwisko, powiedział. Będą drzwi i wnęka na szatnię, powtarzała sobie. Dalej ubikacje. W tej szatni jest telefon, nie używany, bo nikt o nim nie wie. Nikt się nie dodzwoni z miasta do szpitala normalną linią, ale ta linia została założona dla pewnego ważnego lekarza, który chciał być w kontakcie z prywatnymi pacjentami i z kochanką, dopóki

jego samego nie przeniesiono. Jakiś kretyn zainstalował ten telefon w niewidocznym miejscu, za filarem. I jest tam dotąd.

Skąd wiesz o takich miejscach? — zapytała. O tym wejściu w tym skrzydle budynku, o tym telefonie? Że trzeba usiąść i poczekać? Skąd wiesz? Chodzę, odpowiedział, i ujrzała go, jak przemierza równym krokiem ulicę Moskwy bez snu, bez jedzenia, bez niej, chodzi. Jestem Gojem Tułaczem, powiedział jej kiedyś. Chodzę, by dotrzymać towarzystwa swoim myślom, piję, by przed nimi uciec. Kiedy chodzę, jesteś ze mną. Widzę twoją twarz u swego ramienia.

Będzie chodził, aż padnie, pomyślała. A ja pójdę za nim.

Na ławce obok wieśniaczka w jaskrawożółtej chustce zaczęła się modlić po ukraińsku. Trzymała oburącz małą ikonę, pochylając nad nią głowę za każdym razem niżej, póki nie dotknęła gołym czołem blaszanej ramki. Oczy jej rozbłysły, a kiedy się zamknęły, Katia zobaczyła, że spod powiek płyną jej łzy. W rozbłysku gwiazdy będą wyglądała jak ty, pomyślała.

Przypomniała sobie, jak jej opowiadał o kostnicy na Syberii, fabryce trupów, znajdującej się w jednym z miast widm, w którym pracował. Trupy wypadły z rynny na karuzelę, trupy kobiet i mężczyzn wymieszane, stare wiedźmy polewały je szlauchem, oznaczały i obdzierały ze złota. Śmierć jest tajemnicą, jak wszystko inne, powiedział jej, a tajemnica to coś, co się zdarza każdemu z osobna.

Dlaczego zawsze mnie próbujesz uczyć znaczenia śmierci? — zapytała ze ściśniętym sercem. Bo tyś mnie nauczyła, jak żyć — odpowiedział.

To najbezpieczniejszy telefon w Rosji, powiedział. Nawet tym szaleńcom z organów bezpieczeństwa nie przyszłoby na myśl zakładać podsłuchu w nie używanym telefonie szpitala pogotowia.

Przypomniała sobie ostatnie spotkanie z nim w Moskwie, w samym środku zimy. Wybrał powolny pociąg z jakiejś zapadłej stacji, miejsca bez nazwy, gdzieś w pustce. Nie wykupił biletu i podróżował klasą z twardymi ławkami, wcisnąwszy w łapę konduktorowi dziesięć rubli, jak wszyscy. Nasze wspaniałe kompetentne organy to dziś tacy burżuje, że nie umieją już przebywać razem z robotnikami, powiedział. Wyobraziła sobie, jak leży zagubiony, w grubej bieliźnie, w półmroku, na najwyższej półce, przeznaczonej na bagaż, dławi się smrodem ludzi i ciekących grzejników i widzi przerażające rzeczy, które znał i o których nigdy nie mówił. Cóż to musi być za piekło, zastanawiała się, doznawać udręk od tego, co się samemu stworzyło? Wiedzieć, że to, co w swej karierze można zrobić najlepszego, jest najwyższym złem dla ludzkości?

Ujrzała siebie, jak czeka na jego przyjazd biwakując z tysiącami innych obolałych od czekania na Dworcu Kazańskim pod brudnymi świetlówkami. Pociąg się spóźnia, jest odwołany, wykoleił się, chodziły pogłoski. Wielkie opady śniegu na całej trasie do Moskwy. Pociąg nadjeżdża, nigdy nie

wyruszył. Po co sobie w ogóle zawracałam głowę, żeby tyle nakłamać? Obsługa stacji wylała ubikację formaliną i śmierział nią cały dworzec. Była w futrzanej czapce Wołodii, bo bardziej zakrywała jej twarz. Moherowy szalik zakrywał brodę, a kozuch resztę. Nigdy nikogo tak nie pragnęła. Czula w tym kozuchu jednocześnie żar i głód.

Kiedy wysiadł i ruszył do niej przez błoto, ciało jej było sztywne i skrępowane jak ciało chłopca. Stojąc przy nim w zatłoczonym metrze niemal krzyczała w milczeniu, ile razy przywarł do niej. Poprosiła Aleksandrę o klucze od jej mieszkania. Aleksandra wyjechała z mężem na Ukrainę. Otworzyła drzwi i wpuściła go przodem. Czasami robił wrażenie, jakby nie wiedział, gdzie jest, albo że mimo tych jej starań, nic go nie obchodzi. Czasami bała się go dotknąć, był za kruchy. Ale nie dziś. Dziś podbiegła do niego, objęła go ze wszystkich sił i przygarnęła do siebie niezręcznie i niedelikatnie, karząc go za te miesiące i noce dawnej tęsknoty.

A on? Objął ją, jak to robił ojciec, nie dotykając ciałem, sztywnymi ramionami. I gdy się odsunęła, wiedziała, że minął czas, kiedy jej ciało mogło przynieść ulgę jego udęce.

Jesteś moją jedyną religią, szepnęła, całując ją w czoło zamkniętymi ustami. Posłuchaj, Katia, powiem ci, co postanowiłem zrobić.

Wieśniaczka klęczała na posadzce bijąc pokłony przed ikoną i przyciskając ją do piersi i ust. Katia musiała przez nią przeleźć, żeby się znaleźć w przejściu między ławkami. Na końcu ławki usiadł jakiś blady młody człowiek w skórzanej kurtce. Jedną rękę miał wsuniętą za koszulę; domyśliła się, że jest złamana w nadgarstku. Głowa opadła mu na piersi i kiedy Katia przeciskała się koło niego, zauważyła, że i nos ma złamany, choć już zrosnięty.

Wnęka była pograżona w ciemności. Stłuczona żarówka dyndała beżuzytecznie. Wejście do szatni zagradzał jej masywny drewniany kontuar. Spróbowała podnieść klapę, ale była za ciężka, przelazła więc pod nią. Stała wśród pustych wieszaków, ramiączek i nie odebranych kapeluszy. Filar był jakiś metr dalej. Ręcznie wypisana kartka zapowiadała: „Nie wydaje się reszty”; odczytała ją w świetle z otwierających się i zamykających drzwi.

Telefon był na swoim zwykłym miejscu po drugiej stronie, ale kiedy stanęła przed nim, ledwie go widziała w ciemnościach.

Wlepiła wzrok w aparat pragnąc, żeby zadzwonił. Minęła panika. Znow była silna. Gdzie jesteś? — myślała. W którymś z pocztowych numerów, w jednej z tych twoich plam na mapie? W Kazachstanie? W rejonie środkowej Wołgi? Na Uralu? Był tam wszędzie, wiedziała. W dawnych czasach poznawała po jego cerze, kiedy pracował na powietrzu. To znow wyglądał, jakby od miesiący przebywał pod ziemią. Gdzie jesteś z tą swoją straszną winą? — zastanawiała się. Gdzie jesteś ze swoją przerażającą decyzją? W takiej ciemnej norze jak ta? Na jakiejś małomiasteczkowej poczcie otwartej całą dobę?

Widziała go oczyma wyobraźni aresztowanego, tak jak czasem jej się śnił.

spętany, blady, przywiązany w jakiejś chacie do drewnianego kozła, już nawet nie drga, gdy go dalej biją. Telefon zadzwonił. Podniosła słuchawkę i dosłyszała beznamiętny głos.

— Mówi Piotr — powiedział, co według szyfru znaczyło, że oboje są bezpieczni. Jeśli mnie złapią i zmuszą, żebym do ciebie zadzwonił, podam inne imię, żebyś mogła się ukryć.

— Tu Alina — odpowiedziała, zdumiona, że w ogóle może mówić. Potem już nie dbała o nic. Żyje. Nie aresztowali go. Nie biją. Nie przywiązali do drewnianego kozła. Poczła się leniwa i znużona. Żyje, mówi do niej.

Fakty, nie uczucia. Jego głos z początku daleki i ledwie znajomy. Z jednej i drugiej strony tylko fakty. Zrób to. On to powiedział, ja to. Powiedz mu, że mu jestem wdzięczny za przyjazd do Moskwy. Powiedz mu, że postępuje jak człowiek rozsądny. U mnie w porządku, a u ciebie?

Odłożyła słuchawkę, za słaba, żeby rozmawiać dalej. Wróciła do sali wykładowej i usiadła na ławce razem z tamtymi, chcąc odetchnąć, wiedząc, że nikogo nie obchodzi.

Chłopak w skórzanej kurtce wciąż tkwił na ławce. Znowu dostrzegła jego złamany nos, najprawdziwszy, ale nierzeczywisty. Znowu wspomniała Barleya i ucieszyła się, że istnieje.

Leżał na łóżku w samej koszuli. Jego pokój był duszną komórką wygradzoną ze wspaniałej sypialni i rozbrzmiewającą wodociągowym chórem wszystkich rosyjskich hoteli, prychnaniem kurków, ciurkaniem spłuczki w malarzkiej łazience, bulgotaniem olbrzymiego czarnego kaloryfera i jękiem lodówki, z szarpnięciem włączającej nowy cykl konwulsji. Ze szklanki do mycia zębów popijał whisky udając, że czyta przy bezużytecznej lampce nocnej. Telefon stał pod ręką, a obok telefonu leżał notes, w którym zapisywał, co ma zrobić, i swoje wielkie myśli. Telefony nie śpią, niezależnie od tego, czy słuchawka leży na widelkach, czy nie, ostrzegał go Ned. Ten nie, ten nie działa, pomyślał Barley. Ten jest martwy jak zwierzę przedpotopowe, dopóki nie zadzwoni. Czytał wspaniałego Marqueza, ale szło mu to jak po grudzie, potykał się i musiał wracać.

Ulicą przejechał samochód, potem ktoś przeszedł. Potem z kolei deszcz zabębnił serią po szybach. Bez jęku, śmiechu czy okrzyku gniewu Moskwa cofnęła się w wielkie przestrzenie.

Pamiętał jej oczy. Co we mnie zobaczyły? Przeżytek, stwierdził. W garniturze po ojcu. Nędzny aktorzyzna ukrywający się pod własną rolą, a pod makijażem — nic. Szukała we mnie wiary, a zamiast tego zobaczyła bankructwo mojej klasy i epoki. Szukała nadziei na przyszłość, a znalazła szczątki **przebrzmiałej** historii. Szukała kontaktu, a **znalazła** kartkę z napisem „zarezerwowane”. Więc rzuciła okiem i uciekła.

Zarezerwowane dla kogo? Na jaki wielki dzień albo namiętność rezerwuję siebie?

Spróbował sobie wyobrazić jej ciało, z taką twarzą komu potrzebne ciało?

Wypił. Katia to odwaga. To kłopot. Znow wypił. Katia — jeżeli nią jesteś — jestem zarezerwowany dla ciebie.

Jeżeli.

Zastanawiał się, co jeszcze trzeba o niej wiedzieć. Nic, tylko prawdę. Była w jego życiu zapomniana już epoka, kiedy mylił piękno z inteligencją, ale inteligencja Katii była tak oczywista, że tym razem nie mogło być mowy o pomyleniu tych dwóch przymiotów. Była też inna epoka, Boże odpuść, kiedy mylił piękno z cnotą. Ale w Katii wyczuwał taki blask cnoty, że gdyby w tym momencie wetknęła tu głowę i oznajmiła, że właśnie zamordowała swoje dzieci, znalazłby natychmiast sto powodów, by ją zapewnić, że to nie jej wina.

Jeżeli.

Pociągnął następny łyk szkockiej i aż podskoczył na wspomnienie An-dy'ego.

Andy Macready, trąbka, w szpitalu z odciętą głową. Tarczyca, powiedziała mgliście jego stara. Jak tylko to wykryli, Andy nie chciał operacji. Wolałby wypłynąć daleko i już się nie wynurzyć, mówił, więc upili się razem i zaplanowali wyjazd na Capri, ostatni świetny obiad, galon czerwonego wina, a potem daleki kraul donikąd w ścieku Morza Śródziemnego. Ale kiedy tarczyca na dobre dała mu popalić, Andy odkrył, że przekłada życie nad śmierć, wybrał więc zamiast tego operację. Odcięli mu głowę tak, że wisała tylko na kręgach, i utrzymywali go przy życiu rurkami. Więc Andy nadal żył, nie mając po co żyć i na co umrzeć, klnąc, że na czas nie wypłynął, i szukając dla siebie uzasadnienia, którego by mu śmierć nie odebrała.

Zadzwoić do starej Andy'ego, pomyślał. Spytać ją, jak się miewa Andy. Zerknął na zegarek obliczając, która to godzina w tym realnym czy też nierealnym świecie pani Macready. Ręka już mu się wyciągała do słuchawki, ale nie zdjął jej z widełek, bo telefon mógł tymczasem zadzwonić.

Pomyślał o swojej córce Anthei. Pocziwa Ant.

Pomyślał o swoim synu Halu w City. Wybacz, że ci tak zasrałem życie, Hal, ale jeszcze masz trochę czasu, możesz to wszystko naprostować.

Pomyślał o swoim mieszkaniu w Lizbonie i o dziewczynie wypłakującej oczy i z przerażeniem się zastanowił, co się z nią stało. Pomyślał o innych swoich kobietach, ale jego grzechy nie były aż takie wielkie jak zazwyczaj, więc i nad tym się zastanowił. Znowu pomyślał o Katii i zrozumiał, że cały czas o niej myśli.

Pukanie do drzwi. Przyszła do mnie. W prostym szlafroku, naga pod nim. Barley, szepcze, kochanie. Czy potem też będziesz mnie kochał?

Ona nie robi nic takiego. Nigdy nie robiła i nie zrobi. Nie ma dla niej miejsca w tym dobrze znanym, tylekroć przerzucanym katalogu. To był Wicklow, jego anioł stróż, sprawdzał podopiecznego.

— Właż, Wickers, chcesz kropelkę?

Wicklow uniósł brwi pytając, czy dzwoniła. Był w skórzanej kurtce zmoczonej deszczem, Barley pokręcił głową, Wicklow nalał sobie szklanek wody mineralnej,

— ■ Przejrzałem parę tych książek, które nam dziś wtrynili, panie redaktorze — powiedział sztywnym tonem, jaki obaj przyjęli ze względu na mikrofony. — Czy nie chciałby się pan spotkać w sprawie paru tytułów z literatury faktu?

— Spotkajmy się, Wickers — powiedział gościnnie Barley, wyciągając się z powrotem na łóżku, podczas gdy Wicklow usiadł na krześle.

— Jest szczególnie jed n a, na temat której chciałbym się z panem podzielić swoim zdaniem. Chodzi o poradnik zachowania formy, o diecie i gimnastyce. Mógłby to być popisowy numer naszej koprodukcji. Moglibyśmy zaangażować kogoś z ich najlepszych ilustratorów i zwiększyć wkład Rosjan.

— Zwiększaj. Bez ograniczeń.

— Najpierw będę musiał zapytać Jurija.

— Zapytaj go.

Temat się wyczerpał. Przelećmy to jeszcze raz, pomyślał Barley.

— Och, byłbym zapomniał, panie redaktorze. Pytał pan, dlaczego tyłu Rosjan używa słowa „wygodne”.

— Hm, no, pytałem — powiedział Barley, który o nic takiego nie pytał.

— Chodzi o „udobno”. Co znaczy „wygodnie”, ale też i „stosownie”, „jak należy”, i to może czasem mylić. Co innego, jeśli coś jest niewygodne, a co innego, jeśli jest niewłaściwe.

— Rzeczywiście — przyznał Barley po dłuższym namyśle, w czasie którego pociągał whisky.

Potem musiał się zdrzemnąć, gdyż nagle, nie wiedząc kiedy, ocknął się wyprostowany jak struna, ze słuchawką przy uchu i Wicklowem nad sobą. To była Rosja, więc Katia się nie przedstawiła.

— Niech pani wpadnie — powiedział.

— Przepraszam, że tak późno dzwonię. Przeszkadzam panu?

— Oczywiście. Cały czas. Ta herbatka była wspaniała. Szkoda, że tak krótko trwała. Gdzie pani jest?

— Zdaje się, że mnie pan zaprosił jutro wieczorem na kolację?

Sięgnął po notes. Wicklow już mu go podawał.

— Lunch, podwieczorek, kolacja, na wszystko panią zapraszam — po wiedział. — Dokąd mam przysłać kryształową karetkę? — nabazgrał sobie jej adres. — Ale, ale, jaki jest pani domowy numer na wypadek, gdybym zabłądził

albo pani? — Podała mu numer, niechętnie, odstępując od zasady, ale jednak podała. Wicklow patrzył, jak Barley to wszystko zapisuje, po czym wyszedł z pokoju, kiedy jeszcze rozmawiali.

Nigdy nie wiadomo, pomyślał Barley szukając wsparcia w jeszcze jednym głębszym łyku szkockiej po odłożeniu słuchawki. Z pięknymi, inteligentnymi, cnotliwymi kobietami po prostu nie wiadomo, na czym się stoi. Leci na mnie, czy jestem jednym z tłumu?

Wtem z całą siłą uderzył w niego moskiewski strach. Dopadł go, gdy się tego najmniej spodziewał, po całym dniu przeżytym bez lęku. Jak grzmot zahuczały mu w uszach przytłumione potworności tego miasta, a po nich piskliwy głos Waltera: „Naprawdę jest z nim w kontakcie? Czy sama wszystko to wymyśliła? A może jest w kontakcie z kimś całkiem innym, a jeśli tak, to z kim?”

8

W pokoju operacyjnym w Naszej Rosji panowała atmosfera intensywnego i nie ustającego nocnego nalotu. Ned siedział przy stanowisku dowodzenia przed baterią telefonów. Czasami któryś mrugał, wtedy mówił w mikrofon monosylabami. Dwie asystentki po cichu rozsyłały telegramy i odkładały załatwione akta. Na ścianie w głębi dwa oświetlone pocztowe zegary, jeden z czasem londyńskim, drugi z moskiewskim, lśniły jak bliźniacze księżycy. W Moskwie była północ, w Londynie dziewięta. Ned ledwie uniósł głowę, gdy główny woźny otworzył mi drzwi.

Wcześniej nie mogłem się wyrwać. Spędziłem cały ranek z prawnikami Ministerstwa Skarbu, a popołudnie z tymi z Cheltenham. Kolacja była mi pomocą w podejmowaniu delegacji szpiegokratów ze Szwecji, zanim ich odstawiono na obowiązkowy musical.

Walter i Bob pochylali się nad planem Moskwy. Brock przez wewnętrzny telefon rozmawiał z pokojem szyfrantów. Ned był pogrążony w czymś, co wyglądało na długi spis. Machnięciem ręki wskazał mi krzesło, pchnął w moją stronę garść notatek z nasłuchu, pośpiesznie zapisane meldunki z frontu.

Godz. 09.54 Barley skutecznie łapie przez telefon Katię w „Październiku”. Umówili się na 20.15 dziś wieczór w „Odessie”. Dalsze meldunki w drodze.

Godz. 13.20 Nielegalni śledzili Katię od nru 14 przy takiej to a takiej ulicy. Nadała list w domu, który wygląda na nie zamieszkały. Zdjęcia wkrótce, najbliższą pocztą dypl. Dalsze mld. w drodze.

Godz. 20.18 Katia stawiała się w „Odessie”. Barley i Katia rozmawiają w kantynie. Obserwatorzy Wicklow i nielegalny. Dalsze meldunki w drodze.

Godz. 21.05 Katia wychodzi z „Odessy”. Streszczenie rozmowy w drodze. Taśmy wkrótce bagażem. Dalsze meldunki w drodze.

Godz. 22.00 ad interim. Katia obiecała zadzwonić do Barleya dziś wieczorem. Dalsze meldunki wkrótce.

Godz. 22.50 Katia pod obserwacją udała się do szpitala takiego to a takiego. Obserwatorzy: Wicklow i nielegalny. Dalsze meldunki w drodze.

Godz. 23.25 Katia odbiera telefon z nie używanego aparatu w szpitalu. Rozmawia trzy minuty dwadzieścia sekund. Dalsze meldunki w drodze.

A potem nagle nic.

Śledzenie to normalność doprowadzona do ostateczności. Śledzenie to czekanie.

— Czy Clive Bez Indii dziś przyjmuje? — spytał Ned, jak gdyby mu moja obecność coś przypomniła.

Odpowiedziałem, że Clive będzie u siebie cały wieczór. Siedział zamknięty cały dzień w Ambasadzie Amerykańskiej i powiedział mi, że obiecał być pod telefonem.

Miałem samochód, pojechaliśmy więc razem do Komendy Głównej.

— Widziałeś ten cholerny dokument? — spytał mnie Ned, poklepując teczkę na kolanach.

— Co za cholerny dokument?

— Lista odbiorców Niebieskiego Ptaka. Czytelników i ich satrapów.

Ostrożnie nic nie dałem po sobie poznać. Zły humor Neda w trakcie operacji był legendarny. Lampka nad drzwiami Clive'a paliła się zielono, co znaczyło: niech wejdzie, kto się waży. Miedziana tabliczka głosiła „Wicekon-sul” krojem pisma, przy którym reklama papierosów royal mint mogła się schować.

— Co się, u licha, stało, Clive, z listą tych „do wiadomości”? — spytał Ned machając listą odbiorców, kiedy tylko znaleźliśmy się przed nim. — Dajemy Langley jeden zestaw wysoce tajnych materiałów niewiadomego pochodzenia, a oni z dnia na dzień werbują więcej kucharzy, niż jest grochówki. Chcę wiedzieć, co to ma być? Hollywood? Mamy tam czynnego agenta. Mamy informatora tam, gdzie nigdy go nie było.

Clive kursował po złocistym dywanie. Miał zwyczaj, kiedy kłócił się z Nedom, odwracać się całym ciałem naraz, jak karta do gry. I teraz to właśnie zrobił.

— Więc uważasz, że lista czytelników Niebieskiego Ptaka jest za długa? — spytał tonem kogoś, kto odbiera zeznania.

— Tak, i ty też powinieneś tak uważać. Tak samo Russell Sheriton. Co to jest, u diabła, Rada Łączności Naukowej Pentagonu? Cóż to za Profesorski Zespół Doradców Białego Domu, kiedy działa u siebie w kraju?

— Wolałbyś, żebym podniósł poprzeczkę i nalegał, żeby Niebieski Ptak nie wychodził poza Komisję Współdziałania? Tylko naczelnicy, bez sztabu, bez łączników? Tego ode mnie żądasz?

— Owszem, chyba że ci się zdaje, że dasz radę wcisnąć pastę z po wrotem do tubki.

Clive udał, że to rozważa w dobrej wierze. Ale wiedziałem tak samo jak Ned, że Clive nic nie rozważa w dobrej wierze. Rozważał zapewne, kto jest za, a kto przeciw. Potem się zastanawiał, kto będzie lepszym sojusznikiem.

— Po pierwsze ani jeden z tych świątłych dżentelmenów, których wymieniałem, bez pomocy eksperta nie jest zdolny zrozumieć ani słowa z materiałów Niebieskiego Ptaka — podsumował Clive swoim bezkrwistym tonem. — Albo pozwolimy, żeby grzęźli w ignorancji, albo przyjmujemy ich z dobrodziejstwem inwentarza i zapłacimy, ile to będzie kosztowało. To samo się odnosi do ich zespołu Informacji Obrony czy opiniodawców ich Marynarki, Armii, Lotnictwa i Białego Domu.

— Czy to Russell Sheriton przez ciebie przemawia? — zapytał Ned.

— Jak możemy żądać, żeby się nie odwoływali do swoich naukowych doradców, dając im jednocześnie materiał o tak złożonym charakterze? — naciskał Clive, gładko unikając odpowiedzi na pytanie Neda. — Jeżeli Niebieski Ptak nie jest bluffem, to będą potrzebowali wszelkiej możliwej pomocy.

— J e ż e l i — powtórzył Ned ze złością. — J e ż e l i to nie bluff. Boże wielki, Clive, jesteś gorszy od nich. Na tej liście jest dwustu czterdziestu chłopca, a każdy z nich ma żonę, kochankę i piętnastu bliskich przyjaciół.

— A po drugie — ciągnął Clive, kiedyśmy już zapomnieli, że było jakieś po pierwsze — to nie nasz wywiad, żebyśmy się rządźili. To Langley. — Przerzucił się na mnie, zanim Ned zdążył z odpowiedzią. — Potwierdź to, Palfrey. Według naszej umowy o wymianie z Amerykanami jest to właśnie casus, kiedy dajemy Langley pierwszeństwo dostępu do wszystkich materiałów strategicznych.

— W sprawach strategii całkowicie podlegamy Langley — przyznałem. — Oni nam dają to, co chcą, żebyśmy znali. W zamian my mamy obowiązek dawać im wszystko, co znajdziemy. Często to niewiele, ale taka jest umowa.

Clive wysłuchał tego uważnie i zaakceptował. Jego chłód był mrozący i zastanawiałem się dlaczego. Gdyby miał sumienie, powiedziałbym, że było niespokojne. Co robił w ambasadzie cały dzień? Co wydał komu i za co?

— W tej służbie często mylnie się uważa — ciągnął Clive, mówiąc teraz bezpośrednio do Neda — że my i Amerykanie płyniemy na tej samej łodzi. Tymczasem nie. W każdym razie jeśli idzie o strategię. Nie mamy w kraju takiego analityka obrony, który by mógł w sprawach strategii bodaj potrzymać świeczkę swemu amerykańskiemu odpowiednikowi. Jeśli idzie o strategię, jesteśmy małą, głupią angielską trawką przy liniowcu „Queen Elizabeth”. Nie mamy prawa im dyktować, jak kierować statkiem.

Byliśmy jeszcze wciąż zdumieni, z jaką energią to oświadczył, kiedy zadzwonił aparat jego gorącej linii i Clive podszedł skwapliwie, uwielbiał

bowiem odbierać ważne telefony przy podwładnych. Nie miał szczęścia. To Brock dzwonił do Neda.

Właśnie Katia telefonowała do Barleya w „Odessie” i umówili się na spotkanie jutro wieczorem, powiedział Brock. Rezydentura w Moskwie pilnie żąda aprobaty Neda dla swoich propozycji operacyjnych na to spotkanie. Ned od razu wyszedł.

— Co wy knujecie z Amerykanami? — spytał Clive'a, ale nie zwracał na mnie uwagi.

Cały następny dzień spędziłem na rozmowach ze Szwedami. Tok spraw w Naszej Rosji niewiele był ciekawszy. Śledzenie to czekanie. Około czwartej wymknąłem się do siebie i zadzwoniłem do Hanny. Czasem to robię. O czwartej wraca z Instytutu Onkologicznego, gdzie pracuje na części etatu, a jej mąż bywa w domu przed siódmą. Opowiedziała mi, jak jej zeszedł dzień. Prawie nie słuchałem. Opowiedziałem jej jakąś bajeczkę o swoim synu, Alanie, który wpadł w tarapaty z jakąś pielęgniarką w Birmingham, dziewczyną nawet miłą, ale nie jego klasy.

— Może zadzwonię później — obiecała.

Czasami to mówiła, ale nie dzwoniła nigdy.

Barley szedł u boku Katii i słyszał jej kroki jak wyprzedzające echo swoich własnych. Łuszczące się dworki dickensowskiej Moskwy stały zanurzone w nieruchomym półmroku. Pierwsze podwórze było szare, drugie czarne. Ze stosów śmieci wpatrywały się w nich koty. Dwóch długowłosych chłopców, którzy mogli być studentami, grało w tenisa przez stertę skrzynek. Trzeci stał oparty o ścianę. Zobaczyli przed sobą jakieś drzwi zabazgrane napisami i ozdobione czerwonym półksiężycem. „Uważaj na czerwone znaki”, poradził Wicklow. Była blada i Barley się zastanawiał, czy i on jest blady, byłby to bowiem prawdziwy cud, gdyby nie był. Niektórzy mężczyźni nigdy nie będą bohaterami, niektórzy bohaterowie nigdy nie będą mężczyznami, pomyślał, pilnie odnosząc to do Conrada. A Barley Blair nigdy nie będzie ani jednym, ani drugim. Chwytał za klamkę i szarpnął. Katia zachowywała dystans. Była w chusteczce na głowie i nieprzemakalnym płaszczu. Klamka ustąpiła, ale drzwi ani drgnęły. Pchnął je oburącz, potem jeszcze mocniej. Tenisiści coś do niego wołali po rosyjsku. Zamarł bez ruchu, czując ogień w plecach.

— Mówią, żeby pan je kopnął — powiedziała Katia i ze zdumieniem zobaczył, że się uśmiecha.

— Jeżeli może się pani uśmiechać w takiej chwili — powiedział — to jak pani wygląda, kiedy pani jest szczęśliwa?

Musiał jednak powiedzieć to w duchu, gdyż nie odpowiedziała. Kopnął drzwi, które ustąpiły, pod nogami zazgrzytał im piach. Wszedł w mrok, ona za nim. Nacisnął kontakt, ale światło się nie zapaliło. Drzwi z trzaskiem zamknęły

się za nimi i Barley nie mógł po omacku znaleźć klamki. Stali w głębokim mroku, czuli smród kotów, cebuli i oleju i słyszeli strzępy muzyki i kłótnie z cudzego życia. Potarł zapalną. Pokazały się trzy schodki, potem połowa roweru, potem wejście do brudnej windy. Potem sparzył się w palce. Wicklow powiedział: wchodzisz na czwarte piętro. Uważaj na czerwone znaki. Jak, u diabła, mam uważać na czerwone znaki w takich ciemnościach? Pan Bóg przyszedł z pomocą w postaci bladego światła.

— Przepraszam, gdzie jesteśmy? — zapytała uprzejmie.

— U mego przyjaciela, malarza.

Otworzył drzwi do windy, potem rozsunął kratę.

— Proszę — powiedział, ale Katia już go minęła; stała w windzie i spoglądała w górę, chcąc, żeby winda ruszyła.

— Na parę dni wyjechał. To tylko miejsce, gdzie można porozmawiać — wyjaśnił.

Znów zauważył jej rzęsy, wilgotne oczy. Pragnął ją pocieszyć, ale nie była aż tak bardzo smutna.

— To malarz — powtórzył, jakby to świadczyło na korzyść przyjaciela.

— Oficjalny?

— Nie. Nie sędzę. Nie wiem.

Dlaczego Wicklow mu nie powiedział, jaki ma być ten cholerny malarz?

Już miał nacisnąć guzik, kiedy za nimi wskoczyła do windy dziewczynka w okularach w szylkretowej oprawce, tuląc plastikowego misia. Wykrzyknęła coś na powitanie i twarz Katii się rozjaśniła. Winda poklekotała w górę. Na każdym piętrze guziki wyskakowały prztykając jak kapiszony. Na trzecim dziecko grzecznie się pożegnało, a Barley i Katia odpowiedzieli małej unisono. Na czwartym winda zatrzymując się huknęła jakby o dach, i może zresztą tak się stało. Barley wypchnął Katię i wyskoczył za nią. Przed nimi był korytarz śmierdzący niemowlęciem, a może mnóstwem niemowląt. U jego końca, na czymś, co wyglądało jak ślepa ściana, czerwona strzałka wskazywała drogę w lewo. Doszli do wąskich drewnianych schodów prowadzących w górę. Na pierwszym schodku siedział skulony Wicklow jak krasnoludek czytający przy latarce olbrzymią księgę. Nie uniósł głowy, gdy go mijali, ale Barley i tak zobaczył, że Katia mu się przygląda.

— O co chodzi? Zobaczyła pani ducha? — spytał.

Czy go słyszała? Czy mógł słyszeć sam siebie? Powiedział coś? Byli na długim strychu. Niebo wdzierало się szparami wśród dachówek, belki były zapaskudzone odchodami nietoperzy. Na belkach podłogi leżało rusztowanie z desek prowadzące dalej. Barley wziął ją za rękę. Dłoń miała szeroką, silną i suchą. Nagość tej ręki w swojej dłoni poczuł jak dar całego jej ciała.

Posuwał się ostrożnie, czując zapach terpentyny, oleju Inianego i słysząc trzepotanie niespodziewanego wiatru. Przcisnął się między dwiema żelaznymi cysternami i ujrzał papierową mewę naturalnej wielkości z rozpostartymi

skrzydłami, zawieszoną na sznurku u krokwi i obracającą się w kółko. Pociągnął Katię za sobą. Za mewą, na metalowym pręcie zwisała wystrzępiona zasłonka w paski. Nie ma mewy, nie ma spotkania, powiedział Wicklow. Brak mewy — wszystko na nic. To moje epitafium, pomyślał Barley. „Nie było mewy, nie udało mu się”. Rozsunął zasłonkę i wszedł do pracowni malarza, znów pociągając Katię za sobą. Pośrodku stały sztalugi i podium dla modela. Na poduszce na podium leżała stara jesionka. To miejsce ma służyć na jeden raz, powiedział Wicklow. Tak jak ja, Wicklow, tak jak ja. Własnej roboty okno w suficie wycięte było w pochyłości dachu. Na ramie namazano czerwony znak. Rosjanie nie ufają ścianom, tłumaczył Wicklow, prędzej będzie mówiła na wolnym powietrzu.

Okno się otworzyło ku konsternacji całej chmary gołębi i wróbli. Skinął na nią, by weszła pierwsza, i zauważył, jak swobodnie i płynnie ugina się jej długie ciało, kiedy się pochylała. Wylazł za nią, ocierając sobie plecy i klnąc. Zupełnie tak, jak wiedział, że się to odbędzie. Stali między dwoma szczytami dachu, w ołowianej rynnie szerokiej tylko na tyle, żeby się w niej zmieściły ich stopy. Z niewidocznych ulic dochodziło pulsowanie miejskiego ruchu. Stała twarzą do niego, tuż-tuż. Zostańmy tu, pomyślał. Twoje oczy, ja, to niebo. Pocierał kark mrużąc oczy z bólu.

— Uderzył się pan?

— Drobiazg, to tylko złamany kręgosłup.

— Kim był ten człowiek na schodach? — spytała.

— Pracuje dla mnie. To mój redaktor. Siedzi na czatach, kiedy rozmawiamy.

— Wczoraj wieczorem był w szpitalu.

— Jakim szpitalu?

— Wczoraj wieczorem po spotkaniu z panem musiałam odwiedzić pewien szpital.

— Jest pani chora? Dlaczego poszła pani do szpitala? — zapytał Barley już nie rozcierając pleców.

— To nieważne. On tam był. Wyglądało, że ma złamaną rękę.

— Nie mógł tam być — powiedział Barley sam w to nie wierząc. — Był ze mną cały wieczór po tym, jak pani wyszła. Omawialiśmy rosyjskie książki.

Widział, jak z jej oczu powoli znika podejrzliwość.

— Jestem zmęczona, musi mi pan wybaczyć.

— Proszę posłuchać, jak to sobie ułożyłem, potem może mi pani powiedzieć, że to na nic. Porozmawiamy, a potem zabieram panią na kolację. Jeżeli nadzorcy ludu podsłuchiwali wczoraj naszą rozmowę telefoniczną, to i tak się będą tego spodziewali. Ta pracownia należy do mojego przyjaciela, malarza, który ma fioła na punkcie jazzu jak ja. Nie mówiłem pani, jak on się nazywa, bo nie pamiętam, a może nigdy nie wiedziałem. Pomyślałem, że możemy

przynieść mu coś do wypicia i rzucić okiem na jego obrazy, ale się nie zjawił. Więc poszliśmy na kolację, mówiliśmy o literaturze i pokoju światowym. Wbrew mojej reputacji nie dobieierałem się do pani. Nazbyt byłem wstrząśnięty pani pięknnością. Co pani na to?

— To wygodne.

Przykucnąwszy wydobyl pół butelki szkockiej i odkręcił korek.

— Pije pani to?

— Nie.

— Ani ja. — Liczył na to, że ona przysiadzie obok, ale dalej stała. Nalał kropelkę do zakrętki i postawił sobie butelkę u stóp. — Jak on się nazywa? — zapytał. — Ten autor. Goethe. Kim on jest?

— To nieważne.

— Jego jednostka? Firma? Numer skrzynki pocztowej? Ministerstwo? Laboratorium? Gdzie pracuje? Nie mamy czasu na głupstwa.

— Nie wiem.

— Gdzie przebywa? I tego mi pani nie powie?

— W wielu miejscach. To zależy, gdzie akurat pracuje.

— Jak go pani poznała?

— Nie wiem. Nie wiem, co mogę panu powiedzieć.

— Co kazał mi powiedzieć?

Zawahała się, jakby ją na czymś przyłapał. Zmarszczyła brwi.

— Wszystko, co będzie trzeba. Mam panu ufać. Był wielkoduszny. Taki ma charakter.

— No, więc co panią powstrzymuje? — Cisza. — Jak pani myśli, po co tu jestem? — Cisza. — Myśli pani, że mnie zachwyca ta zabawa w policjantów i złodziei tu w Moskwie?

— Nie wiem.

— Dlaczego przysłała mi pani tę książkę, jeśli mi pani nie ufa?

— Wysłałam ją za niego. Ja pana nie wybierałam, to on — odpowiedziała kapryśnie.

— Gdzie jest teraz? W szpitalu? Jak pani się z nim porozumiewa? — Podniósł na nią oczy czekając na odpowiedź. — Dlaczego pani po prostu nie zacznie mówić i sama się nie przekona? — podsunął. — Kim on jest, kim pani jest. W jaki sposób zarabia na życie.

— Nie wiem.

— Kto był w tej szopie o trzeciej nad ranem w noc morderstwa? — Znowu cisza. — Niech mi pani powie, dlaczego mnie pani w to wciągnęła. Pani to zaczęła. Nie ja. Katia? To ja. Barley Blair. Robię kawały, naśladuję głosy ptaków, piję. Jestem przyjacielem.

Uwielbiał te chwile, kiedy zapadała w poważne milczenie patrząc na niego. Uwielbiał sposób, w jaki słuchała oczami, i poczucie odzyskanego koleżeństwa za każdym razem, kiedy zaczynała mówić.

— Nie było żadnego morderstwa — powiedziała. — To mój przyjaciel. Jego nazwisko i zajęcie są nieważne.

Barley łyknął whisky rozmyślając nad tym.

— Więc takie rzeczy robi pani dla przyjaciół? Przemycza na Zachód ich zakazane rękopisy? — Ona i myśli oczami, pomyślał. — A nie wspomniał pani czasem, co jest w tym rękopisie?

— Naturalnie. Nie narażałby mnie bez mojej zgody. Z niechęcią uchwycił opiekuńczą nutę w jej głosie.

— I co pani powiedział — że co w nim jest?

— Ten rękopis mówi o zaangażowaniu mojej ojczyzny w produkcję niehumanitarnych broni masowej zagłady trwającą od lat. Daje obraz korupcji i niekompetencji we wszystkich dziedzinach przemysłu obronnego. Jak również zbrodniczo złego zarządzania i braków etycznych.

— To nie tak mało. A czy poza tym zna pani jakieś szczegóły?

— Nie znam się na sprawach wojskowych.

— Więc on jest wojskowym?

— Nie.

— To kim jest?

Milczenie.

— Ale pani to pochwała? Przekazywanie tego na Zachód?

— On nie przekazuje tego na Zachód ani do żadnego bloku. Ma szacunek dla Anglików, ale to nieważne. Jego gest ma zapewnić prawdziwe otwarcie wśród naukowców wszystkich narodów. Pozwoli zniszczyć wyścig zbrojeń. — Wciąż jeszcze była daleko. Mówiła monotonna, jakby się tych zdań wyuczyla na pamięć. — Uważa, że już nie ma czasu. Musimy skończyć z tym nadużywaniem nauki i ustrojami politycznymi, które są za nie od powiedzialne. Kiedy mówi o filozofii, mówi po angielsku — dodała.

A ty słuchasz, pomyślał. Oczami. Po angielsku, A zastanawiasz się, czy możesz wierzyć mnie.

— Jest naukowcem? — spytał.

— Tak. Jest naukowcem.

— Nienawidzę ich wszystkich. W jakiej dziedzinie? Fizykiem?

— Może, nie wiem.

— Jego informacje dotyczą wszystkiego. Dokładności, celów, dowodzenia i kontroli, silników raketowych. Czy to jeden człowiek? Kto mu dostarcza informacji? Skąd tyle wie?

— Nie wiem. To jeden człowiek. Oczywiście. Nie mam tylu przyjaciół. On nie jest żadną grupą. Może też nadzoruje prace innych. Nie wiem.

— Jest na wysokim stanowisku? To ktoś ważny? Pracuje tu, w Moskwie? Czy to ktoś ze sztabu? Czym jest?

Na każde z pytań kręciła głową.

— Nie pracuje w Moskwie. O inne rzeczy go nie pytam i on mi nie mówi.

— Przeprowadza jakieś próby?

— Nie wiem. Jeździ w różne miejsca. Po całym Związku Sowieckim. Bywa w słońcu i na mrozie, czasem w jednym i drugim. Nie wiem.

— Nigdy nie wymieniał swojej jednostki?

— Nie.

— Numerów pocztowych? Nazwisk szefów? Nazwiska jakiegoś kolegi czy podwładnego?

— Nie interesuje go mówienie takich rzeczy.

Uwierzył jej. Będąc z nią uwierzyłby, że północ jest południem i że dzieci rodzą się w kapuście.

Obserwowała go czekając na następne pytanie.

— Czy on rozumie, jakie konsekwencje będzie miało opublikowanie tego wszystkiego? — zapytał. — Konsekwencje dla niego samego. Czy wie, z czym igrza?

— Mówi, że bywają czasy, kiedy czyny muszą iść przed wszystkim, i że konsekwencje należy brać pod uwagę dopiero wtedy, kiedy już nastąpią. — Oczekiwała, zdaje się, że on coś powie, ale już się nauczył hamować. — Jeżeli widzimy wyraźnie jeden cel, o jeden krok możemy się posunąć naprzód. Gdybyśmy rozważali wszystkie cele naraz, nie posunęlibyśmy się ani o cal.

— Ale co z panią? Czy pomyślał, jakie będą tego konsekwencje dla pani, jeżeli coś z tego wyjdzie na jaw?

— Pogodził się z tym.

— A pani?

— Naturalnie. Taka była i moja decyzja. Inaczej po co bym mu pomagała?

— A dzieci?

— To dla nich i ich pokolenia — powiedziała ze zdecydowaniem, które graniczyło z gniewem.

— A co z konsekwencjami dla Matki Rosji?

— Uważamy zniszczenie Rosji za lepsze od zniszczenia całej ludzkości. Najcięższym brzemieniem jest przeszłość. Dla wszystkich narodów, nie tylko dla Rosji. Siebie uważamy za wykonawców wyroku na przeszłości. On mówi, że jeśli nie zdołamy się jej pozbyć, nie możemy budować przyszłości. Nie zbudujemy nowego świata, dopóki się nie pozbedziemy starego sposobu myślenia. Żeby wyrazić prawdę, musimy być przygotowani na to, że będziemy też apostołami negacji. Cytuje Turgeniewa. Nihilista to ktoś taki, kto niczego nie traktuje jako oczywiste, choćby jakaś zasada cieszyła się największym szacunkiem.

— A pani?

— Ja nie jestem nihilistką. Jestem humanistką. Jeżeli dane nam jest odegrać jakąś rolę w budowaniu przyszłości, musimy ją przyjąć.

Szukał w jej głosie jakiejś nutki wątpliwości. Nie znalazł. Był to ton spiżowy.

— A czy on tak mówi od dawna? Zawsze? Czy dopiero ostatnio?

— Zawsze był idealistą. Taki ma charakter. Zawsze był w najwyższym stopniu krytyczny w sensie konstruktywnym. Był czas, kiedy potrafił sobie wmawiać, że narzędzia zagłady są tak straszne, że w rezultacie położą kres wojnom. Uważał, że spowodują zmiany w sposobie myślenia kół wojskowych. Przekonujący wydał mu się paradoks, że właśnie najgroźniejsze bronie najbardziej mogą się przyczynić do utrzymania pokoju. Pod tym względem był gorącym zwolennikiem strategii amerykańskiej.

Zaczynała się przed nim otwierać. Wyczuł w niej pierwsze przejawy tej potrzeby. Budziła się i zbliżała do niego. Pod niebem Moskwy zrzuciła z siebie nieufność po zbyt długiej samotności i wydziedziczeniu.

— Więc co go zmieniło?

— Przez wiele lat stykał się z niekompetencją i arogancją naszych organizacji wojskowych i biurokratycznych. Przekonał się, jak to hamuje postęp. Właśnie, to dobre określenie. Natchnieniem była mu pierestrojka i widoki na światowy pokój. Ale on nie jest utopistą, nie jest bierny. Wie, że nic nie przyjdzie samo. Wie, że nasz lud oszukano i że brak mu zbiorowej siły. Nową rewolucję trzeba narzucić z góry. Muszą to zrobić intelektualiści. Artyści. Administratorzy. Naukowcy. Chce dać ze swej strony trwałą wkład zgodnie z zachętą naszych przywódców. Cytuje takie rosyjskie przysłowie: „Po cienkim lodzie trzeba iść szybko”. Mówi, że za długo żyliśmy w epoce, której już nie potrzebujemy. Postęp można osiągnąć tylko wtedy, kiedy ta epoka się skończy.

— I pani się z tym zgadza?

— Tak, i pan też! — Teraz była pełna żaru. Płomień w oczach. Zbyt poprawny ten angielski, wyuczony w klasztorze na dozwolonych starych klasykach. — Mówił, że pan w podobny sposób krytykuje własny kraj.

— Czy on myśli tylko o wielkich sprawach? — zapytał Barley. — Czy na przykład lubi kino? Jakim jeździ samochodem?

Odwrociła się od niego i widział teraz jej twarz z boku, na tle pustego nieba. Wypił jeszcze łyk szkockiej.

— Mówiła pani, że może jest fizykiem — przypomniał.

— Fizykiem z wykształcenia. Zdał chyba też egzaminy inżynierskie. Zdaje mi się, że tam, gdzie pracuje, tych rozróżnień nie zawsze się tak ściśle przestrzega.

— Gdzie studiował?

— Już w szkole uchodził za cudowne dziecko. Mając czternaście lat wygrał olimpiadę matematyczną. O jego sukcesie pisały leningradzkie gazety. Poszedł na Litmo, potem na wyższy stopień studiów uniwersyteckich. Jest szalenie zdolny.

— Kiedy chodziłem do szkoły, takich właśnie nie cierpiałem — powie dział Barley, zląkł się jednak, bo się skrzywiła.

— Ale Goethe się panu podobał. Był mu pan natchnieniem. Często przytacza słowa swojego przyjaciela Scotta Blaira: „Jeżeli mamy mieć jakąś nadzieję, wszyscy musimy zdradzać swój kraj”. Naprawdę pan to powiedział?

— Co to jest Litmo? — spytał Barley.

— Litmo to Leningradzki Instytut Mechaniki i Optyki. Z uniwersytetu wysłano go do Nowosybirsk na studia w miasteczku akademickim Akadem-gorodek. Został kandydatem nauk, zrobił doktorat. Zrobił wszystko.

Chciał ją trochę przycisnąć co do tego wszystkiego, ale bał się ją zbyt mocno popęczać, pozwolił więc, żeby zamiast tego mówiła o sobie.

— Więc jak go pani poznała?

— Jako dziecko.

— Ile miała pani lat?

Poczuł, jak znów niechęć w niej wzbiera, a potem ustępuje, jakby musiała sobie przypomnieć, że jest bezpieczna w jego towarzystwie albo też tak zagrożona, że już wszystko jedno.

— Mając szesnaście lat byłam wielką intelektualistką — powiedziała ze smutnym uśmiechem.

— Ile lat miało to cudowne dziecko?

— Trzydzieści.

— O którym mówimy roku?

— 1968. Wciąż był idealistą walczącym o pokój. Twierdził, że nie wyślą czołgów. „Czesi to nasi przyjaciele — mówił — jak Serbowie i Bułgarzy. Gdyby to była Warszawa, może wystaliby czołgi. Ale przeciwko naszym Czechom... nigdy”.

Już do reszty odwróciła się plecami. Było w niej zbyt wiele kobiet naraz. Stała tyłem do niego i mówiła w niebo, ale wciągała go w swoje życie, czyniła powiernikiem.

To było w sierpniu, w Leningradzie, mówiła, miała szesnaście lat i w ostatniej klasie uczyła się francuskiego i niemieckiego. Była najlepszą uczennicą, rewolucjonistką w rodzaju tych najbardziej romantycznych, i marzyła o pokoju. Stała się kobietą i uważała się za osobę dojrzałą. Mówiła o sobie z ironią. Czytała Ericha Fromma, Ortega y Gasseta i Kafkę i oglądała Dr. Strangelove'a. Uważała, że Sacharow ma rację w swoich przemyśleniach, tylko stosuje niesłuszną metodę. Trapił ją los rosyjskich Żydów, ale podzielała pogląd ojca, że sami na siebie sprowadzili kłopoty. Jej ojciec był profesorem humanistyki w uniwersytecie, a ona chodziła do szkoły dla synów i córek leningradzkiej nomenklatury. Był to sierpień 1968, ale Katia i jej przyjaciele wciąż mogli żyć polityczną nadzieją. Barley próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek żył polityczną nadzieją, i stwierdził, że raczej nie. Mówiła, jakby nic już nie mogło jej powstrzymać. Pragnął znów móc ją wziąć za rękę jak

tam, na schodach. Pragnął jej dotknąć, a najlepiej to ująć jej twarz i ucałować, zamiast słuchać historii tej miłości.

— Wierzyliśmy, że Wschód i Zachód zbliżają się do siebie — mówiła. — Kiedy studenci amerykańscy demonstrowali przeciw wojnie w Wietnamie, byliśmy z nich dumni i uważaliśmy ich za swoich towarzyszy. A kiedy zbuntowali się paryscy studenci, pragnęliśmy być razem z nimi na barykadach, w ich eleganckich francuskich ubraniach.

Odwróciła się i znów uśmiechnęła do niego przez ramię. Za jej lewym ramieniem ukazał się rogaty księżyc i Barleyowi coś się mgliście przypomniało z literatury, że to zły znak. Stado mew przysiadło na dachu po drugiej stronie ulicy. Nigdy cię nie porzucę, pomyślał.

— Na naszym podwórku mieszkał człowiek, którego nie było przez dziewięć lat — mówiła. — Któregoś ranka wrócił i udawał, że nigdy nie wyjeżdżał. Ojciec zaprosił go na kolację i cały wieczór puszczał mu muzykę. Nigdy świadomie nie spotkałam nikogo, kto był świeżo prześladowany, toteż naturalnie liczyłam na to, że będzie opowiadał o okropnościach łagrów. Ale on chciał tylko słuchać Szostakowicza. Nie rozumiałam w tamtych czasach, że są cierpienia, których nie da się opisać. Z Czechosłowacji dochodziły wieści o jakichś nadzwyczajnych reformach. Wierzyliśmy, że przyjdą one wkrótce do Związku Sowieckiego i że będziemy mieli twardą walutę i swobodę podróżowania.

— Gdzie była pani matka?

— Nie żyła.

— Na co zmarła?

— Na gruźlicę. Była już chora, kiedy się urodziłam. Dwudziestego sierpnia odbywał się zamknięty pokaz jednego z filmów Godarda w Klubie Naukowca. — Głos jej stał się surowy, trzymała się w ryzach. — Zaproszenie było na dwie osoby. Ojciec po zasięgnięciu opinii co do moralnej treści filmu nie chciał mnie zabrać, ale nalegałam. W końcu postanowił, że będę mu towarzyszyła dla dobra mojej francuszczyzny. Zna pan Klub Naukowca w Leningradzie?

— Nie mogę tego powiedzieć — przyznał, odchylając się do tyłu.

— Widział pan „Baryłeczkę”?

— Sam w niej występowałem. — Roześmiała się, a on pociągnął whisky.

— Więc pamięta pan gęstą atmosferę tego filmu, prawda?

— Tak.

— Był to najmocniejszy film, jaki widziałam w życiu. Wszyscy byli pod wielkim wrażeniem, ale dla mnie to był wstrząs. Klub Naukowca znajduje się nad samą Newą. Pelen dawnego przepychu, te marmurowe schody i niziutkie sofy, na których trudno usiąść w wąskiej spódnicy. — Znów stała odwrócona bokiem, z głową wysuniętą do przodu. — Jest tam piękny ogród zimowy i sala jak meczet, z ciężkimi zasłonami i grubymi dywanami. Ojciec bardzo

mnie kochał, ale troszczył się o mnie i był surowy. Kiedy film się skończył, przeszliśmy do jakiejś jadalni z drewnianą boazerią. Była bardzo piękna. Usiedliśmy przy długich stołach i to tam poznałam Jakowa. Ojciec nas sobie przedstawił. „Oto nowy geniusz ze świata fizyki”, powiedział. Ojciec miał tę wadę, że bywał ironiczny wobec młodych ludzi. A Jaków był piękny. Słyszałam już coś o nim, ale nikt mi nie powiedział, jaki jest bezbronny, bardziej przypominał artystę niż naukowca. Spytałam go, co robi, a on mi odpowiedział, że wrócił do Leningradu, żeby odzyskać niewinność. Roześmiałam się i jak na szesnastolatkę zdobyłam się na imponującą ripostę. Powiedziałam, że wydaje mi się dziwne, żeby ze wszystkich ludzi właśnie naukowiec szukał niewinności. Wyjaśnił, że w Akademgorodku w pewnych dziedzinach okazał się błyskotliwy i stał się zbyt interesujący dla wojskowych. Wygląda na to, że w sprawach fizyki różnica między badaniami pokojowymi a militarnymi często jest bardzo mała. I teraz proponują mu wszystko, przywileje, pieniądze na badania, ale wciąż im odmawia, chce zachować energię dla celów pokojowych. To ich zgniewało, oni zawsze rekrutują śmietankę intelektualną i nie są przyzwyczajeni, żeby im odmawiano. Wrócił więc na swój stary uniwersytet, żeby odzyskać niewinność. Z początku zaproponował, że będzie studiował fizykę teoretyczną, i rozglądał się za wpływowymi ludźmi, by go poparli, ale nikt się nie kwapił ze względu na jego postawę. Nie miał zezwolenia na stały pobyt w Leningradzie. Mówił bardzo swobodnie, jak to się zdarza naszym naukowcom. Był też pełen entuzjazmu dla Gorodka. Mówił o cudzoziemcach, którzy się wtedy przewinęli przez Gorodek, o zdolnych młodych Amerykanach ze Stanford i Massachusetts Institute of Technology, i o Anglikach. Opowiadał o malarzach, którzy mieli wstęp do Moskwy wzbroniony, ale którym wolno było wystawiać w Gorodku. O seminariach, intensywnym życiu, swobodnej wymianie myśli... i, czego byłam pewna, o miłości. „W jakim to innym kraju poza Rosją Richter i Roztropowicz przyjadą grać specjalnie dla naukowców, Okudźawa będzie śpiewał, a Wozniesiński czytał swoje wiersze? Oto świat, jaki my, naukowcy, musimy stworzyć dla innych!” Żartował, a ja się śmiałam jak dojrzała kobieta. Wtedy był bardzo dowcipny, ale i wrażliwy, tak jak i dzisiaj. Ma coś z chłopca, który nie chce dorosnąć. Ten chłopiec to artysta, ale jest również i perfekcjonistą. Już wtedy otwarcie krytykował niekompetencję władz. Mówił, że w uniwersytecie w Gorodku było tyle jaj i kiełbasy, że ludzie tłumnie przyjeżdżali z Nowosybirsk i do dziesiątej rano opróżniali półki. Czyż nie lepiej, żeby zamiast ludzi odbywały tę podróż jajka? O wiele lepiej! Nikt nie uprzątał śmieci, mówił, i co chwila wyłączano elektryczność. Czasami śmieci na ulicach było po kolana. I nazywają to rajem naukowców! Zrobiłam jeszcze jedną przemądrzałą uwagę. „Na tym polega kłopot z rajem — powiedziałam — że nie ma komu sprzątać”. Wszystkim się to bardzo podobało. Odniosłam sukces. Mówił, jak to stara gwardia próbuje walczyć z pomysłami nowych ludzi i odchodzi potrząsając głową jak chłop,

co po raz pierwszy zobaczył traktor. Nie szkodzi, zapewniał. Postęp zwycięży. Mówił, że pancerny pociąg rewolucji wykolejony przez Stalina ruszył wreszcie na nowo i że następnym przystankiem będzie Mars. I wtedy ojciec wtrącił którąś z tych swoich cynicznych uwag. Dla niego Jaków był za krzykliwy. „Ależ Jakowie Jefremowiczu — powiedział — czyż Mars nie był bogiem wojny?” Jaków natychmiast się zamyślił. Nie wyobrażałam sobie, że mężczyzna może się tak szybko zmienić, że w jednej chwili może być śmiały, a już w następnej taki samotny i przygnębiony. Winiłam o to ojca, byłam na niego wściekła. Jaków próbował się otrząsnąć, a ojciec wtrącił go w rozpacz. Czy Jaków mówił panu o swoim ojcu?

Siedziała po drugiej stronie rynny, oparta o pochyle dachówki naprzeciwko, wyprostowała długie nogi i obciągnęła płaszcz. Niebo za nią ciemniało, księżyc i gwiazdy rosły.

— Powiedział mi, że jego ojciec zmarł z przedawkowania inteligencji — odpowiedział Barley.

— Brał udział w buncie obozu. Był w rozpacz. Jaków przez wiele lat nie wiedział o śmierci ojca. Pewnego dnia przyjechał do niego jakiś staruch i powiedział, że to on go zastrzelił. Był strażnikiem w tym łagrze i kazano mu wziąć udział w egzekucji buntowników. Rozstrzeliwano ich tuzinami z broni maszynowej w pobliżu dworca kolejowego Workuty. Ten strażnik płakał. Jaków miał wtedy dopiero czternaście lat, ale udzielił staremu swego przebaczenia i poczęstował wódką.

Tego nie mogę zrobić, pomyślał Barley, nie dorastam do takiego formatu.

— W którym roku zabito jego ojca? — zapytał. Zbieraj fakty, ziarnko do ziarnka, jak chomik. To chyba jedyna rzecz, do jakiej się nadajesz.

— Myślę, że to było wiosną w 1952 roku. Podczas gdy Jaków ciągle milczał, wszyscy przy stole zaczęli nieśmiało mówić o Czechosłowacji — ciągnęła w tej swojej doskonałej, wykopaliskowej angielszczyźnie. — Powiedział, że rządząca banda wyśle czołgi. Ojciec był tego pewien. Ktoś powiedział, że będą mieli prawo to zrobić. Ojciec na to, że to zrobią, czy będą mieli *prawo*, czy nie. Czerwoni carowie postąpią dokładnie tak, jak zechcą, powiedział, tak jak postępowali biali carowie. System zwycięży, bo zawsze zwyciężał system i ten system jest naszą drogą. Takie były przekonania mojego ojca i później stały się przekonaniem Jakowa. Ale Jaków był wtedy zdecydowany wierzyć w rewolucję. Pragnął, aby śmierć jego ojca nie była nadaremna. Słuchał uważnie tego, co mój ojciec miał do powiedzenia, ale potem stał się agresywny. „Nigdy nie wyślą czołgów! — powiedział. — Rewolucja zwycięży!” Walił pięścią w stół. Widział pan jego ręce? Jak ręce pianisty, białe i szczupłe. Pił. Mój ojciec też, i ojciec też wpadł w gniew. Chciał, żeby zostawiono go w spokoju z jego pesymizmem. Jako wybitny humanista nie lubił, żeby mu się sprzeciwiał byle młody naukowiec; uważał ich za parweniuszy.

Może ojciec był też zazdrosny, bo podczas ich kłótni zakochałam się w Jakowie po uszy.

Barley znów łknął whisky.

— Nie myśli pan, że to szokujące? — zapytała ze złością, przy czym uśmiech znów jej wyskoczył na twarz. — Szesnastolatka w doświadczonym trzydziestoletnim mężczyźnie?

Barley nie czuł się zbyt bystry, a wyglądało na to, że Katia oczekuje jego aprobaty.

— Nie umiem tego wyrazić, ale tak w ogóle to bym powiedział, że oboje mieli dużo szczęścia.

— Kiedy przyjęcie się skończyło, poprosiłam ojca o trzy ruble na lody w „Cafe Sever” z koleżankami. Na przyjęciu było kilka córek akademików, wśród nich moje szkolne koleżanki. Zebrałyśmy się i zaprosiłam Jakowa, żeby poszedł z nami. Po drodze zapytałam, gdzie mieszka. Powiedział, że na ulicy Profesora Popowa. Zapytała: „Kto to był Popów?” Roześmiałam się. Każdy wie, kto to był Popów, powiedziałam. Popów to wielki rosyjski wynalazca radia, który nadał sygnał jeszcze przed Marconim. Jaków nie był tego taki pewny. „Może Popów nigdy nie istniał — odpowiedział. — Może to partia go wymyśliła dla zaspokojenia rosyjskiej megalomanii objawiającej się w przekonaniu, że wszystko my wynaleźliśmy pierwsi”. Poznałam po tym, że wciąż walczy z niepewnością, co zrobić z Czechosłowacją.

Barley skinął głową, nie wiedząc właściwie, co myśleć. - Zapytałam, czy mieszka we wspólnym mieszkaniu, czy sam. Powiedział, że mieszka w jednym pokoju ze starym znajomym z Litmo, który pracuje w specjalnym nocnym laboratorium, więc rzadko się spotykają. Powiedziałam: „To proszę mi pokazać, gdzie pan mieszka. Chcę wiedzieć, czy ma pan tam wygodnie”. Był moim pierwszym kochankiem — dodała po prostu. — Nadzwyczaj delikatnym, tak jak się spodziewałam, ale i namiętym.

— Brawo — powiedział Barley tak cicho, że mogła nie dosłyszeć.

— Byłam u niego trzy godziny i wróciłam ostatnim metrem. Ojciec na mnie czekał i rozmawiałam z nim jak ktoś obcy, kto przyszedł w odwiedziny. Nie spałam. Na drugi dzień wysłuchałam po angielsku wiadomości z BBC. Czołgi weszły do Pragi. Ojciec, który to przepowiedział, był zrozpaczony. Ale mnie nie obchodził ojciec. Zamiast pójść do szkoły, poszłam szukać Jakowa. Jego współlokator mi powiedział, że go znajdę w „Sajgonie”, jak się nieoficjalnie nazywała kawiarnia na Newskim Prospekcie, ulubione miejsce spotkań poetów, handlarzy narkotyków i spekulantów, a nie profesorskich córek. Pił kawę, ale był pijany. Bo od chwili usłyszenia tej wiadomości pił wódkę. „Twój ojciec ma rację — powiedział. — Ten system zawsze zwycięży. Mówimy o wolności, ale zniewalamy innych”. Trzy miesiące później wrócił do Nowosybirsk. Nie mógł sobie tego darować, ale wrócił. „To jest wybór między śmiercią z zapomnienia a śmiercią z kompromisu — powiedział. — Ponieważ

jest to tylko wybór pomiędzy śmiercią a śmiercią, z powodzeniem można wybrać wygodniejsze rozwiązanie".

— Jak to się skończyło dla pani? — zapytał Barley.

— Wstydziłam się za niego. Powiedziałam mu, że był moim ideałem i że mnie zawiodł. Czytałam powieści Stendhala, zwróciłam się więc do niego jak wielka francuska heroina. Ale rzeczywiście uważałam, że podjął niemoralną decyzję. Mówił jedno, a zrobił co innego. Zbyt wielu tak postępuje w Związku Sowieckim, powiedziałam mu. Zagroziłam mu, że już się do niego nigdy nie odezwę, jeśli nie naprawi tego niemoralnego wyboru. Przypomniałam mu u E.M. Forsterze, którego oboje podziwialiśmy. Powiedziałam mu, że musi działać spójnie. Że jego myśli i czyny muszą stanowić jedność. Naturalnie szybko zmięklam i na jakiś czas odnowiliśmy nasz związek, ale nie było to już nic romantycznego i kiedy podjął nową pracę, jego listy były chłodne. Wstydziłam się za niego. Może i za siebie.

— Więc wyszła pani za Wołodię — powiedział Barley.

— To prawda.

— I na boczku zatrzymała pani Jakowa? — podsunął, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

Nachmurzyła się i zarumieniła jednocześnie.

— Tak, przez jakiś czas. Utrzymywaliśmy z Jakowem potajemne stosunki. Nieczęsto, od czasu do czasu. Mówił, że jesteście powieścią jeszcze nie dokończoną. Każde z nas czekało, że to drugie znajdzie swoje przeznaczenie. On miał rację, ale ja nie zdawałam sobie sprawy, jak silny jest jego wpływ na mnie i mój na niego. Myślałam, że jeśli częściej się będziemy spotykali, łatwiej nam będzie się od siebie uwolnić. Kiedy zrozumiałam, że tak nie jest, przestałam go widywać. Kochałam go, ale nie chciałam się z nim widywać. I byłam w ciąży z Wołodią.

— Kiedy zeszliście się z powrotem?

— Po ostatnich moskiewskich targach książki. Pan był katalizatorem. Był na urlopie i strasznie pił. Napisał wiele opracowań na wewnętrzny użytek władz i złożył wiele oficjalnych zażaleń. Nie miało to żadnego skutku dla systemu, choć myślę, że władze udało mu się zaniepokoić. A pan przemówił mu do serca. Ubrał pan jego myśli w słowa w krytycznym momencie jego życia i ukazał związek słów z postępowaniem, co dla Jakowa nie jest jasne. Na drugi dzień pod jakimś pretekstem zadzwonił do mnie do biura. Wziął klucze od mieszkania znajomego. Mój związek z Wołodią już się rozpadał, choć jeszcze mieszkaliśmy razem, bo Wołodią musiał czekać na mieszkanie. Kiedyśmy siedzieli w pokoju tego znajomego Jakowa, bardzo dużo mówił o panu. Sprawił pan, że wszystko ujrzał jasno. Tak to sformułował: „Ten Anglik podsunął mi rozwiązanie. Od tej chwili zostaje tylko czyn, tylko poświęcenie — powiedział. — Przekleństwem rosyjskiego społeczeństwa są słowa. Zastępują czyny". Jaków wiedział, że mam kontakt z zachodnimi

wydawcami, kazał mi więc odszukać pana nazwisko na listach zagranicznych gości. Od razu zabrał się do przygotowywania rękopisu. Ja miałam go panu przekazać. Dużo pił, bałam¹ się o niego. „Jak możesz pisać po pijanemu?” Odpowiedział, że pije, żeby wytrzymać. Barley znów pociągnął szkockiej.

— Powiedziała pani Wołodii o Jakowie?

— Nie.

— Wołodia sam to wykrył?

— Nie.

— Więc kto wie?

Zdawało się, że i ona sama zadaje sobie to pytanie, odpowiedziała bowiem bardzo szybko:

— Jaków nic nie mówi swoim znajomym. O tym wiem. Jeżeli to ja proszę kogoś o mieszkanie, mówię tylko, że w sprawie prywatnej. W Rosji mamy odosobnienie i samotność, ale brak nam słowa na określenie prywatności.

— A co z pani przyjaciółkami? Z niczym się pani przed nimi nie zdradza?

— Nie jesteśmy aniołami. Jeżeli je proszę o pewne przysługi, to mają swoje domysły. Czasem to ja robię komuś przysługę. To wszystko.

— I nikt nie pomagał Jakowowi zbierać materiałów do tego rękopisu?

— Nikt.

— Żaden z jego przyjaciół pijaczków?

— Żaden.

— Skąd pani może mieć pewność?

— Bo wiem, że w swoich przemyśleniach jest zupełnie sam.

— Jest pani z nim szczęśliwa?

— Słucham?

— Lubi go pani?... oprócz tego, że go pani kocha? Potrafi panią rozśmieszyć?

— Uważam, że Jaków jest wspaniałym i wrażliwym człowiekiem, który beze mnie by nie przeżył. Być perfekcjonistą to być dzieckiem. A także człowiekiem niepraktycznym. Sądzi, że beze mnie by się załamał.

— Uważa pani, że teraz jest załamany?

— Jaków by zapytał, kto jest normalny. Ten, kto planuje zagładę ludzkości, czy ten, kto podejmuje jakieś kroki, żeby jej zapobiec.

— A ten, kto robi jedno i drugie?

Nie odpowiedziała. Prowokował ją i ona o tym wiedziała. Był zazdrosny, chciał podważyć jej wiarę.

— Jest żonaty? — zapytał.

Przez jej twarz przemknął wyraz gniewu.

— Nie sądzę, żeby był żonaty, ale to nieważne.

— Ma dzieci?

— To śmieszne pytania.
— Sama sytuacja jest dosyć śmieszna.
— Mówi, że człowiek to jedyna istota, która składa w ofierze swe dzieci. Jest zdecydowany nie przysparzać ofiar.

Z wyjątkiem twoich dzieci, pomyślał Barley, ale udało mu się tego nie powiedzieć.

— Więc interesowała się pani jego karierą — stwierdził brutalnie, wracając do sprawy udziału Goethego.

— Z daleka, nie znając szczegółów.

— I przez cały ten czas nie wiedziała pani, czym on się zajmuje? To pani chce powiedzieć?

— Wiedziałałam tylko tyle, ile mogłam wywnioskować z naszych dyskusji na tematy etyczne. „Jaką część ludzkości mamy zniszczyć, by uratować ludzkość? Jak możemy mówić o walce o pokój, skoro planujemy tylko straszliwe wojny? Jak możemy mówić o wybranych celach, jeśli nie potrafimy trafić w nie dokładnie?” Kiedy mówimy o tych sprawach, jestem oczywiście świadoma jego zaangażowania. Kiedy mnie przekonuje, że największym niebezpieczeństwem dla ludzkości nie jest realność sowieckiej potęgi, tylko jej iluzoryczność, nie kwestionuję tego, lecz dodaję mu odwagi. Zachęcam go do konsekwencji i, jeśli to konieczne, odwagi. Ale nie kwestionuję tego, co mówi.

— Rogów? Nie wspominał kiedy Rogowa? Profesora Arkadego Rogowa?

— Mówiłam panu. Nie mówi o kolegach.

— Kto powiedział, że Rogów to jego kolega?

— Wynikało to z pana pytań — odparowała z żarem, ale znów jej uwierzył.

— Jak się pani z nim porozumiewa? — zapytał odzyskując łagodny ton.

— To nieważne. Kiedy pewien jego przyjaciel dostaje pewną wiadomość, informuje Jakowa i Jaków do mnie dzwoni.

— Czy ten pewien przyjaciel wie, od kogo jest wiadomość?

— Nie ma żadnych podstaw. Wie, że to kobieta. To wszystko.

— Czy Jaków się boi?

— Ponieważ tyle mówi o strachu, myślę, że się boi. Cytuje Nietzschego: „Najwyższym dobrem jest nie bać się”; cytuje Pasternaka: „Źródłem piękna...”

— ...jest pani?

Odwróciła wzrok. W oknach po drugiej stronie ulicy ukazywały się światła domowych ognisk.

— Muszę myśleć nie o moich dzieciach, ale o wszystkich dzieciach — powiedziała i zauważyła na jej policzkach dwie łzy, o których zapomniała. Pociągnął następny łyk whisky i zanucił kilka taktów Basiego. Kiedy znów spojrzął, łez już nie było.

— Mówi o wielkim kłamstwie.
— Jakim wielkim kłamstwie?
— Wszystko jest częścią jednego wielkiego kłamstwa, aż po najmniejszą część zamienną najgłupszej broni. Nawet wyniki posyłane do Moskwy podlegają temu wielkiemu kłamstwu.
— Wyniki? Jakie wyniki? Wyniki czego?
— Nie wiem.
— Wyniki badań?
Jakby zapomniała o swoim przeczeniu.
— Tak sędzę. Badań. On chyba mówi, że wyniki badań są umyślnie tak poprzekręcane, żeby zadowolić generałów i oficjalne plany produkcyjne biurokratów. Może to on sam je przekręca. Jest bardzo skomplikowany. Czasami wspomina o swoich wielkich przywilejach, których dziś się wstydzi.
Walter nazwał to listą zakupów. Tłumiąc poczucie obowiązku Barley skreślił ostatnie punkty.
— Nie mów o jakichś konkretnych badaniach?
— Nie.
— Nie wspominał, że ma wgląd w systemy dowodzenia? Jaki jest system dowodzenia sztabu?
— Nie.
— Nie mówił pani kiedy, jakie się stosuje środki, żeby zapobiec mylnym ruchom?
— Nie.
— Nie dawał nigdy do zrozumienia, że może być zaangażowany w obróbkę danych?
Była zmęczona.
— Nie.
— Czy awansuje czasem? Dostaje jakieś medale? Są wielkie przyjęcia, kiedy idzie w górę?
— Nie wspomina o awansach, chyba tyle, że wszystko to jest skorumpowane. Mówiłam już panu, że może za głośno krytykuje system. Nie wiem.
Odsunęła się od niego. Twarz jej zniknęła za zasłoną włosów.
— Najlepiej pan zrobi zadając mu wszystkie dalsze pytania sam — powiedziała tonem osoby, która się zbiera do odejścia. — Chce się z panem spotkać w Leningradzie w piątek. Uczestniczy tam w ważnej konferencji w jednym z wojskowych instytutów naukowych.
Najpierw zakotłosało się niebo, potem Barley uświadomił sobie wieczorny chłód. Ogarnął go jak lodowata chmura, choć niebo było ciemne, czyste, a nów księżycyca, kiedy już wreszcie znieruchomiał, rzucał ciepły blask.
— Proponuje trzy miejsca i trzy terminy — ciągnęła tym samym płaskim tonem. — Proszę się stawić na te trzy spotkania, przyjdzie, kiedy mu się uda. Pozdrawia pana i dziękuje. Uwielbia pana.

Podyktowała mu te trzy adresy i przyglądała się, jak zapisuje je w notesie przepraszając, że szyfruje. Potem przeczekala jego atak kichania, przyglądając się, jak Barley łapie oddech i klnie Stwórcę.

Jak wyczerpani kochankowie zjedli kolację w piwnicy ze starym siwym psem i Cyganem, który śpiewał bluesy grając na gitarze. Kto był właścicielem tej speluny, kto jej pozwalał istnieć i dlaczego, pozostawało tajemnicą; tych tajemnic Barley nigdy nie próbował zgłębiać. Wiedział tylko, że w którymś z poprzednich wcieleń, z okazji jakichś zapomnianych targów książki, przyszedł tu pijany z grupką zwariowanych polskich wydawców i na czymś saksofonie odegrał „Panie, błogosław temu domowi”.

Rozmowa była drętwa i podczas tej rozmowy przepaść między nimi się poszerzała, aż Barley odniósł wrażenie, że ginie w niej cały jego brak znaczenia. Gapił się na Katię i czuł, że nie ma jej do zaoferowania nic, czego by sama nie miała po wielekroć więcej. Normalnie wyznałby jej swoją namiętną miłość. Skok w absolut byłby niezbędny, musiał bowiem jakoś przełamać to napięcie ich nowego związku. Ale w obecności Katii nie znajdował nic, co by mogło dorównać jej absolutowi. Widział swoje życie jako ciąg niepotrzebnych zmartwychwstań, w którym jedna kłeska zastępuje drugą. Przeraziła go myśl, że należy do społeczeństwa, które istnieje tylko w sferze materialnej i tak mało myśli o wielkich sprawach. Ale nic z tego nie mógł jej powiedzieć. Cokolwiek by powiedział, zmąciłby własny obraz w jej oczach, a nie miał nic, co by mógł podsunąć w zamian.

Rozmawiali o książkach i widział, jak Katia mu się wymyka. Twarz jej przybrała wyraz roztargniony, ton głosu stał się prozaiczny. Chciał przykuć jej uwagę, popisywał się, ale mu uciekała. Wygłaszała takie same płaskie uwagi, jakich słuchał przez cały dzień czekając na to spotkanie. Jeszcze chwila, pomyślał, a zacznę opowiadać o firmie Potomak-Boston i wyjaśniać, że nic tej rzeki nie łączy z tym miastem. Mój Boże, właśnie to robił.

Dopiero o jedenastej, kiedy obsługa wygasila światła i odprowadzał Katię przez wymarłe ulice do stacji metra, zaświtało mu, że wbrew wszelkim rozsądnym przewidywaniom może zrobić na niej wrażenie, które w jakiejś skromnej mierze da się porównać z wrażeniem, jakie ona wywarła na nim. Wzięła go pod rękę. Jej palce znalazły sobie miejsce w zagłębieniu jego ramienia; wydłużyła krok, żeby za nim nadążyć. Otworzyła się przed nią biała paszcza ruchomych schodów. W górze migotały kandelabry jak odwrócone choinki. Ucałował ją w formalnym rosyjskim pożegnaniu: lewy policzek, prawy, lewy i dobranoc.

— Halo! Panie Blair. Tak mi się wydało, że to pan! Co za przypadek! Proszę wsiadać, odwieziemy pana do domu.

Barley wsiadł, a Wicklow ze zwinnością akrobaty przeskoczył na tylne siedzenie, skąd zaraz wziął się do odczepiania mu mikrofonu z karku.

Podwieźli go i wysadzili przed „Odessą”. Mieli jeszcze pracę. Hall był jak poczekalnia na lotnisku podczas gęstej mgły. Na każdej sofie i w każdym fotelu drzemał w mroku jakiś nieoficjalny gość. Barley rozejrzał się dobrotliwie, marszcząc nos. Niektórzy byli w kombinezonach, inni ubrani bardziej formalnie.

— Kto się napije?! — zawołał dosyć głośno. Nikt nie odpowiedział. — Nikt nie ma ochoty na szklaneczkę whisky? — powtórzył wyławiając z kiesze ni nieprzemakalnego płaszcza butelkę wciąż jeszcze w dwóch trzecich nie opróżnioną. Służąc przykładem, tyknął sam i puścił butelkę w koło.

I tak go zastał Wicklow dwie godziny później: w hallu, w nastroju towarzyskim. Siedział w kucki, zbratany z nocnymi gośćmi, i pił strzemien-nego przed pójściem do łóżka.

9

— Cóż to za jedni, u licha, ci nowi Amerykanie Clive'a? — mruknąłem do Neda, kiedy jak pierwsi chrześcijanie zebraliśmy się wokół magnetofonu Brocka w pokoju sytuacyjnym.

Londyński zegar wskazywał szóstą. Poranny szum na Victoria Street jeszcze się nie zaczął. Popiskiwanie szpuli brzmiało jak chór szpaków, kiedy Brock przewijał taśmę. Nadeszła pół godziny temu pocztą kurierską, odbywszy podróż w bagażu dyplomatycznym drogą lądową do Helsinek, a następnie specjalnym samolotem do Northolt. Gdyby Ned chciał posłuchać techników kusicieli, mogliby uniknąć całego tego kosztownego kramu, bo magicy z Langley zaklinali się, że mają jakiś nowy wynalazek, który bezpiecznie przekazuje słowo mówione. Ale Ned pozostał Nedom i wolał własne wypróbowane sposoby.

Siedział przy biurku i składał podpis pod dokumentem, który osłaniał ręką. Złożył papier, wsunął do koperty i zakleił ją przed wręczeniem Emmie, jednej ze swoich pomocnic. Do tego czasu zrezygnowałem już z czekania na odpowiedź, tak że mnie zaskoczyła jego gwałtowność.

- Cholerni karierowicze, tylko czekają, żeby się załapać — warknął.
- Z Langley?
- Kto to wie. Z bezpieczeństwa.
- Czyjego?

Potrząsnął głową, zbyt wściekły, by odpowiedzieć. Zgniewał go ten dokument, który podpisał, albo obecność amerykańskich intruzów. Było ich dwóch. Z eskortą Johnny'ego z ich londyńskiej rezydentury. Byli w marynarskich kurtkach, mieli krótkie włosy i coś z mormońskiej schludności, która

mnie się wydała trochę obrzydliwa. Clive stał między nimi, ale Bob usadowił się demonstracyjnie w najdalszym kącie pokoju z Walterem, który wyglądał na wypłutego, jak początkowo przypuszczałem, z powodu wczesnej pory. Zdawało się, że nawet Johnny'ego ich obecność wyprowadza z równowagi, toteż natychmiast podziałała tak samo na mnie. Ich tępe nieznanne twarze były zupełnie nie na miejscu w samym sercu naszej operacji i w tak krytycznej chwili. Przypominali żałobników zbierających się w oczekiwaniu czyjejs śmierci. Ale czyjej? Znowu spojrzałem na Waltera i moje obawy wzrosły.

Jeszcze raz spojrzałem na tych nowych Amerykanów, szczupłych, schludnych i pozbawionych wszelkiego charakteru. Bezpieczeństwo, powiedział Ned. Ale dlaczego? I dla czego teraz? Dlaczego patrzą na wszystkich poza Walterem? Dlaczego Walter patrzy na wszystkich poza nimi? I dlaczego Bob usiadł z dala od nich, a Johnny nie spuszcza wzroku z własnych rąk? Byłem wdzięczny, kiedy przerwano moje rozmyślenia.

Usłyszeliśmy stukot butów na drewnianych schodach. To Brock puścił magnetofon. Usłyszeliśmy, jak coś zaklekotało i Barley zaklął ocierając plecy o futrynę okna. Potem znów szurgot stóp, kiedy wyłazili na dach.

To seans, pomyślałem, kiedy dotarli do nas ich pierwsze słowa. Barley i Katia przemawiają do nas z wielkiej niewiadomej. Nikt już nie pamiętał tych nieruchomych obcych o twarzach plutonu egzekucyjnego.

Z nas wszystkich jeden Ned miał słuchawki. To była różnica. Przekonałem się później, kiedy sam spróbowałem. Słyszy się moskiewskie gołębie szur-goczące po dachu i w głosie Katii szybki oddech. Mikrofony na ciebie pozwalają słyszeć bicie serca własnego agenta.

Brock przegrał całą scenę na dachu, zanim Ned zarządził przerwę. Zdaje się, że tylko na naszych nowych Amerykanach nie zrobiła wrażenia. Ich brązowe spojrzenia musnęły każdego z nas, ale na nikim się nie zatrzymały. Walter się zaczerwienił.

Brock przegrał scenę kolacyjną i dalej tkwiłszy jak zamurowani — ani westchnienia, skrzyknięcia krzesła czy oklasku, nawet wtedy, kiedy zatrzymał szpulę, żeby ją przewinąć.

Ned zsunął słuchawki.

— Jaków Jefremowicz, nazwisko nieznane, fizyk, w roku 1968 trzydzieści lat, więc urodzony w 1938 — oznajmił chwytając z pliku przed sobą różowy formularz i wypełniając go. — Co dla nas masz, Walter?

Walter musiał się pozbierać. Wydawał się roztargniony i jego głos nie miał swojej zwykłej płynności.

— Jefrem, naukowiec sowiecki, pozostałe imiona nieznane, ojciec Jako wa Jefremowicza zastrzelony w Workucie po buncie wiosną '52 — wyrecytował bez zaglądania do notesu. — Nie może być aż tylu naukowców Jefremów rozstrzelanych za przedawkowanie inteligencji, nawet w dobrych stalinowskich czasach — dodał dosyć patetycznie.

To absurd, ale wydało mi się, że widzę łzy w jego oczach. Może ktoś naprawdę umarł, pomyślałem znów rzucając okiem na naszych dwóch mormonów.

— A Johnny? — spytał Ned notując.

— Ned, chyba weźmiemy Borysa, inne imiona nieznane, wdowca, profesora wydziału humanistyki w Uniwersytecie Leningradzkim, późne lata sześćdziesiąte, jedyna córka Jekatierina — powiedział Johnny, wciąż zwracając się do własnych rąk.

Ned wziął drugi formularz, wypełnił go i położył na dokumentach do wysłania, jak pieniądze, które się wyrzuca z przyjemnością.

— Palfrey. Chcesz zagrać?

— Wpisz mnie na leningradzkie czasopisma, Ned, jeśli można — powiedziałem jak najwyższym tonem, zakładając, że Amerykanie Clive'a zwrócili prosto na mnie swoje brązowe spojrzenia. — Chciałbym sprawdzić kandydatów, uczestników i zwycięzców Olimpiady Matematycznej w 1952 — dodałem wśród śmiechu. — A dla pewności dorzuc może '51 i '53. Może dodajmy też jego akademickie odznaczenia. Zrobił kandydata nauk, doktorat nauk ścisłych. Wszystko, jak ona mówi. Możemy prosić również o to? Dziękuję.

Zebrawszy wszystkie zamówienia Ned rozejrzał się za Emmą, żeby odniosła formularze do Kartoteki. Ale to było za mało dla Waltera, który zapragnął nagle, żeby i jego wzięto pod uwagę, i zerwawszy się na nogi zaczepnie stanął przed biurkiem Neda w całej okazałości pięciu stóp zero cali, machając piąstkami.

— Sam się zajmę całym tym szperaniem — oznajmił tonem o wiele za wysokim, przygarniając plik różowych blankietów do piersi. — To wojna o wiele za ważna, żeby ją zostawiać tym naszym farbrowanym generałom z Kartoteki, choć może są nie do odparcia.

I jak pamiętam, zauważyłem, że mormoni nie spuszczają z niego oka aż do drzwi, a potem spoglądają jeden na drugiego, kiedy my słuchaliśmy, jak obcasiki Waltera drobiaż po korytarzu. I nie sądzę, żebym to mówił jak mądry po szkodzie, ale wiercie mi, mróz mi przeszedł po kościach na myśl o Walterze, choć nie miałem pojęcia dlaczego.

— Mały wypad na wieś — powiedział Ned przez wewnętrzny telefon godzinę później, ledwie się znalazłem z powrotem za swoim biurkiem w Kwaterze Głównej. — Powiedz Clive'owi, że jesteś mi potrzebny.

— To chyba lepiej jedź — zgodził się Clive, wciąż zamknięty ze swoimi mormonami.

Wzięliśmy szybkiego forda z garażu. Ned prowadząc zbył parę moich prób nawiązania rozmowy i zamiast tego wręczył mi akta do przejrzania. Byliśmy już w Berkshire, a on wciąż nic nie mówił. A kiedy Brock zadzwonił

na telefon w wozie i w pełnych niedomówień słowach coś mu potwierdził, burknął tylko: „To mu powiedz” — i z powrotem pogrążył się w zadumie.

Byliśmy już czterdzieści mil od Londynu, na najbrudniejszej z planet odkrytych przez człowieka. Wśród slumsów współczesnej nauki, gdzie trawniki zawsze są równo przystrzyżone. Na starych słupach bramy królowały wypukłe lwy z piaskowca. Grzeczny gość w sportowej kurtce otworzył Nedowi bramę. Jego kolega wetknął detektor pod podwozie. Grzecznie obmacali nas od stóp do głów.

— Bierzecie ze sobą teczkę, panowie?

— Tak — powiedział Ned.

— Zechce pan ją otworzyć?

— Nie.

— Najpierw ją sprawdzimy, panowie. Mam nadzieję, że nie *wywołany* film nie wchodzi w grę?

— Proszę — powiedziałem. — Niech pan sprawdza.

Patrzyliśmy, jak wpuszczają teczkę w coś, co wyglądało jak zielone wiadro na węgiel, i wyjmują.

— Dziękuję — powiedziałem zabierając teczkę.

— Nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie.

Napis na furgonetce głosił: „Jedź za mną”. Przez okratowane okno z tyłu wznosiły się na nas owczarek. Brama otwierała się elektronicznie, a za nią wznosiły się pagórki przystrzyżonej trawy jak masowe groby. Oliwkowe wydmy ciągnęły się aż po zachodzące słońce. Całkiem naturalnie wyglądałaby tu chmura w kształcie grzyba. Wjechaliśmy do parku. Na bezchmurnym niebie kołowała para sępów. Od łąk odgradzała nas wysoka druciana siatka. W sztucznych zagłębieniach tuliły się ceglane budynki bez jednego pasemka dymu. Tablica zalecała ochronne ubrania w strefach od D do K. Trupia główka ze skrzyżowanymi piszczelami ostrzegała: „Ostrzegaliśmy”. Furgonetka posuwała się w tempie konduktu. Dowlekliśmy się za zakręt i zobaczyliśmy puste korty tenisowe i aluminiowe wieże. Obok biegły gęsto ułożone kolorowe rury, prowadząc nas do grupki zielonych szop. Pośrodku, na wzgórzu, stał ostatni relikwiarz epoki przednuklearnej, berkshirski dworek z cegły i łupku z tablicą na bramie „Administracja”. Przez krzywe płyty ścieżki, potykając się, wyszedł nam na powitanie jakiś osiłek. Był w brytyjskim zielonym swetrze i krawacie w złociste rakiety do squasha, z chusteczką wsuniętą w rękaw.

— Panowie z firmy. Dobra robota. Jestem O'Mara. Który z was jest który? Kazałem mu czekać w gotowości w laboratorium, aż zagwizdzą.

— Dobra — powiedział Ned.

O'Mara miał włosy popielatoblond i bezceremonialny koszarowy głos, zachrypli od alkoholu. Szyję miał rozdętą, a jego silne palce były brązowe od nikotyny. „O'Mara trzyma tych długowłosych naukowców na baczność — powiedział mi Ned w jednym z rzadkich momentów podczas jazdy, kiedy

zamieniliśmy kilka słów. — On jest ni to personel, ni to służba bezpieczeństwa, jedno gówno".

Salon wyglądał, jakby był utrzymywany przez napoleońskich jeńców wojennych. Wypucowane były nawet cegły kominka, a cement między nimi troskliwie pociągnięty białą farbą. Siedliśmy w fotelach w deseń z róż pijąc dzin z tonikiem i mnóstwem lodu. Na połyskliwie czarnych belkach pułapu świeciły miedziane ozdobne części uprząży.

— Właśnie wróciłem ze Stanów — przypomniał O'Mara, jakby tłumacząc naszą ostatnią rozłąkę. Uniósł szklankę i schylił do niej głowę dotykając ustami w połowie drogi. — Wy, chłopcy, często tam jeździecie?

— To zależy — rzekł Ned.

— Od czasu do czasu — odpowiedziałem. — Gdy obowiązek wzywa.

— Wystaliśmy tam właśnie paru naszych tytułem pożyczki. Oklahoma. Nowada. Utah. Na ogół są dość zadowoleni. Paru nerwowo nie wytrzymało, zwiali do domu. — Pociągnął i potrwało chwilę, zanim przelknął. — Byłem w ich laboratorium broni w Livermore, w Kalifornii. Całkiem fajne. Przyzwoity dom gościnny. Forsy jak lodu. Zaprosili nas na seminarium o śmierci. Cholerna makabra, ale psycholodzy uznali chyba, że każdemu dobrze to robi, no i wina dali wspaniałe. Sam myślę, że jak się już planuje hurtowe puszczenie ludzi z dymem, lepiej wiedzieć, jak to działa. — Znów się napił, nic a nic się nie spiesząc. O tej porze szczyt wzgórze było bardzo spokojnym miejscem. — Zdziwiałem, ilu ludzi nawet się nad tym nie zastanawia. Szczególnie młodych. Starsi byli trochę wrażliwsi. Pamiętali wiek niewinności, jeżeli coś takiego istniało. Jak ktoś korkuje nagle, to tragedia, ale mniejsza, jak robi to powoli. Nigdy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Chyba nowego znaczenia nabiera wtedy fakt, że się jest w centrum wydarzeń. Ale już mamy czwartą generację. Przytępia to cierpienia. Gracie w golfa, chłopcy?

— Nie — powiedział Ned.

— Obawiam się, że nie — odpowiedziałem. — Brałem kiedyś lekcje, ale jakoś mi to nie pomogło.

— Wspaniałe korty, ale musieliśmy wynająć te cholerne wózki Nod-dy'ego. Prędzej skonom, nim mnie kto w tym zobaczy. — Znowu się napił, przestrzegając tego samego powolnego rytuału. — Wintle to dziwak — wyjaśnił po przelknięciu. — Wszyscy oni to dziwacy, ale Wintle najgorszy. Przerabiał już socjalizm, przerabiał Jezusa. Teraz się oddaje kontemplacji i Tai Chi. Dzięki Bogu żonaty. Ledwie ukończył szkołę podstawową, ale gada jak trzeba. Jeszcze trzy lata.

— Ile mu powiedziałeś? — spytał Ned.

— Im się zawsze zdaje, że są podejrzani. Powiedziałem mu, że nie jest, i kazałem trzymać ten głupi jęzor za zębami, jak będzie po wszystkim.

— I myślisz, że posłucha? — spytałem.

O'Mara pokręcił głową.

— Większość z nich nawet nie wie, jak się to robi, siekierą im nie wbijesz tego do łba.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Wintle, pięćdziesięciosiedmioletni wieczny student. Był wysoki, ale jakoś pokręcony, z kędzierzawą siwą głową sterczącą jakoś krzywo. Wyglądał na geniusza, którego błyskotliwość już wygasa. Był w pulowerze Fair Isle bez rękawów. W oksfordzkich portkach i mokasynach. Usiadł trzymając kolana razem, a szklaneczkę sherry z dała od siebie, jak chemiczną probówkę, której nie jest zbyt pewny.

Ned przybrał ton profesjonalny. Przeszły mu humory.

— Rozpracowujemy trop sowieckich naukowców — powiedział i udało mu się wygłosić to monotonna. — Przyglądamy się ich systemowi obrony. Obawiam się, że to mało seksowne.

— Aha, jesteście z wywiadu — powiedział Wintle. — Nic nie mówiłem, ale tak też myślałem.

Przyszło mi do głowy, że jest bardzo samotny.

— Gównu cię obchodzi, kim są — poradził mu O'Mara całkiem uprzejmie. — To Anglicy i mają swoje zadania tak jak i ty.

Ned wyłowił z teczki parę zapisanych kartek i podał je Wintle'owi, który odstawił szklankę, żeby je wziąć. Wyciągnął ręce jakoś tak knykциями w dół i z przygiętymi palcami, jakby prosił o uwolnienie.

— Próbuje my wycisnąć jak najwięcej z niektórych starych, nie wykorzystanych materiałów — powiedział Ned, wpadając w żargon, czego by kiedy indziej unikał. — To zapis twoich raportów po powrocie z Akademgorodka w sierpniu 1963. Pamiętasz niejakiego majora Vauxhalla? Prawdę mówiąc nie jest to żadne arcydzieło literatury, ale wspominasz tam nazwiska dwóch czy trzech sowieckich naukowców, których byśmy chcieli sprawdzić, jeśli wciąż jeszcze są w obiegu i jeśli ich pamiętasz.

Wintle, jakby chciał się osłonić przed atakiem gazowym, włożył wyjątkowo brzydkie okulary w stalowej oprawce.

— O ile ja sobie przypominam to przesłuchanie, to major Vauxhall dał mi słowo, że wszystko, co powiem, powiem wyłącznie z własnej woli i w zaufaniu — oświadczył z dydaktycznym naciskiem. — A zatem jestem bardzo zaskoczony widząc własne nazwisko i swoje słowa w ogólnie dostępnych archiwach ministerstwa całe dwadzieścia lat po fakcie.

— To największa twoja szansa na nieśmiertelność, chłopie, na twoim miejscu bym się cieszył i zamknął twarz — poradził mu O'Mara.

Wtrąciłem się jak rozjemca podczas rodzinnej sprzeczki. Może by Wintle mógł coś dodać do tego dość skąpego zapisu zrobionego, kiedy składał raport, zaproponowałem. Może by rzucił więcej światła na tego i owego z sowieckich naukowców, których nazwiska są na liście na ostatniej stronie, a przy tym dodał parę słów o drużynie z Cambridge? Może by tylko zechciał odpowiedzieć na parę pytań, co już by przechyliło szalę?

— Dziękuję, nie używałbym w tym kontekście słowa „drużyna” odparował Wintle, rzucając się na to słowo jak wygłodzony drapieżnik. -W każdym razie nie w odniesieniu do Brytyjczyków. „Drużyna” sugeruje wspólny cel. Byliśmy g r u p ą z Cambridge, owszem. Ale nie drużyną. Jedni jechali na przejażdżkę, inni po to, by zdobyć lepszą pozycję. Konkretnie mam na myśli profesora Gallowa, który miał bardzo przesadne wyobrażenie o swojej pracy nad akceleratorami, później odrzuconej. — Wymknął mu się trzymany dotąd w ryzach birminghamski akcent. — Doprawdy, niewielka mniejszość kierowała się jakimiś ideowymi motywami. Ci akurat wierzyli w naukę nie znającą granic. W swobodną wymianę wiedzy dla wspólnego dobra ludzkości.

— Wankers — przyszedł nam z pomocą O'Mara.

— Mieliśmy tam Francuzów, kupę Amerykanów, Szwedów, Holendrów, nawet jednego czy dwóch Niemców — ciągnął Wintle, nie dostrzegając uwagi O'Mary. — Wszyscy mieli według mnie widoki, a Rosjanie szczególnie. To my, Anglicy, zostawaliśmy w tyle. I zostajemy.

O'Mara jęknął i łyknął dżinu na pokrzepienie. Ale pocziwy uśmiech Neda, choć trochę już sfatygowany, zachęcił Wintle'a do kontynuowania.

— Było to w najlepszych czasach Chruszczowa, jak bez wątpienia pamiętacie. Po jednej stronie Kennedy, po drugiej Chruszczow. Niektórzy uważali, że nadchodzi złoty wiek. W tamtych czasach mówiono o Chruszczowie bardzo podobnie, jak dziś się mówi o Gorbaczowie, to pewne. Choć jedno muszę przyznać, że nasz entuzjazm wtedy był bardziej szczerzy i spon taniczny niż ten tak zwany entuzjazm dzisiaj.

O'Mara ziewnął i wlepił we mnie zbijające z tropu spojrzenie podkrążonych oczu.

— Myśmy im powiedzieli wszystko, co wiedzieliśmy. Oni zrobili to samo — mówił Wintle, przy czym jego głos nabierał pewności. — Wy głosiliśmy swoje referaty, oni swoje. Muszę powiedzieć, że Callow nic nie wskórał. Przejrzeli go w jednej chwili. Ale myśmy mieli Pansona w cyber netyce, a on wysoko trzymał nasz sztandar. No i mnie. Mój skromny wykład miał niemałe powodzenie, mówię to bez fałszywej skromności. Jeśli mam być szczerzy, od tamtej pory nie słyszałem już takich oklasków. Nie zdziwiłbym się, gdyby tam jeszcze o tym pamiętali. Bariery wałą się tak szybko, że w sali wykładowej dosłownie nie słyhać huku. Naszym sloganem było „Przepływ bez granic”. Zresztą „przepływ” też nie był odpowiednim słowem, nawet jeśli się widziało całą tę wódkę, jaka popłynęła na przyjęciach ostatniego wieczora. Albo tamte dziewczyny. Albo jeśli się słyszało to gadanie. Oczywiście, KGB słuchało. To wszystko wiedzieliśmy. Mieliśmy przed wyjazdem rozmowy przygotowawcze, choć kilku było im przeciwnych. Ale nie ja, ja jestem patriotą. Tylko że nikomu z nich ni cholera z tego nie przyszła, ani KGB, ani naszym. — Najwidoczniej wszedł na swój ulubiony temat, wyprostował się

bowiem, żeby wygłosić przygotowaną mowę. — Chciałbym dodać, że moim zdaniem, opinia o KGB jest bardzo krzywdząca. Wiem to z dobrego źródła, że sowiecka bezpieka bardzo często osłania najbardziej tolerancyjne elementy sowieckiej inteligencji.

— Jezu... nie mów mi, że nasza tego nie robi — powiedział O'Mara.

— Ponadto wcale nie wątpię, że sowieckie władze całkiem słusznie twierdziły, że we wszelkiej wymianie naukowej z Zachodem Związek Sowiecki więcej ma do zyskania niż do stracenia. — Przekrzywiona głowa Wintle'a unosiła się po kolei do każdego z nas jak semafor, a odwrócona dłonią w górę ręka gniewnie spoczywała na jego udzie. — Im też nie brak kultury. Nic takiego jak nasz podział na Sztukę i Naukę, o nie. Hodują jeszcze wciąż marzenia o renesansowym człowieku przyszłości. Ja sam nie jestem tak znów bardzo za kulturą. Nie mam czasu. Ale ci, co się nią interesowali, mieli tam wszystko. I zdaje mi się, że dość tanio. Niektóre rzeczy darmo.

Wintle odczuł potrzebę wytarcia nosa. Lecz żeby wytrzeć nos, musiał najpierw rozpostrzeć chustkę na kolanie i palcami ułożyć ją stosownie do tej operacji. Tę naturalną przerwę wykorzystał Ned.

— No, cóż. Myślę, że może byśmy się przyjrzeni temu i owemu z tych sowieckich naukowców, których nazwiska zechciał pan uprzejmie podać majorowi Vauxhallowi — podsunął, biorąc plik kartek, które mu podałem.

Doszliśmy do momentu, dla którego tu przyjechaliśmy. Przymuszam, że z nas czterech w tym pokoju tylko Wintle nie zdawał sobie z tego sprawy, gdyż poźółkłe oczy O'Mary podniosły się do twarzy Neda. Badał go z przebiegłością śledziennika.

Ned zaczął od tych, których eliminował, tak jak ja bym zrobił. Zaznaczył ich sobie na zielono. O dwóch wiadomo było, że nie żyją, trzeci popadł w niełaskę. Sprawdzał pamięć Wintle'a, przygotowując go do meritum sprawy. — Siergiej? — powtórzył Wintle. — Na Boga, ależ tak, Siergiej! Ale jakże to on się zwał? Popów? Popowicz? Ależ tak, Protopopow! Siergiej Protopo-pow, inżynier specjalista od paliw!

Ned podprowadzał go cierpliwie, trzy nazwiska, czwarte, nakierowywał jego pamięć, wprawiał ją w ruch.

— No, dobrze, pomyśl o nim chwilę, zanim powiesz „nie”. Naprawdę nie? W porządku. Spróbujmy Sawieljewa.

— Proszę powtórzyć.

Pamięć Wintle'a, zauważyłem, jak pamięć każdego Anglika, źle sobie radziła z nazwiskami Rosjan. Wolał ich imiona, które mógł zangielszczyć.

— Sawieljew — powtórzył Ned. Znów przytąpałem na nim spojrzenie O'Mary. Ned zerknął do raportu, który miał w ręku, może trochę zbyt niedbale. — Mam, Sawieljew. — Przeliterował je. — „Młody, idealista, gadatliwy, mówił o sobie, że jest humanistą. Pracował nad cząsteczkami, wychowany w Leningradzie”. To twoje słowa sprzed wieków, według majora

Vauxhalla. Mógłbym coś jeszcze dodać? Nie podtrzymujesz z nim kontaktu, na przykład. Sawieljew?

Wintle uśmiechał się zdumiony.

— Więc tak się nazywał? Sawieljew? No, niech mnie. To ten. Zapomniałem. Widzi pan, dla mnie on wciąż jest Jaków.

— Świetnie. Jaków Sawieljew. Pamiętasz jego otczestwo? Wintle pokręcił głową, wciąż uśmiechnięty.

— Co byś dodał do swojego pierwszego opisu?

Musieliśmy poczekać. Wintle miał inne poczucie czasu niż my. I sądząc po tym uśmieszku, inne poczucie humoru.

— Bardzo wrażliwy facet z tego Jakowa. Nie miał śmiałości stawiać pytań przy pełnej sali. Odczekiwał i kiedy się zebranie kończyło, pociągał człowieka za rękaw. „Przepraszam pana, ale co pan sądzi o tym lub owym?” I, uważacie, to były dobre pytania. I bardzo kulturalny człowiek, jakoby, na swój sposób. Podobno zrobił furorę na jakimś wieczorze poetyckim. I na wystawach.

Lekcja Wintle'a stawała się rozwlekła i złąkłem się, że zaczniesz zmyślać, co ludzie często robią, gdy informacje się skończyły, a oni dalej chcą brylować. Ale ku mojej uldze wygrzebywał tylko wspomnienia ze skarbownicy pamięci, czy raczej czerpał je z powietrza przygiętymi palcami.

— Wciąż się szwendął od jednej grupki do drugiej ten Jaków — powiedział z tym samym irytującym uśmiechem wyższości. — Zajmował skrajne stanowisko w dyskusjach, bardzo serio. Siadał na brzeжку krzesła. Była jakaś tajemnica dotycząca jego ojca, nigdy nie wiedziałem, o co szło. Podobno też był naukowcem, ale go rozwalili. No cóż, przecież wielu ich rozwalili, tych naukowców. Tłukli ich jak muchy. Czytałem o tym. Jeżeli ich nie zabijali, to trzymali w więzieniu. Tupolew, Petliakow, Korolew, kilku największych asów od konstrukcji samolotów najlepszych wynalazków dokonało w więzieniu. Ramzin wynalazł nowy kocioł przepływowy w więzieniu. Ich pierwszy zespół do badań nad budową rakiet powstał w więzieniu. Kierował nim Korolew.

— Niech cię cholera, dobry jesteś — powiedział O'Mara, znowu znudzony.

— Dał mi ten kamień — ciągnął Wintle.

I zobaczyłem, jak jego ręka, znów leżąca na kolanie dłonią do góry, otwiera się i zamyka wokół nie istniejącego podarunku.

— Kamień? — powtórzył Ned. — Jaków ci dał kamień? To znaczy jakąś próbkę geologiczną?

— Kiedy my, z Zachodu, wyjeżdżaliśmy z Akademgorodka — podjął Wintle, jakby dla siebie i dla nas zaczynał całkiem nową historię — ogołociliśmy się ze wszystkiego, co kto miał. Gdyby pan widział naszą grupę ostatniego dnia, toby pan nie uwierzył. Nasi rosyjscy gospodarze wyplakiwali oczy, tuląc

nas i całując, autobusy tonęły w kwiatkach, nawet Callow sobie pochlipał, jeśli może pan w to uwierzyć. A my wyładowywaliśmy wszystko, co kto miał: książki, papier, pióra, zegarki, brzytwy, pastę do zębów, nawet własne szczoteczki do zębów. Płyty— kto je przywiózł. Bieliznę na zmianę, krawaty, buty, koszule, skarpety, wszystko poza tym minimum potrzebnym dla zachowania przyzwoitości w drodze powrotnej. Nie chodzi o to, żebyśmy tak się umówili. Nawet się o tym nie dyskutowało. To się stało spontanicznie. Byli tacy, co zrobili więcej, oczywiście. Szczególnie Amerykanie, oni są impulsywni. Słyszałem o facecie, który zaproponował małżeństwo z rozsądku dziewczynie, która za wszelką cenę chciała wyjechać. Ja tego nie zrobiłem. Nie *mógibyśmy*, jestem patriotą.

— Ale podarował pan jakieś swoje rzeczy Jakowowi — podsunął Ned udając, że pracowicie zapisuje coś w notesie.

— Zacząłem, tak. To trochę tak jak karmienie wróbla w parku, tak samo się rozdaje swoje skarby. Wybiera się tego, kto nic nie dostał, i człowiek stara mu się to wynagrodzić. Poza tym do tego młodego Jakowa czułem sympatię, był taki uduchowiony.

Jego dłoń zastygła na jakimś nie istniejącym przedmiocie, palce próbowały się złączyć. Druga dłoń uniosła się do czoła i przyszczyptała spory kawałek ciała.

— „Masz, Jaków — powiedziałem. — Nie chowaj się z tyłu. Sam sobie szkodzisz tą swoją nieśmiałością”. Miałem wtedy elektryczną maszynkę do golenia, plus baterie, transformatorek, wszystko w ładnym etui. Ale nie zdaje mi się, żeby to dobrze przyjęła. Jakoś tak to odsunął i nie odchodzi. Wtedy zrozumiałem, że chce coś podarować mnie. I to był właśnie ten kamień owinięty w gazetę. Oczywiście, nie mają żadnych przyzwoitych opakowań. „To kawałek mojej ziemi — powiada. — W po dziękowaniu za pański wykład” — powiada. Chciał, żebym zawsze kochał to, co w jego ojczyźnie jest dobrego, choćby się z zewnątrz wydawała nie wiem jaka zła. Niech pan pamięta, że mówił bardzo piękną angielszczyzną, dużo lepiej niż połowa z nas. Byłem trochę skrępowany, szczerze mówiąc, jeśli chce pan wiedzieć. Trzymałem ten kamień przez długie lata. Potem żona go wyrzuciła robiąc kiedyś wiosenne porządki. Czasem myślałem o tym, żeby do niego napisać, nigdy tego nie zrobiłem. Wie pan, był na swój sposób arogancki. No, wielu z nich jest takich. Powiedziałbym, że i *my*, na *nasz* sposób, też byliśmy aroganccy. Zdawało nam się, że nauka mogłaby zapanować nad światem. I chyba nawet teraz panuje, choć nie tak, jak miała, to pewne.

— Pisał do ciebie? — zapytał Ned.

Wintle długo się nad tym zastanawiał.

— Nigdy się tego nie wie, no nie? Nigdy nie wiadomo, co zatrzymano na poczcie. Albo kto to zatrzymał.

Podałem Nedowi z teczki plik zdjęć. Ned przekazał je Wintle'owi: O'Mara się przyglądał. Wintle przerzucił je i nagle zawołał:

— To on! Jaków! Facet, który dał mi ten kamień! — Wcisnął zdjęcie z powrotem Nedowi. — Niech pan sam zobaczy! Niech pan spojrzy na te oczy! I niech mi pan powie, czy to nie marzyciel!

Wycięty z wieczornej gazety leningradzkiej z datą 5 stycznia 1954 roku i odtworzony przez Sekcję Fotograficzną Jaków Jefremowicz Sawieljew jako genialny nastolatek.

Mieliśmy jeszcze inne nazwiska i Ned mozolnie przeleciał je wszystkie z Wintle'em, naprowadzając go na fałszywe ślady i zacierając poszlaki, dopóki nie nabrał pewności, że w pamięci Wintle'a Sawieljew nie ma większego znaczenia niż inni.

— Sprytnieś zrobił chowając tego asa w blokach — zauważył O'Mara, kiedy ze szklaneczką w ręku odprowadzał nas na podjazd do wozu. — Ostatni raz słyszałem o Sawiejewie, jak kierował wyrzutnią doświadczalną gdzieś w zapadłym Kazachstanie i marzył o sposobach odczytywania własnej telemetrii tak, żeby nikt inny nie czytał mu przez ramię. Co szykuje teraz? Wyprzedaje interes?

Nieczęsto praca sprawia mi przyjemność, ale to spotkanie i to miejsce przypawiło mnie o młodość, a przede wszystkim O'Mara. Nieczęsto też się zdarza, żebym złapał kogoś za rękę i musiał się cofnąć, i popuścić.

— Zakładam, że podpisał pan deklarację o zachowaniu urzędowej tajemnicy? — spytałem go dosyć spokojnie.

— Właściwie sam to świństwo napisałem — odpalił O'Mara, bardzo zaskoczony.

— No, to pan wie, że wszystkie informacje, jakie wpłyną do pana drogą oficjalną, i wszelkie wnioski wynikające z tych informacji są niezbywalną własnością Korony. — Jeszcze jedno karykaturalne wynaturzenie prawa, ale trudno. Zwolniłem go. — Więc jeśli lubi pan tę pracę tutaj, liczy na awans i czeka na pensję, radzę panu wymazać z myśli to spotkanie i wszystkie związane z nim nazwiska. Dziękuję za dżin. Do widzenia.

Wracając z potwierdzoną identyfikacją Niebieskiego Ptaka, uprzedziwszy telefonicznie umówionym szyfrem Naszą Rosję, Ned siedział pogrążony w myślach. Kiedy jednak dojechaliśmy do Victoria Street, nagle postanowił nie dać mi odejść.

— Bądź w pobliżu — rozkazał i schodząc do suterenu puścił mnie przodem.

Na pierwszy rzut oka w pokoju sytuacyjnym panowała czysta radość. Ośrodkiem uwagi był Walter w pozie artysty przed rysownicą tych rozmiarów co on sam, kreślący różnokolorowymi kredkami szczegóły z życia Sawieljewa.

Nie mógłby wyglądać szykowniej, gdyby włożył kapelusz z szerokim rondem i kitel. Dopiero kiedy lepiej się przyjrzałem, przypomniałem sobie własne przecucia z rana.

Wokół niego, to znaczy za nim, bo rysownica oparta była o ścianę pod zegarami, stali Brock, Bob i Jack, nasz szyfrant, dziewczyna Neda Emma i starsza urzędniczka Pat, jeden z filarów sowieckiej kartoteki. Trzymali kieliszki szampana i każdy na swój sposób się uśmiechał, choć uśmiech Boba przypominał raczej grymas tłumionego bólu.

— Samotny decydent — deklamował rapsodycznie Walter. Zamarł na moment, kiedy nas usłyszał, ale nie odwrócił głowy. — Sukces w wieku pięćdziesięciu lat, na półmetku zaczyna od nowa w obliczu śmierci i zmar nowanego życia. Ba, czyż to nie problem każdego z nas?

Odstąpił do tyłu. Potem doskoczył i dopisał kredą datę. Potem łyknął szampana. Było w nim coś upiornego i przerażającego, jak makijaż na konającym.

— Całe dorosłe życie spędził w ich tajnym centrum — ciągnął wesoło. — Ale z mordą na kłódkę. Podejmował decyzje samotnie i na oślep. Wypinając się na historię, choć nadstawiał własny kark, za co na pewno mu się dostanie. — Następna data i słowo OLIMPIADA. — Dobry rocznik. Gdyby był trochę młodszy, miałby już wyprany mózg. Trochę starszy już by szukał synekury dla pierdołów.

Wypił, wciąż plecami odwrócony do nas. Zerknąłem na Boba szukając oświecenia, ale on badawczo wpatrywał się w podłogę. Spojrzałem na Neda. Jego oczy spoczywały na Walterze, ale twarz była bez wyrazu. Znów spojrzał na Waltera i zauważyłem, że łapie oddech wyzywającymi sapanieściami.

— Ja go wynalazłem, to pewne — oświadczył, na pozór nieświadomy tego, że otacza go niepokój. — Od lat zapowiadałem jego przyjście. — Zapisał słowa OJCIEC ROZSTRZELANY. — Nawet po tym, jak go zwerbowali, jak się biedactwo starał być dobry. Nie wtykał nosa, gdzie nie trzeba. Nie czuł urazy. Miał swoje wątpliwości, ale jak na naukowca, był dobrym żołnierzem. Aż pewnego dnia: koniec! Budzi się i odkrywa, że to wszystko kupa szmelcu i że marnował własny geniusz dla zgrai niekompetentnych gangsterów, a ponadto doprowadził świat na skraj ruiny. — Pot ściekał mu po skroniach, a on pisał zamaszystymi krechami: PRACOWAŁ POD ROGOWEM NA STA CJI DOŚWIADCZALNEJ 109 W KAZACHSTANIE. — Sam o tym nie wiedząc przyłącza się do wielkiej rosyjskiej rewolucji męskiego klimakterium lat osiem dziesiątych. Zaznał wszystkich łgarstw, czasy Stalina, przebłyski światła za Chruszczowa i długa noc Breżniewa. Ale zachował się w nim jeszcze jeden ostatni nabój, ostatnia szansa w menopauzie, by odcisnąć swój ślad na obliczu świata. I brzęczą mu w uszach nowe hasła: rewolucja, odgórna, głośność, pokój, zmiana, odwaga, pierestrojka. Nawet się go z a c h e c a do buntu.

Pisał szybciej niż kiedykolwiek, mimo zadyszki: TELEMETRIA, DOKŁADNOŚĆ.

— Gdzie spadną? — pytał retorycznie z trudem łapiąc oddech. — Jak blisko, ile ich i do ilu celów kiedy trafi? Jaka jest rozciągliwość i temperatura powłoki? Jak oddziałła siła ciężenia? To pytania zasadnicze i Niebieski Ptak zna na nie odpowiedzi. On wie, bo on odpowiada za to, by te pociski zmusić do mówienia, kiedy wylatują... poza zasięgiem słuchu Amerykanów, co już jest dziełem jego sztuki. Ponieważ on wynalazł system kodowania, który omija amerykański supernasłuch w Turcji i Chinach kontynentalnych. On widzi wszystkie odpowiedzi przed zaszyfrowaniem, zanim je Brat Rogów spreparuje dla swoich panów i władców w Moskwie. Bo to jest specjalność Rogowa według Niebieskiego Ptaka. „Profesor Witalij Rogów to parszywa liźdupa”, pisze nam w zeszycie numer dwa. Śluszna ocena. Taki właśnie jest Witalij Rogów. Sprawdzona, płatna, cholerna liźdupa bez własnego zdania, odpowiadająca normom, godna medali i swoich przywilejów. Kogo nam to przypomina? Nikogo. Z pewnością nie naszego drogiego Clive'a. Więc Niebieski Ptak ma dość. Zwierza się ze swej udręki Katii, a Katia mówi: „Zamiast jęczeć, zrób coś”. I on, do cholery, robi. Przekazuje nam wszystko, co do najmniejszego szczegółu, jaki mu wpadnie w ręce. Klejnot koronny do kwadratu i do sześciangu. Rozszyfrowane szyfry. Telemetria en clair. Klucze do szyfrów wstecz, żebyśmy mogli sami sprawdzić. Odpluskwioną najprawdziwszą prawdę, zanim ją przemaalują na użytek Moskwy. W porządku, jest stuknięty, ale kto nie jest z tych, co się w ogóle liczą? — Przełknął ostatni łyk z kieliszka i ujrzałem pośrodku jego twarzy purpurową ranę bólu, zażenowania i oburzenia. — Życie to fuszerka — wyjaśnił wciskając mi kieliszek do ręki. Nim się połapałem, wymknął się obok nas na schody i usłyszeliśmy, jak po kolei stalowe drzwi się otwierają i zatrząskują, zanim wyszedł na ulicę.

— Walter był ciężarem — krótko wyjaśnił mi Clive na drugi dzień rano, kiedy otwarcie stawiałem mu czoło. —■ Dla nas może był tylko ekscentrykiem. Ale dla innych... — Nie pamiętam, żeby się kiedykolwiek wyraźniej przyznał, że istnieje coś takiego jak seks. Szybko sam siebie ocenzurował. — Oddałem go do Sekcji Szkoleniowej — podjął swoim najchłodniejszym tonem. — Zbyt wiele osób po obu stronach wprawiał w zdumienie.

Miał na myśli na obu brzegach Atlantyku.

A więc Walter, ten cudowny Walter, zniknął, i miałem rację, nigdy już nie zobaczyliśmy mormonów i Clive ani razu o nich nie wspomniał. Byli tylko wysłańcami Langley czy też wydali werdykt i wykonali wyrok? Czy w ogóle byli z Langley, czy z któregoś z tych wyrastających jak grzyby po deszczu zlepków dużych liter, przeciw którym Ned tak protestował, kiedy narzekał wobec Clive'a na listę odbiorców materiału dotyczącego Niebieskiego Ptaka?

A może największą z ulubionych antypatii Neda: nieszkodliwymi psychiatrami?

Kimkolwiek byli, ich wpływ odczuła cała Nasza Rosja, a nieobecność Waltera ziała jak lej po pocisku z działa naszego najlepszego sprzymierzeńca. Bob to wyczuł i wstydził się. Nawet gruboskórny Johnny wciąż był skrępowany.

— Chciałbym cię mieć bliżej tej operacji — powiedział Ned.

Wydało mi się to nędną pociechą po zniknięciu Waltera.

— Znów jesteś zdenerwowany — powiedziała Hanna, kiedy szliśmy razem.

To było w przerwie na lunch. Jej biuro znajdowało się w pobliżu Regent's Parku. Czasami w ciepłe dni jedliśmy tu razem kanapki. Czasem wpadaliśmy nawet do zoo. Czasami dawała spokój Instytutowi Onkologicznemu i łądownaliśmy w łóżku.

Pytałem ją o męża, Dereka. Był jednym z naszych wspólnych tematów. Czy Derek znów się wściekł? Zbił ją? Niekiedy, w czasach, gdy byliśmy regularnymi kochankami, myślałem, że to Derek trzyma nas razem. Ale dziś nie chciała mówić o Dereku. Chciała wiedzieć, dlaczego jestem zdenerwowany.

— Wyrzucili człowieka, którego dość lubiłem — powiedziałem. — No, nie wywalili na bruk, tylko na śmietnik.

— Co zrobił?

— Nic a nic. Postanowili spojrzeć na niego pod innym kątem.

— Dlaczego?

— Bo tak im pasowało. Przestali go tolerować, bo tego wymagały inne względy.

Pomyślała nad tym.

— Chcesz powiedzieć, że ustąpili przed konwencjami — podpowiedziała. Jak ty, mówiła, jak my.

Dlaczego ciągle do niej wracam, zastanawiałem się. Jakbym wracał na miejsce zbrodni. Szukać po raz tysięczny rozgrzeszenia? A może odwiedzam ją, jak się odwiedza dawną szkołę, żeby zrozumieć, co się stało z naszą młodością?

Hanna jest wciąż piękną kobietą, i to pocieszające. Jeszcze jej daleko do siwizny i otyłości. Kiedy zobaczę jej twarz oświetloną od tyłu, kiedy mi błysnie jej dzielny, wrażliwy uśmiech, widzę ją tak, jak ją widziałem dwadzieścia lat temu, i powtarzam sobie, że ostatecznie nie zmarnowałem jej życia. Wygląda dobrze. Tylko spójrz. Jest uśmiechnięta i nie zniszczona. To Derek nią pomiata, nie ty.

Ale nigdy nie mam pewności. Za grosz.

Brytyjska flaga, która do takiej wściekłości doprowadzała Stalina, kiedy ją oglądał z murów Kremla, smętnie zwisała z masztu na dziedzińcu Ambasady Brytyjskiej. Kremowy pałac w głębi przypominał stary tort weselny czekający na pokrajanie, rzeka przycisnęła się potulnie, nadstawiając oleisty grzbiet pod chłostę rannej ulewy. Przy żelaznej bramie dwóch rosyjskich milicjantów studiowało paszport Barleya, podczas gdy atrament rozmazywał się na deszczu. Młodszy przepisał jego nazwisko. Starszy podejrzliwie porównał jego pobrużdżoną twarz z fotografią. Barley był w mokrym brązowym płaszczu przeciwdeszczowym. Włosy przylepiły mu się do czaszki. Wyglądał na trochę niższego niż zawsze.

— Doprawdy, co za dzień! — zawołała dobrze wychowana dziewczyna w plisowanej spódnicy w kratę, czekająca w hallu. — Halo, jestem Felicity. Pan jest tym, o kim myślę, prawda? Śmiesznie mokry Scott Blair? Radca handlowy oczekuje pana.

— Myślałem, że ludzie z ekonomicznego są w innym budynku.

— Ale to jest handlowy. To zupełnie co innego.

Barley wszedł za kołyszącym się tyłeczkiem na staroświeckie schody. Jak zawsze, kiedy wchodził do którejś z brytyjskich misji, ogarnęło go poczucie przemieszczenia, ale tego ranka było ono absolutne. Dosłyszał fałszywe pogwizdywanie chłopca rozwożącego lokalną gazetę w domu, w Hampstead. Szurgot i łomotanie froterki — to furgonetka spółdzielni mleczarskiej. Była ósma rano, biurowa Anglia jeszcze oficjalnie nie wstała. Radca handlowy był krępy młodym Szkotem o siwych włosach. Nazywał się Craig.

— Pan Blair! Witam pana! Proszę usiąść. Herbata czy kawa? Obawiam się, że się nie różnią smakiem, ale się staramy. Stopniowo, stopniowo osiągniemy swoje.

Porwawszy nieprzemakalny płaszcz Barleya wbił go na wieszak Ministerstwa Pracy. Fotografia w ramce nad biurkiem przedstawiała królową w stroju do konnej jazdy. Napis obok ostrzegał, że w tym pokoju nie można bezpiecznie rozmawiać. Felicity wniosła herbatę i herbatniki Garibaldi. Craig gadał jak najęty, jakby się nie mógł doczekać, kiedy zrzuci z serca swoją nowinę. Czerwona twarz lśniła mu po goleniu.

— Ach, słyszę, że się pan spotkał z fantastycznymi wykrętami tych bandytów z WAAP-u! Czy to, co mówią, trzyma się kupy? Robi pan jakieś postępy, czy sypią panu piaskiem w oczy, jak to zwykle w Moskwie? Widzi pan, tu się tylko pozoruje pracę. A już zupełnie rzadko dochodzi do prawdziwej transakcji. Motyw działania taki jak zysk czy pilność jest im nie znany. Wszystko to zbieranie punktów jak w harcerstwie. Nieprawdopodobne sprzeczanie, zawsze powtarzam, nieuleczalnego próżniactwa z nieosiągalnymi marzeniami. Niedawno ambasador w depeszy zacytował mnie dosłownie. Niko mu się nie daje wiary i nikt jej nie żąda. Jak oni w ogóle sobie radzą, pytam pana, z gospodarką opartą na lenistwie, układach plemiennych i ukrytym

bezrobociu? Odpowiedź brzmi: wcale sobie nie radzą! Kiedy wreszcie się wyzwolą? I co się wtedy stanie? Odpowiedź: Bóg jeden wie. Widzę świat tutaj jako mikrokosmos stworzony wyłącznie dla ich dylematu, wie pan, co mam na myśli?

Grzmiał dalej, dopóki nie stwierdził, że się już wywiązał wobec Barleya i mikrofonów.

— No, doprawdy, ta nasza tutaj ranna pogawędka była dla mnie prawdziwą przyjemnością. Dostarczył mi pan mnóstwo materiału do przemyśleń, muszę przyznać. Poważnym zagrożeniem dla naszej pracy jest odcięcie od tutejszych źródeł. Pozwoli pan, że pana trochę oprowadzę? Nasi nigdy by mi nie wybaczyli, gdybym tego nie zrobił.

Z rozkazującym skinieniem głowy poprowadził korytarzem do metalowych drzwi z wyszczerzonym judaszem. Kiedy stanęli przed nimi, drzwi się otworzyły, a kiedy Barley wszedł, zamknęły.

Twój łącznik to Craig, powiedział Ned, jest nie do wytrzymania, ale cię skontaktuje z szefem.

Pierwszym wrażeniem Barleya było, że się znalazł w przyciemnionym pokoju szpitalnym, drugim, że ten pokój to sauna, jedyne bowiem światło wydobywało się z kąta podłogi i w pokoju pachniało żywicą. Potem stwierdził, że ta sauna wisi w powietrzu, wyczuł bowiem kołysanie się podłogi.

Usadowiwszy się na chwiejnym składanym krześle rozróżnił dwie postacie za stołem. Nad pierwszą wisiał zwijający się plakat z angielskim Beefeaterem broniącym mostu Londyńskiego. Nad drugą jezioro Windermere o zachodzie słońca, w wydaniu Brytyjskich Kolei.

— Brawo, Barley! — wykrzyknął krzepki rodzimy głos spod Beefeatera, niewiele różniący się od głosu Neda. — Na imię mi Paddy, skrót ód Patryka, a ten tu jegomość to Cy. Amerykanin.

— Hey, Barley — powiedział Cy.

— Jesteśmy tutejszymi chłopcami na posyłki — wyjaśnił Paddy. — Naturalnie mamy dość ograniczone możliwości. Głównym naszym zadaniem jest dostarczanie cameli i ciepłych posiłków. Masz od Neda serdeczne pozdrowienia. I od Clive'a. Gdyby nie byli tacy spaleni, przybyliby tu gryźć paznokcie razem z nami. Ryzyko zawodowe. Obawiam się, że wszystkich nas to czeka.

Kiedy mówił, słabe światło wydobyło go z mroku. Cały był kudłaty, ale zwinny, miał krzaczaste brwi i zapatrzone w dal oczy odkrywcy. Cy był gładki i obyty, i kilkanaście lat młodszy. Ich cztery ręce leżały na planie ulic Leningradu. Mankiety koszuli Paddy'ego były wystrzępione. Mankiety Cy'ego — non-iron.

— Mam cię przy okazji spytać, czy chcesz ciągnąć to dalej — powiedział

Paddy, jakby to był dobry dowcip. — Jeżeli chcesz zrezygnować, twoje dobre prawo i nie będziemy chować urazy. Rezygnujesz? No, mów.

— Zapadny mnie zamorduje — mruknął Barley.

— A to dlaczego?

— Jestem jego gościem. On za mnie płaci i zatwierdza mój program. — Uniósł dłoń do czoła i podrapał się, jakby przywracając kontakt z własnymi szarymi komórkami. — Co mu powiem? Nie mogę tak po prostu się zwinąć i do widzenia, jadę do Leningradu. Pomyśli, że mam świra.

— Ale powiadasz do Leningradu, nie do Londynu? — uściślił dosyć grzecznie Paddy.

— Nie mam wizy. Mam moskiewską, nie mam do Leningradu.

— Ale załóżmy. Następna dłuższa pauza.

— Muszę z nim pogadać — stwierdził Barley, jakby to było wytłumaczenie.

— Z Zapadnym?

— Z Goethem. Muszę z nim pogadać.

Barley z nawyku przeciągnął wierzchem dłoni po ustach i przyjrzał jej się, jakby się spodziewał, że będzie zakrwawiona.

— Jemu nie będę kłamał — mruknął.

— Nie ma mowy o żadnym kłamstwie. Ned nie potrzebuje kręactw, tylko partnerstwa.

— To się odnosi i do nas — wtrącił Cy.

— Nie będę z nim kręcił. Będę mówił szczerze albo wcale.

— Ned inaczej by sobie nie życzył — powiedział Paddy. — Chcemy mu dać wszystko, czego potrzebuje.

— My też — powiedział Cy.

— Towarzystwo Potomak-Boston, Barley, twój nowy amerykański partner — podsunął ożywionym głosem Paddy, zerkając w dokument, który miał przed sobą. — Szefem ich przedsięwzięć wydawniczych jest niejaki pan Henziger, zgadza się?

— J.P. — dodał Barley.

— Widziałeś go kiedy?

Barley pokręcił głową i skrzywił się.

— Nazwisko na umowie — powiedział.

— Bliżej go nie poznałeś?

— Parę razy rozmawialiśmy przez telefon. Ned uznał, że trzeba, żeby nas słyszano na linii transatlantyckiej. Dla zachowania pozorów.

— Ale poza tym go nie pamiętasz? Masz jakiś portret pamięciowy? — Paddy wymuszał jasne odpowiedzi, nawet za cenę wyjścia na pedanta. — Dla ciebie to nikt konkretny?

— Nazwisko z forszą i biurem w Bostonie, i głos w telefonie. Nigdy nie był niczym więcej.

— A w rozmowach z miejscową trzecią stroną, powiedzmy z Zapadnym, nie jawi ci się J.P. Henziger jako swego rodzaju postrach? Nie przypisałeś mu przypadkiem sztucznej brody albo drewnianej nogi czy jakiegoś bulwer sującego życia seksualnego? Nic, co można by brać pod uwagę, gdyby się go chciało oblec w konkretne kształty?

Barley zastanowił się nad tym pytaniem, ale jakoś jego sens mu się wymykał.

— Nie? — spytał Paddy.

— Nie — odpowiedział Barley i znów, nie wiedząc, co o tym myśleć, pokręcił głową.

— A więc mogłaby powstać taka sytuacja — powiedział Paddy — że pan J.P. Henziger z Potomak-Boston, młody, dynamiczny, bez skrupułów, pojechał na urlop do Europy z żoną. Akurat sezon. Są w tej chwili powiedzmy w hotelu „Marski” w Helsinkach. Znasz „Marski”?

— Piłem tam — powiedział Barley, jakby się tego wstydził.

— I pod wpływem chwili, jak to Amerykanom, Henzigerom strzeliło do głowy, żeby wpaść do Leningradu. Twoja kolej, Cy.

Cy odblokował uśmiech i włączył się posłusznie. Miał ostrą twarz, kiedy się ożywiła, i inteligentny, choć kostyczny sposób mówienia.

— Henzigerowie jadą na trzydniową wycieczkę z przewodnikiem, Barley. Wiza na granicy fińskiej, przewodnik, cały autokar. To otwarci ludzie, przy zwoici. Są w Rosji i to ich pierwszy pobyt. W domu, w Bostonie, głośność to ostatni krzyk mody. Zainwestował w ciebie forszę. Wiedząc, że ją wydajesz w Moskwie, wymaga, żebyś wszystko rzucił, leciał do Leningradu, nosił za nim walizki i zdał sprawę z postępu interesów. Tak się normalnie robi, to typowe dla młodego bonzy. Masz jakiś problem? Coś ci w tym nie pasuje?

Barleyowi przejaśniało w głowie, lepiej też widział.

— Owszem, pasuje. Mogę to rozegrać, jak ty możesz.

— Pierwsza rzecz to dziś rano według czasu brytyjskiego J.P. dzwoni do ciebie, do twojego londyńskiego biura z „Marskiego”, i trafia na twoją elektroniczną sekretarkę — ciągnął Cy. — J.P. nie gada z magnetofonem. Godzinę później wysłał do ciebie teleks na ręce Zapadnego w WAAP-ie, z kopią do Craiga tu, w ambasadzie w Moskwie, z poleceniem, żebyś się spotkał z nim w ten piątek w hotelu „Europejskim” alias „Europa” w Leningradzie, to znaczy tam, gdzie się zatrzymuje jego grupa turystyczna. Zapadny będzie się wykręcał, podniesie lament. Ale ponieważ wydajesz gotówkę J.P., według naszych przewidywań Zapadny nie będzie miał innego wyjścia, jak ulec prawom rynku. Kapujesz?

— Tak — powiedział Barley.

Teraz znów Paddy przejął tę historyjkę.

— Jeżeli ma za grosz rozsądku, pomoże ci zamienić wizę. Jak się zaprze, Wicklow może ją przeszmułować do OWIR-u, a tam ją zmienia na po-

czekaniu. Nie będziesz z tego robił wielkiej sprawy z Zapadnym, według nas. Nie będziesz się poniżał ani przepraszał, nie wobec Zapadnego. Rozegrasz to na swoją korzyść. Powiesz mu, że dziś obowiązuje tempo jak na autostradzie.

— J.P. to człowiek rodzinny — powiedział Cy. — To przyzwoity oficer. Tak samo jego żona.

Nagle urwał.

Barley, jak sędzia liniowy, który dostrzegł faula, wyrzucił rękę w górę i wymierzył ją prosto w pierś Paddy'ego.

— Czekaćcie no, wy dwaj! Stop. Chwileczkę! Na co się nam oboje zdadzą, choćby byli nie wiem jak przyzwoici, jeżdżąc po Leningradzie cały dzień zamknięci w tym cholernym autokarze?

Paddy'emu trzeba było tylko chwili, żeby się pozbierać po tym nieoczekiwanym ataku.

— Ty mu powiedz, Cy — polecił.

— Po przybyciu w czwartek do hotelu „Europa”, Barley, pani Henziger dostanie poważnego leningradzkiego bólu brzucha. J.P. nie będzie miał ochoty na zwiedzenie mając żonę w łóżku, chorą na sraczkę. Zostanie z nią w hotelu. Bez problemu.

Paddy postawił lampę i transformatorek przy planie Leningradu z trzema podanymi przez Katię adresami obwiedzionymi czerwonym kółkiem.

Było już późne popołudnie, zanim Barley do niej zadzwonił, mniej więcej w porze, kiedy według jego wyliczeń zamykała w szafie spinacze do papieru. Uciał sobie drzemkę, po czym, żeby przyjść do siebie, wypił parę szkockich. Kiedy jednak zaczął rozmawiać, stwierdził, że mówi za głośno, musiał ściszyć głos.

— Halo! Wróciła pani bezpiecznie? — zapytał zupełnie obcym sobie głosem. — Trolejbus się nie zmienił w dynię ani nic takiego?

— Dziękuję, bez problemu.

— Wspaniale. No, dzwonię tylko, żeby się dowiedzieć. Tak. I podziękować za cudowny wieczór. Mhmmh. No, to na razie do widzenia.

— I ja dziękuję. To było owocne.

— Widzi pani, liczyłem na to, że może się jeszcze będziemy mieli okazję spotkać. Kłopot w tym, że muszę jechać do Leningradu. Taka głupia sprawa do załatwienia, ale musiałem zmienić plany.

Przedłużająca się cisza.

— No, to musi pan usiąść — powiedziała.

Barley zaczął się zastanawiać, które z nich zwariowało.

— Dlaczego?

— Mamy taki zwyczaj, że jak ktoś się wybiera w dłuższą podróż, to musi usiąść. Siedzi pan w tej chwili?

Słyszał w jej głosie radość, co i jego uradowało.

— Właściwie leżę. To wystarczy?

— O tym nie słyszałam. Powinno się usiąść na bagażach albo na ławce, trochę powzdychać, a potem się przeżegnać. Ale przypuszczam, że położenie się będzie miało ten sam skutek.

— Ma.

— Wraca pan do Moskwy z Leningradu?

— No, nie tym razem. Myślę, że polecimy prosto do szkoły.

— Szkoły?

— Do Anglii. To taki mój głupi żart.

— A co to ma znaczyć?

— Obowiązki. Niedojrzałość. Głupotę. Normalne angielskie wady.

— Ma pan wiele obowiązków?

— Całe kufry. Ale się uczę w nich przebierać. Właśnie wczoraj powiedziałem „nie” i zadziwiłem wszystkich.

— Dlaczego musiał pan powiedzieć „nie”? Dlaczego nie „tak”? Może by ich pan bardziej zadziwił?

— No właśnie, na tym polegał cały kłopot wczoraj wieczorem. Nie zdołałem jakoś opowiedzieć o sobie. Mówiliśmy o pani, o wielkich poetach wszystkich epok, o panu Gorbaczowie, o wydawnictwie. Ale pominęliśmy główny temat. Mnie. Muszę specjalnie tu przyjechać tylko po to, żeby panią zanudzić.

— Jestem pewna, że mnie pan nie zanudzi.

— Może jest coś, co mógłbym pani przywieźć?

— Słucham?

— Jak przyjadę następnym razem. Ma pani jakieś szczególne życzenia? Elektryczną szczoteczkę do zębów? Papiloty? Więcej Jane Austen?

Długa cudowna pauza.

— Życzę panu szczęśliwej podróży, Barley — powiedziała.

Ostatni lunch z Zapadnym był stypą bez nieboszczyka. W czternastu, sami mężczyźni, siedzieli w olbrzymiej restauracji na piętrze nowego nie wykończonego jeszcze hotelu. Kelnerzy wnosili dania i znikali w odległym zapleczu. Żeby ich odnaleźć, Zapadny musiał wysłać zwiady. Nie było nic do picia i praktycznie żadnej rozmowy, zanim Barley z Zapadnym sami jej nie wyczarowali. Muzyka z puszki z lat pięćdziesiątych. Straszliwy łomot.

— Urządziliśmy na twoją cześć wielkie przyjęcie, Barley — zapowiedział Zapadny. — Wasilij przynosi swoje bębny, Wiktor ci pożyczy saksofon, a mój przyjaciel, który pędzi samogon, obiecał sześć butelek; będzie paru zwariowanych malarzy i pisarzy. Znosi się na naprawdę skandaliczny wieczór i masz

cały weekend, żeby się pozbierać. Wyślij do diabła tego gnojka z amerykańskiego Potomaku. Nie podobasz nam się taki poważny.

— Nasi magnaci to odpowiednicy waszych biurokratów, Alik. Lekceważymy ich na własną zgubę. Jak wy swoich.

Uśmiech Zapadnego nie był ani serdeczny, ani wybaczący.

— Już nawet myśleliśmy, żeś może stracił głowę dla jednej z naszych moskiewskich piękności. Czy urzekająca Katia nie mogłaby cię namówić, żebyś został?

— Kto to jest Katia? — usłyszał sam siebie Barley, jeszcze zdumiony, że sufit nie spadł mu na głowę.

Wokół stołu rozległ się szmerek ożywionego rozbawienia.

— Tu jest Moskwa, Barley — uświadomił mu Zapadny, bardzo z siebie zadowolony. — Nic się nie dzieje, żeby coś się nie działo. Inteligencja jest nieliczna i wszyscy jesteśmy goli, a miejscowe telefony są darmowe. Nie da się zjeść obiadu z Katią Orłowa w przytulnej i dość zwariowanej restauracji, żeby przynajmniej piętnastu z nas nazajutrz rano się o tym nie dowiedziało.

— To były sprawy ściśle urzędowe — powiedział Barley.

— To dlaczego nie wzięłeś ze sobą pana Wicklowa?

— O wiele za młody — odparł Barley i zaliczył nowy wybuch rosyjskiej radości.

Sliping do Leningradu tradycyjnie wyjeżdża z Moskwy parę minut przed północą, żeby mrowiu rosyjskich urzędników zapewnić prawo do diet podróźnych na dodatkowy dzień. W przedziale były cztery łóżka i Wicklow z Barleyem zajęli dwa dolne, dopóki jakaś blondyna wagi ciężkiej nie wymusiła na Barleyu zamiany. Czwarte zajął spokojny, zamożnie wyglądający pan, który mówił elegancką angielszczyzną i zachowywał się, jakby poniósł osobistą stratę. Najpierw występował w ciemnym dostojnym garniturze, potem w pidżamie w jaskrawe paski, jakiej by się nie powstydział kłown, choć ze zmianą kostiumu nastrój mu się nie poprawił. Zaczęło się dopiero, kiedy blondyna oświadczyła, że nie zdejmie nawet kapelusza, dopóki trzej panowie nie wyjdą na korytarz. Harmonia powróciła, gdy wezwała ich z powrotem przebrana w różowy dres z pomponami na ramionach, i z wdzięczności za ich galanterię nakarmiła wszystkich pasztecikami własnej roboty. A gdy Barley wydobyl whisky, tak jej zaimponował, że musieli zjeść również jej kiełbasę, i raz po raz nalegała, by wypili zdrowie pani Thatcher.

— Skąd pan jest? — zapytał smutny pan nad przejściem między łóżkami, kiedy się kładli spać.

— Z Londynu — odrzekł Barley.

— Z Londynu w Anglii. Nie z Księżyca, nie z gwiazd, z Londynu w Anglii — potwierdził i w przeciwieństwie do Barleya chyba zaraz usnął.

Dopiero parę godzin później, kiedy wjechali na jakąś stację, podjął rozmowę. — Wie pan, gdzie jesteśmy teraz? — spytał nie troszcząc się, by sprawdzić, czy Barley nie śpi.

— Chyba nie.

— Gdyby dziś w nocy podróżowała z nami Anna Karenina i gdyby była przy zdrowych zmysłach, tu, w tej miejscowości porzuciłaby tego gburę Wrońskiego.

— Cudowne — rzekł Barley, zupełnie nie wiedząc, co myśleć. Jego whisky się wyczerpała, ale smutny miał gruziński koniak.

— Kiedyś tu było bagno i bagno jest dzisiaj — powiedział smutny. — Kto studiuje rosyjską chorobę, musi żyć w rosyjskim bagnie.

Mówił o Leningradzie.

10

Niebo jak z waty leżało nisko nad importowanymi pałacami, tak że w swoich wymyślnych strojach wyglądały smętnie. W parkach rozbrzmiewała letnia muzyka, ale lato skryło się za chmurami zostawiając kredowobiałą północną mgiełkę, która złudnie drgała nad weneckimi kanałami. Barley szedł pieszo i jak zawsze kiedy był w Leningradzie, miał wrażenie, że idzie przez inne miasto — to przez Pragę, to przez Wiedeń, to jakąś dzielnicę Paryża albo zakątek Regenfs Parku. Nie znał drugiego takiego miasta, które by ukrywało swoją hańbę za tyloma ślicznymi fasadami lub z uśmiechem zadawało tak straszne pytania. Kto się modli w tych zamkniętych, nierzeczywistych świątyniach? I do czyjego Boga? Ile trupów zatykało te urocze kanały i spłynęło, zmarzniętych, do morza? Czy gdzieś jeszcze, jak ziemia długa i szeroka, tyle barbarzyństwa wzniosło sobie tak piękne pomniki? Nawet ludzi z ulicy, mówiących powoli, godnych i przyzwoitych, powściągliwych, jakby łączyła ta potworna obłuda. I Barley włącząc się i rozglądając jak każdy turysta — i odliczając minuty jak każdy szpieg — czuł się częścią tej dwulicowości.

Ucisnął dłoń amerykańskiemu magnatowi, który nie był magnatem, i wyraził mu współczucie z powodu choroby jego żony, która nie była chora i przypuszczalnie nie była jego żoną.

Wydał polecenia podwładnemu, który nie był jego podwładnym, aby pomógł w nagłym wypadku, który nie istniał.

Szedł na umówione spotkanie z autorem, który nie był autorem, lecz szukał męczeńskiej śmierci w mieście, w którym można ją dostać za darmo, prosto z lady, bez ustawiania się w kolejce.

Drętwiał ze strachu i miał kaca już czwarty dzień z rzędu.

Był wreszcie mieszkańcem Leningradu.

Znalazłszy się na Newskim Prospekcie, zdał sobie sprawę, że się rozgląda

za kawiarnią nieoficjalnie zwaną „Sajgonem”, lokalem poetów, pokątnych handlarzy narkotyków i spekulantów, nie dla profesorskich córek. Słyszał jej słowa: „Twój ojciec ma rację. Ten system zawsze wygra”.

Miał własny plan miasta, dzięki uprzejmości Paddy'ego niemiecki z wioleżycznym tekstem. Od Cy'ego dostał egzemplarz „Zbrodni i kary”, obszarpane wydanie Penguin Books, w przekładzie, który doprowadzał go do rozpacz. Jedno i drugie włożył do plastikowej reklamówki. Na to nalegał Wicklow. Nie byle jaka torba, ale właśnie taka, z reklamą śmierdzących amerykańskich papierosów, łatwa do rozpoznania na pół kilometra. Miał w tej chwili jeden cel w życiu: prześledzić kroki Raskolnikowa w jego złowieszczej drodze do morderstwa staruszki, i dlatego szukał podwórka odchodzącego od Kanału Gribojedowa. Prowadziła na nie żelazna brama, ocieniało je szeroko rozpostarte drzewo. Wszedł na podwórko powoli, zaglądając do obszarpanej książki, potem ostrożnie zerkając na brudne okna, jakby oczekiwał, że po żółknącej farbie ściany spłynie krew starej lichwiarki. Tylko chwilami pozwalał sobie zabłądzić wzrokiem w ten nieostry, średni plan, rezerwat angielskich klas wyższych, w którym się mieszczą obiekty tak obce jak przechodnie albo ci, co nie przechodzą, tylko stoją nic nie robiąc. Albo w bramę prowadzącą na ulicę Plechanowa, o której wiedzą tylko ściśle miejscowi, powiedział Paddy, na przykład naukowcy, którzy w młodości studiowali w Litmo, tuż za rogiem, chociaż o ile Barley mógł to stwierdzić na podstawie spojrzeń rzucanych mimochodem na nadchodzących, nic nie wskazywało na to, by tu wracali.

Był zdyszany. Czuł mdłości jak ssanie w dołku. Podszedł i otworzył bramę. Przeszedł pod sklepieniem. Po kilku schodkach wyszedł na ulicę. Rozejrzył się na obie strony i dał następne przedstawienie porównując z książką swoje spostrzeżenia, gdy jednocześnie ta cholerna aparatura Wick-lowia piłowała mu kark. Zawrócił i wolnym krokiem przemierzył z powrotem podwórze, przeszedł pod rozłożystym drzewem i znowu znalazł się nad kanałem. Usiadł na ławce i rozłożył plan miasta. Dziesięć minut, powiedział Paddy wręczając mu porysowany sportowy zegarek w miejsce jego własnego, dziedzicznego i zawodnego. Pięć przed i pięć po i zmywaj się.

— Zabłądził pan? — spytał jakiś błydy mężczyzna, za stary, żeby być szpiclem. Był we włoskich wyścigowych okularach i tenisówkach. Jego angielski, brzmiący z rosyjska, trącił akcentem amerykańskim.

— Dzięki, zawsze błędę — powiedział uprzejmie Barley. — Ja to po prostu lubię.

— Nie sprzedałby mi pan czego? Papierosy? Szkocka? Wieczne pióro? Narkotyki, waluta, coś w tym rodzaju?

— Dzięki, ale nic mi nie brak — odpowiedział Barley słysząc z ulgą, że mówi normalnym głosem. — Byłoby jeszcze lepiej, gdyby mi pan odstąpił słonce.

— Może chciałby pan poznać międzynarodowe towarzystwo z dziewczynkami? Mogę panu pokazać prawdziwą Rosję, jakiej się normalnie nie widzi.

— Stary, jeżeli mam być szczerzy, to przypuszczam, że byś nie poznał prawdziwej Rosji, nawet gdyby się zerwała i złapała cię za jaja — powiedział Barley wracając do swojego planu miasta. Facet odplynął.

W piątki nawet najwięksi naukowcy robią to co wszyscy, powiedział Paddy. Kończą tydzień i idą pić. Będą wszyscy na trzydniówce, chwając się swoimi osiągnięciami i wymieniając wyniki badań. Gospodarze z Leningradu zafundują im wspaniały obiad, ale zostawią dosyć czasu, żeby oblecieli sklepy, zanim wrócą pod właściwy adres. Wtedy twój znajomy po raz pierwszy będzie miał szansę oderwać się od grupy, jeżeli ma ten zamiar.

M ó j znajomy. Mój przyjaciel Raskolnikow. Nie jego znajomy. Mój. Na wypadek, gdybym wpadł.

Pierwsza randka nieudana, jeszcze dwie.

Wstał, roztarł kark i mając aż za dużo czasu podjął literacką wędrowkę po Leningradzie. Wracając przez Newski Prospekt spoglądał na zniszczone twarze ludzi i w przypiływie współczucia modlił się, by go przyjęli w swe szeregi: „Jestem jednym z was! Tak samo zagubiony jak wy! Zaakceptujcie mnie! Ukryjcie! Zignorujcie!” Uspokoił się. „Rozglądaj się. Rób z siebie głupiego. Gap się”.

Za sobą miał sobór kazański. Przed nim wznosił się Dom Książki i tu zmitrężył trochę czasu, jak *przystąpił* na dobrego wydawcę, zaglądając w witryny i zadzierając głowę ku krępej wieży z nędzną banią. Ale nie tkwił tam długo, żeby go przypadkiem nie rozpoznał ktoś z wydawnictw mieszczących się na piętrze. Wszedł w ulicę Żelabowa i udał się pod jeden z wielkich domów towarowych Leningradu, wystawiający w witrynach angielską modę z czasów wojny i futrzane czapy, na które minął już sezon. Dyskretnie ustawił się przy głównym wejściu i zawiesiwszy torbę na środkowym palcu ukrył się za rozłożonym planem miasta.

Nie tu, pomyślał. Na rany Chrystusa, nie tu. Postaraj się o jakieś przyzwoite, zaciszne miejsce. Goethe, proszę cię, nie tutaj. Gdyby wybrał dom towarowy, będzie stawał na ostentacyjne jawne spotkanie — powiedział Paddy. Zamacha rękami i zawoła: „Scott Blair, niemożliwe, to ty?!”

Przez najbliższe dziesięć minut Barley nie myślał o niczym. Gapił się w plan miasta, podnosił oczy i wytrzeszczał je na budynki. Gapił się na dziewczęta, a tego lata w Leningradzie dziewczęta nie spuszczały oczu. Ale ich gotowość nie przywróciła mu pewności siebie i z powrotem wsadził nos w plan miasta. Ciężko, jak szklane kulki, pot spływał mu po klatce piersiowej. Już sobie wyobrażał, jak w aparaturze następuje zwarcie. Dwa razy odchrząknął, ponieważ bał się, że nie zdoła wydobyć głosu. Ale kiedy chciał zwilżyć wargi, okazało się, że język ma zupełnie suchy.

Dziesięć minut minęło, ale zaczekał jeszcze dwie, bo tyle był im winien:

sobie, Katii, Goethemu. Złożył plan nie trafiając w poprzednie zagięcia, ale tego nigdy nie potrafił zrobić. Wepchnął go do jaskrawej reklamówki. Znowu wtopił się w tłum i okazało się, że ostatecznie może się poruszać tak jak wszyscy, nie przewraca się na boki ani nie wali nosem na chodnik.

Przeszedł się z powrotem Newskim w stronę mostu Anichowa, szukając trolejbusu numer 7 do Smolnego, by po raz trzeci i ostatni wystawić się na widok wszystkich szpicłów Leningradu.

W kolejce przed nim stało dwóch chłopaków w dżinsach. Za nim trzy babuszki. Trolejbus zajechał i chłopcy wskoczyli. Barley wsiadł za nimi. Gadali głośno. Jakiś starszy mężczyzna wstał, by ustąpić miejsca jednej z babuszek. Jest nas tu niezły tłum, pomyślał Barley w nowym przypiływie ufności do tych, których oszukiwał. Zostańmy razem cały dzień i cieszymy się sobą. Mały chłopczyk wykrzywił mu się prosto w nos, o coś pytając. Pod wpływem natchnienia Barley podciągnął rękaw i pokazał mu stalowy zegarek Pad-dy'ego. Chłopczyk przyjrzał mu się i syknął z wściekłości. Trolejbus stanął z łoskotem.

Wykręcił się, pomyślał Barley z ulgą, wchodząc do parku. Słońce przedarło się przez chmury. Dostał pietra i kto może mieć mu to za złe?

I wtedy nagle go zobaczył. Goethe, dokładnie taki, jak go przedstawiano, Goethe, wielki kochanek i myśliciel, siedział na trzeciej ławce po lewej od wejścia na żyrowaną alejkę. Nihilista, który żadnej zasady nie uważa za oczywistą.

Goethe. Czytał jakiś dziennik. Trzeźwy i o połowę mniejszy, rzeczywiście w czarnym ubraniu, ale wygląda, jakby był swoim mniejszym starszym bratem. Serce w Barleyu zamarło, potem skoczyło na widok tej najzwyczajszej pospolitości. Ani śladu aury wielkiego poety. Zmarszczki starości na gładkiej kiedyś twarzy. Nic z tamtym żywym srebrem nie miał wspólnego ten zurzęd-niczały brodaty Rosjanin zażywający świeżego powietrza w południe na ławce w parku.

Ale mimo wszystko to Goethe w kręgu skłóconych z sobą rosyjskich świętości, choć nie padł ani jeden strzał od strony zapalczywych pomników Marksa, Engelsa i Lenina miażdżących go marsową miną z brązu z wysokości kolumn na dziwnie rozsuniętych plintach. Ani jeden strzał z muszkietu ze świętej sali Osiemdziesiątej Szóstej, gdzie Lenin założył swą kwatery główną w konwikcie dla dobrze urodzonych panien Petersburga. Nie zabrzmiał marsz żałobny z błękitnego barokowego klasztoru Rastrellego, wzniesionego po to, by ulżyć ostatnim latom carycy. Nikt nie ruszył na oślep od leningradzkiej kwatery głównej partii z olbrzymimi milicjantami gromiącymi wzrokiem wyzwolone masy.

„Smolą” znaczą smoła, przypomniał sobie głupio Barley w tej przewlekłej

chwili potwornej normalności. W Smolnym Piotr Wielki przechowywał smołę na użytek pierwszej rosyjskiej marynarki.

Ludzie w najbliższym sąsiedztwie Goethego byli równie normalni jak on sam. Dzień może zaczął się ponuro, ale wiosenne słońce czyni cuda i poczciwi mieszczenie robierali się, jakby ich przypiliła wspólna potrzeba. Chłopcy nadzy do pasa, dziewczyny jak wyrzucone kwiaty, bryłowate kobiety rozciągnięte u stóp Goethego w atlasowych stanikach słuchały radia, jadły kanapki i gadały o czymś, co sprawiało, że się krzywiły, zamyślały i śmiały, błyskawicznie przerzucając się z jednego w drugie.

Wyłożona płytami dróżka biegła tuż przy ławce. Barley wszedł na nią studiując *Informationen* na odwrocie złożonego planu miasta. W terenie, jak powiedział Ned na naradzie poświęconej makabrycznej etykietce zawodowej, decyduje agent i on rozstrzyga, czy podejść, czy się zwinąć.

Barleya dzieliło od Goethego pięćdziesiąt kroków, ale ta dróżka łączyła ich jak lina z podziałką. Za szybko idę czy za wolno? W pewnej chwili zderzył się z jakąś parą, potem jego pchnięto od tyłu. Jeśli cię zignoruje, odczekaj pięć minut i próbuj drugi raz, powiedział Paddy. Z nosem w planie Barley zobaczył, jak twarz Goethego się unosi, jak gdyby zwęszył, że on nadchodzi. Dojrzał błądź jego policzków i zanurzone w cieniu oczodoły, a potem biel gazety, kiedy ją złożył jak koc. Barley dostrzegł, że jego ruchy są jakieś kanciaste i niezbyt skoordynowane, tak że przez moment przypominały mu zbyt wyregulowany zegar w pewnym szwajcarskim mieście: teraz podnoszę białą twarz, teraz białą chorągiewką wskazuję dwunastą, teraz wstaję i odchodzę. Złożywszy gazetę, Goethe wsunął ją do kieszeni i gestem pedagoga zerknął na zegarek. Potem, tak samo mechanicznie, jakby był czymś wynalazkiem, zajął miejsce w armii pieszych i drobnymi kroczkami pomaszerował w stronę rzeki.

Tempo Barleya już się wyrównało do tempa Goethego. Zwierzyna szła dróżką w stronę parkujących wozów. Myśląc już i widząc bez przeszkód, podążył za nim i doszedłszy do wozów zobaczył go, jak staje nad mknącą Newą w wydętej wiatrem marynarce. Przepływał wycieczkowy parowiec, ale pasażerowie nie zachowywali się jak na wycieczce. Za nim pełznąca barka z węglem umazana czerwoną minią, ale w roztańczonym nurcie rzeki brudny dym z jej komina był piękny. Goethe oparł się o balustradę i zapatrzył w nurt, jakby szacował jego szybkość. Barley ruszył w stronę Goethego powłócząc nogami, coraz pilniej zajęty szukaniem drogi na swym planie. Nawet kiedy dosłyszał zwrócone do siebie słowa wypowiedziane nieskazitelną angielszczyzną, która go kiedyś zbudziła na werandzie w Pieredełkino, nie od razu zareagował.

— Przepraszam pana, ale my się chyba znamy.

Barley z początku udał, że nie słyszy. Ten głos był zbyt nerwowy, zbyt niepewny. Szedł dalej marszcząc czoło nad swoimi *Informationen*. To musi

być jakiś szpicel, powtarzał sobie. Jeszcze jeden z tych pokątnych handlarzy narkotykami albo sutenerów.

— Proszę pana — powtórzył Goethe, jakby już sam nie był pewny.

Dopiero teraz, pokonany przez upór nieznanego, Barley niespiesznie podniósł głowę.

— Pan jest pewnie Scott Blair, znany wydawca z Anglii.

Barley uznał, że czas poznać mężczyznę, który go tak wytrwale zaczepia; najpierw z powątpiewaniem, wreszcie z nieudawaną, choć tłumioną radością wyciągnął dłoń.

— Niech mnie licho — powiedział spokojnie. — Przecież to sławny Goethe! Poznaliśmy się na tym haniebnym przyjęciu u literatów. Tylko my dwaj byliśmy trzeźwi. Jak się pan miewa?

— O, bardzo dobrze — powiedział Goethe i jego napięty głos nabrał odwagi. Ale rękę, kiedy Barley ją uściskał, miał śliską od potu. — Nie wiem, czy mógłbym czuć się lepiej w tym momencie. Witam pana w Leningradzie, panie Barley. Co za szkoda, że jestem już umówiony na popołudnie. Może się trochę przejdziemy? Mała wymiana myśli. — Nieznacznie ściszył głos. — Najbezpieczniej jest się nie zatrzymywać — wyjaśnił.

Chwycił Barleya pod ramię i pociągnął szybko wzdłuż nabrzeża. Jego pośpiech wyparł Barleyowi z głowy wszelką myśl o taktyce. Patrzył na podskakującą przy sobie postać, na błądzący policzków, na ślady bólu, lęku i troski, które je przeorały. Widział, jak zaszczute oczy Goethego rzucają nerwowe spojrzenia na twarz każdego przechodnia. Instynktownie chciał jednego: osłonić go. Ze względu na jego samego i ze względu na Katię.

— To półgodzinny spacer, a moglibyśmy zobaczyć „Aurorę”, okręt wojenny, który wystrzelił ślepy nabój rozpoczynając rewolucję. Ale następna rewolucja zacznie się paroma łagodnymi taktami Bacha. Już czas. Zgadzasz się?

— I bez dyrygenta — powiedział Barley krzywiąc twarz w uśmiechu.

— Albo może jazzu, który tak pięknie grasz. Tak, tak! Już mam! Ogłosisz naszą rewolucję grając na saksofonie Lestera Younga. Czytałeś nową powieść Rybakowa? Dwadzieścia lat na indeksie, a więc wielkie rosyjskie arcydzieło. Zniwolenie czasu.

— Jeszcze nie wyszła po angielsku.

— Czytałeś moją? — Chuda dłoń zacisnęła się na jego ramieniu, stłumiony głos opadł do szeptu.

— Na ile mogłem ją zrozumieć, tak.

— Co myślisz?

— Odważna.

— Tylko tyle?

— Rewelacyjna. O ile mogę ją zrozumieć. Wspaniała.

— Poznaliśmy się na sobie tamtej nocy. To była magia. Znasz nasze

rosyjskie powiedzenie: „Rybak rybaka widzi z daleka”? Jesteśmy rybakami. Tysiące nakarmimy naszą prawdą.

— No, jeśli o to idzie, może tak — powiedział Barley niedowierzająco i poczuł, jak koścista głowa rozmówcy zwraca się ku niemu z rozmachem. — Muszę ją z tobą trochę omówić, Goethe. Mamy parę problemów.

— Po to przyjechałeś. Ja też. Dzięki, że przyjechałeś do Leningradu. Kiedy wydajesz? Musisz się śpieszyć. Tutaj pisarze czekają trzy lata, pięć, na wydanie, nawet jeżeli nie są Rybakowem. Ja nie mogę. Rosja nie ma czasu. Ja też.

Przeplęły sznurem holowniki, ich śladem przemknęła beczelnie dwuosobowa łódka. Na murku obejmowali się zakochani. A w cieniu soboru stała młoda kobieta kołyszając wózkiem i czytając książkę trzymaną w wolnej ręce.

— Jak się nie pokazałem na targach audiosprzętu, Katia dała rękopis mojemu koledze — powiedział ostrożnie Barley.

— Wiem. Musiała zaryzykować.

— Ale nie wiesz tego, że ten kolega nie mógł mnie znaleźć po powrocie do Anglii. Więc przekazał go władzom. Ludziom ostrożnym, specjalistom.

Sposzony Goethe odwrócił się gwałtownie do Barleya i jego rysy szybko zasnuł cień przerażenia.

— Nie lubię specjalistów — powiedział. — To oni nas trzymają w łągach. Niczym na świecie tak nie gardzę jak specjalistami.

— Przecież sam jesteś jednym z nich.

— A więc wiem! Specjaliści to nałogowcy. Oni nic nie rozwiążą! Służą każdemu ustrojowi, który ich najmie. Utrzymują go przy życiu. Jeżeli jesteśmy torturowani, to przez specjalistów. Wieszani też przez specjalistów. Nie czytałeś tego, co napisałem? Zniszczenia świata nie dokonują szaleńcy, lecz zdrowy rozsądek specjalistów i wyższa niewiedza biurokratów. Zdradziłeś mnie.

— Nikt cię nie zdradził — powiedział z gniewem Barley. — Tylko rękopis dostał się nie w te ręce. Nasi biurokraci to nie to samo co wasi. Czytają go i podziwiają, ale muszą dowiedzieć się o tobie czegoś więcej. Nie uwierzą w postanie, dopóki nie uwierzą w samo źródło.

— Ale chcą go opublikować?

— Przede wszystkim muszą się upewnić, że nie zmyślasz, a w tym celu muszę pogadać z tobą.

Goethe szedł za szybko, ciągnąc za sobą Barleya. Patrzył przed siebie. Po skroniach spływał mu pot.

— Ja jestem człowiekiem sztuki, Goethe — powiedział zdyszany Barley do jego odwróconej twarzy. — Jedyne, co znam z fizyki, to „Beowulf”, dziewczyny i ciepłe piwo. To nie mój żywioł. Tak samo nie Katii. Jeżeli chcesz iść tą drogą, idź ze specjalistami, a nas zostaw. To przyjechałem ci powie dzieć.

Przecięli jakąś ścieżkę i ruszyli dalej na przełaj przez trawnik. Grupka szkolnej dzieciarni złamała szeregi, żeby ich przepuścić.

— Przychodzisz mi powiedzieć, że odmawiasz publikacji?

— Jakże mogę cię publikować? — odparował Barley, on z kolei rozpalony desperacją Goethego. — Nawet gdyby się nam udało nadać temu jakąś formę, to co z Katią? Pamiętasz, że to twój kurier. Przekazała tajemnice obrony waszego kraju obcym władzom. Tutaj to nie żarty. Jak się o was dowiedzą, będzie martwa z chwilą, gdy pierwszy egzemplarz ukaże się na półkach. Jakaż to rola dla wydawcy? Uważasz, że będę siedział w Londynie i naciśnięciem guzika sterował waszymi losami tutaj?

Goethe dyszał, ale jego oczy przestały szperać wśród tłumu i patrzyły na Barleya.

— Posłuchaj — błagał Barley. — Poczekaj chwilę. Rozumiem. Naprawdę sądzę, że rozumiem. Masz talent, który wykorzystano do nieuczciwych celów. Wiesz doskonale, jak ten ustrój śmierdzi, i chcesz obmyć swoją duszę. Ale nie jesteś Chrystusem i nie jesteś Pieczerinem. Postępujesz nierozsądnie. Chcesz się zabić, to twoja sprawa. Ale i ją zabijesz. A jeżeli cię nie obchodzi, kogo zabijasz, dlaczego miałbyś troszczyć się o to, kogo uratujesz?

Szli w stronę placu przeznaczonego na pikniki, z krzesłami i stołami z belek. Usiedli obok siebie i Barley rozłożył plan miasta. Pochylił się nad nim, udając, że razem coś sprawdzają. Goethe wciąż ważył słowa Barleya, oceniając ich znaczenie z punktu widzenia swoich zamierzeń.

— Jest tylko t e r a z — wyjaśnił na koniec, mówiąc nie głośniejszym niż szeptem. — Innego wymiaru nie ma, tylko teraz. W przeszłości wszystko robiliśmy źle ze względu na przyszłość. Teraz musimy wszystko zrobić dobrze ze względu na teraźniejszość. Tracić czas to stracić wszystko. Historia Rosji nie daje drugiej szansy. Skacząc przez przepaść nie mamy szansy na drugi skok. A jeśli się nie uda, będziemy mieli to, na cośmy zasłużyli: drugiego Stalina, drugiego Breżniewa, następną czystkę, kolejną epokę lodowcową przerażającej monotonii. Jeśli nic nie zatrzyma siły dzisiejszego ruchu, będę w awangardzie. Jeśli coś go zatrzyma albo cofnie, przejdę do statystyk naszej historii czasów porewolucyjnych.

— Tak samo Katia — powiedział Barley.

Palec Goethego, nie mogąc się zatrzymać, wędrował po planie miasta. Goethe rozejrzał się wokół i mówił dalej.

— Jesteśmy w Leningradzie, Barley, kolebce naszej wielkiej rewolucji. Nie ma tu dla nikogo tryumfu bez poświęcenia. Mówiłeś, że potrzebne nam są badania nad ludzką naturą. Więc co cię tak szokuje, kiedy twoje słowa sprawdzam w praktyce?

— Źle mnie zrozumiałeś. Nie jestem tym, za kogo mnie wzięłeś. Mój grzech to próżne gadanie. Gadam na wiatr. Tak się złożyło, żeś mnie poznał, kiedy wiatr wiał w twoją stronę.

Z przerażającym opanowaniem Goethe rozłożył ręce i rozpostarł je dłońmi w dół na planie miasta.

— Nie musisz mi przypominać, że człowiek nie dorasta do tego, co deklaruje — powiedział. — Nasi nowi ludzie gadają o głośności, rozbrojeniu i pokoju. Zostawmy im ich głośność. I ich rozbrojenie. I pokój. Powiedzmy, że to bluff, i dajmy im to, czego chcą. I dopilnujmy, żeby tym razem nie mogli cofnąć zegara. — Wstał, nie mogąc już znieść unieruchomienia przy stole.

Barley stanął przy nim.

— Goethe, na miłość boską, uspokój się!

— Do diabła ze spokojem! Spokój zabija! — Znow ruszył długim krokiem. — Nie przełamamy przekleństwa tajemnicy przekazując ją sobie z ręki do ręki jak złodzieje! Żyłem w tym wielkim kłamstwie! A ty mi radzisz, żeby zachować je w tajemnicy? Jak może przetrwać kłamstwo? Dzięki tajemnicy. Dlaczego się rozpadło w kupę gruzów nasze wielkie marzenie? Dzięki tajemnicy. Przez trzymanie w cieniu. Pokaż moją pracę waszym szpiegom, jeśli musisz. Ale wydaj jako książkę. To mi obiecałeś i będę cię trzymał za słowo. Wsunąłem ci do torby dalsze zeszyty z dalszymi rozdziałami. Na pewno są w nich odpowiedzi na wiele pytań, które ci idioci chcą mi zadać.

Po drodze powiew znad rzeki obmył rozpaloną twarz Barleya. Gdy rzucił okiem na błyszczącą twarz Goethego, wydało mu się, że dostrzega w niej ślady urażonej niewinności, która mogła być powodem jego oburzenia.

— Chciałbym, żeby okładka była tylko liternicza — oznajmił. — Nie dawaj żadnych ilustracji, proszę cię, nic sensacyjnego. Słyszałeś?

— Nie mamy nawet tytułu — zaprotestował Barley.

— I proszę cię, podpisz moim własnym nazwiskiem. Żadnych przemilczeń, żadnych pseudonimów. Używając pseudonimów tworzymy nowe tajemnice.

— Nie znam nawet twojego nazwiska.

— Oni będą je znali. Po tym, co Katia ci mówiła, i mając te nowe rozdziały, nie będą mieli z tym problemu. Zadbaj o skrupulatne rozliczenia. Co pół roku wpłacaj na jakiś godny cel. Nikt nie powie, że zrobiłem to dla własnej korzyści.

Zza coraz bliższych drzew dolatywały strzępy wojskowej muzyki, kłócąc się z klekotem niewidzialnych trolejbusów.

— Goethe — powiedział Barley.

— O co chodzi? Boisz się?

— Jedź do Anglii. Przesznuj cię. To spryciarze. Wtedy będziesz mógł powiedzieć światu wszystko, co zechcesz. Wynajmiemy dla ciebie Albert Hall. Puścimy cię w telewizji, w radiu... tylko wybieraj. A kiedy będzie po wszystkim, dostaniesz paszport i pieniądze i możesz sobie żyć szczęśliwie w Australii.

Znow się zatrzymali. Czy Goethe słyszał? Czy zrozumiał? Wciąż nic nie

drgnęło w jego nieruchomych oczach. Utkwił je w Barleyu, jak w jakimś dalekim punkcie na szerokim horyzoncie.

— Nie jestem zdrajcą, Barley. Jestem Rosjaninem i moja przyszłość jest tu, nawet jeśli nie będzie ona długa. Wydasz mi książkę czy nie? Muszę wiedzieć.

By zyskać na czasie, Barley zanurzył rękę w kieszeni marynarki i wydobył obszarpaną książkę Cy'ego.

— Mam ci to dać — powiedział. — Na pamiątkę naszego spotkania. Ich pytania są wplecione w tekst, razem z adresem w Finlandii, na który możesz pisać, i numerem telefonu w Moskwie z instrukcjami, co masz mówić, jak zadzwonisz. Gdybyś załatwił z nimi bezpośrednio, mają różne mądre urządy i mogą ci je dać, żeby było łatwiej się porozumiewać.

Położył książkę na otwartej dłoni Goethego i tak została.

— Wydasz moją książkę? Tak czy nie?

— Jak cię mają łapać? Muszą wiedzieć.

— Powiedz im, że za pośrednictwem wydawcy.

— Wyłącz z tego Katię. Trzymaj się szpiegów, ale z daleka od niej.

Spojrzenie Goethego zsunęło się z marynarki Barleya i tam zostało, jakby ten widok go zaniepokoił. Jego smutny uśmiech był jak ostatnie wakacje.

— Jesteś dziś w szarym ubraniu, Barley. Ojca wystali do więzienia ludzie w szarych ubraniach. Zabił go pewien człowiek w szarym mundurze. To szarzy ludzie doprowadzili do ruiny mój zawód. Uważaj, bo to samo zrobią z twoim. Wydasz moją książkę czy od nowa muszę szukać uczciwego człowieka?

Przez chwilę Barley nie mógł odpowiedzieć. Wyczerpała mu się rezerwa wykrętów.

— Jeżeli zdołam opanować materiał i znajdę sposób, jak z niego zrobić książkę, to ją wydam — odpowiedział.

— Pytałem: tak czy nie?

Obiecaj mu wszystko, o co poprosi, w granicach rozsądku, powiedział Paddy. Ale co to jest rozsądek?

— W porządku — powiedział. — Tak.

Goethe oddał mu książkę, a Barley jak we śnie włożył ją z powrotem do kieszeni. Uściskali się; Goethe śmierdział potem i starym tytoniowym dymem i Barley poczuł znów rozpaczliwe napięcie ich pożegnania w Pieredelkino. Równie nagle, jak go przedtem objął, Goethe go puścił i raz jeszcze rozejrzawszy się nerwowo, szybko ruszył na przystanek trolejbusu. Barley przyglądając mu się zauważył, że z kawiarni pod gołym niebem jakaś starsza pani stojąc w cieniu ciemnogrnatowych drzew też obserwuje jego odjazd.

Kichnął, po czym rozkichał się na dobre. Kichał w najlepsze. Wrócił do parku z twarzą wciśniętą w chusteczkę, wstrząsany bez końca tym kichaniem.

— Scott, no, nareszcie! — wykrzyknął J.P. Henziger z przesadnym entuzjazmem człowieka zajętego, któremu się każe czekać, i zatrzaskał drzwi największego pokoju w hotelu „Europa”. — Oto dzień, kiedy możemy się przekonać, kto jest naszym przyjacielem. Proszę cię, wejdz. Co cię zatrzymało? Przywitaj się z Maisie.

Był po czterdziestce, muskularny i zwinny, ale twarz miał z rodzaju tych brzydkich i przyjaznych twarzy, które normalnie natychmiast budziły sympatię Barleya. Na przegubie jednej ręki nosił słoniowy włos, a na drugim złoty łańcuszek. Pod pachami miał ciemne przepoczone półksiężyce. Za nim wyrósł Wicklow i szybko zamknął drzwi.

Pośrodku pokoju królowały zsunięte łóżka przykryte oliwkowymi kapami. Na jednym z nich wylegiwała się pani Henziger, trzydziestopięcioletni kociak bez makijażu, z tragicznie rozrzuconymi na piegawatych ramionach rozpuszczonymi włosami. Przy niej uwijał się jakiś zmieszany człowiek w czarnym garniturze. Był w okularach wątrobianego koloru. Na łóżku spoczywała otwarta podręczna torba lekarska. Henziger dalej paplał na użytek mikrofonów.

— Scott, poznaj doktora Pete'a Bernstorfa z Konsulatu Generalnego Stanów Zjednoczonych tu w Leningradzie. Jesteśmy mu zobowiązani. Maisie szybko przychodzi do siebie. Wiele też zawdzięczamy panu Wicklowowi. Leonard nam załatwił hotel, biuro turystyczne i aptekę. Jak tobie minął dzień?

— Cholernie śmiesznie — wymknęło się Barleyowi i przez chwilę o mały włos groźnie nie poplątał tekstu.

Rzucił reklamówkę na łóżko i jednocześnie pozbył się z kieszeni książki. Roztrzęsionymi rękami ściągnął marynarkę, zdarł z koszuli aparaturę mikrofonu i cisnął ją tam, gdzie torbę i książki. Sięgnął za plecy i, odtrącając oferowaną przez Wicklowa pomoc, wyciągnął szare pudełko mikrofonu u nasady pleców i też je rzucił na łóżko, aż Maisie zaknęła zduszonym głosem i prędko odsunęła nogi. Podszedł do umywalki i przelał whisky z flaszki do kubka do mycia zębów, tuląc jedną rękę do piersi, jakby mu ją kto przestrzelił. Potem tyknął i pił dalej, niepomny na cały otaczający go dryl.

Henziger, zwinny jak kot przy całej swojej masie, złapał reklamówkę, wyciągnął zeszyt i cisnął Bernstorfowi, który wsunął go do swojej lekarskiej torby pomiędzy fiolki i instrumenty, wśród których zeszyt tajemniczo zniknął. Henziger podał mu książkę, która zniknęła także. Wicklow chwycił magnetofon razem z przewodami. One też znalazły się w torbie, którą Bernstorf zatrzaskał wydając ostatnie przed wyjściem instrukcję pacjentce: żadnych pokarmów stałych przez najbliższe czterdzieści osiem godzin, proszę pani, herbatą, kromka ciemnego chleba, jeśli już pani musi, i wziąć do końca serię antybiotyków niezależnie od tego, czy poczuje się pani lepiej, czy nie. Jeszcze nie skończył, a już Henziger przyłączył się do chóru.

— I, doktorze, gdyby pan był kiedykolwiek w Bostonie i czegokolwiek

potrzebował, doprawdy czegokolwiek, oto moja wizytówka wraz z obietnicą i tu oto, proszę...

Z kubkiem do mycia zębów w ręce Barley wciąż stał zwrócony twarzą do umywalki, patrząc spode łba w lustro i widząc, jak torba tego dobrego samarytanina wędruje do drzwi.

Ze wszystkich nocy spędzonych w Rosji, a jak się nad tym zastanowić, to ze wszystkich nocy na całym świecie była to najgorsza noc Barleya.

Henziger się dowiedział, że właśnie otworzono w Leningradzie spółdzielczą restaurację, jako że teraz najnowszym słowem-kluczem do prywatnej własności była spółdzielczość. Wicklow wytropił restaurację i zameldował, że nie ma miejsc, ale dla Henzigera odmowa była wyzwaniem. Po wielu telefonach i rozdaniu mnóstwa napiwków nakryto dla nich dodatkowy stół tuż przy najgorszym i najhałaśliwym cygańskim zespole, jaki Barley mógł sobie w ogóle wyobrazić.

Siedzieli teraz oblewając cudowne uzdrowienie pani Henziger. Miauczenie śpiewaków potęgowały elektryczne wzmacniacze. Ani chwili wytchnienia między numerami.

Naokoło wszędzie siedziała Rosja, której drzemiały w Barleyu purytanin od dawna nienawidził, choć nigdy nie oglądał: nie tak znów nieznanymi carowie kapitalizmu, parweniusze przemysłu popisujący się konsumpcją, grube ryby z partii i aferzyści, ich kobiety obwieszane klejnotami, śmierzące zachodnimi perfumami i rosyjskim dezodorantem i kelnerzy tańczący przy stolikach najbogatszych. Straszni Cyganie śpiewali coraz głośniej, coraz głośniej brzmiała muzyka, by ich zagłuszyć, potem Cyganie zaśpiewali jeszcze głośniej, a nad tym wszystkim wzniósł się głos Henzigera.

— Chcę ci coś powiedzieć, Scott! — wrzasnął do Barleya, w podnieceniu pochylając się nad stolikiem. — W tym kraju robi się ruch w interesach. Czuję tu nadzieję, czuję zmianę, czuję handel. A my z Potomaku kupujemy udziały. Jestem dumny. — Ale głos odebrała mu orkiestra. — Dumny — powtórzyły bezgłośnie jego wargi w takt miliona cygańskich decybeli.

Problem tkwił w tym, że Henziger to był miły facet, a Maisie rów-niaczka, co pogarszało sprawę. Nie było końca tej udręce i Barley popadł w błogi stan głuchoty. Znalazł schronienie w środku tej kakofonii. Przez szparki okien tajemne ja Barleya patrzyło w białą leningradzką noc. Gdzie się podziałeś, Goethe? — pytał. Kto ją zastępuje, kiedy jej tu nie ma? Kto ceruje twoje czarne skarpety i gotuje wodnistą zupkę, kiedy ty drogą szlachetnego altruisty wleciesz ją za włosy do samozagłady?

Jakoś bez jego świadomości musieli wrócić do hotelu, budząc się

bowiem stwierdził, że wspiera się na ramieniu Wicklowa w tłumie fińskich alkoholików bezwstydnie przewalających się po hallu.

— Wspaniałe przyjęcie — powtarzał każdemu, kto chciał go słuchać. — Znakomita orkiestra. Dzięki za przybycie do Leningradu.

Ale gdy Wicklow cierpliwie holował go do łóżka, trzeźwa część Barleya zerknęła mu przez ramię w dół szerokich schodów. I w ciemnościach przy wejściu ujrzał Katię, siedziała założywszy nogę na nogę, z reklamówką na kolanach. Była w przyciasnym czarnym żakiecie. Jedwabny biały szalik miała zawiązany pod broda i w jego stronę uniesiona twarz z tym swoim napiętym uśmiechem. Smutnym i ufnym, otwartym na miłość.

Lecz gdy wzrok mu przejaśniał, zobaczył, że ta Katia kątem warg mówi coś pieprzonego do portiera, i pojął, że to tylko jedna z leningradzkich dziewczynek szukająca frajera.

I na drugi dzień przy fanfarach najdyskretniejszych brytyjskich tręb nasz bohater wrócił do kraju.

IMed nie życzył sobie żadnego rozgłosu, żadnych Amerykanów, a na pewno nie Clive'a, ale był zdecydowany na jakiś gest, pojechaliśmy więc do Gatwick i postawiwszy Brocka przy barierce przyjazdów z plakietką „Poto-mak” zainstalowaliśmy się w hallu powitań, który służba niechętnie dzieliła z Ministerstwem Spraw Zagranicznych wśród nie kończących się sprzeczek o to, kto wypić dżin.

Czekaliśmy, samolot miał opóźnienie. Clive zadzwonił z Grosvenor Square, żeby spytać: „Przyleciał, Palfrey?” — jak gdyby trochę się spodziewał, że Barley zostanie w Rosji.

Minęło następne pół godziny, zanim Clive znów zadzwonił, i tym razem sam Ned odebrał telefon. Ledwie zdążył rzucić słuchawkę na widełki, kiedy drzwi się otworzyły i wsunął się Wicklow niewinnie uśmiechnięty znajdując jednak sposób, by jednocześnie rzucić nam ostrzegawcze spojrzenie.

W parę sekund po nich wchodzi Barley, zupełnie taki jak na zdjęciach z kartoteki policyjnej, tyle że blade.

— Witajcie, dranie! — wymknęło mu się, nim jeszcze Brock zamknął drzwi. — Ten pedant kapitan i jego fonetyka z Surrey! Zatlukę świnię!

Wściekał się dalej, a tymczasem Wicklow dyskretnie wyjaśnił powody jego zdenerwowania. Czarterowy samolot z Leningradu wiozł delegację młodych angielskich kupców, z góry uznanych przez Barleya za najdzikszych chuliganów, którymi zresztą byli, sądząc po wydawanych odgłosach. Kilku upiło się jeszcze przed wejściem na pokład samolotu, reszta szybko ich dogoniła. Jeszcze nie byli pięciu minut w powietrzu, jak kapitan, który według Barleya sprowokował całe zajście, ogłosił, że samolot opuścił przestrzeń powietrzną Związku Sowieckiego. Podniósł się ryk, stewardesa uwijała się w przejściu roznosząc szampana. A potem wszyscy zgodnie ryknęli „Rule, Britannia”.

— Dla mnie zawsze zamawiajcie Aeroflot! — wołał ze złością Barley do skupionych przy nim twarzy. — Ja do nich napiszę! Ja im...

— Nigdzie nie napiszesz — uprzejmie przerwał mu Ned. — Chcesz, żebyśmy robili wokół ciebie dużo szumu. Schowaj swoje historie na później.

Powiedział to i dalej ścisnął mu dłoń, aż Barley w końcu się uśmiechnął.

— Gdzie Walt? — zapytał rozglądając się.

— Obawiam się, że wyjechał na zadanie — powiedział Ned, ale Barley już stracił zainteresowanie. Ręka dygotała mu gwałtownie, kiedy pił, i trochę sobie popłakał, co jak mnie zapewnił Ned, jest normalne u wracających z terenu agentów.

11

Przebieg najbliższych trzech dni przebadano potem skrupulatnie jak wrak rozbitego samolotu w poszukiwaniu błędów technicznych, choć znaleziono ich niewiele.

Po swym wybuchu na lotnisku Barley wszedł w fazę pogodną, często się uśmiechał sam do siebie podczas jazdy samochodem, witając znajome miejsca ze swoją zwykłą nieśmiałą czułością. Miał też atak kichania.

Kiedyśmy tylko dojechali do domu przy Knightsbridge, gdzie jak Ned postanowił, Barley miał spędzić noc przed powrotem do swego mieszkania, cisnął bagaż w hallu, objął pannę Coad i oświadczając jej dozgonną miłość obdarował ją wspaniałą czapką z rysia, choć ani Wicklow, ani nikt inny nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ją kupił.

W tym momencie się wycofałem. Clive wezwał mnie na dwunaste piętro, na, jak to nazwał, „zasadniczą rozmowę”, choć w gruncie rzeczy chciał mnie po prostu podpytać. Czy Scott Blair był zdenerwowany? Czy wzniósł się ponad siebie? Jak się zachowywał Palfrey? Był tam Johnny, słuchał, ale prawie się nie odzywał. Boba, oświadczył, odwołano do Langley na konsultacje. Powiedziałem mu, co widziałem, nie mniej i na pewno nie więcej. Obaj nie wiedzieli, co myśleć o łzach Barleya.

— Chcesz powiedzieć, że mówił, że chce wracać? — spytał Clive.

Tego samego dnia wieczorem Ned zjadł kolację sam na sam z Barleyem. Nie było to jeszcze odebranie raportu. Tylko podejście. Taśmy świadczą, że Barley był w nastroju staccato, a jego głos o ton wyższy niż zwykle. Zanim się do nich przyłączyłem na kawę, mówił już o Goethem, ale ze sztucznym obiektywizmem.

Goethe się postarzał, stracił nerw.

Goethe naprawdę się wyprztykał.

Goethe chyba przestał pić. Czym innym się teraz ładuje. „Szkoda, żeś nie widział, Harry, jak mu się trzęsły ręce nad tym planem”.

Szkoda, żeś nie widział swoich, pomyślałem, jak piłeś szampana na lotnisku.

Raz tylko tego wieczora nawiązał do Katii, też w umyślnie obojętny sposób. Chyba uznał, że powinniśmy wiedzieć, że nie żywi żadnych uczuć, których byśmy nie kontrolowali. Ze strony Barleya nie było to kręctwo. Wyjąwszy to, czego myśmy go nauczyli, był niezdolny do kręctwa. Chodziło o to, że się bał, dokąd go te uczucia zaprowadzą, jeśli my nie będziemy trzymali ich w ryzach.

Katia bardziej się boi o dzieci niż o siebie, powiedział, znowu z wystudiowaną obojętnością. Przypuszcza, że tak czuje większość matek. Z drugiej strony jej dzieci są niczym wobec świata, który chce ratować. Więc w pewnym sensie to, co robi, jest jakąś zabsolutyzowaną wersją macierzyńskiej miłości, nie sądzisz, Nedski?

Ned przyznał mu rację. Nic trudniejszego jak eksperymentowanie na własnych dzieciach, Barley, stwierdził.

Ale wspaniała dziewczyna, podkreślał Barley, teraz protekcyjnym tonem. Trochę zbyt zawzięta jak na osobisty gust Barleya dzisiaj, ale jeśli kto lubi kobiety o moralnym kościecu Joanny D'Arc, nie znajdzie lepszej od Katii. I piękna. Bez dwóch zdań. Trochę prząsna jak na klasyczny gust, jeżeli wiemy, co on ma na myśli, ale niewątpliwie porywająca.

Nie mogliśmy się przyznać, że od tygodnia podziwiamy jej zdjęcia, więc uwierzyliśmy mu na słowo.

O jedenastej, narzekając na różnicę czasu, Barley oklapnął. Staliśmy w hallu patrząc, jak wlecze się po schodach, żeby się położyć.

— Ale to jest coś, no nie? — spytał uczepiony poręczy i uśmiechnął się do nas spoza swoich okrągłych okularków. — Ten nowy zeszyt, który nam dał. Zaglądaliście do niego?

— Mędrzy wypalają w tej chwili nad nim kaganki — rzekł Ned. Trudno mu było powiedzieć, że walczą o ten zeszyt jak psy o kość.

— Eksperci to nałogowcy — powiedział Barley znów się szczerząc.

Ale dalej chwiejnie tkwił na podeście, jakby szukał właściwego tekstu na zejście ze sceny.

— Ktoś musi jeszcze dopracować od strony technicznej te mikrofony na ciału, Nedski. Całe plecy mam obtarte jak od siodła. Radzę wam następnym razem wysłać faceta o grubszej skórze. Ale, ale, gdzie wujek Bob?

— Pozdrawia cię — powiedział Ned. — Teraz ruch w interesie. Ma nadzieję wkrótce się z tobą skontaktować.

— Jest na polowaniu z Waltem?

— Nie powiedziałbym ci, choćbym wiedział — rzekł Ned i wszyscy się roześmieliśmy.

Tej nocy, jak pamiętam, miałem szczególnie bezsensowny telefon od Margaret, mojej żony, na temat mandatu za nieprawidłowe parkowanie, który dostała w Basingstoke, jej zdaniem niesłusznie.

— To było moje miejsce. Wyciągnęłam swój bilet, kiedy ten cholerny kurdupel w nowiutkim jaguarze, białym, ulizany brunecik...

Nieostrożnie roześmiałam się i wspomniałam, że jaguary z ulizanymi brunecikami nie mają specjalnych przywilejów u automatów do parkowania. Poczucie humoru nigdy nie było mocną stroną Margaret.

Nazajutrz rano, w niedzielę, Clive znów zażądał mojej obecności, najpierw żeby wyciągnąć ze mnie coś na temat ubiegłego wieczoru, potem żeby posłuchać jak tureckiego kazania mojej rozmowy z Johnnym na tak ezoteryczny temat jak ten, czy da się zgodnie z prawem przedstawić Barleya jako pracownika naszej służby, a jeśli tak, to czy przyjmując nasze srebrniki nie traci pewnych praw, na przykład osobowości prawnej w przypadku zatargu z nami. Przyjąłem postawę Pytii, co go rozgniewało, ale zasadniczo odpowiedziałem twierdząco. Tak, zrzeka się tego prawa. Czy też dokładniej, tak, możemy w niego wmówić, że się zrzekł, niezależnie od tego, czy według prawa się zrzekł, czy nie.

Johnny, jeżeli jeszcze o tym nie wspomniałem, ukończył prawo na Harvardzie, raz więc przynajmniej nie musieli nam przysyłać z Langley chóru doradców prawnych.

Po południu, jako że Barley nie mógł sobie znaleźć miejsca i dzień był piękny, słoneczny, pojechaliśmy do Maidenhead i poszliśmy na spacer ścieżką holowniczą wzdłuż Tamizy. Zanim wróciliśmy, można powiedzieć, że raport Barleya został odebrany, bo przy braku wszelkich pytań, jakie mogliśmy dostać z góry od analityków, i mając już wszystkie jego operacyjne spotkania nagrane technicznymi środkami, niewiele więcej można by z niego wyciągnąć.

Czy Barley czuł nasz niepokój? Byliśmy weseli jak ptaszki, ale nie mogłem się nie zastanawiać, czy nie udziela mu się atmosfera grożącego zastoju. Może jednak jego uczucia znajdowały się w takim wirze jednocześnie zamętu i odprężenia, że wrzucił nas wraz z nimi w jeden kocioł.

W niedzielę wieczorem zjedliśmy razem kolację w Knightsbridge i Barley był tak łagodny i wypoczęty, że Ned zdecydował — jak zresztą i sam bym zrobił — iż można go bezpiecznie odesłać do Hampstead.

Jego mieszkanie znajdowało się w wiktoriańskim domu przy East Heath Road, a stały punkt obserwacji był tuż pod domem, obsadzony przez bystrą parkę z naszej służby. Prawowitych lokatorów przeniesiono tymczasem gdzie indziej. Około jedenastej nasza parka zameldowała, że Barley jest sam w mieszkaniu, ale węższy. Mogli go słyszeć, ale nie widzieli. Ned wykluczył wideo. Gada do siebie bez ustanku, meldowali, a kiedy otworzył pocztę, w głośnikach rozległy się przekleństwa i jęki.

Ned się nie przejął. Czytał już pocztę Barleya i wiedział, że nie zawiera nic bardziej przerażającego niż zazwyczaj.

Około pierwszej po północy Barley zadzwonił do swojej córki Anthei w Grantham.

— Co to jest igł?
— Dom Eskimosa bez 00. Jak było w Moskwie?
— Dokąd dopłyniesz przez Atlantyk „Titanikiem”?
— Mniej więcej do połowy drogi. Jak było w Moskwie?
— Co ci wyjdzie, jak skrzyżujesz owcę z kangurem?
— Pytałam, jak było w Moskwie?
— Wełniana torba. A jak twój nudny mąż?
— Śpi. Próbuje spać. A co się stało z tą babeczką, którą zabrałeś do Lizbony?

— Spłynęła.
— Myślałam, że to coś trwałego.
— Nie z mojej strony.

Następnie Barley zadzwonił jeszcze do dwóch kobiet, najpierw do byłej żony, którą wciąż miał prawo odwiedzać, potem do kobiety, której nie mieliśmy wcześniej na liście. Żadna nie mogła mu służyć na zawołanie, nie tylko dlatego, że akurat były w łóżku ze swoimi mężczyznami.

O pierwszej czterdzieści parka zameldowała, że światła w sypialni Barleya są zgaszone. Zadowolony Ned poszedł spać, ale ja już byłem u siebie i sen był ostatnią rzeczą, o jakiej bym pomyślał. W głowie mi się kotłowały wspomnienia Hanny pomieszane z obrazami Barleya w domu przy Knights-bridge. Pamiętałem jego sztucznie niedbały ton, kiedy mówił o Katii i jej dzieciach, i wciąż to porównywałem z własnym zarzekaniem się, że nie Kocham Hanny, jeszcze w czasach, kiedy było to dla mnie niebezpieczne. Hanna jest jakaś przygnębiona, co chwila powtarzał mi ktoś z niewtajemniczonych. Czy to mąż tak jej daje w kość? A ja się uśmiechałem. O ile wiem, to daje jej do wiwatu, mówiłem tym samym tonem wyższości i obojętności, który słyszałem u Barleya, a jednocześnie palący rak zżerał mi serce.

Nazajutrz rano Barley poszedł do biura podjąć pracę, ale było umówione, że w drodze do domu wpadnie na Knightsbridge, gdyby jeszcze coś zostało do wyjaśnienia. Nie była to taka sobie luźna umowa, jakby się wydawało, tymczasem bowiem Ned siedział zamknięty na dwunastym piętrze pod poważnym ostrzałem i wyglądało na to, że do wieczora albo będzie musiał ustąpić pola, albo stawić czoło bonzom w prawdziwej bitwie.

Ale do tego czasu Barley zniknął.

Według obserwatorów Brocka Barley wyszedł z biura przy Norfolk Street wcześniej, niż się spodziewano, o czwartej czterdzieści trzy, niosąc w futerale saksofon. Wicklow, który w głębi biura Abercrombie-Blair przepisywał raport z pobytu w Moskwie, nie wiedział, że on wyszedł. Ale dwóch chłopców Brocka w dzinsach poszło za Barleyem na zachód Strandem, a kiedy zmienił zamiar, udali się jego śladem do Soho, gdzie wylądował przy wodopoju uczęszczanym po południu przez wydawców i agentów. Spędził tam dwadzieścia minut i wynurzył się wciąż z tym saksofonem, idąc zupełnie równym

krokiem. Skinął na taksówkę, a jeden z chłopców był na tyle blisko, że usłyszał, jak podaje adres lokalu kontaktowego. Ten sam chłopak połączył się z Brockiem, który zadzwonił do Neda na Knightsbridge i powiedział:

— Czekaj, twój gość jest w drodze. — Ja byłem gdzie indziej, toczyłem inne boje.

Jak dotąd nic nie można było nikomu zarzucić, tyle że żaden z chłopców nie pomyślał, żeby zapisać numer taksówki, przeoczenie, które później drogo ich kosztowało. Była godzina szczytu. Przebycie tego kawałka pomiędzy StranDEM a Knightsbridge mogło zająć całe wieki. Dopiero o pół do ósmej Ned zrezygnował z czekania i zaniepokojony, ale jeszcze bez popłochu, wrócił do Naszej Rosji.

O dziewiątej, gdy nikomu żadne sensowne wytłumaczenie nie przychodziło do głowy, Ned bez pośpiechu ogłosił wewnętrzny alert, co samo przez się wykluczało Amerykanów. Jak zwykle w akcji, Ned był opanowany. Może podświadomie już z góry był przygotowany na taki kryzys, gdyż, jak to później skomentował Brock, wszedł w gotową rutynę. Nie zawiadomił Cli-ve'a, ale jak mi to później wytłumaczył, zawiadomienie Clive'a w obecnej zatrutej atmosferze byłoby równoznaczne z wysłaniem alarmującego telegramu do Langley.

Ned najpierw sam pojechał do Bloomsbury, gdzie nasłuch służby miał szereg piwnic pod Russell Square. Wziął wóz służbowy i musiał pędzić jak wiatr. Na dyżurze była Mary, czterdziestolatka z różową buzią o wyglądzie starej panny, która z nerwów nieustannie coś pojadała. Jediną jej miłością były nieuchwytnie głosy. Ned wręczył jej listę kontaktów Barleya, skompletowaną przez zwolnionego Waltera na podstawie przechwyconych listów i raportów z inwigilacji. Czy Mary może je natychmiast sprawdzić? Na przykład zaraz?

U diabła, oczywiście, że nie może.

— Naginanie przepisów, Ned, to jedno, ale kupa nielegalnych połączeń to zupełnie co innego, nigdy tego nie pojmiesz?

Ned mógł dowodzić, że na te ekstranumery ma podkładkę w postaci aktualnego nakazu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ale nie zawracał sobie tym głowy. Złapał mnie telefonicznie w Pimlico, w chwili kiedy odkorkowywałem butelkę burgunda, którą miałem zamiar się pocieszyć po parszywym dniu. To mieszkanko jest dość okropne i otworzyłem okno, żeby wywietrzyć swąd po smażeniu. Pamiętam, że je zamykałem, kiedyśmy rozmawiali.

Nakazy na podsłuch telefoniczny w teorii podpisuje minister spraw wewnętrznych albo pod jego nieobecność wiceminister. Ale teorię można obejść, bo wiceminister z kolei się postarał o radcę prawnego z uprawnieniami, z których wolno mu skorzystać tylko w nagłej potrzebie, meldując o tym na piśmie w ciągu dwudziestu czterech godzin. Wypisałem nakaz,

podpisałem go, zamknąłem gaz — wciąż jeszcze gotowałem sobie brukselkę — wskoczyłem do taksówki i w dwadzieścia minut później wręczałem to pisemko Mary. W ciągu godziny założyła podsłuch na telefony dwunastu kontaktów Barleya.

Co myślałem robiąc to wszystko? Że Barley z sobą skończył? Nie, to nie. On się troszczył o żywych. Jeżeli czegoś najmniej sobie życzył, to pozostawienia ich własnemu losowi.

Ale rozważałem ewentualność, że porzucił nasze szeregi, a najgorszym obrazem, jaki podsuwała mi wyobraźnia, był Barley klaszczący głośno, gdy pilot Aeroflotu ogłasza, że samolot wszedł w obszar powietrzny Związku Sowieckiego.

Tymczasem Brock na rozkaz Neda namówił policję do wezwania w pilnym trybie stołecznego taksiarza, który zabrał wysokiego mężczyznę z saksofonem na rogu Old Compton Street o piątej trzydzięci, podającego adres docelowy na Knightsbridge, przypuszczalnie zmieniony w drodze. Tak, saksofon tenorowy, barytonowy byłby dwa razy większy. Do dziesiątej mieli faceta. Taksówka wyruszyła do Knightsbridge, ale na Trafalgar Square Barley rzeczywiście zmienił zamiar i polecił zawieźć się na Harley Street. Licznik wybił trzy funty. Barley dał taksjarszowi piątkę i nie chciał reszty.

Za sprawą pomniejszego cudu, jakim jest szybka myśl wspomóżona zapiskami nieboszczyka Waltera, Ned skojarzył: Andrew George Macready alias Andy, kiedyś trąbka jazzowa i notowany kontakt Barleya, trzy tygodnie temu przyjęty do zakładu sióstr miłosierdzia *na* Harley Street, patrz przejęty list, nabazgrany ołówkiem, pani Macready do Hampstead, seria 47A, i lakoniczny komentarz Waltera na skrawku papieru: „Macready to guru Barleya w sprawach śmierci”.

Jeszcze pamiętam, jak się oburącz uczepiłem klamki wozu Neda. Przybyliśmy do zakładu, żeby się dowiedzieć, że Macready jest pod działaniem środków uspokajających. Barley siedział u niego przez godzinę i udało im się zamienić parę słów. Nocna pielęgniarka, która właśnie objęła dyżur, zaniósła Barleyowi filiżankę herbaty bez mleka i bez cukru. Barley popił ją łykiem whisky z własnej flaszki. Zaproponował siostrze łyczek, ale odmówiła. Spytał ją, czy mógłby staremu Andy'emu zagrać parę jego ulubionych kawałków. Grał cicho dokładnie przez dziesięć minut, czyli tyle, ile mu pozwoliła. Na korytarzu zebrało się kilka zakonnic, żeby posłuchać, i jedna z nich poznała, że to „Blue and Sentimental” Basiego. Zostawił numer telefonu i czek na sto funtów „dla krupiera” na mosiężnym talerzu przy drzwiach przeznaczonym na datki. Przełożona sióstr mu powiedziała, że może przychodzić, kiedy zechce.

— Ale nie jesteście z policji? — spytała mnie żałośnie, kiedy ruszaliśmy do drzwi.

— Boże święty, nie. Dlaczego?

Potrząsnęła głową i nie odpowiedziała, ale pomyślała, że wiem, co w nim zobaczyła. Zbiega, kogoś, kto ucieka przed sobą samym.

Kiedy mknęliśmy z powrotem do Naszej Rosji, posługując się telefonem w wozie, Ned kazał Brockowi spisać wszystkie kluby, sale koncertowe i puby w granicach Londynu, gdzie tej nocy grano jazz. Miał rozesać tylu obserwatorów, ilu mu się uda zebrać, by sprawdzić wszystkie te występy.

Dla pełnej miary dodałem jeszcze swoje trzy grosze jako prawnik. W żadnych okolicznościach nie wolno, aby Brock czy któryś z tych obserwatorów wywarł fizyczny nacisk na Barleya. Barley mógł się wyrzec wielu różnych praw, ale nie wyrzekł się prawa do obrony, a to kawał chłopca.

Szykowaliśmy się do długiego czekania, kiedy zadzwoniła Mary, odpowiedzialna za nasłuch, tym razem sama słodycz.

— Ned, chyba powinienes tu przyjechać odrobinę szybciej. Coś się wylęgło z jednego z twoich jaj.

Zawróciliśmy z piskiem opon do Russell Square; Ned skulony nad kierownicą na zakrętach branych z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę.

Mary w swej piwnicznej norze przyjęła nas uśmiechem uwielbienia, zastrzeżonym na chwilę kłęski. Przy niej stała jej pupilka zwana Pepsi, wystrojona w zielony kombinezon. Na magnetofonie obracała się szpula.

— A któż to dzwoni o tej porze, u diabła? — pytał ktoś stentorowym głosem i natychmiast poznałem okropną ciotkę Barleya, Pandorę, świętą krowę, którą podejmowałem lunchem. Potem przerwa na wrzucenie monet do automatu. Potem uprzejmy głos Barleya:

— Ja już mam tego dość, Pan. Całuję firmę na do widzenia.

— Nie gadaj bzdur — ucięła ciotka Pandora. — Znów ci jakaś dziurka zawraca głowę.

— Mówię serio, Pan. Tym razem to już naprawdę serio. Musiałem ci powiedzieć.

— U ciebie zawsze jest na serio. Dlatego tak kręcisz udając frywolnego.

— Będę rano rozmawiał z Guyem. — Guy Solomons, adwokat rodziny, na liście kontaktów Barleya. — Może przejąć Wicklow, ten nowy. To twardy szczeniak i szybko się uczy.

— Znalazłeś, z której budki? — spytał Ned Mary, kiedy Barley się rozłączył.

— Nie było czasu — powiedziała dumnie Mary. Usłyszeliśmy z taśmy nowy dzwonek telefonu. Znów Barley.

— Reggie? Dzisiaj dmucham. Przyjdź zagrać.

Mary podała nam skrawek papieru, na którym napisała: „Canon Reginald Cowan, gra na bębnie, duchowny”.

— Nie mogę — powiedział Reggie. — Mam tych cholernych kon-firmantów.

— Spław ich — poradził Barley.

- Nie mogę. Te sukinsyny już tu są.
- Jesteś nam potrzebny, Reggie. Stary Andy umiera.
- Jak my wszyscy. Cały cholerny czas.

Kiedy taśma się kończyła, zadzwonił na żywo Brock z Naszej Rosji, pilnie prosząc Neda. Jego obserwatorzy meldowali, że godzinę temu Barley zajął do swojego pijackiego klubu w Soho, wypił pięć whisky i przeniósł się na King's Cross do „Miarki Noego”.

- „Miarki Noego”? Chcesz powiedzieć, do „Arki”.
- „Miarki”, to jest pod wiaduktem kolejowym. Noe to Jamajczyk, osiem stóp wzrostu. Barley dołączył do zespołu.
- Sam?
- Jak dotąd.
- Co to za lokal?
- Bar i knajpa. Sześćdziesiąt stolików, scena, ściany z cegły, kurwy, normalka.

Brock uważał, że wszystkie ładne dziewczyny to kurwy.

- Duży tłok?
- Dwie trzecie miejsc zajęte i jeszcze przychodzą.
- Co gra?
- „Lover Man” Duke'a Ellingtona.
- Ile wyjść?
- Jedno.
- Zmontuj trzysobową grupę i posadź ich przy stoliku blisko drzwi. Gdyby wychodził, daj mu obstawę, ale nie ruszaj. Zadzwoni, niech z rezerw natychmiast przyślą Bena Lugga z wozem pod „Miarke Noego”, niech czeka ze złamaną chorągiewką. Będzie wiedział, co robić. — Lugg był taksjarem służby. — Czy w klubie są jakieś publiczne telefony?

- Dwa.
- Niech będą zajęte, zanim tam przyjadę. Widział cię?
- Nie.
- Niech cię nie zobaczy. Co jest naprzeciwko?
- Pralnia.
- Otwarta?
- Nie.

— Czekaj na mnie przed pralnią. — Z rozmachem odwrócił się do Mary, która wciąż się uśmiechała. — W „Miarce Noego” są dwa telefony, to rejon King's Cross — powiedział bardzo powoli. — Niech je z a r a z uszkodzą. Gdyby kierownictwo miało własną linię, niech ją też uszkodzą. Z a r a z. Nic mnie nie obchodzi, jak mało ludzi mają technicy, niech je uszkodzą z a r a z. Jeżeli na ulicy są jakieś budki, niech uszkodzą wszystkie. Z a r a z.

Zostawiliśmy wóz służbowy i przywołaliśmy taksówkę. Zgodnie z rozkazem Brock czekał przed wejściem do pralni. Ben Lugg stał zaparkowany

przy krawężniku. Bilety przy wejściu były po pięć dziewięćdziesiąt pięć. Ned mnie przeprowadził obok stolika obserwatorów, nawet nie rzucając na nich okiem, i przepchnął się do przodu.

Nikt nie tańczył. Pierwszy rząd orkiestry miał przerwę, Barley stał pośrodku sceny przed złożonym krzeselkiem i grał pod cichy akompaniament kontrabas i kottłów. Łukowe ceglane sklepienie tworzyło świetne pudło rezonansowe. Nadal był w biurowym garniturze i chyba zapomniał zdjąć marynarkę. Nad nim mknęły zapalając się i gasnąc kolorowe lampki i chwilami oświetlały mu twarz, która spływała potem. Wyglądał, jakby nie miał nerwów i był gdzieś daleko. Grał przeciągając tony i poznałem, że to requiem dla Andy'ego i dla kogoś, kto jeszcze zajmował jego osaczoną pamięć. Parę dziewcząt usadowiło się na miejscach dla orkiestry i bez mrugnięcia wpatrywało w niego. Czekał też na niego rząd piw. Przy nim stał olbrzymi Noe z rękami założonymi na piersiach, słuchając ze spuszczoną głową. Numer się skończył. Powoli, delikatnie, jakby opatrywał ranę przyjacielowi, Barley przedmuchał saksofon i ułożył go na spoczynek w futerale. Noe nie pozwalał na oklaski, ale podniósł się szmer, kiedy wszyscy zaczęli prztykać w palce i rozległy się wołania „encore”, choć Barley nie zwracał na to uwagi. Wysuszył parę kufli, szeroko machnął ręką i ostrożnie przepchnął się przez tłum do drzwi. Wysiliśmy za nim, a kiedy już się znaleźliśmy na ulicy, podjechał Ben Lugg ze zlaną chorągiewką.

— Do Mo — polecił Barley, wałąc się na tylne siedzenie. Skądś wytrzasnął nową butelkę szkockiej i właśnie odkręcał korek. — Halo, Harry, jak tam miłość na odległość?

— Dzięki. Wspaniale, polecam.

— Gdzie jest, u licha, Mo? — spytał Ned sadowiąc się obok niego, kiedy ja siadałem obok kierowcy.

— Tuffnell Park. Pod Falmouth Arms.

— Dobra akustyka? — spytał Ned.

— Najlepsza.

Ale to nie ta sztuczna pogoda Barleya wzbudziła mój niepokój. Sprawiała to jego rezerwa, martwota jego spojrzenia, sposób, w jaki się obwarował za gotową angielską uprzejmością.

Mo była blondynką po pięćdziesiątce i długo trwało, zanim wycalowała Barleya i pozwoliła nam usiąść przy stoliku. Barley grał bluesy i Mo chciała, żeby został, jak myślałem, na całą noc, ale Barley nigdzie nie mógł zagrać miejsca, poszliśmy więc do pizzerii z muzyką w Islington, gdzie zagrał jeszcze jedno solo i gdzie Ben Lugg wszedł z nami napić się herbaty i posłuchać. Ben był swego czasu bokserem i wciąż mówił o boksie. Z Islington pojechaliśmy na drugi brzeg rzeki do „Stonia”, posłuchać czarnego zespołu grającego w stylu soul w zajezdni autobusowej. Była czwarta piętnaście, ale Barley nie zdradzał żadnych objawów senności. Wołał usiąść z zespołem i napić się zakropionego alkoholem kakao z chińskich kubków.

Kiedy na koniec delikatnie, lecz stanowczo sprowadziliśmy go do taksówki Bena, nie wiadomo skąd zjawiły się dziewczyny od Noego i siadły po jego bokach na tylnym siedzeniu.

— No, dziewczynki — powiedział Ben, kiedy ja i Ned czekaliśmy na chodniku — wyskakujcie.

— Siedźcie, gdzie jesteście, ja bym został — poradził Barley,

— To nie wasza taryfa, małe, tylko tego gościa — wskazał Neda. — No, spieprzajcie, bądźcie grzeczne.

Barley zamachnął się pięścią, celując w głowę Bena ozdobioną czarnym homburgiem. Ben zablokował cios, jakby strącał pajęczynę, i w tej samej chwili ostrożnie wyjął Barleya z taksówki i podał Nedowi, który równie ostrożnie wziął go w kleszcze.

Nie zdejmując kapelusza, Ben zniknął w tyle wozu i pojawił się z dziewczyną w każdej ręce.

— A może tak byśmy tyknęli świeżego powietrza? — zaproponował Ned, kiedy Ben dawał dziewczynom po dysze, żeby spłynęły.

— Dobry pomysł — przyznał Barley.

Przeszliśmy więc na drugi brzeg rzeki powolną procesją, z obserwatorami Brocka zamykającymi tyły i taksówką Berla Lugga wlokącą się za nami. Nad dokami wstawał brudny, bury świt.

— Przepraszam — powiedział Barley po chwili. — Mam nadzieję, że nic złego się nie stało, co, Nedski?

— Przynajmniej ja o niczym nie wiem — powiedział Ned.

— Bądź czujny — poradził Barley. — Ojczyzna tego oczekuje. Zgadza się, Nedski? Właśnie poczułem natchnienie do grania — wyjaśnił mi. — Grasz na czymś, Harry? Jeden z moich kumpli miał zwyczaj grać swojej dziewczynie przez telefon. Tylko na pianinie, uważasz, nie na saksofonie, ale mówił, że to działa. Możesz spróbować tego ze swoją panią.

— Jutro wyjeżdżamy do Ameryki — powiedział Ned.

Barley przyjął tę wiadomość jak temat do pogawędki.

— To ci dobrze zrobi. Piękna pora roku. Powiedziałbym, że kraj wygląda najkorzystniej.

— Prawdę mówiąc i tobie dobrze zrobi — rzekł Ned. — Pomyśleliśmy, że i ciebie zabierzemy.

— Taki nieobowiązujący wypadek? — zapytał Barley. — Czy na wszelki wypadek zapakować smoking?

12

Na wyspę wylecieliśmy małym samolotem i przybyliśmy tam o zmierzchu. **Mały samolot należał do** wielkiej amerykańskiej korporacji. Nikt nie mówił, **do kogo należy wyspa. Była wąska**, zalesiona, pośrodku zapadnięta w morze,

a po obu końcach zwieńczona stożkowatymi szczytami, tak że z góry wydała mi się namiotem Beduinów zapadającym się w Atlantyck. Szacowałem ją na dwie mile długości. U jednego końca ujrzeliśmy dworek w stylu Nowej Anglii, z przyległymi terenami, u drugiego maleńki biały port — chociaż się później dowiedziałem, że dworek nazywają letnim domkiem, ponieważ w zimie nikt tam nie jeździ. Wybudował go na przełomie wieków jakiś bogaty bostończyk, w czasach kiedy tacy jak on mówili, że lansują wiejskie życie. Przez brzęczące szyby kabiny czuliśmy kołysanie skrzydeł i słony zapach morza. Widzieliśmy smugi słońca rozmięgotane na falach jak reflektory na tatuażu i kormorany walczące z wiatrem. Widać było latarnię morską na stałym lądzie od zachodu. Już pięćdziesiąt osiem minut według mojego zegarka lecieliśmy wzdłuż brzegów Maine. Z boków podeszły drzewa, niebo zniknęło i już skakaliśmy przez falistą aleję trawy, u końca której czekał Randy i jego chłopcy z jeepem. Randy był dorodny, tak jak bywają dorodni tylko Amerykanie z klas uprzywilejowanych. Był w wiatrówce i krawacie. Poczulem, że znam jego matkę.

— Będę tu waszym gospodarzem, panowie, jak długo zechcecie zostać, i witajcie na naszej wyspie. — Najpierw potrząsnął ręką Barleya. Musieli mu pokazać fotografie. — Doprawdy, to prawdziwa przyjemność, panie Brown. Ned? Harry?

— To pięknie z pana strony — powiedział Barley.

Sosny, kiedy zjeżdżaliśmy krętą drogą ze wzgórze, wydawały się czarne na tle morza. Chłopcy jechali za nami drugim wozem.

— Panowie korzystają z linii brytyjskiej? Pani Thatcher naprawdę trzyma ją silną ręką! — powiedział Randy.

— Czas, żeby razem z nią poszła na dno — zauważył Barley.

Randy roześmiał się, jakby ten śmiech był wyuczony na kursach. Roboczym nazwiskiem Barleya na czas tego wyjazdu było Brown. Nawet jego paszport, w posiadaniu Neda, stwierdzał, że jest Brownem.

Skacząc na wybojach dojechaliśmy groblą do portierni. Brama się otworzyła i zamknęła za nami. Byliśmy na własnym przylądku. Na jego szczycie stał dworek oświetlony lampami łukowymi ukrytymi w krzakach. Trawniki, spalone wiatrem krzewy uciekały na boki. Słupy połamanego mola ryzykownie wstępowały w morze. Randy zaparkował jeepa i wzięwszy bagaż Barleya poprowadził nas oświetloną ścieżką wśród hortensji do przystani. Podczas przeprawy do Bostonu Barley drzemał i pił, i jęczał nad filmem. W naszym małym samolocie krzywił się na krajobraz Nowej Anglii, jakby go niepokoiło jego piękno. Ale gdyśmy tylko wylądowali, zdawało się, że wraca do swojego świata.

— Mam polecenie, panie Brown, zainstalować pana w apartamencie dla nowożeńców — powiedział Randy.

— Trudno wymyślić coś lepszego, stary — powiedział grzecznie Barley.

— Czy dobrze słyszę, panie Brown? Powiedział pan „stary”?

Przez hall o posadzce z kamiennych płyt Randy wprowadził nas do kabiny kapitańskiej. Urządzona była w stylu osadniczym. W kącie stała reprodukcja mosiężnego łóżka, pod oknem reprodukcja dębowego biurka. Na ścianach wisiały podejrzane akcesoria okrętowe. W alkwie, gdzie znajdowała się typowo amerykańska kuchnia, Barley rozpoznał lodówkę, otworzył ją i z nadzieją zajrzał do środka.

— Pan Brown lubi mieć w pokoju butelkę szkockiej na wieczór, Randy. Jeżeli coś takiego chowasz w spiżarni, będzie ci wdzięczny.

Letni domek stanowił muzeum niejednego szczęśliwego dzieciństwa. Na ganku stały miodowozłote kije do krykieta oparte o zakurzony wózek zaprzęgany w kozy, załadowany pławkami do połowu homarów zebranych z plaży. Pachniało woskiem i skórą. W sieni, obok prymitywnych obrazów przedstawiających statki wielorybnicze, wisiały portrety młodych mężczyzn i kobiet w szerokoskrzydłych kapeluszach. Weszliśmy za Randym na szerokie, wyfroterowane schody, Barley za nami. Na każdym podejście sklepione okna obrzeżone kolorowym szkłem otwierały się na morze jak wysadzone klejnotami furty. Weszliśmy na korytarz z niebieskimi sypialniami. Największa zarezerwowana była dla Clive'a. Z balkonów mieliśmy nad ogrodami widok na przystań i stały ląd za pasem morza. Zmierzczył przechodził w ciemność nocy.

, W jadalni z bielonymi belkami sufitu westalka z Langley zdołała jakimś cudem nie patrzeć na nas przy podawaniu homara z Maine i białego wina. Jedliśmy, a Randy wykladał nam tutejszy regulamin.

— Żadnego spoufalania się z obsługą, proszę panów o to, nic poza dzień dobry i halo. Jeśli będziecie czegoś od nich chcieli, lepiej niech ja im to powiem. Straż jest dla waszej wygody i bezpieczeństwa, panowie, ale wole libyśmy, żebyście się trzymali granic posiadłości. Bardzo o to proszę. Dziękuję.

Po kolacji i przemówieniach Randy zabrał Neda do pokoju łączności, a ja odprowadziłem Barleya na przystań. Wściekły wiatr szarpał ogród. Zdawało się, że Barley, wchodząc w kolejne stożki światła, uśmiecha się do nich beztrąsko. Naszego spaceru pilnowali chłopcy z aparatami nadawczo-odbiorczym i.

— Co byś powiedział na partyjkę szachów? — spytałem, kiedy podeszł mi pod jego drzwi.

Żałowałem, że wyraźniej nie widzę jego twarzy, ale wymknęła mi się tak jak jego nastrój. Poczulem, jak dotyka ręką mego ramienia, życząc mi dobrej nocy. Drzwi przystani otworzyły się i zamknęły, ale dopiero wtedy, kiedy dojrzałem widmową postać strażnika stojącego w ciemności nie dalej jak dwa jardy od nas.

— Mądry prawnik, świetny oficer — zapewniał mnie nazajutrz rano Russel Sheriton pełnym szacunku szeptem, wiedząc, że nie jestem ani jednym, ani drugim, jednocześnie silnymi, miękkimi dłońmi ściskając moją rękę. — Jeden z naprawdę wielkich. Jak sobie radzisz, Harry?

Niewiele się zmienił od czasu służbowej wizyty w Londynie, wory pod oczami jakby bardziej mu zwiotczały, posmutniały, granatowy garnitur stał się o dwa numery za duży, ten sam brzusek obleczony był w białą koszulę. Od sześciu lat ten sam płyn po goleniu, stosowany przez przedsiębiorców pogrzebowych, namaszczał najnowszego szefa Agencji od sowieckich operacji.

Grupka jego młodych ludzi trzymała się z szacunkiem trochę z dala, nie wypuszczając z rąk toreb podróży i wyglądając jak bezradni pasażerowie na lotnisku. Clive i Bob stali po jego bokach jak drużyna przyboczna. Bob wyglądał na starszego o dziesięć lat. Opanowany uśmiech zastąpił na jego twarzy dawną pewność siebie. Przywitał nas z przesadną wylewnością, jakby go uprzedzono, że ma się trzymać z dala.

Miała się zacząć Konferencja na Wyspie, pod taką bowiem eufemistyczną nazwą stała się potem znana.

Wydarzeniom najbliższych dni towarzyszyła atmosfera uprzejmości — załatwiania interesów przez przyzwoitych ludzi, ale niestety łatwo o tym zapominam, kiedy przypominę sobie resztę.

Najtrudniej mi to ująć w słowa, ale spróbuję, bo tyle winien jestem Barleyowi, on bowiem wcale nie uprzedzał się do naszych gospodarzy, nigdy ich nie winił za to, co się z nim działo, ani wtedy, ani potem. Mógł narzekać na Amerykanów w ogóle, ale gdy tylko poznał którego osobiście, wyrażał się o nim jako o przyzwoitym facecie. Z każdym chętnie by się napił wieczorem w pubie, gdybyśmy mieli coś takiego. I oczywiście Barley zawsze widział rację we wszystkim, co mu zarzucali, tak jak zawsze robiła na nim wrażenie cudza pracowitość.

A Bóg mi świadkiem, że byli pracowici! Gdyby liczebność, pieniądze i zwykła zapobiegliwość starczały za inteligencję, Agencja miałaby jej pod dostatkiem, tylko że ludzka głowa to nie magazyn i istnieje również coś takiego jak brak inteligencji.

A jak pragnęli być kochani! Barley natychmiast zareagował i na to pragnienie. Nawet dobierając się do niego pragnęli być kochani. I to również przez Barleya! Tak jak do dziś pragną być kochani za wszystkie swoje komedianckie pucze, próby destabilizacji i dzikie zamachy skierowane przeciwko wrogowi z zewnątrz.

I ta właśnie zagadka serca podawanego nam na dłoni stanowiła przesładującą nas przez cały tydzień podskórny nurt grozy.

Przed laty rozmawiałem z człowiekiem, który przeżył chłostę, z naszym angielskim płatnym agentem. Wykonał dla nas w Afryce pewne usługi i czekał na wypłatę. Najmocniej utkwiał mu w pamięci nie bat, lecz sok pomarańczowy, którym go potem poczęstowano. Pamięta, że pomogli mu wrócić do chaty, że położyli go na brzuchu na słomie. Ale naprawdę pamięta szklankę świeżego pomarańczowego soku, którą strażnik postawił mu przy głowie, po czym kucnął obok i zaczął, aż zbierze siły, żeby się napić. A był to ten sam strażnik, który go bił.

My też mieliśmy swoje szklanki pomarańczowego soku. I swoich przywoitych strażników, nawet jeżeli nosili maski w postaci słuchawek i zewnętrznej wrogości, która szybko topniała w zetknięciu z ciepłem Barleya. Dzień po naszym przyjeździe ci sami strażnicy, z którymi nie wolno nam się było spoufalać, w najdziwniejszych chwilach zjawiali się po cichu na przystani Barleya i podkradali mu a to colę, a to szkocką, zanim się z powrotem ulotnili na swoje posterunki. Wyczuli, co to za człowiek. I jako Amerykanie byli zafascynowani względami, jakimi się cieszył.

Z takim jednym starszym gościem zwanym Edgarem, byłym marinę, Barley za własną forszę pogrął sobie w szachy. Jak się później dowiedziałem, wydobył od niego nazwisko i adres, wbrew wszelkim kanonom tego zawodu, żeby rozegrać z nim mecz drogą pocztową „jak już będzie po wszystkim”.

Zresztą dotyczyło to nie tylko strażników. Młodzi ludzie Sheritona, jak i sam Sheriton, odznaczali się umiarem jak równym, zdrowym tętnem w porównaniu z histerycznymi zmianami nastroju tych, których sam Sheriton ochrzcił zbiorowym mianem patologicznych egotyków.

Jest to jednak, jak przypuszczam, dramat wszystkich wielkich narodów. Tyle talentów do wykorzystania, tyle dobroci do ujawnienia. Wszystko to jednak znajduje tak żalospny wyraz, aż czasem trudno uwierzyć, że to głos Ameryki.

Ale to była ona. Bat był realny.

Przesłuchania odbywały się w pokoju bilardowym. Drewnianą podłogę pomalowano na kolor ciemnoczerwony jako parkiet do tańca, a stoły bilardowe zastąpiono kręgiem krzesel. Ale przy ścianie zostały jeszcze tabliczka z kości słoniowej do zapisów i znaczone inicjałami stojaki na kije bilardowe, a podłużny świetlik rzucał z góry jeziorko światła na sam środek, gdzie miał usiąść Barley. Sprowadził go z przystani Ned.

— Panie Brown, jestem zaszczycony, że mogę uściśnąć pana dłoń. Postanowiłem, że na czas naszej znajomości moje nazwisko będzie brzmiało Hoggarty — oświadczył Sheriton. — Starczyło mi raz na pana spojrzeć, żeby poczuć się Irlandczykiem. Nie wiem dlaczego. — Dość szybko przeprowadził Barleya przez pokój. — Przede wszystkim pragnę panu pogratulować. Jest

pan uosobieniem wszystkich zalet: pamięć, spostrzegawczość, brytyjski hart, saksofon.

Wszystko to jednym hipnotycznym ciurkiem, podczas gdy Barley, uśmiechając się potulnie, pozwalał się posadzić na honorowym miejscu.

Ale Ned już siedział sztywno, z rękami założonymi na piersiach. Clive, choć się znalazł w kręgu, zdołał się jakoś usunąć w cień. Usiadł wśród młodzieży Sheritona i odsunął krzesło do tyłu, tak że go zasłaniali.

Sheriton nadal stał nad Barleyem i mówił z tej pozycji, nawet jeżeli z jego słów wynikało, że się zwraca do kogo innego.

— Pozwolisz, Clive, że zadam panu Brownowi parę impertynenckich pytań? Ned, powiedz panu Brownowi, że się znajduje na terytorium Stanów Zjednoczonych Ameryki i że może nie odpowiadać, jeżeli nie zechce, ponieważ jego milczenie będzie uznane za wyraźny dowód winy.

— Pan Brown potrafi sam się o siebie zatroszczyć — powiedział Barley, wciąż jeszcze jednak uśmiechnięty, wciąż nie do końca serio biorąc to napięcie.

— Potrafi? To wspaniale, panie Brown! Bo liczymy na to, że przez najbliższe parę dni tym właśnie pan się zajmie!

Sheriton podszedł do barku, nalał sobie trochę kawy i wrócił z nią. Przemówił spokojniejszym tonem zdrowego rozsądku.

— Panie Brown, umówmy się, że kupujemy Picassa. Wszyscy w tym pokoju kupujemy tego samego Picassa. Okres niebieski, saignant, udany, co do cholery? Jest może na świecie trzech takich, co się na tym znają. Ale w gruncie rzeczy idzie o jedno. Czy namalował go Picasso, czy napacykował J.P. Shmuck junior z South Bend w Indianie albo w Omsku, w Rosji, w szopie na kartofle. Bo o jednym niech pan pamięta — szturchnął się we własną miękką pierś trzymając w wolnej ręce filiżankę z kawą. — Nie ma odsprzedaży. To nie Londyn. To Waszyngton. A dla Waszyngtonu informacja musi być praktyczna, a to znaczy, że ma być stosowana, nie kontemplowana w Sokratycznym oderwaniu. — Zniżył głos z pełnym szacunku współczu ciem. — I to pan nam ją sprzedaje, panie Brown. Podoba się to panu czy nie, ale pan jest najbliższymi źródłem, póki nie namówimy tego, którego pan nazywa Goethem, żeby się zdecydował i nadawał bezpośrednio nam. O ile go namówimy. A to wątpliwe. Bardzo, bardzo wątpliwe.

Sheriton odwrócił się i podszedł tuż do kręgu siedzących.

— O pana idzie, panie Brown. Pan tu jest ważny. Pan się liczy. Ale na ile pan się liczy? Tylko trochę? Częściowo? Pan jeden? Czy pan to napisał, zrobił, stworzył i pokierował? Czy udział pana jest tak niewielki, jak pan twierdzi, czy jest pan niewinnym obserwatorem, którego wszyscy dopiero musimy poznać?

Sheriton westchnął, jakby to było trochę za trudne dla takiego wrażliwca jak on.

— Panie Brown, czy ma pan teraz jakąś stałą dziewczynę, czy dmucha pan rezerwowe?

Ned już się zrywał na nogi, ale Barley zdążył odpowiedzieć. Nawet teraz nie mówił agresywnym czy bodaj wrogim tonem. Brzmiało to tak, jakby nie chciał zakłócać miłej atmosfery, w której się wszyscy dobrze czują.

— No, no, słoneczko, co też ty? Czy pani Hoggarty do niczego cię nie zobowiązuje? Cofamy się do obyczajów młodości?

Sheriton ani nie mrugnął.

— Panie Brown, kupujemy Picassa od pana, nie ode mnie. Waszyngton nie lubi, żeby jego aktywa krążyły po barach dla samotnych. Musimy to rozegrać bardzo szczerze, bardzo uczciwie. Żadnej angielskiej powściągliwości, żadnych staroświeckich wykrętów. Nabieraliśmy się już na to gówno i więcej nabrać się nie damy, nigdy, ale to nigdy.

To, pomyślałem, jest adresowane do Boba, który znów spuścił głowę opierając ją na rękach.

— Pan Brown nie krąży po barach dla samotnych — wtrącił zapalczywie Ned. — I to nie jego materiały, tylko Goethego. Nie widzę, żeby jego prywatne życie miało z tym coś wspólnego.

Nie zdradzaj się ze swoimi myślami, radził mi Clive. Jego oczy teraz powtórzyły tę radę Nedowi.

— Och, Ned, no nie, no nie! — zaprotestował Sheriton. — Tak jak się sprawy dzisiaj mają w Waszyngtonie, musiałbyś się urodzić po raz drugi, żeby mieć najmniejszą, kurwa, szansę. Jaka cholera pana nosi co pięć minut do Rosji, panie Brown? Kupuje pan tam nieruchomości?

Barley uśmiechał się, ale już nie tak uprzejmie. Sheriton założył mu za skórę, o co właśnie chodziło.

— Prawdę mówiąc, stary, jest to rola w pewnym sensie dziedziczna. Mój staruszek ojciec zawsze wołał Związek Sowiecki niż Stany Zjednoczone i nie szczędził trudu, żeby wydawać ich książki. Należał do Fabian. To coś w rodzaju Nowego Ładu. Gdyby był którymś z was, dostałby się na czarną listę.

— Wrobiliby go w coś, ugotowali i załatwili. Czytałem jego papiery. Okropność. Niech pan nam coś więcej o nim powie, panie Brown. Jakie też dziedzictwo panu zostawił?

— Co to kogo, u diabła, obchodzi? — zapytał Ned.

Miał rację. Sprawę ekscentrycznego ojca Barleya dwunaste piętro już dawno prześwietliło i odrzuciło jako nie mającą nic do rzeczy. Ale najwidoczniej nie Agencja. Albo już nie teraz.

— A w latach trzydziestych, o czym pan zapewne także wie — ciągnął Barley spokojniejszym tonem — założył Klub Rosyjskiej Książki. Klub nie trwał długo, ale miał powodzenie. I podczas wojny, jeśli mogliśmy zdobyć papier, publikował propagandę prosowiecką, w większości gloryfikującą Stalina.

— A po wojnie? Co robił wtedy? Pomagał im budując Mur Berliński w czasie weekendów?

— Żywił pewne nadzieje, potem z nich zrezygnował — odpowiedział Barley po zastanowieniu. — Przeważała w nim natura kontemplacyjna. — Większość rzeczy mógł wybaczyć Rosjanom, ale nie terror, nie łagry i nie deportacje. To mu załatwiło serce.

— A co by było z jego sercem, gdyby Rosjanie używali mniej siłowych metod?

— Myślę, że umierałby szczęśliwy.

Sheriton wytarł dłonie w chusteczkę i jak cierpiący na nadwagę Oliver Twist odniósł oburącz filiżankę na stół z napojami, gdzie odkręcił termos, ponuro zajrzał do środka i wlał sobie drugą kawę.

— Żołędzie — użalił się. — Zbierają żołędzie, mielą i robią z nich kawę. To tutejsza praktyka. — Obok Boba było wolne krzesło. Sheriton opadł na nie i westchnął. — Panie Brown, pozwoli pan, że trochę to panu przybliżyć? Nie ma już w życiu miejsca na to, żeby każdego skromnego członka rodziny ludzkiej sądzić według jego zasług, okay? Każdy więc, kto jest kimś, ma swoją kartotekę. Oto pańska. Ojciec pana był sympatykiem komunistów, pod koniec życia rozczarowanym. W ciągu ośmiu lat od jego śmierci odwiedza pan nie mniej jak sześć razy Związek Sowiecki. Sprzedaje pan Sowiecom dokładnie cztery parszywe książki z własnej listy i wydaje dokładnie trzy ich książki. Dwie okropne współczesne powieści, które gówno przynoszą, jakieś bzdury o akupunkturze, które w wydaniu komercyjnym rozchodzą się w liczbie osiemnastu egzemplarzy. Jest pan na progu bankructwa, ale obliczamy pana wydatki związane z tymi wycieczkami na dwanaście tysięcy funtów, a pana dochód na dziewiętnaście. Rozwiedziony, niczym nie skrępowany, dobra angielska szkoła. Pije pan, jakby pan w pojedynkę nawadniał Saharę, i dobiera sobie jazzowych kumpli z przeszłością, przy której Benedict Arnold wygląda jak Shirley Tempie. Z punktu widzenia Waszyngtonu jest pan niebezpieczny. Z tutejszego punktu widzenia bardzo miły, ale jak mam to wytłumaczyć najbliższej podkomisji Kongresu, tej Inkwizycji Purytanów, kiedy wbije sobie do łba, żeby postawić pod pręgierzem materiały Goethego jako zagrożenie dla Twierdzy Ameryki?

— Ale dlaczego? — zapytał Barley.

Chyba wszystkich nas zaskoczył jego spokój. Sheritona na pewno. Do tej chwili zerkał na Barleya przez ramię i przedstawiał swój dylemat tonem osoby z lekka zatroskanej. Teraz się wyprostował i spojrzał Barleyowi prosto w oczy z czujną i zarazem drwiącą bezpośredniością.

— Co dlaczego, panie Brown?

— Dlaczego się zlekli materiałów Goethego? Jeśli Rosjanie nie potrafią strzelać prosto, Twierdza Ameryki powinna skakać z radości.

— O, skaczemy, panie Brown, skaczemy. Nie posiadamy się z radości.

Cała militarna potęga Ameryki oparta jest na przekonaniu, że sowiecka broń jest dokładna jak diabli, ale to nieważne. Nieważne, że to przeświadczenie dyktuje nam reguły całej gry. Że będąc pewnym dokładności można się do wroga podkraść, kiedy gra w golfa, zaskoczyć jego system pocisków między-kontynentalnych i uniemożliwić odwet. Ale bez tej dokładności lepiej tego nie próbować, bo wtedy właśnie wróg gotów zaatakować i trafić w dwadzieścia twoich najukochańszych miast. Nieważne te miliony dolców płacone przez podatników i nic nie warte krasomówcze wysiłki polityków, i na próżno bulimy na ten wypieszczony koszmar, według którego to od Sowietów wyjdzie pierwsze uderzenie, a Ameryka ma luki w obronie. To nieważne, że jeszcze dziś wiara w sowiecką supremację jest głównym argumentem na rzecz Gwiezdných Wojen i najzabawniejszą grą strategiczną na koktajlach w Waszyngtonie. — Sheriton, ku memu zdumieniu, zmienacka zmienił ton. — Czas rozwalić te wyrzutnie, zanim one rozwalą nas, panie Brown. Nasza staruszka Ziemia jest przymała jak na dwa supermocarstwa, panie Brown. Za którym pan jest, panie Brown, jak już przyjdzie wybierać wóz czy przewóz?

Przerwał, a jego obwisła twarz znów się pogłężyła w kontemplacji rozlicznych krzywd doznanych w życiu.

— A ja w i e r z ę Goethemu — podjął przestraszonym tonem. — Publicznie oświadczyłem, że kupuję jego rewelacje bez zastrzeżeń od pierwszego dnia, kiedy się objawił. Detalicznie. Dla mnie Goethe to informator na czasie. A wie pan, jaki z tego wniosek? Wniosek z tego, że muszę również wierzyć obecnemu tu panu Brownowi i że pan Brown musi być ze mną bardzo szczerzy, bo inaczej koniec ze mną. — Przyłożył z czcią dłoń do lewej piersi. — Wierzę panu Brownowi. Wierzę Goethemu. Wierzę tym materiałom. Robię w portki ze strachu.

Zdarza się, że ktoś zmienia zdanie, pomyślałem. Że cały doznaje przemiany. Ale trzeba Russella Sheritona, żeby głosić, że ujrzał światło na drodze do Damaszku. Ned gapił się na niego niedowierzająco. Clive wołał podziwiać stojaki na kije bilardowe. Ale Sheriton dalej dmuchał w kawę i rozmyślał o swym pechu. Jeden z jego młodych ludzi podparł ręką brodę i kontemplował czubek swego harwardzkiego pantofla. Drugi zerkał przez okno na morze, jakby raczej tam szukał prawdy.

Nikt jednak nie patrzył na Barleya, nikomu nie starczyło odwagi. A Barley siedział spokojnie; wyglądał młodo. Powiedzieliśmy mu już to i owo, ale nic takiego jak to. A już bynajmniej mu nie mówiliśmy, że materiały Niebieskiego Ptaka skłóciły grupy nacisku przemysłu wojennego i wywołały wrzaski oburzenia ze strony kilku najwrażliwszych lobbies w Waszyngtonie.

Po raz pierwszy przemówił stary Palfrey. Robiąc to miałem wrażenie, że gram w teatrze absurdu. Było tak, jakby realny świat usuwał mi się spod nóg.

— Hoggarty cię pyta — powiedziałem — czy zechcesz z własnej woli poddać się przesłuchaniu Amerykanów, żeby mogli raz na zawsze wyrobić

sobie zdanie o źródle informacji. Możesz odmówić. Decyzja należy do ciebie. Zgadza się, Clive?

Clive nie był mi za to wdzięczny, ale wyraził swoją zgodę, choć niechętnie, zanim znów zapadł się pod horyzont.

Wszystkie twarze w kręgu obróciły się do Barleya jak kwiaty do słońca.

— Co ty na to? — spytałem Barleya.

Przez chwilę nic nie mówił. Przeciągnął się, przesunął wierzchem dłoni po ustach, miał niewyraźną, zmieszaną minę. Wzruszył ramionami. Spojrzał w stronę Neda, ale nie mogąc pochwycić jego wzroku znów spojrzał na mnie, dość głupio. Co myślał? Że powiedzieć „nie” to znaczy na dobre odciąć się od Goethego? Od Katii? Czy w ogóle zaszedł aż tak daleko? Do dziś nie mam pojęcia. Uśmiechnął się, wyglądało na to, że ze zmieszaniem.

— A co ty myślisz, Harry? Mam jakieś wyjście? Co powie mój adwokat?

— Ważniejsze, co powie klient — wymigałem się odpowiadając na jego uśmiech.

— Nigdy się nie dowiemy nie próbując, co?

— Chyba tak — przyznałem.

Chyba nigdy nie był bliższy powiedzenia „tak, zgadzam się”.

— Widzisz, Harry, w Yale są takie tajne stowarzyszenia — tłumaczył mi Bob. — Yale jest nimi poprzerastrane. Jeśli słyszałeś o Trupiej Głównie ze Skrzyżowanymi Piszczelami albo o Papiusie i Kluczu, to tylko wierzchołek lodowej góry. I te stowarzyszenia kładą nacisk na działanie zespołowe. Podczas gdy Harvard poszedł w innym kierunku, tam się stawia na poszczególnych geniuszy. Tak samo i w Agencji, kiedy zapuszcza sieci w te wody szukając narybku, wyławia zespołowych graczy z Yale, a orły z Harvar-du. Nie twierdzę, że każdy harvardczyk to primadonna, a każdy z Yale ślepo oddany sprawie. Ale ogólnie biorąc, taka jest tradycja. Czy pan jest z Yale, panie Quinn?

— Z West Point — odpowiedział Quinn.

Był wieczór i właśnie przyleciała pierwsza delegacja. Siedzieliśmy w tym samym pokoju, z tą samą czerwoną podłogą pod tym samym bilardowym oświetleniem i czekaliśmy na Barleya. Quinn usiadł pośrodku, między Toddem i Larrym. Todd i Larry byli ludźmi Quinna. Zgrabni, przystojni i, jak dla człowieka w moim wieku, śmiesznie młodzi.

— Quinn jest wysoko postawiony — powiedział nam Sheriton. — Rozmawia z Ministerstwem Obrony, z korporacjami, z samym Panem Bogiem.

— Ale komu służy? — zapytał Ned.

Wyglądało na to, że Sheriton był szczerze zakłopotany tym pytaniem. Uśmiechnął się, jakby wybaczał jakiś błąd składniowy cudzoziemcowi.

— No, chyba nam wszystkim, Ned — powiedział.

Quinn mierzył sześć stóp i jeden cal, miał szerokie bary i duże uszy. Nosił garnitur jak zbroję. Nie miał na nim żadnych medali, żadnych insygniów. O jego randze świadczyła uparta szczeka i przystońnięte, puste oczy, i uśmiech urażonej niższości w kontakcie z cywilami.

Ned wszedł pierwszy, Barley za nim. Nikt nie wstał. Ze swego rozmyślnie skromnego miejsca pośrodku rzędu Amerykanów Sheriton potulnie dokonał prezentacji.

Uprzedził nas, że Quinn lubi prostaczków. Powiedz swojemu człowiekowi, żeby się, do cholery, nie wyjął. Sheriton zastosował się do własnej rady.

Słuszne było, że to Larry zaczął przesłuchanie, ponieważ Larry rzucał się w oczy. Todd był dziewiczy i nieśmiały, ale Larry nosił za grubą obrączkę, kolorowy krawat i śmiał się za nich obu.

— Panie Brown, musimy na tę sprawę spojrzeć z punktu widzenia pańskich krytyków — wyjaśnił z wyszukaną nieszczerością. — W naszej firmie mamy do czynienia z informacją nie potwierdzoną i z informacją potwierdzoną. Chcielibyśmy potwierdzenia pańskiej informacji. Tym się zajmujemy i za to nam płacą. Proszę tego braku zaufania nie brać do siebie, panie Brown. Analiza to osobna gałąź wiedzy. Musimy przestrzegać jej praw.

— Przyjmijmy, że to zostało rozmyślnie zmontowane — wymknęło się wojowniczo Toddowi u boku Larry'ego. — Fałszywka.

Larry wyjaśnił Barleyowi ze śmiechem, że to słowo oznacza w ich żargonie podstęp.

— Proszę mi powiedzieć, panie Brown, czyj to był pomysł, żeby jechać do Pieredelkino wtedy jesienią, dwa lata temu? — zapytał Larry.

— Chyba mój.

— Jest pan pewien?

— Planując to byliśmy pijani, ale jestem raczej pewien, że to był mój projekt.

— Dużo pan pije, prawda, panie Brown? — spytał Larry.

Olbrzymia łapa Quinna zamknęła się na ołówku, jak gdyby chciała go udusić.

— Sporo.

— Czy od picia traci pan pamięć?

— Czasami.

— A czasami nie. Mamy przecież dosłowny zapis długich fragmentów pana rozmowy z Goethem, kiedyście obaj byli w stanie całkowitego upojenia. Czy bywał pan kiedy przedtem w Pieredelkino?

— Tak.

— Często?

— Dwa albo trzy razy. Może cztery.

— Odwiedzał pan tam znajomych, panie Brown?

— Byłem z wizytą u znajomych — powiedział Barley, instynktownie obruszając się na amerykańską formę, jakiej użył Larry.

— Sowieckich znajomych?

— Oczywiście.

Larry odczekał w milczeniu, aż ci „sowieccy znajomi” zabrzmiali jak wyznanie winy.

— Nie zechciałby pan bliżej określić tych znajomych, podać jakichś nazwisk?

Barley określił swoich znajomych. Pisarz. Poetka. Urzędnik z instytucji zajmującej się literaturą. Larry zapisał ich, dla efektu powoli poruszając piórem. Uśmiechał się przy pisaniu, a jednocześnie po ustalonym torze ponad stołem przysłonięte oczy Quinna wciąż ponuro wpatrywały się w Bar-leya.

— A więc czy w dniu tej wycieczki, panie Brown — podjął Larry — w tym dniu, nazwijmy go Numer Jeden, nie przyszło panu na myśl zapukać do drzwi starych znajomych, odwiedzić ich, przywitać?

Wydało się, że Barley nie wie, czy mu to przyszło do głowy, czy nie. Wzruszył ramionami i wykonał swój zwykły ruch: przeciągnął wierzchem dłoni przez usta, dokładnie tak, jakby to zrobił zupełnie niewiarygodny świadek.

— Chyba nie chciałem zwałać im na kark Jumbo. Było nas za wielu. Rzeczywiście, nie przyszło mi to do głowy.

— Jasne — powiedział Larry.

Trzy wymówki, zauważyłem zmartwiony, trzy, choć wystarczyłaby jedna. Zerknąłem na Neda i już wiedziałem, że myśli to samo. Sheriton był zajęty niemyśleniem w ogóle. Bob tym, że jest człowiekiem Sheritona. Todd coś szeptał Quinnowi do ucha.

— Więc to był również pana pomysł, żeby odwiedzić grobowiec Pasternaka, panie Brown? — wypytywał Larry, jakby to był pomysł każdemu przynoszący zaszczyt.

— Grób — poprawił go z niesmakiem Barley. — Tak, mój. Myślę, że oni nie wiedzieli o tym grobie, dopóki im nie powiedziałem.

— I zdaje się, że również daczę Pasternaka? — Larry sprawdził to w notatkach. — Jeśli „te skurwysyny jej nie zburzyły”. — Postarał się, żeby „te skurwysyny” zabrzmiały szczególnie ordynarnie.

— Tak jest, i jego daczę.

— Ale nie odwiedził pan tej daczy Pasternaka, dobrze mówię? Nawet pan nie sprawdził, czy ona jeszcze istnieje. Z pana relacji dacza Pasternaka zniknęła bez śladu.

— Padało — powiedział Barley.

— Ale mieliście samochód. I kierowcę, panie Brown. Nawet jeżeli przykro pachniał.

Larry znów się uśmiechnął i otworzył usta na tyle, żeby końcem języka

musnąć górną wargę. Potem je zamknął i pozwolił sobie na dalszą pauzę przeznaczoną na niespokojne myśli.

— Więc to pan zebrał towarzystwo, panie Brown, i pan ustalił cel podróży — podjął Larry tonem kapryśnego wyrzutu. — Zawiózł ich pan na miejsce, zaprowadził grupę na wzgórze, do grobowca. Grobu, przepraszam. To do pana osobiście, nie do kogo innego, zwrócił się pan Niezdanow, kiedy wszyscy zesłiście z tego wzgórza. Zapytał pana, czy jest pan Amerykaninem. Powiedział pan: „Nie, dzięki Bogu Anglikiem”.

Nikt się nie roześmiał, nawet sam Larry, ani nawet nie uśmiechnął. Quinn wyglądał tak, jakby z trudem ukrywał ranę jamy brzusznej,

— I to pan także, panie Brown, całkiem przypadkiem potrafił zacytować poetę, przemówić w imieniu towarzystwa podczas dyskusji o jego zasługach i jak za sprawą czarów znaleźć się przy obiedzie obok tego człowieka, którego nazywamy Goethem. „Poznaj naszego wybitnego poetę Goethego”. Panie Brown, mamy tu z Londynu raport terenowy tej Magdy z Penguin Books. Wszystko wskazuje, że uzyskano go bez kłopotu, w okolicznościach bynajmniej nie podejrzanych, towarzyskich, przez osobę trzecią, nie pochodzącą z Ameryki. Magda odniosła wrażenie, że pan chciał się sam spotkać z Niezdanowem. Czy mógłby pan to wyjaśnić?

Barley znów zniknął. Nie z pokoju, lecz z pola mojej percepcji. Zostawił podejrzenia marzycielom, a sam zagłębił się w swoją rzeczywistość. To Ned, nie Barley, nie mogąc się opanować w obliczu łajdactwa Agencji, był autorem oczekiwanego wybuchu.

— No, nie powie przecież waszym informatorom, że aż dyszy, żeby na całe popołudnie iść do łóżka ze swoim chłopakiem!

I znów to jedno by wystarczyło, ale Barley dodał jeszcze własne wyjaśnienie.

— Może się rzeczywiście chciałem ich pozbyć — przyznał nieobecny, ale dość przyjaznym głosem. — Po tygodniu targów książki każdy człowiek przy zdrowych zmysłach ma dość wydawców na całe życie.

Uśmiech Larry’ego wykrzywiło niedowierzanie.

— Diabła tam — orzekł i potrząsnął swą piękną głową, zanim przekazał świadka Toddowi.

Ale nie zaraz, bo jeszcze mówił Quinn. Nie do Barleya, nie do Sheritona, nawet nie do Clive’a. Właściwie do nikogo. Ale mówił. Zesznurowana buźka wiała się jak piskorz.

— Był już na łaskotkach?

— Mamy problemy protokolarne, proszę pana — wyjaśnił Larry, rzucając okiem na mnie.

Początkowo naprawdę nic nie rozumiałem. Larry musiał wyjaśnić.

— Myśmy to kiedyś nazywali wykrywaczem kłamstw. Poligraf. W firmie znany jako łaskotka. Nie przypuszczam, żebyście je tam u siebie mieli.

— W pewnych przypadkach je stosujemy — powiedział Clive gościnnie za moimi plecami, zanim miałem szansę sam odpowiedzieć. — Tam, gdzie na to nalegacie, przychylamy się do waszych życzeń i je stosujemy. Przyjmują się.

Dopiero teraz przejął sprawę zatroskany, zamyślony Todd. Todd nie był wymowny. Z początku właściwie się nie wiedziało, jaki jest. Znałem takich prawników, ludzi, którzy wykorzystując zupełny brak wdzięku posługują się niezręcznym słowem jak maczugą.

— Proszę określić swoje stosunki z Nikiem Landauem, panie Brown.

— Nie mam żadnych — powiedział Barley. — Jest nam pisane nie znać się do Sądneho Dnia. Musiałem podpisać dokument, że nigdy się do niego nie odezwę. Proszę spytać Harry'ego.

— A przed zobowiązaniem?

— Czasem lampeczka.

— Czasem co?

— Lampeczka. Alkoholu. Szkockiej. To miły równy chłop.

— Ale przecież nie z pańskiego towarzystwa. Jak rozumiem, nie kończył Harrow ani Cambridge.

— Co za różnica?

— Nie pochwała pan ustroju społecznego Anglii, panie Brown?

— Zawsze mi się wydawał najżałośniejszą głupotą dzisiejszego świata, stary.

— „To równy chłop”. Czy to znaczy, że pan go lubi?

— Irytujący pętaaczyna, ale lubiłem go, owszem. I nadal lubię.

— Nigdy nie robił pan z nim interesów? Jakiegoś jednego interesu?

— Pracował dla innych firm. Ja byłem samodzielny. Jakie mogliśmy robić interesy?

— Nigdy pan nic od niego nie kupował?

— A po co?

— Chciałbym jednak wiedzieć, jakie zawieraliście transakcje, kiedy byliście sami, często w stolicach krajów komunistycznych.

— Chwalił się swoimi podbojami. Lubił dobrą muzykę. Klasyczną.

— Mówił z panem kiedy o swojej s i o s t r z e? A ta jego s i o s t r a ciągle jeszcze jest w Polsce?

— Nie.

— Czy dawał kiedy wobec pana wyraz ubolewaniu nad rzekomo złym traktowaniem jego ojca przez władze brytyjskie?

— Nie.

— Kiedy ostatnio pan rozmawiał z Nikim Landauem na tematy osobiste? Barley wreszcie sobie pozwolił na okazanie pewnej irytacji.

— Mówi pan o nas, jakbyśmy byli parą pedałów — zaprotestował.

Twarz Quinna ani drgnęła. Może już sam doszedł do tego wniosku.

— Moje pytanie brzmi kiedy, panie Brown — powtórzył Todd takim tonem, jakby nadużywano jego cierpliwości.

— Chyba we Frankfurcie. W zeszłym roku. Parę razy zjedliśmy coś razem w Hessischer Hoff.

— To Frankfurckie Targi Książki?

— Do Frankfurtu, stary, nikt nie jeździ dla przyjemności.

— Od tamtej pory żadnej rozmowy z Landauem?

— Nie przypominam sobie.

— I nic na londyńskich targach wiosną tego roku? Barley robił wrażenie, jakby przetrząsał pokłady pamięci.

— A niech to. Stella. Ma pan rację.

— Nie rozumiem.

— Niki upatrzył sobie taką jedną, pracowała u mnie. Stellę. Doszedł do wniosku, że mu się podoba. Właściwie każda mu się podobała. Taki już z niego kogut. Chciał, żebym go z nią poznał.

— I poznał pan?

— Próbowałem.

— Był pan jego rajfurem. Tak się to nazywa?

— Tak jest, stary.

— I co z tego wyszło?

— Zaprosiłem ją na drinka do Roebucka za rogiem Szóstej. Niki przyszedł, ona nie.

— Więc został pan sam z Landauem? Sam na sam?

— Tak jest. Sam na sam.

— O czym mówiliście?

— Chyba o Stelli. O pogodzie. O byle czym.

— Panie Brown, czy wiele ma pan kontaktów z byłymi lub obecnymi obywatelami Związku Sowieckiego w Zjednoczonym Królestwie?

— Z attaché kulturalnym od czasu do czasu. Kiedy może sobie na to pozwolić, co się nie zdarza często. Jak przyjeżdża z Sowietów jakiś pisarz i ambasada wydaje bibkę na jego cześć, zwykle tam jestem.

— Wiemy, że lubi pan grywać w szachy w pewnej kawiarni w okolicach Camden Town w Londynie.

— I co z tego?

— Czy nie jest to kawiarnia uczęszczana przez rosyjskich uchodźców, panie Brown?

Barley podniósł głos, ale poza tym zachował równowagę.

— No, więc znam Leo. Leo jest słaby i lubi zaczynać partię. Znam Josifa. Josif atakuje wszystko, co się porusza. Nie sypiam z nimi i nie wymieniam sekretów.

— Doprawdy, panie Brown, ma pan bardzo wybiórczą pamięć. Zważywszy pana bardzo szczegółowe opisy innych wydarzeń i osób.

Barley jeszcze nie wybuchnął, ale przez to jego odpowiedź była tym bardziej miażdżąca. Nawet przez chwilę się zdawało, że w ogóle nie odpowie, że tolerancja, w której się już tak utwierdził, radzi mu nawet się nie facygować.

— Pamiętam to, co dla mnie ważne, stary. Jeżeli nie mam takich parszywych myśli jak ty, to twój cholerny kłopot, nie mój.

Todd się zaczerwienił. I czerwienił się coraz mocniej. Larry tak szeroko się uśmiechnął, że usta rozjechały mu się na całą twarz. Quinn zrobił krzywą minę *wartownika*. CJive nie słyszał nic.

Ale Ned zaróżowił się z przyjemności i nawet Russell Sheriton, pogrążony w krokodylim śnie, jakby wśród licznych rozczarowań przypomniał sobie mgliście coś pięknego.

Tego samego dnia wieczorem odbywając spacer po plaży wpadłem do Barleya z jego dwoma strażnikami w miejscu niewidocznym z dworku; puszczała kaczkę prześcigając się w tym, czy kamień więcej razy się odbije.

— Mam cię! Mam cię! — wykrzykiwał zadzierając głowę i machając rękami.

— Mułowie węższą herezję — oświadczył Sheriton przy kolacji, racząc nas ostatnimi wynikami rozgrywek. Barley wymówił się bólem głowy i poprosił o omlet na przystań. — Większość tych facetów robi karierę na marginesie bezpieczeństwa. A to oznacza zwiększenie wydatków na zbrojenia i stworzenie nowego, obojętne jak zwariowanego systemu, który ma przynieść pokój i powodzenie w przemyśle zbrojeniowym na najbliższe pół wieku. Jeżeli nie śpią z tymi przemysłowcami, to na pewno z nimi jedzą. Niebieski Ptak to dla nich bardzo zła wiadomość.

— A jeżeli to prawda? — spytałem.

Sheriton wziął drugi kawałek placka z orzechami.

— Prawda? Że Sowietci wypadają z gry? Obcinają wydatki, gdzie się da, a do bufonów w Moskwie nie dociera ani połowa złych wiadomości, bo bufony z terenu ich bujają, żeby mieć na złote zegarki i kawior? Myślisz, że to prawda? — Odgryzł wielki kęs, ale nie zmieniło to kształtu jego twarzy. — Myślisz, że się nie robi pewnych nieprzyjemnych porównań? — Nalał sobie kawy. — Wiesz, co jest najgorsze dla naszych demokratycznie wybranych neandertalczyków? W sumie najgorsze? Niekorzystne dla nas implikacje. Umierający po sowieckiej stronie to umierający po naszej stronie. Mułowie tego nie cierpią. Tak samo przemysłowcy. — Z dezaprobatą pokręcił głowę. — Dowiedzieć się, że Sowietci nie odróżniają paliwa stałego od gówna, że silniki ich raket zasysają zamiast odpalać? Że błędy w ich systemie wczesnego ostrzegania są większe od naszych? Że najcięższe rakiety nawet się nie mogą wydobyć z silosów? Że szacunki naszego wywiadu są śmiesznie

przesadzone? Mułowie dostają od tych rzeczy śmiertelnych drgawek. - Zreflektował się, że przedstawia mułów jako istoty niestałe. — Jak propagować wyścig zbrojeń, kiedy jedynym dupkiem, z jakim się można ścigać, jesteś ty sam? Niebieski Ptak to śmiertelne zagrożenie. Kupa wysoko płatnych beniaminków znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie, bo z powodu Niebieskiego Ptaka ktoś może im potłuc miski na ryż. Chcesz prawdy, to ją masz.

— To po co nadstawiać karku? — zakwestionowałem ten wywód. — Jeśli to takie niepopularne hasło, to nie ma co opierać na tym kampanii.

I nagle nie wiedziałem, gdzie się schować.

Nieczęsto stary Palfrey mówi coś takiego, że wszyscy milkną, obracają głowy i spoglądają na niego w zdumieniu. Na pewno i tym razem nie miałem tej intencji. Ale Ned, Bob i Clive wlepili we mnie oczy, jakbym postradał rozum, a młodzi ludzie Sheritona — mieliśmy ich dwóch, jeśli dobrze pamiętam — odłożyli, każdy z osobna, widelce i zabrali się, każdy z osobna, do wycierania palców w serwetkę.

Tylko Sheriton jakby nie słyszał. Stwierdził, że odrobina sera ostatecznie mu nie zaszkodzi. Przynął sobie barek i ponuro lustrował tacę. Ale nikt z nas nie wierzył, że to ser go interesuje, a dla mnie było jasne, że próbuje zyskać na czasie i zastanawia się, czy odpowiedzieć i jak.

— Harry — zaczął ostrożnie, zwracając się nie do mnie, tylko do kawałka duńskiego sera. — Harry, klnę się na Boga. Masz przed sobą człowieka oddanego sprawie pokoju i braterskiej miłości. Chcę przez to powiedzieć, że przede wszystkim mam ambicję tak przydusić tych połykaczy ognia z Pentagonu, żeby już nigdy nie pieprzyli prezydentowi Stanów Zjednoczonych, że dwadzieścia królików czyni tygrysa i że byle zasrany poławiacz sardynek o trzy mile od portu to sowiecki okręt podwodny o napędzie atomowym. Wolalbym też nie słyszeć już tych bzdet o kopaniu dołków w ziemi dla przeżycia wojny nuklearnej. Jestem za głośnością, Harry. Dokonałem pewnych odkryć co do siebie. Urodziłem się zwolennikiem głośności, moi rodzice to starzy głośnostycy z dziada pradziada. Dla mnie głośność to sposób życia. Chcę, żeby moje dzieci przeżyły. Możesz mnie cytować i podziwiać.

— Nie wiedziałem, że masz dzieci — powiedział Ned.

— W przenośni — dodał Sheriton.

Ale Sheriton, jak już się zdjęło z niego opakowanie, przedstawiał nam prawdziwą wersję swojego nowego ja. Ned to wyczuł, ja to wyczułem. A jeżeli nie wyczuł tego Clive, to tylko dlatego, że rozmyślnie nie wnikał głębiej. To była prawda zawarta nie tyle w jego słowach, które najczęściej miały służyć do przysłaniania uczuć, co w jakiejś nowej i niepohamowanej pokorze, obecnej w jego zachowaniu od czasu tych morderczych dni w Londynie. W wieku lat pięćdziesięciu, przeżywszy ćwierć wieku jako awanturnik na polach bitew zimnej wojny, Russell Sheriton, żeby użyć określenia Waltera,

wyłamywał kraty wieku średniego. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żebym mógł go polubić, ale tego wieczora zacząłem.

— Brady to bystry gość — ostrzegł nas Sheriton ziewając, kiedy szliśmy spać.
— Brady słyszy, jak trawa rośnie.

I rzeczywiście Brady, obojętnie z której strony na niego spojrzeć, był bystry jak ryś. Widać to było w jego inteligentnej twarzy i pozbawionej nerwów nieruchomości pełnego wdzięku ciała. Jego stara sportowa kurtka była starsza od niego i kiedy wszedł do pokoju, dało się zauważyć, że własny niepozorny wygląd sprawia mu przyjemność. Jego młody asystent też był w sportowej kurtce i, tak jak przełożony, też z fasonem niemodny.

— Wygląda na to, Barley, że dokonałeś czegoś wspaniałego — powie dział wesoło z miętym akcentem Południowca, stawiając teczkę na stole. — Czy ktoś po drodze ci podziękował? Nazywam się Brady i jestem, do cholery, za stary, żeby się bawić w jakieś śmieszne przezwiska. To jest Skelton. Dziękuję.

Znów pokój bilardowy, ale bez stołu Quinna i prostych krzeseł. Zamiast tego z wdzięcznością zagłębiliśmy się w miękko wyściełane fotele. Zbierało się na burzę. Westalki Randy'ego pozamykały okiennice i zapaliły światła. W miarę jak wiatr się wzmacniał, dworek zaczynał pobrzękiwać jak niespokojne butelki na półce. Brady odprzyłknął swoją teczkę, okaz z czasów, kiedy wiedziano, jak je robić. Jak profesor uniwersytetu, którym od czasu do czasu bywał, nosił granatowy krawat w kropki.

— Nie wiem, czy ja to gdzieś czytałem, czy mi się coś śni, Barley, ale ty chyba grywałeś kiedyś na saksofonie w sławnym zespole Raya Noble'a?

— Jeszcze smarkacz w tamtych czasach, Brady.

— Nie było miłszego faceta. No i drugiego takiego na saksie — rzekł Brady, jak to tylko potrafi Południowiec.

— Ray był królem — Barley zanucił parę taktów z Cherokee.

— Tym większa szkoda, że miał takie poglądy polityczne — powiedział Brady uśmiechając się. — Wszyscyśmy próbowali go przekonać, że to nonsens, ale Ray nie wyrzekłby się swoich poglądów. Grałeś z nim kiedy w szachy?

— Owszem, grałem.

— Kto wygrał?

— Chyba ja. Nie jestem pewien. Tak, ja, Brady uśmiechnął się.

— Tak samo ja.

I Skelton się uśmiechnął.

Porozmawiali o Londynie, w jakiej dzielnicy Hampstead mieszka Barley.

— Uwielbiam tę dzielnicę, Barley. Hampstead to dla mnie ideał

cywilizacji. — Porozmawiali o zespołach, w których grywał Barley. — Boże! Nie mów mi, że on jeszcze występuje! W jego wieku wystrzegalbym się nawet niedojrzałych bananów! — Porozmawiali o polityce angielskiej i Brady po prostu m u s i a ł się dowiedzieć, co takiego brakuje pani T. według Barleya.

Barley robił wrażenie, że musi się nad tym zastanowić, ale z początku nie miał nic do powiedzenia. Może dojrzał ostrzegawcze spojrzenie Neda.

— Do licha, Barley, to nie jej wina, że nie ma godnych siebie przeciwników.

— Ta baba jest czerwona jak diabli — warknął Barley ku cichemu przerażeniu strony angielskiej.

Brady się nie roześmiał, podniósł tylko brwi i czekał, jak my wszyscy.

— Dyktatura z wyboru — ciągnął Barley, powoli nabierając pary. — Tysiąc nóg rzecz dobra, dwie nogi rzecz zła. Boże, błogosław korporację, do licha z jednostką.

Już się zdawało, że się zacznie szerzej rozwodzić na ten temat, ale rozmyślił się i ku naszej uldze dał spokój.

Niemniej początek był dość łatwy i po pięciu minutach Barley musiał się czuć całkiem swobodnie. Dopóki Brady na swój powolny sposób nie przeszedł do „sytuacji, w jaką się dziś wpakowałeś, Barley”, i nie zaproponował, żeby Barley jeszcze raz wszystko opowiedział własnymi słowami, „zatrzymując się na tym historycznym tete-a-tete z tym facetem w Leningradzie”.

Barley spełnił życzenie Brady’ego i choć myślę, że słuchałem równie uważnie jak Brady, nie dosłuchałem się w opowiadaniu Barleya niczego niezgodnego z tym, co dotąd mieliśmy zarejestrowane albo co by było jakąś szczególną rewelacją.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że Brady też nie słyszy nic zaskakującego, bo kiedy Barley skończył, uśmiechnął się uspokajająco i rzekł:

— No cóż, dziękuję ci, Barley — tonem pozornej aprobaty. Jego smukłe palce pogrzebały wśród papierów. — Najgorsze w szpiclowaniu jest to, że trzeba uważać. To chyba tak, jak być pilotem myśliwca — dodał wybierając jakąś kartkę i zerkając na nią. — Siedzisz sobie w domu i jesz kurę na obiad, a już za chwilę robisz w portki ze strachu pędząc z szybkością osiemdziesięciu mil na godzinę. A potem znów lądujesz w domu, zdążając akurat na zmywanie naczyń. — Widocznie znalazł to, czego szukał. — Tak się pewnie czułeś, Barley, kiedy cię wyprawili tam do Moskwy bez chwili czasu na odmówienie pacierza?

— Trochę tak.

— I warowałeś czekając na Katię? I na Goethego? I też się pewnie nieźle nawarowałeś po tym, jak skończyliście z Goethem ten sabat czarownic.

Lokując okulary na czubku nosa Brady studiował swoją kartkę przed podaniem jej Skeltonowi. Wiedziałem, że ta przerwa jest umyślna, lecz mimo

to mnie przestraszyła, myślę też, że przestraszyła Neda, spojrział bowiem na Sheritona, a potem niespokojnie zwrócił oczy z powrotem na Barleya.

— Według naszych raportów z terenu rozstaliście się z Goethem około czternastej trzydzieści trzy czasu leningradzkiego. Widziałeś to zdjęcie? Pokaż mu je, Skelton.

Wszyciśmy je widzieli. Wszyscy oprócz Barleya. Ukazywało ono ich obu w ogrodach Smolnego już po pożegnaniu. Goethe stał już odwrócony. Ręce Barleya wciąż jeszcze były wyciągnięte po pożegnalnym uścisku. Elektroniczny datownik w lewym górnym rogu wskazywał czternastą trzydzieści trzy i dwadzieścia sekund.

— Pamiętasz swoje ostatnie słowa do niego? — zapytał Brady tonem człowieka, który coś czule wspomina.

— Powiedziałem mu, że go wydám.

— A pamiętasz jego ostatnie słowa?

— Pytał, czy ma się rozglądać za innym uczciwym człowiekiem.

— Cholera nie pożeganie — zauważył beztrósco Brady, podczas gdy Barley dalej patrzył na fotografię, a Brady ze Skeltonem patrzyli na Barleya. — Co zrobiłeś wtedy, Barley?

— Wróciłem do „Europy”. Przekazałem te rzeczy.

— Jaką trasą? Pamiętasz?

— Jakoś wróciłem. Trolejbusem do śródmieścia, potem kawałek pieszo.

— Długo musiałeś czekać na trolejbus? — spytał Brady, a jego południowy akcent przypominał, przynajmniej dla mnie, bardziej ptaka przedrzeźniacza niż regularną gwarę.

— Nie pamiętam, żeby długo czekał.

— Ale jak długo?

— Pięć minut, może dłużej.

Nie pamiętałem, żeby Barley dotąd choć raz się powoływał na niedoskonałość pamięci.

— Kolejka była długa?

— Nie bardzo. Parę osób. Nie liczyłem.

— Trolejbusy chodzą co dziesięć minut. Jazda do śródmieścia to następne dziesięć. Dojście do „Europy”, jak dla ciebie, dziesięć. Nasi ludzie to sprawdzili tam i z powrotem. Co do dziesięciu minut. Ale według państwa Henziger zjawileś się u nich w hotelu dopiero o piętnastej pięćdziesiąt pięć. To nam zostawia niezłą lukę, Barley. Jest dziura w czasie. Może byś tak nam powiedział, czym ją zapelnąć? Nie przypuszczam, żebyś urządził sobie bibkę. Miałeś przy sobie dość cenny towar. Można by pomyśleć, że chciałeś się go szybko pozbyć.

Barley stawał się ostrożny i Brady musiał to dostrzec, bo życzliwy uśmiech Południowca znów Barleya do czegoś zachęcał, tym razem do tego, „żeby to zrzucił z serca”.

Co do Neda, to siedział sztywny, jakby połknął kij, trzymając obie stopy płasko na podłodze i patrząc nieruchomym wzrokiem prosto w zakłopotaną twarz Barleya.

Tylko Clive i Sheriton jakby się czuli zobowiązani nie okazywać żadnych uczuć.

— Co robiłeś, Barley? — zapytał Brady.

— Przeszedłem się — powiedział Barley nawet nie wysilając się, żeby dobrze skłamać.

— Z zeszytem Goethego? Z zeszytem, który ci powierzył razem ze swoim życiem? Przeszedłeś się? Cholernie dziwne wybrałeś sobie popołudnie, żeby spacerować przez pięćdziesiąt minut, Barley. Dokąd poszedłeś?

— Wróciłem nad rzekę. Tam, gdzieśmy byli. Paddy mi mówił, żeby się nie spieszyć. Żeby nie pędzić do hotelu, tylko wracać spacerowym krokiem.

— To prawda — mruknął Ned. — Wydałem takie instrukcje przez moskiewską rezydenturę.

— Przez pięćdziesiąt minut? — nalegał Brady ignorując interwencję Neda.

— Nie wiem, ile to trwało. Nie patrzyłem na zegarek. Nie spieszyć się, to się nie spieszyć.

— I nie przyszło ci do głowy, że z taśmą i baterią w portkach, i z zeszytem pełnym najprawdopodobniej bezcennych informacji w torbie najkrótszą drogą między dwoma punktami będzie prosta?

Barleya ogarnął niebezpieczny gniew, ale był on niebezpieczny dla niego, o czym mógł go ostrzec wyraz twarzy Neda i, obawiam się, również mojej.

— Czekaj no, przecież ty nie słuchasz — powiedział niegrzecznie. — Mówiłem ci. Paddy kazał mi się nie spieszyć. Takie dostałem instrukcje w Londynie podczas tych waszych głupich lekcji. Nie spiesz się. Nigdy się nie spiesz, jak coś przenosisz. Lepiej świadomie zmusz się, żeby iść powoli.

Ale i teraz dzielny Ned zrobił, co mógł.

— Tak go właśnie uczono — powiedział.

Ale mówiąc to obserwował Barleya.

— Więc polazłeś od przystanku trolejbusu w stronę Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej w Smolnym... że już nie wspomnę Komsomolu i innych partyjnych kapliczek... z zeszytem Goethego w torbie? Dlaczego to zrobiłeś, Barley? Różne cholernie dziwne rzeczy robią ludzie w terenie, tego mi nie musisz mówić, ale to mi wygląda na czyste samobójstwo.

— Do diabła, Brady, stosowałem się do rozkazowi Nie spieszyłem się! Ile razy muszę ci to powtarzać?

Ale nawet kiedy wybuchnął, przyszło mi do głowy, że przyłapano go nie tyle na kłamstwie, co na jakimś problemie. Zbyt wiele było szczerości w tym proteście, zbyt wiele osamotnienia w jego oburzonych oczach. I Brady, trzeba

mu to przyznać, chyba też to zrozumiał, nie okazał bowiem żadnego tryumfu wobec zakłopotania Barleya, wolał go raczej ugłaskać, niż rozdrażnić.

— Widzisz, Barley, dla niejednego tutaj taka luka byłaby bardzo podejrzana — powiedział. — Już by cię widzieli w jakimś biurze albo samochodzie, jak ktoś fotografuje zeszyt Goethego i wydaje ci instrukcje. Tak było? Chyba najwyższy czas się przyznać. Nigdy nie będzie na to odpowiedniej chwili, ale odpowiedniejszej nie znajdziemy.

— Nie.

— Nie? To znaczy, że nie powiesz?

— Nie było tak, tak się nie stało.

— No, ale coś się stało. Pamiętasz, co cię gryzło podczas tego spaceru?

— Goethe. Żeby wydać mu tę książkę. Niech zburzy tę świątynię, jeśli musi.

— Jaką mianowicie świątynię? Czy możemy trochę zejść z tej metafizyki?

— Katię. Dzieci. To, że pociągnie ich za sobą, jak go złapią. Nie wiem, kto ma prawo to zrobić. Nie mogę tego rozgryźć.

— Więc włóczyłeś się i starałeś się to rozgryźć?

Może Barley się włóczył, może nie. Zaciął się.

— Czy nie byłoby bardziej normalne, gdybyś najpierw przekazał zeszyt, a potem starał się rozgryzać problemy etyczne? Dziwię się, że mogłeś jasno myśleć, kiedy ten dynamit wypalał ci dziurę w torbie. Nie twierdzę, że ktokolwiek z nas myśli całkiem logicznie w takich sytuacjach, ale nawet według prawideł braku logiki uważałbym, że wpakowałeś się w cholernie niewygodną sytuację. Myślę, że coś zrobiłeś. I myślę, że i ty tak myślisz.

— Kupiłem czapkę.

— Jaką czapkę?

— Futrzaną. Damską.

— Dla kogo?

— Dla panny Coad.

— To przyjaciółka?

— Jest gospodynią lokalu konspiracyjnego na Knightsbridge — wtrącił Ned, zanim Barley zdążył odpowiedzieć.

— Gdzie ją kupiłeś?

— Po drodze między przystankiem a hotelem. Nie wiem gdzie, w jakimś sklepie.

— To wszystko?

— Tylko czapkę. Jedną czapkę.

— Ile ci to zabrało czasu?

— Musiałem stać w kolejce.

— Jak długo?

— Nie wiem.

— Co jeszcze robiłeś?

- Nic. Kupiłem czapkę.
 - Kłamiesz, Barley. Nie we wszystkim, ale niewątpliwie kłamiesz. Co jeszcze zrobiłeś?
 - Zadzwoiłem do niej.
 - Do panny Coad?
 - Do Katii.
 - Skąd?
 - Z poczty.
 - Z jakiej poczty?
- Ned przyłożył rękę do czoła, jakby przysłaniał oczy przed słońcem. Ale szalała burza i zarówno niebo, jak morze za oknami były czarne.
- Nie wiem. Jakiej dużej. Kabiny telefoniczne były pod żelaznym balkonem.
 - Zadzwoiłeś do niej do biura czy do domu?
 - Do biura. To było w godzinach pracy. Do jej biura.
 - Dlaczego nie masz tego na swoich taśmach?
 - Wyłączyłem magnetofon.
 - Po co dzwoiłeś?
 - Chciałem się upewnić, że nic się jej nie stało.
 - I jak to załatwiłeś?
 - Powiedziałem halo. Ona powiedziała halo. Powiedziałem, że jestem w Leningradzie, spotkałem się, z kim miałem, interesy idą dobrze. Gdyby ktoś słuchał, pomyślałby, że mówię o Henzigerze. Ale Katia by wiedziała, że mówię o Goethem.
- Dla mnie to brzmi całkiem sensownie — powiedział Brady z uśmiechem przebaczenia.
- Więc do widzenia do następnych targów książki w Moskwie i proszę dbać o siebie. Powiedziała, że będzie. To znaczy, będzie dbała. Do widzenia.
 - Coś jeszcze?
 - Powiedziałem, żeby zniszczyła te Jane Auŕten, jakie jej dałem. Œe to niewłaŕciwe wydanie. Œe przywiozę nowe.
 - Dlaczego to zrobiłeś?
 - W tych tomach Jane Austen były w tekŕcie pytania dla Goethego. Duplikaty pytaŕ ze „Zbrodni i kary”, której ode mnie nie wziął. Na wypadek, gdyby ona do niego dotarła, a ja nie. Były dla niej niebezpieczne. I tak nie miał zamiaru na nic odpowiadać, więc nie chciałem, żeby się poniewierały po jej domu.
- Cały pokój zamarł. Tylko wiatr od morza trzaskał okiennicami i sapał pod okapem.
- Ile czasu zajął ci ten telefon do Katii, Barley?
 - Nie wiem.
 - A ile cię kosztował?

— Nie wiem. Płaciłem przy okienku. Dwa ruble coś tam. Gadałem dużo o targach książki. Tak samo ona. Chciałem posłuchać jej głosu.

Tym razem Brady zamilkł.

— Miałem wrażenie, że dopóki gadam, życie płynie normalnie. Nic się jej nie stanie.

Brady'emu zabrało to chwilę, ale wbrew temu, czegośmy się wszyscy spodziewali, zakończył przedstawienie.

— Taka pogawędka — podsunął zaczynając pakować swoje rzeczy do dyplomaty.

— Właśnie — zgodził się Barley. — Pogawędka. O tym i owym.

— Jak to między znajomymi — dodał Brady, z przytknięciem zamykając teczkę. — Dziękuję, Barley, podziwiam cię.

Zasiedliśmy w wielkiej bawialni, Brady pośrodku, już bez Barleya.

— Spuść go z wodą, Clive — poradził Brady głosem wciąż ociekającym uprzejmością. — To mięczak, może nam narobić kłopotów i za wiele myśli. Niebieski Ptak wywołał taką burzę, że nie dalibyście wiary. Latyfundia się zbroją, generałowie lotnictwa przeżywają histerię, obrona twierdzi, że on wszystko wyda, a Pentagon oskarża Agencję, że rozpowszechnia fałszywe wiadomości. Jedyna dla was nadzieja w tym, że go wywalicie i dacie zawodowca, jednego z naszych.

— Niebieski Ptak nie chce gadać z zawodowcem — powiedział Ned i dosłyszałem w jego głosie wrzącą wściekłość, która, wiedziałem już, że wykipi.

Skelton też miał propozycję. Po raz pierwszy go usłyszałem i musiałem aż wykręcić głowę, żeby uchwycić jego kulturalny uniwersytecki głos.

— Pieprzony Niebieski Ptak — powiedział. — Niebieski Ptak nie ma prawa nic dyktować. Jest zdrajcą, ma fioła od poczucia winy i co tam jeszcze chcecie. Przypieczcie mu piętę. Powiedzcie mu, że jak przestanie nadawać, oddamy go w ich ręce, a razem z nim tę babkę.

— Jak się Goethe dobrze sprawi, bierze pulę, już ja tego dopilnuję — obiecał Brady. — Milion to nie żaden problem. Lepiej dziesięć. Jak go odpowiednio postraszyacie i opłaciecie, może ci neandertalczyki uwierzą, że jest na poziomie. Russell, przekazaj pozdrowienia, Clive, było mi miło. Harry, Ned.

Ze Skeltonem u boku ruszył do drzwi.

Ale Ned się nie pożegnał. Nie podniósł głosu ani nie huknął w stół, ale też nie powściągnął ponurego błysku w oku i zgrzytu oburzenia w głosie.

— Brady!

— Coś cię trapi, Ned?

— Nikt nie będzie straszył Niebieskiego Ptaka. Ani oni, ani ty. Szantaż może dobrze brzmieć na konferencji, ale nic nie da w akcji. Posłuchaj taśm, jak

mi nie wierzysz. Niebieski Ptak naprasza się, żeby zostać męczennikiem. Męczennika nie zastraszysz.

— To co z nim zrobisz, Ned?

— Czy Barley cię okłamał?

— Niespecjalnie.

— Jest uczciwy. To uczciwa sprawa. Pamiętajsz jeszcze, co to uczciwość? Tam, gdzie ty wężysz kręactwo, Niebieski Ptak idzie prosto do celu. A do towarzystwa wybrał sobie Barleya. Barley to nasza jedyna szansa.

— Jest zakochany w tej dziewczynie — powiedział Brady. — Jest skomplikowany. Niebezpieczny.

— Jest zakochany w setkach dziewczyn. Oświadcza się każdej, którą spotka. Taki jest. To nie Barley za dużo myśli. To wy.

Brady się zainteresował. Nie własnym przekonaniem, jeżeli jakiegokolwiek miał, ale przekonaniem Neda.

— Z różnymi miałem do czynienia — ciągnął Ned. — Tak samo ty. Niektóre sprawy nigdy nie są proste, nawet po zakończeniu. Ta była prosta od pierwszego dnia, a jeśli ktoś ją spycha z kursu, to my.

Nigdy nie słyszałem, żeby mówił z takim przejęciem. Tak samo Sheriton, bo aż go przykuło do miejsca, i może to dlatego Clive poczuł się w obowiązku wdać się w to i zaintonował fanfary pożegnalne urzędnika państwowego.

— No, Brady, dało to nam chyba sporo do myślenia. Russell, musimy to obgadać. Może jest jakaś droga pośrednia. Skłonny jestem myśleć, że chyba się znajdzie. Dlaczego by nie zbadać tego głębiej? Jeszcze w tym pogrzebać? Przelecieć jeszcze raz?

Ale nikt się nie ruszył. Brady mimo tych pożegnalnych banałów został dokładnie tam, gdzie był, i dojrzałem w jego rysach jakąś surową łagodność, jakby prawdziwą twarz wyłaniającą się spod maski.

— Nikt nas nie zatrudniał po to, żebyśmy się kochali jak bracia, Ned. Zadaniem upiorów jest straszyć. Wiedzieliśmy o tym podpisując kontrakt. — Uśmiechnął się. — Gdyby szło o czystą, uczciwą grę, myślę, że ty byś prowadził to przedstawienie, nie Clive.

Clive'owi nie podobał się ten pomysł, co mu jednak nie przeszkodziło odprowadzić Brady'ego do jeepa.

Zdawało mi się przez chwilę, że zostałem sam z Nedom i Sheritonem, dopóki nie dojrzałem w drzwiach naszego gospodarza, Randy'ego, z osłupiałą i niedowierzającą miną.

— To był t e n Brady? — spytał bez tchu. — Ten Brady? I nie miał nic do zarzucenia?

— To była Greta Garbo — powiedział Sheriton. — Proszę cię, Randy, wyjdź.

Powiniem ciągnąć dalej w tym krzepiącym tonie opowieść o tym, jak młodzi ludzie Sheritona znów zabierają Barleya, jak idą z nim na plażę i żartują, jak mu pokazują plan Leningradu i mozolnie namierzają ten sklep, w którym kupił czapkę dla panny Coad, dowiadują się, jak za nią zapłacił i gdzie się mógł podziąć kwit, jeżeli w ogóle był, i czy Barley ją zadeklarował na cle w Gatwick, i znajdują pocztę, z której musiał dzwonić.

Powiniem też opisać, ile nadliczbowych godzin razem z Nedem przesiedziałem wieczorami pod przystanią Barleya szukając sposobu, jak by go wyrwać z rozmyślań, i tego sposobu nie znajdując.

Gdyż Barley się odsunął od nas — co już wtedy czułem — i odsuwał się coraz bardziej, wcale nie od tej chwili, kiedy się zgodził poddać przesłuchaniom. Stał się samotnym pielgrzymem, ale dokąd zmierzał? I skąd? I dla kogo?

Potem przychodzi rano następnego dnia — cały w skowronkach, jak tutaj mówią, chyba czwartek, kiedy mały samolot z lotniska w Logan przywiózł Merva i Stanleya na ich ulubione śniadanie złożone z naleśników, bekonu i najprawdziwszego syropu klonowego.

Kuchnia Randy'ego dobrze знаła ich upodobania.

Były to niedźwiedziowate pocziwe kmiotki o twarzach jak z pumeksu i wielkich łapach i gdy się pojawili, wyglądali jak duet z wodewilu, w miękkich kapeluszach z ciemnego filcu i zgarbieni pod ciężarem komiwojażerskich waliz, których nie spuszczała z oka przy jedzeniu, a potem niezręcznie ustawili na czerwono pomalowanej podłodze pokoju bilardowego.

Wykonywany zawód wpłynął przytępiająco na wyraz ich twarzy, były to typy, jakie i nasza służba najbardziej lubi — otwartych i lojalnych szeregowców, którzy pilnują pracy i utrzymują dzieci, kochają ojczyznę i nie robią z tego wielkiej sprawy.

Merv miał włosy tak przystrzyżone, że wyglądały jak puszek na barchanie. Stanley miał krzywe nogi i w klapie nosił odznakę za lojalność.

— Panie Brown, mógłby pan być samym Jezusem Chrystusem. Mógłby pan być stenotypistą o rekordowej wydajności — powiedział Sheriton, kiedy stanęliśmy kołem w przystani Barleya z tą podstępą prośbą. — To są czary, alchemia, wywoływanie duchów, to jest jak kretyńskie wróżenie z fusów. I zginął pan, jak nie wyjdzie pan z tego czysty.

Po nim przemówił Clive. Clive na wszystko potrafił znaleźć racje.

— Jeżeli nie ma nic do ukrycia, to o co ma się martwić? — powie dział. — To jest ich wersja rozporządzenia o tajemnicy służbowej.

— Co na to Ned? — zapytał Barley.

Już nie Nedski, Ned.

W odpowiedzi Neda było poczucie klęski, którego nigdy nie zapomnę,

tak samo w jego oczach. Przesłuchanie Barleya w wykonaniu Brady'ego zachwiało jego wiarę w siebie, a nawet we własnego agenta.

— Sam wybrałeś — powiedział niepewnie. I dodał jakby do siebie: — Paskudnie, jak już mnie pytasz.

Barley zwrócił się do mnie, zupełnie tak jak już kiedyś, kiedy go pierwszy raz spytałem, czy się podda przesłuchaniu Amerykanów.

— Co mam zrobić, Harry?

Dlaczego nalegał, żebym się wypowiedział? To było nieuczciwe. Miałem chyba równie głupią minę jak Ned. A na pewno tak się czułem, choć udało mi się beztrząsco wzruszyć ramionami.

— Albo zrób, co chcą, i miej to z głowy, albo każ im iść do diabła. Ty decydujesz — odpowiedziałem prawie tak samo jak za pierwszym razem.

Nieodmienny prawnik.

Znów milczenie Barleya. Jego niezdecydowanie powoli ustępuje rezygnacji. Mur między nami, kiedy spogląda przez okno na morze.

— No, miejmy nadzieję, że mnie nie przyłapią na mówieniu prawdy — powiedział.

Wstaje, rusza dłońmi w nadgarstkach, rozluźnia barki, a my, pozostali, jak lokaje, płochliwymi spojrzzeniami i skinieniami upewniamy się, że nasz pan powiedział „tak”.

Merv i Stanley odznaczali się przy wykonywaniu swojej pracy pełną szacunku zwinnością katów. To krzesło albo przywieźli ze sobą, albo też na wyspie stałe dla nich takie trzymano: był to prosty drewniany tron z powycinaną w ząbki poręczą z lewej strony. Merv ustawił je w pobliżu elektrycznego gniazdka, w czasie gdy Stanley przemawiał do Barleya tonem dziadka:

— Panie Brown, to nie jest sytuacja, w której należałoby się spodziewać wrogości. Chcielibyśmy, żeby stosunek do pytających panu nie przeszkadzał. Pytający nie jest pańskim przeciwnikiem, to bezstronny funkcjonariusz, to mechanizm wykonujący pracę. Zechce pan zdjąć marynarkę, nie ma potrzeby zawijać rękawów ani rozpinąć guzików, dziękuję. Teraz proszę spokojnie, proszę się rozluźnić.

W tym samym czasie Merv z największą ostrożnością owinał rękawem do mierzenia ciśnienia lewy biceps Barleya, aż w zgięciu łokcia wystąpiła mu wyraźnie arteria. Następnie napompował rękaw, aż tarcza wskazała pięćdziesiąt miligramów, a Stanley z oddaniem bokerskiego sekundanta owinał pierś Barleya gumową rurką o przekroju jednego cala, ostrożnie omijając brodawki piersi, żeby go nie ocierała. Potem Stanley drugą rurkę umieścił Barleyowi na brzuchu, a Merv wsunął mu na dwa środkowe palce lewej dłoni dwupalcową rękawiczkę z elektrodą w środku, rejestrującą reakcję gruczołów potnych i zmiany temperatury ciała, których badany nie kontroluje, założyw-

szy, że ma sumienie — jak głoszą neofici, co mi Stanley z góry wytłumaczył, całkiem jak zainteresowanemu krewnemu, który zasięga informacji o szczegółach zabiegu, jakiemu ma być poddany ktoś bliski. Są tacy poligraficy, Harry, którzy lubią na dodatek zakładać opaskę wokół głowy, jak przy badaniu encefalografem. Ale nie Stanley. Niektórzy poligraficy lubią wrzeszczeć i wściekać się na przesłuchiwanego. Ale nie Stanley. Stanley uważał, że wielu ludzi denerwują napastliwe pytania niezależnie od tego, czy są winni, czy nie.

— Panie Brown, prosimy, żeby się pan nie poruszał, żadnych ruchów, ani szybkich, ani wolnych — mówił Merv. — Przy takim ruchu możemy mieć gwałtowne zakłócenia zapisu, co powoduje konieczność dalszych badań i powtarzanie pytań. Dziękuję. Najpierw chcemy ustalić normę. Za normę uważamy poziom natężenia głosu, poziom reakcji fizycznej, proszę sobie wyobrazić sejsmograf, pan jest ziemią i powoduje zakłócenia. Dziękuję panu. Odpowiedzi mają brzmieć tylko tak lub nie i proszę odpowiadać zgodnie z prawdą. Przerwywamy po każdym ośmiu pytaniach, żeby rozluźnić nacisk opaski i oszczędzić panu niewygody. Kiedy opaska będzie rozluźniona, prowadzimy normalną rozmowę, ale proszę bez żadnych dowcipów, żadnej niepożądaney ekscytacji. Czy pan się nazywa Brown?

— Nie.

— Nosi pan inne nazwisko niż to, którego pan używa?

— Tak.

— Czy jest pan z urodzenia Brytyjczykiem, panie Brown?

— Tak.

— Przyleciał pan tu samolotem, panie Brown?

— Tak.

— Przyłynął pan tu łodzią?

— Nie.

— Czy dotąd odpowiadał pan zgodnie z prawdą, panie Brown?

— Tak.

— Czy na wszystkie pozostałe pytania tego testu zamierza pan odpowiedzieć zgodnie z prawdą, panie Brown?

— Tak.

— Dziękuję — powiedział Merv z miłym uśmiechem, podczas gdy Stanley wypuszczał powietrze z rękawa. — Te pytania nazywamy ubocznymi. Żonaty?

— W tej chwili nie.

— Dzieci?

— Obecnie dwoje.

— Chłopcy czy dziewczynki?

— Po jednym.

— Mądry chłop. W porządku? — Wziął się do pompowania powietrza od nowa. — Teraz pytania istotne. Spokojnie. Tak dobrze. Tak bardzo dobrze.

W otwartej walizce cztery upiorne druciane szpony rysowały na specjalnym papierze cztery wykresy kolorem lila, a cztery czarne wskazówki kiwały się na swoich tarczach. Merv wziął arkusz z pytaniami i usadowił się obok Barleya przy stoliku. Nawet Russellowi Sheritonowi nie pozwolono się zapoznać z pytaniami wybranymi przez bezimiennych inkwizytorów zza biurka w Langley. Niedopuszczalne było, aby którykolwiek z ziemskich współmieszkańców Barleya bodaj oddechem przypadkowo zakłócił mistyczne moce skrzynki.

Merv mówił beznamiętnym tonem. Byłem pewien, że się szczyli obojętnością głosu. Był Miarą Czasu. Był Instytutem Kontroli w Houston.

— Świadomie uczestniczę w spisku, który ma na celu dostarczanie nieprawdziwych informacji służbom wywiadowczym Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych Ameryki. Tak, uczestniczę w nim. Nie, nie uczestniczę.

— Nie.

— Moim motywem jest dążenie do pokoju między narodami. Tak lub nie?

— Nie.

— Działam w zмовie z wywiadem sowieckim.

— Nie.

— Dumny jestem ze swej misji na rzecz światowego komunizmu.

— Nie.

— Działam w zмовie z Nikim Landauem.

— Nie.

— Niki Landau to mój kochanek.

— Nie.

— Był moim kochankiem.

— Nie.

— Jestem homoseksualistą.

— Nie.

Przerwa, w czasie której Stanley znowu zmniejszył ciśnienie.

— Jak pan to znosi, panie Brown? Nie za bardzo dokucza?

— Wszystko mało, stary. Wspaniale mi to robi.

Zauważyłem jednak, żeśmy na niego nie patrzyli w czasie tych przerw. Patrzyliśmy w podłogę albo na własne ręce, albo na kiwające się, przygięte wiatrem drzewa za oknem. Teraz kolej Stanleya. Ciepleszy ton, ale tak samo mechanicznie płaski.

— Działam w zмовie z kobietą Katią Orłowa i jej kochankiem.

— Nie.

— Wiem, że mężczyzna zwany przeze mnie Goethe jest wtyczką sowieckiego wywiadu.

— Nie.

— Materiał, jaki mi przekazał, jest spreparowany przez sowiecki wywiad.

- Nie.
- Jestem ofiarą uwikłań seksualnych.
- Nie.
- Jestem ofiarą szantażu.
- Nie.
- Jestem ofiarą przemocy.
- Tak.
- Sowieckiej?
- Nie.
- Zagrożono mi ruiną finansową, jeśli nie będę współpracował z Sowietami.
- Nie.

Nowa przerwa. Trzecia runda. Kolej Merva.

- Skłamałem mówiąc, że dzwoniłem do Katii Orłowej z Leningradu.
- Nie.
- Z Leningradu dzwoniłem do swego sowieckiego szefa i opowiedziałem mu o dyskusji z Goethem.

- Nie.
- Jestem kochankiem Katii Orłowej.
- Nie.
- Byłem kiedyś kochankiem Katii Orłowej.
- Nie.
- Szantażowano mnie moim stosunkiem z Katią Orłową.
- Nie.
- Zeznawałem dotąd prawdę w czasie tego przesłuchania.
- Tak.
- Jestem wrogiem Stanów Zjednoczonych Ameryki.

— Nie.
— Moim celem jest osłabić gotowość militarną Stanów Zjednoczonych Ameryki.

— Możesz przelecieć to ze mną jeszcze raz, stary?

— Stop — powiedział Merv i Stanley zatrzymał mechanizm, a Merv zaznaczył coś ołówkiem na papierowej taśmie. — Proszę nie zakłócać rytmu, panie Brown. Znamy takich, co robią to celowo, żeby uniknąć trudnego pytania.

Runda czwarta i znów kolej na Stanleya. Pytania monotonnie dudniły dalej i jasne było, że się nie skończą, zanim nie osiągną szczytu wulgarności. „Nie” Barleya nabrały głuchego rytmu i szyderczej bierności. Siedział dokładnie tak, jak go posadzili, nigdy nie oglądałem go tak długo nieruchomego.

Znowu przerwali, ale Barley już się nie odprężył między rundami. Jego nieruchomość stała się nie do zniesienia. Podbródek trzymał uniesiony, oczy zamknięte i zdawało się, że się uśmiecha. Jeden Bóg wie, z jakiego powodu.

Czasami jego „nie” padało jeszcze przed końcem pytania. Czasami tak długo czekał, aż tamci przerywali i unosili oczy, jeden znad swoich zegarów, a drugi znad papierów, tak że wydało mi się, że trapi ich niepokój katów, czy czasem nie przecenili odporności ofiary. Aż wreszcie znów padało „nie”, ani głośniejsze, ani cichsze, jak list wrzucony do skrzynki.

Skąd on czerpie ten stoicyzm? Na wszystko nie, nie. Dlaczego siedzi jak człowiek, który się przygotowuje na upokorzenia starości i potulnie bąka „nie”? Co znaczy ta potulność, nie, tak, nie, nie, aż do obiadu, kiedy odłączają go od maszyny?

Ale sądzę, że w innym zakamarku myśli znałem odpowiedź na to pytanie, nawet jeśli jej nie umiałem ująć w słowa: jego rzeczywistość przesunęła się gdzie indziej.

Praca w wywiadzie to czekanie.

Czekaliśmy trzy dni i jeszcze dziś można by policzyć te godziny w moich siwych włosach. Podzieliłiśmy się według starszeństwa: Sheriton pojechał z Bobem, a Clive do Langley. Ned został ze swoim agentem na wyspie. Palfrey z nimi jako podpora, choć w czym miałbym ich wspierać, było dla mnie tajemnicą. Do tej pory zniecierliłem tę wyspę i o to samo podejrzewałem Neda i Barleya, choć nie łatwiej mi było zbliżyć się do Neda niż do Barleya. Zrobił się zamknięty i, jak na razie, bez humoru. Coś się stało z jego dumą.

Więc czekaliśmy. Graliśmy z roztertowaniem w szachy, rzadko kończąc partię. Słuchaliśmy gadaniny Randy'ego o jego jachcie. Nasłuchiwałem telefonu. Krzyku ptaków i pulsu morza.

Był to okres szaleństwa i kapryśna zmienność tego miejsca odosobnienia, jego dymiące niebo, burze lub chwile idyllicznego piękna potęgowały to szaleństwo. „Mgła lochów”, jak to nazwał Randy, osaczała nas ze wszystkich stron, a wraz z nią bezrozumny strach, że nigdy tej wyspy nie opuścimy. Mgła się roziała, ale myśmy tam nadal siedzieli. Wspólne życie powinno nas do siebie zbliżyć, ale oni obaj zamknęli się w swoich światach, Ned we własnym pokoju, a Barley na dworze. Wśród deszczu chłostającego wyspę jak grad kartaczy wyglądałem przez ociekające okno i chwilami widywałem Barleya, jak tłucze się po skałach w nieprzemakalnym stroju, unosząc kolana, jakby walczył z niewygodnym obuwiem, a raz jak samotnie pod strażą Edgara grał w krykieta kawałkiem drewna wyrzuconego przez morze i tenisową piłeczką. W przeblaskach słońca szpanował starą granatową marynarską czapkę, którą wygrzebał z jakiejś marynarskiej skrzyni w swoim pokoju. Nosił ją z ponurą miną, ze wzrokiem utkwionym w niezdobyte kolonie. Pewnego dnia Edgar się zjawił z jakimś starym żółtym psem, którego skądś wytrzasnął, i obaj z Barleyem kazali mu biegać od jednego do drugiego. Innego dnia u wybrzeża

lądu stałego odbywały się regaty i stadko białych jachtów zwarło się pierścieniem jak drobne ząbki. Barley stał i bez końca się przyglądał, na pozór zachwycony tym karnawalem, a Edgar z dala przyglądał się Barleyowi.

Myśli o swojej Hannie, pomyślałem. Czeka, aż życie mu przyniesie moment wyboru. Dopiero dużo później przyszło mi do głowy, że niektórzy ludzie niezupełnie tak podejmują swoje decyzje.

Ostatni obraz wyspy, jaki mi się utrwalił, ma dogodne zniekształcenia obrazu sennego. Tylko dwa razy rozmawiałem z Clive'em przez telefon, co on praktycznie wykreślił z pamięci. Raz chciał się dowiedzieć, „jak się miewają twoi przyjaciele”, i jak rozumiałem ze słów Neda, jego już pytał o to samo. A drugi raz, jakie poczyniłem przygotowania, żeby wynagrodzić Barleya, łącznie z subsydiami dla jego firmy, i czy te pieniądze będą pochodziły z naszych funduszy, czy też zostaną przekazane w formie zwrotu dodatkowych kosztów. Miałem ze sobą jakieś notatki i byłem w stanie go oświecić.

Jest południe i właśnie na stole oszklonej werandy pojawiły się „The New York Times”, i „Washington Post”. Pochylny nad nimi słyszę, jak Randy woła do strażników, żeby poprosili Neda do telefonu. Odwracając się widzę, jak sam Ned wchodzi od strony ogrodu i przemierza hall, kierując się do pokoju łączności. Rzucam okiem na niego, na podest pierwszego piętra, i widzę nieruchomą sylwetkę Barleya. Stoją tam jakieś stare szafy biblioteczne i Barley dzisiaj rano namówił Randy'ego, żeby je otworzył, bo chciał w nich pogrzebać. Jest to ten podest z półokrągłym oknem, tym, które nad geranium wychodzi na morze.

Stoi plecami odwrócony do mnie, w jednej długiej ręce trzyma książkę i patrzy na Atlantyk. Nogi rozstawił, wolną rękę trzyma uniesioną, jak to robi często, gdzieś tuż przy głowie, jakby osłaniał się przed ciosem. Musiał wszystko słyszeć, co się dzieje, wrzask Randy'ego, potem szybkie kroki Neda przez hall, a po nich trzaśnięcie drzwi do pokoju łączności. Podłoga na podeście jest z klepki i każdy krok po schodach słyhać jak skrzywienie kościelnych dzwonów. Słyszę te kroki w chwili, kiedy Ned wyłania się z pokoju łączności, robi kilka kroków i staje.

— Harry! Gdzie jest Barley?

— Tu, na górze — mówi spokojnie Barley znad balustrady.

— Darowali ci życie! — wrzeszczy Ned, uradowany jak uczeń. — Przepraszają. Rozmawiałem z Bobem, rozmawiałem z Clive'em, rozmawiałem z Hoggartym. Materiał Goethego jest najważniejszy, jaki mieli w łapach od wielu lat. To oficjalne. Przyjmują go w stu procentach. Już się nie wycofają. Wygrałeś z tym ich całym aparatem.

Ned już się zdążył przyzwyczać do roztargnienia Barleya, nie powinien więc być zdziwiony, gdy Barley niczym nie potwierdził, że go słyszy. Jego oczy nadal były utkwione w Atlantyku. Czy wydało mu się, że widzi, jak tonie jakiś mały statek? Każdemu tak się zdaje. Wystarczy się dość długo wpatrywać

w morze w Maine, a wszędzie się widzi takie statki: żagiel, kadłub, czasem punkt, głowę rozbitka albo rękę, jak się zanurza w kipieli, aby nigdy nie wychynąć na powierzchnię. Trzeba się długo przyglądać, żeby wiedzieć, że się patrzy na zajęte polowaniem rybołowy i kormorany.

Ale Ned w swoim podnieceniu potrafi czuć się dotknięty. To jeden z rzadkich momentów, kiedy jego zawodowa ostrożność opada i ukazuje człowieka, który ma jeszcze braki ogłady.

— Wracasz do Moskwy, Barley! Tego chciałeś, no nie? Rozgryźć to?

I wreszcie Barley, zatroskany, czy nie uraził uczuć Neda. Barley w półobrocie, tak żeby Ned zobaczył jego uśmiech.

— Tak, stary. Oczywiście. Tego właśnie chciałem.

Tymczasem kolej na mnie w pokoju łączności. Randy mnie wzywa.

— To ty, Palfrey?

— To ja.

— Langley przejmuje sprawę — mówi Clive, jakby to była druga część wielkiej nowiny. — Uznali, że jest warta zielonego światła na całej linii, Palfrey. Więcej już nie mogą — dodaje uspokajająco.

— To świetnie. Gratuluję — mówię i odsuwając słuchawkę od ucha spoglądam na nią z niedowierzaniem, gdy rozwlekły głos Clive'a sączy się z niej jak z kurka, którego nie da się dokręcić.

— Chciałbym, żebyś natychmiast spał warunki, Palfrey, i przygotował całą umowę przewidującą wszelkie ewentualności. Jedzą nam z ręki, liczę więc na to, że będziesz twardy. Twardy, ale uczciwy. Mamy do czynienia z realistami, Palfrey. Twardzielami.

Jeszcze. I jeszcze. I jeszcze Langley ma przejąć pensję Barleya i wyrównanie jego kosztów na poczet ich pełnej kontroli nad całą operacją. Langley ma mieć równy dostęp do meldunków agenta, ale w przypadku różnicy zdań rozstrzygający głos.

— Przygotowują listę zakupów na wielką skalę, Palfrey, wielki szlem. Przedstawią ją Departamentowi Stanu, Obronie, Pentagonowi i instytutom naukowym. Zbiorą najpoważniejsze aktualne zagadnienia i przedstawią Niebieskiemu Ptakowi. Znają ryzyko, ale to ich nie zraża. Bez ryzyka nie ma zysku, oto ich rozumowanie. Trzeba do tego odwagi.

Tym razem jest to władcza wersja jego głosu. Clive dostał wreszcie swoje Indie.

— Przy równowadze zaczepno-obronnej, Palfrey, nic się nie dzieje w próżni — tłumaczy wyniośle, cytując, co do czego nie mam wątpliwości, coś, co sam usłyszał godzinę temu. — To sprawa jak najściślejszego ze strojenia. Każde pytanie jest równie ważne jak odpowiedź. Wiedzą o tym. Widzą to wyraźnie. Nie mogą bardziej pochlebić agentowi jak przygotowując niczym nie obwarowany kwestionariusz. Czegoś takiego nie robili od wielu, wielu lat. To precedens. W każdym razie najświeższy precedens.

— Ned wie? — pytam, kiedy tylko mogę wtrącić słowo.

— Nie może. Nikt z nas nie może wiedzieć. Mówimy o najtajniejszych danych strategicznych.

— Chodzi mi o to, czy on wie, że podarowałeś im jego agenta.

— Chcę, żebyś natychmiast przyjechał do Langley i wytargował dla nas warunki ze swoimi odpowiednikami tutaj. Randy zorganizuje ci transport. Palfrey?

— Czy on wie? — powtarzam.

Ze strony Clive'a zapada jedno z tych telefonicznych milczeń, które człowiek może sobie tłumaczyć, jak chce, zgodnie ze swoimi wątpliwościami.

— Neda zapozna się z sytuacją, jak wróci do Londynu, dziękuję ci. To i tak będzie dosyć wcześnie. Do tej pory liczę, że mu nic nie powiesz. Uszanuję się rolę Naszej Rosji. Sheriton ceni sobie to ogniwo. Zostanie nawet poszerzo ne pod pewnymi względami, może na stałe. Ned powinien być wdzięczny.

Tej nowiny nigdzie nie przyjęto z większą radością jak w specjalistycznej angielskiej prasie. „Małżeństwo z przyszłością” otrąbiły „Booknews” parę tygodni później w dodatku wydanym z okazji moskiewskich targów książki. „Dawno zapowiadana fuzja Abercrombie-Blair z Norfolk Street na Strandzie z firmą Potomak Traders Inc. w Bostonie, Massachusetts, już DZIAŁA! Bogaty przemysłowiec Jack Henziger wreszcie wystąpił obok Barleya Scotta Blaira z A-B w nowo połączonej firmie Potomak-Blair, która planuje przebojową kampanię na chłonnych rynkach Bloku Wschodniego. »To okno na przyszłość*, oświadcza pełen wiary Henziger.

Targi moskiewskie. Tam uderzą!"

Tej reklamie towarzyszyło ujmujące zdjęcie Barleya i Jacka Henziguera podających sobie ręce nad wazonem kwiatów. Zdjęcie zrobił fotograf resortowy w lokalu konspiracyjnym przy Knightsbridge. Kwiaty zostały zakupione przez pannę Coad.

Z Hanną spotkałem się na drugi dzień po powrocie z wyspy i założyłem sobie, że będziemy się kochać. Wydała mi się wysoka i złocista, jak wygląda zawsze, kiedy jakiś czas jej nie widzę. Czwartek, szła więc ze swoim czternastoletnim synem Gilesem do jakiegoś konowała na tyłach Harley Street. Gilesem nigdy się nie przejmowałem, może dlatego, że wiedziałem, że poczęty został na złość, zbyt wcześnie po tym, jak ją odesłałem do Dereka. Siedzieliśmy w naszej podłej kawiarni pijąc zatechłą herbatę w czasie, kiedy czekała, aż Giles wyjdzie, i paliła, czego nie cierpię. Ale pragnąłem jej i wiedziała o tym.

— Gdzie w Ameryce? — zapytała, jakby to miało jakieś znaczenie.

— Nie wiem. Na jakiejś wyspie pełnej rybołówów i deszczu.

— Założę się, że to nie były prawdziwe rybołowy.
— Prawdę mówiąc były. Tam są to ptaki pospolite.
I po napięciu w jej oczach poznałem, że ona też mnie pragnie.
— Tak czy owak, muszę odwieźć Gilesa do domu — powiedziała, kiedyśmy już na tyle zgłębili swoje myśli.
— Wsadź go w taksówkę — zaproponowałem.
Ale tymczasem znów znaleźliśmy się po przeciwnych stronach i moment minął.

13

O dziesiątej w niedzielny rano Katia zabrała Barleya sprzed olbrzymiego hotelu „Mieżdunardnaja”, gdzie się zatrzymali na nalegania Henzigera. Przybysze z Zachodu znają ten hotel jako „Mież”. Obaj, Wicklow i Henziger, siedzący w pompatycznym wielkim hallu hotelowym, byli świadkami ich szczęśliwego powitania i odjazdu.

Dzień był piękny, pachnący jesienią, i Barley wcześniej zaczął na nią czekać, stercząc na podjeździe wśród ślepych limuzyn systematycznie zabierających lub wypływających wódzów Trzeciego Świata. Potem wreszcie wyskoczyła spośród nich jej czerwona łada jak wybuch śmiechu na pogrzebie, z białą ręką Anny powiewającą z tylnego okna jak chusteczka i Siergiejem obok niej, wyprostowanym jak komisarz i tułącym siatkę na ryby.

Dla Barleya było istotne, że najpierw dostrzegł dzieci. Myślał o tym i postanowił sprawdzić, czy są, bo teraz już nie było rzeczy nieważnych, nic nie należało zostawiać przypadkowi. Dopiero kiedy entuzjastycznie pomachał im obojgu i wykrzywił się do Anny przez tylną szybę, pozwolił sobie zajrzeć na przednie siedzenie, gdzie na miejscu przy kierowcy siedział zwaliście wujek Matwiej z gładką brązową twarzą lśniąca jak kasztan i oczyma marynarza błyskającymi spod daszka kraciatej czapki. Nie zważając na pogodę Matwiej włożył na cześć wielkiego Anglika najlepsze ubranie, marynarkę w prążki, wyjściowe buty i muszkę. Skrzyżowane emaliowane flagi rewolucji miał wpięte w klapę. Opuścił szybę, a Barley sięgnął nad nią i złapał go za rękę wołając: „Halo, halo” — kilka razy. Dopiero wtedy odważył się spojrzeć na Katię. I wtedy poczuł dziurę w głowie, jakby zapomniał swojej roli albo legendy, albo po prostu tego, jaka Katia jest piękna, i na koniec wciągnął na maszt uśmiech.

Ale Katia wcale nie była taka powściągliwa.

Wyskoczyła z samochodu w źle skrojonych spodniach, w których wyglądała cudownie. Obiegła wóz dokoła, śpiesząc się do niego i promieniejąc szczęściem i zaufaniem. Krzyknęła „Barley!” — i zanim go dopadła, rozłożyła ramiona tak szeroko, że ciało jej radośnie i bez zastanowienia otwarło się na

jego uścisk, który — jak wypadalo uczciwej Rosjance — dla przyzwoitości skróciła cofając się, choć nadal go trzymała, przyglądając się jego twarzy, włosom, lustrując jego staroświecki wycieczkowy strój, a jednocześnie nieprzerwanie papląc ze spontaniczną życzliwością.

— Ach, jak dobrze, Barley! Jak to wspaniale cię zobaczyć! — wołała. — Witaj na targach, witaj z powrotem w Moskwie! Matwiej nie mógł uwierzyć w twój telefon z Londynu. Powiedział: „Anglicy zawsze byli naszymi przyjaciółmi. Nauczyli Piotra żeglugi, a gdyby się jej nie nauczył, nie mielibyśmy dzisiaj naszej floty”. No, wiesz. Piotra Wielkiego. Matwiej żyje tylko dla Leningradu. Nie podziwiasz wspaniałego samochodu Wołodii? Taką mam satysfakcję, że nareszcie ma coś, co może kochać!

Puściła go, a on — z miną uszczęśliwionego idioty — wydał okrzyk „Boże, byłbym zapomniał!” — miał na myśli torby reklamowe, które oparł o ścianę hotelu przy wejściu — i, zanim pojawił się z nimi z powrotem, Matwiej zdołał wyleźć z auta, żeby mu zrobić miejsce z przodu, ale Barley nawet nie chciał o tym słyszeć.

— Nie, nie, nie, nie! Będzie mi wspaniale z bliźniętami! W każdym razie dziękuję, Matwiej. — Po czym wsunął tyłem swoje długie ciało na tylne siedzenie, jakby parkował przegubową ciężarówkę, rozdając jednocześnie paczki, a dzieciaki chichotały z podziwu. Ten olbrzym z Zachodu zgina się w tyłu miejscach i tyle jeszcze z niego sterczy, przywiózł nam angielskie czekoladki i szwedzkie kredki, i książeczki do kolorowania dla każdego po jednej i do spółki książki Beatrix Potter po angielsku, i nową piękną fajkę dla wujka Matwieja, którą, jak właśnie mówi Katia, tak się ucieszy, że trudno sobie wyobrazić, i woreczek angielskiego tytoniu.

A dla Katii tyle wszystkiego, że jej chyba wystarczy do końca życia: szminki i pulower, i perfumy, i jedwabny francuski szalik, za piękny, żeby go nosić.

Wszystko to w czasie, kiedy Katia odjeżdżała z podjazdu „Mież”, wydostając się na dziurawą jezdnię, i paplała o targach książki, jutro otwarcie, i niezbyt celnie lawirowała między kraterami dziur wypełnionymi wodą.

Jechali mniej więcej na wschód. Przed nimi wisało przyjazne, złote wrześnie słońce, w którego blasku nawet przedmieścia Moskwy były piękne. Znaleźli się na smutnej równinie moskiewskich przedmieść, wśród bezpieczeństwa pól, opuszczonych cerkwi i ogrodzonych transformatorów. Wzdłuż drogi tkwiły grupkami stare dachy jak domki kąpielowe, a ich rzeźbione szczyty i ogródki przypominały Barleyowi, jak zawsze, wiejskie stacyjki Anglii z jego młodości. Z przedniego siedzenia Matwiej truł wszystkich nową tająką, wyrażając zachwyt przez chmury dymu. Ale Katia była zbyt zajęta pokazywaniem okolicy, by mu poświęcić więcej uwagi.

— Za tym wzgórzem leży taka to a taka huta, Barley. A ten obskurny betonowy budynek z lewej to kołchoz.

— Wspaniale! — mówił Barley. — Fascynujące! Ach, co za dzień!

Anna wysypała kredki na kolana i odkryła, że po polizaniu zaostrome końce zostawiają mokre smugi farby. Siergiej nalegał, żeby je z powrotem włożyła do pudełka, a Barley próbował uspokoić dzieci, rysując w szkicowniku Anny zwierzęta do pokolorowania, tylko że moskiewskie drogi nie są łaskawe dla artystów.

— Nie zielona, głuptasie — mówił Annie. — Kto kiedy widział zieloną krowę? Katia, na litość boską, twoja córka myśli, że krowy są zielone.

— Och, Anna jest zupełnie niepraktyczna! — zawołała Katia ze śmiechem i szybko powiedziała coś przez ramię do Anny, a ta zachichotała patrząc na Barleya.

Wszystkiego tego trzeba było słuchać wśród nie ustającego monologu Matwieja, wybuchów radości Anny i niespokojnych wtędotów Siergieja, nie mówiąc już o wściekłym warkocie silnika małego samochodu, aż nikt już nic nie słyszał oprócz siebie. Nagle zjechali z drogi, skręcili na porośniętą trawą pole i na wzgórzu bez żadnej dróżki, pośród głośniejszych wybuchów śmiechu dzieci i samej Katii, podczas gdy Matwiej przytrzymywał jedną ręką czapkę, a drugą fajkę.

— Widzisz? — pytała Katia przekrzykując hałas, jak gdyby dowodziła swojej racji w długiej sprzeczce z kochankiem. — W Rosji można jechać do kładań tam, gdzie ci przyjdzie fantazja, pod warunkiem, że się nie wdzierasz na tereny naszych milionerów i członków rządu.

Wjechali na szczyt wzgórza wśród jeszcze bardziej szalonego śmiechu, wpadli na zagłębienie w trawie, wzniesli się znów jak łódka na fali, aż się na koniec wytoczyli na połą dróżkę nad strumieniem. Strumień zanurzał się w brzozywym zagajniku, dróżka biegła obok. Katia jakimś cudem zatrzymała samochód, wciskając hamulec, jakby zwalniała bieg sań. Byli sami w rajku ze strumieniem, na którym można budować tany, z brzegiem, na którym można rozłożyć się piknikiem, i miejscem do gry w palanta, gdzie musieli stanąć kolemy, by wydobyćmi z bagażnika kijem i piłką Siergieja jedno mogło rzucać, a drugie odbijać.

Anna, jak się szybko okazało, traktowała grę niepoważnie. Postawiła sobie za punkt honoru włożyć w to jak najwięcej śmiechu, po czym siadła do lunchu i flirtowała z Barleyem. Ale Siergiej żołnierz był wierzącym, a Matwiej żeglarz fanatykiem. Katia, rozkładając piknik, tłumaczyła mistyczne znaczenie palanta dla rozwoju zachodniej kultury.

— Matwiej twierdzi, że z palanta się wywodzi amerykański baseball i angielski krykiet. Uważa, że do was go przynieśli rosyjscy emigranci. Na pewno uważa też, że wynalazł go Piotr Wielki.

— Jeśli ma rację, będzie to koniec Imperium — stwierdził z powagą Barley.

Matwiej leży w trawie, wciąż coś potoczyście opowiada i pyka nową fajkę. Jego szczerze niebieskie oczy, wpatrzone w pełną chwały leningradzką

przeszość, płoną heroicznym blaskiem. Ale Katia słucha go jak radia, którego nie da się wyłączyć. Czasem podejmuje jakiś temat, a na resztę jest głucha. Odmaszerowuje łąką, włączy do samochodu i zamyka drzwi, po czym się zjawia w szortach i z ceratową torbą kanapek owiniętych w gazetę. Przygotowała kotlety na zimno, zimne kurczęta i pierożki z mięsem. Ma kiszzone ogórki i jajka na twardo. Przywiozła też piwo „Żiguli” w butelkach, Barley zaś szkocką, którą Matwiej raz po raz wznosi toasty na cześć jakiegoś nie istniejącego już monarchy, może samego Piotra Wielkiego.

Siergiej staje na brzegu i przeczesuje wodę siatką. Marzy o tym, wyjaśnia Katia, żeby złapać rybę i przyrządzić ją dla wszystkich, którzy tego po nim oczekują. Anna rysuje. Ostentacyjnie, odchylając się do tyłu, żeby wszyscy mogli podziwiać. Chce podarować Barleyowi własny portret, żeby powiesił go w swoim pokoju w Londynie.

— Pyta, czy jesteś żonaty — mówi Katia ulegając naleganiom córki.

— Nie, w tej chwili nie, ale zawsze jestem do wzięcia.

Anna pyta o coś jeszcze, ale Katia rumieni się i napomina córkę. Wypełniwszy obowiązki lojalnego poddanego Matwiej kładzie się na wznak z czapką na oczach i trzeszczy Bóg wie o czym, tyle tylko, że cokolwiek to jest, sprawia mu wielką przyjemność.

— Zaraz opowie o oblężeniu Leningradu! — woła Katia z czułym uśmiechem.

Chwila ciszy, w której spogląda na Barleya. Chce powiedzieć: teraz możemy porozmawiać.

Szara ciężarówka odjeżdża, no, nareszcie. Barley już od dłuższego czasu obserwował ją nad ramieniem Katii w nadziei, że należy do przyjaciół, ale pragnąc, żeby zostawiła ich w spokoju. Boczne szyby szoferki były ciemne od kurzu. Z ulgą zobaczył, że wytacza się na drogę, a następnie znika im z oczu i z pamięci.

— O, on się miewa b a r d z o dobrze — mówiła Katia. — Napisał do mnie długi list, wszystko mu idzie znakomicie. Chorował, ale już całkowicie wyzdrowiał, jestem pewna. Ma wiele spraw do omówienia z tobą i specjalnie przyjedzie do Moskwy podczas targów, żeby się z tobą spotkać i dowiedzieć, jak postępuje praca nad książką. Chciałby niedługo dostać część przygotowanego rękopisu, choćby stronę. Według mnie to by było niebezpieczne, ale jest taki niecierpliw. Czeka na propozycje co do tytułu, przekładu, nawet ilustracji. To będzie jeden z tych tyranów wśród autorów. Wkrótce wszystko potwierdzi, znajdzie też mieszkanie, gdzie się będziecie mogli spotkać. Chciałby sam wszystko przygotować, wyobrazasz sobie? Myślę, że masz na niego bardzo dobry wpływ.

Szukała czegoś w torebce. Po drugiej stronie brzoźowego zagajnika

zaparkował czerwony wóz, ale jej chyba wszystko było obojętne, poza własnym dobrym nastrojem.

— Osobiście uważam, że jego książka niedługo okaże się zbyteczna. Przy tak szybkim postępie rozmów rozbrojeniowych i w nowej atmosferze między narodowej współpracy wszystkie te okropności staną się niedługo przeszłością. Naturalnie, Amerykanie są wobec nas podejrzliwi. Lecz kiedy połączymy siły, możemy się rozbroić całkowicie i razem zapobiegać wszelkim dalszym kłopotom na świecie.

Mówiła swoim tonem dydaktycznym, nie cierpiącym sprzeciwu.

— Jakże zapobieżemy wszystkim dalszym kłopotom na świecie, jeśli nie będziemy mieli broni? — zaproponował Barley i za tę lekkomyślność został skarcony surowym spojrzeniem.

— Barley, mówisz jak człowiek Zachodu i pesymista — powiedziała wyjmując z torebki kopertę. — To nie ja, tylko ty powiedziałeś Jakobowi, że musimy eksperymentować z naturą ludzką.

Bez znacząca, zauważył Barley. Bez pieczętki. Tylko „Katia” cyrylicą, pismem, które wygląda na pismo Goethego, choć ktoś to wie? Coś go nagle ostrzegawczo tknęło, poczuł to w głowie i w ramionach jak truciznę, jak początek alergii.

— Z czego on wyzdrowiał? — zapytał.

— Był zdenerwowany, kiedyście się spotkali w Leningradzie?

— Obaj byliśmy. To ta pogoda — odpowiedział Barley, wciąż czekając na odpowiedź. Poza tym czuł się trochę pijany. Musiał coś zjeść.

— To dlatego, że chorował. Niedługo po waszym spotkaniu przeszedł poważne załamanie, było takie nagłe i ciężkie, że nawet jego koledzy nie wiedzieli, gdzie zniknął. Mieli najgorsze podejrzenia. Jak mi mówił zaufany przyjaciel, bali się, że może nie żyje.

— Nie wiedziałem, że ma jakichś zaufanych przyjaciół oprócz ciebie.

— Mnie wyznaczył jako swoją przedstawicielkę wobec ciebie. Naturalnie ma innych przyjaciół od innych spraw.

Wydobyła list, ale mu nie dała.

— To niezupełnie tak, jak mi przedtem mówiłaś — zaproponował słabo, wciąż walcząc z mnożącymi się symptomami podejrzliwości.

Była nieczuła na jego zastrzeżenia.

— Kto by mówił wszystko przy pierwszym spotkaniu? Trzeba się strzec. To normalne.

— Chyba masz rację — przyznał.

Anna skończyła autoportret i domagała się natychmiastowego uznania. Przedstawił ją, jak zbiera kwiaty na dachu.

— Nadzwyczajne! — wykrzyknął Barley. — Powiedz jej, że go powieszę nad kominkiem. Już wiem, gdzie. Po jednej stronie jest zdjęcie Anthei na nartach, a po drugiej Hala na żaglówce. Anny będzie w środku.

— Pyta, ile lat ma Hal — powiedziała Katia.

Musiał się zastanowić. Najpierw musiał sobie przypomnieć rok urodzenia Hala, potem obecny rok, a potem pracowicie odjął jeden od drugiego, walcząc przez cały czas z dzwonieniem w uszach.

— No więc Hal ma dwadzieścia cztery lata. I obawiam się, że się dosyć głupio ożenił.

Anna była rozczarowana. Patrzyła na nich z wyrzutem, kiedy Katia podjęła przerwana rozmowę.

— Jak się tylko dowiedziałam, że zniknął, próbowałam się z nim skontaktować zwykłą drogą, ale mi się nie udało. Byłam strasznie przygnębiona. — Wreszcie podała mu list z oczami płonącymi radością i ulgą. Biorąc od niej list, w rozrządzeniu przytrzymał jej dłoń, przeciwko czemu nie zaprotestowała. — Potem, osiem dni temu, tydzień minął wczoraj, czyli w sobotę, dokładnie dwa dni po twoim telefonie z Londynu, zadzwonił do mnie do domu Igor. „Mam dla ciebie leki. Umówmy się na kawę, to ci je przekażę”. Leki to nasz kod na list. Miał na myśli list od Jakowa. Byłam zdumiona i bardzo się ucieszyłam. Latami nie dostawałam od Jakowa listów. I to jeszcze takich!

— Kto to jest Igor? — spytał Barley, dosyć głośno, żeby zagłuszyć huczenie w głowie.

Było tego pięć stron dobrego, białego papieru nie do zdobycia, zapisanego porządnym, równym pismem. Barley nie wyobrażał sobie, że Goethe byłby zdolny sporządzić tak konwencjonalnie wyglądający dokument. Cofnęła rękę, ale łagodnie.

— Igor to przyjaciel Jakowa z Leningradu. Razem studiowali.

— Świetnie. A co robi teraz?

To pytanie sprawiło jej przykrość, czekała niecierpliwie, że on się ucieszy z listu, nawet jeśli mógł go ocenić tylko z wyglądu.

— Jest jakimś naukowcem w jednym z ministerstw. Jakie to ma znaczenie, gdzie pracuje Igor? Chcesz, żebym ci ten list przetłumaczyła, czy nie?

— A nazwisko?

Podawała mu nazwisko i mimo zmieszania ucieszył się jej szorstkością. Powinniśmy byli mieć dla siebie całe lata, pomyślał, nie godziny. Powinniśmy byli w dzieciństwie wrywać sobie włosy. Powinniśmy byli robić wszystko, czegośmy nigdy nie robili, zanim się stało za późno. Barley trzymał list, a ona beztrząsco uklękła na trawie za nim, jedną ręką dla równowagi oparta o jego ramię, podczas gdy drugą zza jego pleców wodziła po linijkach jednocześnie tłumacząc tekst. Czuł, jak jej piersi ocierają się o jego plecy. Czuł, jak wszystko się w nim uspokaja, jak te potworne wstępne podejrzenia ustępują miejsca rozsądnej analizie.

— Tu masz adres, tylko numer skrzynki, to normalne — powiedziała, czubkiem palca dotykając prawego górnego rogu. — Jest w takim specjalnym

szpitalu, może w specjalnym mieście. Pisał list w łóżku, widzisz, jak ładnie pisze, kiedy jest trzeźwy? Dał go przyjacielowi, który jechał do Moskwy. Ten przyjaciel oddał list Igorowi. To normalne. „Katiu, kochanie”, zwykle zaczyna inaczej, używa innych pieszczotliwych słów, to nieważne. „Złożyło mnie coś w rodzaju zapalenia wątroby, ale choroba wiele uczy, no i żyję”. To takie typowe dla niego od razu wyciągać morał. — Znów pociągnęła palcem. — Z tym słowem zapalenie wątroby wygląda jeszcze gorzej. Pisze „podrażnienie”.

— Pogorszenie — poprawił całkiem spokojnie Barley.

Dłoń na ramieniu ścisnęła go karcąco.

— Nieważne, jak jest dosłownie. Chcesz, żebym sprawdzała w słowniku? „Miałem wysoką temperaturę i okropne fantazje...”

— Halucynacje — poprawił Barley.

— „Gallucinacji” pisze... — zaczęła z wściekłością.

— Okay, zostaliśmy przy tym.

— „...ale już wyzdrowiałem i za dwa dni jadę na tydzień do zakładu dla rekonwalescentów nad morze”. Nie pisze, nad jakie morze, chyba nie musi. „Będę mógł robić wszystko, poza pić wódki, ale to jest taki biurokratyczny zakaz, którego jako porządny naukowiec nie będę długo przestrzegać”. I to typowe. Że tuż po zapaleniu wątroby myśli o wódce.

— Najzupełniej — zgodził się Barley, uśmiechając się, żeby jej sprawić przyjemność, i może po to, żeby samemu się pocieszyć.

Linijki biegly równusieńko, jak pisane na liniowanym papierze. Ani jednego skreślenia.

— „Gdyby tylko wszyscy Rosjanie mogli mieć dostęp do takich szpitali jak ten, jakże zdrowym bylibyśmy wkrótce narodem”. Zawsze jest idealistą, nawet w chorobie. „Pielęgniarki są takie piękne, a lekarze tacy młodzi i przystojni, że to bardziej przybytek miłości niż choroby”. Pisze tak, żebym była zazdrosna. Ale wiesz co? To zupełnie do niego niepodobne pisać, że ktoś jest szczęśliwy. Jaków to tragik. A nawet sceptyk. Chyba go też wyleczyli i ze złych nastrojów. „Wczoraj po raz pierwszy zażywałem ruchu, ale zaraz się poczułem wyczerpany jak dziecko. Potem leżałem na balkonie i nawet nieźle się opaliłem, bo usnąłem jak anioł z czystym sumieniem, jeśli nie liczyć tego, że tak źle cię traktuję i zawsze wykorzystuję”. I teraz parę słów o miłości, tego nie będę tłumaczyła.

— Zawsze to robi?

Roześmiała się.

— Mówiłam ci. Już samo to, że do mnie pisze, nie jest normalne. Od miesięcy, można nawet powiedzieć od lat, nie wspominał o naszej miłości, która teraz jest czysto duchowa. Myślę, że w chorobie stał się trochę sentymentalny, trzeba mu to wybaczyć. — Odwróciła w jego dłoni stronę

i znów ich ręce się spotkały, ale jego dłoń była zimna jak lód i Barley zdumiał się w duchu, że nic na ten temat nie wspomniała. — Teraz dochodzimy do pana Barleya. Do ciebie. Jest niesłychanie ostrożny. Nie wymienia cię z nazwiska. Choroba nie osłabiła przynajmniej jego dyskrecji. „Proszę cię, powiedz naszemu przyjacielowi, że za wszelką cenę postaram się z nim zobaczyć podczas jego wizyty, pod warunkiem, że dalej będę wracał do zdrowia. Niech przyniesie swój materiał, ja postaram się zrobić to samo. Muszę w tym tygodniu wygłosić wykład w Saratowie”, Igor mówi, że to akademia wojskowa. Jaków zawsze ma tam wykład we wrześniu, tyle się człowiek dowiaduje, jak ktoś jest chory... „I stamtąd przyjadę do Moskwy, jak tylko będę mógł. Jeżeli będziesz z nim wcześniej rozmawiała, powiedz mu, proszę, co następuje. Powiedz, żeby przyniósł wszystkie dalsze pytania, bo potem nie mam już zamiaru tym panom w szarych garniturach na nic odpowiadać. Powiedz mu, niech przyniesie pełną i wyczerpującą listę”.

Barley słuchał w milczeniu dalszych instrukcji Goethego, równie dobitnych jak w Leningradzie. W miarę jak słuchał, czarne chmury jego podejrzeń gęstniały dławiąc go tajemnym lękiem; wróciły mu mdłości.

Próbna stroniczka tłumaczenia, ale proszę w druku, o tyle więcej widać w druku — recytowała w imieniu Goethego.

Życzyłbym sobie wstępu pióra profesora Killiana ze Sztokholmu, niech się z nim skomunikuje jak najszybciej — czytała.

Czy masz już jakieś dalsze reakcje inteligencji? Bądź tak dobry i powiadom mnie o nich.

Data wydania. Goethe słyszał, że rynek jest najlepszy na jesieni, ale czy naprawdę trzeba czekać cały rok? — pytała za kochanka.

Jeszcze raz tytuł. A może „Największe kłamstwa świata”? Zapowiedź. Chcę zobaczyć projekt. I proszę wysłać jeden z pierwszych egzemplarzy doktor Dagmar Coştam w Stanfordzie i profesorowi Hermanowi Coştam w MIT...

Barley pracowicie zapisywał wszystko w notatniku na stronie, której dał nagłówek TARGI KSIĄŻKI.

— O czym jest reszta listu? — spytał.

Już go wsuwała do koperty.

— Mówiłam ci. Reszta to list miłosny. Osiągnął wewnętrzny spokój i pragnie w pełni odnowić dawne stosunki.

— Z tobą.

Przerwa, w której oceniała go wzrokiem.

— Myślę, Barley, że jesteś trochę dziecinny.

— Więc kochankowie? — nalegał Barley. — I odtąd żyli długo i szczęśliwie.

O to chodzi?

— Kiedyś się bał odpowiedzialności. Teraz nie. Tak pisze, ale oczywiście nie wchodzi to w rachubę. Co było, to było. Nie wróci.

— Więc dlaczego o tym pisze? — pytał z uporem Barley.

— Nie wiem.

— Wierzysz mu?

Już miała się na serio na niego rozgniewać, ale dojrzała w jego twarzy coś, co nie było ani zazdrością, ani wrogością, tylko wielką, prawie przerażającą troską o jej bezpieczeństwo.

— Miałby cię bajerować dlatego, że jest chory? Przecież na ogół się nie bawi niczymi uczuciami? Szczyci się tym, że mówi prawdę.

I wciąż jego przenikliwy wzrok nie mógł się oderwać ani od niej, ani od listu.

— Jest osamotniony — stwierdziła opiekuńczo — Tęskni za mną, więc przesadza. To normalne, Barley, myślę, że jesteś trochę...

Albo nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa, albo po namyśle postanowiła go nie użyć, więc Barley podsunął jej sam:

— ...zazdrosny.

I udało mu się to, na co, jak wiedział, czekała. Uśmiechnął się. Sklecił szczery uśmiech bezinteresownej przyjaźni, uścisnął jej rękę i dźwignął się na nogi.

— To, co pisze, brzmi fantastycznie — powiedział. — Cieszę się. Z jego powrotu do zdrowia.

I tak było. Co do słowa. Pochwyił ton szczerego przekonania we własnym głosie, szybko kierując wzrok na czerwony samochód zaparkowany za brzoźowym zagajnikiem.

Potem ku zachwytowi wszystkich Barley szybko wcielił się w rolę weekendowego ojca, do której szczodrze go wyposażyło jego rozdarte życie. Siergiej chce, żeby spróbował szczęścia w łowieniu ryb. Anna pyta, dlaczego nie przywiózł kąpielówek. Matwiej usnął, uśmiechnięty do whisky i własnych wspomnień. Katia w szortach stoi w wodzie. Wydaje mu się piękniejsza niż kiedykolwiek i bardziej daleka. Nawet kiedy zbiera kamienie na tamę, jest najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu.

Ale nikt ciężiej nie pracował nad zbudowaniem tamy niż Barley tego popołudnia, nikt lepiej nie wiedział, jak zatrzymać wodę. Zawija swoje bezsensowne spodnie z szarej flaneli i moczy je aż do kroku. Jest na pół żywy od dźwigania patyków i kamieni z Anną na plecach dyrygującą całym przedsięwzięciem. Siergiejowi podoba się jego rzeczowe podejście. Katii jego romantyczny rozmach. Na miejsce czerwonego przyjeżdża biały wóz. Drzwi są otwarte; siedzi w nim jakaś parka coś tam jedząc. Dzieci za namową Barleya stają na szczycie wzgórza i machają do tamtych, ale oni nie odpowiadają.

Zapada wieczór i zapach jesiennych ognisk filtruje się przez usychające brzoźowe liście. Moskwa znów jest drewniana i płonie. Kiedy pakują rzeczy do samochodu, górami przelatuje para dzikich gęsi i są to dwie ostatnie gęsi na świecie.

W drodze powrotnej do hotelu Anna zasypia na kolanach Barleya, Matwiej gawędzi, a Siergiej marszczy się nad stronicami „Squirrel Nutkin”, jakby to był manifest partii.

— Kiedy będziesz z nim teraz rozmawiała? — pyta Barley.

— To ustalone — odpowiada mu enigmatycznie.

— Igor ustalał?

— Igor nic nie ustala. Igor jest kurierem.

— Nowym kurierem — poprawia ją.

— Igor jest starym znajomym i nowym kurierem. Dlaczego nie?

Zerka na niego i odgaduje jego intencję.

— Nie możesz iść do szpitala, Barley. To dla ciebie niebezpieczne.

— I dla ciebie to nie zabawa — odpowiada.

Ona wie, pomyślał. Wie, ale nie wie, że wie. Widzi już symptomy, jakaś jej część postawiła diagnozę. Ale ta reszta nie chce przyznać, że nie wszystko tu gra.

Anglo-amerykański pokój sytuacyjny nie był już dawną nędzną piwnicą na Victorii, lecz pełną światła mansardą w zgrabnym, nowo wzniesionym drapaczu chmur za Grosvenor Square. Przyjęli szyld Międzysojusznicej Grupy Pojednawczej i na straży placówki postawili pojednawczych amerykańskich marines po cywilnemu. Panował tu nastrój podniecającej rzeczowości, kiedy poszerzony zespół schludnych młodych mężczyzn i kobiet uwijał się między czystymi biurkami, odpowiadał na migające telefony, na zastrzeżonych liniach rozmawiał z Langley, przekazywał papiery, stukał w bezgłośnie maszyny do pisania albo beczynn timer czekał w pełnych czujności chwilach odprężenia przed rzędami monitorów, które zastąpiły parę bliźniaczych zegarów ze starej Naszej Rosji,

Piętro było dwupoziomowe i Ned z Sheritonem siedzieli obok siebie na zamkniętej galerii, a pod nimi, po drugiej stronie dźwiękoszczelnej szyby, ich nierówne zespoły pełniły swoje obowiązki. Brock i Emma pod jedną ścianą, Bob, Johnny i ich drużyny pod drugą i w środkowym rzędzie. Ale łączył ich wspólny cel. Wszyscy z wyrazem tej samej obowiązkowej pilności wpatrywali się w te same rzędy ekranów, które migotały jak giełdowe notowania, wyświetlając automatyczne odczyty szyfrów.

— Ciężarówka wróciła bezpiecznie — powiedział Sheriton, kiedy raptownie z ekranów wszystko znikło i zajaśniało na nich słowo-szyfr KORSARZ.

Sama ta ciężarówka była cudem penetracji.

Nasza ciężarówka! W Moskwie! My! Po angielsku nazwano by ją łorą, ale tu jako własność Amerykanów była ciężarówką. Jej pozyskanie i przerzut to była cała olbrzymia oddzielna operacja. Był to wóz typu kamaz, brudnoszary olbrzym z bazy samochodowej należącej do Sowtransawto, stąd

inicjały wymalowane łacińskim alfabetem na brudnej burcie. Zwerbowała ją, razem z kierowcą, potężna filia Agencji w Monachium podczas jednego z licznych wypadów tej ciężarówki do Niemiec zachodnich po luksusowy towar dla moskiewskiej garstki uprzywilejowanych, którzy mają dostęp do specjalnego sklepu. We wnętrzościach tej ciężarówki telepało się wszystko — od zachodnich butów po zachodnie uszczelki do zapasowych części zachodnich samochodów. Co do kierowcy, był to jeden z długodystansowców, bo pod takim mianem znani są w Rosji ci nieszczęśnicy, nędznie płatni, pracownicy państwowi, bez ubezpieczenia od choroby czy wypadku na Zachodzie, nawet w środku zimy po stoicku skuleni pod dachami powierzonych sobie olbrzymów, żywiący się kielbasą, sypiający po paru w pozbawionych wygod szoferkach — ale robiący, przynajmniej jak na Rosję, niezłe fortuny na możliwościach, jakie im daje wyjazd na Zachód.

A teraz, w zamian za korzyści nieporównanie większe, ten konkretny długodystansowiec zgodził się „wypożyczyć” swoją ciężarówkę „zachodniemu przedsiębiorcy” tu, nć, miejscu, w samym sercu Moskwy. I tenże przedsiębiorca, jeden z prywatnej armii „toptunów” Cy’ego, wynajął ją dla Cy’ego, który z kolei nafaszerował ją wszelkiego rodzaju wymyślnym przenośnym sprzętem do namiaru i podsłuchu, uprzątniętym następnie przed zwrotem ciężarówki legalnemu właścicielowi przez pośredników.

Czegoś takiego jeszcze nie było. Własny zakonspirowany lokal na kótkach tu, w Moskwie!

Jeden Ned uznał ten pomysł za niepewny. Długodystansowcy pracowali parami, już Ned wiedział najlepiej. Na mocy zarządzenia KGB te pary nie były zgodne i w wielu przypadkach jeden miał obowiązek donosić na drugiego. Ale kiedy Ned spytał, czy mógłby się zapoznać z dokumentacją operacji, spotkał się z odmową na podstawie tych samych reguł bezpieczeństwa, których przestrzegał sam.

Najefektowniejsza jednak sztuczka z nowego arsenału Langley czekała jeszcze na odkrycie i znów Ned nie był w stanie nic jej zarzucić. Od tej chwili nagrania z Moskwy miały być kodowane w różnych szyfrach przy częstotliwości impulsu równej jednej tysięcznej tej, jakiej trzeba na odtworzenie taśmy, gdy się ją przesłuchuje u siebie w domu. Ale po powtórny przetworzeniu tych impulsów w dźwięk przez stację odbioru nikt nie pozna, jakiej obróbce taśmy były poddane.

Słowo „czekać” piętrzyło się w niezgorsze piramidy. Praca w wywiadzie to czekanie.

W to miejsce przyszedł dźwięk.

Praca w wywiadzie to słuchanie.

Ned i Sheriton nałożyli słuchawki, ja i Clive wsunęliśmy się na zapasowe krzesła za nimi i włożyliśmy swoje.

Katia usiadła zamyślona na łóżku, wpatrzona w telefon, nie chcąc, żeby znów zadzwonił.

Dlaczego podałeś swoje nazwisko? Nikt z nas nie podaje nazwiska, pytała go w myśli.

Dlaczego wymieniałeś moje?

— To Katia? Jak się masz? Mówi Igor. Chcę ci tylko powiedzieć, że nie miałem już żadnej wiadomości od niego. W porządku?

To po co dzwonisz? Żeby mi nic nie powiedzieć?

— O tej samej godzinie co zawsze, dobrze? I tam, gdzie zawsze. Bez problemu. Tak jak przedtem.

Po co powtarzasz to, co powtarzania nie wymaga, kiedy ci już powiedziałam, że będę w szpitalu o umówionej godzinie?

— Do tego czasu będzie znał swoją sytuację, będzie wiedział, na który samolot się zabierze, wszystko. A więc nie masz się o co martwić. Co z tym twoim wydawcą? Zjawił się, tak jak miał się zjawić?

— Igor, nie wiem, o jakim mówisz wydawcy.

I przerwała połączenie, zanim zdążył powiedzieć coś więcej.

Jestem niewdzięczna, zganiała się. Kiedy ktoś zachoruje, to normalne, że skrzykują się starzy przyjaciele. A jeśli który sam się z dnia na dzień awansuje z przypadkowego znajomego na starego przyjaciela i pcha się na pierwszy plan, chociaż przez lata ledwie się do ciebie odzywał, to przecież też dowód lojalności i nic w tym złego, nawet jeśli nie dalej jak pół roku temu Jaków twierdził, że Igor jest niepoprawny. „Igor dalej idzie drogą, którą ja dawno porzuciłem” — zauważył po przypadkowym spotkaniu na ulicy. „Igor za dużo pyta”.

Tymczasem Igor występuje jako najbliższy przyjaciel Jakowa i naraża się dla niego na różne sposoby. „Jeżeli masz list do Jakowa, to po prostu mi go daj. Nawiązałem świetny kontakt z tym sanatorium. Znam kogoś, kto tam jeździ prawie co tydzień”, powiedział przy ostatnim spotkaniu.

— Sanatorium?! — wykrzyknęła w podnieceniu. — To gdzie on jest? Gdzie jest to sanatorium?

Ale Igor jakby nie obmyślił jeszcze odpowiedzi na to pytanie, zmarszczył się bowiem, najwyraźniej zmieszany, i powołał się na tajemnicę państwową. My i tajemnica państwowa, przecież właśnie tajemnice państwowe ujawniamy całemu światu!

Jestem dla niego niesprawiedliwa, pomyślała. Wszędzie doszukuję się podstępów. U Igora, nawet u Barleya.

Barley. Zmarszczyła brwi. Jakim prawem krytykuje oświadczyni Jakowa? Jak mu się zdaje, kim on jest, ten człowiek z Zachodu o ujmujących manierach i cynicznych podejrzaniach? Jak szybko się spoufalił i udaje Pana Boga przed Matwiejem i dziećmi.

Nigdy nie należy ufać człowiekowi wychowanemu bez zasad, przykazała sobie surowo.

Mogę kochać wierzącego, mogę kochać heretyka, Anglika jednak kochać nie mogę.

Włączyła swoje radyjko i przeleciała po krótkich falach, nałożywszy przedtem słuchawki, żeby nie przeszkadzać bliźniętom. Ale słuchając najróżniejszych głosów odwołujących się do jej sumienia — Deutsche Welle, Voice of America, Radio Swoboda, Głos Izraela, Głos Bóg-Wie-Kogo — intymnych, wyniosłych, rozkazujących, przeżyła moment gniewnego zamętu myśli. Jestem Rosjanką! — chciała im odpowiedzieć. Nawet w obliczu tragedii marzę o świecie lepszym od waszego!

Ale jakiej tragedii?

Dzwonił telefon. Chwyliła słuchawkę. Ale to był tylko Nasajan, ostatnio jakiś odmieniony, upewniał się co do jej planów na jutro.

— Niech pani posłucha, potwierdzam prywatnie, czy rzeczywiście chce pani jutro być w stoisku „Października”. Tylko że musimy wcześniej zacząć, więc gdyby pani miała odprowadzać dzieci do szkoły czy coś takiego, to z łatwością mogę powiedzieć Jelizawiecie Aleksiejewnie, żeby przyszła zamiast pani. To żaden problem. Niech pani tylko powie.

— Bardzo pan uprzejmy, Grigoriju Trigranowiczu, dziękuję za telefon. Ale skoro już cały zeszyły tydzień pomagałam przy urządzaniu stoisk, chciałabym oczywiście być na oficjalnym otwarciu. Dzieci do szkoły może z powodzeniem wyprawić Matwiej.

Zamyślona odłożyła słuchawkę. Nasajan, o mój Boże, dlaczego zwracamy się do siebie jak postacie sceniczne? Co my sobie wyobrażamy, że kto nas słucha, że się musimy posługiwać takimi okrągłymi zdaniem? Jeśli mogę mówić do obcego, Anglika, tak, jakby był moim kochankiem, to dlaczego nie potrafię rozmawiać normalnie z Ormianinem, swoim kolegą?

Zadzwoił i od razu wiedziała, że cały czas czekała na ten telefon, bo już się uśmiechała. W przeciwieństwie do Igora nie używał imion, ani swego, ani jej.

— Ucieknij ze mną — powiedział.

— Dziś wieczorem?

— Konie osiodłane, żywności na trzy dni.

— Ale czy jesteś wystarczająco trzeźwy jak na porwanie?

— Zdumiewające, ale jestem. — Przerwa. — To nie dlatego, żebym nie próbował, ale nic z tego. To chyba starość.

I głos miał rzeczywiście trzeźwy. Trzeźwy i bliski.

— Ale co z targami książki? Chcesz z nich uciec, tak jak uciekłeś z targów audiosprzętu?

— Do diabła z targami. Musimy to zrobić przedtem albo wcale. Potem będziemy zbyt zmęczeni. Jak się miewasz?

— Och, jestem na ciebie wściekła. Zupełnie zaczarowałaś moją rodzinę, teraz tylko czekają, kiedy znów przyjedziesz z nowym tytoniem i kredkami.

Przerwa. Zazwyczaj się tak nie namyślał, kiedy żartował.

— To właśnie cały ja. Zaczynałam rowując ludzi, a jak już są pod moim urokiem, przestają cokolwiek do nich czuć.

— Ależ to okropne! — zawołała, głęboko zgorziona. — Co ty mi opowiadasz, Barley?

— Tylko przekazuję wiedzę mojej byłej żony, to wszystko. Mówiła, że mam porywy, ale żadnych uczuć, i że nie powinienem nosić w Londynie ciepłego płaszcza. I człowiek w to wszystko wierzy do końca życia. Od tamtej pory nie włożyłem ciepłego płaszcza.

— Barley, ta kobieta... coś takiego powiedzieć, to było czyste okrucieństwo i brak odpowiedzialności. Przykro mi, ale ona się całkowicie myli. Została sprowokowana, jestem pewna. Ale ona nie ma racji.

— Nie ma racji? Więc co ja czuję? Oświeć mnie.

Roześmiała się pojmując, że wpadła prosto w jego pułapkę.

— Barley, jesteś bardzo, bardzo niegodziwy. W ogóle nie powinnam się z tobą zadawać.

— Dlatego, że nic nie czuję?

— No, przynajmniej jesteś opiekuńczy. Wszyscyśmy to dziś zauważyli i byliśmy ci wdzięczni.

— To mało.

— Po drugie masz poczucie honoru, powiedziałabym. Jesteś, oczywiście, dekadenski, ponieważ jesteś z Zachodu. To normalne. Ale ratuje cię poczucie honoru.

— Czy zostało trochę pierożków?

— Czy to znaczy, że czujesz także głód?

— Chcę przyjść i je zjeść.

— Teraz?

— Teraz.

— To zupełnie niemożliwe! Wszyscy już jesteśmy w łóżkach i dochodzi północ.

— Jutro.

— Barley, nie bądź śmieszny. Zaczynają się targi książki, oboje mamy mnóstwo zaproszeń.

— O której?

Ogarniała ich cudowna cisza.

— Tak może o pół do ósmej.

— Mogę być wcześniej.

Potem przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie odezwało. Ale ta cisza bardziej ich połączyła, niżby to mogły zrobić słowa. Dwie głowy na jednej poduszce, ucho przy uchu. A kiedy przerwał połączenie, zostały z nią nie jego żarty i autoironia, ale ton zadowolonej szczerości, powiedziałaby nawet uroczysty, nad którym chyba nie potrafił zapanować.

Śpiewał.

W duchu, ale nie tylko. Wreszcie i serce, i całe ciało Barleya Blaira śpiewało.

Był w swoim szarym wielkim pokoju, w ponurym „Mież” w przeddzień moskiewskich targów książki i śpiewał „Błogosław temu domowi” w wyraźnym stylu Mahalii Jackson. Tańczył ze szklanką wody mineralnej w ręce, chwytając czasem swe odbicie w olbrzymim ekranie telewizora, jedynej rzeczy, jaką się szczycił ten pokój.

Trzeźwy.

Zupełnie trzeźwy.

Barley Blair.

Sam.

Nie wypił ani kropli. W zakonspirowanej ciężarówce podczas składania meldunku, choć pocił się jak koń wyścigowy, nic. Nawet szklanki wody, kiedy raczył Paddy’ego i Cy’ego ocukrzoną i beztroską wersją przebiegu dnia.

Na przyjęciu u francuskich wydawców w „Rosji” z Wicklowem, gdzie naprawdę błyszczał jako wzór odpowiedzialności nic.

Na przyjęciu u Szwedów w „Nationalu” z Henzigerem, gdzie błyszczał jeszcze jaśniej. W samoobronie złapał tylko kieliszek „szampanskowo”, dlatego że Zapadny tak znacząco się zdumiewał, że on nie pije. Udało mu się jednak zostawić nie wypitego szampana za wazonem z kwiatami. Więc znów nic.

Na przyjęciu w firmie Doubleday w „Ukrainie”, znowu z Henzigerem, teraz już błyszcząc jak Gwiazda Polarna, trzymał się wody mineralnej z pływającym w niej plasterkiem cytryny, żeby to wyglądało jak dżin z tonikiem.

A więc nic. Nie z dumy. Nie w duchu naprawy. Boże, broń. Nie zarzekał się ani nie odwracał nowej karty. Chciał tylko, aby nic mu nie mąciło tej jasnej, wyrozumowanej ekstazy, która w nim wzbierała, tego nieznanego poczucia, że jest w straszliwie ryzykownej sytuacji i potrafi jej sprostać, że cokolwiek się stanie, wie, że jest gotów i że jest gotów także, jeżeli nic się nie stanie, ponieważ ta gotowość to szczelny pierścień obrony wokół świętego absolutu.

Dołączyłem do garstki tych, którzy wiedzą, co zrobić w pierwszej kolejności, jeżeli okręt stanie w ogniu w środku nocy, myślał. I co zrobić na końcu, jeżeli w ogóle coś robić. Wiedział w szczegółach, co uważa za warte ratowania, a co nie ma dla niego znaczenia. I co trzeba odsunąć na bok, odrzucić i postawić na tym krzyżyk.

W jego głowie odbyło się wielkie sprzątnięcie, obejmujące skromne drobiazgi i wielkie sprawy. Ponieważ, jak Barley ostatnio zauważył, to w skromnych drobiazгах te wielkie sprawy wprowadzają zamęt.

Zdumiewała go jasność własnego spojrzenia. Rozejrzał się wokół, za-

kręcił się raz, drugi, zaśpiewał. Wrócił tam, gdzie był, i wiedział, że nic nie pominął.

Ani tej sekundy niepewności w jej głosie. Czy cienia wątpliwości, który przemknął przez ciemne jeziora jej oczu.

Ani równych linijek odręcznego pisma Goethego zamiast jego dzikich bazgrołów.

Ani niezręcznych nietypowych żartów Goethego na temat biurokratów i wódki.

Ani trenu Goethego na temat jego poczucia winy z racji tego, jak ją traktuje po tym, jak od dwudziestu lat traktował ją, jak mu się podobało, do cholery, między innymi jak dziewczynę na posyłki.

Ani nieodpowiedzialnych obietnic Goethego, że w przyszłości jej to wszystko wynagrodzi, byle na razie nie wypadła z gry, kiedy dla Goethego jest artykułem wiary, że przyszłość już go nie interesuje, jego jedyną obsesją jest teraz. „Istnieje tylko teraz z!”

Ale od mglistych teorii, które na pewno nie były niczym innym jak tylko teoriami, umysł Barleya bez trudu przeszedł do tego, co było najwspanialszą zdobyczą nowej jasności postrzegania: że Goethe w swej opinii o tym, do czego doszedł, ma rację i że Goethe prawie przez całe życie stał po jednej stronie jakiegoś fałszywego i anachronicznego równania, gdy Barley w swojej ignorancji stał po drugiej.

I że gdyby Barleyowi przyszło wybierać, poszedłby raczej drogą Goethego niż Neda czy kogokolwiek, gdyż obecność jego byłaby wręcz niezbędna w skrajnym centrum, gdzie był obywatelem z wyboru.

I że wszystko, co się zdarzyło Barleyowi od czasu Pieredelkino, dostarcza na to dowodów. Stare „izmy” są martwe, wyścig między komunizmem a kapitalizmem skończył się z żalonym piskiem. Jego retoryka schroniła się pod ziemię, w tajne kryjówki ludzi w szarych garniturach, którzy jeszcze tańczą, choć muzyka dawno umilkła.

Jeśli idzie o lojalność wobec ojczyzny, dla Barleya był to tylko problem, której Anglii chce służyć. Ostatnie jego związki z wyśnionym imperium były zerwane. Dostawał mdłości słysząc szowinistyczne bicie w bębny. Dałby się raczej zdeptać, niż pomaszerował w takt tej melodii. Znał dużo lepszą Anglię, a znajdowała się ona w jego sercu.

Leżał na łóżku czekając, aż go chwyci strach, ale nie chwycił. Złapał się na tym, że zamiast bać się, rozgrywa w duchu coś w rodzaju partii szachów, szachy bowiem to kwestia możliwości i wydawało mu się najrozsądniejsze rozważyć je w spokoju, zamiast przebierać między nimi, kiedy dach wali się na głowę.

Bój na Armageddon się nie zaczął, nic więc nie jest stracone. Gdyby jednak się zaczął, wiele jeszcze było do uratowania.

Więc zaczął myśleć. I zabrał się do swoich przygotowań na zimno, zupełnie tak, jakby mu radził Ned, gdyby to jeszcze Ned pociągał za sznurki.

Rozmyślał do wczesnego ranka, trochę się zdrzemnął, po przebudzeniu myślał dalej i kiedy rześko zszedł na śniadanie już się rozglądając za uciechami, jakie obiecywały targi, wydzielona część jego mózgu była pod pełną parą, oddana myśleniu wyłącznie o tym, co ci głupcy, którzy się tym zajmują, określają jako rzecz nie do pomyślenia.

14

— Daj spokój, Ned — mówił lekko Clive, jeszcze pełen poczucia dumy z taowodu wspaniałości transmisji. — Bywało już, że Niebieski Ptak chorował. Kilka razy.

— Wiem — przyznał z roztargnieniem Ned. — Wiem. — A potem: — Może nie idzie mi o to, że jest chory. Może idzie mi o to, że pisze.

Sheriton słuchał z brodą wspartą na ręce, tak jak słuchał przedtem taśmy. Między Nedom a Sheritonem nawiązała się nić sympatii, co jest nieuniknione przy każdej operacji. Traktowali przekazanie władzy, jakby się to stało dawno temu.

— Ale, mój drogi, wszyscy piszemy w czasie choroby! — wykrzyknął Clive, dając niewczesny popis zrozumienia dla ludzkich motywacji. — Pisze my do wszystkich!

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Clive mógłby zachorować albo że ma przyjaciół, do których mógłby pisać.

— Chodzi mi o to, że rozdaje wylewne listy tajemniczym pośrednikom. I o to, że pisze, że się postara dostarczyć Barleyowi dalsze materiały — powiedział Ned. — Wiemy, że normalnie nigdy do niej nie pisze. Wiemy, że jest ostrożny do przesady. Nagle ta choroba i wylewny list miłosny na pięć stron, i przesyła go przez Igora. Jakiego Igora? Skąd Igora? Jak?

— Powinien był sfotografować ten list — powiedział Clive zmieniając stosunek do Barleya na niechętny. — Albo go jej zabrać, jedno lub drugie.

Ned był tak pogrążony w myślach, że nie wzgardził tą propozycją tak, jak na to zasługiwała.

— Jak mógłby? Zna go jako wydawcę. Tylko w tej roli.

— Chyba że Niebieski Ptak ją uświadomił — powiedział Clive.

— Tego by nie zrobił — odpalił Ned i wrócił do swych myśli. — Był tam samochód. Czerwony, potem biały. Widziałeś raport z obserwacji. Najpierw przyjechał czerwony, potem przejął biały.

— To czysta spekulacja. W ciepłą niedzielę cała Moskwa wyjeżdża za niasto — powiedział Clive ze znanstwem.

Czekał na reakcję, ale na próżno, wrócił więc do listu.

— Katia nie miała do niego żadnych zastrzeżeń — zaprotestował. — Ona

nie podnosi alarmu. Skacze z radości. Jeśli jej tu nic nie śmierzdi, i tak samo Barleyowi, dlaczego mielibyśmy my, siedząc tu, w Londynie, martwić się za nich?

— Prosi o listę zakupów — powiedział Ned, jakby wciągnął odległą muzykę. — Ostateczną i wyczerpującą listę pytań. Dlaczego to robi?

Sheriton wreszcie drgnął. Hamował Neda swoją wielką łapą.

— Ned, Ned, Ned, Ned. Uspokoisz się? Znow jesteśmy w przeddzień akcji, więc siedzimy jak na szpilkach. Prześpijmy się trochę.

Wstał. Tak samo Clive i ja. Ale Ned tkwił uparcie na swoim miejscu z dłońmi zaciśniętymi na biurku przed sobą.

Przemówił do niego Sheriton. Z uczuciem, ale i z siłą.

— Ned, posłuchaj mnie tylko, Ned, no? Ned?

— Nie jestem głuchy.

— Nie, ale zmęczony. Ned, jak jeszcze raz spaprzymy tę operację, wymknie się nam na dobre z rąk. Trzymamy się t w o j e g o człowieka, którego ty do nas ściągnąłeś, żeby nas przekonać. Poruszyliśmy niebo i ziemię, żeby dojść tam, dokąd doszliśmy. Mamy informatora. Mamy kredyty. Mamy wpływowych odbiorców. Żeby wypełnić luki w rozpoznaniu, wystarczy splunąć, żadne zmyślnie maszyny, żadna podniecająca elektronika, żadni jezuici z Pentagonu nie dojdą bliżej za tysiąc lat. Zachowajmy spokój, jak to robi Barley i Niebieski Ptak, czeka nas bonanza, o jakiej się nie śniło największym fantantom. Jeżeli się nie wycofamy.

Ale Sheriton mówił ze zbyt wielkim przekonaniem i jego twarz mimo całej kluchowatej nieczytelności zdradzała, że go na dobre przycisnęło.

— Ned?

— Słyszę cię, Russell. Głośno i wyraźnie.

— Ned, na litość boską, to już nie chałupnictwo. Zagraliśmy wysoko, teraz musimy pogłótkować. Wyżej już nie można. Wnioski prezesów nie uprawniają nas do zwątpienia we własną słuszną ocenę. To tak jak rozkazy. Ned, naprawdę sądzę, że powinieneś trochę się przespać.

— Nie myślę, żebym był zmęczony — powiedział Ned.

— Myślę, że jesteś. Myślę, że każdy ci to powie. Myślę, że mogą nawet mówić, że Ned wiele się spodziewał po Niebieskim Ptaku, póki się nie zjawił wielki i zły amerykański wilk i nie zabrał mu agenta. Wtedy nagle Niebieski Ptak stał się podejrzanym informatorem. Myślę, że powiedzą, że jesteś zmęczony jak diabli.

Rzuciłem okiem na Clive'a.

Clive też spoglądał z góry na Neda, ale tak lodowato, że krew zastygła mi w żyłach. Czas cię usunąć, mówiły jego oczy. Czas zmierzyć, czy się mieścisz w drzwiach.

Obaj, Henziger i Wicklow, nie spuszczali tego dnia Barleya z oka i składali o nim częste raporty, Henziger Cy'emu swoimi metodami, a Wicklow przez jednego z nielegalnych Paddy'emu. Obaj poświadczali jego dobry humor i swobodę zachowania i, każdy inaczej, jego niezależność. Obaj spisywali, jak to przy śniadaniu oczarował dwóch fińskich wydawców okazujących zainteresowanie budową kolei transsyberyjskiej.

— Jedli mu z ręki — powiedział Wicklow, kreśląc niezamierzenie śmieszny obraz tego śniadania, choć w „Mieź” wszystko jest możliwe.

Obaj odnotowali z rozbawieniem determinację Barleya, żeby wystąpić jako przewodnik, kiedy znaleźli się na miejscu stałej ekspozycji, i to, że zobowiązał taksówkarza, żeby ich wysadził u wylotu wspaniałej alei, aby jego pielgrzymi, przybywający po raz pierwszy z kapitalistycznego świata, mogli pierwszego swego podejścia dokonać pieszo.

Tak więc dwaj zawodowi szpicle z zadowoleniem spacerowali w mokrym jesiennym słońcu z marynarkami zarzuconymi na ramiona i ze swoim agentem pośrodku, uhonorowani przez Barleya jego własną ekscentryczną wycieczką z przewodnikiem, podczas gdy on wynosił pod niebiosa architekturę „schyłkowego okresu Essoldo” i ogrody „rewolucyjnego rokoka”. Rozpływał się nad olbrzymią ozdobną sadzawką ze złotymi rybkami plującymi strumieniami wody na tyłki piętnastu gołych złotych nimf, po jednej na każdą z socjalistycznych republik. Nalegał na to, by dłużej zabawili w altankach dla zakochanych, z białymi kolumnkami i w świątyniach rozkoszy, których portale, na co zwrócił ich uwagę, poświęcone są nie Wenus czy Bachusowi, ale upadłym boginiom sowieckiej gospodarki: węglowi, stali i nawet energii atomowej, Jack!

— Był dowcipny, ale nie pijany — donosił Henziger, który serdecznie polubił Barleya już w Leningradzie. — Cholernie zabawny.

A od tych świątyni Barley przegonił ich przez całą aleję, Szlak Cesarski, długą chyba na milę i licho wie jak szeroką, zbudowaną dla uczczenia osiągnięć Ludu w służbie Ludzkości. Na pewno jeszcze nigdy wizji władzy ludu nie przedstawiono postępując się obrazami takiego despotyzmu! — oznajmił. Na pewno żadna rewolucja nie wystawiła tak doskonałych świątyni temu, co z założenia miała zrównać z ziemią! Tymczasem jednak Barley musiał wyrzaskiwać swoje dywagacje, żeby zagłuszyć jazgot głośników, które jak dzień długi leją na głowy nieoświeconych tłumów potoki samochwalstwa.

Wreszcie przybyli, tak jak musieli, do dwóch pawilonów mieszczących targi.

— Po mojej prawej wydawnictwo „Pokój, Postęp i Przyjaźń” — oznajmił Barley naśladując sędziego na mistrzostwach. — Po lewej propagatorzy faszystowskich imperialistycznych kłamstw, pornografii i truciele prawdy. Gong. Start.

Okazali karty wstępu i weszli.

Stoisko nowo powstałej i geograficznie mylącej firmy wydawniczej Po-tomak-Blair było swego rodzaju małą, ale miłą sensacją targów. Wypieszczony w Langley symbol „P-B” olśniewał wśród skromniejszych reklam „Astral Press” i „Purbeck Media”. Wewnętrzny wystrój kiosku, określony przez architektów Langley jako surowy, lecz gustowny, był wzorem stylu, który natychmiast rzuca się w oczy. Ekspozyty — wiele z nich, jak to jest przyjęte, makiety książek, które dopiero są w planach — przygotowane były z taką dbałością o szczegóły, z jaką już tradycyjnie służby wywiadowcze traktują falsyfikaty. Na zapleczu w wymyślnym ekspresie perkotała jedyna dobra kawa na targach. Podawała ją własna langleyowska Mary Lou. Dla uprzywilejowanych — żeby im pomóc przeżyć ten dzień — był także zakazany łyceł szkockiej, rzeczywiście zakazany specjalnym rozporządzeniem organizatorów, gdyż nawet literacka pierestrojka musi być dziełem ludzi trzeźwych.

A Mary Lou z prząśnym uśmiejem pensjonarki i w rozwianej twee-dowej spódnicy reprezentowała rodzimy produkt lepszej strony Madison Avenue. Nikt nie musiał podejrzewać, że w jej tweedach nie brak nitki z Langley.

Tak samo Wicklow, pełen ogłady i wymowny, nie był nikim innym, jak tylko szybko krocącym ku karierze, obrotnym młodym wydawcą, jakich dzisiaj pełno.

A co do uczciwego Jacka Henzigera, ten znów przedstawiał typ usat-kowanego pirata rynku księgarskiego współczesnej Ameryki. Nie ukrywał, skąd się wywodzi. Rurociągi na Środkowym Wschodzie, pomoc humanitarna dla Afganistanu, czerwona fasola dla uprawiających opium górskich plemion z Tajlandii — Henziger handlował tym wszystkim, pomijając towar na boku sprzedawany Langley. Ale sercem tkwił w przemyśle wydawniczym i był tu po to, żeby tego dowieść.

Zdawało się, że Barley się cudownie bawi wśród tej lipy. Rzucił się w nią, jakby była jego dawno utraconą rzeczywistością, ścisł dłonie, przyjmował gratulacje od konkurencji i kolegów, aż gdzieś około jedenastej przyznał, że już nie może usiedzieć na miejscu, i zaproponował Wicklowowi wspólną lustrację frontu, by podnieść wojska na duchu.

Ruszyli więc, Barley z naręczem białych kopert, które od czasu do czasu wciskał wybrańcom, pokrzykiwaniem i pozdrowieniami torując sobie drogę przez alejki zatłoczone gośćmi i wystawcami.

— Niech mnie diabli, przecież to cholerny Barley Blair — oświadczył jakiś znajomy głos z głębi kiosku z wielojęzycznymi wydaniem ilustrowanej Biblii. — Pamiętasz mnie ze skromnej przeszłości? Trzeci z lewej w suspen-sorium z norek.

— Spikey. Znów cię wpuścili — stwierdził Barley z zadowoleniem i wręczył mu kopertę.

— Martwię się wtedy, kiedy nie chcą mnie wypuścić. To twój tata?

Barley przedstawił wybitnego wydawcę Wicklowa, a Spikey Morgan udzielił mu kapłańskiego błogosławieństwa palcami brązowymi od nikotyny. Wbili się głębiej w tłum, ale tylko po to, żeby po paru krokach wpaść na Dana Zeppelina. Dan nie mówił. Dan konspirował szeptem grabarza, wychylając się do człowieka wsparty łokciami o kontuar.

— Powiedz mi coś, Barley. Okay? Jesteśmy pionierami czy zasranymi siostrami Mitford? Więc parę nieksiążek okazało się w tym roku książkami? Paru niepisarzy wyszło z kicia? Ale interes. Idę dziś rano do własnego kiosku, a tu jakiś dupek wyciąga książki z półek. „Czy mogę panu zadać osobiste pytanie? — pytam. — Co, u diabła, wyprawia pan z moimi książkami?” „Mam polecenie”, on na to. Sześć książek skonfiskował. Mary G. Ambleside cholera „Świadomość czarnych w pieśni i słowie”. Polecenia! Chcę wiedzieć, Barley, kim jesteśmy. Kim oni są? Jak im się zdaje, że co oni przebudowują, przecież zaczyna się od tego, że nigdy nic nie zbudowali. Jak przebudować trupa?

W stoisku „Lupus Books” wskazano im drogę do pokoju z kawą, gdzie sam Nasz Prezes, świeżo uszlachcony Sir Peter Oliphant, prześcignął nawet Rosjan rezerwując stolik. Jego tryumf obwieszczała wypisana ręcznie w obu językach kartka. Niedowiarków odstręczały flagi brytyjska i Związku Radzieckiego. W tłumie tłumaczy i wysokich urzędników Sir Peter się rozwodził o tym, ile korzyści przynosi Związkowi Sowieckiemu dotowanie jego szczodrych zakupów.

— Oto par! — zawołał Barley wręczając mu kopertę. — A gdzie mitra?

Ciemne powieki ledwie drgnęły, wspaniały mąż ciągnął dalej swoją dysertację.

Przy kiosku Izraela panował zbrojny pokój. Ciemna kolejka była zdyscyplinowana i milcząca. Chłopcy w džinsach i adidasach podpierali ściany, Lew Abramowicz był siwowłosy i przytłaczająco wysoki. Służył w Gwardii Irlandzkiej.

— Lew. Co słyszeć na Syjonie?

— Może zwycięstwo nasze bliskie, może to początek szczęśliwego końca — powiedział Lew wsuwając do kieszeni kopertę Barleya.

I od Izraela z galopującym na przedzie Barleyem przebili się przez plac do pawilonu „Pokoju, Postępu i Przyjaźni”, gdzie już nikt nie mógł mieć najmniejszej wątpliwości, że dokonuje się historyczny masowy przewrót i kto go dokonuje.

Z każdego transparentu i najmniejszego skrawka wolnej ściany krzyczała nowa Dobra Nowina. W każdym stoisku każdej republiki stały paradnym rzędem myśli i pisma tego proroka już nie nowego, z twarzą zwróconą pod takim kątem, by ukryć znamię, z uniesioną brodą, tuż przy dorobku jego bezbarwnego mistrza, Lenina. W stoisku WAAP-u, gdzie Barley z Wicklowem

uściśniły parę dłoni i Barley rozdał plik kopert, mowy Przywódcy, spowite w lśniące obwoluty i przełożone na angielski, francuski, hiszpański i niemiecki, kusily już zupełnie nieskutecznie.

— Ile jeszcze tego gówna musimy wziąć, Barley? — Spytał z naciskiem sotto voce jakiś moskiewski wydawca o jasnej twarzy, kiedy go mijali. — Kiedy znów zaczną nas prześladować, byśmy mogli poczuć się dobrze? Jeżeli nasza przeszłość to łgarstwo, kto wie, czy i przyszłość nim nie jest?

Poszli dalej obok stoisk, Barley na przedzie, rozdzielając słowa powitania. Wicklow za nim.

— Joseph! Cudownie, że cię widzę! Masz tu kopertę. Nie zjedz jej całej od razu.

— Barley, przyjacielu! Nikt ci nie oddał mojej kartki? Może jej nie zostawiłem.

— Jurij, jakże się cieszę! Koperta dla ciebie.

— Przyjdź się napić dziś wieczór, Barley! Będzie Sasza i Rosa. Rudi jutro daje koncert, więc chce być trzeźwy. Słyszałeś o pisarzach, których wypuścili? Posłuchaj, to tak jak Potiomkinowska wieś. Wypuszczają ich, podkarmia, pokażą i zamykają znowu do przyszedłego roku. Podejź, muszę ci sprzedać parę książek, żeby dopiec Zapadnemu.

Z początku Wicklow nawet sobie nie uświadomił, że są na miejscu. Ujrzał rzymski proporzec obwieszony spłowiałymi chorągiewkami i jakieś złote litery wieszane na czerwonym suknie. Usłyszał, jak Barley woła: „Gdzie jesteś, Katia?!” — Ale nic nie wskazywało, do kogo należy stoisko, pewno tej części nie dowieziono. Zobaczył tak jak wszędzie książki nie do czytania, o rozwoju rolnictwa na Ukrainie i tradycyjnych gruzińskich tańcach; dożywały swoich dni na półkach, wyświechtane po poprzednich targach. Zobaczył zwykłą grupkę szerokich w biodrach kobiet, jakby czekających na pociąg, i małego, nie ogolonego facecika, który trzymał przed sobą papierosa jak czarnoksiężką różdżkę i mrużąc oczy odczytywał plakietkę z nazwiskiem Barleya.

„Nasajan”, przeczytał z kolei Wicklow. „Grigorij Trigranowicz. Starszy redaktor. Wydawnictwo »Październik«”.

— Zdaje się, że szuka pan Katii Orłowej — zwrócił się Nasajan do Barleya po angielsku, unosząc jeszcze wyżej papierosa, jakby po to, żeby mieć lepszy widok na gościa.

— Jeszcze jak! — odpowiedział Barley z uniesieniem i parę kobiet się uśmiechnęło.

Na twarz Nasajana wypełził uśmiech przerażającej uprzejmości. Kreśląc w powietrzu esy-floresy papierosem usunął się i Wicklow poznał plecy Katii rozmawiającej z dwoma malusieńkimi Azjatami, których wziął za Birmań-czyków. Potem instynkt kazał jej się obejrzeć i najpierw spostrzegła Barleya, potem Wicklowa, potem znów Barleya i jednocześnie wspaniały uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— Katia. Fantastycznie — powiedział nieśmiało Barley. — Jak dzieciaki? Przeżyły?

— Och, dziękuję, mają się bardzo dobrze!

Pod okiem Nasajana i jego pań, jak również Wicklowa, Barley wręczył jej zaproszenie na wielkie przyjęcie na cześć głośności, wydawane przez firmę Potomak-Blair.

— Och, przy okazji... może opuszczę to i owo z dzisiejszej wieczornej fety — bąknął Barley, kiedy wracali do zachodniego pawilonu. — Ty, Jack i Mary Lou będziecie musieli sami sobie radzić. Jem obiad z piękną damą.

— Ktoś, kogo znamy? — zapytał Wicklow. Obaj się roześmieli. Dzień był słoneczny.

Jest w porządku, myślał z zadowoleniem Barley. Jeśli coś się dzieje, jej się jeszcze nic nie stało.

Ile każdy z nas wiedział czy też się domyślał, jeśli idzie o uczucia Barleya do Katii? W sprawie tak skrupulatnie śledzonej i kontrolowanej kwestii miłości zajęto się dość niemrawo.

Wicklow, który tak pilnie przestrzegał swobody obyczajów we własnym życiu, w stosunku do Barleya był purytaninem. Może jako młody człowiek nie wierzył w namiętności u starszych. Dla Wicklowa uczucie Barleya było jednym z romansów, które miał bez przerwy. Ludzie w wieku Barleya się nie zakochują.

Henziger, mniej więcej rówieśnik Barleya, uważał seks za skromną ekstrapremię w życiu tajniaka i uznał za oczywiste, że ktoś tak solidny jak Barley szuka zaspokojenia potrzeb cielesnych tam, gdzie go rzucił obowiązek. Jak Wicklow, choć z innych powodów, nie widział nic wyjątkowego w słabości Barleya do Katii, a ze względu na dobro operacji dostrzegał w niej wiele plusów.

A w Londynie? Nie mieli wyraźnego zdania. Na wyspie Brady dużo na ten temat mówił, ale zarzut Brady'ego odrzucono, a z nim i jego radę.

A Ned? Ned miał żonę równie zdyscyplinowaną jak on sam i równie nie rozbudzoną. Pokażcie mi agenta w jakimś wrednym kraju, lubił powtarzać Ned ze smutnym uśmiechem, który by nie poleciał na ładną buzię, jeżeli trzyma jego stronę przeciwko światu.

Tymczasem Bob, Sheriton i Johnny, chyba wszyscy, choć każdy na inny sposób, zakładali, że życie prywatne i zachcianki Barleya są właściwie tak żałośnie poplątane, że lepiej nie brać ich w rachubę.

A Palfrey? Co myślał stary Palfrey, który w każdej wolnej chwili pędził na Grosvenor Square i jeśli tylko było to możliwe, dzwonił do Neda, żeby spytać: „Jak tam nasz chłopak?”

Palfrey myślał o Hannie. Tej Hannie, którą kochał i jeszcze kocha tak, jak to tylko tchórze potrafią. O tej Hannie, której uśmiech był kiedyś równie serdeczny i głęboki jak uśmiech Katii. „Jesteś przyzwoitym człowiekiem.

Palfrey — mówi Hanna z przerażającym opanowaniem w te dni, kiedy stara się mnie zrozumieć. — Znajdziesz jakiś sposób. Może nie zaraz, ale znajdziesz". I rzeczywiście, Palfrey naprawdę znalazł sposób. Odwołał się do prawa, tego wygodnego prawa, które mówi, że młody adwokat przyłapany na cudzołóstwie jest *ipso facto* wykluczony z całej sprawy. Powołał się na dobro dzieci, jej i jego, na tyle osób w to zamieszanych. I, niech go licho, na więzy małżeńskie: jak sobie bez nas poradzą, kochanie? Derek nie potrafi ugotować nawet jajka. Odwołał się do partnerstwa, a kiedy ono zostało zerwane, schował swoją głupią głowę w piasek tajniackiej pustyni, gdzie go już żadna Hanna nie znajdzie. I na tyle był bezczelny, żeby odwołać się do obowiązku: Służba mi nigdy nie wybaczy rozwodu, to plama, kochanie, nie mogliby, jestem ich prawnym doradcą.

Ja też myślałem o wyspie. O tym wieczorze, kiedy stojąc z Barleyem na kamienistej plaży patrzyliśmy, jak przez szary Atlantyk sunie na nas ściana mgły.

— Jej by nigdy nie wyciągnęli, co? — powiedział Barley. — Gdyby źle poszło.

Nie odpowiedziałem i nie sędzę, żeby tego oczekiwał, ale miał rację. Była czystej krwi obywatelką sowiecką i popełniła czysto sowieckie przestępstwo. W żaden sposób nie można byłoby jej zakwalifikować do grupy osób, które da się wymieniać.

— Zresztą ona nigdy nie zostawi dzieci — powiedział potwierdzając własne wątpliwości.

Jeszcze przez chwilę patrzyliśmy na morze, on widział Katię, a ja Hanę, która też nigdy by nie opuściła dzieci, tyle że chciała zabrać je ze sobą i z karierowicza, najemnika Chancery Lane, zrobić człowieka uczciwego, choć na razie sypiał z żoną starszego kolegi.

— Raymond Chandler! — wrzasnął wujek Matwiej ze swego miejsca, przekrzykując jazgot telewizorów wszystkich sąsiadów.

— Wspaniały — powiedział Barley.

— Agatha Christie!

— No cóż, Agatha.

— Dashiell Hammett! Dorothy Sayers. Josephine Tey.

Barley siedział na sofie, gdzie go umieściła Katia. Pokój był maleńki. Na szerokość jego rozłożonych ramion. Oszklona narożna serwantka mieściła rodzinne skarby. Katia już go z nimi zapoznała. Ceramika wypalona przez przyjaciela z okazji ich ślubu, medaliony przedstawiające pana młodego i pannę młodą. Leningradzki serwis do kawy, już zdekompletowany, który należał kiedyś do damy w drewnianej ramce z najwyższej półki. Stała fotografia w kolorze sepii ukazująca tołstojowską parę, męczyczynę z brodą,

śmiałka w sztywnym białym kołnierzyku, oraz dziewczynę w czepku i z futrzaną mufką.

— Matwiej przepada za angielskimi kryminalami! — zawołała Katia z kuchni, gdzie kończyła jeszcze ostatnie przygotowania.

— Ja też — powiedział Barley niezgodnie z prawdą.

— On ci mówi, że to było zakazane za carów. Nigdy by nie tolerowali takiego wtrącania się w system policyjny. Masz wódkę? Proszę, nie dolewaj Matwiejowi. Musisz coś zjeść. Nie jesteśmy alkoholikami jak wy tam na Zachodzie. Nie pijemy bez jedzenia.

Pod pretekstem przejrzania książek Barley wszedł do maleńkiego korytarka, skąd ją było widać. Jack London, Hemingway i Joyce, Dreiser i John Fowles. Heine, Remarque i Rilke. Bliźnięta były w łazience i o czymś szczebiotały. Przypatrywał jej się przez otwarte drzwi kuchni. Jej gesty miały w sobie jakiś beczczasowy i rozmyślny brak pośpiechu. Na powrót stała się Rosjanką, pomyślał. Jest wdzięczna, kiedy coś idzie po myśli. Kiedy się nie układa, to po prostu życie. Matwiej wciąż paplał pogodnie.

— Co on teraz mówi? — spytał Barley.

— Mówi o obłączeniu.

— Kocham cię.

— Leningradczycy nie chcieli przyjąć do wiadomości, że zostali pokonani. — Przygotowywała wątróbkę z ryżem". Ręce jej na chwilę znieruchomiały, potem podjęły pracę. — Szostakowicz dalej komponował, nawet kiedy atrament zamarał mu w kałamarzu. Powieściopisarze nadal pisali, co tydzień można było wysłuchać rozdziału nowej powieści, jeśli się wiedziało, do której przyjść piwnicy.

— Kocham cię — powtórzył. — Wszystkie moje niepowodzenia to było przygotowanie do spotkania z tobą. To fakt.

Ostro wydmuchnęła powietrze i umilkli oboje, przez chwilę głusi na pogodny monolog Matwieja w pokoju i na chlapanie rozlegające się w łazience.

— Co on jeszcze mówi? — spytał Barley.

— Barley... — zaprotestowała.

— Proszę. Powiedz, co on mówi.

— Niemcy byli cztery kilometry od miasta od strony południowej. Trzymali pod ogniem maszynowym przedmieścia, a centrum pod ogniem artylerii. — Podała mu maty, noże i widelce i ruszyła za nim do pokoju. — Dwieście pięćdziesiąt gramów chleba na robotnika, dla innych po sto dwadzieścia pięć. Naprawdę tak cię fascynuje Matwiej czy jak zawsze udajesz uprzejmego?

— To dojrzała, nieegoistyczna, wielka, przejmująca miłość. Nie zaznałem nigdy niczego, co by ją bodaj przypominało. Pomyślałem, że powinnaś pierwsza wiedzieć.

Matwiej promieniał, otaczając Barleya niczym nie zmaconą adoracją. Nowa angielska fajka połyskiwała mu w górnej kieszonce. Katia przytrzymała spojrzenie Barleya, wybuchnęła śmiechem i potrząsnęła głową nie w negacji, lecz z osłupienia. Wpadły bliźnięta w szlafroczkach i uwiesiły się rąk Barleya. Katia usadziła wszystkich przy stole, Matwieja na honorowym miejscu. Barley usiadł przy niej, gdy nalewała kapuśniaku. Siergiej z zadziwiającą siłą odkorkował wino, ale Katia nie chciała więcej jak pół kieliszka, a Matwiejowi wolno było pić tylko wódkę. Anna wyłamała się z szyku, żeby przynieść rysunek, który zrobiła po wizycie w Akademii Timiriazewa: konie, pole pszenicy, rośliny odpornej na śnieg. Matwiej coś opowiadał o staruszku z warsztatu po drugiej stronie ulicy i Barley jeszcze raz poprosił, żeby mu przetłumaczyła każde słowo.

— Matwiej znał takiego staruszka, jednego z przyjaciół mojego ojca — powiedziała Katia. — Ten staruszek miał warsztat. Kiedy osłabł z głodu, przywiązał się do maszyny, żeby nie upaść. Tak go Matwiej z ojcem znaleźli martwego. Przywiązanego do maszyny. Zamrożonego. Matwiej chciałby jeszcze, żebyś wiedział, że on sam nosił świecącą opaskę na kurtce — Matwiej z dumą pokazywał na swetrze, w którym to było dokładnie miejscu — żeby po ciemku nie wpadać na przyjaciół idących z wiadrami po wodę do Newy. Tak. Dosyć o Leningradzie — powiedziała stanowczo. — Jesteś bardzo wielkoduszny, Barley, jak zawsze. Mam nadzieję, że to szczere.

— Jak żyję, nie byłem taki szczery.

Barley właśnie wznosił toast za zdrowie Matwieja, kiedy obok sofy zadzwonił telefon. Katia zerwała się, ale Siergiej był szybszy. Podniósł słuchawkę do ucha, po czym odłożył ją na widelki i pokręcił głową.

— Tyle pomyłek — powiedziała Katia i poczęstowała wszystkich wą tróbką.

Był tylko jej pokój. Tylko jej łóżko.

Dzieci położyły się u siebie i Barley słyszał, jak sapią przez sen. Matwiej leżał w wojskowym śpiworze w living-roomie i już śnił o Leningradzie. Katia siedziała wyprostowana, Barley przy niej, trzymając ją za rękę i obserwując jej twarz na tle odsoniętego okna.

— I Matwieja kocham — powiedział.

Skinęła głową i króciutko się zaśmiała. Dotknął wierzchem dłoni jej policzka i poczuł, że płacze.

— Ale nie w ten sposób, co ciebie — wyjaśnił. — Kocham dzieci, psy, koty i muzyków. Osobiście jestem odpowiedzialny za całą arkę. Ale ciebie kocham tak głęboko, że wstyd mi o tym mówić. Bardzo byłbym wdzięczny, gdybyśmy mogli w jakiś sposób kazać mi milczeć. Patrzę na ciebie i robi mi się niedobrze na dźwięk własnego głosu. Chcesz to na piśmie?

Potem oburącz odwrócił jej twarz do siebie i pocałował. Potem nakierował ją ku głowom łóżka, ułożył jej głowę na poduszce i znów ją pocałował, najpierw wargi, potem przymknięte, mokre rzęsy, w chwili gdy jej ramiona zamykały się na jego plecach i pociągały go w dół. Potem go odepchnęła, zerwała się i, zanim wróciła, poszła zerknąć na bliźnięta. Potem zamknęła drzwi od wewnątrz na zasuwkę.

— Gdyby przyszły dzieci, musisz się ubrać i zachować bardzo poważnie — ostrzegła całując go.

— Mogę im powiedzieć, że cię Kocham?

— Nie przetłumaczę, jak to zrobisz.

— Mogę powiedzieć tobie?

— Jeżeli zrobisz to naprawdę cicho.

— Przetłumaczysz?

Już nie płakała. Już się nie uśmiechała. Czarne, logiczne oczy, dociekliwe jak jego własne. Uścisk bez zastrzeżeń, bez ukrytych kodycyłów, bez aneksu do kontraktu.

Nie pamiętałem Neda w takim nastroju. Zaczął przynosić pecha kierowanej przez siebie operacji, a niewzruszony stoicyzm tylko mu utrudniał znoszenie złych przeżyć. Siedział w pokoju operacyjnym przy biurku, jakby prezydował sądowi wojennemu, z Sheritonem obok rozwalonym jak inteligentny miś. I kiedy lekkomyślnie zaprowadziłem go do Connaught, dokąd od czasu do czasu zabierałem Hannę, i by ułatwić to czekanie zafundowałem mu bajeczny obiad w „Grillu”, też nie zdołałem wdrzeć się pod maskę jego powściągliwości.

Bo trzeba przyznać, że pesymizm Neda poważnie wpływał na mój własny nastrój. Byłem na huśtawce. Po jednej stronie Clive i Sheriton, po drugiej przeważał ich Ned. A jako że w ogóle decyzja nie jest dla mnie rzeczą łatwą, tym bardziej mi przeszkadzał widok człowieka, który normalnie taki cięty teraz poddał się ostracyzmowi.

— Widzisz duchy, Ned — powiedziałem mu bez przekonania Sherito-na. — Wybiegasz myślą dużo dalej niż ktokolwiek inny. Daj spokój, to już nie jest twoja sprawa. Co nie znaczy, że wszystko leży. No i tracisz wiarygodność.

— Ostateczną i wyczerpującą listę — znów powtórzył, jakby to zdanie wbił mu w głowę hipnotyzer. — Dlaczego ostateczną? Dlaczego wyczerpującą? Powiedz sam. Kiedy Barley widział się z nim w Leningradzie, nie chciał nawet przyjąć wstępnych pytań. Cisnął je Barleyowi w twarz. A teraz żąda całej listy naraz. Żąda ostatecznej listy. Wielkiego Szlema. Na weekend musimy ją zestawić. Potem Niebieski Ptak nie będzie odpowiadał już na żadne pytania panów w szarych garniturkach. „Wasza ostatnia szansa”, powiada. D l a c z e g o ?

— Popatrz na to przez chwilę od innej strony — napominałem go rozpaczliwym szeptem, kiedy kelner od win przyniósł drugą karafkę bezcennego, czerwonego wytrawnego wina. No, dobrze. Powiedzmy, że Sowietci przejęli Niebieskiego Ptaka. Jest spalony. Robi dla Sowietów. To dlaczego kończą? Dlaczego nie usiądą z nami do gry? Ty byś nie kończył na ich miejscu. Nie stawiałbyś nam ultimatów ani terminów. No, powiedz.

Jego odpowiedź warta była najlepszego i najdroższego poczęstunku, jaki postawiłem koledze w całym moim życiu.

— Może bym musiał — odpowiedział. — Gdybym był Rosjaninem.

— Dlaczego?

Jego słowa zmroziły mnie tym bardziej, że wypowiedział je zupełnie beznamiętnie.

— Bo może on już nie nadaje się do pokazania. Może już nie może mówić. Albo unieść noża i widelca. I posolić kuropatwy. Może złożył parę dobrowolnych zeznań na temat swojej moskiewskiej ukochanej, która nie miała pojęcia, ale to naprawdę zielonego pojęcia, co robi... Może...

Wróciliśmy spacerkiem do Grosvenor Square. Barley wyszedł od Katii o północy moskiewskiego czasu i wrócił do „Mież”, gdzie Henziger czekał na niego w hallu, ostentacyjnie czytając jakiś rękopis.

Barley był w świetnym nastroju, ale nie miał nic nowego do zameldowania. Wieczór spędził na rodzinnym spotkaniu, powiedział Henzigerowi, ale też się świetnie bawił. A wypad do szpitala nadal aktualny, dodał.

Przez cały następny dzień nic. Dziura. Praca w wywiadzie to czekanie. Praca w wywiadzie to zamartwianie się, kiedy człowiek patrzy na upadek Neda. Praca w wywiadzie to zabieranie Hanny do siebie na Pimlico między czwartą a szóstą po południu, kiedy rzekomo ma lekcję niemieckiego — Bóg wie dlaczego. Praca w wywiadzie to udawanie miłości i pilnowanie, żeby była na czas w domu, żeby podać kochanemu Derekowi obiad.

15

Wzięli wóz Wołodii. Pożyczyła go na ten wieczór. Miał na nią czekać przed stacją metra przy lotnisku o dziewiątej i punkt dziewiąta łąda ryzykownie zajęchała.

— Nie powinieneś być nalegać — powiedziała.

W górze wieżowce jarzyły się od światła, ale na ulicach już panowała groźna atmosfera godziny policyjnej. Wilgotne nocne powietrze pełne było zapachów jesieni. Przed nimi wisiał księżyc udrapowany w strzępy mgły. Chwilami ocierali się o siebie dłońmi. Chwilami dłonie ich zwierały się w silnym uścisku. Barley zerkał w boczne lustro. Było sfłuczone, kilku odłamków brakowało, ale widział dosyć, żeby obserwować wozy, które ich

nie wyprzedzały, tylko jechały za nimi. Katia skręciła w lewo, ale wciąż nikt ich nie wyprzedzał.

Nie odzywała się, więc i on nic nie mówił. Zastanawiał się, skąd oni się dowiadują, kiedy można bezpiecznie rozmawiać, a kiedy nie. W szkole? Od starszych dziewcząt, dorastając? Czy z tych paru poważniejszych pouczeń domowego lekarza wysłuchanych gdzieś w drugim roku dojrzewania? „Czas, żebyś wiedział, że samochody i ściany mają uszy zupełnie tak jak ludzie”.

Podsłuchiwali na dziurawym zjeździe na nie wykończony parking.

— Wyobraź sobie, że jesteś lekarzem — ostrzegła go, gdy spojrzeli na siebie ponad dachem wozu. — Musisz mieć bardzo surową minę.

— Jestem lekarzem — powiedział Barley. Żadne z nich nie żartowało.

Poszukali drogi przez labirynt lśniących w księżycu kałuż do przejścia osłoniętego azbestowym daszkiem, prowadzącego do podwójnych drzwi i pustej sali przyjęć. Poczul pierwsze ostrzegawcze zapachy szpitala: środka dezynfekcyjnego, pasty do podłogi, spirytusu. Rześkim krokiem przeprowadziła go przez okrągły hall z pstrego cementu, potem korytarzem wyłożonym linoleum, obok marmurowego kontuaru z obsadą ponurych kobiet. Zegar wskazywał dziesiątą dwadzieścia pięć. Z rozmysłem i ostentacyjnie Barley porównał czas z zegarkiem na rękę. Zegar szpitalny spóźniał się dziesięć minut. Pod ścianami następnego korytarza siedziały oklapnięte na kuchennych krzesłach jakieś postacie.

Poczekalnia była mroczną katakumbą wspartą na olbrzymich słupach i miała w jednym końcu podwyższone podium. W drugim wahadłowe drzwi prowadziły do ubikacji. Ktoś zamontował prowizoryczne światło, żeby wskazywało drogę. W tym słabym świetle Barley dojrzał puste wieszaki za drewnianym kontuarem, szpitalne wózki i przytwierdzony do najbliższego słupa staroświecki telefon. Pod ścianą stała ławka. Katia usiadła, Barley obok niej.

— Zawsze się stara być punktualny. Czasem się spóźnia przez brak połączenia — powiedziała.

— Mogę z nim mówić?

— Będzie zły.

— Dlaczego?

— Jak usłyszają angielski na zamiejskowej, natychmiast zwróci to ich uwagę. To normalne.

Do damskiej ubikacji po wyjściu dwóch kobiet przez wahadłowe drzwi zabłąkał się mężczyzna z głową w bandażach, jak oślepiiony frontowy żołnierz. Kobiety go przytrzymały i skierowały, gdzie należy. Katia otworzyła torebkę, wyjęła notes i pióro.

Będzie próbował o dziesiątej czterdzieści, powiedziała. O dziesiątej czterdzieści po raz pierwszy spróbuje się połączyć. Nie będzie mówił długo, powiedziała. Nierozsądnie jest rozmawiać długo nawet z pewnych aparatów.

Wstała i podeszła do telefonu, schylając się pod kontuarem szatni jak miejscowa.

Powie jej, że ją kocha? — zastanawiał się Barley. „Tak cię Kocham, że dla siebie ryzykuję twoim życiem”. Będzie ją częstował miłosnymi zakłęciami jak w tym liście? Albo może jej powie, że jest godziwą ceną za to, by on mógł odzyskać czyste sumienie.

Stała bokiem do niego, czujnie zerkając przez wahadłowe drzwi. Goś niedobrego zobaczyła? Coś usłyszała? Czy myślami była już daleko, przy Jakowie?

Tak stoi, kiedy na niego czeka, pomyślał — jak ktoś, kto gotów czekać cały dzień.

Telefon zadzwonił ochryple, jakby miał kurz w gardle.

Jakimś szóstym zmysłem dopadła telefonu, nie miał więc okazji zaskrzeczeć po raz drugi, bo już trzymała słuchawkę w ręce. Barleya dzieliło od niej zaledwie parę stóp, ale musiał wyteńczyć słuch, żeby ją słyszeć wśród szpitalnych hałasów. Odwróciła się do niego tyłem, pewno po to, aby być sama, i dłonią osłoniła drugie ucho, żeby słyszeć w słuchawce kochanka. Barley słyszał tylko, jak posłusznie mówi: — Tak — i znowu: — Tak.

Zostaw ją w spokoju — pomyślał z gniewem. — Już ci to mówiłem i powtórzę podczas weekendu. Zostaw ją w spokoju, nie mieszaj jej do tego. Załatw to z tajnikami albo ze mną!

Notes leżał otwarty na chwiejnej, przytwierdzonej do słupa półeczce, na nim pióro, ale nie tknęła ani jednego, ani drugiego. „Tak, tak, tak”. Tak jak ja na wyspie. „Tak, tak, tak”. Zobaczył, że podnosi ramiona, chowa w nie szyję i tak zostaje, a plecy jej się napinają, jakby głęboko wciągała oddech albo przeżywała w duchu coś miłego. Łokieć jej się uniośł, mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha. „Tak, tak”. Może „nie” chociaż raz? „Nie, nie będę się za ciebie podkładała!”

Wolną ręką znalazła słup i zobaczył, że palce jej się rozsuwają i łączą, że paznokciami wciskają się w ciemny tynk. Zobaczył, jak wierzch jej dłoni bieleje, jak dłoń nieruchomieje i nagle ta ręka go ostrzegła. Katia czegoś się uchwyciła, czegoś się czepiała w obronie życia. Była nad przepaścią i tylko tym chwytem palców trzymała się kochanka, by nie runąć w dół.

Odwróciła się ze słuchawką wciąż przy uchu i zobaczył jej twarz. Kto to? Kim się stała? Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, ta twarz była bez wyrazu, a telefon, wciśnięty w skroń, przypominał przyłożony do niej pistolet.

Miała spojrzenie zakładnika.

Potem cała zaczęła się osuwać po słupie — jakby już jej nie zależało, żeby się trzymać. Z początku tylko kolana się pod nią ugięły, potem załamała się w pasie, ale Barley już ją podtrzymywał. Jedną ręką objął ją wpół, drugą wydarł jej słuchawkę. Przyłożył ją do ucha i krzyknął:

— Goethe! — ponieważ jednak nic poza sygnałem nie usłyszał, powiesił słuchawkę.

To dziwne, ale dotąd nie pamiętał, że jest silny. Ruszyli, ale nagle Katię ogarnął wstręt do niego, w milczeniu zamachnęła się pięścią i tak mocno trzasnęła go w kość policzkową, że przez chwilę nie widział nic poza oślepiającym światłem. Przycisnął jej ręce do boków i przytrzymał, przewiółk ją pod kontuarem i wyprowadził przez szpital na parking.

„Jest pacjentką z zaburzeniami — tłumaczył sobie w myśli. — Pacjentka z zaburzeniami pod opieką lekarza”.

Wciąż ją trzymając wyrzucił zawartość jej torebki na dach wozu, znalazł kluczyki, otworzył drzwi dla pasażera i władował ją do środka. Potem przebiegł na miejsce kierowcy, na wypadek gdyby mimo wszystko przyszło jej do głowy przejąć prowadzenie.

— Do domu — powiedziała.

— Nie znam drogi.

— Odwieź mnie do domu — powtórzyła.

— Katia! Nie znam drogi. Będziesz mnie musiała poprowadzić, słyszysz? — Chwyć ją za ramiona. — Siedź prosto. Patrz przed siebie. Gdzie ta cholera ma wsteczny bieg?

Manewrował dźwignią biegów. Złapała za dźwignię i wcisnęła wsteczny, aż jęknęła.

— Światła — powiedział.

Już je znalazł, ale kazał jej włączyć, chcąc w gniewie, by go posłuchała. Podskakując na wybojach parkingu musiał skręcić, żeby się nie zderzyć z wjeżdżającą pędem karetką. Błoto i woda zalały szybę, nie było jednak wycieraczek, ponieważ nie padało. Znow zatrzymał wóz, wyskoczył i wytarł szybę prawie do czysta własną chusteczką. Wrócił.

— W lewo — powiedziała. — Proszę cię, szybko.

— Przyjechaliśmy z innej strony.

— To jest jeden kierunek. Szybko.

Głos jej Dył martwy i Barley nie mógł go ożywić. Podał jej swoją flaszkę. Odepchnęła. Jechał powoli, ignorując jej nalegania, żeby przyspieszyć. Światła w tylnym lusterku nie zbliżały się ani nie gubiły. To Wicklow, pomyślał. To Paddy, Cy, Henziger, Zapadny, cała ich zbrojna armia. W światłach latarni jej twarz to się zapalała, to gasła, ale była bez życia. Katia patrzyła w siebie i w te straszne rzeczy, które być może widziała oczyma wyobraźni. W ustach trzymała ściśniętą pięść. Knykcie tkwiły jej między zębami.

— Skręcam tu? — spytał brutalnie. I znowu na nią krzyknął: — Mów, gdzie mam skręcać!

Odezwała się najpierw po rosyjsku, potem po angielsku.

— Teraz. W prawo. Jedź szybciej.

Nie poznawał drogi. Każda z pustych ulic była jak poprzednia.

- Skręcaj teraz.
- W lewo czy w prawo?
- W lewo!

Wrzasnęła, ile sił w płucach i zaraz powtórzyła. Po krzyku przyszły łyzy i popłynęły wśród zdławionych rozpaczliwych łkań. Potem łkania zaczęły ustawać i zanim podjechali pod jej blok, całkiem ucichły. Zaciągnął ręczny hamulec, zepsuty. Sięgnął do niej, ale była szybsza. Wskoczyła jakoś na chodnik i już biegła przez podwórze z otwartą torebką szukając kluczy. W drzwiach sterczał jakiś chłopak w skórzanej kurtce i wydawało się, że jej zastąpi drogę. Tymczasem jednak Barley zrównał się z nią, chłopak uskoczył w bok i ustąpił im drogi. Nie czekała na windę, a może w ogóle zapomniała o jej istnieniu. Rzuciła się na schody, Barley za nią, minęli jakąś przytuloną parkę. Na pierwszym podejściu siedział w kącie stary pijak. Wchodzili i wchodzili. Teraz znów pijana staruszka. Potem jakiś chłopak. Tak się wysoko wspinali, aż Barley zląkł się, że zapomniała, na którym piętrze mieszka. Potem nagle otworzyła zamki i znaleźli się z powrotem w jej mieszkaniu, i Katia już była w pokoju bliźniąt, klęczała na ich łóżku z zadartą głową i dyszała jak wykończony pływak, obejmując śpiące dzieci.

I znowu była tylko jej sypialnia. Wprowadził ją, bo nawet w tym maleńkim mieszkaniu nie pamiętała drogi. Usiadła niepewnie na łóżku, jakby nie wiedziała, jak jest wysokie. Usiadł przy niej i patrzył w jej tępą twarz, patrzył, jak jej oczy zamykają się, jak się na pół otwierają i znów zamykają, nie śmiał jej dotknąć, ponieważ była sztywna, przerażona, obca. Ścisła rękę w przegubie, jakby ją złamała. Westchnęła głęboko. Wypowiedział jej imię, ale chyba go nie usłyszała. Rozejrzał się po pokoju przeszukując go wzrokiem. Wzdłuż jednej ściany umocowany był maleńki pulpit, połączenie składanego stołu z biurkiem. Ciśnięty między stare listy leżał tam kołotonatnik podobny do tego, jakiego używał Goethe. Nad łóżkiem wisiała w ramce reprodukcja Renoira. Zdjął ją i położył na kolanach. Jako fachowo przeszkolony agent wydarł stronę z notatnika, położył ją na szkle obrazka, wydobyl z kieszeni pióro i napisał:

— Mów.

Położył kartkę przed nią, a ona przeczytała ją obojętnie, nie puszczając nadgarstka. Ledwie wruszyła ramionami. Ramieniem dotykała jego ramienia, ale nie była tego świadoma. Bluzkę miała rozpiętą, a bujne czarne włosy zmierzwione od biegu. Napisał jeszcze raz „Mów” — a potem chwycił ją za ramiona, jednocześnie błagając wzrokiem pełnym rozpaczliwej miłości. Potem stuknął palcem w kartkę papieru. Wziął obraz i wcisnął jej na kolana, żeby ją zmusić do uwagi. Wbiła wzrok w kartkę i w to „Mów”, wydała długi,

rozpaczliwy, zdławiony jęk i spuściła głowę, tak że twarz jej się schowała za zasłoną zmierzwionych włosów.

— Mają Jakowa — napisała.

Odebrał jej pióro.

— Kto ci powiedział?

— Jaków — odpowiedziała.

— Co mówił?

— Będzie w Moskwie w piątek. Spotka się z tobą u Igora o jedenastej wieczorem. Przyniesie dalsze materiały i odpowie na pytania. Prosi o przygotowanie dokładnej listy. Będzie to ostatni raz. Masz mieć dla niego wiadomości o książce, daty, szczegóły. Masz przynieść dobrą whisky. Kocha mnie.

Znów jej odebrał pióro.

— Jaków to mówił?

Skinęła głową.

— Dlaczego mówisz, że go mają?

— Użył nie tego imienia.

— Jakiego?

— Danił. Tak było umówione. Jaków, jak jest bezpieczny, Danił, jeśli go złapali.

Pilnie wymieniali się piórem. Teraz miał je Barley, pisał pytanie za pytaniem.

— Popelił jakiś błąd?

Zaprzeczyła kręcąc głową.

— Jest chory? Zapomniał waszego szyfru?

Znowu zaprzeczyła.

— Nigdy dotąd się nie mylił?

I na to pokręciła głową, zabrała pióro i napisała ze złością:

— Nazwał mnie Marią. Powiedział: „To Maria?” Mam się nazywać Marią w razie niebezpieczeństwa. Jeżeli wszystko jest w porządku, Alina.

— Napisz, co mówił.

— „Mówi Danił. Czy to Maria? Ten wykład był największym sukcesem w mojej karierze”. To było kłamstwo.

— Dlaczego?

— Zawsze mówi, że w Rosji jedyny sukces to przegrana. Taki nasz żart. Umyślnie powiedział coś przeciwnego. Mówił mi, że już jesteśmy martwi.

Barley podszedł do okna i wyjrzał prosto w dół, na podwórze i ulicę. W całym jego ciemnym wewnętrznym świetle zapadła cisza. Nic się nie poruszało, nic nie oddychało. Ale był gotów. Był gotów przez całe życie, wcale o tym nie wiedząc. Katia to kobieta Goethego, a więc jest martwa jak on. Jeszcze nie, ponieważ Goethe ją osłonił resztką odwagi, jaka mu została. Ale jest martwa, jak tylko można być martwym, niech tylko tamci wyciągną swoje długie ramie i sięgną po nią.

Chyba godzinę stał przy oknie, zanim wrócił do łóżka. Leżała na boku z otwartymi oczyma i podciągniętymi kolanami. Objął ją i przyciągnął do siebie, i poczuł w ramionach jej zimne ciało, kiedy się rozszlochała, płacząc konwulsyjnie i bezgłośnie, jakby się bała nawet płakać w zasięgu mikrofonów.

Znowu napisał do niej śmiałymi, wyraźnymi, wielkimi literami: UWAŻAJ NATO, CO JA ROBIĘ.

Ekran y ożywały co parę minut. Barley wyszedł z „Mież”. Przerwa. Przybyli na stację metra. Przerwa. Wyszli ze szpitala, Katia wsparta na ramieniu Barleya. Przerwa. Ludzie kłamią, ale komputer jest niezawodny. Przerwa.

— Dlaczego on prowadzi, do cholery? — spytał ostro Ned na ten widok.

Sheriton był zbyt zaabsorbowany, by odpowiedzieć, ale za nim stał Bob i Bob podjął to pytanie.

— Mężczyźni lubią wozić kobiety, Ned. Nadal jesteśmy maskulinistami.

— Dziękuję — powiedział Ned uprzejmie. Clive uśmiechnął się z aprobatą.

Przerwa. Ciągłość się urywa, bo teraz Anastazja przejmuje sprawę. Anastazja to wściekła sześćdziesięcioletnia Litwinka, na żołdzie Naszej Rosji od dwudziestu lat. Jedyne Anastazji pozwolono inwigilować poczekalnię.

Oto jej meldunek.

Przeszła dwa razy, najpierw do ubikacji, drugi raz z powrotem do poczekalni.

Za pierwszym razem Barley z Katią siedzieli na ławce i czekali.

Za drugim razem Barley z Katią stali przy telefonie i jakby się obejmowali. Barley trzymał rękę przy jej twarzy, Katia też miała podniesioną rękę, druga zwisała jej u boku.

Czy tymczasem Niebieski Ptak zadzwonił?

Anastazja nie wiedziała. Choć stała w kabinie ubikacji i wytężała słuch, jak tylko mogła, nie słyszała dzwonka telefonu. Więc albo do rozmowy nie doszło, albo się skończyła przed jej drugim przejściem.

— Po co, u licha, miałby ją obejmować? — spytał Ned.

— Może coś jej wpadło do oka — zauważył kwaśno Sheriton, wciąż wpatrzony w ekran.

■— On prowadził — drażył Ned. — Nie wolno mu tam prowadzić, a prowadził. Dał jej prowadzić przez całą drogę za miasto i z powrotem. Zawiozła go do szpitala. A tu nagle on przejmuje kierownicę. Dlaczego?

Sheriton odłożył ołówek i przejechał palcem po wewnętrznej stronie kołnierzyka.

— To na co stawiasz, Ned? Niebieski Ptak dzwonił czy nie? No?

Ned wciąż był na tyle przyzwoity, żeby się uczciwie zastanowić nad tym pytaniem.

— Przypuszczalnie zadzwonił. Inaczej dalej by czekali.

— Może Ł słyszała coś nie po swojej myśli. Złe nowiny czy coś takiego — zasugerował Sheriton.

Ekran y zgasty, w pokoju zrobiło się żółtawo.

Sheriton miał osobny gabinet ozdobiony różnym drzewem i sztuką typu „instant”. Tam rozłożyliśmy się obozem, nalaliśmy kawę i stanęliśmy w koło.

— Co, u diabła, tak długo robi w jej mieszkaniu? — spytał mnie na boku Ned. — Ma tylko wydobyć od niej czas i miejsce spotkania. Mógł to zrobić już dwie godziny temu.

— Może zafundowali sobie chwilę czułości — powiedziałem.

— Czułbym się lepiej, gdybym tak uważał.

— Może kupuje następną czapkę — wtrącił złośliwie Johnny, który nas usłyszał.

— Geronimo — powiedział Sheriton, kiedy zadzwonił dzwonek, i z powrotem pomaszzerowaliśmy do pokoju operacyjnego.

Na podświetlonym planie miasta mieszkanie Katii było zaznaczone czerwonym punkcikiem. Miejsce, gdzie go mieli zabrać do samochodu, znajdowało się trzysta metrów na wschód, na południowo-wschodnim skrzyżowaniu dwóch głównych ulic zaznaczonych na zielono. Barley musiał teraz zmierzać chodnikiem po stronie południowej, idąc blisko krawężnika. Kiedy będzie dochodził do punktu spotkania, miał udać, że zwalnia, jakby polował na taksówkę. Podjedzie zakonspirowany wóz. Poinstruowano Bar-leya, żeby głośno podał kierowcy nazwę hotelu i gestykulował udając uzgadnianie ceny.

Za drugim zakrętem wóz skręci i wjedzie na teren, gdzie bez świateł stoi zaparkowana ciężarówka z kierowcą, który niby to się zdrzemnął. Gdyby ciężarówka miała wysuniętą boczną antenę, wóz zrobi kółko w prawo i wróci do ciężarówki.

Jeżeli nie, wpadka.

Raport Paddy'ego pojawił się na monitorze o pierwszej po południu według londyńskiego czasu. Taśmy udostępniono nam w mniej niż godzinę, nadane z dachu ambasady USA. Od tamtej pory pocięto je na kawałeczki w bardzo zmyślny sposób. Dla mnie na zawsze pozostaną wzorem rzeczowego raportu z terenu.

Naturalnie trzeba znać autora, każdy bowiem autor ma swoje ograniczenia. Paddy nie umiał czytać w myślach, ale umiał wiele innych rzeczy. Dawny Nepalczyk przeistoczony w funkcjonariusza służb specjalnych, następnie w pracownika wywiadu, lingwistę, projektanta i wynalazcę z rodzaju tych, jakich faworyzował Ned.

By stworzyć swą moskiewską postać, tak się wcielił w angielskiego

głupka, że nieświadomieni żartowali z niego, kiedy ktoś komuś go opisywał: w lecie w długich szortach wyruszał na wędrówki po podmoskiewskich lasach; w zimie uprawiał biegi płaskie na nartach, ładował do swego volvo staroświeckie narty, bambusowe kijki i żelazne racje wałówki, a na koniec własną wspaniałą postać w futrzanej czapie, która wyglądała na relikw z epoki arktycznych konwojów. Ale żeby udawać głupka, trzeba być mądrym i długo nie dać się zdemaskować, i Paddy był mądry, jakkolwiek później stało się wygodne traktować jego dziwactwa dosłownie.

Znakomicie też potrafił trzymać w ryzach zbieranie swoich niby to studentów lingwistyki, urzędników z biur podróży, drobnych kupców i ludzi niewyraźnej narodowości. Sam Ned nie byłby lepszy. Obchodził się z nimi jak roztropny proboszcz i każdy z nich, na ile było go stać, starał się mu dorównać. To nie jego wina, że cechy, które mu jednały ludzi, czyniły go też bezbronnym wobec oszustwa.

Weźmy więc raport Paddy'ego. Przede wszystkim uderzyła go precyzja, z jaką Barley złożył swój raport, i taśma to potwierdza. Głos Barleya jest bardziej pewny siebie niż na wszystkich poprzednich nagraniach.

Paddy'emu zaimponowało zdecydowanie Barleya i jego oddanie sprawie. Porównał Barleya, którego miał przed sobą, z Barleyem, którego instruiował przed leningradzkim zadaniem, i ujęła go zmiana na lepsze. Miał rację. Barley urósł, stał się innym człowiekiem.

Raport Barleya, przedstawiony Paddy'emu, zgadzał się też z każdym ze sprawdzalnych faktów, jakimi Paddy rozporządzał, od spotkania przy metrze i jazdy do szpitala, po czekanie na ławce i przytłumiony dzwonek telefonu. Katia już stała nad telefonem, kiedy rozległ się dzwonek, mówił Barley. Sam Barley ledwie go dosłyszał. Nic więc dziwnego, że i Anastazja nie słyszała, rozumował Paddy. Katia musiała błyskawicznie złapać słuchawkę.

Rozmowa między Katią a Niebieskim Ptakiem była krótka, trwała najwyżej dwie minuty, powiedział Barley. I znów wszystko pasuje. Wiedzano, że Goethe boi się długich rozmów przez telefon.

Przy tylu więc zbieżnościach, jakimi rozporządzał, i skoro Barley gładko wyminął wszystkie rafy, czyż można było potem utrzymywać, że Paddy winien był odwieźć Barleya prosto do ambasady i wysłać do Londynu związanego i z kneblem w ustach? Ale Clive, oczywiście, tak twierdził, i nie był w tym osamotniony.

Tak przechodzimy do trzech zagadek, z którymi do tej pory Ned nie mógł sobie poradzić: tego uścisku, jazdy ze szpitala z Barleyem za kierownicą i dwóch godzin spędzonych z Katią w jej mieszkaniu. Jeśli idzie o odpowiedzi Barleya, musimy go zobaczyć tak, jak go widział Paddy, pochylonego nad ledwie oświetlonym stołem w ciężarówce, z twarzą lśniąca od upału. W tle słychać szum zagłuszaczy. Obaj mają słuchawki na uszach, pomiędzy nimi leży mikrofon o zamkniętym obwodzie. Barley szeptem składa raport do

mikrofonu i swojemu miejscowemu szefowi. Nie wszystkie nocne przygody Paddy'ego z północno-zachodniego frontu mogły się poszczycić bardziej dramatyczną atmosferą.

Cy siedzi w cieniu z trzecią parą słuchawek na uszach. To ciężarówka Cy ego, ale ma rozkaz pozwolić Paddy emu na odegranie roli gospodarza.

— I raptem zrobiło się jej słabo — mówi Barley na tyle tonem męskich zwierzeń, że Paddy się uśmiecha. — Przez cały tydzień czekała w nerwach na telefon i kiedy nagle było po wszystkim, wysiadła. Na pewno jej to nie pomogło, że ja tam byłem. Beze mnie, myślę, jakoś by wytrzymała, aż będzie w domu.

— Pewno tak — ze zrozumieniem przytakuje Paddy.

— To było dla niej za wiele. Jego głos, wiadomość, że za parę dni będzie w mieście, jej troska o dzieciaki... i o niego, no i o siebie... po prostu to było ponad jej siły.

Paddy rozumiał to znakomicie. Swego czasu miał do czynienia z uczuciowymi kobietami i znał dokładnie sytuacje, które doprowadzały je do płaczu.

Od tego miejsca wszystko poszło w sposób naturalny. Oszustwo stało się symfonią. Barley zrobił, co mógł, żeby ją uspokoić, jak mówił, ale była w złym stanie, więc objął ją, zataskał do wozu i odwiózł do domu.

W wozie jeszcze popłakała, ale nim dojechali, poczuła się lepiej. Barley zrobił jej herbatę i potrzymał za rękę, dopóki nie był pewien, że sama sobie poradzi.

— Dobra robota — mówi Paddy, a jeśli przy tym jego głos brzmi jak głos dziewiętnastowiecznego oficera armii indyjskiej, gratulującego ludziom po nieudanej szarży kawalerii, to dlatego tylko, że jest pod wrażeniem i trzyma usta za blisko mikrofonu.

I na koniec pytanie Barleya, kiedy to głos zabiera Cy. Po fakcie oczywiście brzmi ono jak jawne przyznanie się do złodziejskich zamiarów. Ale Cy nie odebrał go w ten sposób, ani Paddy. Tak samo w gruncie rzeczy nikt w Londynie poza Nedom, którego bezradność już wtedy grała nam na nerwach. Ned stawał się pariasem pokoju operacyjnego.

— Ach tak, no właśnie, a co z listą zakupów? — pyta Barley gotując się do wyjścia. Kwestia wypływa wśród innych pomniejszych administracyjnych problemów, nie solo. — Kiedy w rozpaloną moją dłoń zamierzacie wcisnąć listę zakupów? — powtarza pytanie.

— Dlaczego pytasz? — odzywa się Cy z mroków.

— No, czy ja wiem? Nie powinienem się jej wykuć na pamięć czy coś w tym guście?

— Nic tam nie ma do wkuwania — powiada Cy. — To spis pytań, na które trzeba odpowiedzieć tak lub nie, i to naprawdę ważne, żebyś z niej nie znał ani słowa, dzięki.

— Więc kiedy ją dostanę?

— Lista zakupów przychodzi jak najpóźniej — mówi Cy.

Z opinii Cy'ego o stanie ducha Barleya jedna perełka jest zarejestrowana. „Z Brytyjczykami —jak miał powiedzieć — i tak nigdy nie wiadomo, co sobie myślą”.

Przynajmniej tamtego wieczora Cy miał za sobą pewną rację.

— Żadnych złych wiadomości — zapewniał Ned, kiedy Brock przegrywał po raz trzeci czy trzydziesty taśmy z ciężarówki.

Znów byliśmy u siebie, w Naszej Rosji. Tu się schroniliśmy. Znowu było jak za pierwszych dni. Świt, ale wszyscy byliśmy nazbyt rozbudzeni, żeby myśleć o spaniu.

— Nie było żadnych złych wiadomości — powtórzył Ned. — Same dobre. „Czuję się dobrze. Jestem bezpieczny. Miałem wspaniały wykład. Wsiadam do samolotu. Do piątku. Kocham cię”. Więc ona płacze.

— I to płacze tak, że on ją musi taszczyć przez szpitalny korytarz. Bo nie jest w stanie jej prowadzić. Kiedy przychodzą do domu, biegnie do drzwi pierwsza, jakby Barley nie istniał, bo tak się cieszy, że Niebieski Ptak przylatuje bez opóźnienia. A on ją pociesza. Po tych wszystkich dobrych wiadomościach. — Znów wraca nagrany głos Barleya. — I jest spokojny. Zupełnie spokojny. Nie ma żadnych zmartwień. „Trafiłszy w dziesiątkę, Paddy. Wszystko gra. Dlatego ona płacze”. Oczywiście.

Odchylił się na oparcie i zamknął oczy, podczas gdy szczyry głos Barleya dalej mówił do niego z magnetofonu.

— On już do nas nie należy — stwierdził Ned. — Odszedł.

Jak również, w innym sensie, odszedł Ned. Puścił się na wielką operację. Teraz, według jego kalkulacji, jedyne, co mógł zrobić, to patrzeć, jak mu się wymyka z rąk. W życiu nie widziałem nikogo tak samotnego, może z wyjątkiem samego siebie.

Praca w wywiadzie to czekanie.

Praca w wywiadzie to zamartwianie się.

Służyć w wywiadzie to być sobą, tylko że jeszcze bardziej.

Barleyowi dzwoniły jeszcze w uszach dobre rady byłego już Waltera i obecnego Neda. Uczeń odziedziczył zaklęcia mistrzów, ale jego magia miała większą moc.

Dosięgnął wyżyn, na jakie żaden z nich się nie wzniósł. Miał cel, miał środki, by ten cel osiągnąć, i miał coś, co Clive by nazwał motywacją, a ktoś uprzejmiejszy racją działania. Przydatne było wszystko, czego się od nich nauczył, kiedy spokojnie ruszał do walki, żeby ich oszukać. Ale nie był ich oszustem.

Ich sztandary nic dla niego nie znaczyły. Mogły sobie powiewać, na

jakim chciały wietrze. Nie był ich zdrajcą. Ale nie walczył dla siebie. Wiedział, jaką bitwę musi wygrać, i wiedział, dla kogo musi ją wygrać. Wiedział, jaką jest gotów ponieść ofiarę. Nie był ich zdrajcą. Był z jednej bryły.

Nie potrzebował ich tchórzliwych etykietek i niewydarzonych metod. Był sam jeden, ale znaczył więcej niż ci wszyscy, którzy mieli stać nad nim, razem wzięci. Znał ich jako najgorszą ze wszystkich niegodziwych broni, ponieważ stwarzali sobie wroga, by usprawiedliwić własne istnienie.

Spokojnie, choć wcale nawet nie aż tak spokojnie, odkrył istnienie gniewu. Poczul swąd rozpałki i dosłyszał trzask płomieni.

Jest tylko teraz. Goethe miał rację. Nie ma jutra, jutro to wymówka. Jest teraz albo nigdzie, i Goethe, nawet nigdzie, miał rację. Musimy sami w sobie wytrzebić tajniaków, spalić ich szare garniturki i wyzwolić w sobie szczerą dobroć, o czym marzy każdy uczciwy człowiek, a nawet — wiercie lub nie — również ten i ów tajniak. Ale jak? Czym?

Goethe miał rację, i to nie jego ani Barleya wina, że przez przypadek jeden drugiego pchnął do czynu. Wraz ze wzmagającym się promieniowaniem ducha ogarniało Barleya nieodparte poczucie związków krwi z tym nieprawdopodobnym sprzymierzeńcem. Przepelniała go lojalność wobec szalonego marzenia Goethego, by wyzwolić z pęt moralność i otworzyć drzwi pomieszczeń pełnych brudu.

Ale Barley nie rozmyślał długo o udręce Goethego. Goethe jest w piekle i bardzo możliwe, że wkrótce on tam pójdzie za nim. Będę go oplakiwał, kiedy znajdę na to czas, pomyślał. Na razie musiał zająć się żywymi, których Goethe tak haniebnie naraził i ostatnim gestem odwagi próbował ratować.

W sprawie najpilniejszej Barley musiał się posłużyć sztuczkami tajniaków. Musiał być sobą, tylko że jeszcze bardziej sobą niż kiedykolwiek. Musiał czekać. Musiał się martwić. Musiał być odwrotnością tego, czym był: człowiekiem wewnątrznie pogodzonego, na zewnątrz niespełnionym. Musiał żyć tajnie, na palcach, sprężony w sobie jak kot, a działać jak Barley Blair, jakiego oni chcieli widzieć, w każdym calu stworzony przez nich.

Jednocześnie Barley-szachista rozważa każdy swój ruch. Uśpiony negocjator niedostrzegalnie się budzi. Wydawca osiąga to, czego nigdy dotąd nie osiągnął, staje się chłodnym pośrednikiem między koniecznością a odległą wizją.

Katia wie — rozumuje. — Wie, że mają Goethego.

Ale oni nie wiedzą, że ona wie, bo nie straciła głowy w tej rozmowie przez telefon.

I nie wiedzą, że ja wiem, że Katia wie.

Na całym świecie ja jedyne, poza Katią i Goethem, wiem, że Katia wie.

Katia jest wciąż na wolności.

Dlaczego?

Nie wykradli jej dzieci, nie splądrowali mieszkania, nie wsadzili Matwieja

do czubków, nie popisali się też żadną z tradycyjnych uprzejmości zarezerwowanych dla Rosjanek, które się podjęły roli kuriera na rzecz fizyka pracującego dla sowieckiego przemysłu obronnego i zamierzającego powierzyć tajemnicę państwową podupadającemu zachodniemu wydawcy.

Dlaczego?

Ja też jak dotąd jestem na wolności. Nie przykuli mnie za szyję do muru.

Dlaczego?

Bo nie wiedzą, że my wiemy, że oni wiedzą.

A więc chcą czegoś więcej.

Chcą nas — ale nie tylko nas.

Mogą z nami poczekać, bo chcą czegoś więcej.

Czym jest to więcej?

Czym wytłumaczyć ich cierpliwość?

Każdy sypie, powiedział Ned stwierdzając niezbitą fakt. Przy dzisiejszych metodach każdy sypie. Powiedział Barleyowi, żeby się nie starał milczeć, jak go złapią. Ale Barley nie myślał już o sobie. Myślał o Katii.

Odtąd dniem i nocą przestawiał w głowie pionki, doskonalił plan czekając, jak my wszyscy, na zapowiedziane piątkowe spotkanie z Niebieskim Ptakiem.

Na śniadaniu, punktualnie jak na parady, Barley był wzorem wydawcy i szpicla. A co dzień od rana do nocy duszą całych targów.

Goethe, dla ciebie nic nie mogę zrobić. Żadna siła na ziemi nie wyrwie cię im z łap.

Dla Katii jeszcze jest ratunek. Dla jej dzieci jeszcze jest ratunek. Nawet jeżeli wszyscy będą sypać, a Goethe w końcu nie będzie wyjątkiem.

Dla mnie samego nie ma ratunku, jak zawsze.

Goethe dał mi odwagę, myślał, gdy umacniał się w nim jego tajemny zamiar, a Katia miłość.

Nie, Katia dała mi jedno i drugie. I wciąż daje.

I piątek tak spokojny jak dni poprzedzające, ekrany prawie martwe, a Barley metodycznie zmierza ku wielkiemu wieczornemu przyjęciu inaugurującemu firmę Potomak-Blair w duchu dobrej woli i głośności, jak to ujmują nasze ozdobne zaproszenia wydrukowane na trójdzielnych kartonikach o wystrzępionych brzegach we własnej drukarni służb niecałe dwa tygodnie temu.

A tymczasem z pozorną niebałością Barley się upewnia, że Katia nadal ma się dobrze. Dzwoni do niej, kiedy tylko może. Gawędzi z nią starając się, by musiała użyć słowa „wygodnie” jako sygnału, że jest bezpieczna. W zamian on wtrąca do własnej lekkomyślnej paplaniny słowo „szczerze”. Nic poważnego, nic na temat miłości, śmierci czy wielkich niemieckich poetów. Po prostu:

Jak leci?

Dają ci się we znaki te targi, powiedz szczerze?

Jak bliźnięta?

Czy Matwiej wciąż się cieszy fajką?

Czyli: kocham cię i kocham cię, i kocham cię, i kocham cię szczerze. Aby się lepiej upewnić co do jej bezpieczeństwa, Barley deleguje Wick-łowa, żeby po drodze zerknąć na nią w pawilonie socjalistycznym.

— Ma się dobrze — melduje Wickłowa z uśmiechem, uspokajając zdenerwowanego Barleya. — Jak już z kimś chodzi, to nie zerka na boki.

— Dzięki — mówi Barley. — To cholernie ładne z twojej strony, stary.

Za drugim razem, znów na prośbę Barleya, idzie sam Henziger. Może Barley oszczędza się na wieczór. Albo może nie dowierza własnym uczuciom. Ale ona wciąż tam jest, wciąż żywa, wciąż oddycha i przebrała się w wieczorową suknię.

Ale przez cały czas, nawet wracając do miasta wcześniej, żeby zdążyć przed gośćmi, Barley wciąż robi przegląd swojej prywatnej armii faktów zmiennych i niezmiennych z jasnością myśli, z jakiej byłby dumny najbieglej-szy i najbardziej ugodowy prawnik.

16

— Gregory! To cudowne! Fantastyczne! Gdzie Warena?

— Barley, przyjacielu, ratuj nas, na litość boską! Nie mniej niż wy, Anglicy, nie lubimy dwudziestego wieku. Uciekajmy stąd razem! Dziś wieczór wyjeżdżamy, okay? Kupisz bilety?

— Jurij, mój Boże, to twoja nowa żona? Rzuć go. To potwór.

— Barley, słuchaj! Wszystko wspaniale! Nie mamy już problemów! Dawniej się z góry zakładało, że wszystko jest do chrzanu! Teraz wystarczy zajrzeć do naszych gazet, żeby to potwierdzić!

— Misza! Jak idzie praca? Super!

— To wojna, na Chrystusa, Barley, to otwarta wojna. Najpierw musimy powywieszać starą gwardię, a potem stoczyć następną bitwę pod Stalingradem!

— Leo! Jak to wspaniale, że cię widzę! Jak tam Sonia?

— Barley, posłuchaj! Komunizm nie jest zagrożeniem! Zagrożenie to gospodarka pasożytnicza żyjąca z błędów was wszystkich, głupich dupków z Zachodu!

Przyjęcie się odbywało w lustrzanej górnej sali starego śródmiejskiego hotelu. Tajniacy pilnowali na zewnątrz, na chodniku. W hallu, na schodach i przy wejściu sterczeli dalsi tajniacy.

Firma Potomak-Blair zaprosiła ze sto osób. Osiem przyjęło zaproszenia, nikt nie odmówił, a jak dotąd przybyło jakieś sto pięćdziesiąt. Ale dopóki nie było wśród nich Katii, Barley się trzymał w pobliżu drzwi.

Wpłynęła grupka zachodnich dziewcząt eskortowanych jak zwykle przez podejrzanych oficjalnych tłumaczy, samych mężczyzn. Przybył postawny filozof, który grywał na klarnecie, z najnowszym swoim przyjacielem.

— Aleksander! To fantastyczne! Cudowne!

Samotny Syberyjczyk imieniem Andriej, już pijany, musiał pogadać z Barleyem o sprawie niecierpiącej zwłoki.

— Monopartyjny socjalizm to katastrofa, Barley. Doprowadził nas do rozpacz. Trzymajcie się waszej brytyjskiej odmiany. Wydasz moją nową powieść?

— No, nic o tym nie wiem — odpowiedział Barley ostrożnie, rzucając okiem w stronę drzwi. — Nasz rosyjski redaktor jest nią zachwycony, ale on nie ma rozeznania w angielskim rynku. Myślmy o tym.

— Wiesz, dlaczego tu dziś jestem? — spytał Andriej.

— No, ciekawe.

Nadeszła inna wesoła grupka, ale znów bez Katii.

— Żeby się dla ciebie wystróić. My, Rosjanie, dobrze znamy swoje sztuczki. Potrzebne nam zachodnie lustro. Przyjeżdżacie i odjeżdżacie unosząc nasze najlepsze odbicia, a my czujemy się nobilitowani. Jeżeli mi wydałeś pierwszą powieść, sama logika wymaga, żebyś wydał drugą.

— Ale nie wtedy, kiedy pierwsza nie przyniosła pieniędzy, Andriej — powiedział Barley z rzadką stanowczością i z ulgą dojrzał, że przez salę przeciska się w ich stronę Wicklow.

— Wiesz, że Anatolij zmarł w więzieniu podczas głodówki w grudniu? Po dwóch latach tej Wielkiej Nowej Rosji, którą się cieszymy — ciągnął Andriej biorąc następny olbrzymi łyk whisky, dostarczonej grzecznościowo przez ambasadę amerykańską dla poparcia trzeźwiejszej Rosji.

— Oczywiście, słyszeliśmy — uspokajająco wtrącił się Wicklow. — To było okropne.

— Więc dlaczego nie wydajecie mojej powieści?

Zostawiając Wicklowa, żeby się z tym uporał, Barley rozłożył ramiona i promienny pomknął do drzwi. Przybyła niezrównana Natalia ze Wszechzwiązkowej Państwowej Biblioteki Literatury Obcej, przebiegła piękność w wieku lat sześćdziesięciu. Z zachwytem padli sobie w objęcia.

— Więc o kim dziś dyskutujemy, Barley? O Jamesie Joysie czy o Adrianie Mole'u? Cóż to nagle zrobiłeś się taki inteligentny z wyglądu? To dlatego, że stałeś się kapitalistą?

Połowę zebranych coś pognęło w drugi koniec sali, aż spłoszeni kapusie musieli wyrzeć za drzwi Gwar rozmów przycichł i wrócił do normy. Nastąpiło odświeżenie bufetu.

Ale wciąż ani śladu Katii.

— Dziś, za pierestrojki, wszystko jest dużo łatwiejsze — mówiła Natalia z nieodpartym uśmiechem. — Podróże zagraniczne to nie problem. Na

przykład do Bułgarii. Wystarczy, że opiszesz naszym biuromatom, za kogo się uważasz. Naturalnie Bułgarzy muszą to wiedzieć, zanim tam przyjedziemy, Muszą z góry wiedzieć, czego się mają spodziewać. Kogoś inteligentnego, średnio inteligentnego czy przeciętnego. Bułgarzy muszą się przygotować, może nawet trochę podszkolić. Jesteś spokojny, czy łatwo ulegasz ekscytacji, prozaiczny czy o bogatej wyobraźni. Kiedyś już odpowiedział na te proste pytania i tysiąc innych w tym rodzaju, wolno ci przejść do spraw ważniejszych, takich jak adres, nazwisko babki ze strony matki, data jej śmierci i numer aktu zgonu i, jeśli sobie życzą, może jeszcze nazwisko lekarza, który go wystawił. Widzisz więc, nasi biurokraci robią, co w ich mocy, żeby szybko wprowadzać nowe, liberalniejsze przepisy i wysyłać nas na wakacje za granicę razem z dziećmi. Barley, za kim się rozglądasz? Zbrzydłam, czy już się mną znudziłeś?

— I co zeznałaś? — zapytał Barley ze śmiechem i zmusił się, by nie spuszczać z niej wzroku.

— Och, napisałam, że jestem bardzo inteligentna, spokojna i zabawna, i Bułgarzy będą zachwyceni moim towarzystwem. Ci biurokraci sprawdzają, jak dalece jesteśmy zdecydowani, to wszystko. Liczą na to, że musząc zadowolić tyle różnych departamentów, stracimy odwagę i postanowimy zostać w domu. Ale jest coraz lepiej. Ze wszystkim trochę lepiej. Możesz w to nie wierzyć, ale pierestrojka nie jest wprowadzana dla cudzoziemców. Jest dla nas.

— Jak twój pies, Barley? — mruknął ponury męski głos z boku. Był to Arkady, nie zrzeszony rzeźbiarz, z piękną nie zrzeszoną przyjaciółką.

— Nie mam psa, Arkady. Dlaczego pytasz?

— Bo, że tak powiem, od tej chwili bezpieczniej mówić o czymś psie niż o bliźnich.

Idąc za spojrzeniem Arkadego Barley odwrócił głowę i zobaczył Alikę Zapadnego, który stał w drugim końcu sali, pogrążony w poważnej rozmowie z Katią.

— My, moskwiczenie, zbyt niebezpiecznie rozmawiamy w ostatnich dniach — ciągnął Arkady, wciąż nie spuszczać oka z Zapadnego. — W tym podekscytowaniu stajemy się nieostrożni. Donosiciele zbiorą prawdziwe żniwa tej jesieni, już jeżeli nie kto inny. Zapytaj jego. Jest mistrzem w swym zawodzie, że tak powiem.

— Alik, ty stary czorcie, czym zdręczasz tę biedną dziewczynę? — spytał Barley obejmując najpierw Katię, potem Zapadnego. — Z drugiego końca sali widać było, jak się rumieni. Powinnaś uważać na niego, Katia. Jego angielski jest prawie tak dobry jak twój, a mówi o wiele szybciej. Jak się masz?

— O, dziękuję — powiedziała. — B a r d z o dobrze.

Była w tej samej sukni, co podczas ich spotkania w „Odessie”. Zamknięta

w sobie, ale opanowana. Jej twarz miała wyraz zmaltretowany i gorliwy, jak twarz osoby osieroconej. Stali z nimi Dan Zeppelin i Mary Lou.

— Prawdę mówiąc, Barley, mieliśmy interesującą dyskusję na temat praw człowieka — wyjaśnił Zapadny, okrągłym gestem ręki, w której trzymał szklanke, obejmując całe towarzystwo, jakby zbierał na tacę. — Prawda, panie Zeppelin? Zawsze jesteśmy wdzięczni, kiedy ludzie z Zachodu nas pouczają, jak mamy postępować z naszymi kryminalistami! Ale w końcu co za różnica, pytam, między krajem, który zamyka paru ludzi ekstra, a krajem, który pozwala gangsterom hulać na wolności? Zdaje się, że znalazłem właśnie argument w negocjacjach dla naszych sowieckich przywódców. Jutro rano ogłosimy tak zwanemu Komitetowi Helsińskiemu, że nie mamy z nimi nic wspólnego, dopóki nie wsadzą za kratki całej amerykańskiej mafii. Co pan na to, panie Zeppelin? My wypuszczamy naszych, a wy wsadzacie swoich. Uczciwy układ, ie tak powiem.

— Chce pan grzecznej odpowiedzi czy prawdziwej? — odszczeknął mu się Dan ponad ramieniem Mary Lou.

Obok przesunęła się inna grupka zaproszonych poliglotów, a za nią po teatralnej pauzie nie kto inny jak sam Sir Peter Oliphant ze świtą rosyjskich i angielskich dworaków. Hałas wzmógł się, sala się wypełniła. Dwóch brytyjskich korespondentów o niezdrowych twarzach dokonało inspekcji objedzo-nego bufetu i odeszło. Ktoś otworzył pianino i zagrał jakąś ukraińską piosenkę. Jakaś kobieta zaśpiewała, do niej przyłączyli się inni.

— Nie, Barley, nie wiem, co cię tak przeraża — ku zdumieniu Barleya odpowiadała Katia, a więc musiał ją o coś zapytać. — Na pewno jesteś bardzo dzielny, jak wszyscy Anglicy.

W upale tej sali i w zamieszaniu przyjęcia jego własne podniecenie nagle się obróciło przeciw niemu. Poczut się pijany, ale nie alkoholem, gdyż przez cały wieczór się obnosił z jedną wysłużoną szkocką.

— Może i nic w tym nie ma — zaryzykował, zwracając się nie tylko do Katii, lecz do całego kręgu nieznanomych twarzy. — W tym drzeworycie. Talent. — Wszyscy czekali, Barley też. Starał się patrzeć na nich wszystkich, ale jego oczy widziały tylko Katię. Co mówił? Co oni słyszeli? Twarze mieli wciąż zwrócone do niego, ale nie było w nich żadnego światła, nawet w oczach Katii. Tylko troska. Brnął dalej: —Wszyscy mieliśmy tę wizję od lat, wizję wielkiego rosyjskiego artysty czekającego, aż go odkryją. — Zająknął się. — No, może nie? Dzieła epickie, dramatyczne? Wielcy malarze, zakazani, może malowali po cichu? Te strychy pełne wielkich nielegalnych płócien? Tak samo muzycy. Mówiliśmy o tym. Marzyliśmy o tym. Cicha kontynuacja dziewiętnastego wieku. „A kiedy przyjdzie odwilż, wszyscy wyjdą spod lodu i oślnią nas”, powtarzaliśmy sobie. I gdzie, u diabła, oni są, ci geniusze? Może zamarli pod tym lodem? Represje chyba zrobiły swoje. Nic więcej nie chciałem powiedzieć.

Wszyscy umilkli jak zaczarowani, zanim Katia przyszła mu z pomocą.

— Rosyjski geniusz istnieje i zawsze istniał, Barley, nawet w najgorszych czasach. Jego się nie da zniszczyć — oświadczyła z cieniem dawnej surowości. — Może się będzie najpierw musiał przystosować do nowych warunków, ale niedługo znajdzie wspaniały wyraz. Z pewnością to miałeś na myśli.

Henziger wygłasza mowę. To arcydzieło podświadomej hipokryzji.

— Oby pionierskie przedsięwzięcie firmy Potomak- Blair było bodaj skromnym wkładem w wielką nową erę porozumienia Wschodu z Zachodem! — oświadcza nadęty własnym przekonaniem. Podnosi głos, a wraz z nim szklanekę. Jest uczciwym kupcem, typowym przyzwoitym Amerykaninem, który ma serce na właściwym miejscu. I niewątpliwie jest tym, za kogo się uważa, gdyż kabotyn siedzi w nim tuż pod skórą. — Wzbogacajmy się nawzajem! — woła unosząc szklanekę jeszcze wyżej. — Nawzajem obdarzajmy się wolnością! Handlujmy razem, rozmawiajmy i pijmy razem, pracujmy nad tym, aby świat był lepszy. Panie i panowie, za was i za Potomak-Blair, za nasze wspólne zyski i za pierestrojkę... niech żyją! Amen!

Wszyscy domagają się Barleya. Zaczyna Spikey Morgan, podchwytną Jurij i Alik Zapadny, stara wiara, która zna reguły gry, wydziera się:

— Barley! Barley! — Wkrótce cała sala domaga się Barleya, niektórzy wcale nie wiedzą dlaczego, zresztą przez chwilę nikt go nawet nie widzi. Potem nagle stoi już na stole bufetu z pożyczonym saksofonem w ręku i gra „Moją śmieszna Walentynkę”, którą grał na wszystkich moskiewskich targach począwszy od pierwszych, a Jack Henziger akompaniuje mu na pianinie w nieomylnym stylu Fatsa Wallera.

Tajniacy zza drzwi wsuwają się do sali, żeby posłuchać, tajniacy ze schodów podchodzą do drzwi, a tajniacy z hallu wchodzą na schody, kiedy tylko pierwsze dźwięki łabędziej pieśni Barleya nabierają czystości, a następnie cudownej siły.

— Idziemy do nowej, indyjskiej, na litość boską — protestuje Henziger już na ulicy pod ciężkimi spojrzzeniami „toptunów”. — Weź Katię! Zamówiliś my stolik!

— Wybacz, Jack. Umówiliśmy się wcześniej. Już dawno.

Henziger tylko się popisuje.

— Ona potrzebuje opieki — zwierzył mu się Barley. — Zabiorę ją i zaproszę gdzieś na spokojną kolację.

Ale Barley nie zabrał Katii na kolację tego ich pożegnalnego wieczora, co potwierdzili nielegalni, zanim ich zwolniono po przesłuchaniu. To bowiem Katia go wzięła. Zabrała go w miejsce znane od młodości każdemu miejskiemu chłopakowi i każdej dziewczynie, miejsce, jakie można znaleźć pod dachem każdego mieszkalnego bloku w dużym mieście. Każdy Rosjanin

z pokolenia Katii zna takie miejsce z czasów pierwszej miłości. Nie zabrakło go również na klatce schodowej Katii, tam gdzie się kończą schody i zaczynają strychy — choć lepsze było na zimę niż na lato. Mieściło bowiem również rdzewiejący zbiornik z gorącą wodą i parujące rury owinięte czarnym bandażem.

Najpierw jednak musiała sprawdzić, czy Matwiej i bliźnięta są bezpieczni, a Barley został na schodach i zaczekał na nią. Potem zaprowadziła go za rękę jeszcze parę pięter w górę, aż na ostatnie, z drewnianym podestem. Miała klucz do zardzewiałych stalowych drzwi, które odstraszały intruzów. Kiedy je otworzyła i potem za nimi zamknęła, zaprowadziła go przez belki do skrawka twardej podłogi, gdzie przygotowała prowizoryczne posłanie z widokiem na gwiazdy przez brudne okienko w dachu, w towarzystwie sapiących rur i w zaduchu suszącego się prania.

— List, który dałaś Landauowi, dostał się w cudze ręce — powiedział. — Wpadł w łapy naszych urzędników. To oni przystali mnie do ciebie. Przykro mi.

Ale żadne z nich nie miało tyle czasu, żeby się czymkolwiek przejąć. Niewiele jej powiedział o swoich planach i nic teraz nie dodał. Oboje rozumieli, że i tak Katia wie za wiele. A poza tym mieli ważniejsze sprawy do omówienia i tej nocy również Katia powiedziała Barleyowi rzeczy, które później dopełniły jego wiedzy o niej. I wyznała mu, że go kocha, w sposób na tyle prosty, by go podtrzymać na duchu na czas czekającej ich rozłąki, której oboje się spodziewali.

Ale Barley nie nadużył okazji. Nie dał ludziom w terenie ani w Londynie powodów do niepokoju. Przed północą był w „Mież”, jeszcze z zapasem czasu, by wypić strzeżeniowego z chłopakami.

— O, Jack, Alik Zapadny zaprasza mnie na tradycyjną pożegnalną wódkę dla starej gwardii jutro po południu — zwierzył się Henzigerowi w barze na piętrze nad wieczorną szklaneczką.

— Chcesz, żebym z tobą poszedł? — spytał Henziger. Bo tak jak sami Rosjanie, Henziger nie miał złudzeń co do pożalowania godnych powiązań Zapadnego.

Barley uśmiechnął się z żalem.

— Nie, Jack, brak ci patyny. To dla nas, starej gwardii z dawnych dobrych czasów beznadziei.

— O której? — zapytał Wicklow, zawsze praktyczny.

— Mówił chyba, że o czwartej. Cholernie głupia pora jak na drinka. Tak, chyba tak, o czwartej.

Po czym czule im wszystkim życzył dobrej nocy i wzbіл się w niebo za pomocą windy, która w „Mież” jest szklaną klatką suwającą się w górę i w dół po stalowym pręcie ku tajonym lękom wielu poczciwców z dołu.

Była pora lunchu i po wszystkich naszych bezsennych nocach i spędzonych na czuwaniu świtach sensacja, jaka się zdarzyła w porze lunchu, miała w sobie coś nieprzyzwoitego. Ale sensacją pozostała. Sensacją przekazaną z ręki do ręki. Sensacją w żółtej kopercie zamkniętej w stalowej walizeczce. Wbiegł z nią do pokoju operacyjnego chudy Johnny z ich londyńskiego oddziału, przenosząc ją pod strażą z ambasady po drugiej stronie placu. Przebiegł przez salę na niższym poziomie, wbiegł po kilku schodkach do części zajmowanej przez dowodzenie i dopiero wtedy sobie uświadomił, że przenieśliśmy się do wyłożonego różanym drzewem saloniku Sheritona na kanapki i kawę.

Wręczył teczkę Sheritonowi i stał nad nim jak sceniczny posłaniec przez cały czas, kiedy Sheriton najpierw czytał pismo przewodnie, które potem wetknął do kieszeni, a wreszcie samą wiadomość.

Potem sterczał nad Nedom, kiedy czytał Ned. Dopiero kiedy Ned oddał pismo mnie, Johnny chyba stwierdził, że przeczytał je wystarczająco dużo razy. Były to sygnały nadane przez sowieckie siły wojskowe z Leningradu, przechwycone przez Amerykanów w Finlandii i rozszyfrowane w Wirginii przez bank komputerów o takiej mocy, że mógłby oświetlać Londyn jak rok długi.

Leningrad do Moskwy, kopia dla Saratowa.

„Deleguje się profesora Jakowa Sawieljewa na wolny weekend do Moskwy po wykładzie w akademii wojskowej w Saratowie w piątek. Proszę załatwić transport i zakwaterowanie”.

— No, oficerowi intendentury w Leningradzie niech będą dzięki — mruknął Sheriton.

Ned zabrał kartkę i przeczytał ją po raz drugi. Z nas wszystkich bodaj jemu jednemu to nie zaimponowało.

— To wszystko, co rozszyfrowali? — spytał.

— Nie wiem, Ned — odparł Johnny, nie starając się ukryć wrogości.

— Piszą tu „1:1”. Cóż to ma znaczyć? Sprawdźcie, czy w tej partii był tylko jeden. Jeżeli nie, bądź uprzejmy sprawdzić, co tam jeszcze wyłapali godnego uwagi. — Począł, aż Johnny wyjdzie z pokoju. — Znakomicie — powiedział kwaśno. — Kopiały. Mój Boże, myślałby kto, że mamy do czynienia z Niemcami.

Staliśmy i skubali bezmyślnie te kanapki. Sheriton wsadził ręce w kieszenie i odwrócił się do nas plecami, wyglądając przez przydymione szyby okien na bezgłośny ruch uliczny. Był w kosmatym czarnym swetrze. My, pozostali, widzieliśmy przez wewnętrzne okno, jak Johnny gada przez jeden z przypuszczalnie bezpiecznych telefonów. Skończył i zobaczyliśmy, że wraca przez salę do nas.

— Zero — oznajmił.

— Jakie zero? — zapytał Ned.

— „Jeden na jeden” znaczy właśnie tyle. Jeden jedyny. Nic więcej i nic mniej.

— A więc fuks?

— Jeden jedyny — uparcie powtórzył Johnny.

Ned wykręcił się na pięcie do Sheritona, który wciąż stał plecami do nas.

— Russell. Trzeba wiedzieć, co to znaczy. Ten przechwycony sygnał jest całkowicie odosobniony. Z niczym nigdzie się nie łączy i z daleka śmierdzi. Rzucają nam przynętę.

Teraz przyszła kolej na Sheritona, żeby powtórnie przestudiować kartkę. Kiedy się w końcu odezwał, dał wyraz śmiertelnemu zmęczeniu i jasne było, że jest u granic wytrzymałości.

— Ned, szyfranci poufnie mnie zapewniają, że ten przeciek pochodzi z jakichś bredni nic nie znaczącej jednostki wojskowej, nadanych wojskową wyciskarką rocznik 1921. Nikt już nie puszcza dezinformacji taką drogą. Nikt tego nie robi. To nie Niebieski Ptak zmienia kurs, tylko ty.

— Może to dlatego to puścili taką drogą? A ty czy ja zrobilibyśmy inaczej niż przez zaskoczenie?

— No, jeśli o to idzie, może tak — zgodził się Sheriton, jakby dla niego prawie nie miało to znaczenia. — Jeśli raz przyjmujemy ten tok rozumowania, trudno go będzie potem zmienić.

Clive od najgorszej swojej strony.

— Trudno wymagać, Ned, żeby Sheriton przerwał operację na tej podstawie, że wszystko idzie dobrze — powiedział słodko.

— Na podstawie tego, co mówią krasnoludki — poprawił go Sheriton z każdą chwilą bardziej wściekły, ponuro cofając się do pokoju. — Na tej podstawie, że wszystko, co się nam udaje, to intryga Kremla, a wszystko, co spieprzymy, to dowód naszej samodzielności. Ned, moja Agencja, do cholery, mało nie zdechła na tę chorobę. Tak samo wy. Dziś się w to nie wpakujemy. To moja operacja i moja dupa.

— A mój agent — powiedział Ned. — Spaliliśmy go. Tak samo Niebieskiego Ptaka.

— Pewnie, pewnie — przyznał Sheriton z lodowatą uprzejmością. — Bez wątplenia.

Spojrzał bez sympatii na Clive'a.

— A pan poseł?

Clive miał swoje sposoby siadania okrakiem na płocie i wszystkie były dobrze wypróbowane.

— Russell, jeśli mi wolno tak się zwrócić, i ty, Ned. Myślę, że obaj jesteście trochę egoistami. Służba nie drużba. Istniejemy jako ciała zbiorowe. To nasi mocodawcy, nie my sami, udzielili błogosławieństwa Niebieskiemu Ptakowi. Istnieje wola zbiorowa, większa niż wola każdego z nas osobno.

Znowu niesłusznie, pomyślałem. Jest ona mniejsza niż my wszyscy. To

obraza dla możliwości każdego z nas, z wyjątkiem może Clive'a, który pewno dlatego jej potrzebuje.

Sheriton zwrócił się znów do Neda, ale nadal nie podnosił głosu.

— Masz pojęcie, Ned, co się stanie w Waszyngtonie i w Langley, jeżeli teraz się wycofam? Możesz sobie wyobrazić wycie śmiechu tych hien, jakie doleci przez Atlantyk z Obrony, Pentagonu i od neandertalczyków? Jak od tej chwili potraktują materiały Niebieskiego Ptaka? — Bez specjalnej urazy wskazał na Johnny'ego, który siedział z wytrzeszczonymi oczami i spoglądał to na jednego, to na drugiego. — Wyobrażasz sobie jego raport? Tego judasza? Chcieliśmy wprowadzić pewien umiar, pamiętasz? I teraz radzisz, żebyś Niebieskiego Ptaka rzucił tym szakalom na pożarcie?

— Radzę, żebyś mu nie dawał listy zakupów.

Sheriton przechylił głowę, jakby był głuchawy.

— Barleyowi czy Niebieskiemu Ptakowi?

— Żadnemu z nich. To wsypa.

Na koniec Sheriton zezłościł się na dobre. Nakręcał się aż do tej chwili, a teraz eksplodował. Ustawił się przed Nedom, niecałe dwie stopy od niego, i kiedy w geście protestu wyrzucił obie ręce w górę, kosmaty sweter podjechał mu pod pachy, tak że Sheriton przypominał olbrzymiego nietoperza w ataku furii.

— No to okay! Doczekaliśmy się najgorszego. Wysmażonego w stylu Neda. Zgadza się? Pokazujemy Niebieskiemu Ptakowi listę zakupów, a on się okazuje ich, nie nasz. Może nie brałem tego pod uwagę? Ned, ja dzień i noc chyba o niczym innym nie myślałem. Jeżeli Niebieski Ptak jest ich, nie nasz, jeżeli Barley i jeżeli ta dziewczyna, jeżeli wszyscy razem i każdy z osobna w tej grze nie jest w stu procentach koszerny, to nasza lista zakupów zaświeci jak sto diabłów prosto w dupę Stanów Zjednoczonych Ameryki. — Zaczął spacerować po pokoju. — Pokaże Sowietom, co wydał ich własny człowiek. Tak że się dowiedzą, co my wiemy. Mało tego. Pokaże Sowietom, czego nie wiemy i jak nie wiemy. To jeszcze mało, to jeszcze nie najgorsze. Poddana inteligentnej analizie lista zakupów może im pokazać luki w naszym systemie gromadzenia informacji, a jeśli będą jeszcze inteligentniejsi, w naszym groteskowym, zasranym, śmiesznym, pełnym sparowanego szmelcu arsenale. Dlaczego? Bo w końcu my się koncentrujemy na tym, czego się boimy, czyli na tym, czego nie potrafimy zrobić, a potrafią oni. To jest nasz minus, Ned. Sprawdziłem nasze konto. Wiem, co ryzykujemy. Wiem, co nam da Niebieski Ptak i ile będzie nas kosztował, jak skrewimy. Nie interesuje mnie przegrana. Już to widziałem. Nie robiło na mnie wrażenia. Jak się pomylimy, gównem z tego wszystkiego. Wiedzieliśmy to już tam, na wyspie Nigdzie, i trochę lepiej wiemy teraz, bo przyszedł czas ostrego strzelania. Ale to nie moment, żeby zacząć się oglądać za siebie, chyba żebyśmy mieli niezbity dowód!

Wrócił do Neda.

— Niebieski Ptak jest w porządku, Ned. Pamiętasz? Twoje słowa. Mógł bym cię uściskać za nie! I wciąż mogę. Niebieski Ptak mówi najczystsza prawdę, to, co wie. I wcisnę to swoim krótkowzrocznym szefom w gardło, choćby się mieli udławić. Słuchasz mnie, Ned? Czy już cię uśpiłem?

Ale Ned nie reagował na furię Sheritona.

— Nie dawaj mu tej listy, Russell. Straciliśmy go. Jeśli już coś mu dasz, to lipę.

— Lipę? Chcesz powiedzieć, że mam Barleya zrobić w konia? Przyznać, że Niebieski Ptak jest trefny? Żartujesz. Dowiedz tego, Ned! Skończ z tymi aluzjami! Do cholery, daj mi dowód! Każdy w Waszyngtonie, kto jeszcze do reszty nie skapcaniał, powtarza, że Niebieski Ptak to Ewangelia, Talmud i Koran! A ty mi mówisz, podrzuć mu lipę! Tyś nas w to wpakował, Ned. Nie próbuj wysiadać przy pierwszej zasranej przeszkodzie!

Ned próbował to zgłębić przez chwilę, a Clive próbował zgłębić Neda. Na koniec Ned wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że i tak nie robi to różnicy. Potem wrócił do biurka, przy którym zasiadł udając, że coś czyta, i pamiętam, że mi nagle przyszło na myśl, że może on też ma jakąś Hannę, może każdy z nas ma jakieś niezrealizowane życie, które go przykuwa do tego kierunku.

Może to prawda, że w WAAP-ie nie było małych pokoi, albo może Alik Zapadny po latach spędzonych w więzieniu miał do nich zrozumiałą awersję.

W każdym razie pokój, który wybrał na to spotkanie, wydał się Barleyowi odpowiednio duży, aby można było urządzić w nim bal pułkowy, a jedyną w nim rzeczą małą był sam Zapadny, który przysiadł u końca długiego stołu jak mysz na tratwie, śledząc rozbieganymi oczami gościa swobodnym krokiem zbliżającego się przez parkiet. Długie ręce dyndały mu u boków, łokcie miał lekko uniesione i wyraz twarzy, jakiego ani Zapadny, ani chyba nikt dotąd u niego nie oglądał: nie przepraszający, nie mętny, nie umyślnie głupi, ale niemal groźny, tak bardzo zdecydowany.

Zapadny miał przed sobą jakieś papiery, obok nich stertę książek, dzbanek z wodą do picia i dwie szklanki. Wyraźnie chciał sprawić na Barleyu wrażenie, że go zastał przy pełnieniu obowiązków raczej niż czekającego, bez rekwizytów i osłony niezliczonych pomocników.

— Barley, jakie to miłe, chłopie, że wpadłeś się pożegnać, musisz być zajęty jak ja w tej chwili — zaczął mówiąc o wiele za szybko. — Powiedziałbym, że jeśli nasz przemysł wydawniczy dalej będzie się tak rozrastał, to nie widzę innego wyjścia — choć to tylko moje osobiste i nieoficjalne zdanie — jak tylko zatrudnić jeszcze ze sto osób i najprawdopodobniej wystąpić o większe biura. — Zanucił coś, pogrzebał w papierach i odsunął krzesło

gestem, który według jego wyobrażeń miał wyrażać staroświecką europejską uprzejmość. Ale Barley jak zwykle wołał *stać*. — No cóż, nie będę ryzykował życia, częstując cię drinkiem w biurze, kiedy, jak to się mówi, słońce stoi jeszcze wysoko, ale siadaj i zastanówmy się przez chwilę — po czym unosząc brwi i zerkając na zegarek: — Mój Boże, powinniśmy mieć na to miesiąc, nie pięć dni! Jak się wiedzie Kolei Transsyberyjskiej? Chciałem powiedzieć, że nie widzę tu istotnych trudności pod warunkiem, że nasze stanowisko będzie respektowane i że obie strony będą przestrzegać zasad uczciwej gry. Tacy pazerni są ci Finowie? Może twój pan Henziger jest pazerny? Powiedziałbym, że rzeczywiście twarde w pysku.

Znów uchwycił wzrok Barleya i jego niepokój wzrósł. Stojący nad nim Barley w niczym nie przypominał człowieka, który chce mówić o Kolei Transsyberyjskiej.

— Właściwie wydaje mi się trochę dziwne, widzisz, że tak twardo nalegałeś, żeby mówić ze mną sam na sam — ciągnął Zapadny wręcz rozpaczliwie. — Ostatecznie to podwórko wyłącznie madame Korniejewej. To ona i jej zespół są bezpośrednio odpowiedzialni za fotografa i wszystkie praktyczne uzgodnienia.

Ale Barley też miał przygotowaną mowę, tylko że jej w najmniejszej mierze nie skaziła nerwowość Zapadnego.

— Alik — powiedział, wciąż nie chcąc usiąść. — Telefon działa?

— Oczywiście.

— Muszę zdradzić swój kraj i spieszy mi się. A ciebie chciałbym prosić, żebyś mnie skontaktował z odpowiednimi władzami, ponieważ pewne rzeczy trzeba ułożyć z góry, więc mi nie opowiadaj, że nie wiesz, kogo należy złapać, zrób to bez gadania, bo inaczej stracisz wiele punktów u tych świrów, którym się zdaje, że cię mają w garści.

Było wczesne popołudnie, ale wietrzny zmierzch już zapadł nad Londynem i mały gabinet Neda w Naszej Rosji tonął w półmroku. Ned oparł stopy o biurko, prawie leżał na krześle z zamkniętymi oczami i ciemną whisky przy łokciu, na pewno, jak się przekonałem, nie pierwszą tego dnia.

— Czy Clive Bez Indii wciąż tkwi zamknięty z tą arystokracją z White-hall? — spytał mnie ze znużoną lekkością.

— Układa listę zakupów w ambasadzie amerykańskiej.

— Myślałem, że już byle Brytyjczyka nie dopuszczają w jej pobliże.

— Obgadują zasady. Sheriton ma podpisać oświadczenie mianujące Barleya honorowym Amerykaninem. Clive ma dodać parę słów.

— Na przykład co?

— Że to człowiek honoru, odpowiedni i właściwy.

— Napisałeś mu brulion?

— Oczywiście.

-r- Głupek — oświadczył Ned z jakimś sennym wyrzutem. — Powieszają cię.

Oparł się wygodniej i zamknął oczy.

— Rzeczywiście ta lista tego wszystkiego warta? — spytałem. Przynajmniej raz miałem poczucie, że moje podejście jest praktyczniejsze od podejścia Neda.

— Och, warta jest wszystkiego — odpowiedział beztrząsco Ned. — Jeżeli cokolwiek ma tu jakąś wartość, to ta lista.

— Zechciałbyś mi powiedzieć dlaczego?

Nie dopuszczono mnie do najgłębszych sekretów dotyczących materiałów Niebieskiego Ptaka, ale wiedziałem, że nawet gdyby to zrobiono, i tak nic bym nie zrozumiał. Ale pedantyczny Ned zafundował sobie kursy wieczorowe. Przesiadywał u stóp naszych firmowych mędrców i podejmował lunchem najświetniejszych naukowców Obrony, żeby to rozgryźć.

— Zbieżność interesów — powiedział z pogardą. — Wspólnie strzeżony dom wariatów. My tropimy ich zabaweczki. Oni nasze. Obserwujemy na wzajem swoje zawody łucznicze, przy czym żadna ze stron nie wie, jakie są cele drugiej. Jeżeli oni celują w Londyn, czy trafią w Birmingham? Co to jest błąd? Co to znaczy umyślny? Kto jest bliższy dziesiątki? — Wyczuł moje oszłomienie i był zadowolony z siebie. — Obserwujemy, jak wrzucają lobem w Kamczatkę swoje rakiety międzykontynentalne. Ale czy trafią lobem w silos minutemana? Nie wiemy i nie wiedzą oni. Bo tych grubszych żadna ze stron nigdy nie przetestowała w warunkach wojny. Doświadczalnych torów nie zastosują, kiedy zacznie się zabawa. Ziemia, niech ją Bóg ma w swej opiece, nie jest idealną kulą. Jakżeby mogła być w tym wieku? I różna jest jej gęstość. Podobnie jak siła przyciągania staruszki, kiedy to wszystko nad nią lata, te pociski i głowice. Dochodzi odchylenie. Nasi celowniczy próbują je wyrównać w swoich wyliczeniach. Próbował Goethe. Ładują dane z obserwujących ziemię satelitów i może lepiej im się to udaje niż Goethemu. A może nie. Dowiemy się dopiero wtedy, kiedy ten cholerny balon pójdzie w górę, oni też nie prędeż, bo naprawdę spróbować można tylko raz. — Przeciągnął się na luzie, jakby ten temat sprawiał mu przyjemność. — Więc w obozach następują podziały. Jastrzębie wrzeszczą: „Sowieci mogą trafić w szpilkę! Potrafią wybić oko musze z dziesięciu tysięcy kilometrów!” A gołąbki mogą na to odpowiedzieć tylko jedno: „Nie wiemy, co Sowieci mogą zrobić, i oni sami tego nie wiedzą. A nikt, kto nie wie, czy jego strzelba działa, nie będzie strzelał pierwszy. To ta niepewność pozwala nam być uczciwymi”, mówią gołąbkie. Ale to nie argument, który by zadowalał praktyczny umysł Amerykanina, widzisz, bo praktyczny umysł Amerykanina nie lubi mętnych pojęć ani wielkich wizji. Nie na swoim praktycznym polu. A to, co mówił Goethe, było jeszcze większą herezją. Mówił, że poza niepewnością nie ma nic. Z czym się

raczej zgadzam. Więc jastrzębie go znieawidziły, a gołębie wyprawiły bal i powiesiły się u żyrandola. — Znowu się napił. — Wszystko byłoby dobrze, gdyby tylko Goethe poparł tych, co twierdzili, że Sowietci potrafią trafić w szpilkę — skończył tonem nagany.

— A lista zakupów? — powtórzyłem swoje pytanie.

Kapryśnie zajrzał w szklanę.

— Wstrzelanie się w cel jednej strony, drogi Palfrey, zależy od tego, co ta strona przypisuje drugiej. I vice versa. Ad infinitum. Czy umacniamy swoje silosy? Po co byśmy mieli zwracać sobie głowę, jeżeli nieprzyjaciel nie jest w stanie w nie trafić? Czy zapewnimy im superumocnienia, gdybyśmy wiedzieli, jak to zrobić, kosztem miliardów? Prawdę mówiąc, już to robimy, choć się wiele na ten temat nie krzyczy. Czy ubezpieczamy je niedoskonałym systemem pocisków międzyplanetarnych kosztem jeszcze większych miliardów? To zależy od naszych uprzedzeń i od tego, kto nam płaci. Zależy od tego, czy jesteśmy producentami, czy podatnikami. Czy ładujemy swoje rakiety na pociągi albo autobahny, czy trzymamy je na wiejskich drogach, bo tak się składa, że to właśnie temat miesiąca? Czy mówimy, że i tak to wszystko jest złom, więc niech idzie do cholery?

— Więc czy to koniec, czy początek? — spytałem.

Wzruszył ramionami.

— A kiedy w ogóle był jakikolwiek koniec? Nastaw telewizor i co widzisz? Jak się ściskają przywódcy obu stron. Łzy mają w oczach. Z każdym dniem upodabniają się do siebie. Hura, już z tym konieciem! Bzdura. Posłuchaj wtajemniczonych, a zrozumiesz, że w tym obrazku jedna kreska się nie zmieniła.

— A jak zamknę telewizor? Co zobaczę?

Przestał się uśmiechać. I nawet jego uczciwa twarz była poważniejsza niż kiedykolwiek, choć się zdawało, że gniew, jeżeli to był gniew, kieruje nie przeciwko komuś, ale przeciw samemu sobie.

— Zobaczysz nas. Schowanych za naszymi szarymi ekranami, jak za pewniamy się nawzajem, że bronimy pokoju.

17

Ta nieuchwytna prawda, o której mówił Ned, wychodziła na wierzch powoli i ujawniała się stopniowo w serii zniekształconych postrzeżeń, jak się to na ogół dzieje w naszym tajniackim podziemiu.

O szóstej po południu widziano, że Barley wychodzi z biur WAAP-u, jak nas teraz z uporem pouczały ekrany, i przeżyliśmy chwilę popłochu przypuszczając, że jest pijany, gdyż Zapadny to chłopak trunkowy i pewno nie obyło się bez poźegnalnej wódki. Wyszedł. Zapadny z nim. Uściskali się

z przesadą na progu, Zapadny zaczerwieniony i trochę gorączkowy w ru-chacn, a Barley raczej sztywny, co właśnie dostarczyło obserwatorom powodu do niepokoju, że jest pijany, i do dziwnej dość decyzji, żeby go sfotografować, jakby przez uwiecznienie tego momentu mogli go otrzeźwić. A ponieważ jest to ostatnia jego fotografia w kartotece, można sobie wyobrazić, ile poświęcono jej uwagi. Barley trzyma Zapadnego w ramionach i w tym uścisku¹ jest pewna siła, przynajmniej ze strony Barleya. Nawet jeśli tylko ja tak sobie wyobrażam, wygląda na to, że Barley biedaka podtrzymuje, by dodać mu odwagi do wypełnienia jego części umowy, że dosłownie tchnie w niego odwagę. Facet ma minę niewyraźną. WAAP zajmuje budynek dawnej szkoły przy ulicy Bolszaja Bronnaja w centrum Moskwy. Wzniesiony został, jak przypuszczam, na przełomie wieków, ma wielkie okna i otykowaną fasadę. W tym roku tynk był pomalowany na różowo, a na fotografii wyszedł płomiennopomarańczowy, pewno w ostatnich promieniach słońca. Toteż obejmujących się mężczyzn otacza błóżnicza szkarłatna aureola jak błysk czerwieni. Jednemu z obserwatorów udało się nawet wejść do hallu pod pretekstem odwiedzenia kafeterii i wtedy spróbował zrobić zdjęcie od tyłu. Ale zasłonił mu ich wysoki mężczyzna przyglądający się tej scenie z chodnika. Nikt go nie zidentyfikował. Przy kiosku z gazetami drugi, również wysoki, pije z kufła, ale bez większego przekonania, gdyż i on oczy ma zwrócone na te dwie obejmujące się postacie przed drzwiami.

Obserwatorzy nie zwrócili uwagi *na* dziesiątki ludzi, którzy wchodzili do budynku WAAP-u i wychodzili przez te dwie godziny, jakie spędził tam Barley, bo i jak by zdołali zwrócić? Nie mieli pojęcia, czy tamci wchodzą po prawa autorskie, czy po tajemnice.

Barley wrócił do hotelu, gdzie w barze wypił drinka z grupką kumpli ze świata wydawniczego, między innymi z Henzigerem, który mógł potwierdzić ku uldze Londynu, że Barley nie był pijany, przeciwnie, spokojny i skupiony.

Barley rzeczywiście mimochodem wspomniał, że oczekuje telefonu od kogoś z wysłańców Zapadnego.

— Wciąż próbujemy sklecić tę historię transsyberyjską. — A około siódmej wyznał nagle, że pada z głodu, więc Henziger z Wicklowem zabrali go do japońskiej restauracji razem z dwiema wesołymi dziewczynkami z firmy Simon-Schuster, na które Wicklow liczył, że dostarczą Barleyowi lekkiej rozrywki, by mu ułatwić przejście do wieczornego rendez-vous.

Przy kolacji Barley strzelał takimi racami humoru, że dziewczyny próbowały go namówić, żeby wracał z nimi do „Nationalu”, gdzie grupa amerykańskich wydawców wydawała przyjęcie. Barley odpowiedział, że ma randkę, że może wpadnie później, jak się nie zasiedzi.

Dokładnie o ósmej wieczorem według zegarka Wicklowa Barleya wezwano do telefonu i odebrał go w restauracji, niecałe pięć jardów od miejsca, gdzie siedziało całe towarzystwo. Wicklow i Henziger rutynowo wyteżali

słuch, żeby pochwycić jego słowa. Wicklow sobie przypomina, że usłyszał: „Tylko to się dla mnie liczy”. Henzigerowi się wydaje, że powiedział: „,fak się umówiliśmy”. Ale to mogło być „nie mówiliśmy” albo nawet „nie my7.

Tak czy owak, Barley był zły, kiedy wrócił, i użalił się Henzigerowi, że te skurwysyny wciąż obstają przy za dużej sumie, co Henziger uznał raczej za oznakę wewnętrznego napięcia niż jakieś większe zaniepokojenie' losami programu transsyberyjskiego.

Kwadrans później telefon znów zadzwonił i Barley wrócił po rozmowie uśmiechnięty.

— Wchodzimy — powiedział Henzigerowi tryumfalnie. — Zapięte na ostatni guzik. Nigdy się nie wycofują, jak już raz przybili.

Na to Henziger i Wicklow zaklaskali w ręce i Henziger zauważył, że „przyszedłoby się nam więcej takich w Moskwie”.

Chyba żadnemu z nich nie przyszło na myśl, że Barley jeszcze nigdy dotąd nie okazywał takiej radości z racji zawarcia umowy wydawniczej. Ale też czego mieli oczekiwać, poza największym wydarzeniem tego wieczora?

Rozmowę Barleya przy kolacji później bez powodzenia mozolnie rekonstruowano. Był gadatliwy, ale się nie ekscytował. Mówił o jazzie, jego idolem był Slim Gaillard. Utrzymywał, że wielcy zawsze są wyrzutkami społeczeństwa. Jazz to protest, inaczej jest nic niewart. Prawdziwi improwizatorzy muszą łamać nawet jego prawa, twierdził.

I każdy się z nim zgadzał, tak, tak, niech żyją dysydenci, niech żyje jednostka, precz z tajnikami! Tylko że nikt wtedy tak tego nie odbierał. No bo i znów dlaczego mieliby odbierać?

O dziewiątej, mając już niecałe dwie godziny czasu do zabicia, Barley oznajmił, że wyciągnie się przez moment w swoim pokoju, ma jeszcze listy do napisania i musi uporządkować interesy. Obaj, Wicklow i Henziger, ofiarowali mu się z pomocą, mieli bowiem rozkazy, żeby o ile to możliwe, nie zostawiać go samego. Ale Barley odrzucił ich ofertę, a oni nie mogli nalegać.

Henziger zajął więc stanowisko w sąsiednim pokoju, a Wicklow w hallu na czas, kiedy Barley miał się wyciągnąć, choć w rzeczywistości nie mógł się wyciągnąć ani na sekundę, gdyż to, czego dokonał, graniczyło z heroizmem.

Wykryto, że w tym krótkim czasie napisał pięć listów, nie mówiąc o tym, że wykonał dwa telefony do Anglii, po jednym do każdego z dzieci, które to telefony zostały podsłuchane na terenie Wielkiej Brytanii i przekazane na Grosvenor Square, ale nie miały żadnego znaczenia operacyjnego. Chciał się po prostu dowiedzieć, co słychać u rodziny, spytał o czteroletnią wnuczkę. Nalegał, żeby ją poproszono do telefonu, ale była zbyt speszona czy zmęczona, żeby z nim porozmawiać. Kiedy jego córka Anthea spytała go o sprawy sercowe, powiedział, że są „spełnione”, co uznano za odpowiedź dość niezwykłą, ale też i okoliczności były niezwykłe.

Ileden Ned zauważył, że Barley nic nie wspominał o tym, że nazajutrz wrac do Anglii, ale Ned był już teraz głosem wołającego na puszczy i Clive poważnie myślał o tym, czy go zupełnie nie odsunąć od tej sprawy.

Barley napisał też dwa krótsze listy, jeden do Henzigera, drugi do Wickliwa. A ponieważ nikt dc nich nie zaglądał, o ile mogły później stwierdzić laboratoria, i ponieważ, co jeszcze bardziej godne uwagi, hotel dostarczył je do odpowiednich numerów dokładnie o ósmej na drugi dzień, zakładano, że w jakimś sensie stanowiły część umowy, jaką Barley wynegocjował w budynku WAAP-u.

W tych listach radził obu, aby po cichu wyjechali jeszcze tego samego dnia, zabierając ze sobą Mary Lou, to nic im się nie stanie. Barley miał dla każdego ciepłe słowo.

„Wickers, masz w sobie zadatki na prawdziwego wydawcę. Idź za ciosem!”

A dla Henzigera: „Jack, mam nadzieję, że nie oznacza to dla ciebie przedwczesnej emerytury w Salt Lake City. Powiedz im, że i tak mi nigdy nie ufałeś. Sam sobie nie ufałem, jak miałbyś ty?”

Żadnych kazań ani obszernych cytatów z jego bujnej, rozwichrzonej przeszłości. Wyglądało na to, że Barley świetnie sobie radzi bez mądrych rad.

O dziesiątej wyszedł z hotelu jedynie w towarzystwie Henzigera i kazali się podrzucić na północne przedmieście Moskwy, gdzie znów czekali w zakonspirowanej ciężarówce Cy i Paddy. Tym razem Paddy prowadził. Henziger usiadł koło niego, a Barley wsiadł z tyłu z Cym, zsunął marynarkę i pozwolił, żeby Cy nałożył mu mikrofon i udzielił ostatnich instrukcji oraz informacji: że samolot Goethego przyleciał do Moskwy z Saratowa punktualnie i że widziano, jak człowiek odpowiadający opisowi Goethego wszedł do budynku, w którym mieszka Igor, czterdzieści minut temu.

Wkrótce potem w oknach namierzonego mieszkania zapaliło się światło.

Wtedy Cy wręczył Barleyowi dwie książki, wydaną w paperbacku „Stąd do wieczności”, z listą zakupów, i drugi, grubszy, oprawny w skórę tom--skrytkę zawierający zagłuszacz dźwięku, który się uruchamiało przez otwarcie okładki. Barley miał już z czymś takim do czynienia w Londynie i posługiwał się tym biegle. Mikrofony osobiste tak były nastrojone, żeby omijać impulsy tego urządzenia, ale normalne, ściennie, nie. Znał także niekorzystne strony zagłuszacza. Jego obecność w pomieszczeniu była wykrywalna. Jeśli w mieszkaniu Igora są mikrofony, nasłuch od razu będzie wiedział, że używają zagłuszacza. Zarówno w Londynie, jak w Langley uznano to ryzyko za możliwe do przyjęcia.

Nie wzięto pod uwagę innego ryzyka, a mianowicie tego, że urządzenie może paść w ręce przeciwnika. Wciąż jeszcze było w stadium prototypowym i na jego konstrukcję wydano majątek i poświęcono kilka lat badań.

O dziesiątej pięćdziesiąt cztery wieczorem Barley, wysiadając z ciężarów ki, wręczył Paddy'emu kopertę i powiedział:

— To do własnych rąk Neda w razie, gdyby mi się coś przytrafiło/

Paddy wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Zauważył, że jest wypchana i, o ile mógł coś dojrzeć w półmroku, nie zaadresowana.

Najwyższy opis drogi Barleya pod ten blok mieszkalny znalazł się nie w służbistym raporcie Paddy'ego i wcale nie w ujęciu Cy'ego, w stylu Haiga, ale w chełpliwym opowiadaniu jego przyjaciela Henziger, który eskortował go do wejścia. Barley nie wyrzekł słowa, utrzymywał Henziger. Ani on sam. Nie mieli zamiaru dać się rozpoznać jako cudzoziemcy.

— Szliśmy obok siebie nierównym krokiem — opowiadał Henziger. — On stawia długie kroki, ja krótkie. To mi przeszkadzało. Ten dom to jeden z tych ceglanych monstrów, jakie tam mają, otoczony na milę chyba w koło asfaltem, i szliśmy, jakbyśmy wcale się nie przybliżali. Jak w jednym z tych snów, pomyślałem. Człowiek biegnie i nic mu drogi nie ubywa. Gorąco, myślę o pogodzie. Pot, pocę się, ale Barley zachowuje chłód. Był opanowany, bez gadania. Wyglądał wspaniale. Spojrzał mi prosto w oczy. Życzył mi powodzenia. Był w zgodzie z sobą. Czuję to.

Podając mu rękę Henziger jednak odniósł przez chwilę wrażenie, że Barley jest na coś zły. Może zły na Henzigera, bo teraz w półmroku wydało się, że uparcie unika jego spojrzenia.

— Wtedy pomyślałem: może jest wściekły na Niebieskiego Ptaka, że go w to wpakował. A potem: może się wścieka na nas wszystkich, ale jest za uprzejmy, żeby to powiedzieć. Był taki jakiś strasznie brytyjski, strasznie powściągliwy, pełen nieudomówień, tłamsił wszystko w środku.

Dziewięćdziesiąt sekund później, gotując się już do odjazdu, Cy i Paddy zobaczyli w oknie Igora czyjaś sylwetkę i wzięli ją za Barleya. Prawą ręką ten ktoś poprawiał u góry zasłonę, co było umówionym sygnałem „wszystko w porządku”. Odjechali i zostawili mieszkanie Igora pod nadzorem nielegalnych, którzy zmieniali się przez całą noc, ale światło w mieszkaniu pozostało zapalone i nikt nie wyszedł.

Spośród stu jedna teoria zakłada, że nigdy nie wszedł do tego mieszkania i że od razu go zabrali i przeprowadzili przez budynek na drugą stronę, a ta postać w oknie to był któryś z nich, na przykład jeden z tych wysokich z fotografii wykonanych tego dnia po południu z foyer WAAP-u. Zawsze mi się zdawało, że to jest bez znaczenia, ale dla ekspertów jakieś znaczenie miało. Jeśli zachodzi obawa, że się zagubisz w jakimś problemie, nie ma to jak mało ważny szczegół, który pozwala zachować kontakt z rzeczywistością.

Spekulacje na temat zniknięcia Barleya zaczęły się nieprędko i wzmogły przez noc. Optymiści, jak Bob, a przez chwilę Sheriton, nie dawali za wygraną aż do świtu i dłużej. Barley i Niebieski Ptak spili się i znów leżą pod stołem,

upierali się dodając sobie nawzajem ducha. To samo co w Pieredelkino, ten sam przebieg, powtarzali jeden drugiemu.

Potem na krótko wymyślili teorię o porwaniu, aż do tuż po piątej trzydzieści rano, dzięki różnicy czasu, kiedy Henziger i Wicklow dostali swoje listy i Wicklow bez dalszego zawracania głowy wziął taksówkę do Ambasady Brytyjskiej, gdzie straż sowiecka u bramy nie robiła mu trudności. Rezultatem był błyskawiczny sygnał nadany do Neda: „rozszyfruj sam” — przez Pad-dy’ego. Tymczasem Cy słał podobny sygnał do Langley, Sheritona i wszystkich, ktokolwiek by chciał jeszcze słuchać człowieka, którego dni w Moskwie wyglądały na policzone.

Sheriton przyjął tę wiadomość ze zwykłą flegmą, przeczytał telegram Cy’ego, rozejrzał się po pokoju i zorientował, że cała grupa go obserwuje: ładne dziewczyny, chłopcy w krawatach, lojalny Bob, ambitny Johnny z tymi swoimi oczami rewolwerowca. A z Anglików Ned, ja i Brock, Clive bowiem przewidując gdzie indziej znalazł coś pilniejszego do załatwienia. Sheriton miał w sobie wiele z aktora, tak jak Henziger, i teraz to wykorzystał. Wstał, podciągnął spodnie i pomasaował twarz jak człowiek, który stwierdza, że powinien się ogolić.

— No, chłopcy, lepiej odstawmy krzesła na stół do następnego razu.

Potem podszedł do Neda, który jeszcze siedział przy biurku i studiował telegram Paddy’ego, i położył mu rękę na ramieniu.

— Winien ci jestem kiedyś obiad, Ned — powiedział.

Potem podszedł do drzwi, zdjął z kołka swój płaszcz burberry, włożył go, zapiął i wyszedł, a za nim po chwili Bob i Johnny.

Inni nie pożegnali się tak elegancko, a już bynajmniej nie baronowie z dwunastego piętra.

Jeszcze raz powołano komisję dochodzeniową.

Muszą paść nazwiska. Nikogo nie będzie się szczeniło. Muszą polecieć głowy.

Poseł miał jej przewodniczyć, Palfrey sekretarzować.

Innym celem takich komisji jest przydanie ceremonialnej oprawy wydarzeniom, które jej wcale nie miały. Byliśmy w najwyższym stopniu uroczyści.

Najpierw, jak zwykle, trzeba było wysłuchać zwolenników teorii spisku, naprędce powołanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Obrony i dosyć niemilego ciała zwanego Nieoficjalnym Zespołem Konsultantów, złożonego z naukowców z kręgów przemysłowych i akademickich, którzy się uważali za niedzielnych szpiclów. Ci szpiclokraci amatorzy mieli olbrzymie wpływy na giełdach otaczających Whitehall i komisja wysłuchiwała ich przesadnie długich wywodów. Jakiś profesor z Edynburga przemawiał

przez pełne pięć nabić fajki i omal wszystkich nie zagazował, ale nikomu nie starczyło ikry, żeby go zmusić do odłożenia tego cholernego komina.

Pierwszym wielkim pytaniem było: co teraz? Czy będą wydalenia; skandal? Co się stanie z naszą placówką w Moskwie? Czy ktoś z nielegalnych został skompromitowany?

Ciężarówka z nasłuchem, choć będąca własnością Sowietów, to kłopot Amerykanów, i jej nagłe zniknięcie spowodowało milczące zakłopotanie wśród zwolenników jej zastosowania.

Pytanie, kto jest za co wydalony, nigdy nie jest proste, bo dziś szefowie rezydentur w Moskwie, Waszyngtonie i Londynie nie są wrogim krajom nie znani. Nikt w moskiewskiej centrali nie miał najmniejszych złudzeń co do charakteru działalności Paddy'ego albo Cy'ego. Ich kamuflaż miał służyć nie osłonie przed przeciwnikiem, lecz przed oczami normalnego świata.

W każdym razie nie zostali wydaleny. Nikt nie został wydalony. Nikogo nie aresztowano. Nielegalni, których w nieokreślony sposób wycofano, spokojnie pełnili dalej oficjalne obowiązki.

Brak wszelkich posunięć odwetowych zachodni mędrcy szybko uznali za wielce znaczący.

Gest pojednawczy w epoce głośności?

Wyraźny sygnał dla nas, że Niebieski Ptak był podstawiony, żeby zdobyć amerykańską listę zakupów?

Albo mniej wyraźny sygnał dla nas, że materiały dostarczone przez Niebieskiego Ptaka były prawdziwe, tylko zbyt żenujące, żeby się do nich przyznać.

Ustalono linie okopów. Jakoś według zasady, którą już Ned mi wytłumaczył, gołębie i jastrzębie po obu stronach Atlantyku raz jeszcze z radością się rozstały.

Jeśli Sowietci dają sygnał, że materiał jest prawdziwy, to już na pewno nie jest prawdziwy, orzekły jastrzębie.

I vice versa, orzekły gołębie.

I jeszcze raz vice versa, orzekły jastrzębie.

Pisma porosyłały. Wojny wypowiedziano. Awanse, zwolnienia, emerytury, medale, przesunięcia na boczny tor i degradacje. Ale żadnego consensusu. Tylko, jak zwykle, tryumf najgłupszych pod przykrywką racjonalnej dedukcji.

Z naszej komisji jeden Ned odmówił udziału w tym cyrku. Robił wrażenie, że spokojnie postanowił przyjąć winę na siebie.

— Niebieski Ptak był uczciwy i Barley był uczciwy — powtarzał raz po raz komisji, ani razu nie tracąc humoru. — Nikt tu nie oszukał, tyle żeśmy się oszukali sami. To my byliśmy dwulicowi. Nie Niebieski Ptak.

Wkrótce po tym, jak wypowiedział tę opinię, zgodnie orzeczone, że jest w stresie, i coraz rzadziej wymagano jego obecności.

Och, odnotowano też pewien fakt. Nie na piśmie, ponieważ pisma mają ten niemili zwyczaj, że zdradzają autora. Odnotowano go z całą powagą. I wszędzie.

Odnotowano, że Ned nie powiadomił dwunastego piętra o pijackim wysokości Barleya po powrocie z Leningradu.

Odnotowano, że Ned przywłaszczył sobie wszystkie dane o tej nocy, z której się nigdy nie rozliczył, między innymi zatajając usługi Bena Lugga i szefa nasłuchu, Mary, która na tyle przezwyciężyła w sobie lojalność* wobec kolegi, że złożyła przed komisją sensacyjny raport o samowoli Neda. Żąda! nielegalnych nagrań! Wyobraźcie sobie! Psucia telefonów! Co za samowola!

Wkrótce potem Mary poszła na emeryturę i żyje teraz wściekła na Malcie, gdzie, jak się wszyscy obawiają, pisze pamiętniki.

Odnotowano też, choć może z żalem, podejrzanę postępowanie **naszego** doradcy prawnego de Palfreya — nawet odzyskałem swoje „de” — **który** okazał się niegodny autorytetu, jakim obdarzył go minister spraw wewnętrznych, do czego jest zobowiązany według tajnie uzgodnionej **procedury** działania Służb jako delegowanych przez... et caetera, i zgodnie z którymś tam paragrafem dającego się podważyć protokołu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Wzięto jednak pod uwagę gorączkę bitwy. Doradcy prawnego nie przeniesiono na emeryturę ani też sam nie wyniósł się na Maltę. Nie został wszakże uwolniony od zarzutów. Co najwyżej było to częściowe prawo łaski. Doradca prawny nie powinien się tak osobiście angażować w żadną operację. Niewłaściwe wykorzystanie kompetencji doradcy prawnego. Powtarzano słowo „nierozważny”.

Odnotowano również z ubolewaniem, że rzeczony doradca prawny był autorem chwalebnej opinii o Barleyu, przedstawionej do podpisu Clive'owi na niecałe czterdzieści osiem godzin przed zniknięciem Barleya, i umożliwił mu w ten sposób wejście w posiadanie listy zakupów, aczkolwiek chyba nie na długo.

W wolnych chwilach redagowałem warunki zwolnienia Neda i nerwowo rozmyślałem o swoim własnym. Życie w firmie mogło mieć swoje minusy, ale myśl o życiu poza firmą mnie przerażała.

Ogłoszenie, że operacja Niebieski Ptak jest nieaktualna, chwilowo zahamowało deliberacje naszej komisji, która jednak wkrótce przysłała do siebie. Kamieniem obrazy było sześć linijek w „Prawdzie”, starannie wyważonych, by nie powiedzieć za wiele ani za mało, donoszących o śmierci chorego od pewnego czasu znakomitego fizyka, profesora Jakowa Sawieljewa z Leningradu, i wylizujących kilka jego odznaczeń. Zmarł śmiercią naturalną,

zapewniał nas biuletyn, wkrótce po wygłoszeniu ważnego odczytu w akademii wojskowej w Saratowie.

Ned wziął wolny dzień, kiedy dotarła do niego ta wiadomość, i ten dzień przedłużył się do trzech: lekka grypa. Ale zwolennicy teorii spisku triumfowali.

Sawieljew nie umarł.

Cały czas nie żył, a wersja, z jaką my mieliśmy do czynienia, była oszustwem.

Robi to co zawsze, kieruje Sekcją Dezinformacji Naukowej w KGB.

Jego materiały znajdują potwierdzenie, nie znajdują potwierdzenia.

Były bezwartościowe.

Były na wagę złota.

Były fałszywką.

Były prawdziwym posłaniem pokoju nadanym do nas kosztem olbrzymiego ryzyka przez umiarkowanych z moskiewskich sfer rządowych, aby nam dowieść, że sowiecki miecz nuklearny zardzewiał w pochwie, a sowiecka nuklearna tarcza ma w sobie więcej dziur niż durszlak.

Był to diabelski spisek mający skłonić Amerykanów o zajętych sercach, by zdjęli palce z nuklearnego spustu.

Krótko mówiąc, było tego tyle, że starczyło pożywki dla każdego.

A ponieważ w warunkach symbiozy, w jakiej egzystują państwa prowadzące wojnę, nic nie może zajść w jednym, by nie wywołać zwierciadlanej reakcji w drugim, powstała opozycja i w pośpiechu od nowa zredagowano historię udziału Amerykanów w operacji Niebieski Ptak.

Langley cały czas wiedziało, że Niebieski Ptak jest trefny, twierdziła opozycja.

Albo że Barley.

Albo że obaj są trefni.

Sheriton i Brandy grali po dwakroć na dwie strony, twierdziła opozycja. Ich jedynym celem było przekonujące podłożenie fałszywki i podstępne uzyskanie dalszej przewagi nad Rosjanami w nie kończącej się walce o margines bezpieczeństwa.

Sheriton to geniusz.

Brandy to geniusz.

Oni wszyscy, wszyscy byli-genialni!

Sheriton ma na koncie wspaniałe zagranie. Tak samo Brandy.

Ludzie agencji to sami wspaniali stratedzy, prawdziwe przeciwieństwo swoich żalonych odpowiedników w świecie jawnym. Boże, zachowaj agencję. Gdzie byśmy byli bez niej?

Jakby tego wszystkiego było mało, do dawnych dodano jeszcze nowe

piętra możliwości. Na przykład, że Sheriton był ślepym narzędziem Pentagonu i Obrony. To tamci przygotowali lipną listę zakupów i cały czas wiedzieli, że Niebieski Ptak wystawiony jest na wabia.

I każdą nową pogłoskę po kolei trzeba było brać na serio, nawet jeżeli jedyną prawdziwą tajemnicą pozostawało, kto ją sfabrykował i dlaczego (w wielu przypadkach się okazywało, że to Russell Sheriton, który broni) własnej skóry.

A co do Niebieskiego Ptaka, jeśli jeszcze nie umarł śmiercią naturalną, na pewno umierał teraz.

Jeden Ned po powrocie z narzuconej sobie pokuty znów był na tyle gruboskórny, by mówić coś, co przypominało prawdę.

— Niebieski Ptak był uczciwy i myśmy go zabili — powtarzał w kółko na pierwszym spotkaniu, na jakie przyszedł. Na następne już nie został zaproszony.

A wszystko wtedy, kiedy jeszcze poszukiwania Barleya nie ustawały, nawet jeżeli byli wśród nas tacy, co się cieszyli, że go nie znajdują. Podchodziliśmy go i okrążaliśmy, i aż za często oddalaliśmy się. Ale byliśmy ludźmi honoru. Nigdy nie daliśmy za wygraną.

Ale co Barley przehandlował i za co?

Co Rosjanie byli skłonni od niego kupić — od Barleya, który jak dotąd nie miał większych potrzeb jak kosztowny lunch, za który zresztą płacił z własnej kieszeni — że sam się zgodził ponieść niepowetowaną stratę?

Przecież był spalony! I to doszczętnie! Już zanim do nich poszedł! I wiedział o tymi

Co miał im do zaoferowania, czego by sami nie mogli sobie wziąć? Ostatecznie mówimy o torturach, o metodach najobrzydliwszych, o rejestrach męczarni, z których nawet powrót jest niewyobrażalnym piekłem. Może Rosjanie i pracują nad poprawieniem swojego wizerunku, ale nikt na serio nie przypuszczał, aby mieli zamiar odejść od dotychczasowych metod, które od tysięcy lat dobrze im służą.

Pierwszą i narzucającą się jako najbardziej oczywista rzeczą była lista zakupów. Barley mógł bezczelnie oświadczyć Rosjanom, że nie dostanie jej od swoich mocodawców, póki nie będzie miał niezbędnych gwarancji. I że prędzej da się do końca życia smażyć w oleju, niż dostarczy listę zakupów darmo.

I uwierzyli mu. Zrozumieli, że będą się musieli obejść bez niej, jeżeli nie przyjmą jego warunków. A że tajniacy obu stron boją się złożyć w ofierze siebie, tak samo jak się boją miłości, ostrożni mędrzy z KGB najwidoczniej woleli mieć do czynienia z tą częścią jego natury, którą rozumieli, niż ryzykować działanie po omacku z częścią, która była im nie znana.

Wiedzieli, że im może odmówić, powiedzieć: „Nie, nie przyniosę listy zakupów. Nie, nie przyjdę do mieszkania Igora, dopóki nie dostanę czegoś więcej niż solenne słowo honoru”.

Wiedzieli, kiedy go słuchali, że starczy mu do tego siły. I jak my, byli nią trochę zakłopotani.

A Barley — jak powiedział przy obiedzie Henzigerowi i Wicklowowi — nie spotkał jeszcze Rosjanina, który by potrafił dać solenne słowo honoru, a potem wypiąć się na nie. Nie mówił oczywiście o polityce, tylko o interesach.

A w zamian? Co Barley kupił?

Katię.

Matwieja.

Bliźnięta.

Niezły interes. Żywych ludzi za nierealne hipotezy.

Dla siebie? Nic, co by w jakikolwiek sposób mogło osłabić siłę jego żądań dotyczących ludzi, których wziął pod swoją opiekę.

I pomalutku stało się jasne, że Barley choć raz w życiu wymusił pierwszorzędną umowę. Jeżeli Niebieski Ptak był przegraną, wszystko wskazywało na to, że wygraną są Katia i jej dzieci. Pracowała nadal w „Październiku”, widywano ją od czasu do czasu na przyjęciach, odpowiadała na telefon w domu i w biurze. Bliźnięta nadal chodziły do szkoły i śpiewały te same głupie piosenki. Matwiej oddawał się swoim miłym dziwactwom.

Wkrótce więc doszła jeszcze jedna wielka teoria. „Sowieci utajniają się wewnątrz — głosiła. — Nie życzą sobie nadawać biegu rewelacjom Niebieskiego Ptaka o ich niekompetencji”.

Tak więc wahadło przechyliło się na chwilę w drugą stronę i materiały Niebieskiego Ptaka uznano za prawdziwe. Ale nie na długo.

— To jest to, w co chcą, żebyśmy uwierzyli — zakrzyknęli ludzie u władzy.

Więc wahadło wróciło szybko tam, gdzie było przedtem, gdyż nikt nie lubi, jak się z niego robi głupka.

Ale zawarty przez Barleya kontrakt był dotrzymany. Katia nie utraciła swoich przywilejów, czerwonej legitymacji, mieszkania, pracy ani nawet, z upływem miesięcy, urody. Najpierw, co prawda, raporty donosiły, że jest blada jak wdowa, zaniedbana i często nie przychodzi do pracy. I najwidoczniej nikt nie obiecywał Barleyowi, że jej nie poproszą o złożenie dobrowolnych zeznań na temat stosunków ze świętej pamięci Niebieskim Ptakiem.

Ale stopniowo, gdy już minął okres, w którym nie wypadało jej się udzielać, dawna jej żywotność powróciła i zaczęto ją widywać.

A co z samym Barleyem?

Ślad bywał raz wyraźny, raz zwietrzały, to znów prawie niewyczuwalny

Listy z formalną rezygnacją, ze znaczkami z Lizbony, ciotki otrzymały na parę dni po targach książki. Te listy nosiły ślady jego dawnego stylu: jest zmęczony pracą wydawcy, ten przemysł się już przeżył, czas spróbować szczęścia w czym innym, dopóki jeszcze ma przed sobą parę lat życia.

Co do najbliższych swoich planów, zapowiadał, że „wycofa się na jakiś czas” i odda się zwiedzaniu miejsc niezwykłych. Jasne więc było, że go już nie ma w Rosji.

To jest na pozór jasne.

W każdym razie sam to powiedział. I powtórzyła ładna dziewczyna z Agencji Podróży Barry'ego Martina, która ma swoje biuro w hotelu „Mieź-dunarodnaja”. Pan Scott Blair postanowił lecieć do Lizbony zamiast z powrotem do Londynu, powiedziała. Bilet przyniósł goniec z WAAP-u. Przebuko-wała go na bezpośredni samolot Aerołotu odlatujący w poniedziałek o godzinie 11 minut 20, przylot do Lizbony o 15.30, z międzylądowaniem w Pradze.

I ktoś ten bilet wykorzystał. Wysoki; do nikogo się nie odzywał, Barley jak żywy albo prawie. Wysoki może tak jak ten mężczyzna z hallu WAAP-u, ale i tak go sprawdziliśmy. Sprawdziliśmy go na całej linii, a linia ta urwała się dopiero na Tinie, lizbońskiej gospodyni Barleya. Tak, tak! Tina miała od niego wiadomość, powiedziała panu Merridew, śliczną karteczkę z Moskwy z wiadomością, że spotkał się z przyjaciółką i jada na wakacje!

Merridew odczuł głęboką ulgę, kiedy się dowiedział, że Barley ostatecznie nie wrócił na swoją działkę.

Potem, przez następne miesiące, zaczął się wyłaniać obraz pozagrobowego życia Barleya, dopóki znów nie zniknął.

Pewien przemytnik narkotyków z Niemiec Zachodnich siedząc w areszcie słyszał, że człowiek odpowiadający rysopisowi Barleya jest poddawany przesłuchaniom w więzieniu pod Kijowem. Wesoły facet, mówił Niemiec. Popularny wśród współwięźniów. Na luzie. Nawet strażnicy obdarzali go czasami niechętnym uśmiechem.

Szukającej przygód zmotoryzowanej parze z Francji w drodze powrotnej przyszedł z pomocą jakiś „wysoki, miły Anglik”, który zamienił z nimi parę słów po francusku, kiedy mieli karambol z sowiecką limuzyną pod Smoleńskiem. Nikt nie odniósł obrażeń. Sześć stóp wzrostu, szatyn o miękkich włosach, uprzejmy, o głośnym śmiechu, pilnowany przez krzepkich Rosjan.

I pewnego dnia, w okolicach Bożego Narodzenia, niedługo po tym, jak Ned formalnie przekazał Naszą Rosję, przyszedł sygnał z Hawany z raportem kubańskiego informatora, że jakiś Anglik znajduje się pod specjalnym nadzorem w więzieniu dla politycznych koło Mińska i że dużo śpiewa.

Śpiewa? — poszedł przerażony sygnał zwrotny. Śpiewa o czym?

Śpiewa piosenki Satchmy, przyszła odpowiedź z Hawany. Informator był maniakiem jazzu jak ten Anglik.

A tekst listu Barleya do Neda?

Nadal pozostaje jednym z małych sekretów tej sprawy, że list ten nigdy nie trafił do kartoteki i nie ma o nim wzmianki w oficjalnej historii operacji Niebieski Ptak. Myślę, że Ned go zatrzymał jako rzecz zbyt drogą, by ją rejestrować w kartotece.

Taki więc byłby koniec tej historii czy też raczej historia ta nie miałaby końca. Barley zdaniem wtajemniczonych był na dobrej drodze, by dołączyć do innych cieni, które straszą w ciemnych zaułkach Moskwy, do sponiewieranych dezertarów i szpiclów, tych sprzedanych i tych podejrzanych, wraz z żalonymi ich żonami i bladymi opiekunkami, które dzielą z nimi kurczące się przydziały zachodnich przyjęć i pamięci.

Rozpoznano by go po paru latach przypadkiem, choć świadomie, na przyjęciu, na którym w tajemniczy sposób znalazłby się szczęśliwym trafem angielski dziennikarz. I może, gdyby czasy się nie zmieniły, podrzucono by mu jakąś kuszącą dezinformację i poproszono, żeby sypnął piaskiem w oczy dawnych mocodawców.

I rzeczywiście już się wydawało, że wszystko toczy się tym trybem, kiedy pilny telegram od następcy Paddy'ego doniósł, że widziano — i nie tylko widziano, również słyszano — jak wysoki Anglik, blondyn, grał na tenorowym saksofonie w nowo otwartym klubie na starym mieście w rok od dnia, kiedy Barley zniknął.

Ściągnięto Clive'a z łóżka, sygnały śmigły między Londynem a Langley, poproszono o zajęcie stanowiska Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Zajęło, i choć raz stanowisko to było niedwuznaczne: to nie nasz problem i nie wasz. Chyba uznali, że Rosjanie lepiej są przygotowani od nas, żeby poskromić Barleya. Ostatecznie Rosjanie już wcześniej oddawali nam usługi.

Nazajutrz przyszedł drugi telegram, tym razem od grubasa Merridew z Lizbony. Gospodyni Barleya, Tina, z którą Merridew niechętnie podtrzymywał stosunki, dostała polecenie, by przygotować mieszkanie na przyjazd pana.

Ale j a k je dostała? — spytał ją Merridew.

Telefonicznie — odpowiedziała, senhor Barley dzwonił.

Dzwonił, a skąd, ty głupia babo?

Tina nie pytała, a Barley nie powiedział. Dlaczego miała pytać, gdzie on jest, jeżeli lada dzień przyjeżdża do Lizbony?

Merridew był wstrząśnięty. I to nie on jeden. Zawiadomiliśmy Amerykanów, ale całe Langley jak jeden mąż **zachorowało na amnezję**. Omal że nas nie spytali: jaki Barley? Powszechnie się **uważa, że takie** służby jak nasza biorą brutalny odwet na tych, którzy zdradzili ich **sekrety**. Cóż, czasami to jest prawda, biorą, choć rzadko na ludziach klasy **Barleya**. Lecz w tym przypadku

natychmiast było jasne, że nikt, przynajmniej w całym Langley, bynajmniej sobie nie życzy stawiać na świeczniku kogoś, kogo by najchętniej zapomniał. Lepiej wyrównać z nim rachunki, uradzili, a Amerykanów trzymać od tego z dala.

Wchodziłem na te schody z obawą. Odrzuciłem propozycję Broci:-a, że mi da ochronę, i niezbyt szczerą ofertę pomocy Merridew. Schody były ciemne, strome, niegościnnie i nieprzyjemnie ciche. Był wczesny wieczór, ale wiedzieliśmy, że jest w domu. Nacisnąłem guzik, ale nie usłyszałem dzwonka, zapukałem więc do drzwi knykciami. Drzwi były niskie i szerokie, z grubych desek. Przypominały drzwi przystani na wyspie. Usłyszałem w środku kroki i od razu cofnąłem się od drzwi, jeszcze dziś do końca nie wiem dlaczego, ale przypuszczam, że to było coś jak lęk przed zwierzętami. Czy będzie wściekły, rozgniewany, zbyt wylewny, zrzuci mnie z tych schodów, czy uściska? Miałem przy sobie teczkę i pamiętam, że przełożyłem ją do lewej ręki, żeby przygotować prawą do obrony. Choć, Bóg mi świadkiem, nie jestem skory do bitki. Poczulem zapach świeżej farby. Drzwi nie miały judasza i były ciasno wpasowane w metalowe nadproże. Nie mógł wiedzieć, kto za nimi stoi, dopóki nie otworzył. Usłyszałem odsuwanie zasuw. Drzwi odchyliły się do wewnątrz.

— Halo, Harry — powiedział.

Więc i ja powiedziałem:

— Halo, Barley. — Byłem w lekkim ciemnym garniturze, granatowoszarym. Powiedziałem: — Halo, Barley — i czekałem, aż się uśmiechnie.

Był szczuplejszy, surowszy i bardziej wyprostowany, co sprawiało, że stał się rzeczywiście bardzo wysoki, przerastał mnie o głowę. Jesteś kiepskim agentem, pamiętam, jak pomyślałem czekając. Jak zwykła mówić Hanna w pierwszym okresie, tacy oboje powinniśmy się uczyć być. Opuściła go niedbałość ruchów. Dyscyplina narzucona przez małe pomieszczenia robiła swoje. Był schludny. Był w dżinsach i starej koszulce do krykieta z rękawami zawiniętymi po łokcie. Miał plamy białej farby na przedramionach i smugę farby na czole. Dojrzałem za nim malarską drabinę i do połowy pobieloną ścianę, a pośrodku pokoju sterty książek i płyt gramofonowych częściowo osłonięte pokrowcami od kurzu.

— Wpadłeś na partię szachów, Harry? — spytał, wciąż się nie uśmiechając.

— Chciałbym tylko pogadać — powiedziałem, tak jak mógłbym powiedzieć do Hanny czy kogoś innego, komu bym proponował jakiś półśrodek.

— Oficjalnie?

— Hm.

Przyjrzał mi się badawczo, jakby mnie nie dosłyszał, otwarcie i bez pośpiechu, jakby miał mnóstwo czasu, w dużej mierze chyba tak, jak się ogląda współmieszkańców celi lub śledczych w świetle, który raczej zwalnia z banalnych uprzejmości.

Ale w jego spojrzeniu nie było żadnego przygnębienia ani wstydu, ani Siadu arogancji czy fałszu. Przeciwnie, wydawało się nawet jaśniejsze, niż je zapamiętałem, jakby utkwiło już na stałe w tych dalekich regionach, do których kiedyś tylko czasem zwykło wybiegać.

— Mam trochę białego sikacza, jeśli to wystarczy — powiedział i usunął się, żeby mnie wpuścić, cały czas mi się przyglądając, zanim zamknął drzwi i zasunął zasuwę.

Ale wciąż się nie uśmiechał. Jego nastrój był dla mnie tajemnicą. Czułem, że nic w nim nie zdołałbym zrozumieć, póki mi sam nie powie. Innymi słowy, rozumiałem w nim wszystko, co nie przekraczało mojej zdolności rozumienia, Reszta to nieskończoność.

Pokrowce leżały także na krzesłach, ale ściągnął je i zwinął, jakby były jego pościelą. Ludziom z więzień, jak z biegiem lat zauważyłem, wiele zabiera czasu pozbycie się dumy.

— Czego chcesz? — spytał nalewając z kamionki każdemu po szklaneczkę.

— Prosilili mnie, żebym to uporządkował — powiedziałem. — Żebyś mi na parę rzeczy odpowiedział. Dał gwarancje. Ja w zamian tobie. — Zgubiłem się. — Czy możemy pomóc — powiedziałem. — Może czegoś potrzebujesz. Jak się możemy umówić na przyszłość i tak dalej.

— Dzięki, mam wszelkie gwarancje, jakich mi potrzeba — powiedział uprzejmie, czepiając się tego jednego słowa, które jak się zdaje, przyciągnęło jego uwagę. — Oni robią swoje w swoim czasie. Obiecałem trzymać gębę na kłódkę. — Nareszcie się uśmiechnął. — Posłuchałem twojej rady, Harry. Zdecydowałem się kochać na odległość jak ty.

— Byłem w Moskwie — powiedziałem, bardzo się starając nadać jakąś płynność naszej rozmowie. — Chodziłem tu i tam. Widziałem się z tym i z owym. Pod własnym nazwiskiem.

— Jakież ono jest? — zapytał z tą samą uprzejmością. — Twoje nazwisko. Jak ono brzmi?

— Palfrey — odpowiedziałem opuszczając „de”.

Uśmiechnął się, jakby ze współczuciem czy jakby sobie coś przypomniał.

— Firma mnie wysłała, żebym cię odszukał. Nieoficjalnie, ale jakby oficjalnie. Żebym zapytał o ciebie Rosjan. Uporządkował sprawy. Pomyśleliś my, że czas by się dowiedzieć, co się z tobą stało. Zobaczyc, czy nie moglibyśmy pomóc.

I upewnić się, czy przestrzegają reguł, mogłem być dodać. Czy nikt

w Moskwie nie zacznie rozrabiać. Że nie będzie żadnych głupich przecieków i numerów.

— Mówiłem, co się ze mną stało — powiedział.

— Chcesz powiedzieć, w listach do Henzigera i Wicklowa, i innych?

— Tak.

— No, wiedzieliśmy naturalnie, że te listy pisałeś pod przymusem, jeśli to w ogóle ty je pisałeś. Weź list tego biedaka Goethego.

— Gówno — powiedział. — Napisałem je z własnej i nieprzymuszonej woli.

Oględnie nawiązałem trochę bliżej do celu swej wizyty. I do teczki w ręce.

— Jeśli o nas chodzi, postąpiłeś bardzo honorowo — powiedziałem wyciągając skoroszyt i otwierając go na kolanach. — Pod przymusem każdy mówi i nie byłeś wyjątkiem. Jesteśmy wdzięczni za to, co zrobiłeś dla nas, i świadomi, ile cię to kosztowało. Zawodowo i osobiście. Zależy nam, żebyś otrzymał pełną rekompensatę. Naturalnie pod pewnymi warunkami. Może to być duża suma.

Gdzie on się nauczył tak obserwować? I zachowywać taką stałą powściągliwość? Innych trzymać w napięciu, kiedy sam mu się nie poddaje?

Odczytałem mu warunki będące mniej więcej odwrotnością warunków postawionych Landauowi. Ma się trzymać z dala od Zjednoczonego Królestwa, z prawem wjazdu tylko za naszym uprzednim pozwoleniem. Ustalamy pełną i ostateczną listę roszczeń, warunek bezterminowego milczenia, wyrażony *ex abundanti cautela* na kilka różnych sposobów. I kupa forsy do pokwitowania tu, pod warunkiem, zawsze i wyłącznie pod warunkiem, że będzie siedział cicho.

Nie podpisał jednak. Już był zmęczony. Machnięciem ręki odsunął moje pióro.

— Ale, ale, co zrobiliście z Waltem? Przywiozłem mu kapelusz. Coś jak pokrowiec na czajnik w tygrysie paski. Nie mogę tego draństwa znaleźć.

— Jak mi przyślesz, dopilnuję, żeby go dostał — obiecałem.

Uchwycił mój ton i uśmiechnął się do mnie smutno.

— Biedny stary Walt, wylali go, co?

— Szybko się wykańczamy w naszym zawodzie — powiedziałem, ale nie mogłem mu spojrzeć w oczy, więc zmieniłem temat. — Przy puszczam, że słyszałeś, że twoje ciotki sprzedały firmę wydawnictwu Lupus Books?

Roześmiał się, nie swoim dawnym szalonym śmiechem, to prawda, ale zawsze śmiechem wolnego człowieka.

— Jumbo! Stary diabeł! Wykiwał Świętą Krowę! I wierz takiemu!

Ale przyjął to spokojnie. Chyba naprawdę sprawiło mu to przyjemność, jako coś słusznego. Boję się, jak my wszyscy w tym zawodzie, ludzi

o zdrowych instynktach. Ale byłem w stanie zastępczo uczestniczyć w jego luzie. Wyrobił sobie tolerancję chyba wobec wszystkiego.

Ona przyjedzie, powiedział mi, wyglądając na port. Obiecali, że któregoś dnia przyjedzie.

Nie zaraz, w terminie wybranym przez nich, nie Barleya. Ale przyjedzie, nie miał wątpliwości. Może w tym roku, może w przyszłym, powiedział. Ale przepastny brzuch biurokratycznej Rosji natęży się i urodzi mysz współczucia. Nie wątpił. Nastąpi to stopniowo, ale nastąpi. Obiecali.

— Oni nie łamią obietnic — zapewniał mnie i w obliczu takiego zaufania byłoby chamstwem z mojej strony zaprzeczać. To jednak coś innego mi nie pozwalało wyrazić na głos zwykłego sceptycyzmu. Znowu Hanna. Czuję, jak mnie błaga, bym mu pozwolił żyć z tą wiarą w człowieka, nawet jeżeli ją zniszczyłem w niej. „Myślisz, że ludzie nigdy się nie zmieniają, ponieważ sam się nie zmieniasz — powiedziała mi kiedyś. — Czujesz się bezpiecznie tylko wtedy, kiedy jesteś rozczarowany”.

Zaproponowałem, że go gdzieś zabiorę, że pójdziemy coś zjeść, ale jakby tego nie dosłyszał. Stał przy wysokim oknie wpatrzony w światła portu, a ja się wpatrywałem w jego plecy. Przyjął tę samą pozę, co wtedy, gdy po raz pierwszy rozmawialiśmy z nim w Lizbonie. Ta sama ręka uniosła w górę szklankę. Tę samą pozę, co na wyspie, kiedy Ned mu powiedział, że wygrał. Ale trzymał się bardziej prosto. Znow do mnie mówi? Zorientowałem się, że tak. Widzi, jak ich statek przybywa z Leningradu, powiedział. Widzi, jak po trapie zbiega do niego ona z dziećmi u boku. Siedzi z wujkiem Matwiejem w cieniu drzewa w parku za oknem, gdzie siedział z Nedom i Walterem w dniach, nim osiągnął wiek męski. Słucha Katii tłumaczącej heroiczne opowieści Matwieja o wytrwałości. Zachował wszystkie te nadzieje, które ja w sobie pogrzebałem, wybierając bezpieczny bastion ciągłych podejrzeń jako lepszy od najeżonej niebezpieczeństwami drogi miłości.

Udało mi się zaprosić go na obiad, i w drodze łaski pozwolił mi zapłacić rachunek. Ale nic więcej nie zdołałem od niego kupić, nic nie podpisał, na nic się nie zgodził, nic nie potrzebował. W niczym nie ustąpił, nic nie był winien i życzył nam wszystkim, ilu nas było, bez gniewu, byśmy poszli do diabła.

Pełen był wyniosłego spokoju. Stonowany. Troszczył się, by nie zranić moich uczuć, nawet jeżeli był za grzeczny, żeby spytać, co ja czuję. Nigdy mu nie mówiłem o Hannie i wiedziałem, że nigdy nie powiem, bo ten nowy Barley nie miałby cierpliwości dla mego trwania w tym samym stanie.

Co do reszty, chyba mu zależało, żeby mnie obdarować swoją historią, żebym miał co zanieść szefom. Zabrał mnie z powrotem do siebie, nalegał, żebym z nim wypił na dobranoc, i zapewniał, że ja tu w niczym nie zawiniłem.

I mówił. Za mnie. Za siebie. Mówił i mówił. Opowiedział mi wszystko tak, jak ja tutaj starałem się wam opowiedzieć, od swojej strony i od naszej. Mówił

i mówił, aż się rozwidniło, a kiedy wychodziłem o piątej rano, zastanawiał się, czy nie dokończyć tego kawałka ściany, zanim się położy. Tyle jeszcze trzeba przygotować, wyjaśnił. Dywany. Zasłony. Półki na książki.

— Wszystko będzie dobrze, Harry — zapewnił mnie, wyprowadzając z mieszkania. — Powiedz im to.

Praca w wywiadzie to czekanie.